

DIANE CHAMBERLAIN

Światło nie może zgasnąć

Czy warto strzec tajemnic za wszelką cenę?

Czy zemsta przynosi ulgę?

Czy można wybaczyć zdradę?



Prószyński i S-ka

DIANE
CHAMBERLAIN

*Światło nie może
zgasnąć*

PRZEŁOŻYL
MICHAŁ JUSZKIEWICZ

Prószyński i S-ka

Tytuł oryginału
KEEPER OF THE LIGHT

Copyright © 2002 by Diane Chamberlain
All rights reserved

Projekt serii
Olga Reszelska

Opracowanie graficzne okładki
Ewa Wójcik

Zdjęcie na okładce
© Sandra Cunningham/Trevillion Images

Redaktor prowadzący
Monika Kalinowska

Redakcja
Joanna Habiera

Korekta
Grażyna Nawrocka

ISBN 978-83-8123-421-4

Warszawa 2017

Wydawca
Prószyński Media Sp. z o.o.
02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28
www.proszynski.pl

Drogi Czytelniku,

To dla mnie wielka radość, że powieść *Światło nie może zgasnąć* została wznowiona i możesz się nią cieszyć. Po raz pierwszy ukazała się w roku 1992 i szybko stała się jedną z moich najpopularniejszych książek – tak bardzo przypadła do serca czytelnikom, że pisali do mnie prośby o ciąg dalszy. Minęło jedenaście lat, zanim w końcu im uległam i z opowieści o rodzinie O’Neillów uczyniłam trylogię. Tom drugi ukaże się jeszcze w tym roku a ostatni na wiosnę w przyszłym roku. (W Polsce tom drugi ukaże się w listopadzie 2017 roku, a trzeci w marcu 2018.)

W opisie autentycznej krainy geograficznej, jaką są Outer Banks, czyli Ławice Zewnętrzne na wschodnim wybrzeżu Karoliny Północnej, pozwoliłam sobie na pewną dowolność, i umieściłam tam miejscowość o nazwie Kiss River, a w niej – latarnię morską. Ta latarnia oraz ludzie, którym jest ona droga, to dzieło pisarskiej wyobraźni, ale przepiękne i jedyne w swoim rodzaju Outer Banks istnieją naprawdę i zajmują szczególne miejsce w moim sercu. Mam nadzieję, że Wy, czytelnicy tej książki, pokochacie je równie mocno.

Diane Chamberlain

Rozdział pierwszy

Boże Narodzenie 1990

Cały dzień lało. Deszcz bił z taką siłą, że krzewy rosnące wokół parkingu przed budynkiem pogotowia ratunkowego gięły się aż do samej ziemi, a dach zaczął przeciekać, chociaż był całkiem nowy. Jedna z pielęgniarek przyniosła do poczekalni wiadro i postawiła na podłodze, żeby łapać kapiącą wodę; w ciągu godziny napełniło się po brzegi.

Olivia Simon przyglądała się ulewie przez szerokie okna swojego gabinetu. Szum lecącego z nieba wodospadu wytrącał ją z równowagi. Czasopismo leżące przed nią na biurku już od kilku godzin było otwarte na tej samej stronie, gdzie zaczęła czytać artykuł. Ta ulewa miała w sobie coś nienaturalnego. Wypierała z powietrza tlen, utrudniała oddychanie, a robiła tyle hałasu, jakby na arkusz blachy spadały kamienne bryłki. I akurat w momencie, gdy Olivia pomyślała, że dłużej tego nie znieśie – deszcz ustał. W ciszy, która zapadła, niebo pojaśniało i przybrało kremowy odcień niczym wewnętrzna strona skorupki jajka. A potem niespodziewanie sypnął śnieg.

Olivia poszła na izbę przyjęć, gdzie Kathy Brash i Lynn Wilkes już od dwóch przerażająco spokojnych godzin grały w binokla.

– Śnieg pada – oznajmiła.

Kathy i Lynn uniosły na nią przymglone deszczem oczy, a potem odwróciły głowy w kierunku okna.

– Niesamowite – powiedziała Lynn, unosząc się, żeby lepiej widzieć, i połą białego fartucha strącając ze stołu kilka kart.

– To już tradycja regionu Outer Banks¹ – dodała Kathy. – W zeszłoroczne święta zasypało nas na parę dni.

Olivia zerknęła na zegarek. Siedemnasta trzydzieści. Utknąć w pracy? Nie, dzisiaj nie mogła sobie na to pozwolić.

Lynn usiadła z powrotem.

– Przyłączysz się? – zaproponowała. – Rozdać dla ciebie?

Olivia podziękowała i wróciła do gabinetu. Nie miała ochoty na grę w karty. Była zbyt podenerwowana, za bardzo pochłonięta własnymi myślami. Chciała już wrócić do siebie.

Usiadła za biurkiem i wystukała na klawiaturze numer do domu.

– Pada śnieg – powiedziała, gdy w słuchawce usłyszała głos Paula.

– Wiem – odparł z irytacją. Zdążyła się już przyzwyczać do tej szorstkości, bo od jakiegoś czasu słyszała u niego tylko taki ton. – O której wychodzisz?

– Niedługo. Za pół godziny.

Musiała tego dnia przyjść do pracy. Z czwórki lekarzy zatrudnionych w pogotowiu ona była najmłodsza stażem. Niestety, nie mogła powiedzieć mężowi, że czas z dala od niego spędziła owocnie, gdy tymczasem potrzebowali właśnie czasu tylko dla siebie – Bóg jeden wiedział, jak bardzo. Przez jedenaście godzin miała tylko dwóch pacjentów: jeden z otartym kolanem, a drugi z ostrą niestrawnością po świątecznym indyku. W takie dni Olivia tęskniła za ogarniętym gorączkową krzątaniem szpitalem Washington General, gdzie dziesięcioletni staż pracy zapewniał jej pewną swobodę w układaniu grafiku. Ostatnimi czasy obawiała się rozstań z Paulem. Gdy oddalał się choćby na odległość ręki, nachodził ją strach, że zniknie.

Ostatnie święta spędzili u jego rodziny w Filadelfii. Paul napisał o niej wiersz i wyhaftował na makatce, kiedy akurat był w domu sam, bo Olivia spędzała całe dni w pracy. Ta makatka wisiała teraz w domowym gabinecie, a ona, za każdym razem, kiedy na nią spoglądała, nie mogła się nadziwić, że wszystkie ciepłe uczucia, jakie Paul do niej żywił jeszcze przed rokiem, wygasły tak szybko.

– Indyk chyba się upiekł, bo mięso odchodzi od kości – poinformował ją Paul. – Mam go wyjąć?

Nie zdążyła odpowiedzieć, bo nagle na korytarzu tuż za drzwiami jej gabinetu z głośnym charkotem włączyło się radio pracujące na policyjnej częstotliwości.

– Poczekaj, Paul. – Olivia odsunęła słuchawkę od ucha, bo Kathy już usiadła przy odbiorniku.

– Pogotowie w Kill Devil Hills, słucham.

– Wieziemy kobietę z raną postrzałową klatki piersiowej. – Przez szum zakłóceń przebił się męski głos. – Wiek trzydzieści kilka lat. Tętno sto

pięćdziesiąt, słabe. Ciśnienie siedemdziesiąt pięć na czterdzieści.

– Kiedy tutaj dotrzecie? – zapytała Kathy.

– Za piętnaście minut. Może dwadzieścia. Śnieg wali jak cholera.

Olivia wstała od biurka.

– Paul, muszę kończyć. – Odłożyła szybko słuchawkę i popędziła do sali zabiegowej. – Wezwij Jonathana – poleciła Kathy w przelocie.

Jonathan Cramer nie należał do lekarzy, z którymi chętnie pracowała, ale akurat to on miał dyżur domowy pod telefonem i mieszkał najbliżej. Mógł dotrzeć na miejsce w mgnieniu oka. I rzeczywiście, zjawił się, gdy Olivia dopiero mydliła dłonie i nadgarstki nad umywalką w zabiegowym.

– Postrzał, tak? – zapytał, podwijając rękawy koszuli. Przedramiona miały mocne, umięśnione. – Ustabilizujemy ją i wyślemy helikopterem do Emerson Memorial.

Włączyła monitor EKG.

– Jeszcze jej nawet nie obejrzelśmy – zauważyła.

– Trzeba ją przewieźć na urazówkę.

Olivia zaczęła szykować zestaw do intubacji. Wiedziała, że Jonathan pracował przedtem w małym, sennym szpitaliku gdzieś w Luizjanie. Leczenie ran postrzałowych raczej nie należało do jego najmocniejszych stron. Tutaj pojawił się niespełna rok temu i był pierwszym lekarzem zatrudnionym do obsługi nowej, samodzielnej jednostki pogotowia ratunkowego, jedynej placówki udzielającej pomocy doraźnej na całym pasie Outer Banks w granicach Karoliny Północnej. Kiedy do zespołu dołączyła Olivia, usłyszała, że jest równa doktorowi Cramerowi stanowiskiem i przy podejmowaniu wszelkich decyzji jej zdanie liczy się na równi z jego zdaniem, często zastanawiała się jednak, czy przypadkiem ktoś nie zapomniał poinformować o tym Jonathana.

– Najpierw ją obejrzyjmy – zdecydowała.

Kiedy dwaj ratownicy medyczni wnieśli ranną do budynku pogotowia, sala zabiegowa była już przygotowana. Kobieta nie miała na sobie koszuli ani stanika – zostały rozcięte, a potem je zdjęto. Otwór wlotowy znajdował się w lewej piersi i był zwodniczo mały, a do tego wcale nie krwawił. To mogło oznaczać tylko jedno – kula przebiła serce. Olivia poczuła uderzenie adrenaliny. W takim wypadku należało koniecznie operować i nie było ani chwili do stracenia.

– Podaj narzędzia chirurgiczne – poleciła Kathy.

– Co?! – zawołał Jonathan, który pomagał jednemu z ratowników założyć rannej przeciwwstrząsowe spodnie pneumatyczne. – Daj spokój, Olivia, nie ma mowy. Pakujemy ją do śmigłowca i wysyłamy do Emersona.

– Dwie jednostki krwi grupy zero Rh minus. – Olivia wydała z kolei polecenie Lynn, a sama sprawdziła podstawowe funkcje życiowe pacjentki. Wiedziała, że śmigłowiec będzie leciał do szpitala Emerson Memorial czterdzieści minut – w śnieżycy pewnie jeszcze dłużej – a przygotowanie kobiety do operacji zajmie kolejne piętnaście.

– Ona nie da rady tam dotrzeć – powiedziała krótko.

Wzięła od Kathy tackę chirurgiczną. Trzęsły jej się ręce, więc narzędzia na tacce podzwaniały o siebie. Olivia zauważyła, że ciemne włosy Kathy są spięte wysoko; żałowała, że nie zrobiła tego samego. Jej cienkie, brązowe włosy sięgały nieco poniżej brody i za każdym razem, kiedy opuszczała głowę, opadały, odcinając pole widzenia niczym końskie okulary.

– Mówisz poważnie? – zapytał z niedowierzaniem Jonathan. – Nie mamy tutaj warunków do takiego zabiegu.

– Pięćdziesiąt na trzydzieści – zameldowała Lynn. – Nie mogę zmierzyć tętna tętnicy promieniowej.

– Podajcie jej sól fizjologiczną. Jonathan, proszę cię, zrób nacięcie do wprowadzenia igły – powiedziała Olivia, wiedząc, że ta kobieta pilnie potrzebuje krwi.

– To nie jest, cholera jasna, Waszyngton. Ona musi trafić na urazówkę.

– Podaj dwuwęglany z ręki – poleciła Olivia, oglądając się na Lynn. – I epinefrynę. Podwieście w końcu tę krew. – Dopiero wtedy zwróciła się do Jonathana. – Posłuchaj. Możemy wysłać ją do Emersona, ale oboje wiemy, że ona umrze w drodze. Tutaj nie ma idealnych warunków, żeby się nią zająć, ale to dla niej jedyna szansa. – Odwróciła się z powrotem do stołu operacyjnego i sama zrobiła nacięcie, zagłębiając ostrze skalpela w błękitnej żyłce widocznej w pachwinie kobiety. Następnie wzięła w palce grubą igłę.

– Zajmę się tym – powiedziała Kathy. Wyjęła jej igłę z ręki i umieściła w żyłce. Dłonie już się jej nie trzęsły, Olivia z podziwem zauważyła, jak szybko koleżance udało się zapanować nad strachem.

Jonathan łypnął wściekle na Olivię.

– Ja do tego ręki nie przyłożę – oznajmił. – Wzywam śmigłowiec.

Odwrócił się na pięcie i wymaszerował z sali. Olivia patrzyła za nim osłupiałym wzrokiem.

– Nie wierzę – wymamrotała, po czym obejrzała się na jednego z ratowników medycznych. – Zadzwoń do doktora Shelleya i poproś, żeby natychmiast tutaj przyjechał.

Obmyła klatkę piersiową i bok rannej roztworem betadyny, a następnie wyciągnęła dłonie przed siebie, aby Lynn nałożyła na nie sterylne rękawiczki.

– Może jednak lepiej ją odesłać – powiedziała cicho pielęgniarka. Na jej czole lśniły krople potu.

– Zrobimy dla niej wszystko, co w naszej mocy, Lynn. – Olivia podniosła z tacki kolejny skalpel i zauważyła, że teraz jej własna dłoń zaczęła lekko drżeć. Nagle zdała sobie sprawę, że jest jedynym lekarzem w sali zabiegowej. „No już, spokojnie”, upomniała się w duchu, przykładając skalpel do skóry pomiędzy żebrami kobiety, skoncentrowana na zadaniu, które miała do wykonania. Docisnęła ostrze. Ani kropli krwi. Poprowadziła skalpel głębiej, rozdzielała kolejne warstwy mięśni, aż wreszcie otworzyła jamę serca. Nagle spod jej dłoni trysnął strumień krwi, prosto na fartuch i na podłogę. Stojący najbliżej ratownik medyczny aż jęknął, gdy to zobaczył.

– Ciśnienie nieoznaczalne – zameldowała Lynn. – I nie ma tętna.

Olivia uniosła wzrok. Na monitorze ponad głową rannej widniała prosta, jasnozielona linia. Lekarka poczuła, jak zimny pot oblepia jej czoło. „Umiera nam na stole”, pomyślała. Trzeba powiększyć nacięcie. Spojrzała na tackę z narzędziami.

– Mamy rozwieracz do żeber?

Kathy potrząsnęła głową.

Oczywiście. Na pogotowiu nie ma takich przyrządów. Olivia przyłożyła skalpel do piątego żebra kobiety i nacisnęła z całej siły. Kiedy otwór był już wystarczająco szeroki, wsunęła do środka dłoń i ostrożnie objęła palcami serce, szukając kciukiem otworu po kuli. Znalazła szybko – niewielkie wgłębienie na gładkiej powierzchni mięśnia – i przykryła opuszką, aby powstrzymać upływ krwi. Następnie odszukała ranę wylotową po drugiej stronie serca, a gdy zasłoniła ją środkowym palcem, ożyło jej w dłoni gwałtownym skurczem. Obejrzała się na monitor. W sali zabiegowej zerwały się radosne okrzyki.

– Jest tętno! – zawołała Kathy.

Olivia uśmiechnęła się i odetchnęła. Teraz musiała tylko czekać na Mike’a Shelleya, kierownika placówki. Nie wiedziała, jak długo wytrzyma w tej niewygodnej, uciążliwej pozycji – nisko pochylona, niemalże kucąca,

wyginając kręgosłup – wszystko po to, aby dłoń obejmująca serce pozostała we właściwym ułożeniu. Wiedziała, że jeśli teraz poruszy palcami, ranna umrze. Po prostu umrze. Mięśnie ud zaczęły jej drżeć, bark palił z bólu.

Słysząc już było warkot podchodzącego do lądowania helikoptera, a po chwili rozległo się głucho uderzenie płóz o dach budynku. Olivia miała tylko nadzieję, że transport będzie w ogóle potrzebny, to znaczy, że uda się opatrzyć ranę i doprowadzić nieprzytomną kobietę do stanu na tyle stabilnego, aby można było ją stąd zabrać.

Dopiero w tym momencie po raz pierwszy spojrzała jej prosto w twarz. Miała bladą cerę i delikatne piegę. Ani śladu makijażu. Jej kasztanoworude włosy były długie i bujne. Gruby kłęb kręconych loków zwisał daleko poza krawędzią stołu operacyjnego. Wyglądała jak modelka z reklamy mydła Ivory.

– Kto ją postrzelił? – Olivia uniosła wzrok na młodszego z dwóch ratowników medycznych, starając się zrobić cokolwiek, aby nie myśleć o tym, jak bardzo jej niewygodnie.

Ratownik był równie blady jak ranna i miał ciemne oczy, szeroko otwarte.

– Pracowała społecznie w schronisku dla kobiet doświadczających przemocy w Manteo – odpowiedział. – Wpadł tam jakiś facet, zaczął grozić bronią swojej żonie i dziecku, a ona próbowała załagodzić sytuację.

Schronisko dla kobiet w Manteo. Na te słowa pierś Olivii także przeszył nagły ból.

– Ktoś wie, jak się nazywa? – zmusiła się, by zadać kolejne pytanie.

– Annie – odparł ratownik. – Annie O’Brien? Nazwisko na O’...

– O’Neill – szepnęła Olivia tak cicho, że nikt tego nie usłyszał. Przesunęła wzrokiem po leżącym przed nią ciele, po mlecznobiałych piersiach pokrytych rzucikiem piegów, po miękko wciętej talii. Zacisnęła powieki. Bark płonął bólem i traciła czucie w opuszkach palców. Zaniepokoiła się, czy uciska dokładnie w tym miejscu, co trzeba. Uniosła głowę i spojrzała jeszcze raz na monitor. Gdyby palce się przesunęły, każda zmiana byłaby natychmiast widoczna.

Czyżby naprawdę minął dopiero miesiąc, odkąd Paul napisał tamten artykuł do magazynu „Seascape”? Wtedy Paul się zmienił. Wszystko się zmieniło. Przypomniała sobie zdjęcia witraży w pracowni Annie O’Neill. Kobiety w jedwabnych szatach, błękitna czapla o lśniących piórach, zachód słońca nad cieśniną.

Do sali wpadł Mike Shelley. Kiedy zobaczył, co się dzieje, w jego ciemnych

oczach odmalował się totalny szok, ale umył się błyskawicznie i stanął obok Olivii.

– Gdzie Jonathan? – spytał.

– Uważał, że powinniśmy odesłać ranną, a ja uznałam, że powinna zostać, więc wyszedł wezwać śmigłowiec i już nie wrócił.

Mike w rękawiczkach nawlekł okrągłą igłę.

– Może rzeczywiście trzeba było ją odesłać – powiedział bardzo cicho, pochylając się do ucha Olivii. – Teraz w razie czego wina za jej śmierć spadnie na ciebie.

Poczuła nagłe pieczenie pod powiekami. Czy podjęła złą decyzję? Nie, ta kobieta nie miała żadnych szans, aby przeżyć lot śmigłowcem. Żadnych.

Mike musiał pracować tak, aby omijać jej palce. Jeśli przesunęła któryś z nich choćby o milimetr, z otworów po kuli tryskała krew. Ból w barku płonął już nieprzerwanie, a drzenie rozeszło się z nóg na całe ciało. Mimo to udało jej się zachować właściwą pozycję, kiedy Mike wsunął pod jej kciuk małą filcową łątę i zaczął przyszywać ją do mięśnia sercowego. Niestety, otwór wylotowy był znacznie trudniejszy do zamknięcia, duży i położony tak, że praktycznie nie było sposobu, aby go dosięgnąć, nie uszkadzając przy tym serca.

Olivia zauważyła, że Mike, mocujący się z igłą, zaczyna marszczyć czoło jeszcze bardziej niż dotychczas.

– Proszę cię – szepnęła.

Wreszcie, po wielu wysiłkach, lekarz potrząsnął głową. Filcowa łąta nie chciała się trzymać, a krew najpierw zaczęła się sączyć przez otwór z tyłu serca, a potem popłynęła strumieniem. Olivia poczuła jej ciepło na palcach i w tym samym momencie zielona linia na monitorze zadrżała i zrobiła się całkiem prosta, a w sali zabiegowej zapadła cisza, która mówiła o porażce.

Na jedną chwilę wszyscy zamarli w bezruchu. Nikt nie powiedział ani słowa. Olivia słyszała oddech Mike'a, szybki i głęboki, zgrany z jej własnym oddechem. Wyprostowała się powoli, zgrzytając zębami, bo plecy rwały ostrym bólem. Spojrzała na Kathy.

– Jest tutaj ktoś z jej rodziny? – zapytała.

– Tak – potwierdziła pielęgniarka. – Wezwaliśmy też Kevina. Rozmawia z nimi w małej poczekalni.

– Ja im powiem – zaoferował się Mike.

Olivia potrząsnęła głową.

– To należy do mnie. Byłam z nią od samego początku. – Odwróciła się i ruszyła do wyjścia.

– Czekaj! – Mike złapał ją za rękę. – Lepiej się przebierz.

Spojrzała po sobie. Strój chirurgiczny miała zalany krwią. Opadły ją wątpliwości. Nie myślała w tej chwili jasno.

Przebrawszy się w pokoju lekarskim, przeszła do niewielkiej, dyskretnej poczekalni. Przez wysokie okno w korytarzu widać było płatki śniegu tańczące w ciemności. Szkoda, że nie mogę na chwilę stąd wyjść, pomyślała. Mięśnie wciąż miała obolałe i nie uśmiechało się jej wypełnienie smutnego obowiązku. Liczyła tylko na to, że Kevin Rickert z opieki społecznej przygotował rodzinę na złe wieści.

Jej przybycie Kevin przywitał z ulgą.

– To jest pani doktor Simon – przedstawił.

Było ich troje: dziewczyna lat około trzynastu, uderzająco podobna do tej zmarłej kobiety, o kilka lat starszy chłopak i dorosły mężczyzna. Mąż Annie, Alec O’Neill. Wysoki, szczupły brunet o wysportowanym ciele. Miał na sobie dzinsy i niebieski sweter. Podał jej rękę z ociąganiem, a w jego bladobłękitnych oczach malowało się nieme pytanie: jaki los mnie czeka?

Olivia krótko uścisnęła wyciągniętą dłoń.

– Witam, panie O’Neill – powiedziała, przeciągając słowa. – Bardzo mi przykro. Kula trafiła prosto w serce. Obrażenia były zbyt rozległe.

W oczach mężczyzny wciąż jeszcze tliła się nadzieja. Tak było zawsze. Trzeba powiedzieć prosto z mostu, bez ogródek, bo inaczej nadzieja nie chciała zgasnąć. Jego syn zrozumiał od razu. Wyglądał jak młodsza wersja ojca: te same czarne włosy, uderzające, bladobłękitne oczy lśniące pod ciemnymi brwiami. Odwrócił się do ściany. Ramiona trzęsły mu się, ale nie wydał najmniejszego dźwięku.

– Czy rozumie pan, co powiedziała doktor Simon? – zapytał Kevin.

Mężczyzna zmierzył Olivię wzrokiem.

– Czy to znaczy, że Annie nie żyje?

Przytaknęła.

– Bardzo panu współczuję. Ratowaliśmy ją przez ponad godzinę, ale...

– Nie! – krzyknęła dziewczyna i rzuciła się na nią z takim impetem, że Olivia wpadła na jeden ze stojących w poczekalni foteli i uderzyła się o drewnianą poręcz. Potem zaczęła okładać Olivię pięściami, ale Kevin chwycił dziewczynę od tyłu i powstrzymał, zanim zdążyła zrobić jej krzywdę. – Nie

mogła umrzeć! – Podniosła głos jeszcze bardziej. – Przecież w ogóle nie było krwi!

Alec O’Neill przejął córkę z uścisku Kevina i przytulił.

– Cicho, Lacey – szepnął.

Odzyskawszy równowagę, Olivia położyła dłoń na plecach dziewczyny. Wie, że nie było krwawienia. Skąd?, pomyślała.

– Doszło do krwotoku wewnętrznego, skarbie – wyjaśniła.

– Nie nazywaj mnie tak. – Lacey odepchnęła jej rękę.

Alec O’Neill przygarnął ją mocniej, a dziewczyna wtuliła twarz w jego pierś i zaczęła płakać. Olivia zerknęła na Kevina. Czowała się całkiem bezradna.

– Ja tu zostanę – powiedział, więc ruszyła do wyjścia, ale odwróciła się jeszcze od drzwi.

– Gdybyście chcieli o coś zapytać, proszę zadzwonić.

Alec O’Neill uniósł na nią wzrok. Powiedziała sobie, że musi przyjrzeć się cierpieniu w jego oczach, i wytrzymała. Za jej sprawą coś stracił, więc należało mu się od niej coś w zamian.

– Była bardzo piękną kobietą – szepnęła.

Po wyjściu musiała minąć Cramera i pilota helikoptera ratowniczego, którzy stali na korytarzu.

– Świetna robota – rzucił Jonathan kpiąco. Puściła to mimo uszu i poszła do swojego gabinetu, gdzie otworzyła okna, aby wpuścić zimne powietrze. Śnieg wciąż jeszcze padał, było tak cicho, że gdy wstrzymała na chwilę oddech, usłyszała grzmiący pomruk oceanu, od którego dzieliły ją tylko dwie przecznice.

Niedługo potem do pokoiku zajrzał Kevin.

– Wszystko w porządku, Olivio?

Odwróciła się od okna, usiadła za biurkiem.

– W porządku. Co z jej rodziną?

Kevin przestąpił próg.

– Ojciec i syn weszli do sali, żeby ją zobaczyć. – Usiadł naprzeciwko niej. – Córka nie chciała. Chyba dadzą sobie radę. To całkiem mocna rodzina. Co prawda jej osią była matka, więc trudno powiedzieć, jak to będzie. – Potrząsnął głową. – Życie czasem jest do dupy, co?

– Owszem.

– Coś mi się wydaje, że nie najlepiej to zniosłaś – zauważył.

Olivia poczuła nagle, jak łza toczy się jej po policzku. Kevin wyciągnął

chusteczkę z pudełka stojącego na biurku i jej podał.

– Cramer to palant – mruknął.

– Nic mi nie jest. – Wyprostowała się na krześle, wytarła nos. – Zdarzyło ci się kiedyś tak pocieszać Jonathana albo Mike’a? Podawać im chusteczki?

Kevin uśmiechnął się.

– Myślisz, że kobiety mają monopol na deprechę?

Olivia przypomniała sobie ostatnie spojrzenie w oczy Aleca O’Neilla. Wiedziała, że to wspomnienie nie da jej spokoju przez długi czas.

– Nie, raczej nie – odpowiedziała. – Dzięki, że do mnie zajrzałeś, Kevin.

Było już po siódmej. Zmiana dawno dobiegła końca. Olivia mogła w każdej chwili wyjść z pracy. Wsiąść do samochodu i pojechać do domu nad cieśniną, żeby opowiedzieć Paulowi, co się stało, i po raz drugi tego wieczoru oglądać zrozpaczonego mężczyznę. Co takiego miała w sobie Annie O’Neill?

Opuściła głowę i przyjrzała się spoczywającej na kolanach dłoni. Kiedy obróciła ją wnętrzem do góry, wydało jej się, że wciąż jeszcze to czuje – życie, ciepło serca tamtej kobiety.

¹ Outer Banks (Ławice Zewnętrzne) – wąski pas półwyspów oraz wysp barierowych ciągnący się wzdłuż wybrzeży Karoliny Północnej i częściowo Wirginii. Ma długość ponad trzystu kilometrów i oddziela od wód Atlantyku trzy główne cieśniny: Currituck, Albemarle i Pamlico (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

Rozdział drugi

Za kwadrans ósma Paul Macelli wyłączył światelka na choince i wrócił do jadalni, usiadł przy stole, na którym stały dawno już wystygłe dania: pieczony indyk, słodkie ziemniaki i fasolka szparagowa. Na sosie pieczeniowym powstał kozuch; Paul przesunął po nim nożem, przyglądając się, jak srebrzystą powierzchnię metalu oblepia bladobrązowa maź. Świece czekały zapalone, w kieliszkach skrzyło się wino. Nikt nie powie, że się nie staram, pomyślał. A ta Olivia... Niech ją cholera. Tak, na każdym kroku dawała mu idealny powód do gniewu. Praca była dla niej ważniejsza niż małżeństwo. Nawet w świąteczny dzień nie mogła wyjść z pogotowia o czasie.

Obejrzał się na tonącą w ciemności choinkę. W tym roku pewnie w ogóle nie zawracałby sobie głowy czymś takim, ale Olivia przed tygodniem sama kupiła potężną sosnę himalajską i ustawiła ją pod oknem wychodzącym na cieśninę Roanoke. Powiesiła na niej ozdoby, które zgromadzili przez dziewięć lat małżeństwa, i oplotła sznurami maleńkich białych światełek. W zeszłym roku Paul stłukł kryształową gwiazdę, którą zawsze wieszali na czubku, i w szlachetnym porywie postanowił kupić coś nowego. Wiedział dokładnie, czego chce, wypatrzył to już dawno u Annie, w jej pracowni. Bardzo się cieszył, że będzie miał pretekst, aby jeszcze raz tam pojechać, zobaczyć się z nią w otoczeniu jej witraży i fotografii, tymczasem akurat tamtego poranka jej nie zastał i z wysiłkiem ukrywał rozczarowanie, kiedy Tom Nestor, artysta z włosami związanymi w kucyk, który dzielił z Annie pracownię, zawijał ozdobę w bibułę.

– Mam wyrzuty sumienia, że biorę od ciebie pieniądze – powiedział Paulowi. – Annie pewnie dałaby ci to za darmo.

Paul uśmiechnął się.

– Annie rozdałaby wszystko, co ma, gdyby tylko mogła – mruknął, a Tom odpowiedział uśmiechem, jakby obaj dzielili jakiś wspólny sekret, jakby właśnie im dwóm było dane poznać prawdziwą twarz Annie.

Przywiózł ozdobę do domu i powiesił na czubku choinki. Był to stylizowany witrażowy anioł w owalnej ramce, podświetlany zamontowaną z tyłu żarówką. Otulała go powłóczysta srebrnobiała szata, jak gdyby utkana z płynnego jedwabiu, znak rozpoznawczy Annie. Paul wiedział, że nigdy nie będzie w stanie pojąć, jakim cudem szkło w jej rękach przybiera taki kształt.

Gdy Olivia zobaczyła anioła, poblądła, a w jej oczach odbił się wyraz klęski.

– Może być? – zapytał.

– Oczywiście – odpowiedziała, siląc się na szczerość, co było autentycznie godne podziwu. – Jest przepiękny.

Usłyszał teraz, jak jej samochód wjeżdża do garażu znajdującego się dokładnie pod stołem w jadalni, i skrzywił się z niezadowoleniem. Silnik zakrztusił się i zgasł, a po chwili w drzwiach stanęła Olivia, zdejmując swój szary szalik. Zajrzała do jadalni i potrząsnęła mocno głową, jakby chciała zrzucić lepkie płatki śniegu ze swoich lśniących brązowych włosów.

– Cześć – powiedziała cicho, po czym zdjęła płaszcz i powiesiła go w szafie przy drzwiach wejściowych.

Paul osunął się na krzesło z nachmurzoną miną, milczący komentarz jej spóźnienia. W tym momencie nie miał o sobie najlepszego zdania.

– Może włączysz choinkę? – poprosiła Olivia i nie czekając na niego, dotknęła przycisku w ścianie. Anioł od Annie ożył w jednej chwili; wydawało się, że fałdy jego srebrzystej szaty falują pod szkłem. Nie doczekawszy się odpowiedzi, Olivia usiadła przy stole naprzeciwko Paula. Na kolana wskoczyła jej kotka Sylvie, ich piękny srebrzystoszary pers.

– Przepraszam, że jestem tak późno – powiedziała Olivia, odruchowo głaszcząc ją po grzbiecie. – Przywieźli ciężki przypadek, w ostatniej chwili.

– Wszystko wystygło.

Spojrzała na stół zastawiony jedzeniem, a potem na niego. Miała piękne oczy. Zielone, ocienione długimi rzęsami. Uderzający kontrast z białą cerą.

– Paul – powiedziała – ten przypadek... To była Annie O'Neill.

– Co? – Paul poderwał się, wyprężył jak struna. – Jak to?

– Ktoś strzelał w schronisku dla kobiet w Manteo, tam, gdzie pracowała społecznie.

– Co z nią? Wszystko w porządku?

Olivia potrząsnęła głową.

– Przykro mi, Paul. Ona zmarła.

Paul wstał z krzesła, tak gwałtownie, że aż się wzdrygnęła, a sztucce na stole zadzwoniły.

– To jakiś głupi żart? – zapytał, mimo iż dobrze wiedział, że Olivia nie ma usposobienia do żartów, ani głupich, ani mądrych.

– Kula przebiła serce – dodała.

Świetlisty anioł nad głową Olivii naśmiewał się z niego w żywe oczy.

– Proszę cię, powiedz, że to jest nieprawda. Proszę, Olivio.

– Przykro mi.

Była całkowicie spokojna. Wręcz wyluzowana. W tej chwili był gotów ją znienawidzić.

– Przepraszam. – Odwrócił się na pięcie i ruszył w stronę schodów prowadzących na piętro. Olivia szła tuż za nim. Po drodze wyciągnął z szafy na korytarzu walizkę, a po wejściu do sypialni cisnął ją na łóżko. Olivia stanęła w drzwiach i patrzyła, jak wyciąga ze swojej szafy uprasowane ubrania, po czym wrzuca je do walizki, nie zdejmując z wieszaków.

– Co robisz? – zapytała.

– Muszę stąd zniknąć. – Jej głos, jej obecność były dla niego niczym sidła. Wiedział, że ona nigdy nie zrozumie, o co chodzi.

– Paul. – Olivia zrobiła jeden krok w jego stronę, ale zrezygnowała, cofnęła się z powrotem do drzwi i kurczowo zacisnęła palce na futrynie. – Paul, to bez sensu. Ledwie ją znałeś. Podkochiwałeś się w niej. Sam tak mówiłeś, dokładnie tymi słowami, pamiętasz? Powiedziałeś, że to bez wzajemności, bo ona ma męża i jest z nim szczęśliwa. Rozmawiałam z nim dzisiaj. Musiałam mu powiedzieć...

– Zamknij się. – Paul obejrzał się na nią, przygarbiony, a gdy się cofnęła i wyszła na korytarz, zrozumiał, że ją przestraszył. On sam też się bał. To był zupełnie inny Paul Macelli, człowiek, którego znał już trzydzieści dziewięć lat, zniknął.

Olivia kurczowo zacisnęła dłonie i obracała palcami wysadzaną brylancikami obrączkę na serdecznym palcu lewej ręki.

– Możesz o niej mówić, jeśli chcesz – powiedziała cicho. – Powiedziałam, że nie chcę tego słuchać, ale teraz to co innego. Wysłucham cię, tylko nie wychodź, proszę. Proszę cię, Paul. – Słyszając, jak łamie jej się głos, Paul skrzywił usta. Najchętniej zasłoniłby uszy, żeby się od niej odciąć.

Zabrał z łazienki swoją szczoteczkę do zębów, maszynkę do golenia, etui na okulary i cofnąwszy się z powrotem do sypialni, wrzucił wszystko do pełnej

walizki. Zapiął suwak, po czym spojrzał na Olivię. Usta i policzki wciąż miała zaczerwienione od chłodu, a oczy zamglone przez łzy, których nie miał ochoty oglądać. Za jej plecami, na korytarzu, majaczyło rozmyte światło choinki stojącej na parterze.

– Przykro mi, Olivio. – Minał ją najszybciej, jak tylko mógł, a na schodach umyślnie stawiał głośnie, dudniące kroki, żeby nie słyszeć jej płaczu – gdyby się rozpłakała.

Zazwyczaj uważny, pędził jak wariat. Na szerokiej, wielokilometrowej autostradzie biegnącej wzdłuż Outer Banks ruch był niewielki, a wszystkie samochody toczyły się powoli, bo nawierzchnia była śliska, ale Paul wcisnął gaz do dechy, nie zwracając uwagi, że szara honda raz po raz traci przyczepność. Nawet kiedy przejeżdżał obok pracowni Annie w Kill Devil Hills, nie zwolnił, obejrzał się tylko. Czasami w środku do późna paliło się światło, a witraże we frontowych oknach migotały feerią żywych barw, ale tej nocy szklane ściany były czarne i nieprzejrzyste jak łupkowe płyty.

Śnieg sypał bezszelestnie w przednią szybę auta, a Paul niemalże przegapił zakręt prowadzący na parking przed budynkiem „Beach Gazette”. Stał na nim jeden samochód, niebieskie kombi. Paul nie był zdziwiony, Gabe Forrester, autor kroniki policyjnej, dotarł już do redakcji; prawdopodobnie nie posiadał się z zachwytu, że trafiło mu się coś mocnego na przegnanie prowincjonalnej nudy.

Nie zajrzawszy nawet do swojego gabinetu, Paul zapukał do drzwi kolegi. Gabe właśnie odkładał słuchawkę.

– Macelli! – zawołał. – Wyglądasz jak siedem nieszczęść. Co tu robisz po nocy?

– Słyszałem o zabójstwie w Manteo i pomyślałem, że przyda ci się pomoc. Można zrobić reportaż o tej kobiecie. – Mówiąc to, był spięty, bo miał nadzieję, że Gabe zdziwi się i zapyta, o co chodzi. Może jednak Olivia wszystko zmyśliła.

– I to duży! – Gabe odchylił się na oparcie fotela; na jego szerokiej, kwadratowej twarzy malował się wyraz powagi. – Annie O’Neill... Mieszkaś tutaj od niedawna, więc pewnie jej nie znałeś?

– Napisałem o niej artykuł do „Seascape”.

– A, no tak. W takim razie chyba nadajesz się idealnie do tego reportażu. – Potrząsnął głową ze smutnym uśmiechem. – Trzeba przyznać, że to była wyjątkowa osoba. Muszę zadzwonić do żony i powiedzieć jej o tym, a jakoś

nie mogę się zebrać. To będzie dopiero pogrzeb... Tutaj rzadko widuje się takie.

Gabe odwrócił głowę i wyrzał przez okno. Śnieg powoli ustawał, płatki lśniły w blasku latarni niczym drobinki brokatu.

– Nie wiem, jak powiem o tym moim dzieciakom – mruknął pod nosem. – W zeszłym roku Annie prowadziła drużynę softballową, w której gra Jane, a kiedyś była zastępową Jimmy’ego. Postrzelona babka. Dobre serce, ale trochę narwana. – Zacisnął swoje wąskie wargi, położył dłonie płasko na blacie biurka. – Biedny Alec. Poznałeś jej męża? Jest weterynarzem, pracuje w Kill Devil Hills.

Paul potrząsnął przecząco głową i usiadł naprzeciwko Gabe’a, bo czuł, że miękną mu kolana. Oparł ręce na kolanach.

– Jak to się stało? – zapytał.

Gabe westchnął.

– Wydawała posiłki w schronisku dla kobiet doświadczających przemocy w Manteo. Nagle wpadł ten facet, jak mu tam... – Podniósł z biurka notes, sprawdził nazwisko. – Zachary Pointer. Zaczął grozić swojej żonie. Miał broń i trzymał ją na muszce. Powiedział, że są święta, że nie wolno jej w taki dzień zabierać mu dzieci i tak dalej, i tak dalej. Annie stanęła między nimi, żeby bronić tej kobiety. Próbowwała z nim rozmawiać, przekonać go, a ten skurwieli strzelił. Taka była Annie. A tu szast-prast i po wszystkim. – Gabe pstryknął palcami. – Pointera aresztowali. Oby skończył na krześle elektrycznym.

Paul miał na sobie płaszcz, a mimo to po plecach przebiegł mu lodowaty dreszcz. Musiał się bardzo starać, aby zachować spokój i nie dać po sobie niczego poznać.

– Wezmę się do pisania – powiedział, wstając. W drzwiach odwrócił się jeszcze. – Będiesz... Porozmawiasz z rodziną?

– Taki miałem zamiar. Chcesz sam to zrobić?

– Nie, nie. Upewniam się tylko, żebyśmy nie zadzwonili do nich obaj. Po co mają dwa razy przez to przechodzić.

Wiedział, że za nic w świecie nie zdoła zmusić się do rozmowy z Alekiem O’Neillem. Nigdy nie chciał poznać mężczyzny, z którym Annie spędzała każdą noc, ale kilka razy go spotkał. Ostatni raz w pracowni Annie. Alec wpadł zamienić słowo z żoną, a Paul udawał, że ogląda z zainteresowaniem jeden z witraży. Elementem kompozycji było lustro, więc mógł obserwować ich razem: stali tyłem do niego, pochylili głowy ku sobie i rozmawiali

ściszonymi głosami. Zanim Alec zebrał się do wyjścia, Annie przesunęła dłonią po tylnej kieszeni jego dżinsów, a on pocałował ją w skroń. Paul zamknął oczy, starając się wyrzucić z pamięci tę intymną scenę. Nie, rozmowa z Alekiem O’Neillem nie wchodziła w grę.

Po drodze zajrzał do archiwum i wyjął z szafki grubą teczkę z materiałami na temat Annie. Wiedział, co tam jest, bo przeglądał ją wiele razy, gdy pisał artykuł na zlecenie magazynu „Seascape”. Zabrał teczkę do swojego gabinetu i usiadł za biurkiem, nie zdejmując nawet płaszcza.

Artykułów były dziesiątki. Annie – społeczniczka. Annie – witrażystka. Fotografka. Przewodnicząca Ligi Ochrony Zwierząt. W wielu artykułach nazywano ją „świętą Anną”. Gdy słyszała ten przydomek, zawsze się śmiała. Chronologicznie pierwsza wzmianka o niej – papier pożółkł ze starości – pochodziła z tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego piątego roku. „Artystka broni latarniczki przed eksmisją”, brzmiał tytuł. Ach, tak. Tamto wydarzenie przyniosło Annie rozgłos w regionie Outer Banks. Paul rozłożył gazetę na biurku i przebiegł wzrokiem tekst. W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym piątym roku Zarząd Parków Narodowych zamierzał przejąć nadzór nad latarnią morską w miejscowości Kiss River. Połowa pomieszczeń w domu latarnika miała służyć jako siedziba zarządu, drugą połowę planowano przekształcić w muzeum dla turystów. Annie poznała osobiście latarniczkę, starą Mary Poor, która miała wtedy ponad siedemdziesiąt lat i spędziła w tym domu prawie całe życie. Uznała, że nakaz eksmisji to straszliwa niesprawiedliwość. Nagłośniła sprawę, zdobyła dla Mary poparcie opinii publicznej i zarząd ustąpił: starsza pani zachowała połowę dużego domu latarnika dla siebie.

W artykule zamieszczono zdjęcie Annie, na jego widok Paul poczuł bolesny ucisk w piersi. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w fotografię skupionym wzrokiem, a potem zacisnął powieki. „Podkochiwałeś się w niej”. Idź do diabła, Olivio.

Redaktor naczelny „Beach Gazette” powiedział mu kiedyś, że jego styl pisania jest „nadmiernie emocjonalny”. Podobne uwagi słyszał, gdy pracował wiele lat w „Washington Post”. Jak uniknąć emocji w reportażu o Annie – nie miał pojęcia.

– Ty nawet w epidemii grypy doszukasz się romantyzmu – powiedział mu kiedyś naczelny waszyngtońskiego dziennika. – Za drzwiami swojego gabinetu musisz zapomnieć, że jesteś poetą.

Przez kolejną godzinę Paul układał konspekt artykułu o Annie, a potem sporządził listę osób, z którymi zamierzał porozmawiać rano. Rzecz jasna, z Tomem Nestorem oraz kierownikiem schroniska dla kobiet w Manteo. Zanotował też kilka innych nazwisk. Nie spieszył się, miał czas. Gazeta ukazywała się tylko trzy razy w tygodniu. Nowy numer trafi do sprzedaży dopiero za dwa dni.

Wyszedł z redakcji i wsiadł do samochodu. Leżąca na tylnym siedzeniu walizka drwiła z niego w najlepsze: „No, Paul, dokąd teraz jedziemy, co?”. Znał kilka miejsc, gdzie mógł wynająć pokój, ale z tym nie było pośpiechu. Wyjechał znów na Croatan Highway i skierował się na północ, aby kilka kilometrów dalej zjechać na parking w pobliżu Jockey’s Ridge. Tam wysiadł i ruszył po piasku w kierunku potężnych wydmy. Śnieg dawno przestał padać, a niebo było teraz bezchmurne i skrzyło się od gwiazd. Wydmy otoczyły go ze wszystkich stron, niesamowite niczym krajobraz księżycowy. Delektował się samotnością i ciszą, którą zakłócał jedynie jego ciężki oddech. Maszerował pod górę zboczem największej, przyprószonej śniegiem wydmy, wymachując rękami, aby się rozgrzać. Para z ust osiadała mu na okularach, więc je zdjął i szedł dalej bez nich.

Gdy dotarł na szczyt, mięśnie ud miał już całkiem zeszywniałe. Wsunął okulary z powrotem na nos i obrócił się twarzą ku północy. Przejmujący, zimny wiatr kasał go w policzki ziarenkami piasku. Nie wziął rękawiczek, więc wbił dłonie głęboko w kieszenie płaszcza. W tym miejscu miał wszystko pod sobą. Omiótł wzrokiem horyzont i wyczekiwał.

Tak. Tam. Świetlny punkcik. Gdy zniknął, Paul zaczął liczyć. Je-de-na-ście, dwa-na-ście, trzy-na-ście, czter-na-ście. I znów się pojawił. To była latarnia w Kiss River. Patrzył, jak odległe światło zapala się i gaśnie we własnym sennym, hipnotyzującym rytmie. Czyste, białe światło. Podczas jednego z wywiadów Annie powiedziała mu, że czyste, bezbarwne szkło nie ma dla niej najmniejszego sensu.

– To jak życie bez miłości – stwierdziła i wyznała, że marzy jej się wstawienie witraży w okna latarni w Kiss River. – Byłyby na nich kobiety – fantazjowała. – W długich, powłóczyстых szatach. Róże i fiolety. I błękit lodu.

O tym nie wspomniał w artykule do „Seascape”. Wiele rzeczy, które od niej wtedy usłyszał, zachował tylko dla siebie.

Powiew zimnego wiatru wdarł się pod jego płaszcz, smagnął po oczach

szczypiącym chłodem.

Annie.

Podkochiwałeś się w niej.

Bez wzajemności.

Paul usiadł na przemarzniętym piasku, objął rękami głowę i wreszcie dał upust łzom, oplakując to, co utracił, a czego właściwie nigdy nie miał.

Rozdział trzeci

Czerwiec 1991

Tak się złożyło, że pierwsze wspomnienie Aleca O’Neilla o Annie było jednocześnie jego ulubionym. Stał wtedy na tej samej plaży, w tym samym miejscu co teraz, noc była tak samo bezgwiezdna, a powietrze czarne i lepkie jak smoła. Wysoko ponad jego głową płonęło światło latarni morskiej: jeden długi rozbłysk co cztery i pół sekundy. Dla kogoś stojącego w ciemności czas pomiędzy nimi dłużył się w nieskończoność. Nagle w jednym z tych rozbłysków ukazała się Alecowi sylwetka młodej kobiety. Z początku pomyślał, że to wyobraźnia płata mu figle. Coś się robiło człowiekowi z głową, kiedy tak stał całkiem sam w tym miejscu i czekał, aż piasek zapłonie, gdy przemknie po nim promień światła. Ale ta kobieta nie była przywidzeniem. Kolejny rozbłysk ukazał jej długie, rozwiane dziko rude włosy i żółty plecak na prawym ramieniu. Była na oko rok albo dwa młodsza od niego, czyli mogła mieć około dwudziestu lat. Podeszła i zaczęła mówić, a on stał zauroczony. Powiedziała, że nazywa się Annie Chase; zaskoczyło go chropawe brzmienie jej głosu. Podróżowała autostopem wzdłuż wybrzeża, od Massachusetts aż na Florydę, przez cały czas w pobliżu wody. Chciała dotknąć oceanu w każdym stanie po kolei. Poczuć na własnej skórze, że im dalej na południe, tym woda robi się coraz cieplejsza. Alec słuchał, zaintrygowany. Nie mógł dobyć głosu z gardła. Gdy latarnia rozbłysła ponownie, zobaczył, jak dziewczyna wyjmuje z plecaka meksykańskie serape i rozkłada je na ziemi.

– Już tyle dni się z nikim nie kochałam – powiedziała i wzięła go po ciemku za rękę. Dał się pociągnąć w dół i usiadł na kocu, ale gdy sięgnęła do guzika jego spodni, musiał pokonać nagły przyptyw pruderyjnego wstydu. Ale cóż, w końcu był rok tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty pierwszy, on miał dwadzieścia dwa lata, a swój pierwszy raz przeżył pięć lat wcześniej.

Z drugiej strony miał jednak do czynienia z całkiem obcą osobą.

Był pod tak ogromnym urokiem jej ciała, że ledwie mógł skupić się na własnych zmysłach. Latarnia morska ukazywała mu dziewczynę w irytująco krótkich przebłyskach co cztery i pół sekundy. Ten czas wypełniała smolista ciemność, w której, gdyby nie dotyk, przez myśl by mu nie przeszło, że ma ją przy sobie. Te pulsujące błysnięcia wytrącały ich z rytmu; najpierw chichotali, rozbawieni, a potem zaczęli jęczeć z wysiłku, starając się dopasować tempem, on do niej, ona do niego.

Zabrał ją ze sobą do domu letniskowego, który wynajmował na spółkę z trzema znajomymi z politechniki Virginia Tech. Wszyscy byli świeżo upieczonymi absolwentami i przyjechali tutaj na lato do pracy, przed podjęciem studiów podyplomowych. Zatrudniła ich firma budowlana z regionu Outer Banks i już od kilku tygodni malowali latarnię morską w Kiss River, a także zajmowali się drobnymi naprawami w starym domu latarnika. Wieczory zazwyczaj upływały im na picciu bez szczególnego umiaru i poszukiwaniu kobiet, lecz tego dnia wszyscy czterej spędzili go razem z Annie, w małym zapiaszczonym salonie, jedząc granaty, które wyjęła ze swojego plecaka, i grając w gry, które wymyślała, zdawało się, na poczekaniu.

– Dokończ zdanie. – Jej obco brzmiący bostoński akcent w jednej chwili przykuł ich uwagę. – Mój największy skarb to... – Zawiesiła głos, spoglądając zachęcająco na Rogera Tuckera.

– Moja deska do surfingu – odparł, zgodnie z prawdą.

– Mój harley – zawtórował Rogerowi jego brat Jim.

– Mój kutas – zarechotał Bill Larkin.

Annie przewróciła oczami z udawanym oburzeniem i obejrzała się na Aleca.

– Mój największy skarb to...

– Ten wieczór – odpowiedział.

– Ten wieczór – przytaknęła z uśmiechem.

Alec patrzył, jak wyłuskuje nasionko granatu i wsuwa je do ust. Drugie położyła sobie na dłoni i tak właśnie jadła przez całą grę i następne: jedno w ustach, drugie w dłoni. W końcu miała pełną garść soczystych, czerwonych nasionek. Gdy w łupinie owocu, leżącej na jej talerzu, nie pozostało już ani jedno, uniosła dłoń do światła i przyglądała im się tak zachwyconym wzrokiem, jak gdyby podziwiała rubiny.

Alec nie posiadał się ze zdumienia, że jego kumple siedzą absolutnie trzeźwi i grzecznie się bawią, ale potrafił to zrozumieć. Byli pod jej urokiem.

W jednej chwili Annie stała się rozpalonym do czerwoności sercem tego domku. I centrum całego wszechświata.

- Potrzebuję... – zaczęła kolejne zdanie.
- Kobiety – jęknął Roger.
- Piwa – zawtórował mu Jim.
- Seksu. – Bill był dość przewidywalny w swoich priorytetach.
- Ciebie – powiedział Alec ku własnemu zaskoczeniu.

Annie wyjęła z dłoni krwistoczerwony rubin i pochyliła się, aby wsunąć mu go do ust.

– Potrzebuję, żeby mnie przytulać – wygłosiła swoją wersję zdania, a w jej oczach błysnęło pytanie. Czy potrafisz temu sprostać?, pytały te oczy. Bo taką potrzebę należy traktować poważnie.

Przekonał się o tym później, kiedy leżeli razem w jego łóżku. Wtulała się w niego tak mocno, jakby wciąż był zbyt daleko.

- Mogłabym pokochać faceta bez nóg, bez mózgu i bez serca – powiedziała.
- Ale ręce musi mieć.

Zamieszkali razem. Annie porzuciła swój plan podróży autostopem po wybrzeżu. Zachowywała się tak, jak gdyby w jego osobie odnalazła to, czego szukała, głęboko przekonana, że pozostaną razem już na zawsze – to było dla niej tak oczywiste, że nie wymagało żadnego tłumaczenia. Zachwyciło ją, że Alec studiuje weterynarię, i zносиła mu zranione zwierzęta, żeby je wyleczył. Mewy ze złamanymi skrzydłami, niedożywione koty z ropniami na łapach albo poszarpanymi uszami. Przez tydzień potrafiła napotkać tyle potrzebujących opieki zwierzątek, co przeciętny człowiek przez całe życie. Nie szukała ich, raczej one znajdowały ją. Dopiero później Alec zrozumiał, że ciągnął swój do swego. Była taka jak one. Tak samo poharatana, chociaż nie fizycznie. Fizycznie była nietknięta. Jej rany kryły się głębiej, a zanim lato dobiegło końca, Alec zdał sobie sprawę, że Annie obarczyła go zadaniem: miał ją wyleczyć.

Stał więc, tak jak wtedy, zanurzony w gęstym, czarnym mroku i odliczał z napięciem sekundy pomiędzy rozbłyskami światła latarni morskiej. Od tamtego pierwszego wieczoru minęło dwadzieścia lat. Dwadzieścia pięknych lat zmieściło się pomiędzy pierwszym wieczorem a ostatnim. Wieczorem Bożego Narodzenia, nieco ponad pięć miesięcy temu. Wciąż przyjeżdżał tutaj wieczorami, trzy, może cztery razy w tygodniu. Dlaczego? Bo to miejsce, jak żadne inne, przypominało mu o Annie. Czy potrafił odnaleźć tu

spokój? Niekoniecznie. Po prostu czuł się tutaj blisko niej. Tak blisko, jak to tylko możliwe.

Nagle za plecami usłyszał szelest. Alec odwrócił głowę, nasłuchując. Może to dziki mustang, jakich wiele błąka się w Kiss River? Nie. Wyraźny odgłos miarowych kroków: ktoś zbliżał się od strony drogi, przez pole gęstych nadmorskich traw. Alec patrzył uważnie w tamtą stronę, czekając na światło.

– Tato?

Promień latarni wyłowił z mroku czarne włosy i czerwoną koszulkę jego syna Clay. „Pewnie przyjechał za mną”, domyślił się Alec. Chłopak wyszedł na piasek i stanął obok ojca. Miał siedemnaście lat i w zeszłym roku dorównał mu wzrostem. Alec wciąż jeszcze nie mógł się przyzwyczaić, że gdy patrzy mu w oczy, nie musi pochylać głowy.

– Co tutaj robisz? – zapytał Clay.

– Przyglądam się, jak świeci latarnia.

Chłopak nic nie powiedział. Odezwał się, dopiero gdy światło błysnęło raz, a potem drugi.

– To tutaj jeździsz wieczorami? – zapytał ściszym głosem. Oboje, on i Lacey, rozmawiali z ojcem takim właśnie tonem.

– To miejsce przypomina mi o mamie – odparł Alec.

Clay milczał jeszcze przez chwilę.

– Wróć już do domu – poprosił. – Wypożyczymy sobie film albo coś.

Była sobota. Za dwa tygodnie Clay kończył szkołę średnią. Z całą pewnością miał wieczorem lepsze rzeczy do roboty, niż siedzieć z ojcem i oglądać filmy. Gdy znów rozbłysło światło, wydawało mu się, że w błękitnych oczach syna dostrzegł strach. Położył mu dłoń na ramieniu.

– Nic mi nie jest, Clay. Idź już. Pewnie masz na dzisiaj jakieś plany.

– W takim razie będę u Terri – odparł chłopak z ociąganiem.

– W porządku.

Clay oddalił się, a Alec nasłuchiwał jego kroków wśród traw, dopóki nie umilkły, zagłuszone przez fale bijące o brzeg. Wtedy usiadł na piasku, oparł łokcie na zgiętych kolanach i zapatrzył się w małą plamkę żółtego światła na czarnym horyzoncie.

– Pamiętasz, Annie, jak kiedyś widzieliśmy pożar na statku? – powiedział na głos, chociaż cicho, szeptem. To było tak dawno – dziesięć lat temu, a może więcej. Siedzieli na plaży, dokładnie w tym miejscu i najprawdopodobniej właśnie skończyli się kochać albo mieli akurat zacząć, kiedy nagle na

horyzoncie zapłonęła kula złocistego światła, strzelając w niebo żółtymi mackami i rozlewając się po wodzie migotliwymi falami płynnego złota. Dom latarnika był zamknięty na cztery spusty, w oknach ciemno – Mary Poor poszła już spać, więc Alec wrócił do samochodu i wyjechał na drogę, żeby wezwać Straż Wybrzeża z budki telefonicznej. Dowiedział się, że już są na miejscu. Wszyscy pasażerowie opuścili pokład i byli bezpieczni. Kiedy jednak wrócił do Annie, zastał ją tonącą we łzach. Zdążyła wymyślić sobie własną wersję wydarzeń: na pokładzie były dzieci i starsi ludzie, zbyt słabi, aby mogli się uratować. Alec zapewnił ją, że wszystkich uratowano, w nadziei, że ją pocieszy, ale sporo czasu upłynęło, zanim zapomniała o swojej katastroficznej wizji. Patrzyli potem, jak ogień się dopala, aż pozostał po nim tylko słup czarnego dymu na tle nocnego nieba.

Kochali się na tej plaży jeszcze w zeszłym roku. Po zmierzchu park krajobrazowy był zamknięty, ale im jakoś nigdy nie przyszło do głowy, że łańcuch w poprzek drogi zabrania wstępu także im. Nikt im nigdy nie przeszkodził, ani razu, chociaż jeszcze dwa lata temu mieli świadomość, że Mary śpi w pobliżu.

Kąpali się też nocą, jeśli woda była spokojna. Alec zawsze pierwszy wracał na brzeg, bo lubił patrzeć, jak Annie wynurza się z czarnej wody; w rozbłyskach jaskrawego białego światła wyglądała jak migocząca zjawą. Jej włosy, pociemniałe od wody i poskromione jej ciężarem, oblepiały ramiona i piersi lśniąca powłoką. Pewnego razu, w zeszłym roku, stanęła w wodzie, wykręcała ociekające włosy i uniosła wzrok, spoglądając na światło latarni. Rzuciła wtedy jakąś uwagę: że zarówno ci na ładzie, jak ci na morzu, znajdują w niej oparcie.

– To punkt odniesienia – powiedziała. – Zapewnia bezpieczeństwo, a jednocześnie pomaga obrać kierunek.

Alec poczuł wtedy, że coś ściska go za gardło, jakby nagle odkryła się przed nim przyszłość i ukazała mu to, co utraci. Myślał, że to będzie latarnia. Nie wiedział, że utraci Annie.

Ta latarnia morska była jedyną rzeczą, przez którą dochodziło pomiędzy nimi do prawdziwych napięć. Stała tuż nad wodą, inaczej niż jej sąsiadki, latarnia z plaży Currituck na północy i latarnia z wyspy Bodie na południu, które wybudowano w głębi lądu, gdzie nic im nie zagrażało. W Kiss River ocean każdego roku podkradał się coraz bliżej fundamentów. Alec włączył się w desperacką batalię o uratowanie latarni, natomiast Annie nie chciała mieć

z tym nic wspólnego.

– Skoro już czas, aby morze ją zabrało, pozwólmy jej odejść – mówiła, a Alec za każdym razem, kiedy słyszał te słowa, wyobrażał sobie, jak smukła, biała, ceglana wieża pogrąża się w odmętach oceanu, i nie posiadał się ze smutku.

Zamknął oczy w oczekiwaniu, aż kolejny rozbłysk przeszyje jego powieki czerwienią. Kto spędził wystarczająco dużo czasu w towarzystwie latarni, czuł, jak spada mu puls, który zrównuje się niemalże z rytmem świetlnych sygnałów, aż w końcu miało się wrażenie, że serce całkiem przestało bić.

Rozdział czwarty

Annie Chase O'Neill stała się obsesją Olivii. Z czasem było tylko coraz gorzej, aż wreszcie, akurat w momencie, gdy Paul i młody chłopak zatrudniony do pomocy wynosili pudła i meble do furgonetki przewozowej, Olivia poczuła, jak ta obsesja się krystalizuje.

Wolałaby nie być w domu, kiedy Paul zabierał swoje rzeczy. Nie spodziewała się, że zrobi to tak szybko, tak nagle, a on tymczasem zadzwonił rano, poinformował ją, że wynajął furgonetkę, i zapytał, czy może przyjechać. Zgodziła się, bo chciała go zobaczyć. Każda okazja ku temu była dobra, chociaż każde spotkanie pozostawiało głębokie rany. Upłynęło już ponad pięć miesięcy, odkąd się wyprowadził, a ona wciąż cierpiała. Nawet teraz, kiedy Paul spotkał się z doradcą prawnym i podpisał długoterminową umowę wynajmu domu w South Nags Head, Olivia wciąż się łudziła, że kiedy dobrze się jej przyjrzy, zrozumie swój błąd.

Paul stanął w łukowatym przejściu prowadzącym z salonu do jadalni i wyciągnął z kieszeni jasnych szortów chusteczkę, aby otrzeć sobie czoło.

– Na pewno mogę zabrać meble z jadalni? – zapytał.

Podczas pracy, która trwała już dobrą godzinę, zdjął koszulkę. Jego skóra lśniła, wilgotne jasne włosy miał zaczesane do tyłu, a w szklach okularów odbijały się jasne okna. Oliwię zalała fala bezcelowego pożądania, więc szybko oderwała oczy od Paula i błędziła wzrokiem po jadalni za jego plecami.

– To twoje meble – odparła, zakładając palcem stronę w czasopiśmie, które czytała. – Od lat były w twojej rodzinie.

– Ale wiem, że bardzo je lubisz.

Ma jednak wyrzuty sumienia, pomyślała.

– Niech pozostaną w twojej rodzinie.

Paul zmierzył ją długim spojrzeniem.

– Przepraszam cię, Liv.

Przez tych ostatnich kilka miesięcy słyszała od niego te słowa już tyle razy, że brzmiały dla niej pusto. Patrzyła obojętnie, jak odstawia od stołu dwa krzesła i wynosi je z jadalni.

Siedziała na kanapie jak przyklejona, bojąc się patrzeć, czego ubyło. Postanowiła poczekać, aż Paul i jego pomocnik sobie pójdą, i dopiero wtedy zrobić obchód domu. Bez pośpiechu. Tak będzie najlepiej, pomyślała. Może wreszcie to do mnie dotrze. Może pozbędę się tej nadziei.

Kiedy Paul wrócił do jadalni, stanęła w przejściu i przyglądała się, jak razem z tamtym chłopakiem odwracają stół nogami do góry, aby je odkręcić. Po wyjęciu ostatniej śruby Paul wyprostował się i spojrzał na Olivię. Poprawił swoje okulary w szerokich, złotych oprawkach i posłał jej szybki uśmiech, który nie znaczył absolutnie nic. To był tylko nerwowy skurcz mięśni. Paul nadal miał w sobie ten urok odrobinę nieporadnego studenta, który zwrócił jej uwagę przed dziesięcioma laty, kiedy była rezydentką w Washington General, a on reporterem „Washington Post”. Pomyślała sobie teraz: mogłabym odmienić to wszystko w jednej chwili. Kilka słów i wróciłby do mnie. Puściła wodze fantazji: na jej wyznanie „Jestem w ciąży” on upuszcza nogę od stołu i robi wielkie oczy. „Mój Boże, Liv, dlaczego mi nie powiedziałaś?”, pyta. Może otrząsnąłby się z tego szaleńczego zamroczenia, w którym ugrzązł na tyle miesięcy. Ale Olivia milczała, bo nie chciała, żeby sprowadził się z powrotem z powodu dziecka. Jeśli miał do niej wrócić, to tylko dlatego, że wciąż ją kocha. Nic innego nie wchodziło w grę.

Nalała sobie szklankę napoju imbirowego i usiadła z powrotem na kanapie, a Paul i jego pomocnik wynieśli stół do furgonetki. Po chwili z zewnątrz, przez otwarte drzwi wejściowe, dobiegł ją głos męża, mówił chłopakowi, że może iść na obiad.

– Widzimy się w nowym domu o drugiej – powiedział, po czym wrócił do środka, aby obejść powoli kuchnię, gabinet i pokoje, sprawdzić, czy nie zostało coś jeszcze, co mógłby zabrać Olivii. Kiedy skończył, przyszedł do salonu i usiadł przed nią w rattanowym fotelu. W dłoniach trzymał *Pojawienie*, tomik swoich wierszy, wydany przed kilkoma laty, oraz jeden egzemplarz *Katastrofy Eastern Spirit*, książki, którą napisali razem.

– Co słyhać? – zagadnął, kładąc je sobie na kolanach. – Jak się masz?

– Praca, praca, praca. – Upiła łyczek napoju.

– Czyli po staremu – mruknął Paul z przekąsem, który ją uraził, ale potem dodał już łagodniej: – W sumie to chyba dobrze. Dobrze, że masz się czym

zająć.

– Zgłosiłam się do pracy społecznej w schronisku dla kobiet w Manteo – oznajmiła Olivia, obserwując go uważnie. Twarz zmieniła mu się w jednej chwili. Policzki pobladły, a oczy za szklami okularów otworzyły się szeroko.

– Dlaczego? – zapytał z naciskiem, pochylając się do przodu.

– Żeby zrobić coś z czasem. – Wzruszyła ramionami. – Jeżdżę tam wieczorami dwa razy w tygodniu. Im naprawdę potrzebna jest pomoc. W takim miejscu infekcje szerzą się w zastraszającym tempie.

Z początku trudno jej było tam pracować. Wszyscy opowiadali o Annie, z takim samym zresztą nabożeństwem co Paul. Na ścianach wisiały jej fotografie, każde okno zdobiły jej witraże, zrozpaczone kobiety i niespokojne dzieci chodziły skąpane w kolorach.

– Tam jest ciężko, Liv – zauważył Paul.

Roześmiała się tylko.

– Zapomniałeś już, że pracowałam w Waszyngtonie?

– W takim miejscu nigdy nie wiadomo, co może się wydarzyć.

– Nie szkodzi.

Paul opadł na oparcie fotela i westchnął głęboko. Olivia wiedziała, że przez kilka ostatnich tygodni pisał o procesie Zachary’ego Pointera. Nie czytała jego artykułów. Nie chciała wiedzieć, jakimi słowami wspominał Annie O’Neill, nie chciała widzieć, jak się cieszył, kiedy Pointer dostał dożywocie.

– Posłuchaj – zaczął Paul. – Od dawna chciałem cię o coś zapytać. Tylko się nie wściekaj, dobrze? To znaczy, niezależnie od tego, co odpowiesz, nie będę miał ci niczego za złe. Wiem, że jesteś tylko człowiekiem.

I znów ten szybki, nerwowy uśmiech. Wziął do ręki *Pojawienie*, przekartkował tomik z roztargnieniem. Olivia czekała, aż zacznie mówić.

– Tamtego wieczoru, kiedy zorientowałam się, że przywieźli do was ranną Annie... – odezwał się wreszcie. – Czy to miało jakiś wpływ na to, jak się nią zajęłaś? Czy zrobiłaś dla niej to samo, co byś zrobiła dla jakiejś innej... – Urwał w pół słowa, bo zobaczył jej twarz i głos zamarł mu w gardle.

Olivia wstała z kanapy, ściskając w palcach swoją szklanekę.

– Ty gnoju – wycedziła.

Paul odłożył książki na stolik, podszedł i delikatnie wziął ją pod ramię.

– Przepraszam, Liv. To było nie na miejscu. Ja tylko... długo się nad tym zastanawiałem. Bo gdybym sam znalazł się w takiej sytuacji, nie wiem, czy umiałbym...

Olivia odtrąciła jego dłoń.

– Lepiej już idź.

Paul cofnął się do stolika, nie patrząc na nią i nie odzywając się już ani słowem, a ona przyglądała się, jak zbiera swoje rzeczy i wychodzi. Kiedy została sama, usiadła na kanapie i poczuła, że nie ma siły na wizytację domu. Czy mogła być mowa o pojednaniu, skoro on miał o niej takie zdanie? Ale czy ona sama, w gorszych chwilach, nie zadawała sobie tego samego pytania? Odpowiedź знаła jednak aż za dobrze: otóż tak, zrobiła wszystko, co tylko było w jej mocy, żeby uratować Annie O’Neill. To była najtrudniejsza próba w jej pracy zawodowej, z całą pewnością się nie oszczędzała, chociaż od samego początku zdawała sobie sprawę z ironii losu: życie kobiety, którą kochał jej mąż, spoczęło w jej dłoniach, i to dosłownie.

Paul nie ukrywał przed nią, że podkochuje się w Annie, i z początku dawało to Olivii poczucie bezpieczeństwa. Myślała, że skoro otwarcie przyznał się do swoich uczuć, ta kobieta nie może być dla niej zagrożeniem. Zaczęło się od dużego, kilkuzpaltowego artykułu o Annie, który Paul napisał dla magazynu „Seascape”. Opowiadał o niej z podziwem, który szybko nabrał zbyt pochlebnych tonów. Zachowywał się wręcz jak człowiek owładnięty obsesją. Zapewniał Olivię, że to uczucie bez wzajemności – że jest jej obojętny. Mimo to nie przestawał o niej mówić: wciąż tylko Annie i Annie. Olivia wysłuchiwała, jaka to Annie jest piękna, jak bezgranicznie oddana ludziom, jak czarująco ekstrawagancka, jaką ma niespożyta energia i talent. Słuchała, udając zainteresowanie i powtarzając sobie: to tylko chwilowe. To przejdzie. Tak się jednak nie stało, zaczęła więc ostrożnie i taktownie zwracać Paulowi uwagę, że troszeczkę przesadza. „Nie”, odparł. „Ty tego nie rozumiesz”.

* * *

Poczuła się naprawdę zagrożona dopiero wtedy, gdy Paul wspomniał, że Annie ma dwójkę dzieci. On sam miał piątkę rodzeństwa, a jego rodzina była zżyta. Bardzo chciał mieć własne dzieci, a wszystkie badania, które wykonali po wielu niepowodzeniach, wskazywały na to, że winna jest Olivia. Jesienią poddała się operacji, aby zwiększyć szanse zajścia w ciążę, ale było już za późno. Paul nawet w szpitalu, kiedy odwiedził ją po zabiegu, znów mówił o Annie, która kiedyś oddała szpik kostny do przeszczepu.

– Wyobrażasz sobie? – zapytał Olivię. – Poddać się operacji, żeby uratować życie zupełnie obcego człowieka?

– Tak, Paul, przekonałeś mnie – odparła, po raz pierwszy unosząc się gniewem. – Ona jest święta.

Od tamtej pory nie usłyszała od niego ani słowa na temat Annie O’Neill, co było jeszcze gorsze, ponieważ jego złowrogie milczenie było dowodem, że wciąż rozmyśla o tej kobiecie. W nocy spał niespokojnie. Tracił na wadze. Po śniadaniu zostawiał nietknięty talerz. W rozmowie gubił wątki, zapominał, gdzie położył portfel albo klucze do samochodu. W łóżku – kiedy podejmowali kolejne bezcelowe próby zajścia w ciążę – dotykał jej palcami suchymi niczym popiół i nawet w chwilach największego zbliżenia czuła, że dzieli ich przepaść, której nie umiała zasypać żadnymi słowami, żadnymi pieścizotami.

Zapytała go wprost, czy Annie jest jego kochanką. Zaprzeczył, ale nie krył żalu.

– Ona bezgranicznie uwielbia swojego męża, on jest dla niej na pierwszym miejscu – powiedział ponuro, dając Olivii jasno do zrozumienia, że sam nie traktuje już swojego małżeństwa w ten sposób. Było oczywiste, że o platonicznym charakterze jego znajomości z Annie O’Neill bynajmniej nie zadecydował on, lecz Annie.

Po jej śmierci i wyprowadzce z domu Paul wynajął mieszkanie w pobliżu swojej pracy. Napisał do Olivii długi list, w którym przeproszał ją wylewnie i wyjaśniał, że kompletnie się pogubił. Zdawał sobie sprawę – tak pisał – że nie może już nawet marzyć o Annie, ale to dzięki niej zrozumiał, czego mu brakowało w związku z Olivią. Przeczytanie tego listu zajęło nie więcej niż kilka minut; tyle wystarczyło, aby jej poczucie własnej wartości, budowane z trudem przez całe życie z najprzeróżniejszych resztek i odpadków, legło w gruzach.

Przez tych kilka miesięcy widywała go od czasu do czasu, kiedy przyjeżdżał do domu po jakieś rzeczy. Ubrania. Narzędzia. Komputer. Obserwowała jego dłonie, kiedy składał, dzwigał, pakował. Tęskniła za jego dotykiem – zaczęła chodzić na masaże tylko po to, żeby poczuć na skórze dotyk drugiego człowieka. Paul już nie rozmawiał z nią takim chłodnym tonem co dotychczas, a czasem też uśmiechał się na jej widok. Olivia karmiła się nadzieją, że za tym uśmiechem tli się jeszcze uczucie, które być może udałoby się podsycić, ale on nie dał jej takiej szansy. Nigdy nie został w domu dłużej, niż musiał,

z wyjątkiem jednego kwietniowego wieczoru, kiedy zniżyła się do błagania i wymogła na nim, żeby nie wychodził – tylko po to, aby później zobaczyć szczerzy żal w jego oczach i umierać z rozpaczy.

Co się stało z jej mężem, z człowiekiem, który kiedyś napisał dla niej cały tomik wierszy, pomógł jej zapomnieć o przeszłości i sprawił, że po raz pierwszy w życiu poczuła się bezpieczna? Który kochał się z nią tak, jakby ze wszystkich kobiet na całym świecie mógł pragnąć tylko jej, żadnej innej? Z tym mężczyzną, który nie znał jeszcze Annie O’Neill?

Chciała, żeby wrócił. Potrzebowała go.

Olivia stała w oknie salonu, który natrząsał się z niej świeżymi wyrwanymi domagającymi się wypełnienia, i patrzyła, jak furgonetka znika za wydumą. Kochałam się z Paulem setki razy, myślała. Dlaczego siły natury właśnie tej nocy sprawiły, że zaszłam w ciążę?

Nagle poczuła, jak jej depresja ustępuje miejsca determinacji. Zrozumiała, że ona sama jest jak ten pokój: musi wypełnić pustkę, którą w sobie nosi, a najlepiej wypełnić ją właśnie tym, co pociągało jej męża w Annie O’Neill. Najpierw jednak powinna dowiedzieć się, co to właściwie było – a po spontanicznej decyzji o podjęciu pracy w schronisku dla kobiet Olivia wiedziała już, że jest gotowa na wszystko, aby zrealizować swój cel. By stanąć w prawdzie przed sobą i przyznać, że obsesja Paula na punkcie Annie udzieliła się teraz także jej.

Rozdział piąty

Alec obudził się ze starą zieloną bluzą Annie pod głową. Sypianie z nią weszło mu w nawyk; za dnia myśl o tym wydawała mu się absurdalna, ale już wieczorem nie mógł się jej oprzeć. Był to znoszony łach, który Annie zarzucała na siebie, gdy wychodziła z domu wczesnym rankiem, żeby się przebiec. Po powrocie z pogotowia w Boże Narodzenie Alec znalazł ją na ich małżeńskim łóżku z baldachimem, po tej stronie, gdzie sypiała jego żona: bezkształtna plama zieleni na starej, wypłowiałej narzucie wyszywanej w splecione kółka. Przespał z nią całą noc; tak mógłby powiedzieć, gdyby zdołał choć zmrużyć oko.

Pozostałe ubrania Annie rozdał co do sztuki. Najpierw, co prawda, zapytał Lacey, czy chce je nosić, ale ona tylko się wzdrygnęła na samą myśl. Z zieloną bluzą nie umiał się jednak rozstać. Nie uprał jej ani razu, ale po tylu miesiącach utraciła już zapach Annie i przeszła jego własnym, lecz mimo to przynosiła mu pociechę.

Przed południem miał być na spotkaniu komitetu ochrony latarni morskiej w Kiss River, więc się ogolił, na chybcika, aby nie musieć długo patrzeć na swoją twarz w lustrze. Ostatnich kilka miesięcy odcisnęło na niej swoje piętno i nie był to miły widok.

Kiedy zszedł do kuchni, Clay i Lacey siedzieli już przy śniadaniu. Kłócili się, jak zwykle ostatnio, ale gdy się pojawił, zapadła cisza.

– Dzień dobry – powiedział Alec i nalał sobie kawy.

– Cześć, tato – przywitał się Clay, a Lacey tylko mruknęła coś pod nosem.

Trójsskok, ich owczarek niemiecki, przydreptał do stołu, kuśtykając rażno na trzech nogach. Alec pochylił się, żeby podrapać go za uszami.

– Zwierzęta nakarmione? – zapytał.

– Mmm – wymamrotała, co uznał za potwierdzenie.

Alec przyszykował sobie miskę otrąb z rodzynkami i zajął swoje miejsce przy stole, zabrawszy z blatu kuchennego plik fotografii. Przeglądał je podczas

jedzenia, podsuwając pod którąś z nielicznych plam czystego, białego światła wpadającego przez okna. Było ich tak niewiele, ponieważ Annie ozdobiła szyby swoimi witrażami, które malowały na białych szafkach i blatach zielono-niebiesko-czerwone refleksy.

Alec obejrzał uważnie zdjęcie, które zrobił u stóp latarni w Kiss River, gdy wycelował obiektyw w górę, aby złapać w kadrze czarną galerię z kutego żelaza. „Coraz dziwniejsze robią się te twoje zdjęcia”, powiedział mu Tom Nestor, kiedy Alec wpadł do dawnej pracowni Annie, żeby skorzystać z ciemni. Oparł fotografię o kubek z kawą i zanurzył łyżkę w misce.

– Tato? – zagadnęła Lacey.

– Hm? – odmruknął, obracając zdjęcie na bok, żeby zobaczyć je pod innym kątem.

– Dzisiaj przed południem zadzwoni do ciebie pani Green.

– A kto to jest pani Green? – Gdy tylko podniósł głowę, Lacey natychmiast wbiła wzrok w swoją miskę z płatkami. Dlaczego? – Lace, spójrz na mnie – upomniał córkę.

Widząc jej uniesione oczy, ciemnoniebieskie i olbrzymie jak u mamy, sam czuł pokusę, by uciec wzrokiem.

– Kto to jest pani Green? – powtórzył pytanie.

– Moja wychowawczyni ze szkoły.

Alec zmarszczył czoło.

– Masz jakieś kłopoty?

Zamiast odpowiedzieć, Lacey wzruszyła tylko ramionami i znowu spuściła wzrok, bawiąc się łyżką. Opuszki palców miała kwadratowe i pokancerowane. Paznokcie obgryzała od dziecka, ale nie aż tak mocno, do krwi.

– Czepia się mnie o stopnie – burknęła niechętnie.

Clay parsknął śmiechem.

– A co sobie myślałaś, O’Neill? Przez cały semestr nawet nie zajrzałaś do książek.

Alec uciszył syna, kładąc mu dłoń na ramieniu.

– Myślałem, że masz same piątki, Lace – przyznał.

– Nie w tym roku.

– Dlaczego wcześniej mi o tym nie powiedziałaś? Przecież starałbym się pomóc.

Znów tylko wzruszyła ramionami, co wyglądało tak, jakby jej szczupłe ciało

złapał jakiś skurcz.

– Nie chciałam zawracać ci głowy.

– Zawracać mi głowy – zachmurzył się Alec. – Lacey, przecież jesteś moją córką.

W tym momencie zadzwonił telefon wiszący na ścianie za jego plecami.

– To pewnie ona – powiedziała Lacey. Jej piegi odznaczały się teraz wyraźniej na pobladłej nagle twarzy.

– Masz przesrane, O’Neill – prychnął Clay, kiedy Alec wstawał od stołu, żeby odebrać telefon.

– Rozmawiam z doktorem O’Neillem? – Głos kobiety w słuchawce był oficjalny i beznamiętny.

– Tak.

– Mówi Janet Green, wychowawczyni Lacey.

Wyobraził ją sobie w mgnieniu oka: ciemne włosy ułożone lakierem, szminka w zbyt soczystym odcieniu różu, szeroki, nieszczerzy uśmiech. Osoba tak zimna i sztywna średnio nadaje się do pracy z młodzieżą.

– Lacey uprzedziła mnie, że pani zadzwoni – odparł Alec, dodając w myślach: „Czekała z tym do ostatniej chwili”. Patrzył na córkę, która grzebała łyżką w płatkach. Głowę miała zwieszoną, a jej długie rude włosy okalały miskę niczym dwie kotary.

– Mieszkam niedaleko – ciągnęła Janet Green. – Najchętniej odwiedziłabym pana dzisiaj po południu, żeby porozmawiać o Lacey. Nie musiałyby pan przyjeżdżać do szkoły.

Alec rozejrzał się dookoła. Obok zlewu piętrzył się stos brudnych naczyń z zeszłego wieczoru, pokrytych rozmazanymi plamami pomidorowego sosu. Na kuchence wciąż jeszcze stał garnek po spaghetti, z jedną długą nitką makaronu przylepioną na boku i skręconą w kształt pytajnika. Na kuchennych szafkach wałały się listy i stare gazety, a jego zdjęcia leżały rozrzucone dosłownie wszędzie.

– Porozmawiajmy przez telefon – zaproponował.

– No cóż, czy więc Lacey mówiła, dlaczego chcę się z panem widzieć?

– Podobno ma słabsze stopnie.

– Owszem. Niestety, ostatnio bardzo się opuściła w nauce. Ze wszystkich przedmiotów ma najwyżej trójkę, a z biologii i matematyki jest zagrożona.

– Zagrożona? – Alec łypnął w stronę Lacey, która na dźwięk tego słowa poderwała się jak porażona piorunem, chwyciła z blatu plecak z książkami,

zarzuciła go na ramię i wypadła za drzwi. – Lace! – zawołał za nią, przycisnąwszy słuchawkę do piersi, ale w kuchennym oknie mignęła mu tylko ruda czupryna, a Lacey była już na ulicy. – Wyszła – powiedział, przykładając słuchawkę z powrotem do ucha.

– Cóż, rozumiem, że się martwi. Jeśli chce zaliczyć ten rok, będzie musiała powtarzać biologię i matematykę na wakacyjnych kursach.

– Nie rozumiem. – Alec potrząsnął głową. – Zawsze była piątkową uczennicą. Dlaczego dopiero teraz się o tym dowiaduję? A co miała na ostatnim świadectwie? Chybabym zauważył, że tak się opuściła.

– Na ostatnim świadectwie miała same trójki.

Zmarszczył brwi.

– W takim razie nie pokazała mi go. To do niej niepodobne.

Nigdy nie widział trójki na świadectwie u żadnego ze swoich dzieci. Czwórki zresztą też nie.

– Pański syn radzi sobie dobrze pomimo śmierci matki, prawda? Podobno ma wygłosić mowę w imieniu swojego rocznika na zakończenie nauki w naszej szkole.

– Zgadza się. – Alec niespodziewanie poczuł się całkowicie wyczerpany, usiadł z powrotem przy stole. Gdyby nie spotkanie komitetu w sprawie latarni, wróciłby teraz do łóżka.

– A po wakacjach zaczyna studia na Uniwersytecie Duke’a?

– Tak – potwierdził, patrząc, jak Clay wstaje od stołu, bierze sobie brzoskwinie z miski pełnej owoców, macha ojcu na pożegnanie i wychodzi.

– Moim zdaniem Lacey martwi się, jak to będzie, kiedy brat wyjedzie i zostanie z panem sama w domu – oznajmiła Janet Green.

Alec znów zmarszczył brwi.

– Rozmawiała o tym z panią?

– Tak mi podpowiada przeczucie. Wiele wskazuje na to, że bardzo trudno było jej się pogodzić ze śmiercią matki.

– No... Cóż, skoro opuściła się w nauce... – Zagrożona! Lacey była zagrożona, a on nie miał o tym pojęcia. – Nie zauważyłem nic niepokojącego – dodał szybko.

Bo nie zwracałeś na nic uwagi, wyrzucał sobie. Przez kilka ostatnich miesięcy jego dzieci były zdane na siebie.

– Jest pan weterynarzem, zgadza się?

– Tak.

– Lacey mówiła, że obecnie pan nie pracuje.

Już chciał się odciąć, że to nie jej sprawa, ale ugryzł się w język, żeby nie przysparzać córce kłopotów.

– Mam urlop – wyjaśnił. Po śmierci Annie postanowił wziąć kilka tygodni, które zamieniło się w miesiąc, miesiące zaczęło przybywać w zawrotnym tempie, a jemu nadal nie uśmiechało się wracać do pracy.

– Rozumiem. – Głos Janet Green ochłódł, przybrała protekcyjny ton. – À propos, czy wie pan, że Lacey w ostatnim czasie dwukrotnie została za karę po lekcjach, ponieważ paliła papierosy na terenie szkoły?

Już chciał ją poinformować, że Lacey nie pali, ale najwidoczniej ta kobieta znała jego córkę lepiej niż on sam.

– Nie wiedziałem o tym – przyznał. – Dziękuję za informację.

Po odłożeniu słuchawki opadł ciężko na krzesło przy stole, pólżywy ze zmęczenia. To było dla niego obce uczucie. Zawsze pełen energii, słyszał z tego, że nie potrafi usiedzieć beczynn timer albo dwóch. A teraz był tak zmęczony, że nie mógł się zmobilizować, aby umyć garnek po spaghetti.

Spaghetti jedli kilka razy w tygodniu. Było proste do przyrządzenia. Zagotować wodę, otworzyć słoik z sosem. Co jakiś czas któreś z dzieci brało się za gotowanie, ale żadne z nich nie przewyższało ojca inwencją.

Annie robiła wszystko sama, od zera. Nawet chleb. Co sobotę piekła dwa bochenki pełnoziarnistego chleba z miodem. Zapach rozchodził się po całym domu. Za jej życia ta kuchnia tętniła życiem. Annie miała zwyczaj kłaść pod ręką różne przedmioty – kilka owoców rządkiem pod samą ścianą na blacie roboczym, garść kolorowych torebek z egzotycznymi herbatami na parapecie – aby móc podziwiać je przy pracy.

Najczęściej wracała do domu pierwsza i szykowała w kuchni coś pysznego, a on często – kiedy to wspominał, wydawało mu się, że tak było praktycznie co drugi dzień – po powrocie z pracy zapraszał ją prosto do sypialni. Wtedy Annie przekazywała nadzór w kuchni któremuś z dzieci, nie zważając na jęk zawodu i rezygnacji, że znowu obiad będzie późno, i z twarzą już oblaną rumieńcem utęsknienia oznajmiała: „Pamiętajcie, moje skarby, że ludzie eleganccy nie zasiadają do obiadu zbyt wcześnie”.

Tak właśnie funkcjonował dom w tamtych czasach. Annie była gorącą zwolenniczką spontaniczności.

– W tym domu nie ma zasad – mawiała. – Musimy ufać sobie i swojemu ciału, bo to ono nam mówi, kiedy się położyć, kiedy coś zjeść, o której rano

wstać... I kiedy się kochać.

Dopiero przed mniej więcej dwoma laty dzieci zaczęły zauważać, że w ich domu tak naprawdę obowiązuje całe mnóstwo zasad, z tym że są to inne zasady niż u ich znajomych, specjalne zasady wymyślone osobiście przez ich matkę. Annie nie życzyła sobie na przykład, żeby w domu był choćby jeden zegar – a jednak Alec zawsze nosił zegarek na rękę. Lacey i Clay mogli w tej kwestii postąpić według własnego uznania i oboje wiernie naśladowali mamę, aż do zeszłego roku, kiedy Clay zaczął nosić identyczny zegarek jak ojciec. Do tej pory często zdarzało im się spóźnić na szkolny autobus, ale też kilka razy, co dziwniejsze, przychodzili sporo przed czasem. Nigdy nie mieli wyznaczonej godziny powrotu do domu, wszyscy koledzy im tego zazdrościli. Nawet kiedy byli jeszcze mali, mogli kłaść się do łóżek, kiedy chcieli. Sami regulowali swój rytm i szło im to całkiem niezle, między innymi prawdopodobnie dlatego, że w domu O’Neillów nie było telewizora.

Kiedy Lacey i Clay coś przeszkrobali – sporadycznie – nigdy ich nie karano, natomiast bardzo często byli nagradzani, tylko za to, że są. W pierwszych latach po ich urodzeniu Alec często czuł się jak widz na autorskim przedstawieniu Annie, która zawsze miała ostatnie słowo na temat wychowania dzieci. Szybko jednak załapał, o co w tym chodzi, odkrył mianowicie, że jeśli okazuje się dzieciom szacunek, to one zachowują się odpowiedzialnie. Lacey i Clay byli żywym dowodem na skuteczność tych metod.

– Macie się dobrze bawić i być bezpieczni. To jest najważniejsze – mówił im Alec przed wyjściem na dwór, zachwycony, że może im zaufać, gdy rodzice ich kolegów i koleżanek utrudniali swoim dzieciom życie szeregiem przestróg, grózb i nagan.

Wiedziony nagłym kaprysem, Alec wstał od stołu i poszedł na górę, do pokoju Lacey. Otworzył drzwi i z uśmiechem pokręcił głową. Istne pobjowisko: niepościelone łóżko, wszędzie sterty ciuchów, z kosza na pranie stojącego w kącie aż się wylewało. Na biurku zalegały stosy książek, kaset i papierów, a ściany zniknęły pod plakatami, z których patrzyli muzycy o odpychającym, dekadentckim wyglądem. Wzdłuż trzech ścian, na wysokości jego ramienia, biegła długa półka, którą zajmowały staroświeckie lalki Lacey, w dziwaczny sposób kontrastujące wyglądem z tymi młodocianymi wykolejeńcami. Trzynaście lalek siedziało w równych odstępach na tej półce, którą Alec własnoręcznie zamontował przed pięcioma laty. Lacey na każde

urodziny dostawała od Annie taką lalkę; teraz wszystkie spoglądały na niego, błyskając drobnymi ząbkami spomiędzy hipnotyzujących warg rozchylnych w spokojnych uśmiechach.

Lacey pali papierosy. Cholera jasna. Może trzeba z nią o tym porozmawiać? Co zrobiłaby Annie? Zapewne przeprowadziłaby otwartą dyskusję przy obiedzie, bez oskarżeń, oczekiwań i żądań. Alec westchnął przeciągle. Nie czuł się na siłach.

Trójsskok przykuśtykał na górę i oparł się ciężko o jego łydkę. Alec zdawkowo podrapał go za uchem; razem zmierzylili wzrokiem bałagan w pokoju Lacey. Annie nie była bynajmniej idealną panią domu – za żadne skarby nie umiała się zorganizować – za to opanowała do mistrzostwa sztukę upychania rzeczy po kątach, dzięki czemu zawsze panował u nich względny ład. Za jej życia pokój Lacey z całą pewnością prezentował się inaczej, lecz Alec nie mógł mieć pretensji do córki, że nie dba o porządek, skoro w całym domu sytuacja wyglądała podobnie.

Oparł się o futrynę i zacisnął powieki, żeby nie patrzeć w przepełnione wyrzutem, okrągłe jak spodki oczy lalek na półce.

– Nie daję rady, Annie – szepnął, a pies uniósł łeb na dźwięk rezygnacji w głosie pana.

* * *

O dziesiątej dwadzieścia Alec zajechał na parking przed restauracją Sea Tern Inn i stanął między BMW Noli Dillard a starym kombiakiem Briana Cassa. Po raz kolejny się spóźnił, ale tym razem miał dobre usprawiedliwienie. Najpierw rozmowa z wychowawczynią Lacey, która sama w sobie nie trwała może długo, ale zmusiła go do zastanowienia się nad swoim życiem, a to zajęło mu bez mała godzinę. Potem zadzwoniła Randi i błagała go, żeby wrócił do pracy. Odkąd poszedł na zwolnienie, robiła wszystko sama i z początku była bardzo wyrozumiała. Pomyśleć, że właśnie za tę wyrozumiałość Alec tyle razy ją krytykował. Randi zawsze pozwalała ludziom wchodzić sobie na głowę – tak jak teraz jemu. I właśnie zaczęła walczyć o swoje. To był już jej trzeci telefon w tym tygodniu, z tym że Alec nie miał zamiaru skapitulować. Powtórzył po raz kolejny, że nie jest gotowy na powrót do pracy. Prawdę mówiąc, nie wiedział, czy kiedykolwiek będzie

gotowy.

– Oto i on. – Nola Dillard ruszyła w jego stronę, kiedy wszedł do salki na zapleczu restauracji. Miała tę cechę, że w dość osobliwy sposób zaciskała zęby. Chwyciła Aleca za rękę, roztaczając wokół siebie mocny zapach kwiatowych perfum, i szepnęła mu do samego ucha: – Mamy kłopoty, mój drogi.

– Już myślałem, że zabłądziłeś, Alec – uśmiechnął się Walter Liscott, który wstał i odsunął dla niego krzesło u szczytu stołu.

– Przepraszam za spóźnienie. – Zajął wskazane miejsce.

Komitet ochrony latarni morskiej zgromadził się w komplecie: oprócz samego Aleca zasiadało w nim dwóch mężczyzn i dwie kobiety, a wszyscy zdążyli już posilić się kawą i pączkami. Pewnie pogodzili się z jego spóźnieniami. Sondra Carter, druga z pań, właścicielka małego butik w Duck, powiedziała, że Alec w ten sposób czci pamięć o Annie, która nigdy nie potrafiła zdążyć na czas.

Do sali weszła kelnerka i naląła mu kawy.

– Proszę poczęstować się pączkiem, doktorze O'Neill – powiedziała.

Alec skinął głową i położył na stole swój notes, zerkając na Nolę i zastanawiając się, co właściwie miała na myśli.

– No dobrze – zaczął. – Dzisiaj szukamy pomysłów na zebranie funduszy.

Walter przejechał dłonią po swoich rzednących, siwych włosach i odchrząknąwszy, odezwał się głębokim, przesłodzonym głosem.

– Alec, zanim przyszedłeś, rozmawialiśmy we czwórkę i prawda jest taka, że w pewnej kwestii nie osiągnęliśmy porozumienia.

Alec się zaniepokoił.

– O co chodzi, Walterze? – zapytał, postanawiając w duchu, że od dzisiaj koniec ze spóźnianiem. W ten sposób prosił się tylko o bunt, a tego chciał uniknąć.

– No cóż... – Walter jeszcze raz odchrząknął, zerkając na pozostałych. Było oczywiste, że został wybrany na rzecznika. – Chociaż wszyscy, jako członkowie tego komitetu, mamy wspólny cel, to znaczy zbiórkę funduszy na rzecz latarni, to jednak nasze wizje w kwestii tego, co należy zrobić, aby ją uratować, znacznie się różnią. Ja na przykład nie chciałbym zasuwać jak wół przy zbieraniu pieniędzy, a potem patrzeć, jak tamci wszystko spieprzą, bo zabiorą się do przestawiania latarni i działają tylko tyle, że ją przewrócą.

– Zgadzam się – poparła go Sondra. – Albo nasze pieniądze pójdą na

budowę wału nadmorskiego na wysokości latarni, albo tamci nie dostaną ani centa.

– Zaraz. – Alec uniósł dłoń. – Dobrze wiecie, że nie do nas należy decyzja, co zrobić w celu zachowania latarni.

– No właśnie – odezwała się Nola. Jasne platynowe włosy miała jak zwykle spięte szpilkami, a ubrana była tego ranka w biurowy kostium z wpiętym w klapę znaczkiem firmy Dorsett Realty, pośrednika handlu nieruchomościami. Wycelowwała w Waltera długi czerwony paznokieć. – Zarząd Parków Narodowych chce zachować latarnię tak samo jak my. I nie zgodzi się na rozwiązanie, co do którego nie ma całkowitej pewności. Ludzie, dajcie spokój – dodała błagalnie. – Włożyliśmy w to mnóstwo pracy, a pieniądze zaczynają napływać. Jesteśmy już tak blisko celu, a was tchórz obleciał.

– Po prostu się boję, że podejmą złą decyzję – powiedział Walter bliski łez. Alec rozumiał jego niepokój. Każde z nich było gorącym miłośnikiem latarni w Kiss River i dobrze wiedziało, jaka to nietrwała konstrukcja. Jeszcze kilka tygodni wcześniej planowano wzniesienie dookoła latarni wału, by za kilka lat latarnia znalazła się na własnej małej wysepce. Pod względem estetycznym – interesujące rozwiązanie. Ostatnio jednak Zarząd Parków Narodowych zmienił zdanie i poważnie rozważał przestawienie latarni: co miało polegać na tym, że budynek zostałby na specjalnej platformie przetransportowany po szynach pięćset pięćdziesiąt metrów w głąb lądu. Taka operacja miała kosztować kilka milionów dolarów i była wręcz nie do pomyślenia.

– Nola ma rację – oznajmił. – Musimy polegać na inżynierach i wierzyć, że ich plan stanowi najlepsze rozwiązanie. Nie możemy kwestionować ich decyzji.

Nola puściła do niego oko.

– Składam wniosek, aby przejść do kolejnych spraw – powiedziała.

– Popieram – zawtórował jej Brian.

Odezwało się kilka niechętnych głosów, ale nikt nie wstał od stołu, więc Alec mógł poprowadzić burzę mózgów, podczas której padały pomysły. Licytacja na zasadzie cichej aukcji. Broszura informacyjna, aby zainteresować tematem osoby postronne. Kolejne wywiady w mediach i wystąpienia publiczne. Dopiero w drodze powrotnej Alec poczuł, jak jego własne obawy dochodzą do głosu. Inżynierowie to przecież tylko ludzie. Są omylni. A jeśli zniszczą latarnię, próbując ją uratować?

* * *

Po południu, kiedy Lacey wróciła ze szkoły, siedział przy swoim biurku w domowej pracowni. Zauważył ją przez okno. Rozmawiała z Jessicą Dillard, córką Noli, swoją najlepszą przyjaciółką. Jessica uśmiechała się, ale tak złośliwie, z taką paskudną wyższością, że Alecowi aż ścisnęło się serce. Stała przed Lacey z dłonią opartą na biodrze. Lśniące jasne włosy spływały jej na ramiona, a w palcach elegancko ułożonej dłoni trzymała papierosa. Bardzo przypominała swoją matkę.

Alec pochylił się w stronę otwartego okna.

– Lepiej, gdybyś jednak spróbowała, Lacey – mówiła Jessica. – W tym roku jesteś strasznie słaba. Chyba zapomniałaś, co to jest dobra zabawa.

Lacey odwróciła się od niej i rzuciła coś przez ramię, Alec nie dosłyszał co. Ciekawe, czego ma spróbować, pomyślał. Alkoholu? Marihuany? Seksu? Wzdrygnął się i obrócił w stronę drzwi. Fotel skrzypnął.

– Lacey?

Weszła do pracowni, krzyżując ramiona na piersi.

– Wszystko w porządku między tobą a Jessicą?

– Tak. – Lacey poruszyła głową, zakrywając lewe oko zasłoną rudych włosów. Alec uznał, że lepiej nie dopytywać. Nie teraz.

– Zapisalem cię na letnie kursy z biologii i algebry – poinformował córkę.

– Tylko frajerzy chodzą do szkoły w wakacje.

– Obawiam się, że nie masz wyboru.

Łypnęła na niego odsłoniętym okiem.

– To oznacza szlaban?

– Szlaban? Oczywiście, że nie. – Nigdy nie stosował tej metody wobec swoich dzieci. – Ale obiecaj, że jeśli znów będziesz miała problemy z nauką, pierwszy się o tym dowiem.

– Dobrze. – Odrzuciła włosy na ramię i ruszyła do wyjścia, ale w drzwiach przystanęła jeszcze, oglądając się na niego niepewnie, z wahaniem. –

Przepraszam, tato – powiedziała. – W tym roku jakoś nie mogę zebrać się do pracy.

– Rozumiem, Lacey. Ja też.

Rozdział szósty

Radio było włączone, a Paul leżał jeszcze w łóżku, więc kiedy usłyszał, że wywiad dotyczy latarni morskiej w Kiss River, w pierwszej chwili pomyślał, że to sen, ale potem słowa zaczęły nabierać sensu, a jemu przejaśniło się w głowie. Otworzył oczy; witraż zawieszony w oknie zalewał sypialnię złotobłękitnym blaskiem. Leżał bez ruchu i nasłuchiwał.

Gościem programu była kobieta nazywająca się Nola Dillard. Opowiadała o Komitecie ochrony latarni.

– Jeśli erozja nie zwolni tempa, za trzy lata latarnia w Kiss River przestanie istnieć – oznajmiła.

Paul obrócił się na bok i nadstawił ucha. Nola Dillard wyjaśniała, co grozi najwyższej latarni morskiej w całym kraju. Kiedy skończyła, wyjął z szafki nocnej książkę telefoniczną i znalazł numer rozgłośni radiowej.

– W jaki sposób mógłbym skontaktować się z panią, która przed chwilą opowiadała o latarni morskiej? – zapytał, opierając się o zagłówek łóżka.

– Jest jeszcze w studiu – odpowiedział pracownik radia. – Proszę zaczekać.

Czekał przez pół minuty. W tle słychać było rozmowy. Śmiech.

– Nola Dillard. – W słuchawce odezwał się kobiecy głos.

– Dzień dobry pani. Nazywam się Paul Macelli. Przed chwilą słyszałem, jak opowiadała pani o latarni morskiej w Kiss River. Chciałbym się przyłączyć i pomóc.

– Świetnie! – ucieszyła się kobieta. – Kluczowa kwestia to fundusze, panie...?

– Macelli. Niestety, obawiam się, że pod względem finansowym niewiele mogę zrobić, ale dysponuję czasem i mam energię do działania. Chętnie pomogę w inny sposób. Nie wiedziałem, że latarni morskiej coś zagraża.

W słuchawce zapadła cisza. Paul zrozumiał, że gdzieś popełnił błąd, powiedział coś nie tak.

Gdy Nola Dillard odezwała się ponownie, w jej głosie słychać było ledwie

wyczuwalny chłód.

– Panie Macelli, od dawna mieszka pan w regionie Outer Banks?

Więc o to chodziło. Nie pochodził stąd. Już chciał odpowiedzieć, że był tutaj na wakacjach, dawno temu, tuż po studiach, ale ugryzł się w język. Nikomu, nawet Olivii, nigdy nie powiedział, że spędził w Outer Banks tyle czasu.

– Nie – odparł. – Jestem tu nowy, ale pracuję w „Beach Gazette”. Na pewno jakoś się przydam.

Nola Dillard westchnęła.

– No dobrze. Powiem tak, mój drogi: w czwartek wieczorem mamy spotkanie komitetu w restauracji Sea Tern Inn. Wiesz, gdzie to jest?

– Tak.

O tak, wiedział. Ze wszystkich jego wywiadów z Annie dwa odbyły się właśnie tam. Od czasu jej śmierci unikał tego miejsca.

– Spotkajmy się przed wejściem mniej więcej za kwadrans ósma. Ja wcześniej rozmówię się z pozostałymi osobami z komitetu i przygotuję ci nieco grunt, dobrze?

Podziękował i rozłączył się. Przynajmniej nie zapytała, dlaczego tak interesuje go ta latarnia. Odpowiedziałyby pewnie coś w rodzaju: historia to mój konik, a przeszłość jest dla mnie zbyt cenna, żeby pogodzić się z jej stratą. I to byłaby szczerą prawdą.

* * *

Nola Dillard była piękną kobietą, najprawdopodobniej przekroczyła czterdziestkę. Zaczesane w tył i upięte platynowe włosy, ogromne szare oczy, cera może nieco przywiedła od podtrzymywanej przez okrągły rok opalenizny.

Paul uściskał jej wyciągniętą rękę.

– Jesteśmy już gotowi, panie... Paul, prawda? Jestem Nola. Zapraszam do środka.

Udał się za nią do znanej sobie głównej sali, zastawionej ciężkimi stołami i urządzanej w morskim stylu, a potem dalej, do niedużego pomieszczenia na zapleczu. Gdy stanął w drzwiach, członkowie komitetu siedzący przy jednym długim stole unieśli głowy. Oprócz Noli była tam jeszcze jedna kobieta oraz trzech mężczyzn. Rozejrzał się i ze zdumieniem zauważył Aleca O’Neilla siedzącego u szczytu stołu. Paul od razu go rozpoznał – widział go przelotnie

w pracowni Annie, ale też, przede wszystkim, na stojącym tam zdjęciu, czarno-białym portrecie, z którego patrzył z nieco pochmurnym wyrazem twarzy i groźnym błyskiem białych oczu. Czuł teraz na sobie to spojrzenie. Obejrzał się jeszcze w stronę drzwi. Może lepiej dać nogę – i zrobić z siebie kompletnego durnia? Nola delikatnie nacisnęła jego łokieć miękką dłonią, a Alec wstał z krzesła.

– Paul, to Alec O’Neill, nasz szanowny przywódca. Alec, to Paul Macelli.

Alec O’Neill spojrział na niego, unosząc swoje ciemne brwi. Paul uściśnął mu rękę i wymamrotał coś na powitanie; nagle odniósł wrażenie, że język nie mieści mu się w ustach. Przywitawszy się z pozostałymi po kolei skinieniem głowy, zajął miejsce obok Noli Dillard. Po chwili zjawiała się kelnerka z pytaniem, czego się napije. W pierwszym odruchu chciał poprosić o coś mocniejszego, ale szybki rzut oka dookoła powiedział mu, że nie ma mowy o alkoholu. Alec miał w szklance coś, co wyglądało jak lemoniada.

Paul zamówił herbatę z lodem i opadł na oparcie krzesła, po czym rozpiął kołnierzyk koszuli.

Kiedy Alec O’Neill zmierzył go swoim przenikliwym spojrzeniem, poczuł się zdemaskowany. Czy mógł się skądś dowiedzieć? Skojarzył nazwisko z artykułem w magazynie „Seascape”?

– Nola mówiła, że jest pan dziennikarzem – zagadnął Alec.

– Owszem. Pracuję w „Beach Gazette”, ale przyjmuję też zlecenia jako wolny strzelec. Jeśli więc mógłbym państwu służyć pomocą, proszę tylko powiedzieć. – Zaśmiał się nerwowo, a na policzki wypłynął mu rumieniec.

Alec pociągnął łyk lemoniady.

– Prawdopodobnie mógłby pan. Chcemy trafić z tym tematem do ludzi. Ja jeżdżę z odczytami po okolicy oraz w granicach stanu, ale powinniśmy dać się poznać w całym kraju. Latarnia w Kiss River to zabytek narodowy, więc piecza nad nią to nasz wspólny obowiązek. Właśnie rozmawialiśmy o wydaniu broszury opisującej historię latarni, przeznaczonej do szerokiej dystrybucji. – Alec wyprostował się na krześle. – Włączy się pan?

– Oczywiście – przytaknął Paul, który od dobrych kilku chwil nie odrywał wzroku od długich, smukłych, ogorzałych od słońca palców Aleca O’Neilla. Paul wyobrażał sobie, jak te palce dotykały Annie, jak te ręce obejmowały ją we wspólnym łóżku. Jak ona chętnie pozwalała się im pieścić. Alec wciąż nosił na palcu ślubną obrączkę. Z tej odległości wyglądała na gładką, ale Paul wiedział, że jest na niej identyczna złota plecionka, jaką widział na obrączce

Annie. Co Alec zrobił z jej obrączką? Ciało Annie poddano kremacji. Co oni zrobili...

– Koszty papieru i druku pokryjemy z naszych funduszy – ciągnął Alec, a Paul szybko uniósł wzrok i spojrzał w jego błękitne niczym lód, wszystkowiedzące oczy. – Potrzebna nam osoba, która zbierze materiały i napisze tekst.

– Czy istnieją archiwalia, z których mógłbym skorzystać? – zapytał Paul i nagle nasza go niepokojąca myśl: a jeśli dawna latarniczka, Mary Poor, jeszcze żyje? Ale to chyba niemożliwe. Już wtedy była w podeszłym wieku, a przecież minęło wiele lat.

– Istnieje prywatna kolekcja – potwierdził Alec. – Postaram się załatwić pozwolenie, by mógł pan do niej zajrzeć. Tymczasem może opisze pan nasze starania w „Beach Gazette”?

– W porządku. – Paul skinął głową i odprężył się, zadowolony, że przestał być w centrum uwagi. Alec zmienił temat i komitet podjął dyskusję nad cichą aukcją. Wychodzę, kiedy skończą, postanowił Paul.

Rozdział siódmy

Tego dnia Mary Poor skończyła dziewięćdziesiąt lat i humor jej dopisywał. Siedziała na werandzie piętrowego, niebieskiego domu, do którego sprowadziła się przed dwoma laty, i patrzyła, jak w blasku poranka burty łodzi stojących przy nadbrzeżu nabierają najpierw fioletowego, potem różowego, a w końcu żółtego odcienia. Zdążyła już przywyknąć do tego widoku, do łagodnego kołysania fotela na biegunach, do towarzystwa ludzi w jej wieku. Kiedyś myślała, że dożyje swoich dni w Kiss River, ale zdawała sobie sprawę, że i tak może mówić o wielkim szczęściu: ciepło latarni grzało ją przez sześćdziesiąt pięć lat.

Opowiadała o niej każdemu, kto tylko chciał słuchać. Przywoływała wciąż na nowo dawne sztormy, katastrofy, kaprysy morza. Wiedziała, że plecie o przeszłości jak wszyscy inni, którzy utknęli w niej jak w pułapce, ale nie przejmowała się tym. Udzieliła sobie pozwolenia, aby pleść, taki przywilej wieku.

Lekarz, który ją badał poprzedniego dnia, nie mógł się nadziwić, że Mary ma doskonały wzrok i słuch, a do tego mnóstwo energii, pomimo uporczywego bólu w stawie biodrowym. Chcąc się popisać, wdała się z nim w rozmowę o polityce.

– Jest pani bystrzejsza ode mnie, pani Poor – zauważył z uśmiechem i była pewna, że powiedział to bez cienia protekcjonalności.

– Skoro jestem taka zdrowa, dlaczego nie mogę sobie zapalić? – zapytała, a on tylko się roześmiał i schował stetoskop do torby.

Mary rzadko pokazywała innym, że świetnie się trzyma. Nie chciała się pozbawiać pewnych przyjemności związanych z wiekiem, lubiła troskliwą opiekę, lubiła czuć się rozpieszczana. Pozwalała się nawet strzyc; jedna z młodych opiekunek, Sandy, obcinała jej krótkie, śnieżnobiałe włosy, chociaż Mary doskonale poradziłaby sobie sama.

Starła się być na bieżąco. Oglądała wiadomości w telewizji, która wciąż

wydawała się jej zdumiewającym wynalazkiem. W Kiss River miała telewizor, ale odbierał on tylko szum i czarno-biały obraz przypominający mrowisko. Czytała też aktualną prasę. Nawet w tej chwili na jej kolanach leżał numer „Beach Gazette”. Gdy łodzie przy nadbrzeżu odzyskały swoje codzienne kolory, sygnalizując koniec spektaklu wschodzącego słońca, wzięła gazetę do ręki. Najbardziej lubiła rozwiązywać krzyżówkę, ale zawsze zostawiała ją sobie na koniec, kiedy już wszystko przeczytała i czekała, aż Trudy albo Jane wstaną i przyjdą do niej na werandę.

Przejrzawszy pierwszą stronę, otworzyła gazetę, a gdy ją składała, rzuciło jej się w oczy zdjęcie: wysoka, mieniąca się bielą latarnia morska na tle ciemnego nieba. W piersi starszej pani otworzyła się na chwilę mała studnia wypełniona bólem, który wkrótce przycichł. W rogu zdjęcia widniał fragment północnego narożnika jej dawnego domu, który niegdyś należał do rodziny jej męża Caleba, a obecnie był własnością Zarządu Parków Narodowych. Nagłówek informował: LATARNIA W KISS RIVER ZAGROŻONA EROZJĄ. Pod nim widniało nazwisko autora: Paul Macelli. Mary zmrużyła oczy. Paul Macelli? Teraz już chyba pierwszy lepszy może pisać o Kiss River. Artykuł jednak przeczytała mimo wszystko i dowiedziała się o komitecie ochrony latarni, któremu przewodniczył Alec O'Neill. Uśmiechnęła się. Właściwy człowiek na właściwym miejscu.

Odłożyła gazetę na kolana i pomyślała o mężu Annie. Nie pojechała na pogrzeb, bo zbyt późno dotarła do niej informacja o jej śmierci; gdy się o tym dowiedziała, nie mogła powstrzymać łez i nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz płakała po czyimś odejściu. Dlaczego Annie...? Była dla Mary bratnią duszą, niemalże córką; Elizabeth, rodzona córka Mary, nigdy nie potrafiła słuchać jej z taką uwagą, z jaką słuchała Annie. Mary mogła zwierzyć się jej ze wszystkiego, a Annie też powiedziała jej o wszystkim, czyż nie?

– Mary – oświadczyła kiedyś późną nocą, gdy wygasł już ogień, a kieliszki po brandy i kubki po kawie stały puste. – Nikt na całym świecie nie zna mnie lepiej niż ty.

Mary kochała Annie miłością zarliwą, taką, która sprawia, że chce się oddać życie za ukochaną osobę. Po jej śmierci myślała właśnie o tym: dlaczego nie mogła umrzeć zamiast niej? Dość się już nażyła, a Annie tak naprawdę dopiero zaczynała. Mary czuła, że to, co robiła dla Annie, wynikało z tej ślepej miłości: pragnęła jej szczęścia i nie dbała już o konsekwencje swoich czynów, nie zastanawiała się nad tym, czy robi coś złego.

Po śmierci Annie przez jakiś czas Mary nie potrafiła wyobrazić sobie życia bez jej odwiedzin, których zawsze wyczekiwała. Odkąd zamieszkała w domu opieki, widywały się rzadziej, ale raz czy dwa razy w tygodniu mogła liczyć na wizytę młodej przyjaciółki, która rzadko zjawiała się z pustymi rękami. Mary nie potrzebowała prezentów, ale Annie już taka była, więc starsza pani nie miała serca jej odmówić. Annie nie zostawała u Mary tak długo, jak kiedyś, bo w domu opieki zawsze ktoś kręcił się w pobliżu i musiała uważać na słowa.

Ostatnia wizyta przyjaciółki najbardziej zapadła jej w pamięć i nie dawała spokoju. Mary powtarzała sobie, że skoro Annie nie żyje, to chyba już wszystko jedno, ale nie mogła zapomnieć, jak Annie była rozbita tamtego popołudnia, kiedy siedziały razem w pokoju dziennym, wśród innych pensjonariuszek. Z twarzy młodej przyjaciółki zniknął uśmiech i wesołe dołeczki, z trudem powstrzymywała łzy. Ostatecznie Mary zabrała ją na górę, do swojego pokoju, aby mogła się wypłakać, wyznać, co zrobiła. I udzieliła jej rozgrzeszenia, jak ksiądz na spowiedzi. Tak właśnie o tym później myślała: że Annie umarła, mając przebaczone winy.

Mary wysłała kartkę do jej rodziny: Aleca i dzieci. Sandy zabrała ją samochodem do miasta, a Mary zwiedziła chyba wszystkie sklepy, aż znalazła kartkę z białą latarnią morską. Nie spała potem przez całą noc, bo rozmyślała, co napisać. Układała hymny pochwalne na cześć Annie, chciała dodać, że ona także będzie za nią straszliwie tęsknić, ale w końcu wysłała tylko kilka prostych słów, jakie mógłby powiedzieć każdy.

Alec O'Neill. Nigdy nie była w stanie spojrzeć temu człowiekowi prosto w oczy.

– Nie skrzywdzę go – mówiła Annie, powtarzała nieskończoną ilość razy. – Nigdy go nie skrzywdzę.

Mary przebiegła wzrokiem akapity i przeczytała artykuł jeszcze raz. Tutaj była potrzebna historyczna wiedza o dziejach latarni. Wydarzenia. Anegdoty. Wkrótce ktoś ją znajdzie. Kto się zjawi? Alec O'Neill? Paul Macelli? Może przedstawiciel Zarządu Parków Narodowych? To ostatnie byłoby najlepsze, pomyślała. A przy Paulu lub Alecu... Cóż, ostatnio zdarzało jej się powiedzieć o kilka słów za dużo. Mogliby usłyszeć od niej coś, czego wcale nie chcieli wiedzieć.

Rozdział ósmy

Olivia kupiła w sklepie lody o smaku truskawkowym i usiadła na ławce. Po drugiej stronie ulicy znajdował się budynek pokryty cedrowymi panelami – pracownia Annie O’Neill. W dziesięciu frontowych oknach wisiały duże witraże, ale z tej odległości, a przy tym pod słońce, które akurat stało w zenicie, Olivia nie była w stanie dostrzec, co przedstawiają.

Zdarzyło się już kiedyś, jeden raz, że siedziała na tej samej ławce i patrzyła w okna pracowni. To było jeszcze za życia Annie, mniej więcej miesiąc po tym, jak Paul zaczął o niej opowiadać. Olivia zdawała sobie sprawę, że ta kobieta urosła w jej wyobrażeniach do absurdalnych rozmiarów, więc usiadła tutaj z nadzieją, że będzie mogła rzucić na nią okiem, bo nie starczyło jej odwagi, żeby wejść do środka. Nie była pewna, co zrobi, gdy stanie z nią twarzą w twarz. Paul był mężczyzną niezwykle inteligentnym i bardzo atrakcyjnym. Jeśli chciał uwieść Annie, prędzej czy później musiała mu ulec. Olivia wyobrażała sobie, jak sama przedstawia się Annie, daje się jej poznać. Gdyby ta kobieta miała choć krztynę przyzwoitości, nie mogłaby wyrządzić jej krzywdy.

Teraz siedziała na tej ławce z zupełnie innych powodów. Pragnęła zrozumieć, co tak bardzo pociągało Paula w Annie O’Neill. Zdążyła zauważyć, że w niej samej zachodzi jakaś przemiana, bo charytatywna praca w schronisku dla kobiet zaczęła przynosić jej radość, chociaż do tej pory nigdy nie dzieliła się swoimi umiejętnościami za darmo. Nie mówiło się o tym, ale było oczywiste, że medyczne wykształcenie jest po to, żeby na nim zarabiać, i to dobrze.

W schronisku na początku było jej ciężko. Opowieści przebywających tam kobiet zapadały w pamięć, zabierała je ze sobą do domu i potem leżała w łóżku, nie mogąc zasnąć, a wśród ciemnych, pustych ścian sypialni przesuwiał się korowód kobiecych twarzy naznaczonych znużeniem. Rozmyślania o losie tych matek i ich dzieci otworzyły w jej duszy stare rany.

Olivia wiedziała najlepiej, co czuje ofiara, znała biedę i rozpacz. Musiała wciąż powtarzać sobie, że teraz jest silna. Posiada wykształcenie i kwalifikacje. „Skończona profesjonalistka”, powiedział o niej Paul, uznała to wtedy za komplement. A jednak widok głodnych, maltretowanych dzieci mieszkających w schronisku przywołał wspomnienia cienkich butów, które musiały wystarczyć na całą śnieżną zimę, oraz posiłków składających się z puszki fasoli i jednej parówki, którymi musiała się najeść ona i dwaj jej bracia, Clint i Avery.

Olivia skończyła lody, wstała z ławki. Zaczęły się wakacje i na nadmorskich ulicach panował wzmożony ruch, więc musiała uważać, gdy przechodziła na drugą stronę. Ostatnio zrobiła się ostrożna, miała świadomość, że każdy krok ma wpływ nie tylko na jej życie, ale też na tę małą istotkę, którą w sobie nosi.

Na niedużej, drewnianej tabliczce wiszącej obok wejścia widniał napis: WITRAŻOWNICTWO I FOTOGRAFIKA. Olivia weszła do środka i zamknęła za sobą drzwi, tłumiąc odgłosy dochodzące z ulicy. Chwilę trwało, zanim oswoiła się z tym cichym, wielobarwnym wnętrzem, pełnym rozmaitego piękna. Naprzeciwko niej stał szeroki stół roboczy. Siedzący przy nim mężczyzna uniósł głowę, kiedy weszła. Zgasił na wpół wypalonego papierosa w popielniczce, a nad jego głową zawirował kłęb dymu. Był potężnie zbudowany, długie włosy koloru pszenicznych płatków śniadaniowych nosił związane w kucyk, a nad jego wydatnymi wargami zwieszały się postrzępione wąsy. W dłoni, jak bochen chleba, trzymał jakieś narzędzie, którym majstrował przy tafli szkła leżącej przed nim, na warsztacie.

– Jeśli będzie chciała pani o coś zapytać, śmiało – odezwał się głębokim, chrapliwym głosem.

Olivia skinęła głową. Skręciła w prawo i zeszła mu z oczu. Miała wrażenie, że porusza się w zwolnionym tempie. Czuła się odurzona, zahipnotyzowana barwnym słonecznym blaskiem padającym z obu stron. Pracownia była niewielka, ale wysoka, a szklane ściany od frontu i od tyłu zawieszono po sam sufit witrażami najprzeróżniejszych rozmiarów. Robiło to przytłaczające wrażenie. Z początku nie potrafiła choćby odróżnić witraży od siebie, ale potem jej wzrok przykuł jeden, wąski i wysoki, mniej więcej półtora metra na pół, przedstawiający kobietę w stroju z epoki wiktoriańskiej. Fałdy jej białej sukni wydawały się falować pod szkłem; Olivia w jednej chwili przypomniała sobie anioła, którego Paul kupił na choinkę. Spod przystrojonego kwiatami

ronda kapelusza błyskały zawstydzone oczy kobiety.

Mężczyzna siedzący przy warsztacie złowił jej spojrzenie.

– Ten witraż nie jest na sprzedaż – zastrzegł.

– Piękny – powiedziała Olivia. – Czy to dzieło Annie O’Neill?

– Mhm – przytaknął. – Po jej śmierci zatrzymałem go dla siebie. – Zaśmiał się cicho, gardłowo. – Wmówiłem sobie, że na pewno chciałyby, żebym go miał, bo to był zawsze mój ulubiony. Tam, po prawej, wszystkie witraże są jej. Niedużo ich zostało. Większość ludzie wykupili.

A wiele z nich kupił Paul, domyśliła się Olivia.

– Reszta to moje – mówił dalej mężczyzna, wskazując wschodnią ścianę pracowni, gdzie stał istny labirynt białych przenośnych ścianek, obwieszonych oprawionymi fotografiami. – Zdjęcia przeważnie też są moje, chociaż Annie była znakomitą fotografką.

Olivia zbliżyła się do wystawy. Kilka ścianek z samego brzegu wypełniały pejzaże nadmorskie, zachody słońca i zdjęcia przyrody – wszystko w kolorze, większość podpisana w prawym dolnym rogu „Tom Nestor”. Ujęcia były zaskakująco subtelne, wzięwszy pod uwagę rosnącą posturę ich autora.

Za rogiem Olivia znalazła portrety trzech osób, które wryły jej się w pamięć: męża i dwójki dzieci Annie. Córka, uchwycona z bliska, widoczna tylko do ramion, na twarzy miała figlarny uśmiech, w jej policzkach, ozdobionych delikatnymi piegami, widniały głębokie dołeczki, a bujne rude włosy były dziko rozwiane.

Zdjęcie syna zrobiono na plaży. Stał z nagim torsem obok postawionej na sztorc deski surfingowej, ciemne włosy miał zaczesane do tyłu, a kropelki wody na jego piersi lśniły niczym garść jasnych gwiazd.

Pomiędzy tymi dwoma fotografiami wisiał czarno-biały portret Aleca O’Neilla. Uwagę Olivii przyciągnęły jego blade oczy pod ciemnymi brwiami: źrenice przeszyły ją niczym dwa czarne sztylety, aż zadrżała. Mężczyzna miał na sobie czarny rozpinany sweter i biały T-shirt, tuż pod szyją wystawało kilka ciemnych włosów rosnących na piersi. Lekko przechyloną głowę podpierał dłonią przyłożoną do skroni, jakby trzymał łokieć na kolanie albo stole, niewidocznym w kadrze. Nie uśmiechał się. Mocno zaciśnięte wargi współgrały z zimnym, oskarżycielskim spojrzeniem.

Olivia ruszyła dalej, a oczy mężczyzny podążały za nią. Za rogiem stanęła twarzą w twarz z samą Annie, na olbrzymim portrecie, również czarno-białym. Znieruchomiała. Ta piękna kobieta o mlecznej cerze wyglądała znajomo,

a jednocześnie obco, bo jej twarz była pełna życia. Głowa, w nieokiełznanej aureoli jasnych, jedwabistych włosów, odcinała się ostrym konturem od lśniącego czarnego tła.

– Annie... Takich ludzi już nie robią – powiedział mężczyzna, który wcześniej pracował przy warsztacie, a teraz stał za plecami Olivii. Odwróciła się do niego.

– To pańskie zdjęcie?

– Tak. – Oderwał wzrok od Annie, chociaż z widocznym trudem, wyciągnął rękę do Olivii. – Tom Nestor – przedstawił się. Czuć go było papierosami.

– Olivia Simon. – Obejrzała się na portret. – Musiała być wymarzoną modelką dla fotografa.

– O, tak. – Tom Nestor wsunął dłonie do kieszeni swoich dzinsowych ogrodniczek. Rękawy koszuli w niebieskie paski miał podwinięte do łokci, a jego umięśnione przedramiona porastały gęste, jasne włosy. – Wie pani, kiedy człowiek słyszy, że ktoś umarł, najpierw nie może w to uwierzyć, ale potem jakoś się z tym godzi. Ale ja przez długie miesiące nie potrafiłem pogodzić się z odejściem Annie. Do dzisiaj czasami wydaje mi się, że zaraz stanie w drzwiach, powie, że to wszystko tylko zgrywa, albo potrzebowała na trochę wyjechać. Byłoby cudownie, gdyby... – Urwał w pół słowa, po czym wzruszył ramionami i uśmiechnął się. – No cóż.

Olivia miała przed oczami tamten obraz z pogotowia: kobieta leżąca na stole w sali zabiegowej, płaska linia na monitorze, życie wymykające jej się z ręki.

– Powinienem ściągnąć tutaj jakiegoś innego artystę – mówił dalej Tom Nestor. – Nie stać mnie na wynajmowanie pracowni na własną rękę. Alec... mąż Annie pomaga mi trochę, ale ja po prostu nie potrafię sobie wyobrazić, że ktoś mógłby ją zastąpić. Pracowaliśmy razem przez piętnaście lat.

Olivia obejrzała się na niego.

– Mój mąż napisał o niej artykuł w magazynie „Seascape”.

Tom zrobił wielkie oczy.

– Paul Macelli to pani mąż? Nie wiedziałem, że jest żonaty.

No, raczej o mnie nie wspominał. Pewnie nawet nie przyznał się Annie, że ma żonę, pomyślała Olivia.

– On... Jesteśmy w separacji – wyjaśniła.

– Aha. – Tom Nestor znowu wpatrywał się w Annie z portretu. – Zagląda tutaj od czasu do czasu. Mówił, że urządza nowy dom. Kupił mnóstwo witraży Annie. On też pytał o tę wiktoriańską damę, ale nie oddam jej za żadne

pieniądze.

Olivia omiotła wzrokiem pozostałe fotografie, po czym wróciła na środek pracowni. Pogłodziła witraż zwieszający się spod sufitu.

– Jak to się robi? – zapytała, wędrując palcami po ciemnych liniach rozdzielających tafle niebieskiego szkła. – To ołów, prawda?

Tom Nestor usiadł za stołem.

– Nie, to folia miedziana pokryta cyną lutowniczą. Proszę, niech pani podejdzie.

Olivia usiadła na krześle obok niego. Pracował nad witrażem przedstawiającym białe irysy na niebiesko-czarnym tle. Przez dziesięć minut przyglądała się zafascynowana, jak srebrzysty cynowy drut topi się i skapuje na owinięte paskami z miedzi brzegi szklanych elementów. Światło sączące się przez witraże w oknach obmywało barwnymi refleksami dłoń artysty, jego policzki i jasne rzęsy.

– Daje pan może lekcje? – zapytała niespodziewanie. To pytanie zaskoczyło ich oboje.

– Rzadko. – Uniósł głowę i uśmiechnął się. – Jest pani zainteresowana?

– No cóż, chciałabym spróbować. Tylko że nie jestem zbyt twórcza. – Prawdę mówiąc, nigdy czegoś takiego nie robiła. Nie miała czasu albo szkoda jej go było na zdobywanie umiejętności niezwiązanych w żaden sposób z jej zawodem.

– Może się pani zdziwić – odparł Tom Nestor. Gdy podał cenę zajęć, zgodziła się – przystałaby na każdą sumę.

Artysta rzucił okiem na sandały Olivii.

– Proszę przyjść w zakrytym obuwiu – polecił. – Okulary ochronne zostały po Annie. Może ich pani używać.

Przed wyjściem Olivia kupiła niewielki, owalny witraż autorstwa Annie O'Neill – subtelny, opalizujący detal pawiego pióra. Przy drzwiach potknęła się o stertę czasopism.

Tom Nestor westchnął ciężko.

– Muszę w końcu to uprzątnąć. – Wskazał czasopisma i kilka stosów książek w miękkiej oprawie. – Ludzie od lat znoszą tutaj różne powieści i przeczytane magazyny, które Annie zawoziła do domu starców w Manteo. Sam jakoś nie mogę się zmobilizować, żeby tam pojechać.

– Ja bym mogła – zaoferowała się Olivia. Tylko kiedy?, zastanawiała się w myślach. Ta jej spontaniczność zaczynała być niepokojąca.

– Naprawdę? Super. Chętnie się tego pozbędę.

Wróciła do pracowni w sobotę o jedenastej przed południem. Tom Nestor dał jej zielone okulary ochronne i stary zielony fartuch, w których pracowała Annie. Narysował na papierze milimetrowym wzór złożony z kwadratów i prostokątów, a następnie położył na nim bezbarwną szklaną taflę i pokazał, jak ją naciąć nożem do szkła. Olivia wykonała pierwsze nacięcie, a potem drugie i trzecie. Pochwalił, że poszło jej bezbłędnie.

– Ma to pani w rękach. – Tak się wyraził.

Uśmiechnęła się zadowolona. To prawda, rękę miała pewną, nawykłą do pracy skalpelem. Cięcie kruchego szkła wymagało tylko dostosowania siły nacisku.

Skupiona pochyliła się nisko nad stołem. Nagle w pracowni rozległy się czyjeś kroki.

– Dzień dobry, Tom.

Olivia uniosła głowę, a na widok Aleca O’Neilla zamarła z dłonią wiszącą nad taflą szkła.

– Cześć, Alec – odpowiedział Tom Nestor.

Nowo przybyły jakby wcale nie zauważył Olivii, zniknął za bocznymi drzwiami i zamknął je za sobą. W rękach niósł aparat fotograficzny w futerale.

– Co tam jest? – zainteresowała się.

– Ciemnia – wyjaśnił Tom. – To był mąż Annie, Alec. Zagląda tutaj kilka razy w tygodniu, wywołuje filmy i robi odbitki.

Olivia zerknęła jeszcze raz na zamknięte drzwi do ciemni i wróciła do pracy. Gdy przy następnym cięciu trochę szkła odprysnęło, gwałtownym ruchem cofnęła dłoń.

– Może powinnam pracować w rękawicach? – zapytała.

– Nie. – Tom zrobił urażoną minę. – Trzeba to czuć w rękach.

Olivia zabrała się z powrotem do pracy, spoglądając od czasu do czasu na zegarek, w nadziei, że zdąży skończyć, zanim Alec O’Neill wyjdzie z ciemni. Następne nacięcie wyszło jej krzywo. To jednak nie było aż takie łatwe, jak się jej wydawało. Pomyślała o pawim piórze, które powiesiła w kuchennym oknie; teraz, gdy miała większe pojęcie o tym, ile pracy kosztowało jego wykonanie, chciała jak najszybciej obejrzeć je ponownie, tym razem z nowej perspektywy.

Kiedy przełamywała nacięty kawałek szkła specjalnymi szczypcami, drzwi do ciemni skrzypnęły i w pracowni zjawił się Alec O’Neill. Olivia nie

odrywała wzroku od swojej pracy.

– Zostawiłem tam klisze – poinformował Toma Nestora.

– Świetnie ci wyszły te cegły w zbliżeniu – pochwalił go Tom. Alec nie odpowiedział. Olivia poczuła na sobie jego wzrok, uniosła głowę i zdjęła okulary.

– Olivia Simon – przedstawił ich Tom. – A to jest Alec O’Neill.

Skinęła głową, a on zmarszczył brwi.

– Ja panią chyba znam – powiedział.

Olivia odłożyła szczypcę, opuściła dłonie, układając je na kolanach.

– Owszem – przytaknęła. – Poznaliśmy się, niestety, w smutnych okolicznościach. Miałam dyżur w pogotowiu tamtego wieczoru, kiedy przywieziono pańską żonę.

– Aha. – Alec skłonił głowę. – Rzeczywiście.

– Co takiego? – Tom Nestor wyprostował się i patrzył na nią w zdumieniu.

– Zajrzałam tutaj, aby zobaczyć prace pańskiej żony, i tak mi się spodobały, że poprosiłam pana Nestora o kilka lekcji.

Alec lekko przekrzywił głowę takim gestem, jakby nie był do końca przekonany, czy jej uwierzyć.

– No cóż – odezwał się po chwili. – Trafiła pani w dobre ręce.

Wydawało się, że chce powiedzieć coś jeszcze. Olivia wstrzymała oddech; powietrze, które ich otaczało, było nieruchome, przesycone barwami. Wreszcie Alec machnął ręką.

– Do zobaczenia za parę dni, Tom – rzucił, odwrócił się i wyszedł.

– Była pani na pogotowiu, kiedy Annie umarła? – zapytał Tom, kiedy zamknęły się za nim drzwi.

– Tak.

– Dlaczego mi pani o tym nie powiedziała?

– Niechętnie wspominam tamten wieczór.

– Boże... To trochę dziwne... Staliśmy tam – wskazał dłonią portrety na ściankach. – Rozmawialiśmy o niej, a pani nic.

Olivia odwróciła głowę i spojrzała na niego. Spod zmarszczonych brwi, gęstych i jasnych, przebłyskiwały zaczerwienione oczy.

– Przecież są rzeczy, o których człowiek nie potrafi mówić, prawda? – zapytała.

Tom Nestor cofnął się o krok. Zrozumiała, że trafiła w czuły punkt.

– No tak. Prawda. – Pokręcił głową, aby otrząsnąć się z emocji. –

Przepraszam, że na panią naskoczyłem. Wracajmy do pracy.

Olivia kroić i mierzyła witrażowe szkło, a Tom milczał, przygnębiony, i wtedy zrozumiała, że ma przed sobą jeszcze jednego mężczyznę, który kochał Annie Chase O'Neill.

Rozdział dziewiąty

– Przydziesz wieczorem na zakończenie roku? – Clay uniósł wzrok na ojca siedzącego po drugiej stronie stołu. Lacey zanurzyła zamrożony wafel w syropie klonowym.

– Oczywiście – przytaknął Alec. – Jak mógłbym to przegapić?

Nie wiedział, dlaczego syn go o to zapytał i czemu w ogóle przyszło mu to do głowy, ale sam musiał przyznać, że ostatnio bywał nieprzewidywalny.

– A jak ci idzie z przemówieniem? – zagadnął. Od kilku dni spokojny zazwyczaj Clay zachowywał się nerwowo. Nawet teraz tupał w podłogę pod stołem. Zawsze miał przy sobie kartki z notatkami: nosił je w kieszeni albo ścisnął w dłoni. Stały teraz na stole, oparte o szklanę z sokiem pomarańczowym, wymięte i poplamione. Alec trochę współczuł synowi. Żałował, że nie może mu pomóc.

– W porządku – odpowiedział Clay. – Aha, przy okazji, mogę zaprosić potem kilka osób do domu?

– Jasne – ucieszył się Alec. – Już dawno nikogo nie zapraszałeś. Ja zniknę, jakby mnie nie było.

– Wcale nie musisz – zapewnił szybko Clay.

Alec sięgnął do tylnej kieszeni i wyjął portfel. Położył go na stole, obok miski, z której syn jadł płatki.

– Weź, ile potrzebujesz na jedzenie i tak dalej.

Clay przez chwilę wpatrywał się w portfel, po czym zerknął na Lacey i wyciągnął dwadzieścia dolarów.

– Za tyle nic nie kupisz – zwrócił mu uwagę Alec i dołożył jeszcze kilka dwudziestek. – Człowiek kończy szkołę tylko raz.

Clay położył banknoty na stole.

– Ostatnio zachowujesz się tak, jakby pieniądze nie miały znaczenia – zauważył ostrożnie.

Alec rozumiał, o co chodzi: dzieciom wydawało się, że ich ojciec traci

rozum. Nie pracował, a mimo to wydawał pieniądze lekką ręką. W tej chwili nie był gotowy, aby im powiedzieć o polisie ubezpieczeniowej. Chciał jeszcze przez chwilę zatrzymać to dla siebie; to była ich wspólna tajemnica, jego i Annie.

– Nie musicie się martwić o budżet domowy, myślcie o własnych wydatkach – powiedział krótko.

Clay rozejrzał się dookoła.

– Wróć dziś wcześniej i posprzątam – postanowił.

– Ja posprzątam – zgłosiła się Lacey, czym zaskoczyła ich obu. – To będzie prezent ode mnie na zakończenie roku.

Alec cały dzień spędził z aparatem na plaży w Kiss River. Tym razem robił slajdy; zamierzał je pokazać w klubie rotariańskim w Elizabeth City, podczas swojego wystąpienia.

Wrócił do domu razem z Clayem, obaj w pierwszej chwili myśleli, że pomylili adres. Dom pachniał olejkiem cytrynowym oraz aromatem, który Annie wkładała do torby w odkurzaczu. Salon był wysprzątanym, a kuchnia lśniła czystością i mieniła się kolorami okiennych witraży.

– Boże... – mruknął Clay. – Aż szkoda robić tutaj imprezę. Nie mam serca tego popsuć.

W drzwiach kuchni stanęła Lacey. Przyniosła z pralni kosz pełen czystych ubrań.

– Świetnie to wygląda, Lace – pochwalił córkę Alec.

Postawiła kosz na podłodze i spojrzała na ojca, marszcząc piegowaty, spalony słońcem nos.

– Już mnie wkurzał ten brud – powiedziała.

– Mnie też – przyznał z uśmiechem. – Ale nie miałem siły, żeby coś z tym zrobić.

– Dzięki, O’Neill – odezwał się Clay. – Jeśli wywalą cię ze szkoły, zawsze możesz zarabiać sprzątanym.

Nagle Alec stanął jak wryty. Na samym wierzchu kosza z praniem, porządnie złożona, leżała stara, zielona bluza Annie. Kiedy wziął ją do ręki, rozłożyła się, a fałdy znoszonego, spłowiałego materiału owinięły mu dłoń.

– Uprałaś ją? – zapytał z niedowierzaniem.

Lacey przytaknęła.

– Leżała na twoim łóżku.

Alec wtulił twarz w bluzę, wciągnął w nozdrza zapach płynu do prania.

Lacey i Clay spojrzeli po sobie. Po chwili opuścił ręce.

– Wiecie, mama często ją nosiła – wyjaśnił. – Pozbyłem się wszystkich jej rzeczy, ale tę jedną zostawiłem na pamiątkę. Pachniała nią, tym kosmetykiem do włosów, którego używała. Powinienem ją schować, żeby żadne z was nie wzięło jej do prania. – Próbował się zaśmiać. – No, więc teraz chyba w końcu mogę ją wyrzucić. – Obejrzał się, szukając wzrokiem kuchennego kosza na śmieci, który stał w kącie, ale w końcu włożył bluzę pod pachę.

– Leżała razem z brudną pościelą – odezwała się Lacey piskliwym głosem, w którym brzmiał strach i potrzeba usprawiedliwienia. – Skąd miałam wiedzieć, że nie wolno jej pracować?

– Nic się nie stało, Annie – uspokoił córkę. – To tylko...

– Nie jestem Annie! – Tupnęła nogą, czerwona ze złości.

Alec szybko odtworzył sobie, co powiedział. Tak, zgadza się: powiedział „Annie” do swojej córki.

– Przepraszam, kochanie. – Wyciągnął rękę do Lacey, ale ona nie pozwoliła się dotknąć.

– Następnym razem sam sobie upierz swoje zaszrane brudy!

Wybiegła z kuchni; na schodach zabrzmiały jej lekkie, szybkie kroki, a po chwili trzasnęły drzwi pokoju na piętrze.

– Często ci się to zdarza, wiesz? – zauważył cicho Clay.

– Co mi się często zdarza? – Alec obejrzał się na syna. – Powiedzieć do niej „Annie”? – Zmarszczył brwi z namysłem. – Wcale nie.

– Sam ją zapytaj. – Chłopak skinął głową w kierunku schodów. – Założę się, że wie dokładnie, ile razy to zrobiłeś.

* * *

Alec z wysiłkiem ściągnął marynarkę i opadł plecami na oparcie samochodowego fotela. Czuł, jak po szyi i po piersi spływają mu krople potu. Starał się tak nie dyszeć. Wyrównać oddech. Nie łykać powietrza.

Zaparkował jak najdalej od innych samochodów stojących na parkingu przed liceum Cafferty High. Potrzebował kilku minut, aby się pozbierać, inaczej nie był w stanie wyjść do ludzi. Do rodziców kolegów Claya, których nie widział od miesiąca. Do jego nauczycieli. Do tych wszystkich, którzy będą chcieli z nim porozmawiać i pogratulować świetnego syna. Oby tylko był w stanie się

uśmiechać, mówić to, co trzeba i kiedy trzeba. Boże, nie dam rady, nie przeżyję tych dwóch godzin, pomyślał. Niech to szlag trafi, Annie.

Annie często powtarzała, że chce zobaczyć, jak jej dzieci kończą szkołę. Zapewniała, że nie zależy jej, aby miały jakieś osiągnięcia, była dumna ze wszystkiego, co robiły. Urządziłaby wielką fetę dla Claya na zakończenie nauki. Podczas szkolnej uroczystości zdierałaby sobie gardło, żeby wiedział, że przyszła, że jest. „Annie to matka z pasji”, powiedział kiedyś Alecowi Tom Nestor – i miał rację. Annie zawsze starała się dać swoim dzieciom to, czego sama nie dostała od rodziców.

Kiedy skończyła prestiżową szkołę średnią w Bostonie, jej rodzice nie pojawili się na uroczystości z okazji zakończenia roku. „Bylibyśmy z ciebie bardzo dumni, gdybyś utrzymała wysoką średnią”, usłyszała od ojca, „ale usunięto cię z National Honor Society² w ostatnim semestrze, a to jest niewybaczalne”.

Rodzice Annie byli bardzo bogaci. Wychowali ją tak, aby odnalazła się w kręgach, w których sami się obracali; chłopaków miała wybierać spośród synów ich ustosunkowanych przyjaciół i znajomych. Kiedy nie spełniała ich oczekiwań, a zdarzało się to dość często i nie zawsze było dziełem przypadku, kara była jedna: przestawali okazywać jej miłość. Gdy Alec próbował wyobrazić sobie dzieciństwo swojej żony, zawsze widział małą dziewczynkę z burzą niesfornych rudych loków, wciśniętą w kąt pokoju i tulącą do siebie misia. Annie nigdy nie powiedziała mu, że tak to wyglądało, ale od tamtej nocy, kiedy ją poznał i przekonał się, jak rozpaczliwie pragnie czuć się kochana, miał przed oczami właśnie ten obraz.

Ich metody wychowawcze odniosły taki skutek, że Annie nie krytykowała swoich dzieci absolutnie za nic i kochała je bezwarunkowo.

– Nawet gdyby były szpetne jak siedem nieszczęść albo tak głupie, że nie umiałyby zliczyć do dziesięciu – mawiała. – Dla mnie zawsze byłyby to moje ukochane dzieci.

Alec zobaczył ją oczami duszy, jak wygłasza ten krótki monolog nad stolnicą, na której zagniała ciasto na chleb; w jego wspomnieniu miała na sobie tamtą zieloną bluzę, z rękawami podwiniętymi do łokci i białym śladem mąki na lewej piersi.

Ta bluza. Czemu poczuł się wstrząśnięty? Przecież pachniała Annie tylko w jego wyobraźni. A jednak, kiedy zobaczył ją w koszu z upranymi rzeczami,

poczuł się tak, jakby znów stracił żonę.

– Nie bądź dzieckiem – powiedział głośno do siebie, wziął aparat i wysiadł z samochodu. Powietrze na zewnątrz było parne i kleiste. Wiał też lekki wiatr, który wydał rękawy jego koszuli. Alec uznał, że bezpieczniej myśleć o latarni. Albo o windsurfingu. Musiał wytrzymać. Dla Claya.

– Alec?

Odwrócił się. W jego stronę szli Hazletonowie, Lee i Peter. Rodzice Terri, dziewczyny Claya. Nie widział się z nimi od pogrzebu Annie.

– Hej! – Przywołał na twarz uśmiech.

– Wielki dzień, co? – Peter klepnął go w plecy. – Słuchaj, zepsuł mi się aparat. Pstryknij parę fotek Terri, dobra?

– Muszę, bo Clay by mi nie wybaczył – zapewnił Alec i zauważył na trawniku Lacey z grupką koleżanek. – Idę po córkę i poszukamy naszych miejsc – powiedział, ciesząc się, że ma wymówkę i może się ulotnić.

Ostatnio za każdym razem, kiedy patrzył na Lacey, przeżywał szok. Żałował, że nie może już zobaczyć Annie i porównać jej z córką, poszukać różnic. Może wtedy przestałby się tak trząść na widok Lacey. Wyglądała jak skóra zdarta z mamy. Czuł się przy niej skrępowany. Nie mógł patrzeć na nią dłużej niż kilka sekund, bo natychmiast ogarniał go przytłaczający smutek.

Kiedy ją zawołał, podeszła, ale unikała spojrzenia mu w oczy. Nie widzieli się od czasu popołudniowej afery w kuchni.

– Chodź, znajdziemy nasze miejsca – powiedział, a Lacey ruszyła za nim bez słowa.

Clay zarezerwował dla nich dwa krzesła w pierwszym rzędzie. Alec siedział pomiędzy Lacey a tęgawą kobietą, która pociła się obficie i wciąż napierała udem na jego udo. Gdy przesunął się odrobinę w drugą stronę, do Lacey, poczuł, że jej długie włosy czuć papierosami. A miała przecież dopiero trzynaście lat. Cholera jasna.

Wyciągnął aparat z futerału i zmienił obiektyw. Lacey patrzyła prosto przed siebie, nie odrywając wzroku od pustego, drewnianego podium. Zrozumiał, że sam musi przerwać tę ciszę.

– Lace, przepraszam, że powiedziałem do ciebie „Annie” – odezwał się.

– Nieważne. – Wzruszyła ramionami, takim gestem, jakby to nie było do niego, tylko ogólnie, do całego świata.

– Owszem, ważne. Clay mówił, że nie pierwszy raz mi się to zdarzyło.

Znów to samo wzruszenie ramionami i wzrok wbity w uschniętą trawę pod

stopami.

– Przesadziłem z tą bluzą – dodał Alec.

Lacey odwróciła się od niego. Kołysała się lekko, jakby w rytmie, którego on nie mógł usłyszeć.

– Kiedy zaczynają się letnie kursy? – zapytał, usiłując za wszelką cenę wciągnąć ją do rozmowy, ale w tym momencie tuż przed nimi wyrósł Clay. Był już przebrany w niebieską togę i biret, a czoło miał pokryte lśniąca warstewką potu.

– Świetne miejsca, co? – Wyciągnął rękę, a Alec uściśnął mu dłoń. Kiedy to zrobił, nagle poczuł się stary. Clay sięgnął pod togę i, wyciągnąwszy z kieszeni spodni plik wymiętych kartek z notesu, podał je ojcu. – Potrzyмай. Nie chcę się tym podpierać – powiedział i pociągnął siostrę za kosmyk długich włosów. – Jak tam, O’Neill? – zapytał.

Lacey wzruszyła ramionami.

– W porządku.

Clay obejrzał się za siebie.

– Lepiej już pójdę, robota czeka – oznajmił i ruszył w stronę podium.

Orkiestra zagrała marsza *Pomp and Circumstance*, a absolwenci niespiesznie zajmowali swoje miejsca. Alec i Lacey odwrócili głowy, aby na nich popatrzeć. Alec starał się nie słyszeć tej dobrze znanej, poruszającej melodii; wyobrażał sobie, że płynie na desce po wodach cieśniny, łapie wiatr w żagiel.

Wreszcie zaczęły się przemówienia. Gdy Clay wchodził na podest, Alec poczuł, jak Lacey sztywnieje. Chciał ją objąć, przygarnąć do siebie, ale zamiast tego trzymał ręce na kolanach i patrzył na syna. Clay wyglądał na podium jak najprawdziwszy mężczyzna. Przez mikrofon jego głos nabrał głębokich tonów; jego uśmiech był szczery i swobodny. Nic nie zdradzało nerwów, które nim targały. Każde słowo brzmiało w jego ustach tak swobodnie, jakby układał swoją mowę na poczekaniu. Opowiadał o swoim roczniku, o jego osiągnięciach. Urwał z wahaniem, a gdy zaczął mówić znowu, lekko drżał mu głos.

– Dziękuję moim rodzicom, którzy okazali mi miłość i szacunek, i nauczyli mnie wiary w siebie i samodzielnego myślenia. – Clay przez chwilę patrzył na Aleca, po czym powiódł wzrokiem po zgromadzonym tłumie. – Moja mama zginęła w grudniu. Jeśli czegoś żałuję, to tylko tego, że nie może tutaj być i dzielić ze mną tej chwili.

Alec poczuł, jak w oczach wzbierają mu łzy. Za jego plecami zapanowało lekkie poruszenie: to ludzie zaczęli się odwracać, żeby spojrzeć na niego i Lacey. Przysiągł sobie, że nie rozklei się publicznie.

Deska. Żagiel. Przecinam fale, daleko od brzegów cieśniny. Z dala od tej szarej, smutnej rzeczywistości, która zawładnęła moim życiem.

Nagle jakaś kobieta siedząca w pierwszym rzędzie wyciągnęła szyję, żeby zerknąć na niego. Przez chwilę wydawało mu się, że to ta lekarka, którą spotkał w pracowni. Olivia. Przyjrzał się jej i przeżył rozczarowanie, gdy przekonał się, że to jakaś obca osoba.

Pod koniec jej lekcji z Tomem. Zaproszę ją na obiad. I w końcu zapytam o to, co dręczy mnie nieprzerwanie już od tylu długich, samotnych miesięcy.

2 National Honor Society – amerykańska organizacja o charakterze ogólnokrajowym, zrzeszająca uczniów szkół średnich na podstawie czterech kryteriów: osiągnięć naukowych, zdolności przywódczych, pracy społecznej i siły charakteru.

Rozdział dziesiąty

Szkoło było chłodne w dotyku. Olivia pewnym ruchem przesunęła po nim ostrzem noża, zafascynowana grą różnobarwnych światła obmywających jej dłonie. Pracownia tonęła w kolorowym blasku, a na warsztacie tańczyły refleksy w odcieniach fioletu, morskiej zieleni i krwistego szkarłatu, które początkowo nie pozwalały jej skupić się na pracy.

– Przyzwyczajasz się – zapewnił Tom. I rzeczywiście. Po jakimś czasie nie mogła już obyć się bez tych kolorów. Odurzały, upajały.

Tom podał jej inny nóż do szkła, ze skośnie ściętą rączką mieszczącą zbiorniczek na olej.

– Spróbuj naciąć tym – poradził.

Olivia wzięła od niego narzędzie i poprowadziła idealnie prostą linię przez sam środek szklanej tafli.

– Widzę, że ćwiczysz – zauważył.

– E tam – bąknęła, cała rozpromieniona. Bo rzeczywiście, urządziła sobie warsztat na kuchennym stole i wprawiała się co wieczór po pracy. Za pierwszym razem musiała siłą oderwać się od artykułów w *Przeglądzie medycyny ratunkowej*, które powinna przeczytać, ale wkrótce weszło jej to w nawyk i cieszyła ją myśl, że wróci wieczorem do domu i usiądzie nad szkłem. Poprzedniego dnia stworzyła własny geometryczny wzór na papierze milimetrowym i teraz wycinała elementy z kawałków kolorowych szyb.

Kiedy kończyła już nacinać trzeci element, w pracowni zjawił się Alec O'Neill. Skinął tylko głową Tomowi, bo jego wzrok natychmiast spoczął na Olivii.

– Chciałbym z panią porozmawiać – powiedział. – Znajdzie pani trochę czasu po zajęciach?

Zdjęła zielone okulary ochronne i zerknęła na zegarek, chociaż nie miała na ten dzień żadnych planów.

– Tak – odparła, spoglądając na niego. Miał na sobie marmurkowe dżinsy

i spraną koszulkę polo, ale w tej chwili od stóp do głów skąpany był w cynobrowym świetle.

– Może o dwunastej? – zaproponował. – Spotkajmy się w bistro naprzeciwno.

Zajrzał na chwilę do ciemni, po czym pożegnawszy się: „Do zobaczenia niedługo”, wyszedł. Wiszący na drzwiach witraż zakołysał się za nim, a ściana przy drzwiach ciemni zmieniła kolor: z niebieskiego na różowy i z powrotem na niebieski.

Olivia sięgnęła po nowy kawałek szkła; wpadł jej w oko z samego rana, kiedy zjawiała się w pracowni, przyciągał wzrok fakturą w delikatne fałdy i głęboką ciemnozieloną barwą.

– Tego nie bierz – powiedział Tom. – Ręcznie walcowane. Zbyt kruche.

– Ale jest takie piękne... – Przesunęła palcami po chłodnej, falistej powierzchni. – Jak dotąd nic mi się nie stłukło, Tom. Mogę?

– Niech ci będzie. – Z ociąganiem położył przed nią surowiec. – Ale wyobraź sobie, że to jest Alec O’Neill, dobrze? Ten facet jest tak wrażliwy, że chyba bardziej już nie można. Nie wiem, o czym chce z tobą rozmawiać, ale pamiętaj: bardzo delikatnie. W porządku?

– W porządku – przytaknęła cicho, prawie szeptem, spoglądając w jego ciemnoniebieskie oczy. Następnie założyła okulary, ostrożnie ustawiła nóż na powierzchni szkła, oblizwała wargi i wstrzymała oddech. Ostrożność i delikatność nie zdały się jednak na nic: szkło pod jej różnobarwnymi dłońmi rozpadło się na kilka krzywych kawałków.

* * *

Małe bistro pękało w szwach. Przy kontuarze tłoczyli się ludzie w kostiumach kąpielowych, a zapach wędlin i marynaty mieszał się z wonią olejku do opalania. W kwiecistej spódnicy i zielonej bluzce Olivia czuła się tutaj grubo ubrana. Stała pod ścianą, tuż za drzwiami, szukając wzrokiem Aleca O’Neilla.

– Pani doktor...

Podążyła wzrokiem za głosem – za plecami stojącej obok kobiety dostrzegła cztery niewielkie stoliki, pod samym oknem, przy jednym z nich siedział Alec. Olivia precyzyjnie się przez tłum. Alec wstał i wychylił się nad stolikiem, by

odsunąć dla niej krzesło.

– Dziękuję. – Usiadła, przeglądając się w szybie. Jej proste, ciemne włosy sięgały ramion, a grzywka była już na tyle długa, że sama zsuwała się na bok. Olivia nagle przypomniała sobie czarno-biały portret szeroko uśmiechniętej Annie, z burzą rozmigotanych loków.

– Tłoczno tutaj, ale obsługa jest sprawna. – Alec odwrócił się, żeby spojrzeć na menu, wypisane kredą na czarnej łupkowej tablicy powieszony nad kontuarem. – Na co ma pani ochotę?

– Poproszę kanapkę z indykiem na razowym pieczywie – zdecydowała. – I lemoniadę.

Alec wstał, a właściwie zerwał się z za stolika, i wszedł za kontuar, gdzie młode dziewczyny szykowały kanapki. Zagadnął jedną z nich i położył dłoń na jej ramieniu. Olivia obserwowała go z bezpiecznej odległości: około czterdziestki, szczupły, nawet za bardzo – wyraźnie stracił na wadze od tamtego wieczoru, kiedy poznali się na pogotowiu, opalona twarz, choć teraz pod oczami widniały cienie, a policzki były zapadnięte. W ciemnych włosach nawet z daleka dawało się dostrzec siwe nitki, głównie na skroniach. Poruszał się ze zwinnością człowieka wysportowanego; gdyby miała zgadywać, powiedziałaaby, że pracuje na budowie, dzięki czemu cały dzień spędza pod gołym niebem, gdzie może spożytkować swoją nerwową energię i utrzymać kondycję.

Dziewczyna za kontuarem podała mu zamówione napoje. Podziękował jej skinieniem głowy i wrócił do stolika, lawirując w ścisku. Ciekawe, czy on się w ogóle uśmiecha, pomyślała Olivia.

Alec O'Neill postawił przed nią lemoniadę, a zanim usiadł, pociągnął długi łyk ze swojej szklanki. Odniosła wrażenie, że ten człowiek częściej stoi, niż siedzi.

Spojrzał na nią ponad blatem stolika. Słoneczny blask rozświetlający jego oczy podkreślał ostry kontrast pomiędzy półprzejrystym błękitem tęczówek a małymi, czarnymi źrenicami.

– Poprosiłem panią o spotkanie, ponieważ chciałbym się dowiedzieć, co dokładnie działo się z moją żoną tamtego wieczoru – wyjaśnił.

Olivia poczuła, jak nogawki jego dżinsów ocierają się o jej nagie kolana, i odsunęła się odrobinę razem z krzesłem.

– Wtedy nie było to dla mnie istotne, ale nie umiem... – ciągnął Alec O'Neill. – Wciąż się zastanawiam... – Potarł skronie opuszkami długich,

opalonych palców. – Wielu rzeczy po prostu nie wiem. W Boże Narodzenie pożegnaliśmy się rano i już, to wszystko. – Opuścił wzrok i wyprostował się, bo zjawiła się kelnerka z zamówionymi kanapkami. Głos mu drżał i Olivia zrozumiała, że jest bardzo poruszony.

– Panie O’Neill... – zaczęła, odczekawszy, aż kelnerka odejdzie.

– Alec.

– Alec. Odpowiem na twoje pytania najlepiej, jak potrafię, ale pewne rzeczy mogą się okazać trudne. A to chyba nie jest odpowiednie miejsce na taką rozmowę...

Rozejrzał się po zatłoczonym wnętrzu.

– Niedaleko mam gabinet – powiedział. – Aktualnie nie pracuję, ale jest otwarty. Możemy zabrać tam nasze kanapki. Masz czas?

Skinęła głową.

Alec przyniósł papierową torbę, do której zapakowali kanapki, a potem przeszli na parking przed pracownią, po drugiej stronie ulicy.

– Jedź za mną – powiedział, otwierając drzwi granatowego forda bronco.

Olivia wsiadła do swojego volvo i ruszyła za Alekiem na szosę Croatan Highway. Stamtąd skręcili w lewo, w kierunku Nags Head. Powiedział, że ma gabinet. Chodzi o biuro? Może jest kierownikiem ekipy budowlanej?, zastanawiała się. Ale co miało znaczyć: Aktualnie nie pracuję? Uświadomiła sobie, że nie wie o nim zupełnie nic poza tym, że był mężem kobiety, którą ona jednocześnie ubóstwiała i nienawidziła.

Zatrzymali się na parkingu przed przychodnią dla zwierząt o nazwie „Beacon”. Olivia zmarszczyła brwi na widok tabliczek z nazwiskami: lek. wet. Alec O’Neill i lek. wet. Randall Allwood. A więc był weterynarzem. Weterynarzem! Nigdy by nie zgadła.

Alec wysiadł z samochodu, w rękę trzymał torbę z kanapkami.

– Wejdziemy po cichu, od zaplecza – uprzedził.

Olivia ruszyła za nim na tyły budynku. Wydawało jej się, że robi coś zakazanego i powinna iść na palcach, aby robić jak najmniej hałasu na drobnym, chrzęszczącym żwirze. Alec otworzył drzwi i znaleźli się w chłodnym korytarzu z winylową posadzką. Ściany drżały od obłąkańczego psiego ujadania. Alec stanął przed pierwszymi drzwiami po lewej, przekręcił klucz w zamku i zaprosił Olivie do środka. Panele na ścianach niedużego gabinetu miały blady, ziemisty kolor, w środku było gorąco i duszno. Alec włączył klimatyzator.

– Przepraszam za ten zaduch – powiedział. – Za chwilę zrobi się chłodniej.
– Jesteś weterynarzem. – Olivia usiadła na czerwonym, skórzanym fotelu, który jej wskazał.

– Mhm – mruknął, podając jej zapakowaną kanapkę, a sam zasiadł za biurkiem. Na ścianach wisiało mnóstwo fotografii. Wiele z nich przedstawiało latarnię morską w Kiss River. Na kilku byli windsurferzy, a na jednym – młody płowy cocker-spaniel siedzący obok szarego persa podobnego do Sylvie, kotki Olivii. Chciała powiedzieć Alecowi, że ten kot ją przypomina, ale siedział zatopiony we własnych myślach, więc postanowiła zachować to dla siebie.

W oknie obok biurka zauważyła witraż: niebieskie litery ułożone w sylaby „lek” i „wet”, otulone czarnym kocim ogonem i osłonięte rozłożonymi skrzydłami mewy. Olivia zobaczyła oczyma duszy, jak Annie wręcza mu ten prezent – to miała być niespodzianka, dowód, że jest z męża dumna.

Alec odwinął kanapkę, położył papier na biurku i przyklepał go dłonią.

– Niestety, ostatnio nie czuję się weterynarzem. Po śmierci Annie wzięłem miesiąc wolnego, ale... – Wzruszył ramionami. – To trwa już znacznie dłużej.

Olivia przytaknęła, na znak, że rozumie. Wiedziała dokładnie, jak długo. W tym samym dniu, kiedy Alec stracił żonę, ona straciła męża.

– No więc... – Spojrzał na nią wyczekująco.

– Co chcesz wiedzieć? – zapytała.

– Co się wydarzyło tamtego wieczoru na pogotowiu? Powiedziałaś, że ją ratowaliście. Rozumiem, ogólnie rzecz biorąc, co to znaczy, ale jak to konkretnie wyglądało?

Alec odetchnął głęboko, wpatrując się w zdjęcie, które miał przed sobą na biurku. Stało pod kątem, więc Olivia nie widziała, co przedstawia, była jednak przekonana, że to portret Annie i ich dzieci, przy samej ramce biegła ruda smuga, najprawdopodobniej włosy Annie.

– Najbardziej chyba chciałbym wiedzieć – podjął po chwili – czy była przytomna? Czy coś czuła? Czy cierpiała?

– Nie – odparła Olivia. – Nie cierpiała i nie odzyskała przytomności. W ogóle nie wiedziała, co się z nią dzieje. Kiedy trafiła ją kula, prawdopodobnie poczuła ostry, kłujący ból, który właściwie bardziej ją zdziwił, po czym natychmiast straciła przytomność.

– To dobrze. – Alec oblizał wargi i skinął głową.

– Przywieźli ją do nas w bardzo złym stanie. Po objawach rozpoznałam, że

kula przebiła serce i jedynym wyjściem jest operacja.

– Ty ją operowałaś?

– Tak. Razem z doktorem Mikiem Shelleyem, kierownikiem naszej placówki. Dołączył do mnie w połowie.

– Z taką raną nie powinna była raczej trafić do szpitala Emerson Memorial na urazówkę?

Olivia zmartwiała. W uszach zabrzmiały jej słowa Mike’a Shelleya: „Może rzeczywiście trzeba było ją odesłać. Teraz w razie czego wina za jej śmierć spadnie na ciebie”.

– Rzeczywiście. Ale transport do Emersona zajęłoby zbyt wiele czasu. Umarłaby w drodze. Natychmiastowa operacja była jej jedyną szansą.

– Więc musiałaś ją... otworzyć... na miejscu?

– Tak, a potem... Naprawdę chcesz wiedzieć?

Alec odłożył kanapkę.

– Chcę wiedzieć wszystko – oznajmił.

– Tętno było nieoznaczalne. Udało mi się objąć dłonią jej serce i zatkać kciukiem i palcem wskazującym otwór wlotowy i wylotowy. Wtedy podjęło pracę i zaczęło bić.

Odruchowo uniosła dłoń. Widziała, jak wpatrywał się w palce, a jego serce też zabiło mocniej. Gdy drgnął i gwałtownie wypuścił powietrze, szybko opuściła dłoń na poręcz fotela.

– Wtedy miałam jeszcze nadzieję, że się uda. Myślałam, że jeśli tylko zdołamy zamknąć te otwory, to wszystko będzie w porządku.

Wyjaśniła, jak Mike Shelley próbował zaszyć ranę wylotową. Przypomniała sobie krew przeciekającą pomiędzy jej palcami. Do tej pory budziła się w nocy i musiała zapalić światło, aby się przekonać, że nie ma na dłoni ciepłej, lepkiej krwi. Nagle zdjął ją strach, że zaraz sama się rozpłacze. Starła się powstrzymać łzy, aż z tego wysiłku szczypało ją w nosie.

– Oczywiście – powiedział Alec wyzutym z emocji głosem. – Wygląda na to, że zrobiliście wszystko, co w waszej mocy.

– Tak.

Osunął się na krzesło.

– Mało pamiętam z tamtego wieczoru – przyznał. Nie patrzył na Olivię. Jego wzrok błędził w powietrzu gdzieś pomiędzy nimi dwojgiem. – Ktoś musiał zadzwonić po Nolę, naszą sąsiadkę, bo wiem, że ona odwiozła nas do domu, ale co się działo po drodze? Nie mam pojęcia. Dzieci były przy mnie, ale nie

potrafię sobie tego przypomnieć. – Uniósł wzrok na Olivię. – Coś mi mówi, że dla ciebie to też była trudna noc.

– Owszem – potwierdziła, zastanawiając się, co zdradza jej twarz.

– Nawet teraz nie jest łatwo o tym rozmawiać.

– Masz prawo wiedzieć.

Alec pokiwał głową.

– No cóż, dziękuję. Za wszystko, co zrobiłaś tamtego dnia, i za to, że zgodziłaś się dzisiaj ze mną porozmawiać. – Skinął ręką, spoglądając na kanapkę, którą Olivia trzymała na kolanach. – Nic nie zjadłaś.

Opuściła głowę i spojrzała na ciasno zawiniętą paczuszkę.

– Zostawię ją sobie na kolację – odparła, ale on już jej nie słuchał. Patrzył na zdjęcie stojące przed nim na biurku.

– Chciałbym dostać tylko jedną minutę, żeby się z nią pożegnać – westchnął, a potem jego wzrok przyciągnęła ślubna obrączka na palcu Olivii. – Masz męża?

– Tak.

– Pamiętaj, żeby cieszyć się każdą chwilą z nim spędzoną, jakby miała być ostatnia.

– Jeśli mam być szczerą, to jesteśmy w separacji – wyznała z zakłopotaniem i dziwnym poczuciem winy, że ona i Paul nie są razem, chociaż żyją i mają się dobrze.

– Aha – powiedział Alec. – To lepiej czy gorzej?

– Strasznie.

– Współczuję. Ile to już trwa?

– Sześć miesięcy. – Nawet jeśli skojarzył, że Olivia tyle samo czasu żyje bez męża, co on bez żony, nie dał nic po sobie poznać.

– Kto podjął taką decyzję?

– On. – Opuściła głowę i wbiła wzrok w obrączkę z brylancikami, którą obracała na palcu. – Z powodu innej kobiety – wyznała, zastanawiając się, ile jeszcze przed nim odkryje, zanim skończy. – To nie był prawdziwy romans. Nie doszło do... Relacja była platoniczna. On właściwie jej nie znał. Wydaje mi się, że raczej uroił sobie to wszystko, zresztą jej już tutaj nie ma. Wyjechała... ale on wciąż to przeżywa.

– Może znów się zejdziecie?

– Mam taką nadzieję. Jestem w ciąży.

Alec ze zdziwieniem popatrzył na jej brzuch.

– Dopiero jedenasty tydzień – wyjaśniła.

– Jak to? – Uniósł pytająco brwi. – Przecież powiedziałaś, że...?

– Och. – Poczowała, że się czerwieni. – Raz został na noc.

Alec uśmiechnął się po raz pierwszy, odkąd go poznała, a na jego wymizerowanej twarzy zauważyła teraz cień prawdziwej męskiej urody. Odpowiedziała mu uśmiechem.

Drzwi gabinetu uchyliły się i do środka zajrzała ciemnowłosa kobieta.

– Alec? – zapytała i weszła. Pod białym fartuchem miała dzinsy, a włosy nosiła zaplecione w wiszący na plecach warkocz. Przyjrzała się Olivii, po czym zwróciła wzrok na Aleca. – Przepraszam, nie wiedziałam, że ktoś z tobą jest. Przyjechałeś do pracy?

– Chciałabyś. – Alec znów się uśmiechnął, tym razem szeroko, od ucha do ucha. Wstał i obszedł biurko, żeby pocałować kobietę w policzek, a następnie wyciągnął rękę i wskazał Oliwię. – To jest doktor Olivia Simon. Miała dyżur na pogotowiu tamtego wieczoru, kiedy zmarła Annie.

– Aha. – Kobieta spoważniała i stanęła twarzą do Olivii. – Randi Allwood.
– Wyciągnęła do niej rękę.

– Pracujemy tutaj razem – wyjaśnił Alec.

– No, powiedzmy – zauważyła Randi. – Ostatnio wszystko robię sama.

Alec skinął głową, dając znak do wyjścia, więc Olivia wstała z fotela.

– Muszę z tobą porozmawiać – zatrzymała go Randi.

– Dobrze. – Alec otworzył drzwi, by przepuścić Oliwię przodem. – Zaraz wrócę.

Odprowadził ją do samochodu.

– Dziękuję jeszcze raz, że zgodziłaś się to dla mnie zrobić – powiedział. – I powodzenia z mężem.

– Dziękuję. – Stanęła z nim twarzą w twarz.

– Czy on wie... – Alec opuścił rękę, niemalże dotykając jej brzucha wierzchem dłoni. – Czy wie, co się stało, kiedy ostatnio... został na noc?

Olivia potrząsnęła głową.

– Nie.

– A czy wie, że wciąż go kochasz?

– Sądzę, że tak.

Na pewno? Przecież tyle było teraz między nimi przykrych nieporozumień...

Alec otworzył jej drzwi samochodu.

– Postaraj się mu powiedzieć, dobrze?

Olivia usiadła za kierownicą i pomachała mu na pożegnanie, po czym wyjechała na Croatan Highway. Nie umiała sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz powiedziała Paulowi, że go kocha. Może tamtej kwietniowej nocy? Pewnie tak, ale pamięć milczała. Minęło kilka miesięcy, a ona przez cały ten czas skrzętnie unikała tego wspomnienia.

To było w pierwszych dniach kwietnia, w czwartkowy wieczór. Paul wstąpił do domu, szukał czegoś. Programów do komputera? Dawno wyrzuciła z pamięci ten nieistotny szczegół. Olivia leżała już w łóżku, kiedy usłyszała, że Paul otwiera sobie drzwi. W pierwszej chwili poczuła złość i gorycz – ale trzeba mieć tupet, żeby tak przychodzić jak do siebie! – ale te emocje szybko ustąpiły miejsca uldze: mogła go zobaczyć, zamienić z nim kilka słów. Leżała bez ruchu, a on z salonu wszedł po schodach na górę i już był w sypialni. Usiadł na skraju ich dużego łóżka.

– Przepraszam, że nachodzę cię o tej porze – powiedział. – Tylko coś wezmę i znikam.

Olivia uniosła wzrok. W pokoju było ciemno, ale wydawało jej się, że w jego oczach dostrzega ślad czułości. Był tutaj, naprawdę siedział na łóżku, na ich łóżku, obok niej, czuła na biodrze ciepło jego uda. Wzięła go za rękę i oparła dłoń na jego kolanie, dziękując mu w myślach, że nie odsunął się od niej.

– Nie musisz się spieszyć – szepnęła.

Paul lekko pogładził opuszką kciuka wierzch jej dłoni, jakby chciał ją zachęcić. Olivia bezwstydnie wciągnęła jego rękę pod kołdrę i położyła na swojej nagiej piersi.

Nie powiedział nic, ale poczuła, jak musnął palcami jej sutek, raz, potem drugi. Wczepiła się dłonią w klamrę jego paska; nagle zdjął ją strach, że to wszystko dzieje się zbyt szybko, że narzuca mu się za bardzo, ale nie umiała się już powstrzymać. Zbyt długo musiała obywać się bez niego.

Paul łagodnym ruchem wysunął dłoń spod kołdry i zdjął okulary, składając druciane oprawki. Położył je na nocnym stoliku, obok lampy, po czym pochylił głowę i miękko pocałował Olivię w usta. Zaczął się rozbierać, powoli, po kolei składając koszulę, potem spodnie. Jej serce zanosiło się głuchym łomotem, nie tylko z niecierpliwości i nie tylko z podniecenia, ale także dlatego, że ta chwila niosła ze sobą tyle możliwości. I tyle nadziei. Kiedy Paul położył się obok, jej twarz rozjaśnił uśmiech. Chciała powitać go w domu.

Jego pierwszy dotyk był sztywny i zimny, jakby nie mógł sobie przypomnieć,

kim jest Olivia i co lubi. Jego członek leżał na jej udzie, wiotki i całkiem chłodny. Przygryzła wargę, zawiedziona. Musiała zrobić coś nie tak, bo Paul nie był podniecony. Straciła pewność siebie, tak jak kiedyś, chociaż myślała, że ma to już dawno za sobą.

Lecz im dłużej Paul ją pieścił, tym jego ruchy stawały się pewniejsze, a kiedy wreszcie usiadła na nim i sięgnęła w dół, aby wziąć go w siebie, był gotowy, o tak, był gotowy. Kochali się bez pośpiechu, co było cudowne, bo wiedziała, że to ona własnym ciałem dyktuje to tempo. Chciała, żeby ta chwila trwała bez końca. Dopóki byli złączeni w jedno, mogła udawać, że wszystko jest w porządku, że będą już razem, nie tylko teraz, ale też jutro, za tydzień, za rok.

Kiedy było po wszystkim, rozpłakała się, wylewając łzy na jego ramię. Paul pogłodził ją po głowie.

– Bardzo cię przepraszam, Liv – westchnął.

Olivia uniosła się na łokciu i spojrzała na niego, nie mając pewności, za co te przeprosiny.

– Proszę, zostań – powiedziała.

Potrząsnął głową.

– To był błąd, że się kochaliśmy. Będzie ci z tym tylko trudniej.

– Wciąż myślisz o niej – stwierdziła, starając się, żeby nie zabrzmiało to jak oskarżenie.

– Tak. – Paul wysunął się spod niej, siadając na skraju łóżka i sięgając po okulary. – Wiem, że to chore – przyznał. – Wiem, że ona nie żyje, ale to jest tak, jakby kontrolowała moje myśli. Przestałem już z tym walczyć. Poddałem się.

Olivia usiadła na posłaniu i przysunęła się do niego, opierając brodę na jego ramieniu i kładąc mu dłoń na plecach.

– Może gdybyś wrócił do domu... – zaproponowała. – Gdybyśmy spróbowali odbudować nasze wspólne życie. Może wtedy udałoby ci się o niej zapomnieć.

– To na nic. Zresztą to by było nie w porządku wobec ciebie.

– Niech to będzie moja decyzja. Chciałabym spróbować, Paul. Cudownie było kochać się z tobą teraz. Tego właśnie potrzeba, żebyś... – Uwolnił się od niej, błysnęło jej w głowie. – Żebyś mógł o niej zapomnieć.

– To się nie uda, Liv. – Paul wciągnął szorty i wstał, wyglądając przez okno, za którym rozciągały się ciemne wody cieśniny. – Przed chwilą, kiedy się

kochaliśmy, kompletnie nie mogłem się w to wczuć. Udało się, dopiero gdy wyobraziłem sobie, że ty to Annie.

Natychmiast z jej oczu polały się łzy. Naciągnęła na siebie koc, zasłaniając swoją nagość.

– W czym ona jest taka wyjątkowa? – zapytała. – Czego tak strasznie mi brakuje?

– Cicho, niczego. – Paul pochylił się, obejmując ją zdawkowo, protekcyjnie. – Nie płacz, Liv. Proszę cię.

Uniosła wzrok, spoglądając na niego.

– Czy w ogóle było ci kiedyś ze mną dobrze? A może przez tyle lat tylko udawałeś, że jest ci dobrze, żeby mnie nie urazić?

Był pierwszym i jedynym mężczyzną, z którym poszła do łóżka i chociaż miała wtedy znacznie więcej lat, niż przeciętnie ma kobieta rozpoczynająca współżycie, to bała się panicznie. Jego cierpliwość i wsparcie sprawiły jednak, że wszystko stało się łatwe. Jej pewność siebie rozkwitła dzięki jego rozkochanym pochwałom oraz czułym komplementom; powiedział jej też, tonem najbardziej pochlebnym z możliwych, że w łóżku zamienia się w prawdziwe zwierzę. Bardzo ją ucieszyła świadomość, że jest w stanie obudzić w sobie namiętność zmysłów, bo od dawna była przekonana, że te emocje są jej całkowicie obce.

– Oczywiście, że było mi z tobą dobrze – zapewnił Paul. – I wcale nie chodzi o seks. – Z powrotem odwrócił głowę do okna, wzdychając przeciągle i znużonym gestem przecierając twarz dłońmi. – Przepraszam, że powiedziałem ci teraz to o Annie. – Pokręcił głową i dodał zduszonym głosem: – Nie zasłużyłaś na to. Naprawdę bardzo mi przykro.

Olivia nie wiedziała, co powiedzieć. Nie miała pojęcia, jakie słowa mogłyby uratować te resztki ich wspólnego życia. Milczała więc tylko, a Paul skończył się ubierać, pochylił się, żeby pocałować ją w głowę, i wyszedł z sypialni. Słyszała jeszcze, jak myszkuje po gabinecie, szukając tego, po co przyjechał, a potem wychodzi z domu, zamykając za sobą drzwi; co z tego, że zamknął je cicho. Nasłuchiwała, jak odjeżdża spod domu i rusza ulicą, a słyhać go było aż do zakrętu na skrzyżowaniu z Mallard Run. Upłynęła godzina, zanim udało jej się zamknąć oczy, i kolejna, nim wreszcie przyszedł sen. A zaledwie kilka krótkich tygodni później zorientowała się, że kiełkuje w niej nowe życie, powstałe z nasienia, które Paul zasiał w niej, wyobrażając sobie, że przekazuje je Annie.

* * *

Po powrocie do gabinetu Alec wcale się nie zdziwił, że Randi wciąż na niego czeka. Unikał jej przez ostatnie pół roku. Kilka razy wpadli na siebie przypadkiem w sklepie czy w restauracji Sea Tern, ale on szybko kończył te spotkania, wystarczyło, że dostrzegł, jak w jej oczach w miejsce współczucia pojawia się zniecierpliwienie. Teraz jednak Randi przyparła go do muru.

– Siadaj, Alec. – Pod jego nieobecność zajęła fotel zwolniony przez Olivię. Usiadł z powrotem za biurkiem.

– Fajnie zajrzeć tutaj i zobaczyć cię na swoim miejscu – zaczęła.

– Posłuchaj, Randi. Przyjechałem tylko dlatego, że w knajpie nie dało się pogadać na tak poważny temat. To było najlepsze miejsce. Nie dopatruj się w tym nie wiadomo czego.

– Kiedy wrócisz do pracy, Alec?

Nie znosił, kiedy pytała go o to tak bezpośrednio. Nie mógł wtedy wykręcić się od odpowiedzi.

– Nie wiem – mruknął.

Randi westchnęła z irytacją i pochyliła się w jego stronę.

– Skąd ty w ogóle masz forszę na życie, do jasnej cholery? Za co karmisz dzieciaki? Jak opłacisz Clayowi studia?

– Z tym nie będzie problemu.

– A nie boisz się, że mózg ci wypłynie od nieróbstwa?

– Wolne dobrze mi robi, Randi. Mam dużo czasu na pracę w Komitecie na rzecz latarni.

Wyprostowała się z powrotem, krzywiąc usta z niesmakiem.

– Alec, zaczynasz mnie wkurzać.

Uśmiechnął się.

– I czego się szczerzysz? – warknęła, ale też nie mogła powstrzymać uśmiechu. – Och, Alec, po prostu brakuje mi ciebie, a poza tym się martwię. Ale sam dobrze wiesz, jak jest. Zostawiłeś wszystko na mojej głowie. Mówiłeś, że wrócisz za miesiąc, tymczasem już minął prawie rok, a ja dalej zasuwam w pojedynkę.

– Nie minęło jeszcze nawet pół roku, a poza tym nie jesteś sama. Co ze Steve'em Matthewsem? Źle wam się razem pracuje?

– Nie o to chodzi. – Randi machnęła dłonią, zniecierpliwiona.

Alec wstał i obszedł biurko. Stał oparty o nie biodrem, w takim miejscu, żeby mieć prostą drogę do drzwi.

– Randi, jeśli naprawdę nie dajesz już rady, powiedz. Poszukamy jeszcze kogoś do pomocy. Nie chcę, żebyś się przepracowywała.

Westchnęła jeszcze raz i oklapła na fotelu.

– Daję radę – przyznała. – Chciałam zagrać ci na sumieniu. Myślałam, że coś osiągnę.

Kiedy wstała, Alec z ulgą zobaczył w jej oczach rezygnację. Zbliżyła się i wyciągnęła do niego ręce, a on uściśnął ją serdecznie i zamarł na chwilę, gdy poczuł na torsie jej piersi, a na policzku – ciepłe muśnięcie pachnących włosów.

Odsunął się od niej delikatnie.

– Miłe to było – mruknął. – Już dawno nie miałem w ramionach kobiety.

W oczach Randi mignął nagły błysk.

– A ja już od dawna chcę cię poznać z moją znajomą.

Alec potrząsnął głową.

– Spodobałaby ci się – zapewniła Randi. – A zresztą najwyższy czas, żebyś wyszedł z domu. Dokoła pełno wolnych kobiet, a ty też jesteś wolny.

Zirykowało go to słowo: „wolny”.

– Jeszcze za wcześnie, o wiele za wcześnie – powiedział.

– A ta lekarka? Jest ładna i...

– ...i ma męża, a do tego jest w ciąży.

– Nie brakuje ci seksu? – Wypaliła prosto z mostu.

– Brakuje mi wszystkiego – burknął i poczuła, jak ogarnia go złość. Randi cofnęła się o krok. – Nie jesteśmy w szkole, a to nie jest zabawa. Straciłem żonę. Prawą rękę, rozumiesz? Annie była niezastąpiona.

– Wiem – szepnęła Randi, a jej oczy wypełniły się łzami.

– Pozwól mi podejmować decyzje we własnym tempie, dobrze? – Alec zabrał z biurka klucze do samochodu i ruszył do drzwi.

– Nie gniewaj się na mnie – poprosiła.

– Nie gniewam się. – Otworzył drzwi i obejrzał się na nią. – Nie oczekuję, że zrozumiesz, Randi. Nie przejmuj się.

Zanim doszedł do swojego forda, był już zlany potem. Wsiadł, ale nie zamknął drzwi, włączył tylko klimatyzację, żeby nawiew wypchnął z auta nagrzane powietrze. Potem wyjechał na szosę i ruszył na północ; samochód

jechał praktycznie sam, jak na autopilocie. W krótkim czasie Alec dotarł do Kiss River. O tej porze w latarni mogli być jacyś turyści, ale on wiedział, jak ich unikać.

Zjechał na krętą leśną drogę prowadzącą do latarni. W pewnym momencie musiał zatrzymać się na chwilę, bo z lasu wyszedł jeden z tutejszych dzikich mustangów – czarny ogier, którego Alec zeszłej jesieni wyleczył z infekcji – i niespiesznym krokiem przedefilował przed maską. Kiedy ruszył, zatrzymał się dopiero na niewielkim parkingu otoczonym ze wszystkich stron gęstymi krzewami woskownicy. Tu wysiadł z samochodu i znalazł ścieżkę prowadzącą do latarni.

Ocean był wzburzony. Fale biły z impetem w molo. Gdy zbliżał się do latarni, czuł na twarzy mokrą mgiełkę. Przed nim wznosiła się wieża; białe cegły, przesiąknięte słońcem, lśniły oślepiająco. Na wąskim i ustawicznie malejącym półkolistym skrawku piaszczystej miejscowej plaży bawiła się grupka dzieci, a w pobliżu kręciła się garstka turystów: jedni czytali napisy na tabliczkach, inni zadzierali głowy ku niebu, osłaniając oczy, aby przyjrzeć się czarnej galerii z kutego żelaza.

Alec skierował się do drzwi u podstawy białego muru, starając się, żeby nikt go nie zauważył. Po drodze obejrzał się jeszcze na stary dom latarnika. Wszystko wskazywało na to, że tego dnia nikt z Zarządu Parków Narodowych nie pojawił się w pracy. Doskonale, pomyślał i wsunął do zamka klucz, który miał w kieszeni; zanim drzwi się otworzyły, musiał nim trochę pomanipulować. Annie dostała klucz już bardzo dawno od Mary Poor, która zawsze traktowała go jak swój skarb. Strzegła go zazdrośnie.

Alec zniknął za drzwiami i przekręcił klucz od wewnątrz. W środku panował chłód, było wręcz zimno. Gdzieś w zakamarkach wieży gnieździły się ptaki. Nie widział ich, ale wśród półkolistych ceglanych ścian niósł się echem trzepot skrzydeł, a czasem dawał się słyszeć przelotny świergot. Wewnątrz cegły też były białe, ale farba łuszczyła się już mocno i opadała płatami na podłogę.

Alec ruszył po długich, krętych, stalowych schodach, nie zatrzymując się przy żadnym z sześciu prostokątnych okien oświetlających podesty; gdy dotarł do klaustrofobicznie ciasnej klatki pod samą latarną, dyszał już ciężko. Ostatnio zaniedbał ćwiczenia.

Otworzywszy drzwi, wyszedł na zalaną słońcem galerię. Usiadł pod samą ścianą, żeby nie było go widać z dołu, i odetchnął głęboko powietrzem

przesyconym solą i wilgocią.

Przed nim, jak okiem sięgnąć, rozciągały się błękitne wody oceanu. Widać stąd było wyraźnie molo; przypomniało mu to dzień pogrzebu i upragnione zobojętnienie, które wtedy polubił. Od chwili, gdy Olivia Simon powiedziała mu, że Annie nie żyje, przestał czuć cokolwiek. Nie płakał, nie uronił ani jednej łzy. W załatwianiu wszystkich spraw pomagała mu Nola, która płakała bez przerwy i wciąż tylko powtarzała, że to Annie zawsze zajmowała się takimi rzeczami, że świetnie umiała organizować ludzi – Alec wydawał tylko jakieś potakujące pomruki zza grubego muru zobojętnienia, który wznosił wokół siebie.

Kościół, w którym odbył się pogrzeb, choć największy w całym regionie Outer Banks, nie pomieścił wszystkich przybyłych. Ludzie stali w kruchcie, na schodach wejściowych, a nawet na parkingu.

Alec siedział między Clayem a Nolą. Lacey postanowiła zostać w domu, a on jej nie namawiał, choć w kościele co chwila ktoś pytał, gdzie jest jego córka. Był odrętwiały z bólu, nie docierało do niego, że wystarczy odpowiedzieć: „Nie chciała przyjść”.

Pojawiła się nawet matka Annie. Usiadła w ostatnim rzędzie, bo Alec nie zaprosił jej do przodu, chociaż Nola błagała, by pogodził się z teściową.

– Annie nigdy by nie pozwoliła jej siedzieć z tyłu – szeptała mu do ucha.

– Niech się do mnie nie zbliża – uciął, żałując, że nie może zabronić Clayowi oglądania się przez ramię; chłopak bardzo chciał zobaczyć babcię, której nigdy nie poznał.

Słuchał, jak różni ludzie z ambony opowiadają o tym, co Annie zmieniła w ich życiu. Jako ostatni zabrał głos przewodniczący samorządu hrabstwa, który przypominał, że przez cztery lata Annie otrzymywała tytuł kobiety roku, że wykonała charytatywnie witraże w bibliotece i domu kultury, że walczyła o prawa tych, którzy sami nie mogli o siebie walczyć.

– To była nasza święta Anna – powiedział. – Każdy wiedział, że zawsze może się do niej zwrócić o pomoc. Ona po prostu nie znała słowa „nie”.

Alecowi nie podobało się recytowanie wielkodusznych czynów Annie. Bo właśnie ta wielkoduszność ją zabiła.

Prawie wszyscy pojechali później na zimną plażę w Kiss River, aby zobaczyć, jak Alec i Clay wynoszą urnę z prochami Annie na smagane wiatrem molo. Gdy Alec otworzył urnę i wysypał zawartość, ujrzał z przerażeniem, jak dziki podmuch rozwiewa je z bezlitosną gwałtownością; wtedy całe

zobojętnienie ulotniło się w jednej chwili, a jego miejsce zajął przeraźliwy ból. Po Annie została tylko garść popiołu, a on ją wyrzucił. Patrzył otępiąłym wzrokiem, jak unosi ją wiatr. Wreszcie Clay pociągnął go za rękę.

– Wracajmy, tato – powiedział. Kiedy dotarli do plaży, Alec miał już całą twarz mokrą od łez i szedł wsparty na ramieniu syna. Natychmiast wyciągnęły się do niego ręce i znalazł się w wielkim kręgu pełnym ciepłego uczucia. Byli tam i Clay, i Nola, i Tom, i Randi. Wszyscy. Krąg zacieśniał się coraz bardziej, aż wreszcie stworzyli zbitą, czarną ludzką masę. W samym jej środku stał Alec: otoczony ludźmi i zupełnie sam.

Pochylił się, aby spojrzeć w dół z wysokości galerii. Może mu się wydawało, ale od czasu jego ostatniej wizyty w tym miejscu ocean zbliżył się do murów latarni. Nie wiedział, jak Zarząd Parków Narodowych zamierza ratować latarnię, miał tylko nadzieję, że się pospieszą.

Poklepał się po kieszeni w poszukiwaniu klucza, którego nie wolno mu było mieć. I nagle błysnęła mu myśl: „Mary!”. Tak, po powrocie do domu natychmiast skontaktuje się z tym dziennikarzem Paulem Macellim i poradzi mu, żeby porozmawiał z Mary Poor. Oby staruszka jeszcze żyła. Tylu anegdot o latarni nie znał nikt. Gdyby Mary była jeszcze na tyle świadoma, żeby mu pomóc, mogłoby się okazać, że Paul nie potrzebuje żadnej kolekcji archiwaliów.

Alec wstał i odetchnął głęboko słonym morskim powietrzem. Czuł się już trochę lepiej, chociaż w uszach wciąż dźwięczały mu słowa Randi, jej pochwała bycia „wolnym” mężczyzną. Potrząsnął głową. Randi nie jest w stanie tego zrozumieć, powiedział sobie. I nie mam jej tego za złe.

Pomyślał o tamtej lekarce, Olivii. Mąż opuścił ją, aby gonić za złudzeniem. Ona wie, co ja czuję, uświadomił sobie nagle. Słyszał to w jej głosie, kiedy rozmawiali, widział w jej pełnych empatii oczach. Rozumiała go doskonale.

Rozdział jedenasty

Paul leżał na łóżku, śledząc wzrokiem kolory na suficie. Była szósta po południu, pora, kiedy najbardziej lubił przebywać w tym pokoju. Promienie słońca padały wtedy pod takim kątem, że tropikalne ryby z witraża w oknie przepływały na sufit; były lekko rozmyte, ale za to mieniły się błękitem, zielenią i złotem. Mógł tak leżeć i gapić się do zmierzchu. Spędził w tym domu niejedną wieczór, patrząc, jak pokój pogrąża się w ciemności, ale teraz szczególnie wyczekiwał zmroku. Pragnął, aby sen wymazał z jego pamięci rozmowę z Alekiem O’Neillem. Najchętniej udawałby, że przed godziną w ogóle nie odebrał telefonu w kuchni i nie usłyszał w słuchawce rozentuzjasmowanego głosu męża Annie. Jak to możliwe, że ten facet był taki zadowolony, tak bardzo cieszył się swoim życiem? Alec oznajmił, że ma pomysł, i dodał, że sam nie wie, dlaczego wcześniej nie przyszło mu to do głowy. Otóż wszelkie informacje potrzebne do broszury Paul uzyska od starej latarniczki Mary Poor.

Paul nie odpowiedział, porażony propozycją. Jasne, myślał. A może od razu się potnę i posypię solą.

– Ona mieszka w domu opieki w Manteo – ciągnął Alec. – Moja żona odwiedzała ją tam. Ostatni raz pojechała około sześciu miesięcy temu i mówiła, że Mary zachowała pełnię władz umysłowych.

Paul czuł się jak w potrzasku. Wiedział, że sam się weń wpakował, gdy zadzwonił do Noli Dillard i wybłagał przyjęcie do komitetu. Jedyna nadzieja w tym, że Mary Poor mnie nie rozpozna, pomyślał. Niezależnie od tego, czy zachowała pełnię władz umysłowych, jej podeszły wiek na pewno dał się jej we znaki, a zresztą nie widziała go wiele, wiele lat. Przez chwilę chciał powiedzieć Alecowi, że coś mu wypadło i jednak nie będzie mógł działać na rzecz latarni, ale ta wielka biała wieża stanowiła dla niego zbyt wielką pokusę. Odparł więc, że chętnie spotka się ze starą latarniczką, i obiecał załatwić to jak najszybciej. Potem odłożył słuchawkę, poszedł do sypialni

i położył się na łóżku, by poszukać ukojenia w barwnych refleksach witraża.

Wtedy znów zadzwonił telefon. Paul sięgnął do aparatu na nocnym stoliku.

– Nie przeszkadzam ci? – W słuchawce zabrzmiał głos Olivii.

– Nie. – Wyciągnął się z powrotem na pościeli, trzymając słuchawkę przy uchu. Barwy właśnie zaczęły się mieszać i spływać na ścianę w głębi pokoju.

– Chciałam zapytać, co u ciebie.

– W porządku – odparł. – A u ciebie?

– Dobrze. Dzisiaj wieczorem pracuję w schronisku.

– Wciąż tam jeździsz, tak? – Bardzo mu się to nie podobało. Annie pracowała w tym schronisku, bo miała autentyczną potrzebę pomagania innym. Co stało za decyzją Olivii – Paul nie wiedział. Czasem wyobrażał sobie, że przydarza się jej tam nieszczęście, coś złego. Może znów jakiś oszalały mąż. Mało prawdopodobne, ale przerażała go myśl, że ktoś może skrzywdzić Olivię.

– Owszem, wciąż tam jeżdżę. Jeden wieczór w tygodniu. – Zawiesiła głos z wahaniem, po czym dodała: – Ale tak naprawdę zadzwoniłam, by powiedzieć, że nadal cię kocham.

Paul zacisnął powieki.

– Nie rób tego – jęknął. – Nie zasługuję na twoją miłość.

– Wciąż pamiętam, co nas kiedyś łączyło.

Poczuł się jak skończony łajdak. Jej naprawdę było bardzo ciężko. Liczyła na niego. W pracy, na pogotowiu, mogła grać twardą i pewną siebie, ale nikt by się nie domyślił, jak wrażliwa i krucha natura kryje się pod białym fartuchem.

– Paul?

– Jestem.

– Przepraszam. Nie chciałam wprawić cię w zakłopotanie. Po prostu musiałam ci o tym powiedzieć.

– W porządku. Dziękuję.

Olivia milczała jeszcze przez chwilę, a potem się pożegnała. Kiedy w słuchawce zabrzmiał sygnał, Paul się skrzywił. Cholera jasna, pomyślał. Co miałem odpowiedzieć? Sama wystawia się na ciosy.

A może po prostu prawdę? W pierwszej chwili będzie zrozpaczona, ale w końcu zrozumie. Przekona się, że uczucia, jakim Paul darzył Annie, nie sposób nazwać „podkochiwaniem się”. To słowo bolało go do żywego za każdym razem, gdy przypominał sobie, jak padło z ust Olivii, choć przecież to

nie była jej wina, że tak właśnie myślała. On sprawił, że w to uwierzyła.

Umawiał się z Annie na wywiady i wszystkie przeciągał w nieskończoność; gdy zabrakło już powodów, żeby raz jeszcze się z nią spotkać, odkładał pracę nad artykułem, aż wreszcie termin złożenia tekstu zawisł nad nim nieubłagane. Te wywiady były dla niego torturą. Musiał trzymać się na dystans, łowić każde słowo z daleka, zza stolika w restauracji, a on pragnął dotknąć dłonią jej policzka albo nawinąć na palec kosmyk jej niesamowitych włosów. Wiedział jednak, że nie może się zbliżyć. Mówił mu o tym ostrzegawczy błysk w jej oczach: to relacja wyłącznie na płaszczyźnie zawodowej.

Nagrywał ich rozmowy. Annie zgodziła się na to, choć niechętnie.

– Paul, obiecaj, że będziesz rozmawiał ze mną tak, jakbyśmy widzieli się po raz pierwszy w życiu. Jakbyśmy w ogóle się nie znali – prosiła, a on starał się spełnić jej prośbę. Bał się teraz przesłuchać te taśmy, usłyszeć jej chropawy głos, bostoński akcent, jej zaraźliwy chichot.

We wszystkich nagraniach Annie opowiadała o Alecu. Paul nie znosił tego słuchać: mówiła o nim ciepło, a jego imię zawsze wymawiała z czułością. Powiedział jej, że Alec go nie interesuje. W artykule nie planował żadnej wzmianki o jej mężu. Ale Annie się uparła i zasypywała go anegdotami ze swojego życia małżeńskiego, osłaniała się słowami jak zbroją. Pozwalał jej trzymać tę gardę, ten dystans. Aż wreszcie pewnego wieczoru nie wytrzymał.

Było to pięć dni przed Bożym Narodzeniem. Na dworze zapadł już mrok i panowało przenikliwe zimno. Paul pojechał do pracowni Annie. Bez konkretnego celu, w każdym razie niczego świadomie nie planował, ale wiedział, co robi. Zatrzymał auto na małym parkingu i uniósł głowę, aby spojrzeć w okna pracowni. W środku paliło się światło, a okienne witraże rzucały kolorowe refleksy. Paul podszedł do drzwi; od feerii mieniących się wokół barw zakreśliło mu się w głowie. A może po prostu z nerwów.

Przez szybę w drzwiach wejściowych widział Annie pochyloną nad stołem roboczym. Jej dłoń poruszała się niespiesznie nad witrażowym abazurem. Drzwi nie były zamknięte na klucz; kiedy Paul wszedł do środka, Annie uniosła głowę. Usta miała otwarte, a w oczach zaskoczenie i – widział wyraźnie – cień strachu. Sama, późnym wieczorem, w swojej pracowni, w tym przytulnym kolorowym wnętrzu. To nie była restauracja ze stolikami gwarantującymi bezpieczeństwo; musiała mieć świadomość, że teraz Paul nie pozwoli jej już zniechęcać się historyjkami o Alecu i ich małżeństwie. Wiedział, skąd wziął się strach w jej oczach. Nie był tylko pewien, kogo

Annie się tak boi: jego czy samej siebie.

– Paul. – Wyprostowała się w krześle, usiłując przywołać na twarz uśmiech.

– Pracuj sobie – poprosił. – Chcę tylko popatrzeć.

Trzymała w palcach kłębuszek waty, ale jej dłoń nawet nie drgnęła. Paul wziął krzesło, postawił je na skraju stołu i usiadł.

– Pracuj dalej – powtórzył.

Zanurzyła watę w misce z czarnym płynem, który następnie rozprowadziła starannie po ołowianych ramkach witrażowego abażuru. Siedziała przy stole w zielonych sztruksach i grubym rybackim swetrze koloru złamanej bieli, a rozpuszczone włosy opadały jej z ramienia, rozsypując się na blacie roboczym i barwnym szkle.

Paul przyglądał się, jak pracuje. Odezwał się dopiero po kilku minutach.

– Kocham cię, Annie. – To krótkie zdanie przerwało ciszę niczym nagły trzask.

Spojrzała na niego, odrzucając włosy z powrotem na ramię.

– Wiem – odparła i wróciła do przerwanej czynności, ale chwilę później znów uniosła głowę. – Lepiej już idź.

– Naprawdę chcesz, żebym wyszedł?

Annie szybko odwróciła wzrok na leżący przed nią abażur. Przesunęła kłębek waty, położyła dłonie na stole i spłótła palce.

– Paul – westchnęła. – Proszę cię, nie utrudniaj.

– Jeśli szczerze poprosisz, żebym wyszedł, to wyjdę.

Zamknęła oczy, a Paul przykrył jej dłoń swoją. Palce miała zimne i sztywne.

– Annie... – szepnął.

Spojrzała mu w oczy.

– Bardzo ci dziękuję – powiedziała. – Nie wspominałeś o przeszłości, nie starałeś się... wykorzystać sytuacji, chociaż wiedziałam, że tak naprawdę tego właśnie chciałeś.

– Było mi bardzo trudno być blisko ciebie i nie...

– Ale dałeś radę. – Weszła mu w słowo, pochylając się w jego stronę. – Oboje daliśmy. Po co więc przyjechałeś? Żeby przekreślić trzy miesiące pracy?

– Popadam w obłąd, Annie – wyznał. – Myślę tylko o tobie.

Wysunęła dłoń spod dłoni i położyła sobie na kolanach.

– Masz żonę, myśl o niej – poradziła. – A ja mam męża.

Paul potrząsnął głową.

– Odkąd tutaj mieszkamy, jestem dla Olivii po prostu podły.

– To jej musisz poświęcić swoją uwagę, a nie mnie. Trzymaj... – Wyjęła z szuflady gumkę recepturkę i założyła mu na nadgarstek. – Za każdym razem, kiedy pomyślisz o mnie, zrób tak. – Naciągnęła gumkę z całej siły i strzeliła mu w skórę po wewnętrznej stronie przedramienia, tam, gdzie biegną żyły. Zaszczypało, Paul skrzywił się z bólu. – Natychmiast o mnie zapomnisz.

Uśmiechnął się do niej.

– Niby takie proste, co? – Opuścił wzrok, wodząc palcami po zaczerwienionej skórze. – Ty też będziesz nosić taką gumkę?

– Nie muszę – odparła. – Kiedy myślę o tobie, przypominam sobie o Alecu. Moje małżeństwo jest ważniejsze. Wkrótce skończę czterdzieści lat i mam jasno określone priorytety. Zapomnij o mnie, Paul. Wyjdź stąd i zapomnij, że żyję.

Wstał z krzesła.

– Nigdy cię nie zapomnę – oznajmił i ściągnął gumkę z nadgarstka, po czym rzucił ją na stół. – A tego nie potrzebuję. Boli wystarczająco mocno, kiedy myślę o tobie. Ale dobrze, wyjdę. Nie chcę cię ranić, nigdy nie chciałem.

Nachylił się, by pocałować ją w czubek głowy, i poczuł na wargach miękkie muśnięcie jej włosów. Potem powoli ruszył do drzwi, przysięgając sobie, że wyjdzie bez ostatniego spojrzenia.

– Paul?

Odwrócił się. Annie wstała od stołu. Ręce splotła poniżej piersi, mocno skrzyżowała sztywne ramiona. Widać było, że toczy ze sobą wewnętrzną walkę.

– Nie chcę, żebyś wyszedł – powiedziała. – Czy możesz... po prostu mnie przytulić?

Paul cofnął się od drzwi, podszedł i delikatnie wziął ją w ramiona. Mieściła się w nich jak ulał, a jej włosy pachniały blaskiem słońca. Annie westchnęła i objęła go, splatając dłonie; poczuł, jak jej ciałem wstrząsa dreszcz.

– Paul... Boże...

Uniósł rękę i położył dłoń na jej gardle. Pod palcami czuł ciepło i szybkie uderzenia pulsu.

– Chcę się z tobą kochać – szepnął.

Odchyliła głowę, aby na niego spojrzeć, a między jej brwiami powstała ciemna bruzda.

– Tutaj to niebezpieczne – odparła. – Wszędzie pełno szkła, odłamków na

wykładzinie. To...

– Cicho. – Położył jej palec na ustach. – Wszystko mi jedno. – Pochylił się, aby ją pocałować, i nie był ani trochę zdziwiony, kiedy uniosła głowę, rozchylając wargi.

Potem cofnęła się i sięgnęła do wyłącznika na ścianie, ale chwycił ją za rękę.

– Zostaw – poprosił. – Chcę cię widzieć.

– Ściany są ze szkła, Paul – przypomniała mu, wysuwając dłoń.

Miała oczywiście rację. Otaczały ich wysokie szyby wypełnione czernią nocy; wszystko, co działo się w środku, widać było z parkingu, po przefiltrowaniu przez kolorowe szkło witraży.

Annie wyłączyła światło i wzięła Paula za rękę, nieoczekiwanie przejmując inicjatywę.

– Chodź ze mną. – Poprowadziła go w głąb pomieszczenia, pod ścianę, w labirynt białych ścianek obwieszonych fotografiami. Mijała je, zapalając po kolei małe lampki zamontowane u szczytu każdej ścianki. Otoczył ich łagodny, biały blask. Annie usiadła pod ścianą i oparła się o nią plecami.

Paul już miał się do niej przyłączyć, ale jego wzrok zatrzymał się na najbliższym zdjęciu, z którego patrzyły na niego pochmurne oczy Aleca O’Neilla. Dreszcz przebiegł mu po plecach; trochę roztrzęsiony usiadł obok Annie, ale gdy przyciągnęła go do siebie, niepokój ulotnił się w jednej chwili.

Rozbierał ją, obserwując jej twarz. Jej oczy płonęły pragnieniem, starannie maskowanym podczas wywiadów, a teraz jawnym i bezwstydnym.

– Chcę tylko, żebyś mnie przytulił – powiedziała, ale nie próbowała go powstrzymywać, kiedy rozpinał jej stanik. Uniosła się na kolana i sięgnęła do suwaka w jego spodniach, pomógł jej zdjąć je z siebie. Jej ciało zaskoczyło go miękkością i krągłością, zapragnął zanurzyć się w tej pełni.

Położył Annie na podłodze i pocałował ją jeszcze raz, po czym wędrował ustami niżej, ku jej piersi. Chwyciła go palcami pod brodę i pociągnęła jego głowę, aż napotkała jego wzrok.

– Nie wystarczy ci, że poleżysz tutaj ze mną? – spytała.

Powoli potrząsnął głową, a gdy znów jej dotknął, wędrując dłońmi po jej ciele, nie napotkał już najmniejszego nawet oporu.

Czuł jedyną w swoim rodzaju radość, gdy było po wszystkim, a on trzymał ją w ramionach i czuł, jak ich serca biją jednym rytmem. Leżeli tak, zdawało mu się, już bardzo długo, aż nagle spostrzegł, że Annie płacze.

– Co się stało? – zapytał, całując jej oczy.

Oderwała się od niego gwałtownie, zasłaniając twarz dłońmi.

– Ależ ja jestem głupia – jęknęła.

– Nie mów tak, Annie. Nawet tak nie myśl.

Usiadła prosto, zebrała ubranie, które przycisnęła do piersi, i wsunęła się w ką. Wtuliła twarz w swój gruby sweter, szlochając żałośnie, a gdy próbował jej dotknąć, zeszywniała. W białym świetle dostrzegł w jej włosach srebrzyste pasemka; było ich mnóstwo, wyglądało to niczym bitwa dwóch kolorów, siwego i rudego. Wyglądała przez to jeszcze bardziej bezbronne.

Pogładził Annie po włosach. Nie wiedział, co powiedzieć, oprócz tego, że ją kocha, więc powtarzał to raz po raz, a ona płakała z twarzą wciśniętą w zgięcie łokcia.

– Annie, odezwij się – błagał. – Powiedz, że jesteś na mnie zła. Cokolwiek.

Milczała, więc po kilku minutach zaczął się ubierać. Wstał, aby wyłączyć lampkę nad zdjęciem Aleca, po czym znów opadł na podłogę obok Annie. Przestała już płakać, ale głowę wciąż miała pochyloną, a jej ramionami co chwilę wstrząsał dreszcz.

– Pomogę ci się ubrać – zaproponował.

– Nie. – Pokręciła głową. – Proszę cię, jedź do domu.

– Nie chcę cię tak zostawiać.

– Proszę – powtórzyła z naciskiem, wstał więc i z ociąganiem ruszył w kierunku drzwi.

– Paul?

Obejrzał się na nią jeszcze raz. Uniosła głowę; w przyćmionym świetle jej policzki lśniły upiorną czerwienią.

– Mógłbyś się stąd wyprowadzić? – zapytała. – Wyjechać z Outer Banks? Zrób to, proszę cię. Błagam.

Wzdrygnął się na dźwięk desperacji w jej głosie. Wszedł z powrotem pomiędzy białe ścianki, ukląkł przed Annie i oparł dłonie na jej nagich kolanach. W pracowni nagle zrobiło się lodowato. Nie opierała się, kiedy wyjął z jej trzęsących się dłoni kłęb zwiniętych razem ubrań i wyciągnął z niego rybacki sweter. Nałożył go jej na głowę, a ona uniosła ręce i wsunęła w rękawy. Potem Paul zebrał jej włosy, aby wyciągnąć je zza kołnierza, i pochyliwszy się, złożył pocałunek na czole Annie.

– Zrobiłbym dla ciebie wszystko – powiedział. – Ale nie mogę się wyprowadzić. To teraz także mój dom.

* * *

Kiedy wrócił, Olivia już spała. Zadzwoił do niej i uprzedził, żeby nie czekała, bo przyjedzie późno. Wykąpał się w łazience na parterze, nie chciał jej obudzić. Pod prysznicem zauważył odłamki szkła wbite w skórę. Na kolanie. Na ramieniu. Na dłoni.

Poszedł na górę, do wspólnej łazienki i cichutko otworzył szafkę Olivii w poszukiwaniu pęsety. Potem usiadł na brzegu wanny. Usuwanie kryształowych kolców w bladym jak wosk świetle nie było łatwe. Odprysk w dłoni wyszedł szybko, ale już ten w kolanie stawiał opór i rana krwawiła przy każdym zgięciu nogi. Powinien ją zabandażować – albo rano będzie musiał się tłumaczyć, skąd plamy krwi na prześcieradle.

Najtrudniejszy do wyciągnięcia okazał się kawałek szkła w ramieniu, najtrudniejszy do sięgnięcia pęsetą. Wreszcie Paul skończył i położył się do łóżka, wspominając wydarzenia tego wieczoru. Czy Annie też miała takie rany? Oby nie, pomyślał. Nie chciał, aby cierpiała, tak jak nie chciał pamiętać jej łez.

A jeśli Alec nie spał, kiedy wróciła do domu? Może zapytał, dlaczego zjawiała się tak późno, może nakrył ją na wyciąganiu z ramienia szklanego odprysku? Co mu odpowiedziała? Jakimi słowami wyjaśniła dowody swojego występku?

Rozdział dwunasty

Młody mężczyzna denerwował się, miał zresztą powody. Mary widziała to w jego powściągliwym uśmiechu, a poza tym starannie omijał ją wzrokiem. Nosił okrągłe okulary w drucianych oprawkach; szkła wyglądały na bardzo cienkie, wcale nie korekcyjne. Można by pomyśleć, że są tylko na pokaz, że ten człowiek stara się nadrabiać wyglądem, udawać inteligentniejszego, niż jest w rzeczywistości. Postukując długopisem o teczkę, zaczął wyjaśniać, rozwlekłe i szczegółowo, po co przyjechał, a ona specjalnie patrzyła na niego szklistym wzrokiem leciwej emerytki, żeby nie miał pewności, czy starsza pani nadaża, żeby się rozgadał, żeby mogła patrzeć, jak się wije.

Nie skojarzyła go od razu. Ludzie się zmieniają, owszem. Do tego przedstawił się niewyraźnie, zabrzmiało to mniej więcej jak „Pomasel”. Ale teraz już wiedziała. Teraz już wszystkiego się domyśliła.

– No więc chcemy wydać broszurę informacyjną i zamieścić tam pani wspomnienia. Mogłaby pani opisać dzień z życia latarnika albo najciekawsze wspomnienia. – Dopiero wtedy po raz pierwszy spojrzał jej w oczy. – Czy rozumie pani, jak to ma wyglądać?

– Tak, panie Macelli – odparła, a on wyraźnie się speszył.

– Hm. – Szybko przywołał na twarz uśmiech. – Widzę, że pamięta mnie pani... To już tyle lat, myślałem, że...

– Nigdy nie zapominam ludzi.

– No cóż – mruknął, majstrując przy zatrasku teczki. – Zgodzi się pani, bym nagrywał naszą rozmowę? – Wyciągnął ze środka notes i czarny dyktafon. Zdaje się, że nie miał ochoty wracać do przeszłości, co jej, ma się rozumieć, odpowiadało.

– Proszę, bardzo proszę – odparła. Ostatnio mimowolnie powtarzała słowa, nawyk ten irytował chyba najbardziej ją samą.

Paul położył dyktafon na szerokiej, płaskiej poręczy jej fotela na biegunach. Włączył go drżącymi palcami.

– A więc zaczynamy – powiedział.

Mary położyła dłonie na kolanach zakrytych bawełnianą sukienką i skrzyżowała stopy w tenisówkach, spoglądając ku nadbrzeżu, gdzie w promieniach słońca połyskiwały przycumowane łodzie. Caleb byłby zachwycony, gdyby ktoś poprosił go, żeby opowiedział o Kiss River, i to ile mu się żywnie podoba! Od razu by wiedział, od czego zacząć. Mary, niestety, ostatnimi czasy miała problem z umiejscowieniem faktów w czasie i z odróżnieniem prawdy od legendy. To jednak było w sumie nieistotne. I tak nikt by się nie zorientował.

Opadła na oparcie fotela i na chwilę zamknęła oczy, wsłuchując się w szum urządzenia rejestrującego jej milczenie. Potem rozchyliła powieki i przemówiła.

– Latarnię morską w Kiss River uruchomiono po raz pierwszy tej samej nocy, kiedy urodził się ojciec mojego męża Caleba. Przyszedł na świat w pokoju na parterze domu latarnika. Dziadek Caleba był pierwszym latarnikiem w Kiss River. Gdy urodził się mój teść, mieszkał z żoną w tym domu zaledwie od tygodnia. Dodam, że teść pojawił się kilka tygodni wcześniej, niż się go spodziewano. Wszyscy mówili, że stało się to za przyczyną światła latarni, że to właśnie ono wywołało poród. Akuszerka odliczała skurcze według obrotów lampy. Było to trzydziestego września tysiąc osiemset siedemdziesiątego czwartego roku. Dwadzieścia siedem lat później, w roku tysiąc dziewięćset pierwszym, w tym samym pokoju i tak samo w nocy, urodził się Caleb, a jego poród odebrała ta sama akuszerka, która wtedy, jak to mówią, była już stara jak świat.

Mary na chwilę zawiesiła głos, znów błędząc wzrokiem po nadbrzeżu. Nagle zaczęło jej dokuczać, że wciąż coś zasłania widok. Tak właśnie się czuła po przeprowadzce tutaj. Brakowało jej rozległej panoramy roztaczającej się ze szczytu wieży, nieskończonego przestworu oceanu rozpościerającego się pod jej stopami.

– To wszystko jest wrodzone – powiedziała nagle. – Wszystko. Wrodzone.

– Co jest wrodzone? – zapytał Paul.

Mary spojrzała na niego. Jego źrenice były drobnymi plamkami czerni w samym środku tęczówek, które miały kolor pyłu.

– Człowiek urodzony pod światłem latarni – wyjaśniła – przychodzi na świat z potrzebą troski o tych, którzy są zdani na łaskę fal i sztormów. Chce strzec ludzi, którzy zbłądzili. Pierwszy oddech takiego człowieka pełen jest morza;

kiedy pierwszy raz otwiera oczy, widzi jedynie czyste białe światło. I wie, od samego początku, jaka jest jego rola w życiu – nikt nie musi mu tego mówić. To światło nigdy nie może zgasnąć, więc wszystko, co robi, co dzień, co noc, ma ten jeden cel. – Mary umilkła na chwilę, odchrząknęła. – Tak samo jest z tymi, którzy wejdą do latarni poprzez małżeństwo. Od dnia, gdy po raz pierwszy moja noga postąpiła w Kiss River, wiedziałam, że będę towarzyszyła Calebowi w tej pracy.

– Caleb mawiał, że syn i wnuk latarnika musi szanować morze. Morze jest piękne i groźne, tak jak niektóre kobiety. – Ponownie uniosła wzrok na Paula Macellego, a on zaczął gorączkowo notować, chociaż dyktafon nagrywał każde słowo. Jego palce aż pobieleły od ściskania długopisu; wbrew samej sobie, trochę mu współczuła.

– W Kiss River musiało być zawsze co najmniej dwóch latarników. Pomocnicy się zmieniali, ale rodzina Caleba nigdy się stamtąd nie wyprowadziła. Ta latarnia była domem dla nas wszystkich.

Opowiadała, jak wyglądało życie, kiedy jej przyszły mąż dorastał w Kiss River, a jego matka co rano wozila go łodzią do szkoły w Deweytown, na drugim brzegu cieśniny.

– Tam się poznaliśmy – powiedziała. – W roku tysiąc dziewięćset dwudziestym trzecim wyszłam za niego i zostałam pomocnicą latarnika. Ale nie uprzedzajmy faktów.

Napiłaby się czegoś, bo zaschło jej w ustach. Najchętniej piwa, lecz niestety w domu opieki alkohol był zakazany. Westchnęła i ponownie zwróciła się swojego gościa.

– Pytał pan, jak wyglądał dzień latarnika. Ano tak, że chodziło się po schodach. – Mary uśmiechnęła się do siebie. – Było ich dokładnie dwieście siedemdziesiąt. We śnie wciąż po nich chodzę, a gdy się budzę, nogi mnie bołą i mogłabym przysiąc, że poduszkę czuć naftą. Ktoś mógłby powiedzieć, że takie życie jest monotonne, ale gdy je wspominam, widzę, że było wprost przeciwnie. W pamięci zostają niecodzienne wydarzenia, przygody. Wraki, które morze wyrzuciło na plażę. Albo noc, kiedy komary zgasiły światło. Chce pan o tym posłuchać?

– Z przyjemnością.

– A ma pan przypadkiem papierosa?

– Słucham? – Spojrzał ze zdziwieniem. – Niestety, nie mam.

Mary pokręciła głową z rozczarowaniem i przywołała historię o pładze

komarów, które pewnego lata, tuż po jej ślubie z Calebem, wylęły się wielkie jak motyle i zleciała ich się do światła taka chmara, że z morza było ledwo widoczne. Potem opisała mu jeszcze jedno zdarzenie, z czasów, kiedy jej mąż miał dopiero dziesięć lat. Popsuł się wtedy mechanizm zegarowy kontrolujący częstotliwość rozbłysków. Ojciec Caleba miał złamaną nogę i nie mógł wejść po schodach, a akurat nie było żadnego pomocnika, bo stary wyjechał, a nowy jeszcze nie dotarł, więc przez dwie noce chłopak i jego matka na zmianę kręcili korbą, ręcznie sterowali mechanizmem z właściwą prędkością, aby na morzu było wiadomo, którą latarnię widać i jak nawigować, aby nie zejść z kursu. Mary nigdy nie zapomni, jak martwiła się wtedy o Caleba, który przez kilka dni nie przychodził do szkoły. Kiedy w końcu się pojawił, był zeszywniały i ledwo mógł się ruszać; wyznał też, że jego mama przez całą noc płakała, tak strasznie bolały ją ręce. W późniejszych latach twierdził, że jedyną trudność sprawiała mu praca fizyczna. Przystosowanie się do tempa obrotów lampy nie stanowiło problemu, ponieważ ich ciała od dawna były idealnie zsynchronizowane z rytmem świetlnych sygnałów.

Następnie Mary opowiedziała Paulowi o pierwszej katastrofie, którą Caleb oglądał na własne oczy. Słyszała o niej od męża tyle razy, że przyszło jej to z łatwością. Otóż w roku tysiąc dziewięćset siódmym pewnego dnia, nad ranem, czteromasztowy szkuner „Agnes Lowrie” osiadł na przybrzeżnej mieliźnie w pobliżu Kiss River.

– Tkwił tam dość długo, zanim Caleb i jego ojciec, razem z ludźmi z brzegowej stacji ratowniczej, dali radę dopłynąć w pobliże – mówiła. – Widzieli na pokładzie rozbitków, którzy machali do nich z nadzieją, że w końcu nadszedł ratunek. Ale wszystko wzięło w łeb.

Opisała nieudane próby przerzucenia na pokład szkunera liny dla koła ratowniczego ze spodniami do transportu osób. Dla własnej przyjemności przeciągała opowieść.

– Gdy statek się rozpadł, ludzie zaczęli wyskakiwać do wody i usiłowali dopłynąć do plaży, bo nie wiedzieli, że morze bywa zdradliwe. Do łodzi, w której siedział Caleb i inni, dopłynęły już tylko trupy. – Mary wzdrygnęła się, gdy przypomniawszy sobie, jak mąż opowiadał jej o tym, zniżając głos do szeptu.

Ktoś wewnątrz włączył telewizor, który przez kilka sekund ryczał tak, że słyhać było na werandzie, aż wreszcie ktoś inny go przyciszył.

– No cóż – podjęła opowieść. – Ojciec Caleba zmarł tuż przed naszym

ślubem, a że Caleb miał spore doświadczenie, więc został jego następcą. Musiał złożyć podanie o pracę. Posada latarnika nie przechodzi z ojca na syna, ale zdobył ją bez problemu. Przez kilka tygodni przed ślubem nie miał żadnego pomocnika i był w latarni sam, tylko z kaleką matką. Jednej nocy poraził go piorun.

– Naprawdę? – Paul był pod wrażeniem.

– Owszem. Naprawdę. Coś strasznego, cieszę się, że mnie przy tym nie było. Caleb stał akurat na wewnętrznych schodach. Piorun uderzył w latarnię i wszystkie dwieście siedemdziesiąt stalowych stopni znalazło się pod prądem. Caleb stracił władzę w nogach, ale światło nie zgasło. Za nic by na to nie pozwolił. Nigdy. Doczołgał się na górę do laterny i wytrzymał pełną nocną zmianę. – Mary omiotła wzrokiem łodzie u nadbrzeża, wspominając Caleba, zawsze sumiennego i solidnego. – Dawniej ludzie byli odpowiedzialni – dodała. – I dumni ze swojej pracy. Nie to, co dzisiaj młodzi.

Zamknęła oczy i milczała tak długo, że Paul Macelli wreszcie zapytał, czy ma już dość rozmowy na dziś. Wtedy spojrzała na niego.

– Nie – odparła. – Opowiem panu jeszcze o „Mirażu”.

– Proszę?

– O „Mirażu”. Tak nazywał się statek. Trawler. – Mówiła teraz tak cicho, że Paul musiał podsunąć jej dyktafon do samych ust, żeby wszystko się nagrało. – To było w marcu tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku. Wie pan, co się wtedy działo, prawda?

– Chodzi o wojnę? – zapytał.

– W rzeczy samej – przytaknęła. – Latarnia miała już zasilanie elektryczne, więc nie trzeba było zawracać sobie głowy nakręcaniem mechanizmów zegarowych ani doglądaniem lamp. Siedzieliśmy tam tylko dlatego, że ktoś musiał być na miejscu, więc Straż Wybrzeża pozwoliła Calebowi zostać w charakterze zwykłego, cywilnego stróża. I Bogu niech będą dzięki, bo nie wiem, gdzie byśmy się podzieli. W każdym razie można było wtedy pomyśleć, że to właśnie tutaj biegnie najważniejszy front tej wojny. Na całej długości Outer Banks obowiązywało całkowite zaciemnienie, a sygnały latarni zostały przygaszone. Na wybrzeżu nie wolno było palić żadnych świateł, bo na ich tle załogi U-Bootów widziały naszych. Tylko że na niewiele się to zdało. Co dzień niemieckie łodzie podwodne zatapiały nam jeden statek. Każdego dnia jeden statek szedł na dno.

Mary zawiesiła głos, żeby jej słowa dotarły do słuchacza.

– No więc pewnego dnia, tuż przed świtem, Caleb był w laternie i zauważył niedużą łódź dryfującą po wzburzonym morzu. Była chyba zepsuta, tak nią rzucało w górę i w dół. Caleb wypatrzył w niej dwóch ludzi, wsiadł więc do swojej małej motorówki i popłynął do nich. Nie był pewien, czy mu się uda, bo fala była zdradliwa, a woda zimna, ale dał radę. Kiedy dotarł do łodzi, tamci byli już na wpół zamrznięci. Przyholował ich do brzegu, a oni, po wyjściu na plażę, powiedzieli mu, że płynęli angielskim trawlerem o nazwie „Miraż”, który w nocy trafiła niemiecka torpeda. Tylko im udało się opuścić pokład, zanim statek zatonął. – Mary odwróciła wzrok w stronę ulicy. – Kiedy Caleb powiedział mi, jak nazywał się ten statek, przypomniałam sobie, że kiedyś, gdy byłam jeszcze dzieckiem, natknęłam się gdzieś na słowo „miraż” i zapytałam ojca, co to znaczy, a on mi powiedział, że w upalny dzień na plaży można zobaczyć kałużę wody, której tak naprawdę tam nie ma. „Pozory mylą, Mary”, dodał na koniec. A ja powinnam wziąć sobie te słowa do serca.

Zmierzyła spojrzeniem Paula Macellego, by mieć pewność, że on weźmie sobie do serca jej słowa.

– Tak czy inaczej, Caleb zabrał dwóch angielskich marynarzy do domu. Mówili z takim wyniosłym akcentem, jakby mieli się za lepszych od nas. Dałyśmy im tamtego dnia trzy razy dobrze zjeść – mówię „dałyśmy”, bo była tam jeszcze moja córka Elizabeth, która miała wtedy czternaście lat – a oni opowiedzieli nam o tym, jak trafiła ich torpeda, stracili przyjaciół i tak dalej. Wieczorem posłałam im łóżka w wolnej izbie na piętrze. W nocy, około jedenastej, usłyszeliśmy krzyk w pokoju Elizabeth. Caleb szybko chwycił strzelbę i poszedł tam. Okazało się, że jeden z tamtych zakradł się do niej i chciał się zabawić. Caleb zabawił się z nim po swojemu – zastrzelił go na miejscu, w korytarzu na piętrze. Drugi dał nogę, gdy tylko usłyszał huk wystrzału, więc szybko zawiadomiliśmy Straż Wybrzeża, a oni go znaleźli. –

Mary uśmiechnęła się na to wspomnienie. – Marnie skończył, bo zaatakował go dzik. Okazało się, że to nie byli Anglicy, tylko niemieccy szpiedzy. Już od wielu tygodni donoszono Straży, że grasują w tym regionie, ale nikt nie wpadł na ich ślad. Caleb dostał medal, chociaż i tak pluł sobie w brodę, że nie zostawił ich na morzu, żeby zamrzli na śmierć. Żaden „Miraż” też oczywiście nie istniał.

Mary odetchnęła głęboko. Nagle poczuła się zmęczona. Wycelowała w dziennikarza swój cienki, prosty jak drut palec.

– Czasami, panie Macelli, pozory mylą – oznajmiła. – I to bardzo.

Paul Macelli przypatrywał jej się przez chwilę, po czym wyłączył dyktafon, podniósł swoją teczkę i położył sobie na kolanach.

– Bardzo mi pani pomogła – podziękował. – Czy mogę jeszcze kiedyś przyjechać?

– Oczywiście, oczywiście – zgodziła się.

Paul schował dyktafon i wstał. Przez chwilę błędził wzrokiem po nadbrzeżu, a potem spojrzał na Mary.

– Na początku lat siedemdziesiątych próbowano usunąć panią z latarni, prawda? – zapytał.

Uniosła głowę. Co za głupek, pomyślała. Mógł po prostu pożegnać się i pójść, nie kusić losu i nie drażnić jej więcej. Widocznie jednak nie potrafił się powstrzymać.

– Zgadza się – przytaknęła.

– Czy to przypadkiem nie Annie O’Neill pomogła pani wtedy? – ciągnął, a Mary miała ochotę odpowiedzieć pytaniem: „Chyba oboje dobrze wiemy, że to ona, prawda, panie Macelli?”. Nie zrobiła tego jednak, bo chciała, żeby jeszcze do niej wrócił. Chciała opowiedzieć mu więcej o latarni, mówić, mówić bez końca do tego małego czarnego dyktafonu.

– Owszem. – Kiwnęła głową. – To była Annie O’Neill.

Patrzyła w ślad za nim, kiedy szedł chodnikiem do swojego samochodu. Gdy wsiadł, oparła głowę na zagłówek swojego fotela na biegunach i zamknęła oczy. Głęboko w brzuchu czuła piekący ból, który nie osłabł, dopóki słychać było silnik samochodu Paula Macellego.

* * *

Mary poznała Annie w maju tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego czwartego roku. Miała wtedy siedemdziesiąt trzy lata, więc praktycznie była młodą kobietą. Pewnego dnia, gdy myła szyby w laternie, zauważyła dziewczynę spacerującą po plaży – po jej prywatnej plaży, bo tak o niej myślała, ponieważ ścieżka prowadząca do latarni nie była wtedy jeszcze utwardzona i niewiele osób miało odwagę tamtędy chodzić. W pierwszej chwili pomyślała, że dziewczyna to zjawa, i zastygła w oknie latarny, aby sprawdzić, czy się poruszy, czy jest prawdziwa. Z tej wysokości Annie wyglądała jak laleczka. Stała zapatrzona w morze, a jej ciemna spódnica i rude włosy powiewały na

wietrze.

Mary zeszła po schodach i przecięła piaszczysty pas wybrzeża.

– Witam! – zawołała, zbliżywszy się do dziewczyny, a Annie obejrzała się, szeroko uśmiechnięta, osłaniając oczy dłonią.

– Dzień dobry! – odpowiedziała, zaskakując Mary swoim chropawym głosem, niezwykle głębokim u tak młodej osoby, a potem zapytała, jak gdyby to nie ona była tutaj intruzem: – Kim pani jest?

– Jestem latarniczką – wyjaśniła Mary. – Mieszkam tutaj.

– Latarniczką! – wykrzyknęła Annie. – Więc musi pani być najszczęśliwszą osobą na świecie.

A Mary uśmiechnęła się, bo właśnie tak się wtedy czuła.

– Wybrałam się na spacer do latarni. – Annie opuściła głowę, wodząc wzrokiem po piasku pod swoimi bosymi stopami. – Tutaj, w tym miejscu, poznałam mojego męża.

– Tutaj? – powtórzyła Mary z niedowierzaniem. – Tutaj nigdy nikogo nie ma.

– Pracował przy malowaniu i remoncie wieży.

Ach, tak, przypomniała sobie Mary. To było latem, kilka sezonów wstecz. Gdziekolwiek spojrzeć – wszędzie pełno młodych, półnagich mężczyzn, opalonych na brąz i zabójczo przystojnych. Głowy przewiązywali chustami, żeby pot nie zalewał im oczu. To musiał być któryś z nich.

– Aleca poznałam nocą – mówiła dalej Annie. – Było ciemno, ale widziałam go przy każdym rozbłysku latarni. Stał dokładnie tutaj i po prostu cieszył się pięknym wieczorem. Im byłam bliżej, tym lepiej wyglądał. – Uśmiechnęła się, zarumieniona, i odwróciła twarz w stronę wody. Wiatr rozwiął jej długie włosy, więc zebrała je dłońmi i ułożyła na ramionach.

– No cóż... – mruknęła Mary, zdumiona, że takie rzeczy działy się tuż przed jej domem. – Czyli jest to dla pani wyjątkowe miejsce.

– Aha – przytaknęła Annie. – Mamy małego synka. Alec jest weterynarzem i dopóki się uczył, mieszkaliśmy w Atlancie, ale oboje zawsze wiedzieliśmy, że chcemy osiąść tutaj. I w końcu się udało; jesteśmy. – Uniosła wzrok, przyglądając się latarni. – Pani jest latarniczką? – powtórzyła z pewnym wahaniem. – Myślałam, że latarników już nie ma, bo wszystkie latarnie działają teraz na prąd.

Mary skinęła głową.

– Zgadza się. Ta latarnia ma zasilanie elektryczne od tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku. Obecnie większością latarni opiekuje się Straż

Wybrzeża. Mój mąż był ostatnim latarnikiem w Karolinie Północnej, a po jego śmierci ja przejęłam obowiązki. – Przyjrzała się uważnie dziewczynie, która stała z zadartą głową, osłaniając oczy przed słońcem. – Chce pani wejść na górę? – zaproponowała, ku własnemu zaskoczeniu. Nigdy jeszcze nie zaprosiła nikogo na wieżę. Latarnia od lat była zamknięta dla turystów.

Annie klasnęła w dłonie.

– Och, z rozkoszą!

Po drodze do drzwi w ścianie wieży Mary zabrała wiaderko nazbieranych rano dzikich jeżyn.

Wciąż jeszcze była w stanie wejść na sam szczyt, zatrzymywała się najwyżej dwa razy dla odpoczynku i zaczerpnięcia oddechu. Annie też musiała odetchnąć, a może tylko udawała, żeby latarniczka nie czuła się staro. Mary zaprowadziła ją prosto do laterny, gdzie olbrzymia karbowana soczewka pierścieniowa Fresnela zajmowała tyle miejsca, że ledwie dało się ją obejść.

– Boże! – Annie aż zachłysnęła się z wrażenia. – Nigdy w życiu nie widziałam tyle szkła naraz. Uwielbiam szkło – wyjaśniła, oglądając się na Mary. – To jest coś fantastycznego!

Mary wpuściła ją za pryzmatyczną osłonę, przez szczelinę, która powstała kilka lat wcześniej, kiedy trzeba było usunąć jeden segment soczewki, uszkodzony przez sztorm. Annie powoli obróciła się dookoła, sycąc oczy widokiem odwróconym do góry nogami przez wypukłą szklaną bańkę.

W końcu Mary udało się wyciągnąć ją stamtąd i zaprowadzić piętro niżej, gdzie znajdowało się wyjście na galerię. Usiadły razem na nagrzanym żelaznym podłodze, a latarniczka po kolei wskazywała charakterystyczne punkty orientacyjne widoczne w oddali. Annie z początku wyglądała na oszołomioną i w ogóle się nie odzywała; Mary patrzyła, jak jej oczy wypełniają się łzami, gdy chłoneła piękno roztaczające się wokół. W tamtej chwili uświadomiła sobie, że tę dziewczynę do łez potrafi doprowadzić niemalże wszystko.

Spędziły tam dobre dwie godziny, racząc się jeżynami i rozmawiając. Mycie okien w laternie poszło w niepamięć.

Mary opowiedziała Annie trochę o Calebie: że uwielbiała przesiadywać z nim na galerii i że nigdy nie znudził się jej ten widok, chociaż spędziła tu kilka dekad. Jej mąż nie żył już od dziesięciu lat, dziesięciu długich lat, a rozmowa z Annie, która słuchała każdego słowa w skupieniu, uświadomiła jej z całą przygnębiającą wyrazistością, jak niewielu ludzi zdołała poznać przez te wszystkie lata i jak bardzo jest złańkiona ludzkiego towarzystwa. Nie

wiedzieć czemu, opowiedziała Annie o Elizabeth.

– Nie podobało jej się, że mieszkamy na odludziu, i miała pretensję do ojca i do mnie, że ją do tego zmuszamy. Miała piętnaście lat, gdy po prostu się stąd wyniosła. Rzuciła szkołę i wyszła za jakiegoś faceta z Charlotte, starszego od niej o dziesięć lat. Wyprowadziła się do niego i nie przysłała nam nigdy swojego adresu. Pojechałam tam raz, by ją odnaleźć, ale nic nie osiągnęłam. – Mary powiodła wzrokiem po błękitnym horyzoncie. – To dziecko złamało nam obojgu serce.

Dlaczego opowiadała o tym wszystkim obcej osobie? Nawet w myślach nie wracała już do tego.

– Elizabeth miałyby teraz czterdzieści pięć lat. – Potrząsnęła głową. – Trudno mi uwierzyć, że mam córkę w takim wieku.

– Może jeszcze nie jest za późno, żeby się z nią pogodzić – powiedziała Annie. – Wie pani, gdzie ona teraz mieszka?

Mary przytaknęła.

– Dostałam adres od jej znajomej. Podobno zięć zmarł kilka lat temu, więc pewnie mieszka sama. Kilka razy w roku piszę do niej, ale nigdy mi nie odpisała.

Annie zmarszczyła brwi.

– Nawet nie wie, jakie to szczęście mieć matkę, która się nią interesuje. I kocha ją. Nie ma pojęcia, co traci. Na własne życzenie.

Mary coś ścisnęło za gardło, sięgnęła do kieszeni swoich brunatnych roboczych spodni i wyciągnęła paczkę papierosów. Zapaliła jednego, osłaniając go stuloną dłonią, i zaciągnęła się głęboko. Już od bardzo, bardzo dawna nie wspominała Elizabeth, odpędzała od siebie myśli o niej, bo nie mogła znieść bólu, który przywoływały. Aby zmienić temat, zainteresowała się młodą kobietą siedzącą obok, na galerii, jej prywatnym balkonie. Annie miała dłonie i usta poplamione jeżynowym sokiem; ciemny kolor gryzł się mocno z miedzianą barwą jej włosów.

– Skąd pani jest? – zapytała Mary. – Skąd ten akcent?

– Z Bostonu – uśmiechnęła się Annie.

– Ach, tak. – Mary pokiwała głową. Rzeczywiście, ta przyduszona intonacja brzmiała jak u kogoś z klanu Kennedych.

– Pochodzę z bardzo bogatej rodziny – dodała Annie, obracając jeżynę pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym. – Mój ojciec jest kardiochirurgiem. Ludzie z całego świata przyjeżdżają leczyć się u niego.

W jej głosie brzmiała duma, ale też coś jeszcze. Może smutek.

– Tylko że już od jakiegoś czasu nie widziałam ani jego, ani mamy – dodała.

– Dlaczego? – zapytała Mary.

Annie wzruszyła ramionami.

– Oboje są strasznie zajęci. Ojciec ma pacjentów, mama pracuje charytatywnie, należy do klubu miłośników ogrodów i w ogóle mają mnóstwo na głowie. Nigdy nie poświęcali zbyt wiele uwagi dziecku. Jestem jedynaczką, ale wydaje mi się, że wszystko było ważniejsze ode mnie. Od czasu do czasu po prostu dostawałam od nich zastrzyk finansowy. Zawsze mieli tyle pieniędzy, że nie wiedzieli, co z nimi robić. Mogłam mieć wszystko, czego zapragnęłam. W każdym razie z rzeczy materialnych. – Omiotła wzrokiem horyzont. – Swojego syna nie wychowam w ten sposób. Przysięgam.

Po tamtym pierwszym spotkaniu Annie często odwiedzała Mary. Czasem zabierała ze sobą swojego ślicznego małego synka, a czasem przychodziła sama. Mary zawsze wyczekiwała jej odwiedzin i łapała się na tym, że nasłuchuje warkotu silnika na gruntowej drodze prowadzącej do latarni albo wypatruje z wysoka małego czerwonego volkswagena. Annie nie zjawiała się z pustymi rękami – przywoziła jej domowy chleb albo ciasteczka własnego wypieku, a czasem całe posiłki, które szykowała z myślą o Mary, gdy gotowała dla swojej rodziny. Mary ganiła ją za to.

– Nie wyrzucaj na mnie pieniędzy, dziecko – mówiła, ale Annie odpowiadała tylko, że kiedy ktoś komuś coś daje, niegrzecznie jest odmawiać albo wspominać o pieniądzach. Pochodziła z mającej rodziny, ale wszystko wskazywało, że obecnie w jej domu raczej się nie przelewa. Opowiadała, że mąż pracuje do późna, a często i w nocy, ponieważ musiał jeździć do gospodarstw na stałym łądzie i leczyć krowy, konie i kozy. Na ławicach Outer Banks było za mało pracy, aby mógł godziwie zarabiać.

Zaledwie kilka tygodni po pierwszym spotkaniu Mary i Annie Zarząd Parków Narodowych napomknął o przejęciu nadzoru nad latarnią morską w Kiss River. Po okolicy krążyły plotki. Ludzie mówili, że piaszczysta ścieżka zostanie wybetonowana, a w domu latarnika powstanie muzeum dla turystów.

Po raz pierwszy w życiu Mary miała problemy ze snem. Wiedziała, czego się spodziewać, więc nie zaskoczyła jej wizyta pracownika Zarządu Parków Narodowych, który przyszedł podziękować za współpracę. A właściwie – poinformować ją, że będzie musiała się wynieść. Powiedział też, że zarząd pomoże jej w przeprowadzce, ale Mary zamknęła mu drzwi przed nosem.

Annie dowiedziała się o tym i zanim Mary zdążyła zareagować, rozkręciła wielką akcję: napisała petycję, zebrała podpisy, a w przedsięwzięcie wciągnęła dziennikarzy. Któregoś dnia przyjechała nawet do Mary z ekipą telewizyjną. Poruszyła niebo i ziemię i nie odpuściła żadnemu politykowi, który mógł się jej przydać w tej nieustępliwej, choć często chaotycznej krucjacie. Kiedy wreszcie dopięła swego i zarząd pozwolił Mary zasiedlić połowę domu latarnika, nie było w regionie Outer Banks nikogo, kto nie słyszałby o Annie O'Neill i Mary Poor.

* * *

– Mary, wstań. No, już. Chodź do stołu. Czas na obiad.

Mary poczuła, że ktoś ciągnie ją za rękę, i otworzyła oczy. Gale, młoda pracownica domu opieki, stała nad nią, trzymając w dłoni jej łaskę. Mary spojrzała w kierunku ulicy.

– Czy tamten młody mężczyzna jeszcze tutaj jest? – zapytała, ale po chwili przypomniało jej się, że przecież sama widziała, jak wszedł do auta i odjechał.

– Nie, Mary. Twój gość poszedł godzinę temu.

– Wróci – oznajmiła Mary, wstając z fotela. Postawiła lewą stopę na podłodze i skrzywiła się, gdy jej biodro przeszył ostry ból. – Wróci na pewno.

Rozdział trzynasty

Alec mógł wywołać film w pracowni w dowolnym dniu tygodnia, ale poczekał aż do soboty. I dopiero gdy zajechał na parking, przyznał się przed samym sobą do powodów tej zwłoki: otóż chciał znowu zobaczyć się z Olivią Simon. Przez cały tydzień wyobrażał sobie, że z nią rozmawia, opowiada jej o Annie różne rzeczy, które nikogo już nie obchodziły. Zawsze mógł pogadać z Tomem Nestorem, ale widać było jak na dłoni, że Tom wciąż jeszcze przeżywa żałobę, a to go drażniło. Nigdy nie był zachwycony, że musi dzielić się Annie z tym typem.

Olivia pracowała przy stole, w tym miejscu, gdzie zazwyczaj widywał swoją żonę. Głowę miała nisko zwieszoną, a na oczach – stare zielone okulary ochronne, które należały do Annie. W zeszłym tygodniu, kiedy zobaczył je po raz pierwszy, przeżył lekki wstrząs, ale nie przychodził mu do głowy żaden konkretny argument, dlaczego właściwie nie powinna ich używać.

W jednej dłoni Olivia trzymała lutownicę, a w drugiej szpulę cynowego drutu. Tom pochylał się nad nią, prowadząc jej palce i chwając za dobrą robotę. Nad jego głową wiła się smużka dymu z papierosa. Za życia Annie nigdy nie palił w pracowni.

Kiedy Alec zamknął za sobą drzwi, Tom uniósł głowę.

– Siemasz – powiedział.

Olivia oderwała wzrok od pracy i uśmiechnęła się.

– Cześć – rzucił Alec. Podszedł i obrzucił spojrzeniem szklane elementy. – Co tworzysz? – zapytał.

Podła mu szkic zrobiony flamastrem na papierze milimetrowym: prostokąt podzielony na kilka części. Każdą z nich oznaczono innym kolorem. Alec uśmiechnął się, ujęty prostotą pomysłu i zadowoleniem malującym się na twarzy Olivii.

– Pani ma talent – oznajmił Tom.

– Pani dopiero się uczy – sprostowała, a żaden z nich nie zaprzeczył.

Alec stuknął ją lekko w ramię. Uniosła głowę; zielone oprawki zbyt szerokich okularów współgrały niemalże idealnie z zielenią jej oczu.

– Chciałbym zaprosić cię na obiad – powiedział. – Tym razem prawdziwy. Żadnego niestrawnego żarcia, jak poprzednio.

Przez chwilę jakby się zastanawiała, czy przyjąć zaproszenie, a potem skinęła głową.

– Dobrze.

Alec poszedł do ciemni i zabrał się do wywoływania czarno-białego filmu, który miał w aparacie w niedzielę. Myślał przy tym o małym witrażu, nad którym pracowała Olivia. Pierwszy witraż Annie był duży i złożony: przedstawiał dwie owce na łące skomponowanej z zieleni w pięciu odcieniach. Annie nigdy nie traciła czasu na wprawki. Jeśli za pierwszym podejściem nie powstało coś, co mogła pokazać i co napawało ją dumą, drugiej próby już nie było.

* * *

Spotkali się w południe, na parkingu pod pracownią.

– Nie spieszysz się nigdzie? – zapytał Alec, kiedy Olivia wsiadła do jego forda bronco. – Bo jeśli masz czas, moglibyśmy pojechać do Duck i zjeść nad cieśniną.

– Może być. – Zapięła pas bezpieczeństwa, przełożywszy go tylko przez uda. Gruba czarna krecha przecięła biel nogawek jej bawełnianych spodni. Przez kilka sekund Alec nie mógł oderwać wzroku od drobnych, delikatnych dłoni, mleczej skóry i krótkich, gładko zaokrąglonych paznokci Olivii. Przypomniał sobie, że ta kobieta trzymała w dłoni serce Annie; sama mu o tym opowiedziała. Uruchomił silnik i wyjechał na szosę.

– Tak daleko na północy jeszcze nie byłam – wyznała Olivia, kiedy na rozwidleniu dróg skręcił w prawo w kierunku Duck.

– Naprawdę? – Zdziwił się, bo zabrzmiało to niedorzecznie. – Przecież twój dom jest tak blisko, najwyżej kilka mil, a ty mieszkasz tutaj już... ile?

– Prawie rok. Ale poszłam do pracy pierwszego dnia po przeprowadzce. Trzeba było urządzić dom i nie mieliśmy czasu na poznawanie okolicy.

Powiedziała to tak, jakby ona i jej mąż byli razem. Może coś się zmieniło przez ten ostatni tydzień, pomyślał Alec. Może wrócił do domu?

Restauracja była niewielka. Usiedli przy stoliku na tarasie, tuż nad samą wodą; kiedy zajmowali miejsca, kilka tłustych gęsi posłało im wyczekujące spojrzenia.

Oboje zamówili sałatkę krabową. Alec czuł się odprężony, zupełnie inaczej niż tydzień wcześniej. Pamiętał, że zamawiał kanapki w bistro cały spięty, na granicy skurczu, gotowy do ucieczki. Bał się usłyszeć, jak umierała jego żona, ale wysłuchanie tego ogromnie mu pomogło, bo dowiedział się, że Olivia tak samo rozpaczliwie jak on pragnęła, aby Annie pozostała wśród żywych.

Zamówił lampkę wina, ale jego towarzyszka podziękowała i poklepała się po brzuchu; przypomniał sobie o dziecku.

– Jak się czujesz? – zapytał. Wyglądała zdrowo, jeśli nie liczyć bladej, niemalże przejrzystej cery, ale taka najwyraźniej była jej uroda.

– W porządku – odparła. – Jestem trochę zmęczona. Martwię się, jak mój stres wpłynie na dziecko.

– Co z twoim mężem? Wciąż mieszkasz sama?

– Tak. – Spuściła wzrok. Ręce miała złączone i Alec domyślał się, że znów bawi się swoją obrączką, jak przed tygodniem. – Nigdy nie myślałam, że będę samotna w ciąży, nie mówiąc już o samotnym wychowywaniu dziecka. – Uśmiechnęła się do niego. – Czasami nawiedza mnie koszmar, w którym rodzę bliźnięta. Tylko tego by mi brakowało.

– A czy w twojej rodzinie były bliźnięta?

– Ja sama miałam...

– Siostrę? – wszedł jej w słowo, próbując wyobrazić sobie drugą Olivię. – Naprawdę? Podobną?

– Niezbyt. Bo to był brat.

– A dlaczego mówisz „miałam”?

– Umarł kilka lat temu. – Machnęła dłonią, by uciąć temat. – Tak czy inaczej, wydawało mi się czasem, że czuję dwójkę, i wpadałam w panikę. Ale poszłam do ginekologa i usłyszałam bicie serca – jest tylko jedno.

Przy stoliku zapadło milczenie. Kelner przyniósł zamówione dania. W ciemnych, prostych włosach Olivii igrał migotliwy promień słońca.

– Jak ci się układa z mężem? – zainteresował się Alec.

Olivia wzięła w palce widelec.

– Kiepsko – odparła. – Już chyba całkiem przestałam go obchodzić. Zadzwońłam, żeby powiedzieć mu, że go kocham, tak jak mi radziłeś, i usłyszałam tylko, żebym dała sobie spokój, bo nie warto. – Chciała się

uśmiechnąć, ale słabo jej to wyszło.

– Może ma wyrzuty sumienia z powodu tamtego romansu. – Alec zauważył, że Olivia drgnęła.

– To nie był romans – sprostowała szybko. – Mówiłam ci, że to były tylko jego fantazje.

– Przepraszam.

Olivia wzięła do ust porcję sałatki, przeżuła ją i połknęła.

– Najpierw pracował z tamtą kobietą, a potem dostał obsesji na jej punkcie. Wciąż mówił tylko o niej. Porównywał mnie z nią. Widocznie nie wypadałam najlepiej.

– Jakoś trudno mi w to wierzyć.

– Ona miała męża i Paul w najmniejszym stopniu jej nie interesował. Sam mi mówił, że to wszystko było bez wzajemności. – Akcentowała słowa, jak gdyby oprócz Aleca chciała przekonać także siebie. Może nawet bardziej to drugie. –

W każdym razie nie mogłam się równać z jego wyobrażeniem o tej kobiecie, więc nawet kiedy ona... kiedy stało się jasne, że jej nie zdobędzie, i tak mnie zostawił.

Alec zmarszczył brwi. Ten facet to najwyraźniej skończony bałwan.

– Mówił tylko o niej, a ja się na to godziłam. Myślałam sobie: lepiej się nie unosić, zachować spokój, jak się wygada, w końcu mu przejdzie. Ale nie przeszło.

– Zostawił cię, żeby być bliżej niej? Wybacz, że to mówię, ale może on chciał mieć romans z tą kobietą, a nie mógł, dopóki był z tobą, więc...

Olivia potrząsnęła głową.

– Ona stąd wyjechała, zanim się wyprowadził.

– Dokąd? Czy to możliwe, że wciąż utrzymują kontakt?

Niespodziewanie Olivia wybuchnęła śmiechem. Zakryła usta dłonią.

– Nie, to z całą pewnością niemożliwe. – Dziobała widelcem swoją sałatkę. – Ona mieszka teraz w Kalifornii.

– To jeszcze nie koniec świata. Jak możesz być pewna, że nie mają ze sobą kontaktu?

– Paul by mi powiedział. Nigdy nie ukrywał przede mną swoich uczuć, chociaż czasami tak byłoby lepiej. – Spojrzała mu w oczy ponad blatem stolika. – W niektórych sprawach ona była naprawdę lepsza ode mnie. W tym, co było najważniejsze dla mojego męża.

– Posłuchaj. – Alec wyprostował się na krześle. – Ten facet ma obsesję. Nie

myśli racjonalnie. Nie daj sobie wmówić, że ma słuszość. On nigdy jej tak naprawdę nie poznał. Bo wtedy najprawdopodobniej doszedłby do wniosku, że to jakaś jędza.

Olivia opuściła głowę. Alec dostrzegł na jej rzęsach małą, migoczącą łzę, która opadła na bluzkę koloru lawendy i rozlała się ciemną plamką na wysokości piersi.

– Co się dzieje? – Pochylił się ku niej.

Otarła oczy serwetką i rozejrzała się po sali.

– Przepraszam – powiedziała cicho. – Nie po to zaprosiłeś mnie na obiad, żebym narobiła ci wstydu.

Alec przysunął się z krzesłem bliżej stołu.

– Nie chciałem też zrobić ci przykrości.

Olivia cofnęła się lekko, czując, że ich kolana ocierają się o siebie. Wzięła ze stołu serwetkę i zaczęła powoli drzeć ją na długie, postrzępione paski.

– Jednego nie rozumiem – powiedziała. – Zanim ją poznał, był cudownym człowiekiem. Nasze małżeństwo układało się idealnie, a potem nagle wszystko się posypało. I teraz ja wciąż czekam, aż ten dawny Paul powróci, ale on chyba umarł.

Alec potrząsnął głową.

– To raczej tylko hibernacja, nic więcej. W końcu się obudzi, a do tej pory trzymaj się blisko niego, Olivio. Żeby nie zapomniał, jak dobrze było wam ze sobą.

Przestała płakać, ale zaczerwieniony nos sprawiał, że wyglądała bezradnie. W niczym nie przypominała kobiety, która przed tygodniem tak szczegółowo opowiedziała mu o tym, jak ratowała życie Annie.

– Staram się być podobna do niej – powiedziała. – Do tamtej.

Alec znów zmarszczył brwi.

– Zakochał się w tobie, w Olivii, tak? To z Olivią zbudował zdrowy związek, nie z tamtą... – Chciał powiedzieć „suką”, ale krępował się użyć tego słowa przy niej. – Z kobietą, która doprowadziła go do szaleństwa.

Olivia splotła ramiona na piersi, zaciskając dłonie w pięści, małe i białe jak mleko.

– Nie mogłam mieć dzieci – wyznała. – To chyba wtedy wszystko się zmieniło. Wszystko, to znaczy jego uczucia. Poszłam do szpitala, miałam operację, ale było już za późno, żeby się z tego otrząsnąć.

– A gdybyś powiedziała mu o ciąży?

– Wtedy nigdy nie byłabym pewna, czy chce być ze mną dla mnie, czy dla dziecka.

Nagle coś zapiszczało w jej torebce. Sięgnęła do środka, aby wyłączyć urządzenie.

– Jest tutaj telefon? – zapytała.

– Tak, na pewno pozwolą ci skorzystać.

Wstała od stołu, przeciągnęła się i lekko zarzuciła lśniącymi, ciemnymi włosami. Przybrawszy z powrotem profesjonalną pozę niewzruszonej pani doktor, wyszła z sali.

Alec wziął z talerza niedojedzoną kromkę chleba i pokruszył ją dla gęsi pod tarasem. W końcu Olivia wróciła i usiadła na swoim krześle.

– Musisz wracać? – zapytał.

Potrząsnęła głową.

– Poradzą sobie beze mnie.

Zauważyła porwaną serwetkę i zmarszczyła brwi, jakby nie mogła zrozumieć, skąd się tam wzięła. Pozbierała strzępy i położyła na swoim talerzu, uśmiechając się smętnie.

– Przepraszam, Alec – powiedziała. – Następnym razem, kiedy zacznę truć o swoich problemach, zaknebluj mnie, dobrze?

– Nie przeszkadza mi to, mogę posłuchać – odparł, wrzucając do wody ostatni kawałek chleba. Gęsi rzuciły się na niego z krzykiem, walcząc pomiędzy sobą. – Twoja sytuacja różni się zasadniczo od mojej, ale łączy nas to, że oboje jesteśmy samotni. Wiem, jak się czujesz.

Ponieważ serwetki już nie było, Olivia zaczęła bawić się słomką w szklance z mrożoną herbatą.

– Kiedy tęsknię za Paulem, myślę o tobie, o tym, że nie masz już Annie, że straciłeś ją bezpowrotnie i... – Potrząsnęła głową. – Brakuje mi fizycznego dotyku. Nie chodzi o seks, tylko o... O trzymanie się za ręce, o intymny kontakt z drugą osobą. Kto tego nie stracił, nie wie, jakie to ważne.

Alec przytaknął w milczeniu, a ona opadła na oparcie krzesła i położyła dłonie na kolanach.

– Chodzę na masaż, tylko po to, żeby poczuć dotyk dłoni drugiego człowieka – powiedziała.

Uśmiechnął się, ujęty jej szczerością. Doskonale rozumiał, co chciała powiedzieć. Ciekawe, czy chodzi na masaż do mężczyzny czy do kobiety, pomyślał. Czy to w ogóle ma dla niej znaczenie? A może sam powinienem

zafundować sobie masaż? Jak by to było, zapłacić komuś, aby ulżył ciału cierpiącemu z powodu braku czułości?

* * *

W drodze do pracowni zatrzymali się na światłach na skrzyżowaniu Croatan i Ash. Alec wskazał posesję ciągnące się wzdłuż ulicy w kierunku cieśniny.

– Widzisz trzeci dom po prawej? – zapytał. – Tam mieszkaliśmy z Annie, gdy się tutaj sprowadziliśmy.

Mały dom stał na palach wbitych w piasek; był czarny ze starości już przed laty, kiedy Alec i Annie w nim zamieszkali.

– Jak widać, nie przelewało nam się wtedy – dodał Alec.

Ruszył powoli, bo w letnim sezonie ruch był duży. Olivia milczała przez jakiś czas.

– Po śmierci Annie zaczęłam pomagać w schronisku dla kobiet – odezwała się wreszcie.

Alec zerknął na nią z ukosa.

– Dlaczego? – Nie cierpiał tamtego miejsca.

Wzruszyła ramionami.

– Cóż, wtedy dowiedziałam się o istnieniu tej placówki. Mąż mnie zostawił i miałam czas. – Spojrzała na niego. – Wciąż jeszcze pamiętają tam Annie.

– Tak? – uśmiechnął się Alec.

– Wszyscy ją uwielbiali. Wspominają, że miała mnóstwo pomysłów i każdy liczył, że w razie potrzeby zawsze coś wpadnie jej do głowy. Mówią, że bez niej wszystko się tam wali.

– U mnie w domu też – mruknął Alec pod nosem, cicho, jakby do siebie.

W końcu zjechał na parking pod pracownią. Olivia rozpięła pas bezpieczeństwa, ale zamiast wysiąść, odwróciła się do niego.

– Jaka ona była naprawdę, Alec? – zapytała. – W schronisku opowiadają o niej tak, jakby Kościół powinien ogłosić ją świętą.

– Ateistów nie kanonizują – zaśmiał się, podkreślając klimatyzację o jedną kreskę. – Była wierna wartościom, które wyznawała, i w imię tych wartości potrafiła odejmować sobie od ust. Większość zarobionych pieniędzy oddawała. Na prawa zwierząt, chorych na AIDS, bezdomnych, na organizacje antyaborcyjne.

- Antyaborcyjne?
- O, tak. Była zagorzałą przeciwniczką aborcji. Ja wpłacałem pieniądze na fundacje na rzecz planowania rodziny, żeby nieco zrównoważyć bilans. – Alec uśmiechnął się do wspomnień. – Wkurzało ją to jak cholera.
- Dziwne, wydawało mi się, że miała liberalne poglądy.
- Owszem, ale była też bardzo prorodzinna. – Omiótł wzrokiem okna pracowni. – Ludzie widzą w niej ideał, ale to nieprawda. To był zwyczajny człowiek. Miewała różne nastroje, jak każdy. – Czuł się trochę nie w porządku, że psuje dobre zdanie, które Olivia miała na temat Annie, ale jej dziwne okresy melancholii były taką samą cechą charakteru jak altruizm. Zmienne nastroje następowały u niej falami. Alec nigdy nie rozumiał, dlaczego tak się dzieje, a ona nie potrafiła mu tego wytłumaczyć. Kiedy nadchodziła zmiana, Annie odcinała się od niego i od wszystkich. „To moja ciemna strona”, mówiła mu, a on niemalże widział czarny całun opadający na jej ramiona, otulający głowę. Szybko się nauczył, że nie jest w stanie powstrzymać napływu tych emocji. Mógł tylko czekać, aż wszystko samo przejdzie. Bardzo się martwił, że Annie umarła, kiedy taki zły okres trwał w najlepsze, że nawet w chwili śmierci nie zaznała spokoju ducha.
- Zaczęłam ją podziwiać – wyznała Olivia z nutą wstydu w głosie. – Przekonałam się, jak wiele pracy wymaga robienie witraży, i patrzę na jej dzieła z zachwytem.
- Ujęty jej słowami, Alec spojrział w okna pracowni, gdzie majaczyły zarysy ostatnich witraży, które wyszły spod ręki Annie.
- Miała wielki talent – przyznał. – Wydaje mi się, że osiągnęłaby znacznie więcej, gdybym nie namówił jej do ślubu i nie wyciągnął z uczelni.
- A gdzie studiowała?
- Na Boston College.
- Naprawdę? – Olivia zrobiła wielkie oczy. – Mój mąż także. Zrobił dyplom w siedemdziesiątym trzecim.
- Więc chyba był na jednym roku z Annie – powiedział Alec. – Zapytaj przy okazji, czy ją znał. Nazywała się wtedy Chase.
- Olivia milczała przez chwilę.
- No dobrze – mruknęła w końcu, sięgając do kłamki. – Dziękuję za obiad.
- Alec zatrzymał ją, ujmując pod ramię.
- Masz w okolicy znajomych? – zapytał.
- Potrząsnęła głową.

– Tylko kolegów i koleżanki z pracy.

Wyjął z kieszeni portfel, a z portfela wizytówkę. Na jej odwrocie zanotował swój domowy numer telefonu.

– Daj znać, jak ci idzie z mężem – powiedział, wręczając jej kartonik.

– Dzięki. – Odwróciła się, aby wysiąść.

– Olivio...

Obejrzała się przez ramię.

– Bardzo się cieszę, że to właśnie ty miałaś tamtego wieczoru dyżur na pogotowiu.

– Dziękuję. – Uśmiechnęła się i wysiadła, cicho zamknąwszy za sobą drzwi. Alec odprowadzał ją wzrokiem, kiedy przechodziła przed jego samochodem, odgarniając z twarzy kosmyk lśniących, ciemnych włosów.

Jej mąż to idiota, pomyślał.

Rozdział czternasty

Olivia oglądała to dziecięce łóżeczko już po raz czwarty. Po pożegnaniu z Alekiem zamierzała jechać prosto do domu, ale ten sklepik znajdował się tuż naprzeciwko pracowni, po drugiej stronie ulicy, i kusił.

Oczami wyobraźni Olivia widziała już to białe łóżeczko marki Jenny Lind w trzecim, najmniejszym pokoju swojego domu. Wyglądałoby tam cudownie, czysta biel na tle słonecznej, żółtej tapety, którą wybrała specjalnie w tym celu. Najchętniej kupiłaby je od razu, ale Paul mógł w każdej chwili przyjechać, żeby coś zabrać, a nie chciała, by w taki sposób dowiedział się, że zostanie ojcem. Woląca sama mu o tym powiedzieć, zamiast ni stąd, ni zowąd wstawiać do domu dziecięce łóżeczko.

Wróciła do samochodu, wciąż ściskając w dłoni wizytówkę, którą dał jej Alec O'Neill. Musiała tkwić w jego portfelu przez dobrych kilka miesięcy, bo była miękka jak filc. Olivia wyjęła własny portfel i schowała ją głęboko. Przygryzła wargę, gdy pomyślała o tym, że oszukała Aleca. Przemilczała pewne sprawy. Nie powiedziała mu, że to Paul pisał o Annie w magazynie „Seascape”. Ale czy miała inne wyjście? Gdyby Alec dowiedział się czegoś więcej, domyśliłby się, że to Annie była kobietą, dla której Paul stracił głowę, a do tego Olivia nie mogła dopuścić.

Po powrocie do domu upiekła ciasteczka – nie potrafiła sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz używała piekarnika – a potem włożyła niebieską bluzkę w kwiaty, którą lubił Paul. Na rozłożonej na kuchennym stole mapie odszukała adres, który jej podał, i sprawdziła, jak tam dojechać, a tymczasem dom wypełnił się aromatem płatków owsianych i cukru trzcinowego. Zabrała gotowe ciastka do samochodu i wyruszyła do odległego o szesnaście kilometrów South Nag's Head.

Kilka minut przed szóstą zaparkowała przed niewielkim, pomalowanym na szaro domem Paula. Przecnicę dalej rozciągał się już ocean, a dookoła kłębili się turyści zajmujący okoliczne domy letniskowe. Ten był całkiem nowy.

Wchodząc na werandę, poczuła zapach cedrowych desek, którymi go wykończono. Zanim Paul otworzył, zdążyła zastukać dwa razy.

– Olivia? – powiedział, nie kryjąc zdziwienia.

– Chciałam zobaczyć twój nowy dom. – Uśmiechnęła się. Zabrzmiało to tak, jakby była jego dobrą, bliską przyjaciółką: tylko ciekawość i troska. – Upiekłam kilka ciastek.

Odsunął się od drzwi, aby wpuścić ją do środka.

– Sama upiekłaś? Nie wiedziałem, że umiesz obsługiwać piekarnik.

Dom wyglądał jak izba pamięci Annie O’Neill. W salonie były cztery duże okna, a w każdym z nich wisiał witraż: dwie kobiety w jedwabnych szatach i dwa podwodne krajobrazy, z tropikalnymi rybami i rozlanymi smugami głębokiego błękitu i zieleni, charakterystycznymi dla jej stylu. Tom Nestor dwa razy wyjaśniał Olivii ze szczegółami, na czym ta technika polega, ale wciąż nie mogła zrozumieć, jak to się robi.

– Bardzo ładny dom, Paul – pochwaliła.

W belkowanym, skośnym suficie znajdowały się cztery świetliki, przez które wpadało czyste, miłe dla oka światło słoneczne, rozlewając się po pomieszczeniu.

– Dziękuję. – Paul przeszedł do jadalni i choć to było całkiem niepotrzebne, zaczął porządkować papiery na stole, który przez wiele lat należał także do Olivii. Zdawało się, że jej wizyta wytrąciła go z równowagi; czuła się tak, jakby nakryła go z inną kobietą. Cóż, w pewnym sensie tak właśnie było.

– Przeszkodziłam ci w pracy – zauważyła i wskazała jego przenośny komputer leżący na stole.

– Nic się nie stało. I tak już czas na małą przerwę. Proszę.

Usiadła przy stole jadalnym, na jednym z dobrze znanych jej krzeseł.

– Mam trochę mrożonej herbaty. A może wolisz wino?

– Poproszę herbaty. – Patrzyła za nim, kiedy zniknął w kuchni. Zdawała sobie sprawę, że też nie jest z nim do końca szczerą. Nie miała pojęcia, jak mogłaby mu powiedzieć, że poszła na obiad z Alekiem O’Neillem, i z całą pewnością nie umiałaby go zapytać, czy poznał Annie, gdy studiował w Boston College. Jeśli nie wiedział, że byli na jednej uczelni... Potrafiła sobie wyobrazić, jak by się zachował, gdyby mu o tym powiedziała. Zadręczałby się myślami o tym, co stracił. Nie chciała dostarczać pożywki jego fantazji.

Paul wrócił do jadalni. Postawił przed nią szklanekę z mrożoną herbatą, ale

sam nie usiadł przy stole. Nie przyniósł też nic do picia dla siebie. Stał obok komputera z rękami w kieszeniach.

– Zjedz ciastko. – Olivia wskazała dłonią zawinięty w folię talerz. Odwinął opakowanie i wziął jedno.

– Mam nadzieję, że nie są zatrute. – Uśmiechnął się. Na jedną chwilę olśniło ją spojrzenie jego orzechowych oczu – uśmiech napełnił je ciepłem, a jego twarz tchnęła przy tym niesłychanym urokiem. Olivia zaczęła się zastanawiać, kiedy po raz ostatni okazał jej choćby odrobinę uczucia. Żałowała, że nie umie uwodzić. Nigdy nie opanowała tej sztuki, a w zasadzie z uporem broniła się przed zgłębianiem jej tajników.

Z trudem odwróciła od niego wzrok i opuściła oczy.

– Nad czym pracujesz? – zapytała.

Paul spojrział na stosiki papierów na stole, zatrzymując wzrok na jednym z nich.

– Przyłączyłem się do komitetu ochrony latarni morskiej w Kiss River. Przygotowujemy broszurę informacyjną, aby zainteresować sprawą opinię publiczną.

Latarnia w Kiss River zawsze była obiektem jego dziwnej fascynacji. Kiedy tylko się sprowadzili do Outer Banks, od razu po przyjeździe, tego samego dnia, wybrał się tam na wycieczkę. Olivia została w domu, żeby rozpakować rzeczy, zirytowana, że zostawił wszystko na jej głowie; zaniepokoiła się też trochę, że nie chciał zabrać jej ze sobą. Tak właśnie wyglądał początek końca ich małżeństwa.

– To było bardzo dziwne – zwierzył jej się teraz. – Przyszedłem na spotkanie i okazało się, że kto jest przewodniczącym komitetu? Oczywiście mąż Annie.

Zauważyła, że zerknął na nią, by sprawdzić, czy temat jest bezpieczny. Alec był przewodniczącym komitetu ochrony latarni? A Paul z nim współpracował? Zastanowiła się. Może powinna przyznać się Paulowi, że poznała Aleca? Tylko że wtedy musiałaby powiedzieć mu też o lekcjach witraży i o tym, że już dwa razy Alec zaprosił ją na obiad. Poczwała, że płacze się coraz bardziej w sieci kłamstw.

– Chciałem wstać i wyjść – ciągnął Paul, gestykulując dłonią, w której trzymał ciastko. – Ale byłem jak w pułapce. Błagałem, żeby mnie przyjęli, tyle że nie spodziewałem się, że będzie tam Alec O’... – Skrzywił się. – Przepraszam. Na pewno nie chcesz już słuchać, jak gadam o Annie.

– W porządku – odparła. – Możesz o niej mówić. Wiem, że tego

potrzebujesz. I że nie masz z kim o niej rozmawiać.

Pewnie czuł się podobnie jak ona na obiedzie z Alekiem, gdy opowiadała mu o Paulu i w identyczny sposób go zamęczała. Teraz wreszcie rozumiała, jak bardzo Paul potrzebuje wyrzucić to z siebie.

Usiadł po drugiej stronie stołu i przyglądał się jej zaczerwienionymi oczami.

– Dlaczego to robisz? – zapytał. – Chcesz słuchać o kobiecie, która rozbiła nasze małżeństwo?

– Bo wciąż cię kocham i troszczę się o ciebie.

Odwrócił głowę.

– Nie mogę już rozmawiać z tobą o niej. To nie jest w porządku i nigdy nie było.

Olivia wstała, obeszła stół i uklękła przy Paulu, kładąc dłoń na jego dłoni. Wzdrygnął się i cofnął rękę.

– Nie rób tego – powiedział.

Odsunęła się i usiadła na dywanie.

– Pamiętasz, jak kiedyś chodziliśmy na długie spacerunki wczesnym rankiem? – zapytała.

– Czemu o tym mówisz? – Zmarszczył brwi.

– Bo to są jedne z moich najpiękniejszych wspomnień. Spacerowaliśmy po parku Rock Creek, trzymając się za ręce. Kupowaliśmy bajgle z serkiem śmietankowym i szalotką u Joego i...

– I co pięć minut dzwonił twój pager.

Osunęła się pod ścianę, pokonana.

– Naprawdę tak często?

– O ile nie częściej.

– Przepraszam. Gdybym wiedziała, jaką cenę za to zapłacę, na pewno coś bym z tym zrobiła.

Myślała, że Paul podziwiał jej pracowitość. Nazywał ją pracoholiczką, ale zawsze wydawało jej się, że mówił to z czułością, bez pretensji. Musiał przecież rozumieć, dlaczego tak się dzieje. Nikt nie rozumiał tego lepiej niż on. Jeszcze w liceum i na studiach Olivia celowo, z rozmysłem potrafiła zatracić się w pracy, żeby nie mieć czasu na życie towarzyskie. To ją chroniło przed przelotnymi flirtami i przygodnym seksem; pierwszego nigdy się dobrze nie nauczyła, a drugie było absolutnie wykluczone. Kiedy poznała Paula i okazało się, że przy nim czuje się bezpiecznie, jej plan pracy był już dawno ustalony i wydawało się, że nie ma potrzeby go zmieniać. Teraz jednak

zrozumiała, na czym polegał jej błąd: założyła, że Paul będzie zawsze. Dawała mu tak mało, że musiał uciec się do fantazji o innej kobiecie, żeby poczuć się spełniony, i okazało się, że ta fantazja jest lepsza od małżeństwa.

– To moja wina. – Opuściła głowę. – Przeze mnie wszystko się popsuło. Bardzo za tobą tęsknię, Paul. Wiele bym oddała, żebyś wrócił. Odeszłabym z pracy. Zostałabym kelnerką. Obierałabym krewetki i ostrygi. I tylko od poniedziałku do piątku. Wieczory i weekendy – wolne.

Słyszając jego śmiech, uniosła głowę i zobaczyła, że zdjął okulary. Oczy wciąż miał zaczerwienione, ale twarz mu się rozpogodziła.

– Liv – powiedział łagodnie; już od wielu miesięcy nie mówił do niej takim tonem. – To ja jestem skrzywiony, nie ty.

– Dziewięć lat – przypomniała mu. – Wydawało mi się, że jesteś szczęśliwy. Zadowolony.

Skinął głową.

– To prawda. Wszystko było dobrze. Prawie idealnie. Ale się zmieniłem, Liv. Przepraszam cię za to.

Olivia pomyślała o łódeczku, które oglądała w sklepie. O biciu maleńkiego serca, niosącym się głuchym echem w czterech ścianach gabinetu ginekologa.

– Moglibyśmy pójść na terapię małżeńską – zaproponowała. – Na pewno coś da się zrobić.

Paul potrząsnął głową i wstał, wyciągając rękę, aby pomóc jej podnieść się z podłogi. Kiedy tylko stanęła na nogach, puścił jej dłoń i ruszył do wyjścia, dając wyraźny znak, że wizyta trwa już wystarczająco długo.

– Dziękuję za ciastka – powiedział i otworzył drzwi.

Gdy Olivia wyszła na werandę, poczuła, jak ogarnia ją rozpacz. Za progiem obejrzała się jeszcze.

– Paul, mówiłam poważnie. O tym, że się zmienię. Odejdę z pracy, jeśli trzeba. Może gdybym...

Znów potrząsnął głową.

– Znajdź sobie adwokata, Olivio – poradził, delikatnie zamknął drzwi i zniknął jej z oczu.

Rozdział piętnasty

Lipiec 1991

– Skąd to masz? – Clay spojrzął na siostrę siedzącą po drugiej stronie stołu. Alec oderwał wzrok od gazety, by zobaczyć, o co mu chodzi. Lacey miała na głowie słuchawki, a przed nią, obok talerza, leżało małe, czerwone radio tranzystorowe. Widział je po raz pierwszy w życiu.

– Dostałam od Jessiki na urodziny – wyjaśniła obojętnym głosem. Zabrała radio i zawiesiła je sobie na pasku szortów, po czym wstała. Na talerzu zostawiła pół mrożonego wafła.

Alec zmarszczył brwi.

– Na urodziny? Które urodziny?

– Nieważne. – Lacey chwyciła plecak leżący na kuchennym blacie. – Muszę już iść.

– Zaczekaj chwilkę. – Alec wstał, ale ona już zniknęła za drzwiami. Plaskając trampkami, przecięła podjazd i wybiegła na ulicę, żeby poczekać na autobus. Zaczynały się letnie kursy powtórkowe.

Obejrzał się na Claya, który odwzajemnił spojrzenie, ściskając w uniesionej nieruchomo dłoni widelec.

– Zapomnieliśmy o jej urodzinach – westchnął.

– Niemożliwe. Ona ma urodziny pierwszego, tak?

– Tak. A dzisiaj jest drugi.

Alec poczuł, że wszystko się w nim skręca, jakby ktoś rąbnął go prosto w żołądek.

– Jasna cholera. – Usiadł z powrotem, zamknął oczy i przycisnął palce do skroni, w których nagle odezwał się kłujący ból. Przypomniał sobie, co działo się poprzedniego dnia. Przy śniadaniu Lacey nic nie mówiła, a on czytał o erozji w rejonie Kiss River. Tak go to pochłonęło, że praktycznie nie

odrywał wzroku od tekstu. Wieczorem, kiedy wrócił do domu, siedziała w swoim pokoju. Powiedziała, że nie jest głodna, więc Alec i Clay zamówili pizzę i zjedli sami w kuchni. Lacey się nie pokazała. Zdziwiło go to. Ostatnio spędzała dużo czasu u siebie, ale tak się zamknąć w pokoju na cały wieczór – to było zaskakujące, nawet jak na nią.

– Tato?

Alec otworzył oczy. W głosie syna usłyszał nowy, dorosły ton. Z ciężkim westchnieniem opadł na oparcie krzesła.

– Nie do wiary. Jak mogłem...? – mruknął pod nosem. – Twoje urodziny też przegapiłem?

– Nie, tato – uśmiechnął się Clay. – Ja jestem z października, pamiętasz?

Alec potarł dłonią podbródek. Powiniennem się ogolić, pomyślał.

– Musimy dzisiaj coś dla niej urządzić – powiedział. – Kupię prezent. Znajdziesz czas, żeby też się za czymś rozejrzeć?

Clay przytaknął.

– Co mam jej kupić? – Alec spojrzał na syna bezradnie.

– Od mamy zawsze dostawała starą lalkę...

– Wiem, ale przecież skończyła już czternaście lat.

I tak nie miał pojęcia, gdzie miałby szukać. Annie kupowała lalkę w ciągu roku i trzymała w ukryciu aż do urodzin Lacey. Poza tym to były prezenty specjalne, tylko od niej. Lacey miała trzynaście lat, kiedy Annie umarła, więc powinna mieć trzynaście lalek.

Clay poszedł do szkoły, a Alec zajrzał do pokoju córki. Od dnia, kiedy Clay skończył szkołę, a ona wysprzątała cały dom, panował tam porządek, ale ubrania i papiery już zaczynały zalegać tu i ówdzie. To był jej azyl, jej schronienie.

Któregoś wieczoru wróciła do domu później niż zwykle i natychmiast pobiegła do swojego pokoju. Alec zobaczył ją tylko w przelocie, ale to wystarczyło, aby zauważyć, że coś jest nie tak: miała krzywo zapiętą bluzkę i ślady łez na twarzy. Poszedł na górę i przez kilka minut stał pod jej drzwiami, słuchając, jak płacze. Wreszcie zapukał i wszedł do środka. Musiał poruszać się po omacku, bo w pokoju było zupełnie ciemno. Dotarł do łóżka i usiadł na brzegu pościeli, a gdy oczy przywykły do ciemności, zobaczył Lacey leżącą twarzą do ściany. Pociągała nosem, ale najciszej, jak tylko mogła, i udawała, że wszystko jest w porządku.

– Co się stało, Lace? – zapytał Alec.

– Nic. – Szeptnęła, ale tak cicho, że musiał się nad nią pochylić.
– Ktoś ci coś zrobił?
– Boże... – syknęła ze wstrętem. – Jesteś chory na głowę.
Alec złożył dłonie razem, oparł je na kolanach.
– Może spotkasz się ze szkolnym psychologiem, Lace – zaproponował. –
Chciałabyś? Jeśli masz jakiś problem, mogłabyś o tym porozmawiać.
Nie odpowiedziała.
– Chcesz porozmawiać z psychologiem, Lace? – powtórzył.
– Nie – warknęła.
– A mnie powiesz, co cię gryzie?
– Już powiedziałam: nic.
– Kochanie... – Alec położył dłoń na jej ramieniu, a Lacey szarpnęła się
i jęknęła boleśnie.
– Idź stąd, dobrze? – poprosiła.
Alec wstał i poszedł do drzwi.
– Kocham cię, Lace – powiedział jeszcze, zanim zostawił swoją milczącą
córkę samą w jej pokoju. Poczekał chwilę pod drzwiami; tak jak się
spodziewał, Lacey znów zaczęła płakać, tym razem żałośniej, jakby rozmowa
z ojcem przysporzyła jej dodatkowego bólu.
A teraz stał w progu tego samego pokoju i zastanawiał się, w jaki sposób
mógłby jej to wszystko wynagrodzić. Lalki na półkach spoglądały z wyrzutem,
a młodzi mężczyźni w skórzanych kurtkach, pod którymi lśniły nagie torsy,
patrzyli na niego złym wzrokiem. No tak. Teraz dał swojej córce prawdziwy
powód do płaczu.

* * *

Kupił dla niej tort, czekoladowy z białym lukrem. Poprosił panią z cukierni
w supermarkecie, żeby napisała na nim „Sto lat, Lacey”. Napis był niebieski
i wił się pomiędzy kwiatkami z masy cukrowej. Zajrzał też do sklepu
odzieżowego, w którym Lacey i Annie często robiły zakupy. Przytłoczył go
widok rzędów wieszaków z szortami, koszulkami, spódnicami i sukienkami.
Nie wiedział nawet, jaki rozmiar nosiła jego córka. Nie orientował się, co
lubi, a czego nie znosi. W końcu poszedł do sklepu płytowego i poprosił o bon
podarunkowy – bo nie wiedział też, czego Lacey teraz słucha – i z poczuciem

w miarę dobrze wypełnionego zadania wrócił do domu, żeby przygotować jej ulubione enchiladas z kurczakiem na kolację.

Annie miała pudełko, w którym trzymała przepisy, ale nie znalazł tam żadnych konkretnych wskazówek. Jej enchiladas były najwidoczniej efektem improwizacji, bo na karteczce nie wyczytał nic konkretnego. Na dodatek Annie bazgrała jak kura pazurem. Po latach nauczył się wreszcie czytać jej pismo, ale teraz udało mu się odcyfrować tylko parę słów w prawym dolnym rogu. „Ulubione danie Lacey!”, zanotowała mama kucharka.

Alec zadzwonił do Noli Dillard.

– Zapomniałem o urodzinach Lacey, uwierzysz?

– Wiem o tym, mój drogi. Jessica mi powiedziała.

– Powinienem być zapisać to sobie w kalendarzu. Ostatnio pamięć mi szwankuje.

– Nie zdręczaj się, Alec. Przejdzie jej.

– Zamierzam zrobić na kolację enchiladas, takie jak robiła Annie. Lacey je uwielbia, ale nie mogę rozczytać przepisu. Może ty go masz?

– Jasne, że mam. Przyjdę i pomogę ci, chcesz?

– Nie, proszę, nie trzeba. Po prostu podyktuj mi przez telefon, dobrze?

Nola mieszkała naprzeciwko, przy tej samej ślepej uliczce, przy której stał ich dom; mogła się zjawić za chwilę, ale tego wolał uniknąć. Zastanawiał się, czy zauważyła, że robi, co tylko może, aby nie spotykać się z nią sam na sam.

Przepis na enchiladas okazał się zaskakująco złożony. Najpierw Alec poparzył sobie palce podczas rozbierania kurczaka, a potem zmarnował cztery tortille, zanim udało mu się dojść do tego, że trzeba poleać je sosem i szybko napełnić farszem.

Lacey wróciła o piątej trzydzieści. Kiedy weszła tylnymi drzwiami, Alec objął ją i mocno przytulił, nie czekając, aż zaprotestuje. Była sztywna, jakby kij połknęła; zauważył też, że jest bardzo szczupła. Na policzku czuł chłodny, metalowy pałak jej słuchawek, a w uszach miał stłumiony, rozkołysany rytm muzyki.

– Przepraszam się, Lacey – powiedział. – Straciłem rachubę dni.

Odsunęła się, nie patrząc na niego.

– Nic się nie stało. – Zdjęła słuchawki i położyła na kuchennym blacie.

– Zawołaj Claya na kolację – poprosił. – Zrobiłem twoje ulubione enchiladas.

Lacey rzuciła okiem na piekarnik i poszła na górę.

* * *

– Dobrze, tato. – Clay wbił widelec w oblepioną serem bryłę leżącą na jego talerzu. Enchiladas nie przypominały dania Annie. Ciekawe, co schrzaniłem, zastanawiał się Alec. Lacey zwiesiła głowę nad talerzem i dłużyła widełcem w roztopionym serze, robiąc z niego paskudną breję.

– Smakowały inaczej, kiedy robiła je mama – odparł Alec, aby uprzedzić słowa krytyki.

– Mama dodawała zielonych papryczek chili, w małych puszkach – bąknęła Lacey, nie podnosząc głowy.

– Aha – mruknął. – Następnym razem dodam.

– Oduść sobie – prychnęła z ironią. Bezlitośnie.

Clay spojrzał na ojca takim wzrokiem, jakby nie dowierzał własnym uszom.

– Lacey, ty świni... – zaczął, lecz Alec potrząsnął głową.

– Przejdźmy od razu do deseru – zaproponował. – Może będzie trochę lepszy, bo nie ja go robiłem.

Tort czekał na stole w jadalni. Kiedy Alec zapalał po kolei czternaście świeczek, przyszło mu do głowy, że Annie nigdy nie urządziłaby komuś urodzin w kuchni, tak jak on teraz. Nie pomyślał o tym. Odkąd Annie odeszła, ani jeden wspólny posiłek nie odbył się w jadalni.

Zabrał tort i zaniósł go do kuchni, śpiewając urodzinową piosenkę.

– Przestańcie, proszę – jęknęła Lacey, gdy Clay mu zawtórował, ale oni tylko zaczęli śpiewać jeszcze głośniej. – Cicho! – krzyknęła, zasłaniając uszy. – Nie znoszę tego!

Widząc w jej oczach łzy, Alec umilkł i dał znak synowi, żeby wziął z niego przykład.

– W porządku – powiedział. – Koniec części artystycznej.

Postawił tort na stole i podał synowi nóż, a sam wyjął z kuchennej szafki prezenty zapakowane w ozdobny papier. Położył je na stole przed Lacey i nagle zrobiło mu się głupio. Od Claya było duże pudełko – kupił siostrze buty do sportów wodnych – a od niego tylko mała koperta. Nic więcej. Annie zawsze obsypywała dzieci prezentami. Było ich tyle, że aż stół się ugiął, a papier do pakowania ozdabiała własnoręcznie. Miałem jeden dzień więcej, a i tak nie zrobiłem tego porządnie, pomyślał Alec.

Lacey zachowała się jak należy. Buty od Claya naprawdę się jej podobały, widać to było w jej oczach; Alec cieszył się, że jego syn tak dobrze zna siostrę, i był mu wdzięczny. Podziękowała ojcu za jego prezent – bon ze sklepu płytowego – bezmyślnie dziobała widelcem swoją porcję tortu. Alec za wszelką cenę pragnął zrobić jej przyjemność.

– Mam też dla ciebie czek, Lace – wypalił, chociaż dopiero w tej chwili przyszło mu to do głowy. – Pięćdziesiąt dolców. Możesz je wydać, na co tylko zechcesz.

Za coś takiego Annie zabiłaby go na miejscu, tutaj, w kuchni. Złapałaby go, rzuciła na podłogę i skopała na śmierć.

– Nie dostawałam od rodziców nic oprócz pieniędzy – powiedziała mu raz, kiedy zaproponował, żeby na Gwiazdkę dali dzieciom po małej sumce. – Nigdy nie dostałam nic innego, a tak naprawdę chciałam mieć rodziców, a nie forszę. Oddałabym wszystko, co miałam, każdego centa, którego mi dali, żeby usłyszeć: „Kochamy cię, Annie. Nieważne, co robisz, nieważne, jak wyglądasz – jesteś naszym dzieckiem i kochamy cię”.

– Pierwszy raz nie dostałam lalki na urodziny – odezwała się nagle Lacey. Nie patrzyła ani na ojca, ani na brata. Nakłuwała widelcem różowy kwiatek z masy cukrowej.

– Pomyślałem, że jesteś za duża na lalki – wyjaśnił Alec. – Masz już czternaście lat.

Wzruszyła ramionami.

– Mama mówiła, że będę dostawała lalkę na każde urodziny, dopóki nie skończę dwudziestu jeden lat.

– Naprawdę? – Alec był autentycznie zdziwiony.

Lacey uniosła wzrok, spoglądając mu prosto w oczy, po raz pierwszy od, wydawało się, długich miesięcy. Wzdrygnął się, bo w jej spojrzeniu można było wyczytać, jak bardzo ją to boli.

– Kiedy będę miała dzieci, nigdy nie zapomnę o ich urodzinach – oznajmiła.

– Ja nie zapomniałem, Lacey. Wiem, że urodziłaś się pierwszego lipca. Po prostu nie skojarzyłem, że już zaczął się lipiec.

– Aha, więc wydawało ci się, że jest dwudziesty dziewiąty czerwca, może trzydziesty? I pewnie już dawno wymyśliłeś dla mnie prezent. Założę się, że tak.

Wstała od stołu. Łzy napłynęły jej do oczu, więc odwróciła głowę, nie odgarniając włosów, które opadły i zasłoniły jej twarz.

Alec też wstał, położył jej dłoń na ramieniu

– Kochanie... – zaczął.

Lacey szarpnęła się i cofnęła gwałtownie.

– Założę się, że wiesz dokładnie, kiedy zbudowali tę twoją głupią latarnię, co? I na pewno zorganizowałeś wielkie jubileuszowe obchody – prychnęła i wyszła z domu tylnymi drzwiami.

– Lace, jutro szkoła! – zawołał za nią. – Nie chciałbym...

– Wał się! – wrzasnęła przez ramię. Skutecznie zamknęła mu usta; w piersi poczuł tępy ból, głęboko, za mostkiem, tam, gdzie zalegały urodzinowe enchiladas, twarde i ciężkie jak beton. Chciał za nią pobiec, powiedzieć, że nie życzy sobie takich odzywek, ale powstrzymała go myśl, że Annie na pewno nie zrobiłaby z tego afery. Poza tym Lacey miała rację. Budowę latarni morskiej w Kiss River rozpoczęto piątego kwietnia tysiąc osiemset sześćdziesiątego dziewiątego roku, a zakończono pięć lat później. Lampa zapłonęła po raz pierwszy trzydziestego września tysiąc osiemset siedemdziesiątego czwartego roku, a tegoroczne obchody rocznicy tego wydarzenia zaplanowano z wielkim rozmachem. Alec, jako przewodniczący komitetu, już dawno zamówił tort.

Rozdział szesnasty

To nie przypadek ani impuls sprawił, że Alec przyjechał do pogotowia w Kill Devil Hills. Planował to już od kilku dni, ale dopiero gdy zatrzymał samochód na parkingu i poczuł, jak tętno mu przyspiesza na wspomnienie ostatniej wizyty w tym miejscu, zrozumiał, że dziś nadszedł ten czas.

W poczekalni kłębił się tłum ludzi. Ciekawe, czy Olivia da radę wyrwać się na chwilę?, pomyślał. Ucieszyło go jednak, że tylu tutaj pacjentów, bo wyglądało to zupełnie inaczej niż tamtego wieczoru, kiedy umarła Annie. Gdyby nie wiedział, gdzie trafił, nie zorientowałby się, że już tutaj był.

Stanął obok rejestracji, gdzie jakiś łyśawy, baryłowaty facet wydierał się na młodą, wyraźnie przestraszoną dziewczynę z obsługi.

– Godzinę już czekam! – Napał na biurko z wykrzywioną ze złości twarzą. Na szmacie, którą przyciskał do przedramienia, widniały rdzawobrunatne plamy. – Prędeż się wykrawawię, niż mnie przyjmiecie!

Rejestratorka, zacinając się ze strachu, próbowała wytłumaczyć przyczynę opóźnienia, ale on przerwał jej potokiem niecenzuralnych słów i gróźb. Alec postanowił zareagować, chociaż bynajmniej nie miał ochoty. Zaczął się zastanawiać, jak najlepiej to zrobić – i w tym momencie u boku dziewczyny pojawiła się Olivia. W pierwszej chwili jej nie poznał. W tym miejscu wyglądała całkiem inaczej. I to nie tylko dlatego, że miała na sobie biały fartuch. Była jakby wyższa, jej oczy wydawały się bardziej zielone niż zwykle, a rzęsy dłuższe i czarne. Pochyliła się w stronę awanturującego się mężczyzny. Nie zauważyła Aleca.

– Przykro mi, że musiał pan czekać – powiedziała. – Ale to nie jest McDonald.

Alec uśmiechnął się szeroko, a łyśawy otworzył usta, by coś powiedzieć, lecz Olivia nie dała mu dojść do słowa.

– Przed panem w kolejce są pacjenci w znacznie gorszym stanie – poinformowała go. – Zajmiemy się panem jak najszybciej.

W jej głosie było coś takiego, że facet się zamknął i wrócił na krzesło, mamrocząc pod nosem. Wtedy dopiero Olivia spostrzegła Aleca.

– Coś ci się stało? – Zmarszczyła brwi.

– Co? Aha, no tak. – Zaskoczyła go tym pytaniem. Pochylił się nad biurkiem, żeby nikt inny go nie słyszał. – Zjemy razem obiad?

– Naprawdę chcesz pójść ze mną do restauracji po tym, jak napłakałam w sałatkę krabową? – Uśmiechnęła się.

– Tak – zapewnił. – Naprawdę.

– To może weźmiemy coś w chińskiej knajpie i pojedziemy do mnie? Kończę o siódmej.

Najwidoczniej jej mąż nie wprowadził się z powrotem.

– Dobrze – powiedział Alec. – Kupię po drodze jedzenie i przyjadę. Na co masz ochotę?

– Wybierz coś. – Wręczyła mu kartkę, na której zapisała swój adres.

Alec wrócił do samochodu, rozmyślając o tym, że właśnie miał okazję oglądać Olivie w jej żywiolu. Emanowała pewnością siebie, której nie zauważył u niej wcześniej. Chętnie by poobserwował ją przy pracy, jak opatruje ramię tamtego łysawego faceta. Ciekawie byłoby posłuchać, co mu przy tym mówi, obserwować harmonię umysłu i ciała. Alec wiedział, jak to jest, pamiętał to dobrze, chociaż minęło już sporo czasu. Nagle zatęsknił za uczuciem, które towarzyszyło dotykaniu ciała żywej istoty, używaniu własnych rąk, aby leczyć. Powtarzał sobie, że przecież leczy latarnię, stara się ją uratować, ale wiedział, że to nie to samo. Nawet kiedy słońce mocno grzało, ceglany mur w dotyku był zimny i martwy.

* * *

Po wyjściu z pracy Olivia zaczęła żałować pochopej decyzji. Miała ochotę zobaczyć się z Alekiem, porozmawiać z nim, ale zapraszać go do siebie? Do domu, za który Paul wciąż płacił jeszcze połowę raty kredytu? Przecież on nawet mógł w każdej chwili się tam pojawić. Mało prawdopodobne, ale niewykluczone. Olivia po raz pierwszy jechała do domu z nadzieją, że Paulowi nie przyjdzie do głowy niespodziewana wizyta.

Alec czekał na werandzie. Pod pachą trzymał papierową torbę. Zaparkowała na podjeździe, obok jego forda bronco, i wysiadła z samochodu.

– Smakowicie pachnie – zauważyła, mijając swojego gościa, żeby wsunąć klucz do zamka. – Proszę.

Za drzwiami znajdował się salon, ale poszli prosto do kuchni. Sylvie miauknęła na nich, a Alec, postawiwszy torbę na kuchennym stole, schylił się i wziął ją na ręce.

– Ładna – pochwalił, trzymając ją wysoko w powietrzu. Sylvie pacnęła go łapą w nos. – Ile ma lat? – zapytał, przytulając ją do piersi. Do uszu Olivii dobiegło mruczenie.

– Sześć – odpowiedziała. – Nazywa się Sylvie i na ogół nie znosi obcych.

– Mmm. – Alec uśmiechnął się i postawił kotkę na podłodze. – Na pewno się dogadamy, nie mów jej tylko, że jestem weterynarzem.

Olivia wyjęła z szafki dwa talerze. Czuła się skrępowana. Położyła na stole sztucce i serwetki, kątem oka obserwując Aleca, który wyjmował z torby pojemniki z jedzeniem. Miał na sobie dzinsy i koszulę z krótkim rękawem, w biało-niebieskie paski. Jego opalone, umięśnione ramiona porastały ciemne, miękkie włosy. Roztaczał subtelny zapach wody po goleniu, a włosy miał wilgotne – po prysznicu czy może po spacerze brzegiem cieśniny? Nie dało się zaprzeczyć: czuć było, że w jej domu pojawił się mężczyzna. Olivia nie umiała sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz przebywała sam na sam z mężczyzną, nie licząc męża. A gdyby w tej chwili pojawił się Paul? Kładąc talerze na tacy, nasłuchiwała warkotu silnika na podjeździe. Co by było, gdyby wszedł do domu i zobaczył ją w towarzystwie męża Annie O’Neill?

– Robota Annie – zauważył Alec, muskając palcami szklane pawie pióro, zawieszony w oknie nad zlewozmywakiem.

– Owszem – przytaknęła Olivia. – Kupiłam w pracowni.

Pomyślała, że skoro Alec rozpoznał rękę Annie, to Paulowi z całą pewnością też to nie umknie, więc postanowiła przewiesić pawie pióro w mniej widoczne miejsce.

– Zjemy na zewnątrz – oznajmiła, po czym wzięła tacę i poprowadziła go w głąb domu, gdzie wysokie przesuwne okno wychodziło na zadaszony taras z widokiem na cieśninę.

– Bardzo tu ładnie – powiedział Alec, stawiając jedzenie na stole ze szklanym blatem, po czym wyprostował się i oparłszy dłonie na biodrach, rozejrzał się dookoła. – Mój dom też stoi nad cieśniną.

Olivia usiadła i zaczęła otwierać pojemniki.

– Byłam w szoku, kiedy tu przyjechaliśmy i okazało się, że stać nas na taki

dom, nad samą wodą. Poczułam, że znalazłam swoje miejsce na ziemi. – Uśmiechnęła się z żalem. – Tak mocno uwierzyłam, że tu właśnie będzie nasz dom.

Alec zajął miejsce naprzeciwko niej.

– A jak tam twoje bliźniaki? – zagadnął.

– Co? – Od wieków nie słyszała, żeby ktoś pytał o „bliźniaki”, lecz mimo to w okamgnieniu przeniosła się do małego, dwupokojowego domu, gdzie się wychowała. W uszach zabrzmiało jej to samo pytanie: „A jak tam twoje bliźniaki?”, i bełkotliwa odpowiedź matki.

Alec skinął dłonią, wskazując jej brzuch.

– Aha! – zaśmiała się. – No nie, proszę cię. Tylko nie bliźniaki.

Drżącymi palcami otworzyła pojemnik z ryżem.

– Wszystko w porządku? – zapytał Alec. – Czy po prostu jesteś głodna?

Była mu wdzięczna za tę wymówkę na usprawiedliwienie jej nagłej nerwowości, ale postanowiła z niej nie skorzystać.

– Dziwnie się czuję, kiedy tutaj jesteś – wyznała. – Jakbym robiła coś złego.

– O. – Łyżka z ryżem zawisała w połowie drogi pomiędzy pojemnikiem a talerzem. – Mam sobie pójść?

– Nie! – powiedziała szybko. – Zastanawiałam się tylko, jak wytłumaczyłabym się przed mężem, gdyby akurat dzisiaj postanowił wpaść.

Alec wzruszył ramionami i przesunął pojemnik w jej stronę.

– Powiedzielibyśmy mu po prostu, że się widzimy, dwie samotne osoby, które od czasu do czasu chcą pogadać o tym, co zabrało im życie. Czy on tu często bywa?

– Prawie wcale. – Olivia nałożyła sobie ryżu. – Posłuchaj, muszę ci coś o nim powiedzieć.

– Co takiego?

– Przede wszystkim to, że go znasz. Nazywa się Paul Macelli i pracuje dla waszej grupy opiekującej się latarnią w Kiss River. Kiedy ostatni raz się widzieliśmy, jeszcze o tym nie wiedziałam.

Alec odłożył widelec i zrobił wielkie oczy.

– Paul? Ten dziennikarz? Boże, zupełnie inaczej wyobrażałem sobie twojego męża.

– Jak to?

– Myślałem, że to raczej taki facet... Sam nie wiem. Mocno zbudowany... Ciemne włosy, niedogolony... W typie troglodyty. Trochę wredny, o ciężkim

pomyślunku. Na tyle głupi, żeby zostawić taką kobietę jak ty i gonić za rojeniami.

Olivia parsknęła śmiechem.

– A tymczasem Paul sprawia wrażenie... intelektualisty – dokończył Alec.

– To prawda.

– Jest bardzo wrażliwy. Pojechał zrobić wywiad ze starą latarniczką i potem przysłał mi szkic. Ten tekst był... poruszający. Coś mnie w nim urzekło. Spodziewałem się, że będzie ciekawy, ale suchy: parę akapitów, garść faktów. A Paul umie pisać, ma talent.

Uśmiechnęła się.

– Wiem.

– Ale to cichy facet. Zamknięty w sobie.

– Nie zawsze – powiedziała, choć potrafiła sobie wyobrazić, że w obecności męża Annie Paul zamyka się w sobie. – Ale to nie wszystko – podjęła. – Jest jeszcze coś.

Wiedziała, że musi być ostrożna. Nie chciała, żeby Alec dotarł po nitce do kłębka.

– Wiesz, że to Paul napisał artykuł o Annie dla magazynu „Seascape”? – zaczęła.

– Naprawdę? Nie zwróciłem uwagi na nazwisko autora. Wiem, że Annie spotkała się z nim kilka razy na rozmowę... I to był Paul?

– Tak – potwierdziła cała spięta i jęknęła w duchu: „Błagam, tylko niczego się nie domyśl”.

– Napisał wtedy świetny artykuł. Martwiłem się trochę, jak to wyjdzie, bo jesienią Annie miała akurat trudny okres. Nie była sobą, dopadł ją jeden z tych jej nastrojów. – Alec wzdrygnął się. – Już od dawna nie widziałem jej takiej wycofanej, więc bardzo mi ulżyło, kiedy przeczytałem tekst i przekonałem się, że autorowi udało się pokazać prawdziwą Annie. – Wypił łyk herbaty i spojrzał na nią lekko zaaferowany. – Dlaczego mi się nie przyznał, że napisał tamten artykuł?

– Bo jest taki, jak powiedziałeś. Zamknięty w sobie. Skromny. – Przełknęła kęs pikantnego kurczaka hunan. – Napisaliśmy razem książkę – dodała. –

Pamiętasz katastrofę pociągu w Waszyngtonie, w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym pierwszym roku?

– Kiedy większość wagonów spadła do Potomacu?

Olivia skinęła głową.

– Tak właśnie się poznaliśmy. Paul pracował dla „Washington Post” i relacjonował akcję ratowniczą na ostrym dyżurze w szpitalu, gdzie byłam rezydentką.

Nie zwróciła wtedy na niego uwagi, ale za to wpadła w oko jemu. Kiedy minęło już najgorsze – a kryzys trwał całe dwa dni – Paul przedstawił się Olivii. Wyznał wprost, że się zakochał, gdy obserwował jej opanowanie i pewność siebie, profesjonalne podejście do pacjentów oraz współczucie, które okazywała ich rodzinom. Pokazał jej, co pisano o katastrofie w „Washington Post”: podczas gdy inni dziennikarze skupiali się na przekazywaniu informacji, on sportretował wspaniałą młodą lekarzkę z oddziału ratunkowego. Jego romantyczny idealizm zaskoczył Oliwię, ale nie mogła zaprzeczyć, że ekscytowała ją świadomość, że zakochał się w niej, obserwując, jak po prostu była sobą.

– Kilka lat później postanowiliśmy więc napisać o tym książkę – ciągnęła. – Przedstawiliśmy wydarzenia z różnych punktów widzenia: pasażerów pociągu, ratowników i personelu szpitala. Wyszło całkiem niezłe. Występowaliśmy w telewizji i dostaliśmy nawet kilka nagród.

– Chciałbym to przeczytać.

Olivia wstała od stołu i poszła do salonu, gdzie na półce stał jej sfatygowany egzemplarz *Katastrofy Eastern Spirit*. Wyniosła książkę na taras i wręczyła Alecowi.

– Boże... – westchnął, oglądając okładkę ze zdjęciem z miejsca wypadku. Zrobiono je z tak dużej wysokości, że w pierwszej chwili trudno było zauważyć, że pomiędzy kwitnącymi wiśniowymi sadami na obu brzegach rzeki leży wrak rozbitego pociągu, w którym czterdzieści dwie osoby straciły życie. Otworzył książkę i przebiegł wzrokiem notki na skrzydełkach obwoluty, a potem odwrócił ją i przeczytał noty o autorach na ostatniej stronie.

– Paul wydał tomik poezji?

– Tak. Pod tytułem *Pojawienie*.

– *Pojawienie* – powtórzył Alec z uśmiechem na ustach. – Do czego się odnosi?

– Do mnie. – Zaczerwieniła się. – Powiedział, że kiedy pojawiłam się w jego życiu, nagle wszystko stało się jasne.

Spojrzał na nią ze współczuciem i sięgnął przez stół, aby delikatnie uścisnąć jej dłoń. Obrączka na jego palcu złotymi refleksami odbiła światło padające z kuchni. Małe, czarno-białe zdjęcie na okładce, na którym była razem

z Paulem, Olivia widziała do góry nogami. Z tej strony ich uśmiechy wyglądały jak usta wykrzywione od płaczu.

Alec pokręcił głową.

– To musiał być koszmar. Jak się nie załamać w takiej pracy?

– Można przywyknąć. I trochę się uodpornić. Ja na przykład płaczę na smutnych filmach i tak dalej. Czasem szlocham też podczas obiadu w restauracji, ale w pracy nie uronię ani jednej łzy. – Zerknęła na książkę leżącą obok talerza jej gościa. – Ale kiedy umarła Annie, nie wytrzymałam.

– Czemu? – zapytał. – W szpitalu czy na pogotowiu widziałas straszne rzeczy. Dlaczego akurat jej śmierć tak cię poruszyła?

– Chodziło o ciebie – wyjaśniła, choć wiedziała, że to jedynie część prawdy. – Twoje oczy... Byłeś zdruzgotany. Paul mnie zostawił i... Nie chcę porównywać tego, co przeszłam, do twojego cierpienia, ale... poczułam twój smutek. Twoją twarz miałam przed oczami bardzo długo. Najdłużej.

Alec wbił wzrok w talerz. Chciał unieść widelec do ust, ale odłożył go na brzeg talerza i znów spojrzał na Olivię.

– Pamiętasz moją córkę? – zapytał.

– Rzuciła się na mnie z pięściami – przytaknęła z uśmiechem.

– Naprawdę? Nie przypominam sobie. – Odwrócił głowę, błędząc wzrokiem po wodach cieśniny. – Zmieniła się. Nie zauważyłem tego, bo od śmierci Annie przestałem troszczyć się o dzieci. Syn radzi sobie nieźle. Ma pracę, a na jesieni idzie na studia, na Uniwersytet Duke'a. Ale Lacey... – Potrząsnął głową. – Zaczęła palić, choć to chyba jeszcze nie jest najgorsze. Większość dzieciaków w jej wieku popała. Ale ostatnio często płacze. Któregoś wieczoru wróciła do domu z twarzą mokrą od łez, w krzywo zapiętej bluzce. Nie chcę dopatrywać się w tym nie wiadomo czego...

– Ile ma lat? – weszła mu w słowo.

– Trzy... Czternaście. Właśnie skończyła.

Olivia też odłożyła widelec, skrzyżowała ramiona na piersi.

– To trudny wiek u dziewczyny – powiedziała. – Zwłaszcza jeśli nie ma matki.

– Staram się podchodzić do tego rozsądnie. Lacey zawsze była dobrym, odpowiedzialnym dzieckiem, jestem pewien, że nie zaczęła uprawiać seksu, nic z tych rzeczy, ale...

– A jeśli nie z własnej woli? – podsunęła Olivia ostrożnie.

– Co masz na myśli?

– Była zapłakana. Ubranie w nieładzie. Może ktoś... Nie mówię, że napadli ją na ulicy i zgwałcili, ale wiesz, jacy potrafią być chłopcy, może była na jakiejś imprezie i ktoś ją... wykorzystał.

Alec otworzył szeroko oczy.

– No to mnie uspokoiłaś...

– Przepraszam. Praca w pogotowiu wypacza widzenie. Może porozmawiaj z nią? Powiedz wszystko prosto z mostu.

– Nie zgodzi się. Powtarzam sobie, że to typowe u dorastających dzieciaków, ale Clay nigdy się tak nie zachowywał i sam już nie wiem, jak sobie z tym poradzić. Kiedy żyła Annie, po prostu się nie wtrącaliśmy. Dzieci nie musiały przestrzegać żadnych zasad. Mieliśmy do nich zaufanie, a one były praktycznie idealne.

– Jak to? Nie musiały przestrzegać zasad?

– Nie miały wyznaczonej godziny powrotu do domu ani żadnych ograniczeń. Same decydowały, dokąd idą i co robią. – Przesunął swój talerz na środek stołu. – Nawet kiedy były jeszcze małe, ubierały się tak, jak miały ochotę, i jadły to, co chciały. Annie bardzo zależało, żeby uczyły się odpowiedzialności, i dobrze im to szło, ale teraz Lacey siada do stołu w słuchawkach na uszach. Najchętniej bym jej powiedział: „Zdejmij to i posłuchaj, co do ciebie mówię, cholera jasna”. – Walnął pięścią w stół. – „I zamiast pyskować i mnie wyzywać, porozmawiaj ze mną”. Ale Annie nigdy nie stawiała jej podobnych wymagań. Nie mam pojęcia, co by zrobiła, gdyby za jej życia Lacey sprawiała takie kłopoty.

– Domysły, co zrobiłaby Annie, raczej nie pomogą – zauważyła Olivia. – Zrób to, co ty sam uznasz za stosowne. Powiedz Lacey, że przy stole nie wolno siedzieć w słuchawkach. Powiedz jej...

– Nie mogę. Boję się, że ją też stracę. Ja... – Zacisnął powieki, a po chwili wstał. – Przepraszam – rzucił, kładąc serwetkę na stole, i zniknął za drzwiami tarasowymi.

Olivia pozamykała wszystkie pojemniki i ustawiła je na tacy; zadawała sobie dokładnie to samo pytanie: co zrobiłaby teraz Annie? Otóż Annie w żadnym wypadku nie pozwoliłaby, żeby jej nieszczęśliwy gość wstał i wyszedł; najpierw musiały się upewnić, że wszystko z nim w porządku. Zostawiła więc tacę na stole i poszła do kuchni, gdzie znalazła Aleca. Wyglądał przez okno, za którym roztaczał się widok na cieśninę.

– Alec? – Wzięła go pod rękę i zacisnęła palce na jego nagiej skórze.

– Boję się własnej córki – szepnął. Rozpacz odbiła się w jego oczach, które z bladobłękitnych zrobiły się mlecznoszare. – Boję się na nią patrzeć, bo za każdym razem widzę w niej Annie. – Odwrócił głowę od okna, a Olivia, zmieszana, opuściła rękę. – One były razem tamtego wieczoru w schronisku.

– Nie miałam pojęcia.

– Lacey pomagała wydawać posiłki. Stała tuż obok Annie, kiedy to się stało. Wszystko widziała.

– Stąd wiedziała, że było tak mało krwi – domyśliła się Olivia. – Zastanawiało mnie to. Straszne doświadczenie, Alec.

– Ją też mogłem wtedy stracić. Teraz już wiem, jak szybko odchodzą ludzie. Jeśli ona albo Clay będą mi zbyt bliscy i coś im się stanie... Drugi raz tego nie zniosę. A jeśli będę się starał narzucić jej dyscyplinę, to obawiam się, że mnie znienawidzi. Już teraz za mną nie przepada. – Oparł dłonie na blacie kuchennym i spojrzał na Olivię. – Zapomniałem o jej urodzinach. Kompletnie wyleciało mi to z głowy. Świetny ze mnie ojciec, co?

A jej nagle ścisnęło się serce ze współczucia dla Lacey. Kiedy była dzieckiem, rzadko ktoś pamiętał o jej urodzinach, ale mogła przynajmniej dzielić swój żal z Clintem.

– No cóż – powiedziała. – Chyba musi zrozumieć, że jesteś tylko człowiekiem.

Alec odwrócił się plecami do okna i oparł biodrem o blat.

– A ty jaka byłaś w jej wieku? – zapytał.

– Och... – Olivia poczuła, że oblewa się rumieńcem. – Ze mną jej nie porównuj. Nie byłam dziewczyną tak do końca... normalną.

– Jak mam to rozumieć? – zaśmiał się.

– No wiesz, miałam brata bliźniaka i tak dalej. – Zdawała sobie sprawę, że to, co odróżniało ją od rówieśniczek, kryło się właśnie w tym „i tak dalej”. Chciała mu się zwierzyć. Czowała, że będzie umiał ją zrozumieć; na samą myśl o odkryciu przed Alekiem tajemnicy swojej przeszłości przyspieszył jej puls. Już otwierała usta, ale w tym momencie on westchnął i przeciągnął się, jakby otrząsał się z negatywnych emocji ostatnich kilku minut. Olivia szybko wróciła na ziemię.

– Lepiej już pójdę – powiedział Alec. – Wezmę tylko książkę.

Wrócił na taras po *Katastrofę Eastern Spirit*. Olivia odprowadziła go do drzwi, trochę wstrząśnięta świadomością, że o mały włos nie wyznała mu o sobie rzeczy, których nikt nie wiedział. Nikt oprócz Paula.

Ciekawe, co powie Alec Paulowi na spotkaniu komitetu?

– Alec – poprosiła. – Wolałabym, żebyś nie mówił Paulowi, że jesteśmy znajomymi.

Zdziwiony uniósł brwi.

– Nie chcę, żeby to wszystko się skomplikowało – wyjaśniła, myśląc jednocześnie, że „to wszystko” jest już i tak wystarczająco skomplikowane. –

Wystarczy powiedzieć tylko tyle, że spotkaliśmy się, żeby porozmawiać o tamtym wieczorze na sali zabiegowej. Niech Paul myśli, że nic więcej nie zaszło.

Alec zmarszczył brwi.

– Nie umiem kłamać. A poza tym, to przecież nie jest romans, nic z tych rzeczy.

– Po prostu wolałabym, żeby Paul nie widział w tobie rywala. Macie współpracować, pamiętasz?

– No dobrze. – Alec skinął głową na znak zgody.

Po jego wyjściu Olivia wstawiła naczynia do zmywarki i zabrała się do zamykania tarasu, czując, że musi się czymś zająć, bo inaczej opadną ją wspomnienia. Potrafiły ją dręczyć całymi dniami, a teraz jedno z nich wróciło ze zdwojoną siłą. Był dzień jej dziesiątych urodzin, dzień, w którym zrozumiała, że mama straciła rachubę czasu. Że chwile trzeźwości trwają u niej tak krótko, że nie zdąży nawet ugotować obiadu, nie ma więc co oczekiwać, by pamiętała o urodzinach.

Clint, drugi solenizant, zrobił w szkole kartkę urodzinową dla siostry i niósł ją Olivii na przerwie, kiedy klasy bawiły się na placu zabaw. Kilku chłopaków przyczepiło się do niego i zaczęło mu dokuczać, bo należał do tych, których w szkole nazywano „przygłupami”, a oni nigdy nie dawali takim spokoju. Jeden z tej grupy, Tim Anderson, wyrwał kartkę Clintowi z ręki.

– Patrzcie, co ten matole przyniósł Livvie! – zawołał, wymachując kartką w powietrzu. Kilku innych otoczyło go kołem. Clint stał spokojnie obok, a na jego twarzy, z której można było czytać jak z książki, malowało się zaufanie. Olivia współczuła bratu z całego serca, bo wiedziała, co jest na tej kartce: oba „p” w słowie „Happy” odwrócone jak w lustrzanym odbiciu, a w „Birthday” same błędy. Do tego pewnie narysował tort, tak samo jak w zeszłym roku. Ogólnie ta urodzinowa kartka wyglądała prawdopodobnie jak dzieło pięciolatka.

Podeszła i wyciągnęła rękę, próbując zabrać ją Timowi.

– Tu pisze „Koham Cie” – szydził chłopak. – Podpisał „Koham Cie, Clint”. To twój chłopak, Livvie, czy co? Ale głupek.

Po tych słowach nagle rzucili się na niego we czterech, przewrócili na ziemię i okładali pięściami. Clint szamotał się bezradnie, ale nie mógł się wyrwać. Olivia widziała, jak jego ręce śmigają gdzieś w okolicach uszu napastników, co nie robiło na nich najmniejszego wrażenia. Zaczęła bębnić pięściami po ich plecach, krzycząc, że mają go puścić. Kopała ich po nogach i po żebrach, aż wreszcie w drzwiach szkoły pojawiła się pani Jasper. Ruszyła w ich stronę szybkim krokiem, klaszcząc w dłonie i wołając: „Dzieci! Proszę natychmiast przestać!”. Tim i jego banda rozbiegli się w mgnieniu oka, a Olivia przyklękła obok brata. Z nosa leciała mu krew, a twarz miał czerwona i mokra od łez.

Pani Jasper wygładziła spódnicę i uklękła z drugiej strony. Przyłożyła mu do nosa chusteczkę wyciągniętą z kieszeni.

– No już, kochany – powiedziała. – Jak się czujesz?

– Dobrze – odpowiedział Clint, sepleniąc lekko po swojemu.

Urodzinowa kartka, którą zrobił dla siostry, leżała kilka metrów dalej. Olivia podbiegła i podniosła z ziemi. Była pognieciona i wyglądała jak psu z gardła wyjęta, ale tort z dziesięcioma świeczkami ocalał. Clint pomalował go na zielono.

– To wstrętne łobuzy – pocieszała go pani Jasper. Olivia wróciła i uklękła z powrotem obok brata.

– Avery im pokaze – wymamrotał Clint, przyciskając zakrwawioną chusteczkę do nosa.

Olivia obejrzała się za siebie. W odległym końcu szkolnego boiska grupa dzieciaków ze starszych klas grała w zbijaka. Jej brat Avery właśnie dostał piłkę i cisnął nią z całej siły w jedną z dziewczyn, która odskoczyła w ostatniej chwili. O tak, Avery z wielką przyjemnością stłucze Tima Andersona na kwaśne jabłko. Do bójki nigdy nie trzeba go było namawiać.

– Może Clint powinien pójść już do domu? – zapytała pani Jasper. – Zadzwoń po waszą mamę?

Olivia potrząsnęła głową; nauczycielka nie mogła nie wiedzieć, że do pani Simon nie ma po co dzwonić.

– Sama go odprowadzę. – Wzięła brata za rękę. Oboje mieli palce pokryte fioletowymi plamami. Sezon na borówki skończył się już dawno, a po tych kilku dolarach, które dzieci pani Simon zarobiły na zbieraniu, pozostało tylko

wspomnienie, ale plamy trzymały się skóry jeszcze przez wiele tygodni.

Olivia zaprowadziła Clinta do domu. Miała nadzieję, że mama już popłynęła i leży nieprzytomna na kanapie, bo wiedziała, co powie, kiedy zobaczy, że Clint znowu oberwał: pokręci głową z dezaprobatą, potrząśnie nieuczesanymi, ciemnymi włosami rosnącymi w sterczących kępkach.

– Bóg dał dupy, kiedy was robił, Livvie – skomentuje bezlitośnie, choć Clint był w stanie zrozumieć, jak bardzo obraźliwe są te słowa. – Dostałaś dwa mózgi, swój i jego, więc teraz musisz się o niego troszczyć.

Mama leżała na kanapie. Jej ziemista twarz była wciśnięta w miękkie poduszki. Obok poniewierała się przewrócona butelka. Olivia położyła Clinta do łóżka. Cała trójka, ona i dwóch jej braci, spała w jednym ciasnym pokoju. Biedak zasnął szybko, wyczerpany ciężkimi przejściami; pod nosem miał plamę zaschniętej, zaskorupiałej krwi. Olivia wróciła do pokoju, podniosła butelkę z podłogi i schowała do szafki w kuchni, na najwyższą półkę, jakiej tylko mogła dosięgnąć, żeby mama musiała dobrze poszukać, kiedy się obudzi. Potem wyszła z domu, notując w pamięci, że po powrocie do szkoły też będzie musiała zrobić urodzinową kartkę dla Clinta. Wiedziała, że żadne z nich nie dostanie z tej okazji nic więcej.

Nagle zamarła z miotłą w rękach. Ktoś był w domu. Zajrzała do salonu przez rozsunięte okno tarasowe, ale w środku panowały ciemności. Czyżby po wyjściu Aleca zapomniała zamknąć drzwi na klucz?

– Olivia? – usłyszała głos Paula.

Odetchnęła głęboko, widząc męża wychodzącego na taras. Irytowało ją, że włązi tutaj jak do siebie, kiedy chce, ale na jego widok poczuła tak wielką ulgę, że darowała sobie wszelkie uwagi, nie chciała go drażnić.

– Przestraszyłeś mnie – mruknęła i pomyślała sobie, że gdyby przyjechał dwadzieścia minut wcześniej, sam przeżyłby spory wstrząs. Przypomniało się jej też pawie pióro wiszące w kuchni. Nie mogła pozwolić, żeby je zobaczył.

– Przepraszam, pukałem, ale najwyraźniej stąd nie słyszałaś. – Usiadł przy stole i spojrzał jej w oczy. – Przyjechałem z tobą porozmawiać... Jeśli chcesz.

– Oczywiście, że chcę. – Olivia postawiła miotłę pod ścianą i usiadła naprzeciwko niego.

– Mówiłaś poważnie, że możemy rozmawiać o Annie?

– Tak – potwierdziła, starając się nie okazać rozczarowania.

– Potrzebuję tej rozmowy. Miałaś rację: nie mam z kim o niej pogadać. Nikogo oprócz ciebie nie obchodzą moje sprawy. – Nerwowo bębnił palcami

w blat stołu. – Nie jest to dla mnie łatwe, ale wtedy, kiedy przyjechałaś, byłaś taka... dobra, więc pomyślałem, że powinienem wyznać ci prawdę.

Olivia splotła dłonie leżące na kolanach.

– Wydawało mi się, że znam prawdę.

Paul potrząsnął głową.

– Znasz większość szczegółów. Wiesz, że zakochałem się w kobiecie, z którą nie mogłem być, i że odbiło mi na jej punkcie. Nie powiedziałem ci jednak, że... – Uniósł oczy, błędząc wzrokiem po drewnianym suficie. – Och, Liv... – westchnął głęboko. – Tak mi przykro. Kiedy braliśmy ślub, coś takiego było dla mnie nie do pomyślenia. Za nic bym cię nie skrzywdził.

– Spałeś z nią.

Paul oblizał wargi.

– Tylko raz – przyznał. – Tuż przed świętami. Czułem, że muszę, jakbym...

– A złożonej mi przysięgi już nie musiałeś dotrzymać? – przerwała mu. Myślała, że umrze, tak straszliwy ból nagle eksplodował w jej piersi. Paul kochał się z nimi obiema. Porównywał je ze sobą i Annie zwyciężyła.

– Powinienem być odejść wcześniej – powiedział. – Czułem się z tym źle, ale udało mi się wmówić sobie, że w jakiś sposób ty sama jesteś temu winna, bo pracujesz do późna i... – Urwał, ponownie wbijając wzrok w otaczającą dom ciemność.

– I...? – powtórzyła Olivia. – I co?

– I jesteś, jaka jesteś. Trochę sztywna, a Annie była spontaniczna, pełna życia i...

– Przestań! – Zerwała się z krzesła. – Tobie się chyba wydaje, że ja w ogóle nie mam uczuć.

Paul spojrział na nią, po czym zaczął mówić dalej jak gdyby nigdy nic.

– Po prostu wpadłem po uszy. Ona miała w sobie tyle dobra...

– O tak, z tego, co mówisz, była naprawdę cudowna. Paul, ona zdradziła swojego męża. Tak wygląda dobroć?

– To była moja inicjatywa. Ja ją do tego popchnąłem. Nie, nie mówię, że to był gwałt, ona chciała, tylko...

– Paul, powiedziałam, że cię wysłucham, ale nie mogę. Za bardzo mnie to boli.

Wstał od stołu i ku wielkiemu zaskoczeniu Olivii wziął ją w ramiona. Nie opierała się. Nie mogła. Za bardzo jej tego brakowało.

– Wciąż jesteś dla mnie ważna, Liv. Ale ona mnie zniszczyła. Cholernie

żałuję, że się tutaj sprowadziliśmy. Wolałbym nigdy jej nie poznać.

Czuła jego ciepły, znajomy zapach, ale gdy zamknęła oczy, widziała tylko jedno: swojego męża w łóżku z Annie. Odsunęła się, a z jej piersi wyrwał się cichy jęk.

– Idź do domu, Paul. – Skrzywiła usta. – Wracaj do swojej izby pamięci.

Przez chwilę Paul stał niezdecydowany, a potem odwrócił się i wyszedł. Olivia odczekała, dopóki z podjazdu nie dobiegł warkot silnika jego samochodu; wtedy poszła do kuchni i zdjęła wiszące w oknie szklane pawie pióro. Wyniosła je na zewnątrz i po ciemku dotarła do wybiegającego na wody cieśniny pomostu. Tam uniosła witraż wysoko nad głowę i cisnęła z całej siły w wysoki, wystający pal, po czym z niezmierną satysfakcją usłyszała brzęk tłuczonego szkła.

Rozdział siedemnasty

Paul i Alec spotkali się w supermarkecie – dosłownie wpadli na siebie, bo ich wózki zderzyły się przy regale z nabiałem. Alec uśmiechnął się, ale Paul niemalże jęknął z konsternacją. Był w pułapce.

– Paul! – Alec serdecznie uścisnął mu rękę. – Ostatnio dużo o tobie myślałem.

– Naprawdę?

Alec oparł się o swój wózek, jak gdyby szykował się na dłuższą pogawędkę.

– Tekst o latarni, który mi przysłałeś, jest świetny. Rozmawiałem z Nolą i uznaliśmy, że gdyby dodać jeszcze trochę informacji, można zrobić z tego książeczkę, a nie tylko broszurę. Z drukarnią jesteśmy umówieni i wiemy już, jak zorganizować dystrybucję na cały kraj.

– Fantastycznie – powiedział Paul. Aby nie patrzeć na rozmówcę, zabrał się do układania zakupów w swoim wózku.

– Mam dla ciebie pomysł na kolejny wywiad z Mary Poor – dodał Alec. –

Namów ją, żeby opowiedziała o sobie. Ludzie nazywali ją „aniołem od światła”. Mam kilka starych artykułów. Wyślę ci, żebyś wiedział, o co pytać, gdyby okazała się osobą zbyt skromną. A potem, może jeszcze przed końcem lata, poprosimy, by oprowadziła nas po domu latarnika. Starczy jej na to siły, jak sądzisz?

– Żeby nas oprowadzić? – Paul przełożył kartonowe opakowanie lodów waniliowych z jednej strony wózka na drugą. – Trudno powiedzieć. Kiedy się z nią widziałem, cały czas siedziała w fotelu na biegunach, więc nie wiem, jak u niej ze sprawnością.

Zastanawiał się, czy wytrzyma kolejne spotkanie ze starszą panią, nie mówiąc już o zwiedzaniu jej domu. Po pierwszym wywiadzie chwyciły go mdłości, musiał zatrzymać się w bocznej uliczce gdzieś w Manteo i tam zwymiotował.

– Dobrze, zobaczymy – powiedział Alec. – A przy okazji: czemu się nie

pochwaliłeś, że jesteś autorem artykułu o mojej żonie, który ukazał się w „Seascape”?

Paul obrzucił go baczny spojrzeniem. O’Neill uśmiechał się, a w jego twarzy nie dopatrywał się żadnych pretensji. Pewnie uznał, że chodziło po prostu o wrodzoną skromność.

– Nie wiedziałem, co o tym sądzisz, jak to wspominasz – odparł Paul.

– Pięknie o niej napisałeś. Była zachwycona.

Paul też się uśmiechnął. Nie wiedział o tym. Nigdy mu nie powiedziała.

– Dzięki – odparł. – To dla mnie bardzo ważne. Skąd się dowiedziałeś?

– Twoja żona miała dyżur w pogotowiu tamtego wieczoru, kiedy zmarła Annie. Chyba o tym wiedziałeś, co?

Paul zmartwiał.

– Wiedziałem.

– Poprosiłem ją... Oliwię... o rozmowę i spotkaliśmy się kilka razy. Chciałem się dowiedzieć, jak dokładnie to wszystko wyglądało. Rozumiesz, musiałem poukładać sobie to w głowie.

– Jasne. – Paul poczuł, jak dłonie zaciśnięte na rączce wózka robią się śliskie od potu. Co jeszcze mu powiedziała?

– Olivia bardzo mi pomogła – ciągnął dalej Alec. – Cieszę się, że to właśnie ona zajmowała się Annie.

– Tak... Rozumiem.

– A wiesz, że w Boston College studiowałeś w tym samym czasie co Annie? Jesteście z jednego rocznika.

Skąd on to wie, do cholery?, pomyślał Paul.

– A... – zająknął się. – Właśnie. Wyszło na jaw w którymś z wywiadów.

– Nie pamiętasz jej z tamtych czasów?

– Na roku było mnóstwo ludzi.

O’Neill opuścił głowę i zająknął do swojego wózka. Paul odruchowo podążył za jego spojrzeniem: zobaczył mrożonki i warzywa w puszkach.

– Annie by się wściekła, gdyby to zobaczyła – mruknął Alec, wskazując ruchem głowy zakupy.

– Ja też ostatnio przerzuciłem się na mrożonki – wyznał Paul. – No właśnie: trzeba się ruszyć, bo wszystko rozmarznie. – Popchnął wózek, chcąc się oddalić.

– Racja – zgodził się Alec. – Aha, jeszcze jedno. Czytam teraz waszą książkę, *Katastrofę Eastern Spirit*.

Paul odwrócił się i zmierzył go wzrokiem.

– Skąd...?

– Powiedziałem Olivii, że świetnie piszesz, a ona mi ją pożyczyła, żebym rzucił okiem. Wtedy się poznaliście, tak? To musiało być coś, oglądać ją w akcji.

– Olivię? – zapytał głupio Paul. To nie było najprzyjemniejsze wspomnienie. Olivia autentycznie zawróciła mu w głowie. Młoda i ładna, troskliwa i kompetentna – miała w sobie coś takiego, że pomyślał: to jest kobieta, która pomoże mi zapomnieć. I przez bardzo długi czas nieświadomie sprawdzała się w tej roli.

Alec pochylił się i znów oparł łokciami o rączkę swojego wózka.

– Opis samej katastrofy uświadomił mi coś innego – powiedział. – To mianowicie, że nasze małe pogotowie jest słabo wyposażone i nieprzygotowane, by pomóc pacjentowi z poważnym urazem. Takim jak na przykład postrzał w klatkę piersiową.

Jego otwartość i szczerłość zaniepokoiły Paula. Czyżby ten facet uważał go za swojego przyjaciela?

– Pewnie masz rację – mruknął, uciekając wzrokiem do pustej alejki za plecami swojego rozmówcy, a potem zerknął na zegarek. – No dobrze, muszę zawieźć zakupy do domu. Do zobaczenia na zebraniu.

Popchnął wózek i poszedł, cały aż dygotał z nerwów. Wiedział dobrze, że ta rejterada wypadła sztucznie i bez wdzięku.

W alejce z mięsem dopadł go atak paniki. Nie był w stanie skupić wzroku na liście zakupów, którą sam zrobił zaledwie godzinę wcześniej. Stał i gapił się na steki, kotlety i porcje krwistego mięsa na pieczeń, aż wreszcie gwałtownym ruchem odepchnął wózek, wykonał w tył zwrot i wyszedł ze sklepu. Przed oczami miał taki obrazek: lody w kartonowym pudełku topią się, wyciekają szczelinami i rozlewają w kałużę na podłodze.

Wsiadł do samochodu i pojechał na plażę w Nags Head, oddaloną o dwie przecznice. Pomimo dość wczesnej pory – minęła dopiero dziewiętnasta trzydzieści – plaża była prawie pusta. Na brzegu stało kilku wędkarzy i od czasu do czasu przechodziła jakaś para, trzymająca się za ręce. Paul usiadł na piasku i czekał, aż zejdzie z niego napięcie.

Alec rozmawiał z Olivią. I były to długie rozmowy. Na pewno nie podzieliła się z nim szokującymi szczegółami, bo w przeciwnym razie nie byłby taki uprzejmy dla Paula, nie okazałyby mu tyle szacunku. Boże. I pomyśleć, że Paul

przez tyle lat nienawidził tego człowieka. Przez pół życia. Szkoda zmarnowanych sił i czasu.

Skrajem plaży, tuż nad wodą, przebiegła para młodych, roześmianych ludzi z psem. Kobieta miała długie, naturalnie brązowe włosy, ale w zapadającym zmierzchu Paul niemalże uwierzył, że są rude.

Boston College. „Na roku było mnóstwo ludzi”. Tak się wykręcił, a Alec to kupił. Paul potrząsnął głową. Czy on naprawdę wierzył, że ktoś mógł studiować na jednej uczelni z Annie Chase i nie zwrócić na nią uwagi?

Rozdział osiemnasty

Na pierwszym roku studiów Paul poszedł na casting do uczelnianego teatru i dostał główną rolę w sztuce *Gasnący płomień* Patricka Hamiltona. W szkole średniej szło mu przeciętnie: lekcewał matematykę i nauki ścisłe, preferował literaturę, poezję, a przede wszystkim – własne życie wewnętrzne, ten niekończący się melodramat podsycany wyobraźnią. Prowadził też kółko teatralne i miał wrodzony talent, który zapewnił mu stypendium i studia na Boston College. Inaczej nie miałby szans na dobrą szkołę, bo jego rodziców nie było stać na taki wydatek, mimo że ojciec prowadził całkiem dobrze prosperujący sklep z fajerwerkami, a mama odkładała niemal każdego dolara, którego zarobiła sprzątaniami. Kłopot polegał na tym, że państwo Macelli mieli sześcioro dzieci – Paula i pięć jego sióstr – a wszystkie bystre i ambitne. Cała szóstka, bez wyjątku, chciała się uczyć.

Paul był pierwszym aktorem obsadzonym w *Gasnącym płomieniu*. Czytając kwestie Jacka Manninghama na castingu, obserwował reżysera Harry'ego Saundersa i był pewny, że nikogo innego nie weźmie pod uwagę. Siedział potem rozluźniony i spokojny w pierwszym rzędzie, tuż obok Harry'ego, i przyglądał się, jak inni kandydaci z pierwszego roku zmagają się z tekstem.

Annie Chase zjawiła się na przesłuchaniu przypadkowo. Starła się o rolę pokojówki flirtującej z głównym bohaterem. Zgodziła się spróbować swoich sił, bo chciała dodać odwagi koleżance. Kiedy przyszła jej kolej, wbiegła lekko po schodach i miało się wrażenie, że jej bujne włosy zasypują całą scenę. Harry, który do tej pory siedział rozwalony na siedzeniu, uniósł się nagle, wyprostował i położył dłonie na kolanach.

– Proszę bardzo – powiedział, a ona przeczytała gardłowym głosem linijkę tekstu, może dwie, i zaczęła się śmiać. Właściwie był to chichot, odgłos całkowicie niepodrabialny, który jedynie Annie Chase była zdolna z siebie wydać, rozfalowany, dźwięczny, szczególnie zaskakujący, gdy się znało jej chropawy głos. Cała widownia zwróciła na nią uwagę, na wszystkich

twarzach pojawiły się uśmiechy. Paul nie był wyjątkiem. Obejrzał się na Harry'ego, który był już bliski rechotu.

– Spróbuje pani jeszcze raz, pani Chase? – zapytał reżyser.

– Jasne. – Annie zaczęła czytać od początku i tym razem udało jej się wytrzymać prawie do końca monologu, zanim znów się rozchichotała. Dostała jednak tę rolę, chociaż jej występ nie był nadzwyczajny, a ona sama sprawiała wrażenie młodej dziewczyny, która nie potrafi nad sobą zapanować. Paul nie był zdziwiony, że reżyser ją obsadził. I musiał przyznać, że się ucieszył.

– Widownia ją kupi – powiedział Harry, zwracając się do Paula jak do kolegi. – Kupi i będzie jadła jej z ręki. Musimy ją tylko trochę utemperować – ją i jej włosy – ale tak, żeby nie zabić w niej życia.

Nie musiał się o to martwić. Annie Chase nie należała do tych, którzy dadzą się zgasić. Błyszczała, tryskała entuzjazmem i przyciągała do siebie ludzi jak magnes.

To właśnie tam, na scenie studenckiego teatru, Paul poczuł, że się zakochał. Annie notorycznie spóźniała się na próby, ale nikomu to nie przeszkadzało. Jakby wszyscy czekali na nią z zapartym tchem, a gdy w końcu wpadała na scenę, nie było nikogo, kto by się nie uśmiechał.

Musiał ją pocałować. Tak wynikało z didaskaliów. Przed próbą, na której miało się to stać po raz pierwszy, przez kilka nocy Paul nie mógł zasnąć, bo przeżywał w myślach ten pocałunek. Żał mu tylko było, że musi to zrobić na oczach Harry'ego Saundersa i całej obsady. Wolałby pocałować Annie sam na sam.

Kiedy wreszcie nadeszło to popołudnie, zaledwie musnął wargami jej usta, szybko i lekko.

– Jeszcze raz – zakomenderował Harry z pierwszego rzędu. – I dłużej, Macelli.

Paul wykonał polecenie, starając się nie oszaleć, a kiedy wypuścił Annie z ramion, zobaczył, że dziewczyna się uśmiecha.

– Nie śmiej się, Annie – powiedział Harry. – Masz go kokietować.

– Przepraszam – zachichotała.

– Lepiej przećwiczcie sobie tę scenę we dwoje, żeby lepiej wam wyszło. – Harry skinął Paulowi głową, robiąc znaczącą minę.

Więc ćwiczyli. Spotykali się w akademikach, u niej albo u niego, i czytali scenę z pocałunkiem. Inne wychodziły im po tym dość blado. Kiedy mieli dość próbowania, to jeśli byli u niego, Paul czytał Annie swoje wiersze, a jeśli

u niej, to oglądali jej autorską biżuterię: kunsztownie wykonane kolczyki, wisiorki i bransoletki ze srebra i złota. Uwielbiał patrzeć na nią przy pracy. Związywała sobie włosy kawałkiem rzemienia, który rzadko spełniał swoją funkcję i w efekcie długie, rude pukle opadały jeden po drugim na jej ręce pracujące nad lśniącem metalem.

Paul czuł wyraźnie, że popada w uzależnienie. Choć znał ją zaledwie od kilku tygodni, bez przerwy o niej myślał. Dzwonił, niby po to, żeby omówić tę czy inną partię tekstu, a rozmawiali o czymś zupełnie innym. Rozkoszował się każdym jej słowem, aby wieczorem, gdy leżał już w łóżku, odtwarzać sobie te rozmowy w myślach.

A potem zaczęły się prezenty. W dniu premiery Annie zrobiła mu niespodziankę: dostał złotą bransoletkę jej roboty. Następnego dnia znalazł pod drzwiami koszyk pełen sosnowych szyszek, a jeszcze dzień później przyszła z wizytą i przyniosła mu ręcznie pleciony pasek wykonany techniką makramy.

– Zrobiłam go dla ciebie – oznajmiła. – Siedziałam nad tym do rana.

Rozpięła pasek, który miał na sobie, i wyciągnęła go ze szlufek, a potem zabrała się do zakładania nowego. Okazał się trochę za szeroki, więc potrzeba było więcej siły. Gdy poczuł jej palce wędrujące dookoła jego bioder, momentalnie dostał erekcji. Odwrócił się, zawstydzony.

Annie, siedząca na jego łóżku, uniosła głowę. W jej ciemnoniebieskich oczach czaił się smutek.

– Paul – powiedziała. – Nie rozumiem. Nie chciałbyś ze mną...?

Drgnął wystraszony i obejrzał się na nią.

– Co...? Tak. Chciałbym. Ale nie sądziłem, że ty...

Westchnęła ze zniecierpliwieniem, wyciągnęła do niego ręce i zaczęła zgięte palce o kieszenie jego džinsów.

– Boże, a ja tu stoję na głowie i wymyślam, co zrobić, żebyś się we mnie zakochał...

– Kocham się w tobie już od dawna – przerwał jej. – Proszę, oto dowód. –

Otworzył najwyższą szufladę biurka i wręczył jej kartkę z wierszem, jednym z wielu wierszy o niej, które napisał przez tych kilka tygodni. Czytała go ze łzami w oczach.

Gdy skończyła, wstała z łóżka i pocałowała go. Był to znacznie dłuższy i bardziej namiętny pocałunek niż sceniczny. Podeszła do drzwi i zamknęła je na klucz. Pod Paulem ugięły się nogi. Bał się, że nie podoła.

– Nigdy nie kochałem się z dziewczyną – wyznał, opierając się niezgrabnie o biurko. W szkole średniej miał kilka sympatii – dwie z nich oczarowała jego wrażliwość i poetycki talent – ale w „tych” sprawach był jeszcze całkiem niewinny.

Annie natomiast – wprost przeciwnie.

– Aha, więc o to chodzi – uśmiechnęła się, jak gdyby teraz wreszcie zrozumiała. – No cóż, ja to robię od piętnastego roku życia, więc niczym się nie przejmuj.

W pierwszej chwili przeżył szok. Poczł się rozczarowany. Potem jednak przyszła ulga: gdy Annie zaczęła go całować i dotykać, szybko stało się jasne, że naprawdę zna się na rzeczy.

– Nie musisz nic robić – powiedziała, zdejmując z niego ubranie, a kiedy został w samych bokserkach, położyła go na brzuchu, usiadła na nim okrakiem i zaczęła masować mu plecy, długo, mocno. Jej dłonie, z początku miękkie i chłodne, rozgrzały się w kontakcie z jego skórą. Potem Annie obróciła go na wznak. Zdjęła koszulkę i stanik. Paul uniósł rękę, by dotknąć jej mlecznobiałych piersi, ale chwyciła go za nadgarstek i ułożyła jego dłoń z powrotem na pościeli.

– Możesz patrzeć, dotykać nie wolno – oznajmiła. – Jak mówiłam, masz leżeć i nic więcej. Ten raz jest cały tylko dla ciebie.

W łóżku była dokładnie taka sama jak w życiu: dawała z siebie całymi garściami, a jego przyjemność była dla niej ważniejsza niż jej własna.

Tak minęło kolejnych kilka tygodni. Paul wkrótce się zorientował, że Annie potrafi dawać bez końca, ale nie jest w stanie nic przyjąć. Kiedy się kochali, a on chciał jej dotknąć – odpychała jego rękę i mówiła, że „nie trzeba”. Szybko pojął, że podchodzi do tego śmiertelnie poważnie: gdyby spróbował odwrócić role i dawać jej siebie, w łóżku czy też w innej sytuacji, całkowicie wytrąciłoby ją to z równowagi, wprawiło w konsternację.

Kiedyś kupił jej kwiaty bez konkretnego powodu. Gdy zobaczyła bukiet w jego dłoni, uśmiech zniknął z jej twarzy.

– Takie piękne róże to nie dla mnie – powiedziała, oblewając się szkarłatnym rumieńcem. Paul wręczył je potem innej dziewczynie z akademika – była zachwycona.

Na urodziny kupił jej szalik, a ona dzień później zwróciła go do sklepu i przyniosła mu całą odzyskaną sumę.

– Nie wydawaj na mnie pieniędzy – poleciła, wsuwając mu te dwanaście

dolarów do kieszeni. Kiedy zaprotestował, nie chciała go słuchać, ale sama wciąż obsypywała go prezentami, które coraz trudniej było mu przyjmować.

Któregoś dnia, gdy jedli razem obiad w stołówce, przysiadła się do nich ładna brunetka, koleżanka Annie z podstawówki.

– W całej Egan Day School nie było fajniejszej dziewczyny od ciebie – powiedziała, a potem zwróciła się do Paula: – Wszyscy chcieli się z nią kumplować. Tacy ludzie, pod względem popularności poza konkurencją, zwykle budzą zazdrość, ale ona była przy tym sympatyczna i przemiła.

W nocy, kiedy leżeli w łóżku, Annie wyjaśniła Paulowi, skąd wzięła się jej popularność.

– Dostaję bardzo duże kieszonkowe – powiedziała, a jej głos był dziwnie przytłumiony, niemalże bezbarwny. – W podstawówce kupowałam dzieciakom słodczy i zabawki. I to działało.

Przygarnął ją do siebie.

– Myślałaś, że nie da się ciebie lubić takiej, jaka jesteś?

– Tak. Widziałam tylko brzydką dziewczynkę ze wstrętną rudą czupryną. Mama co rano wydziwiała nad moimi włosami, mówiła, że są okropne i że źle wyglądam. Każdego dnia płakałam w drodze do szkoły.

– Przecież jesteś piękna. Jak ona mogła ci to zrobić?

– No cóż. – Annie zamachała dłonią w powietrzu. – Nie sądzę, żeby celowo chciała zrobić mi przykrość. Ona po prostu... chyba ma własne problemy. Tak czy inaczej do szkoły średniej szłam spanikowana, bo były tam tłumy nieznanomych dzieciaków, a wiedziałam, że tym razem słodczy i zabawki już nie wystarczą. Musiałam znaleźć inny sposób, żeby mnie lubili.

– I znalazłaś?

– Tak.

– Jaki?

– No, sposób na chłopaków nie był trudny.

– Och, Annie...

– Nie miej mi tego za złe.

Pogładził ją po policzku.

– Przecież cię kocham. Teraz już nie musisz tak robić. Masz mnie.

– Wiem. – Wtuliła się w niego. – Obejmij mnie mocniej, Paul.

Objął ją szczęśliwy, że postanowiła mu się zwierzyć, i uznał, że to dobry moment, aby zapytać ją o coś, co chodziło mu po głowie, odkąd pierwszy raz poszła z nim do łóżka.

– Jedna sprawa nie daje mi spokoju... – zaczął. – Czy kiedy się kochamy, ty w ogóle dochodzisz?

Poczuł, że wzruszyła ramionami.

– Nie, ale to nieważne. Cieszę się, że jesteś tak blisko, i lubię widzieć, że jest ci dobrze.

Rozczarowała go taka odpowiedź. Zawstydziała.

– To znaczy, że robię coś źle – powiedział.

– Nie chodzi o ciebie, Paul. Ja nigdy nie miałam orgazmu.

Odsunął się, żeby na nią spojrzeć.

– Uprawiasz seks od piętnastego roku życia i nigdy...?

– Nie zależy mi na tym, naprawdę. To nigdy nie było dla mnie ważne. Widziałam faceta i pragnęłam go objąć, żeby poczuć się dobrze, poczuć ciepło, poczuć się kochana. Jeśli seks miał mi to umożliwić – proszę bardzo.

Przytulił ją.

– Annie, jeśli naprawdę chcesz, żebyśmy był zadowolony, pozwól, że dla odmiany ja zrobię ci dobrze.

– Robisz – odparła. – Przy tobie czuję się cudownie.

– Wiesz, o czym mówię.

Skuliła się i odsunęła od niego.

– Coś mi się wydaje, że w moim przypadku to nie jest możliwe – powiedziała. – Inaczej już bym to przeżyła.

* * *

Nie chciał pytać znajomych o coś tak osobistego, więc następnego dnia spędził całe popołudnie w bibliotece, szukając rozwiązania dręczącego Annie dylematu. Znalazł książkę pełną porad oraz ilustracji, ale nie odważył się jej wypożyczyć, bo wstydził się pokazać ją bibliotekarzowi, starszemu panu ze zmarszczkami. Zaszył się więc w ustronnym kącie i przeczytał książkę od deski do deski.

Wieczorem spotkali się u Annie w akademiku. Usiadł na jej łóżku i zapraszająco poklepał pośladki dłonią. Dołączyła, objęła go mocno i cmoknęła w szyję, zostawiając mokry ślad.

– Przeczytałem dzisiaj poradnik o seksie – powiedział.

– Co? – Odsunęła się gwałtownie. – Po co?

– Bo dzisiaj twoja kolej – wyjaśnił, wyciągając dłoń, aby wziąć w palce skraj jej koszulki.

– Nie! – jęknęła, łapiąc go za rękę.

– Annie. – Ujął ją za ramiona. – Zrób to dla mnie, jeśli nie chcesz dla siebie, dobrze?

– A jak nic z tego nie wyjdzie? Rozczarujesz się i wtedy...

– Nie rozczaruję się, nie przestanę cię kochać i nie zrobię nic z tych rzeczy, których tak się boisz. Będzie dobrze. Ale musisz się rozluźnić.

Przygryzła wargę.

– Zgaś światło – nakazała.

Zrobił to i wrócił na łóżko. Najpierw ją rozebrał – metodycznymi ruchami – a następnie usiadł za nią, oparty plecami o ścianę.

– No co ty robisz? – zapytała. – Sam się nie rozbierzesz?

– Nie. – Rozłożył szeroko nogi i przyciągnął ją do siebie. Przed oczami miał ilustrację z poradnika; była jak wypalona w jego mózgu. Przez cały dzień myślał o tym, co będzie czuł, trzymając Annie w ten sposób, dotykając jej, co poczuje, kiedy wreszcie doczeka się reakcji z jej strony. Oplótł ją ramionami, pocałował w bark. Drżała.

– To miłe – powiedziała. – Tylko mnie tak trzymaj. Wolę to niż...

– Cicho. Oprzyj nogi o moje uda. O, tak dobrze.

– To jest głupie. Kretyńsko się czuję.

Pogładził ją po ramionach, po obojczykach.

– Musisz mi powiedzieć, co sprawia ci przyjemność. – Opuścił dłonie ku jej piersiom. – I dać znać, jeśli coś zaboli.

– To nie boli. – Zachichotała i jakby się trochę odprężyła, ale gdy dotknął jej ud, zeszywniała na nowo.

– Rozluźnij się, Annie.

– Staram się. Po prostu nie lubię być w centrum uwagi. Nie rozumiem, czemu... Och...

Jego palce znalazły właściwe miejsce. Annie gwałtownie wciągnęła oddech i nagle rozsunęła nogi jeszcze szerzej, mocno naciskając udami na jego uda. Palce wbiła w materiał jego dzinsów. Gdy wsunął w nią palec lewej dłoni, zadrżała.

– Dla mnie to też jest przyjemne, Annie – zapewnił, aby ją ośmielić, zachęcić, ale nie było to już potrzebne. Annie wyzbyła się zahamowań, przestawiła z dawania na branie. Kiedy zaczęła szczytować, Paul przez

moment przestraszył się, że udaje, ale po chwili poczuł, jak jej ciało, szarpnięte skurczami, zaciska się na jego palcu. Potem Annie zwiotczała i opadła bez sił w jego ramiona.

Ta noc stała się dla nich punktem zwrotnym. Nie tylko dlatego, że seks był odtąd lepszy – Annie w dalszym ciągu uznawała go za „uboczny produkt bliskości” – ale też dlatego, że ich relacja wkroczyła na zupełnie nowy poziom. Na tym poziomie Annie zaczęła się godzić, aby Paul robił coś dla niej. Uzależnienie było już teraz obustronne.

Jego rodzina była nią absolutnie zachwycona. Tamtego roku pojechali do Filadelfii dwukrotnie, a Annie odnalazła się w jego zdominowanym przez kobiety rodzinnym domu z taką łatwością, jak gdyby się tam urodziła.

– W twoim domu jest mnóstwo ciepła, Paul – powiedziała mu raz. – Nawet nie wiesz, ile miałeś szczęścia w życiu.

Nie chciała jednak przedstawić go swoim rodzicom, chociaż mieszkali zaledwie pół godziny drogi samochodem od uczelni. Długo musiał ją męczyć, aż wreszcie zgodziła się, by jej towarzyszył, kiedy wybierała się odwiedzić ojca w dniu jego pięćdziesiątych urodzin.

– Wciąż o nim opowiadasz – przekonywał. – Chcę go poznać.

Rzeczywiście, Annie często mówiła o swoim ojcu lekarzu, z olbrzymią dumą wyliczała jego zawodowe osiągnięcia. Przez cały miesiąc pracowała nad prezentem dla niego: złotymi spinkami do mankietów według własnego projektu. Za każdym razem, gdy Paul do niej przychodził, musiała mu się pochwalić, ile już zrobiła.

Wreszcie ruszyli w drogę. On trzymał na kolanach paczuszkę z prezentem, a ona prowadziła. W końcu czerwony kabriolet skręcił w wysadzaną drzewami ulicę, wiodącą do jej domu. Przez całą drogę Annie milczała, zamiast mówić, bębniła palcami o kierownicę.

– Która godzina? – zapytała wreszcie. Samochód mijał kolejne ogromne rezydencje, jedną po drugiej.

Paul zerknął na zegarek.

– Dziesięć po czwartej.

– O Boże, mama się wścieknie.

– Przecież dziesięć minut to żadne spóźnienie.

– Nie rozumiesz. Ona ma obsesję na punkcie czasu. Kiedy byłam mała i obiecała, że gdzieś razem wyjedziemy, to jeśli spóźniłam się choćby o minutę, zostawałyśmy w domu.

– Żartujesz. – Paul zmarszczył brwi.
Potrząsnęła głową.
– Może powiedzmy im, że masz na nazwisko Macy – zaproponowała.
– Czemu?
– Dla zabawy.
Spojrzał na nią zdezorientowany.
– Ale ja się tak nie nazywam.
Annie zatrzymała auto przed znakiem stopu i odwróciła się do niego.
– Nie chcę cię urazić, Paul, ale moi rodzice mają mnóstwo uprzedzeń. –
Złożyła dłonie razem i zaczęła masować sobie palce. – Rozumiesz? Jeśli nie
jesteś taki jak oni, to... Bardziej im się spodobaś, kiedy pomyślą, że...
Paul zarumienił się mocno.
– W kwestii tego, jak zarabiają na życie moi rodzice, też mam skłamać?
Opuściła wzrok.
– Właśnie dlatego nie chciałam cię im przedstawiać.
– Nie będę kłamał, Annie – oznajmił. W tamtych czasach nigdy nie kłamał.
Annie milczała. Po chwili nacisnęła ponownie pedał gazu.
– Myślałem, że mnie kochasz – powiedział Paul.
– Kocham cię. Naprawdę. Po prostu chcę, żeby oni też cię pokochali.
Skręciła na długi podjazd. Na drugim końcu rozległego, starannie
wypielęgnowanego trawnika mignął okazały dom w stylu późnego gotyku
angielskiego, ale szybko przesłonił go rząd wysokich sosen.
– Oni zaplanowali mi całe życie, Paul – wyznała Annie. – Miałam studiować
coś pożytecznego. Wybuchła straszliwa awantura, kiedy im powiedziałam, że
chcę zostać artystką. Potem miałam wyjść za syna któregoś z ich ustawionych
przyjaciół. To taki wąski, elitarny krąg wzajemnej adoracji. Rozumiesz już,
dlaczego wolałam oszczędzić ci wizyty tutaj?
Teraz już rozumiem, pomyślał, ale mogłaś uświadomić mnie wcześniej.
Drzwi otworzyła starsza kobieta w ciemnej sukience uszytej jak uniform
i przepasanej białym fartuchem. Na powitanie pocałowała Annie w policzek
i zaprowadziła gości do salonu.
– Mama i tata zjedzą za chwilę, skarbie – oznajmiła i wyszła. Annie zerknęła
na Paula z nerwowym uśmiechem. Przebiegł go dreszcz. Salon był olbrzymi
i panował w nim chłód, niczym w jaskini.
– Przyzwyczaisz się – szepnęła. Sama, pomimo zimna, była spocona jak
mysz.

Jako pierwszy pojawił się jej ojciec. Szczupły, przystojny mężczyzna, opalony, o wysportowanej sylwetce i surowej twarzy. Włosy miał gęste i przeważała w nich siwizna. Musnął ustami policzek córki.

– Tato, to jest Paul – powiedziała Annie. Nazwiska nie podała wcale.

– Paul...? – zapytał doktor Chase, podając mu rękę.

– Macelli. – Własne nazwisko ni stąd, ni zowąd zabrzmiało w jego uszach źle i brzydtko. Uścisnął podaną mu dłoń z poczuciem przegranej, jakby odpadł już w przedbiegach, został z miejsca skreślony jako poważny kandydat do ręki córki tego człowieka.

Matka Annie, kobieta o zwyczajnej, wręcz pospolitej urodzie, pomimo kosmetyków, których używała dużo, zadała sobie nieco więcej trudu, żeby stworzyć pozory miłego przyjęcia, lecz jej dłoń, koniuszki palców, które mu podała, były lodowate. Rude włosy miała związane w kok, mocno zaciśnięty twardą ręką.

Usiedli do obiadu. Paul z trudem poradził sobie z potężną porcją pieczeni wołowej, którą nałożył mu lokaj. Nie przeszkadzały mu natomiast sondujące pytania na temat jego rodziny. Po jakimś czasie zaczął się wręcz dobrze bawić jednoznacznym daniem do zrozumienia rodzicom Annie, że przy ich stole siedzi syn dwojga zwykłych ludzi, wykonujących zwykłą, fizyczną pracę, że na ich pięknej porcelanie i może nawet sypia z ich córką. Opowiadał szczegółowo o fajerwerkach, które sprzedaje jego ojciec, powiedział im też, że jego matka kiedyś sprzątała dom burmistrza Filadelfii.

Przy deserze – a podano tort urodzinowy w kształcie rakiety tenisowej – Annie dała ojcu swój prezent.

– O, dziękuję, księżniczko. – Doktor Chase wychylił się z krzesła i pocałował Annie w policzek, po czym położył pudełko ze złotymi spinkami obok swojego talerza. Paul miał przeczucie, że trafią na dno jakiejś szuflady, jeśli nie prosto do śmieci.

– Mistrz kursu złotnictwa mówi, że Annie jest najlepszą uczennicą, jaką miał – odezwał się.

– Paul... – szepnęła Annie, oblewając się rumieńcem.

Doktor Chase uniósł wzrok znad tortu.

– To fakt, Annie potrafi błysnąć, kiedy się przyłoży – przytaknął. – Mogłaby wybrać sobie dowolny zawód. Z takimi zdolnościami stać ją na coś więcej niż przerabianie metalu na wisioriki.

Paul zerknął na Annie. W jej oczach lśniły łzy.

Doktor Chase odłożył widelec i spojrzał na zegarek.

– No, dzieciaki, muszę uciekać.

– Tatusiu – zaprotestowała Annie. – Przecież są twoje urodziny.

Głos jej się łamał. Paul słyszał wyraźnie, jak przez jego zwykłą chropawą barwę przebijają się szpileczki czystej desperacji, ale żadne z rodziców nie zwróciło na to uwagi.

Ojciec Annie wstał i pocałował córkę w głowę. Paulowi skinął na pożegnanie.

– Miło było poznać, panie Macelli. Na pewno przypomnimy sobie o panu, kiedy zdarzy się oglądać jakieś ładne fajerwerki.

Niedługo po obiedzie Paul i Annie też się pożegnali. Zanim zdążyli dojść do samochodu, twarz Annie była już cała zalana łzami.

– Chyba źle się stało, że przyjechałem – powiedział Paul.

– To nie twoja wina – odparła. – Zawsze płaczę, kiedy stąd wychodzę.

– Nie mogę na nich patrzeć. Wybacz mi, Annie, ale są okropni.

– Nie mów tak, proszę. To mi nie pomaga. Mam tylko ich. Ty masz swoje siostry i tak dalej, a ja mam ich. I już.

Otwierając drzwi do samochodu, obejrzała się jeszcze w stronę domu.

– On nigdy nie ma dla mnie czasu – dodała. – Tak było w dzieciństwie i tak samo jest teraz.

* * *

Wakacje po pierwszym roku studiów spędzili razem w miasteczku New Hope w Pensylwanii. Paul wynajmował mieszkanie ze znajomym ze szkoły średniej, Annie – z dwoma koleżankami z Boston College. On pracował w knajpie jako kelner, a wieczorami występował na scenie miejscowego teatru w inscenizacji musicalu *Carousel*, ona zaś znalazła zajęcie w galerii, gdzie nauczyła się też podstaw witrażownictwa. To było wspaniałe lato: oboje robili to, co kochali, a wolne chwile spędzali razem. Mimo że mieli dopiero po dziewiętnaście lat, Paul czuł, że ich związek jest dojrzały. Rozmawiali o przyszłości, o dzieciach, wyobrażali sobie dwójkę małych rudzielców o włoskich rysach, którym dadzą imiona Guido i Rosa, na złość rodzicom Annie. Guido i Rozer – wymawiała je z bostońska, a ponieważ nie byli już w Nowej Anglii, ten akcent brzmiał w uszach Paula nieco dziwnie.

Spacerowali po małym New Hope, nie spiesząc się nigdzie. W jednym ze sklepów Annie znalazła niebieskiego konika wykonanego techniką emalii komórkowej. Zakochała się w nim i co kilka dni zachodziła do sklepu, żeby na niego popatrzeć. Mimo to Paul wiedział, że za nic w świecie nie kupi go dla siebie, więc kiedy w końcu zebrał potrzebną sumę, zrobił jej niespodziankę. Wydał na to prawie całe oszczędności, a Annie w pierwszym odruchu chciała zwrócić prezent, ale przekonał ją, aby go zatrzymała. Zawinęła konika w kawałek miękkiej tkaniny i nosiła przy sobie, w torebce, pokazywała każdej spotkanej osobie. Nazwała go Baby Blue, na cześć Boba Dylana.

W połowie lipca odwiedzili ją rodzice i przestała widywać się z Paulem. Wreszcie, po trzech dniach, wybrał się do galerii, gdzie pracowała, i od razu zorientował się, że coś jest nie tak. Annie miała podkrążone oczy i ani razu się nie zaśmiała. Zgrzytał zębami, widząc, jak rodzice zatruli ją swoim jadem.

– Chcą, żebym zmieniła kierunek studiów – powiedziała.

– Na jaki?

– Jakiś pożyteczniejszy niż sztuki piękne. – Poprawiła krzywo wiszący obraz. – Jeśli tego nie zrobię, przestaną płacić za moją naukę. Ale ja nie mogę zrezygnować ze sztuki. Będę musiała ich oszukiwać. – Spojrzała na Paula. – O tobie też nie powiedziałam im prawdy.

– Jak to?

– Myślą, że już się nie spotykamy. Nie wiedzą, że tutaj jesteś. Inaczej nie pozwoliliby mi tu zostać.

– Ale co dalej? A jeśli będziemy chcieli wziąć ślub?

Annie nerwowym ruchem nawinęła kosmyk włosów na palec.

– Nie wiem – odparła. – Nie mogę teraz się tym martwić.

– Wydziedziczą cię, jeśli wyjdiesz za Włocha?

– Nie obchodzi mnie to – szarpnęła się. – Nie chcę od nich pieniędzy, tylko czegoś zupełnie innego. Jeszcze tego nie zrozumiałeś, Paul?

To była prawda. Nie zależało jej na pieniądzach na własne potrzeby. Ubrania szyła sobie sama, przerabiając rzeczy, które dla niego wyglądały jak stare szmaty. Włosy myła tanim szamponem o zapachu przypominającym płyn do prania; kiedy Paul wchodził do pralni, od razu myślał o niej. Pieniądze liczyły się dla niej tylko o tyle, że dzięki nim mogła pomagać innym ludziom. Nocą, zamiast spać, potrafiła całymi godzinami rozmyślać, komu najbardziej przydałaby się pomoc. Pod koniec wakacji podjęła wszystko, co zarobiła w galerii, i urządziła zabawę dla dzieci w pobliskim szpitalu.

Jesienią, tuż przed powrotem do szkoły, Annie odstawiła pigułki antykoncepcyjne, które brała od piętnastego roku życia.

– Za długo to łykałam – powiedziała. – Chcę spróbować tej nowej metody, tych gąbek. Są bardziej naturalne.

– Mogę używać prezerwatyw – zaoferował się Paul.

– Nie, nie możesz – ucięła. – Będzie ci z tym gorzej.

Wiedział, że nie ma sensu z nią dyskutować. Tak Annie zaczęła serię eksperymentów z różnymi metodami antykoncepcyjnymi. Paul skrycie liczył na to, że któraś z nich zawiedzie. Bardzo chciał mieć z nią dziecko, bo dziecko zacieśniłoby łączącą ich więź.

Po powrocie do szkoły zamieszkali razem w jej akademiku, piętro niżej niż wcześniej. Układało im się bez większych perturbacji, tak jak w New Hope; ten stan rzeczy trwał prawie do końca roku, kiedy jej rodzice dowiedzieli się z jakichś formularzy, które przysłano im z uczelni, że Annie nadal studiuje sztuki piękne. Zadzwonili do niej po wyjaśnienia i tak się złożyło, że to Paul odebrał telefon. Przedstawił się machinalnie, bo myślał, że rozmawia z którymś z wykładowców Annie. Oddzwoniła do nich wieczorem. Byli już nieprzytomni ze złości. Po godzinie telefonicznej scysji Paul wyszedł, nie mógł dłużej słuchać, jak Annie potulnie przeprosza. Kilka godzin później jej matka zadzwoniła ponownie, by zawiadomić córkę, że ojciec miał zawał. Po rozmowie z Annie nagle upadł i pogotowie zabrało go do szpitala. Lekarze oceniali jego stan jako bardzo poważny.

Annie pojechała do domu. Paulowi kazała zostać. Nie było jej przez tydzień. Dzwonił i zostawiał dla niej wiadomości, ale nie był pewien, czy je przekazywano, ponieważ nie oddzwaniała.

Wróciła na uczelnię zupełnie odmieniona. Pojawił się pomiędzy nimi dystans, ale ona nie chciała tego przyznać, więc Paul nie mógł w żaden sposób z tym walczyć.

– Nie wiem, o co ci chodzi – mówiła. – Wyszliśmy przecież razem, prawda? Rozmawiam z tobą.

Robili to samo co zawsze – rozmawiali, chodzili do kina, jedli razem w studenckiej stołówce, sypiali ze sobą – ale ze strony Annie czegoś brakowało.

Wreszcie któregoś wieczoru, tuż przed końcem roku akademickiego, Paul stanął w drzwiach, by zablokować drogę Annie, która właśnie chciała wyjść.

– Nie opuścisz tego pokoju, dopóki mi nie powiesz, co się dzieje w twojej

głowie – oznajmił. Posadził ją na swoim łóżku, a sam usiadł na biurku obok, na tyle daleko, żeby nie mogła wykręcić się od rozmowy, kusząc go i wabiąc do siebie.

– Mój ojciec był bliski śmierci, Paul – odpowiedziała, bawiąc się srebrną bransoletką, którą miała na ręce. – Przeze mnie, ja go rozzłościłam, a teraz w każdej chwili mogę go stracić. Jest bardzo słaby. To straszne, wprost nie do zniesienia, oglądać go w takim stanie. Tam, w szpitalu, usłyszałam od niego różne rzeczy. Powiedział, że mnie kocha... No, może niedokładnie tymi słowami, ale jestem dla niego najważniejszą rzeczą na całym świecie. Naprawdę tak powiedział. – Oczy zaszkły jej łzami. – Powiedział, że nie potrafi zrozumieć, dlaczego nie mam ambicji i że to jest dla niego wielkie rozczarowanie. „Sztuka jest ładna, kochanie, ale Picassem to ty nie będziesz”, tak powiedział. Postanowiłam więc zmienić kierunek studiów. Wypełniłam już papiery.

– I co zamierzasz studiować?

– Biologię.

– Biologię – powtórzył. – Przecież biologia w ogóle cię nie interesuje.

Wzruszyła ramionami.

– Jakoś się wciągnę. Potem mogę iść do szkoły pielęgniarskiej, a może nawet do akademii medycznej. Zdobędę zawód, który pozwoli mi pomagać ludziom, a ojciec będzie ze mnie bardzo dumny. – Znowu spojrzała na bransoletkę opinającą nadgarstek. – Rozdaję całą biżuterię, którą zrobiłam.

– Annie...

– Ojciec powiedział, że dzięki mnie chcesz się wybić, ale skończy się tak, że pociągniesz nas oboje na dno.

Paul z trudem powstrzymał się, żeby nie cisnąć czymś o ścianę.

– I ty uwierzyłaś w te bzdury?

– Nie, ale mam wrażenie, że wbijam mu gwoździe do trumny. On się wykończy, Paul.

– Prędzej ty się wykończysz. On chce, żebyś była jego klonem. Ma nasrane w głowie i tobie próbuje zrobić to samo.

Annie zasłoniła uszy dłońmi. Paul zeskoczył z biurka i usiadł obok niej, objął, przygarnął do siebie.

– Przepraszam – powiedział. – Posłuchaj, kiedy spotykasz się ze swoim ojcem, ulegasz mu i jesteś pod jego wpływem. Za jakiś czas się otrząsniesz i zaczniesz się akceptować. Siebie i mnie. Na wakacje znowu jedziemy do

New Hope i...

Przerwała mu, potrząsając głową.

– Nie jadę w tym roku do New Hope.

– Jak to? – Paul zamarł.

– Muszę trochę pobyć sama. Przemyśleć sobie to wszystko.

– Gdzie będziesz mieszkać? U rodziców? – Nie mógł znieść myśli, że Annie spędzi z nimi dwa miesiące pod jednym dachem i przejdzie gruntowne pranie mózgu.

– Nie – odparła. – Wymyśliłam, że pojedę na południe, wzdłuż wybrzeża. Stąd na Florydę.

– Jak to: stąd na Florydę? Z kim?

– Sama.

– To niebezpieczne. A jeśli zepsuje ci się samochód?

– Jadę autostopem.

Paul wstał z posłania.

– Widzę, że wszystko masz dokładnie ustalone. Myślałaś nad tym długo i nie raczyłaś mnie wtajemniczyć.

– Przepraszam.

– Annie, nie wytrzymam bez ciebie przez całe wakacje.

– Może wrócę szybciej. Może już w pierwszym tygodniu wszystko mi się wyklaruje. Codziennie będę do ciebie pisać.

* * *

Paul pojechał do New Hope sam. Znow występował w miejscowym teatrze, w sztukach z letniego repertuaru, ale zebrał kiepskie recenzje; po raz pierwszy spotkał się z ostrą krytyką. Z początku codziennie dostawał pocztówkę od Annie. Przychodziły z różnych miasteczek w stanach nad oceanem: Nowy Jork, New Jersey, Delaware, Maryland. Małe kartki były gęsto zapisane, ściśnięte wyrazy niemalże nieczytelne: tak Annie opowiadała o plażach, o wodzie, o pasażach ze sklepami. Pisała też, że spotyka wielu ciekawych ludzi. Zaniepokoiło go to. Ilu było wśród nich mężczyzn? Zawsze jednak kończyła tak samo, słowami „Kocham cię”, więc starał się zachować spokój, powtarzał sobie, że Annie wróci wypoczęta i uwolniona spod mrocznego wpływu ojca. Kilka razy w tygodniu przychodziły też przesyłki, małe pudełka zawinięte

w brązowy papier, a w środku – muszle, rozgwiazdy, koniki morskie. Annie i jej prezenty.

Nagle jednak paczuszki przestały nadchodzić, podobnie jak kartki. Paul był chory z niepokoju. Po pięciu dniach bez żadnej wiadomości od Annie przełamał się i zadzwonił do jej rodziców.

– Postanowiła zatrzymać się na dłużej w Karolinie Północnej – oznajmiła jej matka.

– Bo... Prawie codziennie dostawałem od niej wiadomości, ale nagle przestała pisać... i pomyślałem, że... – Urwał i skrzywił się na myśl, że matka Annie pewnie uśmiecha się teraz z satysfakcją. – A gdzie dokładnie w Karolinie Północnej? – zapytał.

– Gdzieś nad oceanem. To miejsce nazywa się chyba Outer Banks.

Przez kolejne dwa tygodnie Annie nie dała znaku życia. Paul cierpiał. Rano, kiedy wstawał z łóżka, czuł autentyczny ból. Nie mieściło mu się w głowie, że Annie mogła tak go zostawić, tak dokumentnie się od niego odciąć. Czytał raz za razem ostatnią kartkę, którą od niej dostał. „Kocham cię” na końcu brzmiało równie szczerze jak na pierwszej. Może jej matka kłamała. Może Annie była w Bostonie. Może pisała do niego codziennie, ale rodzice przechwytywali jej listy.

A potem przysłała kartka z miasta Kitty Hawk.

Witaj, Paul

Tysiąc razy układałam sobie ten list w głowie i nigdy nie brzmiał tak, jak trzeba, ale dłużej już nie mogę milczeć. Poznałam kogoś. Tutaj, na miejscu. Nazywa się Alec i zakochałam się w nim. Paul, proszę cię, uwierz, że nie zaplanowałam tego. Gdy wyjeżdżałam z Bostonu, myślałam tylko o tobie, wiedziałam też jednak, że między nami jest inaczej, niż było kiedyś. Wciąż cię kocham – chyba nigdy nie przestanę. To ty mnie nauczyłeś, że kochać to znaczy też otrzymywać, a nie tylko dawać. Mój Boże, Paul, jesteś ostatnią osobą na świecie, którą chciałabym skrzywdzić. Raczej nie wrócę jesienią na studia. Dobrze by było, gdybyśmy się już nigdy nie spotkali. Proszę, błagam, wybacz mi.

Annie

Zastanawiał się, czy pojechać do Karoliny Północnej, odszukać Annie

i odzyskać, zdobyć na nowo, ale nie chciał z nią być w ten sposób. Nachodziły go myśli samobójcze. Kiedy prowadził samochód nocą, za każdym razem kusiło go, aby szarpnąć kierownicą i wjechać pod prąd, na czołowe zderzenie, zdarzało mu się też godzinami przesiadywać w kuchni, wpatrywać w lśniący nóż do steków i wyobrażać sobie, jak by to było otworzyć sobie żyły.

Rzucił pracę w teatrze i resztę wakacji spędził w domu, gdzie siostry trzęsły się nad nim, a rodzice próbowali go zmuszać, żeby coś zjadł. Obchodzili się z nim, zresztą słusznie, jak z narkomanem, który odstawił prochy. Ale mimo wszystko nie mógł przeboleć, że jedna z jego sióstr nazwała Annie fałszywą suką.

Po powrocie na uczelnię chodził jak żywy trup. Na castingu do sztuki, którą wystawiali studenci pierwszego roku, Harry Saunders powiedział, że Macelli gra „bez życia”, i rolę, w której zamierzał go obsadzić – Paul wiedział o tym – dał komuś innemu. Paul całkowicie stracił wtedy zainteresowanie aktorstwem i zmienił swój przedmiot kierunkowy, wybrał dziennikarstwo. W listopadzie jedna z koleżanek Annie poinformowała go, że Annie wzięła ślub w Karolinie Północnej. Alec O’Neill, tak nazywał się jej mąż. O’Neill. A więc w oczach jej rodziców, uznał Paul, Irlandczyk jest lepszy od Włocha.

Annie zapewne uważała tak samo.

Rozdział dziewiętnasty

Alec zaczął dzwonić do Olivii wieczorami. Za pierwszym razem miał powód: przypomniał sobie, jak mówiła, że po wydaniu *Katastrofy Eastern Spirit* występowała w telewizji. Wyobrażał ją sobie na szklanym ekranie, pewną siebie, atrakcyjną i przekonującą. Tylko że w jego fantazjach Olivia mówiła o latarni w Kiss River.

– Dałabyś się namówić na wystąpienie publiczne? – zapytał podczas tej ich pierwszej rozmowy. Dzieci nie było w domu, siedział sam w salonie i patrzył, jak blask zachodzącego słońca rozlewa się po wodach cieśniny. – Dostajemy mnóstwo zaproszeń, a kiedy wydamy broszurę, kompletnie nas zasypią. Już teraz sam nie daję rady.

– Ale ja nie mam pojęcia o latarni w Kiss River – zaprotestowała.

– Powiem ci wszystko, co powinnaś wiedzieć.

Olivia przez chwilę milczała, aż zaczął się zastanawiać, czy nie przesadził.

– Dlaczego ta latarnia jest dla ciebie taka ważna, Alec? – zapytała wreszcie.

Odszukał wzrokiem witrażowe okna w bocznej ścianie domu, dziesięć niedużych, kolorowych owali. W przygaszonym świetle zapadającego wieczoru ledwie było widać ich wzory.

– Tam poznałem Annie – wyjaśnił. – Tuż po studiach pracowałem przy latarni podczas wakacji. Annie podróżowała po wybrzeżu i pewnego wieczoru po prostu znaleźliśmy się w tym samym miejscu o tej samej porze. Dla mnie to chyba coś w rodzaju symbolu.

– Dobrze, zgadzam się. Jeśli termin nie będzie kolidował z dyżurem w pogotowiu.

– Świetnie. – Alec przesunął dłonią po poręczu fotela. – A przy okazji, wczoraj w sklepie spotkałem Paula.

– Naprawdę? – W jej głosie zabrzmiał niepokój. – I co mu powiedziałaś?

– Zapytałem tylko, jak tam jego fantazje.

W słuchawce zapadła cisza.

– Mam nadzieję, że to był żart – wycedziła w końcu Olivia.

– Oczywiście, że tak – uspokoił ją Alec, a potem nagle zmarszczył brwi. – To dla ciebie nie jest temat do żartów, prawda?

– Owszem, nie jest.

– Nie bój się. Rozmawialiśmy tylko o latarni.

Następnego wieczoru zadzwonił już bez żadnego pretekstu. Trzeci raz też. Czwartego dnia zawoził Claya na pięciodniowe dni otwarte na Uniwersytecie Duke'a i wrócił późno. Nie wypadało dzwonić do Olivii o wpół do jedenastej; położył się spać, ale czuł, że czegoś mu zabrakło. Już od kilku tygodni aż tak mu nie doskwierało, że leży w pustym łóżku, więc podniósł słuchawkę i wybrał jej numer. Znał go na pamięć.

Głos w słuchawce był niewyraźny i zaspany.

– Obudziłem cię – powiedział.

– Nie. To znaczy tak, ale nie szkodzi.

Zapadła cisza i nagle poczuł się nieswojo, że rozmawiają, leżąc w łóżkach. Wyobraził ją sobie w pościeli: proste, jedwabiste włosy, zielone oczy.

– Zawiozłem dzisiaj Claya na uczelnię, na dni otwarte – zaczął. – Jakoś tak dziwnie w domu bez niego.

– Może to jest dobry moment, żebyście z Lacey zrobili coś razem.

– Ha. Marne szanse. – Zmroziła go myśl, że przez całe cztery dni będzie trzeba radzić sobie bez Claya, który łagodził napięcia pomiędzy nimi.

Olivia przekonywała go do tego pomysłu przez kolejne trzy wieczory, aż wreszcie go przekonała i w środę rano Alec zajrzał przed śniadaniem do pokoju Lacey. Była już ubrana do szkoły, w żółte, zdecydowanie zbyt krótkie szorty i koszulkę ze sklepu sportowego, gdzie pracował Clay. Grzebała właśnie na dnie szafy, szukając drugiego sandała od pary.

Alec przysiadł na skraju jej łóżka.

– Zróbmy dzisiaj coś wspólnie, Lacey – powiedział. – Chodźmy gdzieś.

Uniosła głowę i spojrzała na niego.

– Czemu?

– Tak jak kiedyś. Pamiętasz? Robiliśmy razem mnóstwo rzeczy.

– Umówiłam się dzisiaj z Jessicą.

– Codziennie się z nią widzisz. No, nie daj się prosić. Poświęć staremu ojcu trochę czasu.

Lacey oparła się plecami o ścianę obok szafy. W dłoni ścisnęła odnaleziony sandał.

- Co mamy robić?
 - Na co masz ochotę. Kiedyś lubiłaś kręgle.
- Przewróciła oczami.
- Możemy iść do kina. – Nie rezygnował.
 - Widziałam już wszystkie filmy, które tutaj grają.
 - Może nocne wędkowanie? – zaproponował. – Lubiałaś to.
 - Aha. Miałam wtedy osiem lat.
- Alec jęknął.
- Pomóż mi, Lacey. Co byś chciała robić?
 - Wiem! – odpowiedziała z błyskiem entuzjazmu w oczach. Alec nadstawił ucha. – Ja umówię się z Jessicą, a ty zostaniesz w domu i pooglądasz sobie zdjęcia latarni.
- Spojrzał jej w oczy z wyrzutem. Lacey westchnęła i położyła sandał na podłodze.
- Przepraszam – powiedziała skruszona, dając za wygraną. – Chodźmy tam, gdzie ty chcesz.
- Alec wstał z łóżka.
- W takim razie wybierzemy się na ryby. Zrobię rezerwację.

* * *

W drodze na przystań Lacey przez cały czas miała na uszach słuchawki. Siedziała z nogami na desce rozdzielczej i poruszała stopą w rytm niesłyszalnej muzyki.

Po dotarciu nad przesmyk wysiadła z samochodu, zawiesiła radio na pasku swoich szortów i ruszyła przed siebie, Aleca zostawiła z tyłu. I tyle z jego marzeń o spokojnym wieczorze w towarzystwie córki.

- Lacey! – zawołał, ale nie zatrzymała się. Nie wiedział, czy celowo go lekceważy, czy po prostu nie słyszy w tych słuchawkach. Zresztą, to nie miało znaczenia. Było jasne, że chce się od niego odciąć.

Dogonił ją i złapał za ramię.

- Proszę cię, nie bierz radia na pokład – powiedział. – Zostaw je w samochodzie. Proszę.

Mruknęła coś pod nosem, ale wróciła do samochodu i położyła radio na siedzeniu.

Okazało się, że Lacey jest jedyną kobietą na kutrze. Kiedy wchodziła na pokład, wszyscy wędkarze, kilkunastu mężczyzn w wieku od lat dwudziestu kilku wzwyż, gapiło się na nią bez skrępowania. Ta sytuacja zmusiła Aleca do spojrzenia na córkę bardziej obiektywnym okiem. Nagle jej strój wydał mu się prowokujący: absurdalnie krótkie szorty odsłaniały prawie całe nogi, długie, szczupłe i bardzo opalone, wzięwszy pod uwagę, że miała delikatną skórę. Zamiast koszulki, którą włożyła rano, miała na sobie lekką białą bluzkę bez rękawów, z głębokim dekoltem i tak krótką, że ledwie zasłaniała brzuch. Przez cienki materiał prześwitywały wyraźnie jej nieduże piersi, razem z sutkami. W rękę trzymała wiatrówkę; Alec najchętniej ubrałby ją i zapiął aż po samą szyję.

Jeden z młodszych wędkarzy cmoknął znacząco i wyszczerzył się, patrząc, jak Lacey wskakuje na pokład.

– To moja córka – poinformował go Alec. – Uważaj.

– Tato... – jęknęła. – Dlatego nie chcę z tobą nigdzie chodzić. Robisz mi obciach.

Alec znalazł ustronne miejsce w pobliżu sterówki, z dala od innych wędkarzy, którzy gapili się na Lacey za każdym razem, gdy odwracali się po piwo albo przynętę. Czy to samo dzieje się za każdym razem, kiedy ona wychodzi na ulicę? Jeśli ci tutaj są tak bezczelni, kiedy dziewczyna jest z ojcem, to co się dzieje, kiedy mnie przy niej nie ma?, zastanawiał się Alec.

Lacey bez najmniejszego trudu, jakby robiła to od urodzenia, założyła na haczyk kawałek makreli.

– Zawsze szło ci to lepiej niż Clayowi – zauważył Alec. – On nie był w stanie wziąć przynęty do ręki.

– Clay to czasami straszny mięczak. – Lacey opadła na składany fotel i oparła się wygodnie.

Alec usiadł obok, wciągnął w płuca woń soli i wodorostów. Linia wybrzeża powoli nikła w oddali.

– Pamiętasz, Lace, jak kiedyś ryba ci uciekła?

– Co?

– Złapałaś dużego tasergala, a on z pokładu wyskoczył z powrotem do wody. Lacey odwróciła głowę, aby ojciec nie widział, że się uśmiechnęła.

– Dawne czasy – powiedziała.

– Był ogromny. Pomogłem ci wciągnąć go na pokład. Bardzo się cieszyłaś, ale kiedy zdjeliśmy tę cholere z haczyka, zwiłała do wody.

– Nikt mi nie uwierzył – szepnęła Lacey, ale w jej głosie słychać było wyraźnie echo dawnego oburzenia. – A ty mówiłeś, że zrobiłeś mi zdjęcie, tylko że...

– ...klisza zawilgotniała i nie dała się wywołać.

Parsknęła śmiechem, ale szybko się opanowała.

– Mama nigdy w to nie wierzyła.

– Wierzyła, tylko lubiła się z tobą przekomarzać na ten temat.

Przez kilka minut łowili w milczeniu.

– Nie znoszę tasergali – odezwała się wreszcie Lacey. – W ogóle nie cierpię ryb.

Nadciągał zmierzch, a równocześnie zerwał się porywisty wiatr. Morze wzburzyło się trochę, kuter podskakiwał na falach, nieco zbyt mocno jak na gust Aleca. Oboje włożyli wiatrówki.

Lacey nagle wstała z fotela.

– Bierze, tato.

Jej wędka wygięła się pałkowato, a kołowrotek zaterkotał; ryba chwyciła przynętę i unosiła ją w morze.

– Poczekaj, Lace. Poluzuj trochę. O, tak.

Zacisnęła palce na rączce wędki, w skupieniu wystawiając koniuszek języka.

– Stoi!

– Dobrze – pochwalił Alec. – Nawiń żyłkę. Niech się naciągnie. Pomóc ci?

– Nie trzeba.

Do Lacey podszedł jeden z młodych wędkarzy.

– Brawo – powiedział, kiedy zaczęła kręcić kołowrotkiem. – Jeszcze pewnie ze dwa razy będzie ci uciekała. To nic, tylko...

Lacey pisnęła, bo ryba znów szarpnęła za żyłkę i ściągnęła ją z kołowrotka, ale tym razem szybko zmęczyła się walką i można było nawijać z powrotem.

Dołączył do nich jeszcze jeden wędkarz.

– To tasergal – oznajmił, kiedy zdobycz podeszła tuż pod powierzchnię wody, szamocząc się dziko. – Piękny. Chociaż nie tak piękny, jak ten, co go złapał.

Lacey zmagiła się z wędką, ale to jej nie przeszkodziło uśmiechnąć się do niego.

– Ta – poprawił kolegę pierwszy młody amator wędkowania.

– No, ta – przytaknął. – Z daleka widać.

Lacey oblała się rumieńcem. Wygląda jak jedna wielka, rozdygotana strefa

erogenna, pomyślał Alec.

Kiedy wyciągała rybę z wody, pierwszy młody wędkarz wychylił się za burtę z podbierakiem w dłoni.

– Będzie miał ze trzy i pół kilo – oznajmił i sprawnie złapał rybę na siatkę, po czym przerzucił na pokład.

– Tylko żeby nie wskoczył z powrotem do wody! – krzyknęła Lacey. Uklękła na pokładzie obok ojca i przytrzymała zdobycz przez ręcznik. Alec wyjął haczyk z pyska ryby i wrzucił tasergala do swojej lodówki turystycznej, którą otworzył mu jeden z wędkarzy. Obaj młodzi mężczyźni rzucili jeszcze raz okiem na Lacey i wrócili na rufę.

Alec i Lacey założyli świeże przynęty, zarzucili wędki i usiedli. Dziewczyna uśmiechała się szeroko.

– Dobra robota, Lacey – pochwalił Alec.

– Ale nie musimy jej zjeść? – zapytała.

– Nie. Możemy ją komuś oddać. Wiesz, kto przepada za tasergalami? Nola.

– Noler – poprawiła go, naśladowując bostoński akcent swojej matki. Alec wybuchnął śmiechem. Annie nigdy nie nauczyła się wymawiać otwartego „a”.

– Poznajcie się, to moja przyjaciółka Noler i jej córka Jessicer – ciągnęła Lacey takim samym chropawym głosem jak jej matka.

– Annie nie mówiła aż tak strasznie – zaproponował Alec.

– Cieszę się tylko, że nie nazwała mnie Melissa albo jakoś podobnie.

Uśmiechnął się na to wspomnienie.

– Proponowała imię Emma, ale powiedziałem, że to wykluczone, chyba że przez cały tydzień będzie powtarzać je na głos, nie wymawiając „Emmer”. Ma się rozumieć, nie dała rady.

– Emma... Dzięki, tato, uratowałeś mi życie.

Obok nich przeszedł młody mężczyzna, który skomplementował jej urodę. Lacey obejrzała się przez ramię i uśmiechnęła do niego.

– Powiniennem uświadomić tym facetom, że masz dopiero czternaście lat – mruknął Alec.

Wzruszyła ramionami.

– Mama miała piętnaście, gdy pierwszy raz... no, wiesz.

– A ty skąd wiesz?

– Od niej.

– Czyżby?

Wielkie dzięki, Annie, pomyślał.

– To znaczy, powiedziała mi, że to za wcześnie i że lepiej z tym poczekać, ale jej nie zaszkodziło.

– Miała szczęście, że nie zaszła w ciążę. Poza tym teraz są różne choroby, o które wtedy nie musiała się martwić.

– Wiem to wszystko, tato.

Było już tak ciemno, że nie mógł dostrzec jej twarzy, ale wyobraził sobie, jak przewraca oczami. Odczekał chwilę i zagaił.

– Rozumiem, że za rok, kiedy skończysz piętnaście lat, planujesz zacząć uprawiać seks?

– Boże, tato! Naprawdę to nie jest twoja sprawa.

Alec już chciał zwrócić jej uwagę, że owszem, jak najbardziej jego sprawa, ale ugryzł się w język. Nie chciał niczego zepsuć. Wreszcie normalnie rozmawiają z Lacey. Pomyślał, że chyba powinien wspomnieć o antykoncepcji, ale bał się, że ona potraktuje to jako zgodę: masz zielone światło, wolną rękę.

– Jessica już to robiła – powiedziała nagle Lacey, nie odrywając oczu od fal.

– Co?!

– Boże, po co ci o tym mówiłam? Nie powiesz Noli, prawda, tato? – jęknęła błagalnie. – Proszę, nie mów. Jessica mnie zabije.

– Nie powiem – obiecał, ale nie był pewien, czy dotrzyma. Chyba będę musiał, pomyślał, usiłując wyobrazić sobie młodziutką, ale już zmysłową Jessicę Dillard w łóżku z... Nie zdołał wyobrazić sobie kogoś konkretnego. – Czy ona... jest ostrożna?

– Pewnie tak – ucięła Lacey, zirytowana pytaniem. Alec postanowił nie drążyć tematu.

Zanim coraz bardziej niespokojny ocean popsuł im przyjemność wędkowania, złapali jeszcze dwa tasergale. Alec poczuł ulgę, kiedy kuter zawrócił do brzegu. Pozostali wędkarze zwinęli już sprzęt i siedzieli na fotelach. Gdy wiatr przybrał na sile, kilku schroniło się w sterówce.

– Kiedy cię mdli, trzeba patrzeć na horyzont, tak? – zapytała nagle Lacey.

– Źle się czujesz? – odpowiedział pytaniem. Sam czuł się coraz gorzej.

Dziewczyna otuliła się tylko szczelniej wiatrówką i potrząsnęła głową. Rozpadało się. Alec widział, jak krople deszczu zbierają się na jej włosach i lśnią w świetle padającym z okna sterówki.

Nagle Lacey z głośnym jękiem wstała i chwyciła się burty. Kiedy zaczęła wymiotować, podszedł i odgarnął jej włosy na bok; przypomniał sobie, jak

w ten sam sposób pomagał Annie w drugiej ciąży, z Lacey. To było straszliwe dziewięć miesięcy, chociaż Annie zawsze zapewniała żarliwie, że to była czysta rozkosz, jak gdyby chciała odmienić własne wspomnienia.

Wyjął z kieszeni chusteczkę i otarł córce usta.

– Chodź tutaj – powiedział. Usiedli na pokładzie, oparli się o ścianę sterówki, która zapewniała nieco osłony przed wiatrem i deszczem. Lacey szczykała zębami, więc objął ją ramieniem i ucieszył się, że nie protestuje.

Z drugiej strony sterówki wymiotował któryś z wędkarzy. Lacey jęknęła, słysząc odgłos torsji, i mocniej przywarła do ojca.

– Tato – wymamrotała. – Strasznie mi niedobrze.

– Wiem, kochanie. – Alec wyjrzał za burzę, szukając wzrokiem horyzontu. We mgle majaczył szereg świateł wzdłuż wybrzeża, a na północy pulsowało światło latarni w Kiss River. – Patrz, Lace – powiedział. – Już prawie jesteście w domu.

Lacey poderwała głowę, ale zaraz opuściła ją z powrotem na jego ramię z bolesnym jękiem. Alec przytulił ją mocniej. Ubranie miał mokre, było mu zimno, a córka w każdej chwili mogła zwrócić prosto na niego, a mimo to niczego nie brakowało mu do szczęścia. Dawno tak się nie czuł.

Wreszcie dotarli na brzeg przesmyku. Lacey na chwiejnych nogach dowlokła się do samochodu, a Alec zabrał lodówkę z rybami. Postawił ją na tylnym siedzeniu forda, po czym usiadł za kierownicą.

– Bładziutko wyglądasz – zauważył, zerknąwszy na córkę. – Jak się czujesz?

– Mmm. – Lacey oparła głowę o szybę i zamknęła oczy.

Przez całą drogę do domu nie powiedziała ani słowa. Po słuchawki nawet nie sięgnęła, chociaż radio leżało na jej kolanach.

W domu Alec postawił lodówkę na stole w kuchni i przyjrzał się córce, która ścigała mokrą wiatrówkę. Lacey była blada i miała opuchnięte oczy.

– Zdaje się, że wyprawa na ryby nie wyszła ci na zdrowie – powiedział.

Dziewczyna rzuciła zmiętą kurtkę na krzesło i otworzyła pojemnik z ich zdobyczą.

– No proszę. – Wyciągnęła najmniejszego tasergala. – Noler się ucieszy.

Alec uśmiechnął się.

– Ja przygotuję ryby, Annie, a ty idź na górę i...

Lacey gwałtownie poderwała głowę.

– Nie nazywam się Annie! – wrzasnęła i cisnęła mu rybę w twarz. Mokry i zimny pocisk trafił go w policzek i spadł na podłogę z głuchym plaśnięciem.

- Przepraszam, Lace – westchnął.
- Rzygać mi się chce, jak na ciebie patrzę! – Obróciła się na pięcie i wyszła sztywnym krokiem. Jej rude włosy płonęły w świetle żarówek.

* * *

Rano, kiedy Alec wstał, jej już nie było, a dom wydawał się pusty. Wziął złowione poprzedniego dnia ryby i zaniósł je do Noli. Nie zastał jej, ale drzwi nie były zamknięte na klucz, więc wszedł i schował je do lodówki, a na stole w kuchni zostawił kartkę. „Tasergale w lodówce”, napisał, a w myślach dodał drugą wiadomość: „Przy okazji, Twoja córka zaczęła uprawiać seks”. Jak on by się poczuł, gdyby Nola zataiła przed nim taką informację o Lacey?

Po południu, gdy Lacey wróciła do domu, Alec przygotowywał dla Olivii informacje na temat latarni. Usłyszał trzaśnięcie drzwiami i głuchy tupot na schodach. Przez pół dnia powtarzał sobie, co powie córce po powrocie ze szkoły; wieczorem zadzwonił do Olivii, a ona ułożyła mu całą mowę. Miał powiedzieć tak: „Było mi wczoraj bardzo miło, że spędziliśmy razem trochę czasu, proszę, nie pozwól, żeby jedna moja pomyłka wszystko zepsuła”.

Drzwi do pokoju Lacey były otwarte. W pierwszej chwili Alec pomyślał, że w środku jest ktoś obcy: jakaś dziewczyna z czarnymi jak smoła włosami grzebała w najwyższej szufladzie komody.

– Lacey?

Kiedy odwróciła się do niego, aż się zachłysnął z wrażenia. Włosy miała ufarbowane i obcięte krótko, przy samej czaszce. Miejscami skóra była praktycznie wygolona i przeświecała jaskrawą bielą pomiędzy czarnymi jak smoła włosami.

– Co ty ze sobą zrobiłaś? – zapytał.

Lacey wzięła się pod boki i zmrużyła oczy.

– Teraz już jej nie przypominam, co?

Rozdział dwudziesty

– Obcięła włosy i ufarbowała je na czarno – powiedział Alec.

Olivia odsunęła Sylvie i obróciła się na bok. Telefon dzwonił co wieczór, zawsze o wpół do jedenastej; wiedziała, czyj głos usłyszy w słuchawce, i starała się kłaść wcześniej. To Alec pierwszy powiedział, że lubi z nią rozmawiać, leżąc w łóżku, które po śmierci Annie stało się najbardziej samotnym miejscem w całym domu. Odparła wtedy, że doskonale go rozumie. Gdy rozmawiali po ciemku, czuła się blisko niego. On też miał zgaszone światło – zapytała go o to, gdy zadzwonił po raz pierwszy. Chciała też zapytać, w czym śpi, ale powstrzymała się, bo nie mogła się zdecydować, czy naprawdę chce to usłyszeć.

– Ona ma już dość życia w cieniu Annie – wyjaśniła mu teraz. Rozumiała Lacey aż za dobrze.

– Wygląda prostacko – odparł. – Wciąż myślę o spojrzeniach tamtych facetów na kutrze. Trochę za bardzo podobało jej się ich zainteresowanie. Powiedziała mi, że jej najlepsza przyjaciółka uprawia już seks. Może i ona wcale nie jest taka niewinna, jak chciałbym myśleć. Annie miała tylko piętnaście lat, kiedy zaczęła.

– Piętnaście? – powtórzyła Olivia, marszcząc brwi.

– Tak, ale istniały pewne okoliczności łagodzące.

– Na przykład?

Alec westchnął.

– Na przykład takie, że dostawała od rodziców pieniądze zamiast miłości. I chyba nie знаła innego sposobu, aby poczuć się kochaną. Jako nastolatka prowadziła rozwiązły tryb życia. Nie znosiła tego określenia, ale nie wiem, jak inaczej to nazwać.

Olivia milczała. Nurtowało ją pytanie: czy Annie znów szukała miłości tamtej nocy, kiedy przespalała się z Pauliem?

– A ty ile miałaś lat? – zapytał nagle Alec.

– Proszę?

Zaśmiał się.

– No tak, chyba byłem trochę zbyt bezceremonialny. Zaciekawilo mnie to, bo tak się zbulwersowałaś, kiedy powiedziałem, że Annie zaczęła jako piętnastolatka. Nie musisz odpowiadać.

Olivia owinęła kabel od słuchawki dookoła dłoni.

– Za pierwszym razem miałam czternaście lat – odparła. – A za drugim dwadzieścia siedem.

Alec umilkł. Odezwał się dopiero po kilku sekundach.

– Coś mi się zdaje, że otworzyłem puszkę Pandory.

– Nieczęsto o tym mówię.

– Jeśli nie chcesz, to nie musisz.

Położyła się z powrotem na plecach i zamknęła oczy.

– Kiedy miałam czternaście lat, zgwałcił mnie starszy chłopak z sąsiedztwa.

– Boże... Bardzo ci współczuję.

– To mnie okaleczyło wewnątrz. Miałam... obawy w kwestii seksu i rozpoczęłam współżycie dopiero w wieku dwudziestu siedmiu lat. Kiedy poznałam Paula.

– Przez tyle lat nie znalazł się nikt, przy kim czułabyś się na tyle bezpiecznie, żeby to zrobić?

Olivia roześmiała się.

– Nigdy nie musiałam opędzać się od facetów. Jako nastolatka byłam kujonką, wyobcowaną dziwaczką i kiedy dorosłam, niewiele się zmieniło. Aby nie myśleć o chłopakach i randkach, skupiłam się na nauce, a potem na pracy.

– Nie do wiary, że byłaś kujonką. Jesteś bardzo atrakcyjna i pewna siebie.

– Na pogotowiu, ale nie w prawdziwym świecie. Nad pewnością siebie zawsze musiałam pracować, a fakt, że mąż mnie rzucił dla kobiety, która na dobrą sprawę jest wytworem jego wyobraźni, bynajmniej mi nie pomaga.

– Przepraszam, że obudziłem złe wspomnienia.

– Nie przejmuj się. One w zasadzie nigdy nie śpią.

– A co zrobili twoi rodzice, kiedy doszło do gwałtu? Podaliście tamtego chłopaka do sądu?

Olivia wbiła wzrok w ciemny sufit.

– Mój ojciec wtedy już nie żył. Mama ciężko chorowała... a tak naprawdę była alkoholiczką i nie kiwnęłaby palcem. Dopóki nie poznałam Paula, nikomu

o tym nie powiedziałam. Jesteś drugą osobą, która wie. – Przygarnęła Sylvie bliżej, aż głowa kotki oparła się o jej policzek. – Tak czy inaczej, kiedy to się stało, wyprowadziłam się z domu i zamieszkałam z moją nauczycielką.

– Nie przypuszczałem, że miałaś taką trudną przeszłość.

– Muszę przyznać, że bardzo wiele zawdzięczam Paulowi. – Zdobyła się na to, żeby opowiedzieć mu o sobie wszystko, łącznie z tym, że przeżyła gwałt. Zanim się ośmieliła wyznać, co skrywa jej przeszłość, minęło kilka miesięcy. Kiedy zobaczyła, jak Paul płacze na smutnych filmach, i wysłuchiwała wierszy, które napisał o niej, zrozumiała, że może mu powiedzieć o wszystkim.

Okazał jej współczucie, którego oczekiwała. Był najdelikatniejszym z kochanków, a jego cierpliwość nie znała granic. Zrobił wszystko, co w ludzkiej mocy, aby uleczyć rany, które zadano jej tamtego dnia, przed wieloma laty, a jego starania obudziły w niej coś, co nazwał „jej lubieżną naturą”. Olivia wiedziała, że to trafne określenie. Czuła palącą potrzebę nadrobienia straconego czasu, a Paul gorliwie służył pomocą w pielęgnowaniu tej nowo odkrytej strony jej osobowości.

Ale teraz wyznał jej, że kochał się z Annie O’Neill, kobietą z dwudziestopięcioletnim doświadczeniem w tych sprawach. „Była spontaniczna, pełna życia”, powiedział.

– Alec, muszę kończyć.

– Popsułem ci nastrój.

– Nie, po prostu przypomniałam sobie, że miałam kiedyś troskliwego męża.

– Nie rozumiem, o co mu chodzi. Najchętniej bym do niego zadzwonił i powiedział, że ma cudowną żonę, która go kocha, potrzebuje i...

Olivia uniosła się i usiadła na posłaniu.

– Nie wolno ci.

– Moim zdaniem pomieszało mu się w głowie. Nie potrafi docenić tego, co ma, i nie zdaje sobie sprawy, jak łatwo może to stracić.

– Alec, posłuchaj. Poznałeś tylko mój punkt widzenia. Nie wiesz, jak wyglądało nasze małżeństwo z jego perspektywy. Coś mu nie pasowało, czegoś brakowało. Ja nie wiem nawet czego, ale proszę cię, bardzo cię proszę, nie próbuj się w to mieszać.

– Spokojnie, nic nie zrobię – zapewnił Alec i umilkł na chwilę. – A kiedy Paul w końcu zmądrzeje i wróci do ciebie... Czy będzie miał coś przeciwko temu, że raz na jakiś czas pogadamy sobie, leżąc w łóżkach?

Olivia z szerokim uśmiechem opadła z powrotem na poduszkę.

- Obym naprawdę kiedyś miała takie zmartwienia.
- Tego ci życzę.
- Muszę już kończyć.
- Olivia...?
- Słucham.
- Nic. To ładne imię. Lubię je wymawiać.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Po rozmowie z Olivią Alec wiedział, że nie da rady zasnąć. Wstał z łóżka i włożył niebieskie szorty, w których chodził przez cały dzień. Wyszedł z sypialni na taras na piętrze domu, po drodze zapinając suwak. Usiadł na huśtawce i delikatnie odpychał się bosymi stopami. Cieśnina kryła się w mroku. Fale cicho pluskały o piasek plaży, która była dla tego domu podwórkiem. Wilgotny wiatr muskał pierś i ramiona mężczyzny.

Alec postanowił działać, żeby Olivia i Paul znów byli razem – i to szybko, zanim zdąży jej powiedzieć coś bardziej aluzyjnego niż to, że podoba mu się jej imię. Dręczyło go poczucie, że powinni zaprzestać tych wieczornych rozmów, bo robią coś złego. Wiedział jednak, że prawdziwy powód wyrzutów sumienia jest zupełnie inny.

To było przed około dwoma laty. Telefon zadzwonił w niedzielne przedpołudnie. Alec siedział dokładnie w tym samym miejscu, na huśtawce, czytał gazetę i popijał kawę z kubka. Usłyszał, jak Annie odbiera w sypialni. Mówiła cicho i wyjątkowo powściągliwie jak na nią, więc zaczął się przysłuchiwać, ale nie mógł rozróżnić słów, więc wrócił do lektury. Parę minut później wyszła na taras i usiadła obok niego na huśtawce.

– Dzwonili z rejestru dawców szpiku – powiedziała. – Mam idealną zgodność z jedną dziewczynką z Chicago.

Zarejestrowała się jako dawca kilka lat wcześniej; wtedy Alec nie zwrócił na to większej uwagi. To była po prostu kolejna pozycja na liście dobrych uczynków Annie. Nie spodziewał się, że coś z tego wyniknie. Podobno bardzo rzadko zdarzało się znaleźć niespokrewnionego dawcę szpiku. Okazało się jednak, że jest to możliwe.

Odłożył gazetę, wziął Annie za rękę i położył jej dłoń na swoim udzie.

– Co to konkretnie oznacza? – zapytał.

– Muszę polecieć do Chicago. Przeszczep będzie w środę. – Annie zmarszczyła nos, a po chwili zapytała cichym, niepewnym głosem: –

Pojedziesz ze mną?

– Oczywiście. – Puścił jej dłoń i wygładził kosmyki na ramieniu. – Jesteś pewna, że chcesz to zrobić?

– Jasne. – Wstała i pochyliła się, żeby go pocałować. – Zrobię śniadanie.

W ciągu dnia była milcząca, a on nie ciągnął jej za język. Czuł, że jego żona zмага się z jakimś problemem i musi uporać się z nim sama. Przy kolacji powiedziała dzieciom wszystko, czego udało jej się dowiedzieć o tej dziewczynce, która umrze bez jej pomocy. Lacey miała jedenaście lat, Clay piętnaście. Słuchali w skupieniu, z powagą wypisaną na twarzach. Annie powiedziała im, że zostaną u Noli, a ona i tata wrócą w środę wieczorem.

– Jak oni wezmą od ciebie szpik i oddadzą go tej dziewczynce? – Chciała wiedzieć Lacey.

– No cóż – ożywiła się Annie. – Najpierw nas uspią, żeby nic nie bolało, a potem przez małe nacięcie na plecach pobiorą szpik igłą i po wszystkim. Doktor powiedział, że przez kilka dni będzie mi trudno się pochylać, poza tym nie przewiduje żadnych problemów, a dzięki mnie ta dziewczynka ma szansę żyć.

W nocy Annie nie mogła zasnąć. Wierciła się, aż wreszcie wpełzła w ramiona męża.

– Przytul mnie, proszę – powiedziała.

Przygarnął ją do siebie; drżała, a gdy oparła głowę o jego nagie ramię, poczuł wilgoć na jej policzku i zrozumiał, że Annie płacze.

– Co się dzieje? – zapytał i przytulił ją mocniej.

– Bardzo się boję – wyszeptała. – Boję się, że umrę podczas operacji.

Targnął nim nagły niepokój. Myśleć o sobie – to było do niej niepodobne. Odchylił głowę, starając się dostrzec w ciemności jej oczy.

– W takim razie zrezygnuj – powiedział. – Nie musisz tego robić.

– Muszę. – Usiadła na pościeli i położyła mu dłoń na piersi. – Dla tego dziecka to jedyna szansa.

– Może są inni dawcy.

– Powiedzieli, że tylko ja się nadaję.

– Boże... Nie ma to jak zagrać komuś na sumieniu.

– Ten strach jest bardzo silny. – Wzdrygnęła się. – Jakbym naprawdę musiała tam umrzeć. To byłaby kara za wszystkie moje złe uczynki.

Alec roześmiał się, zdjął jej rękę z piersi i przycisnął palce żony do ust.

– Ty nigdy w życiu nie zrobiłaś nic złego.

– Przeraza mnie myśl, że nie zobaczę, jak Lacey i Clay dorastają – jęknęła Annie i rozplakała się na serio, a on zrozumiał, że znów poniosła ją wyobraźnia; często zdarzało jej się zadrećcać najgorszym z możliwych scenariuszy. – Że nie przytulę moich wnuków. Chcę się zestarzeć przy tobie, Alec – dodała błagalnym tonem, jak gdyby on mógł jakimś sposobem zapewnić jej pomyślność.

– Zrezygnuj, Annie. – Alec też usiadł na łóżku, wziął ją za rękę i lekko ścisnął. – Zwal wszystko na mnie. Powiedz im, że...

– Nie mogę. Ta dziewczynka potrzebuje...

– Mam gdzieś tę dziewczynkę.

– Alec! – Wyrwała dłonie. – Nie mów tak.

– To jest dla mnie obca osoba. Nie znam jej i nigdy nie poznam. Ciebie natomiast znam bardzo dobrze i wiem, że się boisz. W takim stanie nie powinnaś poddawać się żadnej operacji.

– Muszę. Wszystko się uda. Ja po prostu... – Potrząsnęła głową. – Sam wiesz, że w środku nocy człowiek czasem głupieje.

Położyła się i przyłgnęła do niego. Upłynęło kilka chwil, zanim odezwała się ponownie.

– Chciałabym cię o coś zapytać. Tak teoretycznie.

– Mmm?

– Gdybym umarła, po jakim czasie zacząłbyś się spotykać z inną kobietą?

– Annie...! Odwołaj tę cholerną operację.

– Nie. Ja pytam poważnie, Alec. Powiedz mi. Ile byś czekał?

Przez jakiś czas milczał. Świadomość, jak łatwo może ją stracić, była dotkliwie bolesna. Mogła, na własne życzenie, odejść na zawsze na stole operacyjnym. Przytulił ją mocniej.

– Nie sędzę, żebym kiedykolwiek zapragnął innej kobiety.

– W sensie, że w łóżku?

– W sensie, że nie i już.

– Boże, przecież nie chcę, żebyś już zawsze był sam, ale jeśli umrę, to czy... mógłbyś poczekać rok? Proszę. To chyba nie jest za długo, żeby opłakiwać kogoś, kogo się szczerze, z całego serca kochało, prawda? O nic więcej nie proszę. Potem możesz robić, co ci się podoba, chociaż byłoby miło, gdybyś od czasu do czasu mnie wspominał, a w tej swojej nowej kobiecie widział prawie same wady.

– Dlaczego prawie? – Uśmiechnął się. – Jak grać, to va banque, Annie. –

Uniósł się na łokciu i pocałował ją. – Wiesz co? Skoro już jesteś jedną nogą w grobie, to może lepiej pokochajmy się ten ostatni raz?

Położył dłoń na jej piersi, ale ona chwyciła go za palce.

– Nie obiecałeś mi – powiedziała. – Tylko jeden rok. Proszę cię, Alec.

– Niech będą dwa lata – odparł, pewien, że dotrzymanie słowa nie będzie dla niego najmniejszym problemem.

Rano Annie miała się już lepiej, płaczliwość i przygnębienie minęły, tryskała optymizmem. Alec natomiast poczuł się gorzej, jak gdyby udzielił mu się jej strach. We wtorek, gdy startowali do Chicago, był już chory ze zdenerwowania. Siedział z głową przyklejoną do zagłówka fotela i starał się nie zwracać uwagi na mdłości, które nim targały, a Annie oparła mu głowę na ramieniu i trzymała go za rękę. Przeczytała mu też artykuł wyrwany z porannego numeru „Beach Gazette”, informujący o kolejnym szlachetnym uczynku Annie O’Neill, czyli właśnie podróży do Chicago.

Noc poprzedzającą operację musiała spędzić w szpitalu. Alec wynajął pokój w hotelu naprzeciwko. Do rana oglądał telewizję. Gdyby zasnął, mógłby przegapić budzik, a wtedy straciłby szansę, aby zobaczyć Annie, zanim zawiozą ją na salę operacyjną.

Stawił się w szpitalu jeszcze przed świtem i zjawił się w jej pokoju, kiedy tylko go wpuścili na oddział. Annie wyglądała cudownie: włosy rozsypane na ramionach, na twarzy zadowolony uśmiech.

– Och, Alec. – Wyciągnęła do niego rękę. – Nic dzisiaj nie spałeś.

– Spałem – skłamał.

Potrząsnęła głową.

– Masz cienie pod oczami. Wyglądasz okropnie.

– Dzięki – odparł, siląc się na uśmiech.

Do pokoju zajrzała pielęgniarka i oznajmiła, że zabierają Annie na blok operacyjny. Alec pochylił się i pocałował żonę, długo nie odrywał warg od jej ust. Kiedy w końcu się wyprostował, Annie szepnęła: „Nie bój się”. Potem ją zabrali. Patrząc, jak znika na końcu korytarza, musiał wyteńczyć siły, aby powstrzymać się od łez i nie wpaść w panikę.

Wszystko poszło sprawnie. Alec wrócił do pokoju Annie i zastał ją niemalże w euforii.

– Kiedy wybudzili mnie z narkozy, to moją pierwszą myślą było: „Żyję!” – powiedziała mu, zmęczona, ale uśmiechnięta. – W żołądku aż mnie skręcało. Cudowne uczucie!

W drodze powrotnej trudno jej było wytrzymać w samolotowym fotelu. Wierciła się i bez przerwy regulowała pas bezpieczeństwa, żeby jakoś się usadowić, ale nie uroniła ani słowa skargi.

– Tak się zastanawiam – powiedziała, kiedy lecieli nad Wirginią. – I myślę, że trzeba coś zmienić w naszym życiu.

– A konkretnie? – zapytał Alec.

– Musimy spędzać więcej czasu razem, we dwoje.

– W porządku – zgodził się.

– Proponuję, żebyśmy raz w tygodniu wychodzili gdzieś na obiad.

– Dobrze.

– Dwugodzinny obiad – uściśliła. – W motelu.

– Rozumiem... – Roześmiał się.

– Naprawdę tego potrzebuję, Alec. – Annie położyła mu głowę na ramieniu.

– Nie chodzimy nigdzie razem, tylko we dwoje, bez dzieci. A to jest bardzo ważne. Ważniejsze, niż myślisz. Nie umiem nawet ci wyjaśnić, jak ważne.

Spotykali się w piątki, o dwunastej w południe. Wybierali pierwszy motel, w którym było miejsce. Zimą dostawali pokój bez trudu, ale latem w motelach wyższej klasy musieli słono płacić nawet za dwie godziny. Zanim jednak przyszło lato, Alec wiedział już dobrze, że ten czas wart jest każdej ceny. Były to chwile przesycone tak głęboką intymnością, że wystarczało jej na cały tydzień. Poza tym dostrzegał zmiany, które zachodziły w Annie. Jej wahania nastrojów i okresy wycofania ustały zupełnie. Niesamowite, że dwie godziny w tygodniu mogą aż tyle zmienić, myślał.

– Przez całe życie nie czułam się tak szczęśliwa jak w tym ostatnim roku – wyznała mu pewnego razu. Ich motelowe spotkania trwały już wtedy od roku, a Annie była tak dogłębnie zadowolona z życia, że gdy jesienią znów wpadła w depresję, nie dało się tego przeoczyć. Zrobiła się nerwowa. Pobudliwa. Kiedy kochali się w motelowych pokojach, płakała, a gdy potem jedli obiad, który przywoziła ze sobą, milczała. Podczas rozmowy unikała wzroku Aleca. Czasem rozklejała się kompletnie bez powodu. Wchodził do łazienki i znajdował ją zalaną łzami w wannie pełnej wody, budził się w środku nocy i słyszał, jak cichutko płacze w poduszkę. Miał wrażenie, że tym razem przechodzi to gorzej niż zwykle, ale może wydawało mu się tak dlatego, że już od dawna nie widział w niej takiego cierpienia.

– Annie, nie odcinaj się ode mnie – prosił. – Pozwól sobie pomóc.

Wydawało się jednak, że ona wcale nie wie lepiej od niego, co właściwie ją

tak dręczy, więc wszystko, co mógł zrobić, to przytulać ją jak najczęściej, w objęciach próbując stłumić drżenie jej ramion.

A potem, tak nieoczekiwanie, już jej nie było. W szpitalu, tamtego świątecznego wieczoru, Alec przypomniał sobie swoją obietnicę i wydawało mu się czystym absurdem, że prosiła go zaledwie o jeden rok żałoby. Nie mieściło mu się w głowie, że kiedykolwiek jeszcze zainteresuje się inną kobietą. Rok – to było dla niego wtedy mniej więcej tyle, co jeden cykl światła latarni, nie dłużej.

Wszystko się zmieniło, gdy poznał Olivię, kobietę tak niepodobną do Annie, jak to tylko możliwe. To jedynie znajoma, powtarzał sobie, kołysząc się łagodnie na huśtawce. Ma męża i nosi pod sercem jego dziecko.

Może byłoby lepiej, gdyby dzwonił do niej wcześniej, przed pójściem do łóżka, które wciąż jeszcze tchnęło obecnością jego żony. A może najlepiej byłoby w ogóle do niej nie dzwonić.

Rozdział dwudziesty drugi

W sobotę po lekcji Tom Nestor pomógł Olivii załadować do bagażnika torby pełne czasopism i tanich książek. Dom opieki w Manteo znajdował się w pobliżu schroniska dla kobiet, a ona akurat miała tam dyżur, więc uznała, że czas najwyższy dotrzymać słowa i zabrać tę makulaturę z pracowni.

– Dzięki za pomoc – powiedział Tom.
– Już dawno chciałam to zrobić – odparła, siadając za kierownicą.
– Olivia... – Tom wsunął rękę przez otwarte okno i uściśnął jej ramię. – Ten twój witraż jest naprawdę kapitalny.

Podziękowała mu uśmiechem i też rzuciła okiem na swoje dzieło, które wreszcie skończyła – geometryczny wzór złożony z białych i kolorowych płytek szkła, na tyle ładny, że zasługiwał nawet, by powiesić go w oknie – gdzieś poza zasięgiem wzroku Paula, kiedy wpadnie do domu.

Pojechała do Manteo i zaparkowała naprzeciwko domu opieki, tuż przed niedużym sklepem ze starociami. Jej wzrok przykuły trzy zniszczone wiklinowe fotele stojące na chodniku przed witryną. Na każdym siedziała staroświecka lalka w atłasowej sukience z koronkami. Chyba właśnie tutaj Annie kupowała urodzinowe prezenty dla córki, pomyślała Olivia. Muszę powiedzieć o tym Alecowi.

Wysiadła z auta i osłoniwszy oczy dłonią, przyjrzała się domowi opieki, uroczej starej willi o ścianach pomalowanych na kolor błękitny i wykończonych nieskazitelnie białymi listwami. Nawet z daleka, z ulicy, widać było witraże zainstalowane w kilku frontowych oknach – z pewnością dary „świętej Anny”.

Olivia wyciągnęła z bagażnika torby i przecięła ulicę, a potem miała do pokonania jeszcze kawałek chodnikiem. Zanim dotarła na miejsce, była już spocona jak mysz, chociaż wysiadła z klimatyzowanego samochodu przed niespełną minutą. To był najbardziej upalny dzień tego lata, a w dodatku całkiem bezwietrzny.

Na werandzie domu opieki stało kilkanaście solidnych foteli na biegunach, ale tylko dwa były zajęte. W jednym siedziała zasuszonej staruszka, na pierwszy rzut oka zbyt słabowita, aby wychodzić na dwór w taki upał, a w drugim siwa pani w tenisówkach, z gazetą na kolanach.

– Witam, młoda damo – odezwała się, kiedy Olivia stanęła na schodach. – Przywiozłaś nam czasopisma?

Olivia postawiła torby na ostatnim stopniu i znów osłoniła dłonią oczy. Starsza pani siedziała w fotelu prosto, jakby kij połknęła. Wzrok miała przytomny, ale z tej odległości widać było wyraźnie, że twarz ma pomarszczoną, a skórę szorstką jak rzemień. Włosy miała starannie przystrzyżone i ułożone, z pewnością nie samodzielnie.

– Zgadza się – potwierdziła Olivia. – Mam je zostawić w środku?

– Tak, u Sandy.

– Co...? – Druga staruszka zgarbiła się, nadstawiając ucha, a jej towarzyszka pochyliła się ku niej.

– Przywiozła nam czasopisma, Jane – powiedziała głośno. – Jak kiedyś Annie, pamiętasz?

Jane skinęła głową, po czym opadła z powrotem na oparcie krzesła i zamknęła oczy.

– Znała pani Annie O’Neill? – Olivia weszła pod dach werandy, w cień.

– A owszem. – Siwa kobieta wyciągnęła do niej kościstą rękę. – Jestem Mary Poor, z latarni w Kiss River.

Olivia uścisnęła jej dłoń z uśmiechem. Zaskoczyła ją siła kryjąca się w tych szczupłych palcach.

– Bardzo mi miło, pani Poor. Nazywam się Olivia Simon.

– Olivia. Ładne imię. Trochę jakby staromodne.

– Poznała pani mojego męża, Paula Macellego. Odwiedził panią, by zebrać informacje na temat latarni.

Mary Poor zmrużyła oczy.

– On kazał ci robić to, co kiedyś Annie?

Olivia zaniemówiła, nie wiedząc, która z nich jest bardziej zdezorientowana: ona czy Mary Poor.

– Nie – odpowiedziała w końcu. – Uczę się robić witraże u artysty, z którym Annie dzieliła pracownię i...

– Tom, zgadza się? Tom, jak mu tam... Ma włosy jak dziewczyna.

– Tak. Tom Nestor. Zna go pani?

– Och. – Mary pokazała w uśmiechu piękne, proste zęby. Rzadki widok u kobiety w tym wieku. – Spotkałam go ze dwa razy. A więc to on zagonił cię do tej roboty.

Jane na fotelu obok lekko pochrapywała.

– Otóż nie – wyjaśniła Olivia. – Zauważyłam przy drzwiach stos czasopism, a Tom powiedział mi, że Annie przywoziła je tutaj, więc uznałam, że mogę to zrobić, bo działałam społecznie w pobliskim schronisku dla kobiet...

– Pracujesz w tej mordowni?

– Bywają gorsze.

– Lepiej sobie daruj, dziecko – ostrzegła ją Mary, po czym klepnęła dłonią w poręcz pustego fotela stojącego obok. – Usiądź sobie.

Olivia spojrzała na zegarek. Robiło się późno, ale zaintrygowała ją ta starsza pani. Usiadła na fotelu.

– Ładna z ciebie dziewczyna – pochwaliła Mary.

– Dziękuję.

– Przypominasz mi moją córkę, Elizabeth. Miała włosy takiego samego koloru, ciemne i jedwabiste. I takie same smutne oczy.

Olivia uniosła brwi. Smutne oczy? To się jej nie spodobało.

– Ale do Annie nie jesteś podobna ani trochę – ciągnęła Mary.

– Wiem. Widziałam ją na zdjęciach.

– Założę się, że w ogóle w niczym jej nie przypominasz.

Olivia poczuła się dotknięta. Jej dezaprobata nie uszła uwagi Mary.

– I nie ma w tym nic złego, dziecko – zapewniła szybko. – Jesteś sobą, tak jak Annie była sobą. Czy ty byś zdobyła się na to, co ona? Zasłoniłabyś własnym ciałem kobietę, która zaraz miała dostać kulkę w łeb od własnego męża?

Olivia już kiedyś się nad tym zastanawiała.

– No cóż, wydaje mi się, że...

– Akurat. Nigdy w życiu! Instynkt bierze górę i człowiek ratuje własną skórę. I tak powinno być, nie inaczej. – Mary oblizała wargi i wyjrzała na ulicę, w kierunku sklepiku ze starociami, gdzie leciwe lalki prażyły się w upale w wiklinowych fotelach. – Annie to była świetna dziewczyna – podsumowała. – Ale czasami głupia jak but.

Olivia nie wiedziała, co powiedzieć. Patrzyła na gazetę leżącą na kolanach Mary, złożoną tak, żeby można było rozwiązać krzyżówkę. Prawie wszystkie hasła były już wpisane.

- A ten twój mąż... – zagała Mary z innej beczki.
- Paul?
- Paul. On jest z tych nerwowych, co? Dawaj mu jarmuż z solą morską i cytryną.
- Olivia wybuchnęła śmiechem.
- Jarmuż z morską solą na te jego nerwy – powtórzyła Mary. – I powiedz mu, że już czas na kolejne odwiedziny. Mam mu jeszcze mnóstwo do opowiedzenia, a Bóg jeden wie, czy nie pomiesza mi się zaraz wszystko w tej starej mózgownicy. – Przyłożyła palce do skroni.
- Moim zdaniem z pani rozumem wszystko w porządku – zapewniła Olivia i wstała z fotela. Sięgnęła po torby. Były takie ciężkie, że zabołał ją kręgosłup, gdy je podniosła.
- I żebyś już nigdy więcej nie przywoziła tutaj żadnych gazet, dobrze? – powiedziała Mary.
- Nie rozumiem. – Olivia zmarszczyła brwi. – Wydawało mi się, że...
- Możesz przyjeżdżać w odwiedziny, kiedy tylko zechcesz, dziecko, ale przestań robić to, co należało do Annie.

* * *

Kiedy Olivia pojechała, Mary rozsiadła się w fotelu na biegunach i zamknęła oczy. Krzyżówka ją znudziła, a Jane obudzi się dopiero w porze kolacji. Sama też powinna się zdrzemnąć, ale przed oczami ciągle stała jej twarz nowo poznanej kobiety. Czy ona naprawdę przypominała Elizabeth? Pewnie nie. Szczerze mówiąc, Mary już prawie zapomniała twarz córki. Miała kilka jej zdjęć i kojarzyła ją tylko z tych zatrzymanych w kadrze obrazów. Trzy lata, osiem, piętnaście. Ostatnie zdjęcie zostało zrobione dzień przed jej ucieczką z domu. Mary pamiętała za to dobrze, jak wyglądała Elizabeth, kiedy widziała ją po raz ostatni – w trumnie, przed dwoma laty. Gdyby nie wiedziała, że to ona, nigdy by jej nie poznała. Elizabeth miała pięćdziesiąt osiem lat, była siwa i blada jak wosk.

Znajoma z Ohio napisała do Mary list, w którym poinformowała, że Elizabeth niespodziewanie upadła w pracy i już nie odzyskała przytomności. Mary oznajmiła Annie, że chce pojechać na pogrzeb, pożegnać się z córką.

Annie zawiozła ją swoim samochodem. Podróż trwała bardzo długo. Może nawet kilka dni. Mary nie umiała dokładnie tego określić. Większość czasu przespała. Annie prowadziła, śpiewając piosenki z radia. Mary, do której to i owo docierało, słyszała, że Annie wkłada w śpiew mnóstwo energii, jakby występowała na scenie. Bawiło ją to i aż chichotała pod nosem. A potem trochę gryzło ją sumienie, że tak jej dobrze w towarzystwie tej dziewczyny, gdy rodzona córka była dla niej obcą osobą i umarła tak daleko.

Annie opiekowała się nią podczas tej podróży; tym razem to Mary potrzebowała troski, a nie na odwrót. Po raz pierwszy od dawna opuściła Kiss River i poczuła dotkliwie, że ma już osiemdziesiąt siedem i pół roku. Nagle uświadomiła sobie, że jest słabą, kruchą istotą, i było to równie druzgocące przeżycie, jak widok martwej córki, tak przejmująco obcej. Czuła się zagubiona, mieszały się jej pory dnia. Czasami zadawała sobie wręcz pytanie: „Który mamy rok?”. Przy stole w restauracji patrzyła tępo na sztuce i usiłowała sobie przypomnieć, jak się trzyma widelec, jak się kroi mięso. W hotelu budziła Annie kilka razy w ciągu nocy, by zapytać, dlaczego za oknem nie widać rozbłysków światła.

Nieznajomi ludzie, których spotkała na pogrzebie, traktowali ją jak staruszkę, a czasem nawet rozmawiali przy niej tak, jakby w ogóle jej nie było. Annie stała się jej oczami, uszami i pamięcią. Mary co jakiś czas chwyciła zatroskane spojrzenia swojej kochanej młodej przyjaciółki; jeszcze nigdy nie widziała jej tak zaniepokojonej. Kiedy Annie rozplakała się na pogrzebie, Mary wiedziała, że te łzy nie są dla Elizabeth, lecz dla niej. Chciała powiedzieć Annie, że nie musi się nią przejmować, bo nie czuje się źle. Ale tak naprawdę z daleka od latarni Mary była tylko starą, bardzo starą kobietą.

Po długiej i wyczerpującej podróży powrót do Kiss River powitała z ulgą. Wysiadła na sztywnych nogach z samochodu i natychmiast poczuła, jak chłodne, przesycone solą powietrze wlewa w nią nowe siły. Najchętniej wspięłaby się po schodach na sam szczyt, do latarni, ale Annie wybiła jej to z głowy. Zanim wróciła do domu, do swojej rodziny, zrobiła jeszcze dla Mary kolację, cackając się z nią jak z małym, nieporadnym dzieckiem.

Następnego dnia wieczorem Mary nagle upadła. Gdy wspominała ten moment, żałowała, że nie może powiedzieć: „Była noc, ciemna kuchnia, potknęłam się o coś”. Niestety, po prostu straciła równowagę i runęła na podłogę. Biodro i ramię przeszył ostry ból, policzek uderzył w kafelki. Nie mogła się poruszyć. Nie była w stanie unieść się choćby na kilka milimetrów.

Dwa dni i dwie noce Mary nie miała w ustach kęsa jedzenia ani kropli wody. Robiła pod siebie. Podłoga była lodowata jak ziemia pod gołym niebem, ogień na kominku w salonie wygasł, a do Kiss River dotarł front zimnego powietrza. Mary co jakiś czas traciła przytomność, a żeby umysł pracował, wymieniała po kolei wszystkich ludzi zatrudnionych w brzegowej stacji ratowniczej, teraz i w przeszłości.

Trzeciego dnia wieczorem zjawiała się Annie. Miała własny klucz; Mary usłyszała zgrzytnięcie zamka w drzwiach wejściowych i kroki w salonie. Chciała zawołać, ale gardło wyschło jej na wiór. Annie chodziła po wszystkich pomieszczeniach, nawołując ją, aż wreszcie zajrzała do kuchni i zachłysnęła się z wrażenia.

– Boże... – wysapała, padając na kolana obok Mary. Miękka fałda jej spódnicy musnęła twarz starej kobiety. Czy ktoś z nią wtedy przyjechał, tego wieczoru? Tak, oczywiście, że tak. Mary nie знаła tego człowieka, a on nie podszedł, stał w ciemnym, zimnym salonie. Annie poleciła mu zadzwonić po pogotowie, a potem ułożyła głowę Mary na swoich kolanach i zaczęła się kołysać. Pewnie tak właśnie robiła ze swoimi dziećmi, kiedy były młodsze.

– Och, Mary – wyszeptała. Jej włosy opadły na oczy starej latarniczki jak rdzawoczerwony welon. – Tym razem, kochana, doigrałaś się. Już nie pozwolą ci tutaj zostać.

Mary chciała umrzeć, umrzeć na tej podłodze, i miała nadzieję, że tak właśnie się stanie. Mocno zacisnęła powieki, próbując przegonić duszę z ciała, ale cały ten wysiłek dał tylko tyle, że zapadła w głęboki, kojący sen. A gdy się obudziła i poczuła w nozdrzach sterylne powietrze przesycone wonią środków antyseptycznych, zrozumiała, że już nigdy nie wróci do Kiss River.

Rozdział dwudziesty trzeci

Wiedziałem, że trzeba było wykręcić się od spotkania, myślał Paul, siedząc w samochodzie pod domem Aleca O’Neilla. Stał na tej wysadzonej drzewami ulicy już od dobrych kilku minut i usiłował zebrać się na odwagę, by wysiąść i wejść do środka. Pierwszych kilka spotkań w Sea Tern Inn przysporzyło mu wystarczająco wiele nieprzyjemnych wrażeń, a teraz jeszcze, nie wiedzieć czemu, Alec zaprosił wszystkich do siebie.

Na pierwszy rzut oka widać było, że to jest dom Annie: żółte ściany wykończone białymi listwami gęsto obwieszane pędami hiszpańskiego mchu. Miał dziesięć lat – Paul wiedział, że Annie i Alec wybudowali go razem, kiedy przychodnia weterynaryjna zaczęła w końcu przynosić zysk i stała się wypłacalna. O boczną ścianę opierało się kilka desek windsurfingowych, a za domem ciągnął się pomost, na którym powiewał rękaw wiatrowskazu uszyty w kształcie ryby. Dom stał nad brzegiem cieśniny, przy ślepej uliczce kończącej się nad samą wodą. Tak właśnie opisywała go Annie: „Te zachody słońca, Paul. Te kolory. Aż chce się wziąć pióro i pisać. Aż chce się płakać”.

Paul drgnął, bo ktoś nagle zastukał w szybę. Obejrzał się: tuż obok, przed samym jego nosem, stała Nola Dillard. Otworzył okno.

– Idziesz, mój drogi? – zapytała. Widać było, że przyszła na piechotę. Pewnie mieszkała w pobliżu.

Otworzył drzwi i wysiadł. Woń perfum Noli stłumiła zapachy niesione wiatrem znad cieśniny, a blask zachodzącego słońca igrał na jej farbowanych na złoty blond włosach.

– Zastanawiałem się, czy trafiłem pod właściwy adres – skłamał Paul.

– Tak, to tutaj. Można się zorientować po tych deskach pod ścianą.

W drzwiach wyszedł im na spotkanie owczarek niemiecki na trzech nogach.

– To jest Trójskok – oznajmiła Nola.

Paul poklepał go po głowie. Annie mówiła mu, że mają psa i dwa koty. Niewiele jak na dom weterynarza.

Charakter tego miejsca dawał się zauważyć także w salonie. Rękę Annie znać było wszędzie. Zamiast solidnych mebli typu ogrodowego czy też plażowego, charakterystycznych dla domów w regionie Outer Banks, stały tam miękkie fotele i kanapy, różnorodne w stylu i formie, obite tkaninami w krzykliwe, kwieciste desenie. Podłoga niemalże niknęła pod wzorzystymi dywanami, rozrzuconymi niedbale i zachodzącymi na siebie, co dawało efekt kojącej oko mozaiki. Paul miał wrażenie, jakby nagle znalazł się w ramionach Annie.

– Piękny widok, prawda? – zagadnęła Nola, która od samych drzwi trzymała go pod łokieć. Wskazała przy tym dłonią olbrzymie okno wychodzące na cieśninę. Na niebie rozlewały się już barwy zachodu słońca, ale uwagę Paula przyciągnęła sąsiednia ściana, w której umieszczono dziesięć małych, owalnych okienek, rozrzuconych od sufitu po podłogę. W każdym znajdował się misterny, kolorowy witraż przedstawiający kobietę w powłóczyściej sukni: na jednym trzymała parasolkę, na drugim spacerowała z chartem, na trzecim rozkoszowała się aromatem krwistoczerwonej róży.

– Mój Boże... – wymamrotał. Nie miał pojęcia o tych oknach, nigdy mu o nich nie powiedziała. – Przepiękne.

– Mhm – przytaknęła Nola. – To był wielki talent.

Paul najchętniej stałby pod tą ścianą do samej nocy, ale Nola wzięła go pod ramię i pociągnęła lekko w stronę kuchni.

– Chodźmy przywitać się z Alekiem – powiedziała.

Także w kuchni rękę Annie widać było w każdym kącie. W białych szafkach, podłodze i blatach, w ścianach, które składały się niemalże w stu procentach z witrażowych okien, więc nawet w przyćmionym wieczornym świetle pomieszczenie zalewały miękkie, pastelowe barwy.

Alec stał oparty o szafkę przy zlewie i otwierał butelkę wina. Uśmiechnął się na ich widok.

– Cześć, Nola. – Położył rękę na ramieniu Paula. – Witaj.

– Tasergal był boski – powiedziała Nola, która pocałowała go w policzek i dotknęła przelotnie dłonią jego piersi. Na ten widok Paul dostał gęsiej skórki. Czyżby coś ich łączyło? Jak to? Alec ledwie co stracił Annie, a już pozwolił innej kobiecie zbliżyć się do siebie? Widząc jednak, z jakim uwielbieniem Nola na niego patrzy, uspokoił się, bo Alec wydawał się w ogóle tego nie zauważać. Paul uznał, że należy do mężczyzn, za którymi przepadają niektóre kobiety: przenikliwe niebieskie oczy, ciemne włosy

i uśmiech, który zaskakuje, bo już się zdawało, że ten człowiek to chodząca powaga.

„Jest bardzo seksowny”, powiedziała mu Annie podczas pierwszej rozmowy do artykułu. Paul odebrał to jako ostrzeżenie: tym razem nie masz u mnie najmniejszych szans. A może w ten sposób próbowała raczej ostrzec samą siebie?

Alec wziął tacę i ustawił na niej kilka kieliszków do wina, a butelkę podał Paulowi.

– Należesz? – poprosił.

– Jasne. – Paul próbował odpowiedzieć równie dziarskim tonem. Nie udało mu się. Wziął butelkę i zaczął napełniać kieliszki, ale oczy uciekały mu w stronę białych dekoracyjnych półek wiszących pomiędzy kuchennym blatem a szafkami. Tam, dokładnie przed nim, stał niebieski emaliowany konik, którego kupił dla Annie w New Hope. Ręka mu drgnęła i rozlał wino na tacę; musiał odstawić butelkę i odzyskać panowanie nad sobą.

Baby Blue. Miała go przez tyle lat.

– Zabierzesz tacę? – spytał Alec, wychodząc razem z Nolą do salonu. Nieśli miski z kukurydzianymi chipsami i salsą.

– Jasne – powtórzył Paul i rozsunął kieliszki na tacy, żeby nie dzwoniły o siebie.

W salonie usiadł naprzeciwko ściany z owalnymi oknami, ale na zewnątrz szybko zapadał zmrok i z tej odległości nie można już było dostrzec detali na witrażach. Poza tym musiał słuchać tego co mówili inni. Bo nagle zaczęli mówić o nim.

Alec łyknął wina i wziął do ręki spisana przez Paula historię latarni w Kiss River.

– Świetna robota – pochwalił. – Teraz widać, że warto cię mieć w zespole.

Reszta przytaknęła, Brian Cass dodał tylko, że trzeba dorzucić trochę więcej informacji na temat Mary Poor i można zamknąć materiał.

– Mam kilka zleceń dla redakcji „Beach Gazette” – odparł Paul. – Ale do Manteo też się wybieram. Jakoś w przyszłym tygodniu.

– Nie ma pośpiechu – odezwał się Alec, po czym odetchnął głęboko. – Zanim przejdę do następnej sprawy, lepiej napijmy się jeszcze. – Podniósł ze stołu kolejny plik kartek. – Obawiam się, że klamka zapadła, proszę państwa. Zarząd Parków Narodowych ogłosił ostateczną decyzję.

– O Boże – szepnęła Sondra. – Przetawiam latarnię.

Alec bez słowa przytaknął. Walter Liscott jęknął i ścisnął głowę dłońmi.

– Przeczytaj, Alec – poprosiła Nola.

Odwrócił pierwszą kartkę. Dokument informował, że położą szyny do przetransportowania latarni. Prace zaczną pod koniec sierpnia, a zakończą na wiosnę. Latarnia, uniesiona i ustawiona na platformie transportowej, zostanie przewieziona czterysta metrów w głąb lądu. Paul nie potrafił sobie tego wyobrazić. Nie mieściło mu się w głowie, że ten wąski pas lądu w Kiss River pogrąży się w wiecznej ciemności.

Walter zerwał się z krzesła.

– Szaleństwo! – krzyknął. – Durny, kretyński pomysł!

– Rzeczywiście, wydaje się niewykonalne – zawtórowała mu Sondra.

Brian Cass potrząsnął głową.

– Zmiana lokalizacji odbierze latarni jej znaczenie historyczne.

– A co z wałem nadmorskim? – zapytał Walter, gestykulując gorączkowo. – Czemu, do jasnej cholery...

– Walter – przerwał mu Alec spokojnym, rozsądnym tonem. – To już koniec dyskusji. Trzeba się z tym pogodzić.

Walter wpatrywał się w niego ciężkim wzrokiem.

– Przykro mi, Alec – odpowiedział. – Rezygnuję z pracy w Komitecie. Nie przyłożę ręki do tego pomyłonego projektu.

Ruszył do wyjścia, ale Nola wstała z miejsca i chwyciła go pod ramię.

– Inżynierowie opracowywali plan przez kilka lat, Walterze. Przecież wiesz. Możesz być pewny, że nie zalecaliby takiego rozwiązania, gdyby mieli choć cień wątpliwości, czy...

– Banda dzieciaków z wielkim zestawem małego konstruktora – prychnął. – Chcą się pobawić i tyle. Będą sobie robić eksperymenty, a przy czymś takim nie wolno majstrować!

Odwrócił się w stronę drzwi.

– Walterze – powiedział Alec. – Nie chcemy cię stracić. Jeśli zmienisz zdanie, proszę, nie unosz się dumą i wróć do nas.

Walter mruknął tylko coś pod nosem i zniknął za drzwiami.

W salonie zapadła cisza. Od strony cieśniny dobiegł ich warkot zapuszczanego silnika na jakiejś łodzi. Leżący u stóp Aleca pies o trzech nogach ziewnął i przewrócił się z boku na bok.

– No dobrze – odezwał się w końcu gospodarz. – Czy ktoś jeszcze chce wyjść?

Sondra Carter skrzyżowała ramiona na piersi.

– Ja bym chciała, ale tego nie zrobię.

Alec kontynuował spotkanie. Poruszył sprawę najbliższych wystąpień publicznych, które go czekały, a potem członkowie komitetu omówili dwa pomysły na zbiórkę funduszy. W końcu jednak uprzytomnili sobie konsekwencje komunikatu Zarządu Parków Narodowych i ta świadomość, niczym kula u nogi, odebrała im energię do działania.

Skończyło się nagle, o dziewiątej. Paul ociągał się z wyjściem. Został w salonie, żeby wytrzeć plamkę salsy ze stolika, a potem zebrał kieliszki po winie i zaniósł do kuchni. Ostrożnie wstawił szkło do zlewu, ale nie spuszczał przy tym oczu z niebieskiego konika na półce. Nasłuchiwał, jak Alec żegna się z gośćmi. Skończywszy z kieliszkami, wrócił do salonu i starał się stanąć jak najbliżej ściany z owalnymi oknami, choć na zewnątrz panował już nieprzenikniony mrok i praktycznie nie było widać żadnego wzoru.

– Annie zrobiła te witraże, zanim jeszcze dom był gotowy – odezwał się nagle głos za jego plecami. Paul odwrócił się; w drzwiach stał Alec.

– To musiało zająć jej bardzo dużo czasu – powiedział.

– Nie, wcale nie. Kiedy wymyśliła wzór, praca szła jej błyskawicznie. Chodź, wyjdziemy. O tej godzinie lepiej widać je z zewnątrz.

Wyszli od frontu i stanęli pod boczną ścianą, obok siebie, na piaszczystym gruncie. Paul patrzył i kręcił głową, oczarowany. Okna były wspaniałe, oszałamiające.

– W jej pracach najbardziej uderza mnie niezwykły realizm – wyznał. – Ma się nieodparte wrażenie, że to są prawdziwe kobiety, a ich suknie będą w dotyku miękkie i jedwabiste.

– To była jej specjalność – przyznał Alec. – Wydaje mi się, że nawet Tom, ten artysta, z którym pracowała, nie opanował takiej techniki.

Paul obejrzał się na niego. Na twarzy O’Neilla migotały fiołkowe i złote plamy, bo takie światło padało z najbliższego okna.

– Rozmowa o niej nie sprawia ci bólu? – zapytał.

– Lubię o niej mówić, to jeden z moich ulubionych tematów.

Paul musnął palcami jeden z witraży, przyglądając się, jak jego skóra nasiąka barwami.

– Kiedy Olivia wróciła do domu i powiedziała mi, że Annie O’Neill umarła... Po prostu nie mogłem w to uwierzyć. Ona miała w sobie tyle życia. Te wywiady, które z nią przeprowadziłem, były wspaniałe. – Pomyślał

o nagranych taśmach, których nie potrafił odsłuchać.

– To prawda, trudno w to uwierzyć – przytaknął Alec.

– Wiesz chyba, że jesteśmy z Olivią w separacji?

– Powiedziała mi o tym. – Alec zerknął na Paula. – A ty chyba masz świadomość, że ona tego nie chce?

– Mam. – Paul zapatrzył się na kruczowłosą kobietę w długiej białej sukni, trzymającą w dłoni jabłko, na chwilę przed pierwszym kęsem. – To moja wina. Ja wszystko popsułem. Gdy wyprowadziłem się z domu, byłem pewien, że robię dobrze, ale teraz... Czasami za nią tęsknię, chociaż nie jestem pewny, czyby się nam udało, gdybyśmy do siebie wrócili.

– Przynajmniej masz wybór. Zazdroszczę ci tego. – Alec opuścił głowę i przez chwilę błędnął wzrokiem po piasku. Wreszcie zachichotał pod nosem i spojrzał na Paula. – Chętnie bym wałnął ci kazanie, mam taką wielką ochotę, że aż trudno mi się opanować. Twoja żona żyje, jest ładna i mądra, a ty chyba, tak mi się wydaje, nie rozumiesz, jakie to szczęście i jak łatwo możesz ją stracić... Przepraszam. Nie mam prawa cię pouczać.

– W porządku – uspokoił go Paul. – Na twoim miejscu pewnie myślałbym tak samo.

Alec klepnął go w ramię i zabił komara.

– Chodźmy do środka.

– Muszę już iść – powiedział Paul, ale bez przekonania. Tak jak przedtem nie miał ochoty wchodzić do tego domu, tak teraz wolałby jeszcze zostać.

– Posiedź chwilę – zaproponował Alec. – Nie jest jeszcze tak późno, a dzieciaków nie ma. Przyda mi się towarzystwo.

– Widziałem zdjęcia twoich dzieci w pracowni Annie – zagaił Paul, gdy wchodzili do środka. – Córnica wygląda jak jej bliźniaczka.

– Już nie – zaśmiał się Alec. – Obcięła włosy i ufarbowała je na czarno. – Otworzył drzwi pokoju obok salonu. – Wejdz, proszę.

Za drzwiami znajdował się niewielki gabinet. Pod oknem wychodzącym na ulicę stało biurko, a na nim – komputer. Połowę przeciwległej ściany zajmował szeroki stół roboczy, podobny do tego, który Annie miała w swojej pracowni. Wszędzie wisiały zdjęcia, głównie portrety najbliższych: na pomoście za domem, na tarasie, na plaży. Na każdym z tych zdjęć Annie wyglądała na szczęśliwą, była podporą swojej rodziny. Paul nagle poczuł wstręt do samego siebie: uświadomił sobie, że chciał to wszystko zepsuć, wykorzystać jej słabość.

Nie mógł oderwać oczu od fotografii, na której były dzieci Annie: Lacey i Clay.

– Obcięła takie piękne włosy? – Potrząsnął głową z niedowierzaniem.

– Niestety.

Przy kolejnym zdjęciu Paul drgnął niespokojnie, gdy zobaczył siwego, opalonego mężczyznę w stroju do tenisa, a obok niego niezbyt atrakcyjną rudowłosą kobietę.

– A to kto? – zapytał, chociaż znał odpowiedź.

W tym momencie zadzwonił telefon na biurku.

– Rodzice Annie – wyjaśnił Alec, po czym podniósł słuchawkę i powiedział kilka słów. Paul poczuł się niezręcznie, jak intruz. Skinął mu i rzuciwszy bezgłośnie „Dziękuję”, chciał wyjść, ale gospodarz zatrzymał go gestem.

– Zaczekaj – poprosił, a do słuchawki rzucił: „Już jadę”, po czym się rozłączył. – Masz delikatny żołądek? – zapytał Paula.

– Hm... nie. Raczej nie.

– To jedź ze mną. – Alec wziął z biurka pęk kluczy i ruszył w kierunku drzwi. – W pobliżu Kiss River samochód potrącił dzikiego konia. Możesz się nam przydać.

Po drodze zajrzeli jeszcze do garażu. Alec wyjął z szafki pojemnik przypominający skrzynkę na narzędzia oraz strzelbę, która dla odmiany nie pozostawiała wątpliwości co do swojego przeznaczenia.

Paul zrobił wielkie oczy.

– Chcesz... Myślisz, że będziesz musiał zastrzelić tego konia?

Alec spojrział na niego ze zdumieniem, a po chwili uśmiechnął się szeroko.

– To jest aplikator do podawania środków usypiających – wyjaśnił. – W razie potrzeby zrobię mu w ten sposób zastrzyk, o ile zwierzak nie umrze przed naszym przyjazdem. Jeszcze nie widziałem, żeby któryś z tych koni przeżył w starciu z samochodem.

Paul i Alec ze strzelbą wsiedli razem do forda bronco.

– Annie mówiła – powiedział Paul – że teraz, po rozbudowie drogi w Kiss River, dzikie konie podchodzą bliżej.

Alec wycofał samochód na ulicę.

– Wydaje im się, że ludzie sadzą tam trawę specjalnie dla nich. – Potrząsnął głową. – Zostało już tylko dziesięć sztuk. Dziś może się okazać, że dziewięć. Nastawialiśmy tam znaków ostrzegawczych, ile się dało, a i tak niektórzy pędzą jak idioci.

Jechali w milczeniu. Wkrótce Southern Shores zostało za nimi. Ciekawe, co powiedziałyby Annie, gdyby nas teraz zobaczyła, myślał Paul. Jedziemy sobie do Kiss River jak dwaj kumple, a pomiędzy nami, na siedzeniu, leży strzelba.

– Opowiadałeś o rodzicach Annie – odezwał się w końcu.

– A, tak – mruknął Alec, włączając klimatyzację, bo po zmroku upał bynajmniej nie zelżał. – Jej ojciec umarł, ale mama żyje i mieszka w Bostonie, rodzinnym mieście Annie. Nie wiem, dlaczego ich zdjęcie wisi w gabinecie. Annie tego chciała, ale dla mnie mogliśmy wyrzucić je przez okno, prosto do wody.

Było ciemno, ale Paul i tak widział jego zaciśnięte zęby.

– Wspominała, że jej rodzina była bardzo bogata – podsunął.

Alec spojrział na niego z ukosa.

– Tak powiedziała? – Potrząsnął głową. – Byli przy forsie, ale ona po ślubie nie zobaczyła ani centa. Wydziedziczyli ją.

Paul czuł, że zaczyna się pocić. Odwrócił wylot klimatyzatora, żeby wiało mu w twarz.

– Dlaczego? – zapytał.

– Moi rodzice mieli mały irlandzki pub w Arlington – niezbyt dochodowy – i zdaje się, że syn barmana nie był odpowiednią partią dla ich księżniczki. – Alec mówił cicho, poufałym tonem; Paul wyraźnie słyszał żal i urazę w jego głosie. – Biała biedota, tak mnie określili.

Paul odwrócił twarz do okna. A więc Annie nie wyszła za niego po to, żeby jej rodzice byli zadowoleni. Alec wcale nie przypadł im do gustu bardziej niż on, jego porzucony poprzednik.

– Już widać światło latarni – odezwał się Alec.

Paul wbił wzrok w otaczającą auto ciemność i po chwili też je zobaczył. Bezwiednie zaczął odliczać: jede-naście, dwa-naście... To światło było tak znajome. Było zawsze. Było...?

– Boże... – jęknął.

– Co się stało?

– A co ze światłem, kiedy przestawią latarnię?

Alec się uśmiechnął.

– Sam się nad tym zastanawiałem. Słabo, co?

Skręcił w wąską drogę prowadzącą do Kiss River. Rozglądał się w ciemnościach, pochylony nad kierownicą.

– Są – powiedział wreszcie.

Na skraju drogi Paul dostrzegł dwie kobiety, które dawały im znaki latarkami. Alec zjechał na piaszczyste pobocze, wręczył Paulowi broń usypiającą, a sam zabrał skrzynkę z narzędziami. Wysiedli.

Kobiety podeszły do nich.

– To źrebak – poinformowała Aleca wyższa. – Kiedy go znalazłyśmy, leżał na ziemi. Już wstał, ale mocno utyka. – Wskazała dłonią zagajnik obok drogi. Paul dostrzegł tam sylwetkę młodego konia.

Alec postawił skrzynkę na ziemi, oparł dłonie na biodrach i rozejrzał się, by ocenić sytuację.

– Gdzie stado? – zapytał.

– Po drugiej stronie drogi – odpowiedziała mu wyższa, po czym spojrzała na Paula. – Jestem Julie.

– Paul Macelli – przedstawił się.

– A to Karen. – Alec położył dłoń na ramieniu drugiej kobiety.

– Mocno oberwał – oznajmiła Karen. – Facet, który go potracił – mercedesem, wyobraźcie sobie – przyznał, że wleciał mu na maskę i rozbił szybę. Na zadzie, po lewej, ma sporą ranę.

Alec odszukał konia wzrokiem.

– No dobrze, kolego – powiedział cicho. – Popatrzmy sobie, jak chodzisz.

Czekali, aż koń się poruszy, ale on stał w miejscu, jakby zamienił się w kamień, uniósł tylko łeb i spojrzał na drugą stronę drogi, gdzie kilka innych uganiało się niespokojnie w ciemności. Co kilka sekund snop światła latarni przesuwiał się po ich grzbietach. Są ogromne, pomyślał Paul, wzdrygając się. Przypomniał sobie, że Annie ostrzegała, by lepiej trzymał się od nich z daleka. „Są dzikie”, mówiła. „Potrafią być groźne”.

Wreszcie źrebak zrobił kilka chwiejnych kroków, w widoczny sposób oszczędzając lewą przednią nogę. Potem zastygł samotnie pomiędzy drzewami. Zarżał tak żałośnie, że serce się ścisnęło, brzmiało to jak prawdziwy płacz.

Alec wziął od Paula strzelbę, a w zamian wręczył mu latarkę.

– Poświecisz mi? – Przyklękła, żeby załadować broń nabojami, które wyjął ze swojej skrzynki. Potem wstał. – Skierujcie światło na niego – poprosił, a Paul i obie kobiety skrzyżowali promienie latarek na zakrwawionym zadzie konia. Alec cicho podkradł się nieco bliżej.

Paul obejrzał się przez ramię na potężne zwierzęta stojące bardzo blisko, po drugiej stronie drogi. Bez O’Neilla poczuł się odsłonięty.

Alec powoli uniósł strzelbę do ramienia i nacisnął spust. Źrebak wierzgnął

i zarzał głośno. Odpowiedziało mu rzenie zza drogi. Julie i Karen obrócili głowy, by sprawdzić, co robi stado.

– Lepiej będę miała na oku te konie – powiedziała Karen, cofając się do drogi. – Wy pomóżcie Alecowi.

Czekając, aż zadziała środek usypiający, obserwowali wystraszonego źrebaka, który też nie spuszczał ich z oka.

– Co u ciebie, Alec? – Julie w końcu przerwała ciszę. Zabrzmiało to znacząco; gdy starzy znajomi zadają sobie takie pytania, zawsze kryje się za tym coś więcej.

– W porządku – odparł. – Trzymam się.

Przez kilka minut nikt się nie odzywał, aż nagle źrebak osunął się gwałtownie na kolana, a potem runął na bok.

Alec podniósł z ziemi swoją skrzynkę.

– Zobaczymy, co tam mamy – powiedział, a oni ruszyli za nim.

Julie usiadła na ziemi i ułożyła sobie łeb konia na kolanach, a Paul stanął obok z latarką, żeby Alec widział, co robi. Oglądał się przy tym nerwowo w stronę drogi, zastanawiając się, w jaki sposób Karen zamierza powstrzymać te konie, jeśli zdecydują się stanąć w obronie członka stada.

Alec ostrożnie obmacał nogi źrebaka, by skupić się na tej, którą zwierzę tak oszczędzało.

– Niesamowite – przyznał. – Żadnych złamań. Ale przez jakiś czas będzie go bolało. – Powoli sunął dłońmi po tułowiu konia. – Żebra całe. Miejmy nadzieję, że nie ma też obrażeń wewnętrznych. Największym problemem jest to. – Zwrócił wzrok na ranę. – Paul, daj światło bliżej.

Paul obejrzał się w stronę drogi i z ociąganiem ukląkł na ziemi. W tej chwili był całkiem bezbronny. Gdyby konie się spłoszyły, ich trójka nie miałaby żadnych szans.

Skierował światło na paskudnie wyglądającą ranę. Była głęboka i miała ze dwadzieścia centymetrów długości. Alec przemył ją jakimś roztworem, który też wyjął ze swojej skrzynki.

– Trzeba go zszyć? – zapytał Paul.

Weterynarz skinął głową.

– W zimie bym to zostawił tak, jak jest, ale w tym upale, jeśli nie zaszyję, od razu dobiorą się do niego muchy.

Paul zastanawiał się, czy zniesie ten widok. Gdy zapewniał Aleca, że nie ma delikatnego żołądka, nie miał pojęcia, na co się pisze.

O'Neill przez dłuższą chwilę grzebał w swojej skrzynce, a potem zabrał Paulowi latarkę i podał ją Julie.

– Paul, przytrzymasz krawędzie rany?

– Noo... Musisz mi pokazać, jak to się robi.

Alec pokazał, a Paul powtórzył jego ruchy. Kiedy zaczęło się szycie, skrzywił usta.

– A jak się miewa twoje maleństwo, Julie? – zapytał Alec.

– To już nie jest maleństwo – odparła. – Co pokazuje, na jak długo wypadłeś z obiegu. To diabełek wcielony. Wszystko ją interesuje.

Potem zaczęła mówić o małej restauracji, którą prowadziła, a on powiedział jej, że Clay za miesiąc idzie na studia. Paul przysłuchiwał się tej swobodnej rozmowie, która w widoczny sposób sprawiała im przyjemność. Alec, pomimo że zszywał ranę, mówił z takim spokojem i pewnością, że Paul prawie zapomniał o stadzie po drugiej stronie drogi.

– Nie wiedziałam, czy mogę do ciebie teraz zadzwonić – wyznała mu nagle Julie po krótkiej chwili ciszy. – Wiem, że ostatnio nie pracowałeś.

– Dobrze zrobiłaś, cieszę się – odparł Alec.

– Powiem ci tylko tyle, że musiałam się dwa razy zastanowić. Ale jesteś jedynym fachowcem, któremu mogę zaufać, jeśli chodzi o te konie.

Alec uniósł głowę, uśmiechnął się.

– Ten żrebak się wylize, Julie.

I znów zapadła cisza. Alec szył dalej. Paul dociskał brzegi rany, przesuując palce zgodnie z ruchami jego dłoni. Opadło z niego napięcie. Konie za drogą były niegroźne, dopóki Alec był w pobliżu. Nagle, po raz pierwszy w życiu, zaczął rozumieć, co się stało. Nie było się czemu dziwić, że Annie zapomniała o nim i wybrała tego faceta. Nie miała żadnych skrytych zamiarów i nie chodziło o to, że musi spełnić wymagania swoich rodziców. Łatwo było wyobrazić ich sobie razem: ktoś taki jak Alec potrafił zaspokoić jej wieczną potrzebę miłości, troski i bezpieczeństwa.

Latarnia pulsowała teraz jakby nieco wolniej, światło zatrzymywało się na dłoni Aleca na kilka sekund i dopiero potem rozplątywało w ciemności. Nagle ręce lekarza znieruchomiały, a igła zawisała nad raną. Paul uniósł głowę; Alec przyglądał mu się uważnie.

– Dobrze się czujesz? – zapytał, gdy znów obmyła ich miękka, jasna poświata.

– Tak – odpowiedział, opuszczając z powrotem wzrok. Wiele by dał, żeby

się dowiedzieć, co Alec wyczytał z jego twarzy.

W porządku, pomyślał. Wygrałeś. Była twoja, a nie moja. Kochała ciebie, nie mnie. Wygrałeś, Alec. Wygrałeś i basta.

Rozdział dwudziesty czwarty

Dochodziła jedenasta, gdy Alec pożegnał się z Paulem i znalazł się w domu. Lacey i Clay jeszcze nie wrócili; pustka była trudna do zniesienia. Nawet psu nie chciało się zejść na dół i przywitać pana.

Alec nalał sobie mrożonej herbaty do jednej z zielonych, ręcznie dmuchanych szklanek, które Annie dostała od Julie na urodziny przed kilkoma laty, i poszedł do salonu. Usiadł na kanapie i zerknął na telefon. Kilka minut po jedenastej. Za późno, żeby zadzwonić do Olivii – i w sumie to dobrze. Trochę za bardzo zaczęło mu zależeć na tych rozmowach. Zresztą i tak mieli się zobaczyć rano; zaproponował jej windsurfing na Rio Beach, a ona się zgodziła.

Położył się wygodnie i oparł głowę na poduszce. Już od dawna nie pracował, nie pomógł żadnemu zwierzęciu. A przecież podobało mu się to, dawało poczucie siły: mógł coś zdziałać, coś naprawić, tak dla odmiany. Spodziewał się, że na miejscu zastanie martwego konia. Albo, co gorsza, umierającego. To chyba właśnie dlatego poprosił Paula, żeby z nim pojechał – chciał zapomnieć o swoich zszarganych nerwach.

Paul był bez wątpienia najłagodniejszym człowiekiem, jakiego w życiu spotkał. Miał łzy w oczach na widok rannego źrebaka. Alec był w stanie wyobrazić go sobie z Olivią. Stanęli mu razem przed oczami w dość jednoznacznej sytuacji; otarł oczy przedramieniem i odepchnął wizję od siebie. Pierwsza erotyczna myśl od tyłu miesiący, a nawet nie dotyczyła konkretnie jego osoby.

Boże, strasznie brakuje mi Annie, pomyślał. Spać razem z nią, budzić się obok niej. Spotykać się w tajemnicy na piątkowych „obiadach” w motelach. Przez te dwie godziny w tygodniu była zupełnie inną kobietą. W łóżku nigdy nie brakowało jej zapału, ale on wiedział, że najczęściej szuka po prostu bliskości. Chce, żeby ją przytulić. Chce słyszeć czułe słowa. Alec zaobserwował już dawno, że jego ochota na seks – związana z czysto fizyczną

przyjemnością, której on dostarcza – nie ma nic wspólnego z jej potrzebami. I przystosował się do tego. Oboje przyjęli do wiadomości, że są różni, i wypracowali rozwiązanie. Lecz te piątkowe rendez-vous były inne: Annie aż kipiała namiętnością i chęcią. Kiedy jej dotykał, skórę miała gorącą jak ogień.

Dopił mrożoną herbatę, żałując, że nie ma czegoś mocniejszego, czegoś, co mogłoby go znieczulić. Zamknął oczy i odetchnął głęboko, wsłuchując się w usypiający szum klimatyzatora.

Gdy się obudził, w pierwszej chwili nie mógł odzyskać orientacji. Przyćmione światło z kuchni padało na przeciwległą ścianę, wydobywając z mroku dziesięć małych, owalnych okien. Zrozumiał wreszcie, że leży na kanapie w salonie. Miał potężną, pulsującą erekcję, ale przyczyny jego podniecenia – czyli Annie – nie było już na świecie. Niech to szlag!, zaklął w myślach.

Zerwał się wściekły z kanapy, zrzucił poduszkę na podłogę. Do diabła ze schroniskiem dla kobiet! Do diabła z Zacharym Pointerem! Chwycił szklankę ze stolika i cisnął nią o ścianę. Ty też idź do diabła, Annie.

Szklanka przeleciała przez pokój, a Alec wstrzymał oddech, widząc, jak trafia prosto w jedno z dziesięciu małych okien i rozbija dopracowany w najdrobniejszych szczegółach witrażowy portret ciemnowłosej kobiety z parasolką.

Alec miał teraz przed sobą pustą, owalną dziurę w ścianie. Zamknął oczy i jęknął, łapiąc się za głowę.

Wyszedł bosy na zewnątrz. W świetle lamp zamontowanych pod okapami dachu widział drobne, pieczołowicie powycinane kawałki szkła. Usiadł na piasku i zaczął je zbierać.

Pod domem zatrzymał się samochód. Dobiegł go śmiech, a potem trzaśnięcie drzwiami. Chwilę później zjawił się Clay.

– Tata? Co ty tu robisz? – zapytał i w tej chwili zauważył kolorowe odłamki w dłoni ojca. – Kto wybił okno?

– To był wypadek. – Alec dostrzegł, że Clay przygląda się zielonej szklance, która też leżała na piasku. Przez chwilę żaden z nich nie wypowiedział ani słowa.

– Czy to Lacey...? – zaczął Clay.

– Nie. To nie Lacey.

Clay wepchnął ręce w kieszenie szortów.

– Dobra, tato, słuchaj – powiedział. – Już późno. Jutro zajmiesz się tym

oknem.

– Nie chcę zostawiać szkła na ziemi. – Alec skrobął palcami piasek i znalazł trójkątny biały odprysk, fragment parasolki.

– Nic się nie stanie. – Clay rozejrzał się dookoła, jakby się bał, że jacyś sąsiedzi patrzą, co się dzieje. – Chodź, tato. Nie strasz mnie już. Rano pomogę ci to pozbierać.

Alec przyjrzał się synowi. Przystojny młody mężczyzna, pomyślał. Czarne włosy. Ciemna cera. Siedemnaście lat. Było nader prawdopodobne, że dzisiejszego wieczoru kochał się z Terri Hazleton. A za miesiąc miał na stałe wyprowadzić się z domu. Zacząć nowe życie. Własne życie. Alec zajrzał głęboko w jego bladobłękitne oczy.

– Tęsknię za Annie – wyznał.

Clay usiadł na ziemi, opierając się plecami o ścianę domu.

– Wiem, tato – odparł cicho. – Ja też tęsknię za mamą.

Przesunął palcami po piasku i podał mu mały, czerwony odłamek szkła.

Alec zamknął kawałki witraża w dłoni. Oparł ręce na kolanach i powiódł wzrokiem po czarnych wodach cieśniny.

– Przetawiam latarnię, Clay – powiedział. – Wykopią ją z ziemi i przeniosą gdzieś indziej, a w Kiss River już nigdy nie będzie tak jak kiedyś.

Rozdział dwudziesty piąty

Alec mógł zaproponować Olivii, żeby przyjechała do niego. Miał u siebie deski windsurfingowe, więc mogli zacząć w małej zatoczce tuż za jego domem. W drodze do Rio Beach uzmysłowił sobie jednak, że nie chciał tego; wolał nie zapraszać Olivii, kiedy Lacey i Clay byli w domu. Czy to byłby jakiś problem? Nola bywała u nich często, a jakoś się tym nie przejmował. Gdyby jednak spotkali się z Olivią na gruncie domowym, trzeba byłoby wyjaśnić, skąd się tam wzięła. Mogli ją pamiętać z tamtego wieczoru na pogotowiu, ale z drugiej strony wcale nie musieli. Nie, chodziło o coś innego. Alec nie chciał, żeby dzieci zobaczyły go z inną kobietą, choćby to była zwyczajna, całkiem platoniczna znajomość.

Olivia czekała na małym parkingu nad samą plażą Rio Beach. Stała oparta o drzwi swojego samochodu. Miała na sobie kostium kąpielowy i krótką, luźną sukienkę koloru białego, spod której wystawały równie białe nogi. Widać było, że ta kobieta zdecydowanie za dużo pracuje.

Zaparkował tuż obok, wysiadł i zaczął zdejmować deskę z dachu. Olivia przyglądała mu się, osłaniając oczy.

– Ostrzegam cię, Alec – powiedziała. – Kompletnie nie umiem pływać.

Wziął z tylnego siedzenia kamizelkę ratunkową i rzucił jej.

– Nie musisz – odparł. – Ale przyda ci się trochę kremu z filtrem.

– Posmarowałam się trzydziestką. W tym roku jeszcze nie byłam na dworze w taki upał.

– Wyglądasz raczej, jakbyś pierwszy raz w życiu oglądała słońce na własne oczy.

Olivia pokazała mu język i chwyciła deskę z jednego końca, żeby pomóc mu przenieść ją przez zarośla porastające w tym miejscu brzeg cieśniny.

– Dlaczego przywiozłeś tylko jedną? – zapytała.

– Bo ten wiatr, który dla ciebie jest w sam raz, dla mnie ledwo dmucha. Tutaj jest dość płytko. Wejść z tobą do wody i poinstruuje cię, co masz robić.

Rio Beach był to właściwie piaszczysty pas, tak wąski, że Alec z pewnym trudem rozłożył tam koc. Stał z rękami na biodrach, rozglądając się po wodach cieśniny. Promienie słońca migotały na falach. W oddali widać było inne deski z żaglami, ale on wiedział, że tutaj nikt się nie zapuści. Rio Beach to była jego mała tajemnica.

– Doskonały dzień na deskę. – Odwrócił się do Olivii. – Gotowa?

– Bardziej już być nie mogę. – Zdjęła sukienkę i położyła na kocu. Jej fioletowo-czarny kostium miał skromny, klasyczny krój, ale dekolt był łagodnie pogłębiony. Ten widok przypomniał mu, jak poprzedniego wieczoru wyobrażał sobie Olivię razem z Paulem.

– Czemu się uśmiechasz? – zapytała.

Zaśmiał się i zdjął koszulkę.

– Po prostu się cieszę, że tutaj przyjechaliśmy – odparł. – Dawno nie byłem w tym miejscu.

Olivia miała na szyi długi złoty łańcuszek, który wsuwał się delikatnie pomiędzy jej piersi. Biała niczym kość karnacja nadawała jej kruchy, delikatny wygląd, ale nikt by się nie domyślił, że ta kobieta jest w ciąży. Lekko zaokrąglony brzuch niczego nie zdradzał.

– Pytałaś lekarza, czy możesz pływać na desce? – zainteresował się, wiedząc, że miała wątpliwości, czy w jej stanie taki sport jest wskazany.

Olivia zmarszczyła nos.

– Tak, zadzwoniłam do mojej ginekolożki. Ona też pływa, jak się okazało. Powiedziała, że grozi mi tylko tyle, że będę miała z tego mnóstwo frajdy i nie poradzę sobie z tym emocjonalnie.

Alec parsknął śmiechem.

– Przejrzała cię – skomentował, po czym urządził małą demonstrację. Trochę się przy tym popisował, wystartował z brzegu, zrobił kilka razy rufę w ślizgu i dopiero potem pokazał spokojniejsze techniki, których początkujący uczą się w pierwszej kolejności. Deska była długa, miała trzy i pół metra: jak dla niego zbyt wolna i nieporęczna. Przyzwyczaił się do krótkich, bo na takich pływał na oceanie.

Olivia weszła do wody. Przebiegł ją dreszcz. Alec przytrzymał deskę, żeby mogła na niej stanąć. Na jej twarzy malowała się koncentracja.

– Ustaw stopy po obu stronach masztu – poradził.

– To jest maszt?

– Tak. – Podał jej rękę, kiedy unosiła się z kolan. – Teraz złap tę linkę. To

jest fał startowy, służy do podnoszenia żagla z wody. Ugnij nogi w kolanach. Tak jest. Plecy proste, zaprzyj się stopami o deskę i ustaw żagiel pionowo.

Zaczęła ciągnąć za linkę, przekładając dłoń za dłonią. Żagiel się uniósł i w pewnym momencie chwycił wiatr, a deska nagle poruszyła się pod jej stopami. Olivia pisnęła i spadła tyłem do wody, robiąc przy tym wielki plusk. Alec przeszedł na drugą stronę deski, aby jej pomóc, ale ona wynurzyła się ze śmiechem.

– Powiniennem cię ostrzec – powiedział. – Kiedy róg szotowy wynurzy się z...

– Co to jest róg szotowy? – spytała, wytrząsając wodę z włosów.

– Ta część żagla, o, tutaj – pokazał i sam stanął na desce, żeby jeszcze raz zademonstrować, jak to się robi.

Wprawdzie Olivia głównie lądowała w wodzie, ale udowodniła, że potrafi się bawić. Zaśmiewała się do łez. Alec pomyślał, że jeszcze nigdy nie widział jej w tak radosnym nastroju – i że chyba ona sama rzadko ma okazję oglądać siebie od tej strony.

Kiedy chyba po raz setny dzielnie gramoliła się na deskę, zsunęło jej się ramiączko od kostiumu. Skóra pod spodem była biała, aż biło po oczach.

– Spaliłaś się – powiedział Alec. – Lepiej już chodźmy.

Olivia usiadła na kocu, szcękając zębami, a on zarzucił jej na ramiona ręcznik i zaczął ją wycierać, ale szybko zabrał dłonie, uświadomiwszy sobie, że to zbyt poufały gest. Złoty łańcuszek spoczywał na jej piersiach, przyklejony do poróżowiałej skóry. Alec odwrócił wzrok.

Wyjął z bagażnika plażowy parasol w biało-zielone pasy i ustawił obok koca, po stronie Olivii, a potem położył się obok niej i z przyjemnością wystawił na słońce.

– Więc jak to się stało, że nie nauczyłaś się pływać? – zagadnął. W dzieciństwie uwielbiał kajak i narty wodne na Potomacu.

– Nigdy nie mieszkałam nad wodą. – Dobiegła go jej odpowiedź, odbita od parasola.

– Gdzie mieszkałaś w dzieciństwie?

– W centralnej części stanu New Jersey. Słyszałeś o regionie zwanym Pine Barrens?

– To tam, gdzie wszyscy zawierają małżeństwa w obrębie rodziny i płodzą...

– Nie wiedział, jakich słów użyć. – ...niezbyt lotne potomstwo?

Olivia prychnęła z udawanym oburzeniem.

– Dobrze kojarzysz, ale powtarzasz to, co pisali w gazetach. Małżeństwa w obrębie rodziny należą tam do wyjątków.

– I to właśnie tam się wychowałeś?

– Tak, i wiem, o czym myślisz. Ale to, że nie idzie mi z deską windsurfingową, nie oznacza, że jestem... niezbyt lotna.

Alec uśmiechnął się do siebie, błędząc wzrokiem po czystym niebie. Tak olśniewającego błękitu nie widział nigdzie, tylko w Outer Banks.

– Wczoraj wieczorem Paul był u mnie w domu, na spotkaniu komitetu ochrony latarni – rzucił.

Olivia poderwała się i usiadła prosto. Złoty łańcuszek oderwał się na moment od jej skóry, po czym przylgnął z powrotem do krągłości w dekolcie.

– Nic mu nie powiedziałaś, prawda? – zapytała.

– Nie. – Dostrzegł jej niepokój. – Obiecałem przecież. Wiem za to coś, co może cię zainteresować.

– Co? Chcę usłyszeć wszystko, co mówisz. Każde słowo, dobrze?

Alec uśmiechnął się.

– To miły człowiek, Olivio, ale nie jest Bogiem, żebym spijał każde słowo z jego ust. A notatek, przepraszam, nie robiłem. Nie wiedziałem, że zostanę odpytany.

Olivia milczała przez chwilę.

– Jesteś na mnie zły? – zapytała wreszcie.

– Nie. – Osłonił oczy dłonią, żeby lepiej ją widzieć. Zauważył, że ma przypieczoną skórę na grzbiecie nosa. – Odniosłaś takie wrażenie?

A może jednak, pomyślał. Może faktycznie jestem na nią zły?

– Paul uważa – podjął – że to przez niego popsuło się między wami i że rozstanie z tobą to mógł być błąd.

– Tak powiedział? – Olivia przycisnęła pięść do ust.

– Tak. Miałem wrażenie, że jest w depresji. Że mu jakoś... ciężko.

Odwróciła głowę, spoglądając na wody cieśniny.

– Nie wierzę, że nazwał to błędem. Użył właśnie tego słowa?

Alec westchnął.

– Tak mi się wydaje. Następnym razem przyniosę ci nagranie, obiecuję.

Olivia położyła się z powrotem na kocu.

– Chodzi o to, że już chciałam dać za wygraną.

Opowiedział jej o rannym koniu.

– Kiedy mi pomagał, coś jakby ścisnęło go za gardło – wyznał.

– Czy mi się wydaje, czy spędziliście razem pół nocy? Jestem zazdrosna! – zawołała i nagle jęknęła. – Nie mów mi, że uczę się robić witraże. Nie wspominałeś o tym Paulowi, prawda?

Zmarszczył brwi.

– Czego się obawiasz?

– To zbyt trudne, żeby ci wytłumaczyć. – Odwróciła wzrok. – Po prostu nic mu nie mów, proszę.

Przez kilka kolejnych minut milczeli, a gdy Olivia odezwała się znowu, głos miała przygaszony, przygnębiony.

– W czwartek idę na amniopunkcję.

Spojrzał na nią.

– Denerwujesz się?

– Nie. To znaczy... – Wzruszyła ramionami. – Chyba zawsze trzeba brać pod uwagę, że coś może być źle. Po prostu nie chcę przez to przechodzić sama, bez Paula. Nie chodzi o zabieg, raczej o oczekiwanie na wyniki.

– Myślę, że powinniśmy, ja albo ty, powiedzieć mu, że się znamy i lubimy. Może wtedy dotrze do niego, że nie będziesz w nieskończoność siedzieć i czekać na niego.

– Tyle że właśnie będę. Czekać w nieskończoność. – Westchnęła ciężko, ze znużeniem. – Alec, a ty w ogóle wychodzisz z domu, bywasz gdzieś?

– Nie. – Zamknął oczy, bo raził go jasny blask słońca. – Jeszcze nie czas, a poza tym tak naprawdę nikogo nie znam. Jest jedna kobieta, która zagięła na mnie parol, ale nie jestem zainteresowany.

– Kto to taki?

– Sąsiadka. Nazywa się Nola. – Przeczesał palcami włosy. Były już prawie suche. – Przyjaźni się z naszą rodziną od lat. Annie zawsze mówiła, że podobam się Noli, ale kiedyś w to nie wierzyłem. A teraz zacząłem. Nola robi dla nas jedzenie. Dzwoni, żeby zapytać, co u mnie słychać.

– A ty nie jesteś zainteresowany?

– Wcale. – Przeciągnął się i postanowił zmienić temat. – Posłuchaj. W najbliższą sobotę jestem zaproszony do Norfolk na wywiad w radiu i na spotkanie miłośników latarni morskich. Dałabyś się namówić i wyręczyła mnie w jednym albo drugim? – Rzucił Olivii baczne spojrzenie. – Pracujesz w sobotę?

– Nie, mam wolne – odparła. – Ale kiedy mi powiedziałeś, że Paul zaczyna mieć wątpliwości, pomyślałam, że dobrze by było wykorzystać ten czas

i spotkać się z nim.

– No tak – bąknął Alec, rozczarowany. – Faktycznie, dobrze by było. – Uniósł się na łokciu. – Powiedz mu o tym. – Musnął końcami palców jej kość biodrową, na razie wciąż jeszcze widoczną, nie wiedząc, czy nie posuwa się za daleko. – Powiedz mu o dziecku.

– Nie. – Olivia usiadła i odgarnęła włosy z twarzy. – Jeśli ma wrócić, musi wrócić do mnie.

– No, dobrze. – Alec też się podniósł, sięgnął po swoją koszulkę. – Moim zdaniem nadszedł czas, żebyś poznała trochę lepiej atrakcje Outer Banks. Zobaczmy, czy wytrzymasz emocjonalnie jeszcze trochę frajdy.

Zabrał ją do Jockey's Ridge, na olbrzymie wydmy, które widywała wcześniej, ale tylko z samochodu, bo nigdy nie przyszło jej do głowy, że można wybrać się tam na spacer. Włożyła szorty prosto na kostium, a Alec pożyczył jej koszulkę. Ze schowka w fordzie wygrzebał tubkę maści cynkowej – koloru neonowej zieleni – i posmarował jej przypieczony nos. Wiało dość mocno i wydmy zmieniały kształty na ich oczach. Weszli na szczyt najwyższej i usiedli zdyszani na piasku, obserwując, jak grupa lotniarzy w kaskach uczy się manewrów.

Potem pokazał jeszcze Olivii latarnię na wyspie Bodie. Obeszli dookoła wysoką wieżę malowaną w szerokie czarno-białe pasy, a Alec opowiadał o historii tego znaku nawigacyjnego. Trochę gryzło go sumienie, że nie pojechali do Kiss River, zwłaszcza że przecież sam poprosił Olivię, aby opowiedziała publicznie o tamtejszej latarni. Tłumaczył sobie, że to za daleko i zupełnie w inną stronę, ale prawdziwy powód był jasny od początku – latarnia w Kiss River była jego i Annie. Nie czuł się gotowy, aby podzielić się nią z kimś innym.

Obiad zjedli wcześniej, a następnie ruszyli z powrotem na parking przy Rio Beach, gdzie został samochód Olivii. Nie rozmawiali. Alec był zadowolony i uznał, że ona czuje się podobnie: zadowolona i trochę zmęczona.

– Kiedy wracasz do pracy? – zapytała, gdy od plaży dzieliła ich już tylko jedna przecznica.

– No nie... – jęknął. – Ty też?

– Za dużo wolnego to chyba niezdrowo. Tak sędzę.

– Bo jesteś pracoholiczką.

– I muszę zarabiać pieniądze.

Alec zjechał na mały parking i wyłączył silnik.

– Annie miała ubezpieczenie na życie – powiedział, oglądając się na Olivię.
– Kompletnie bez sensu. Trzysta tysięcy dolarów dla kobiety, która zarabiała może z piętnaście tysięcy rocznie i prawie wszystko rozdawała. A może nie rozdawała – zaśmiał się – tylko wydawała na tę polisę? W każdym razie to był dla mnie szok. Tom znalazł dokumenty, kiedy porządkował rzeczy po Annie w pracowni.

– Dlaczego wykupiła polisę?

Alec odwrócił głowę, śledząc wzrokiem windsurferów na falach cieśniny.

– Mam dwie teorie. Albo wiedziała, że jeśli umrze, będę tak załamany, że przez długi czas nie dam rady pracować, albo po prostu dorwał ją jakiś agent ubezpieczeniowy, a ona chciała zrobić mu przyjemność. Bo jej zależało, żeby ludzie ją lubili. – Potrząsnął głową. – Chyba właśnie dlatego rozdawała tyle swoich prac za darmo. Nigdy nie nauczyła się pewności siebie. Nie uwierzyła, że ktoś może ją cenić za to, jaka jest.

– No cóż, pracuje się nie tylko dla pieniędzy – zauważyła Olivia. – Ty bardzo się cieszyłeś, że mogłeś wczoraj pomóc rannemu źrebakowi, Alec. Kiedy o tym opowiadałeś, aż błyszczały ci oczy. Może wrócisz do pracy na dzień, dwa w tygodniu?

Alec milczał przez chwilę.

– Boję się – wyznał wreszcie. – Jestem w kiepskiej formie, chociaż i tak znacznie mi się poprawiło, kiedy dowiedziałem się od ciebie, jak to wszystko wyglądało wtedy, na pogotowiu. – Spojrzał na Olivię. Miała zaróżowione policzki, a na jej nosie nie było już ani śladu cynkowej maści. Czekał ją niezbyt przyjemny wieczór. – Ale praca w przychodni dla zwierząt bywa stresująca, szczególnie latem – ciągnął. – Jest mnóstwo wypadków... No nie, komu ja opowiadam o wypadkach! A przecież to tylko psy i koty.

– To prawda, ale one też cierpią. Tak samo jak ich właściciele.

– Racja. Nigdy mi to nie przeszkadzało, ale odkąd Annie...

– Podobnie jest z nauką jazdy konno – przerwała mu w pół słowa. – Kiedy spadniesz, musisz wsiąść z powrotem, a im dłużej zwlekasz, tym jest trudniej. Ja, gdy spotka mnie coś strasznego, czasami zmuszam się, żeby rano pójść do pracy, nawet jeśli mam wolne. Tak właśnie zrobiłam po śmierci Annie, chociaż tamtego dnia nie miałam dyżuru.

Alec obrzucił ją uważnym spojrzeniem.

– Nie możesz się przemęczać, Olivio.

– Nie zmieniam tematu. Jeden dzień w tygodniu, dobrze?

Uśmiechnął się.

– Ale ty zadzwonisz do Paula i umówisz się z nim na weekend.

* * *

„Paul powiedział, że rozstanie z tobą to mógł być błąd”.

W drodze powrotnej z Rio Beach Olivia wstąpiła do sklepiku naprzeciwko pracowni Annie i kupiła białe łóżeczko dziecięce marki Jenny Lind, to, które już dawno wpadło jej w oko. Sprzedawczyni pomogła jej zapakować pakunek do bagażnika. Olivia poczuła, że odzyskuje nadzieję i humor – a zdążyła już zapomnieć, jak to jest. Oprócz tego zaczynała jej dokuczać spalona słońcem skóra.

Wtarczyła pudło do domu i przeciągnęła je korytarzem do małego pokoju przeznaczonego na pokój dziecienny. Oparła karton o ścianę i już chciała go otworzyć i zabrać się do składania łóżeczka, ale jednak się powstrzymała. Nie warto kusić losu nadmiernym optymizmem.

Postanowiła, że wieczorem zadzwoni do Paula, porozmawia z nim, poprosi o spotkanie. Z tą myślą zaczęła układać sobie, co powie. Wyszła jeszcze wyjąć listy ze skrzynki i znalazła w niej starą kopertę z obcym adresem.

„Jadę do Waszyngtonu, zajrzałem po drodze”, napisał Paul na odwrocie. „Będę tam przez tydzień, piszę o wydobyciu ropy w pobliżu Outer Banks. Zadzwonię po powrocie”.

Olivia wbiła wzrok w kopertę, w litery skreślone dobrze znaną jej ręką. Zajrzała do środka, a potem zgmiotła w dłoniach. Miała ochotę odszukać hotel, w którym zatrzyma się Paul, zadzwonić do niego i wykrzyknąć w słuchawkę: „Podobno powiedziałeś Alecowi O’Neillowi, że to był błąd?!”.

Wiedziała jednak, że tego nie zrobi. Wróciła do domu i namoczyła kilka torebek herbaty, żeby zrobić sobie okłady na poparzoną skórę. A potem zadzwoniła do Aleca i poinformowała go, że chętnie pojedzie z nim w sobotę do Norfolk.

Rozdział dwudziesty szósty

W środę Jonathan Cramer miał urodziny, a Olivia zgodziła się wziąć za niego nocny dyżur. Chciała w ten sposób zapomnieć o amniopunkcji, na którą miała się zgłosić następnego dnia rano. Około szóstej Alec podrzucił jej niebieską teczkę z materiałami na temat latarni. Były tam informacje potrzebne do sobotniego wywiadu w radiu. Nie mogli porozmawiać, bo poczekalnia była już pełna ludzi. Zobaczyli się w przelocie, przy recepcji.

– O której dzisiaj kończysz? – zapytał Alec, podając Olivii teczkę.

– O północy. – Zauważyła w jego oczach rozczarowanie i odpowiedziała takim samym spojrzeniem. Też nie była zadowolona, że ominie ją wieczorna rozmowa przez telefon.

Tuż przed jedenastą na pogotowie trafił nastolatek. Przyprawdzili go znajomi. Po korytarzu niosły się jego wrzaski.

– Dostanę zawału, kurwa! – krzyczał, kiedy Kathy i Lynn wiozły go na wózku do sali zabiegowej. Olivia poszła tam, żeby ustalić, co się stało. Chłopak, przystojny blondyn z wypłowiałą na słońcu czupryną, powiedział jej, że ma siedemnaście lat i wypił trochę na imprezie, ale nagle serce zaczęło mu bić tak mocno i głośno, że zagłuszało wszystkie inne dźwięki. Cuchnęło od niego alkoholem, a błękitne oczy miał szkliste i przerażone.

– Włącz kardiomonitor – poleciła Olivia Kathy. – Czy oprócz alkoholu brałeś coś jeszcze?

– Nie, nic! Wypiłem tylko parę piw.

Kłamał. Był zbyt poruszony, a jego serce kołatało w obłąkańczym, dzikim rytmie.

– Wiem, że wzięłeś coś innego. Musisz mi powiedzieć, co to było, bo inaczej nie zdołam pomóc ci, jak należy.

– Serce zaraz mi pierdolnie! – wrzasnął.

Olivia obejrzała się na Kathy.

– Są tutaj jego znajomi?

– Siedzą w poczekalni – przytaknęła pielęgniarka. – Pytałam ich, co brał, ale utrzymują, że tylko pił i nagle zaczął się skarżyć, że serce mu wali.

Olivia zostawiła pacjenta pod jej opieką i poszła do poczekalni. Zastała tam trójkę młodych ludzi: dwie dziewczyny i chłopaka. Siedzieli ściśnięci na kanapie pokrytej niebieskim winylem, a na ich twarzach malował się jednakowy wyraz kamiennej zaciętości. Najprawdopodobniej w drodze na pogotowie umówili się, jakiej odpowiedzi udzielą na zadawane im pytania. Olivia czuła jednak bijący od nich strach. Spod maski obojętności przezierała ziemista bladość.

– Jestem doktor Simon. – Przystawiła sobie krzesło, zadowolona, że w poczekalni nie ma już nikogo oprócz tych dzieciaków. – Chcę zadać wam kilka pytań.

Odpowiedziały jej harde spojrzenia. Chłopak siedzący na kanapie miał na oko osiemnaście lat. Był boso, a jasne włosy sięgały mu ramion. Pierwsza z dziewczyn, również blondynka, miała na sobie opięte dżinsy i biały T-shirt z dołmem i rękawami pociętymi na frędzelki, a druga – sportową koszulkę z głęboko wyciętym dekoltem i jasnoniebieską minispódniczkę. Olivia była tak zaskoczona, że może dokładnie zobaczyć kwiecisty wzór na majtkach tej dziewczyny, że dopiero po chwili zauważyła jej włosy – bardzo ciemne i ostrzyżone chyba u rzeźnika, a nie fryzjera. Nie miała cienia wątpliwości, kto przed nią siedzi. Rudych włosów po matce można się pozbyć, ale nie piegów, dołków w policzkach i ciemnoniebieskich oczu.

– Lacey? – zapytała Olivia.

Blondynka zerknęła z niepokojem na koleżankę.

– Skąd ona wie, jak się nazywasz?

Lacey robiła wszystko, żeby nie patrzeć lekarce w oczy.

– Muszę wiedzieć, co wziął wasz kolega – oznajmiła Olivia.

– Pił piwo, to wszystko – odezwał się chłopak. Głos miał głęboki, a ton – wyzywający.

– Nie – pokręciła głową Olivia. – To nie wszystko. Sprawa jest poważna. On może umrzeć. Muszę wiedzieć, co to było.

– Crack – powiedziała Lacey. Chłopak wyrzucił ręce w powietrze i zerwał się z kanapy, po czym obrócił się i spiorunował Lacey wściekłym spojrzeniem.

Olivia pochyliła się i ścisnęła ją za rękę.

– Dziękuję – powiedziała. – Dam wam znać, co z nim. A tymczasem, proszę, podajcie recepcjonistce jego numer telefonu i nazwisko rodziców.

Wróciła do sali zabiegowej. Chłopak leżał podłączony do monitora pracy serca. Uspokoił się już, oczy miał zamknięte, a puls szybki, lecz regularny. Na razie można go było w zasadzie tylko obserwować. Po półgodzinie Olivia zyskała już pewność, że jego życiu nic nie zagraża, i poszła do poczekalni przekazać wiadomość jego znajomym.

Dziewczyny wciąż siedziały razem na kanapie, blisko siebie, a chłopak stał oparty o ścianę i palił papierosa.

– Nic mu nie będzie – zapewniła Olivia. Cała trójka posłała jej lodowate spojrzenia, nie okazując absolutnie żadnych emocji. – Lacey – dodała. – Poproszę cię na chwilę do siebie.

Lacey najpierw obejrzała się na blondyna, a potem wstała i wyszła z Olivią na korytarz. W drodze do jej gabinetu nie odezwała się ani słowem.

– Usiądź. – Olivia wskazała jej krzesło naprzeciwko biurka. Sama też usiadła. Zapach alkoholu i tytoniu, który dziewczyna ciągnęła za sobą, trochę ją drażnił.

Lacey spojrzała na nią spod zmrużonych powiek. Bez długich rudych loków wyglądała bardziej zadziornie, bardziej wyzywająco.

– Zapamiętała mnie pani? – zdziwiła się.

– Doskonale – odparła Olivia. – To był straszny wieczór i mocno utkwiał mi w pamięci. – Wtedy nie wiedziała jeszcze, że Annie została postrzelona na oczach córki. – Domyślam się, Lacey, że to dla ciebie niezwykle trudne przeżycie, znaleźć się z powrotem tutaj, na pogotowiu. Na pewno budzą się w tobie bolesne wspomnienia.

– E tam. – Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Twój znajomy mógł źle skończyć – ciągnęła lekarka. – Nie chodzi mi tylko o zdrowie, mówię o problemach z policją. Zadajesz się z nieodpowiednimi ludźmi. To samo mogło przytrafić się tobie.

– W życiu! Nie tknęłabym tego towaru. Nikt z nas by nie wziął. A tego chłopaka nigdy nie widziałam na oczy. To znajomy Bobby'ego, mieszka w Richmond. Przywiózł crack ze sobą, ale tylko on spróbował.

– To dobrze – powiedziała Olivia. Zanim odezwała się ponownie, musnęła palcami niebieską teczkę, którą dał jej Alec. – Kto przywiózł was na pogotowie?

– Bobby.

– No cóż, moim zdaniem Bobby wypił odrobinę za dużo i nie nadaje się na kierowcę. Zadzwoń po twojego tatę?

– Nie! – Nagle z twarzy Lacey opadła maska zadziornej, twardej nastolatki. W jej oczach zalśniły łzy. – Proszę, niech pani tego nie robi.

Olivia opuściła głowę i wodziła wzrokiem po niebieskiej teczce. Myśl o telefonie do Aleca była pociągająca, ale doskonale wiedziała, że nie będzie zachwycony, gdy usłyszy, w co wpakowała się dzisiaj jego córka, natomiast Lacey ewidentnie przerażała perspektywa, że ojciec może się o tym dowiedzieć.

– Więc może po twojego brata? – zaproponowała Olivia.

Lacey potrząsnęła pochyloną nisko głową.

– W takim razie chodźmy porozmawiać z twoimi znajomymi, spróbujemy coś wymyślić, żebyście wrócili bezpiecznie do domu.

Wstała zza biurka, a Lacey wyszła szybko z gabinetu, zadowolona, że nie musi tam dłużej siedzieć. Olivia patrzyła jeszcze przez chwilę w ślad za nią, zastanawiając się, czy jest na świecie coś bardziej kruchego niż czternastoletnia dziewczyna.

Rozdział dwudziesty siódmy

Paul zdążył już zapomnieć, jak wygląda lato w Waszyngtonie. Szedł ścieżką przez park Rock Creek i chociaż była dopiero siódma rano, mokra koszulka już lepiała mu się do pleców. Kiedyś kilka razy w tygodniu chodził tą drogą razem z Olivią, a teraz wciąż jeszcze czuł wokół jej obecność. Tutaj stał rozłożysty dąb o potężnym, grubym pniu, który kiedyś nazwała „swoim” drzewem i nigdy nie zdarzyło się jej minąć go i nie wpaść w zachwyty. A tam kiedyś znalazła nienaruszone jajo drozda, leżące w trawie tuż obok ścieżki. Podniosła je i uprosiła Paula, żeby wspiał się na „jej” dąb i włożył je z powrotem do gniazda. Nie był w stanie iść tędy i nie myśleć o Olivii.

Gałęzie drzew zwisały nisko, uginając się pod ciężarem liści. Dookoła, jak okiem sięgnąć, wszystko nurzało się w zieleni. Ten kolor pomimo upału działał na niego kojąco. Tego właśnie mu brakowało w Outer Banks. Zieleni. Bujnej roślinności. Piasek, woda i błękit nieba – to za mało.

Praca, którą miał do wykonania w tym tygodniu, była nieznośnie nudna, całkiem nie w jego typie. Postanowił sobie, że następnego zlecenia tego typu już nie przyjmie, chociaż w tak małym czasopiśmie jak „Beach Gazette” nie miał wielkiego wyboru. Brakowało mu pracy w „Washington Post”. Brakowało mu właściwie wszystkiego, czego obecnie był pozbawiony.

Ścieżka się skończyła. Paul wyszedł z parku i przeciął ulicę. Znajdowała się tam nieduża jadłodajnia, w której kiedyś bywali z Olivią. Wszedł do środka, głęboko wdychając aromat cebuli, czosnku i cynamonu. Był mocny i w przedziwny sposób potrafił poprawić najgorszy nastrój.

O tak wczesnej godzinie w środku było tylko dwóch klientów. Siedzieli przy małym stoliku w głębi.

– Pan Simon! – zabrzmiał okrzyk.

Paul uśmiechnął się, gdy rozpoznał Joego Gallo, puciołowatego, łysiejącego właściciela, który stał za ladą. Pracował sam. Joe przed wieloma laty poznał Olivię i zapamiętał jej nazwisko, po czym uznał, że ponieważ Paul jest jej

mężem, musi nazywać się tak samo. Nigdy nie mieli serca wyprowadzić go z błędu.

– Ile to już miesięcy pana nie widziałem! – zawołał.

– Jak leci, Joe? – zapytał Paul, podchodząc do lady. – Przeprowadziliśmy się z Olivią do Karoliny Północnej. Na Outer Banks.

– Aaa... – westchnął Joe. – Pięknie tam jest. Pogoda daje w kość, co?

– Trochę tak.

– Niech pan siada. – Joe wskazał stoliki. – Co podać? Cebulowy bajgiel z serkiem łososiowym?

– Masz, widzę, głowę nie od parady.

– Niektórzy potrafią zapaść człowiekowi w pamięć, rozumie mnie pan? – Joe postawił na ladzie jedną kawę. Paul zabrał ją do najbliższego stolika.

– A co słyhać u doktor Simon? – zagadnął, szykując zamówionego bajgla. – Wciąż leczy ludzi, mam nadzieję?

– Tak. Zatrudniła się w pogotowiu. Ja przyjechałem tutaj sam, służbowo.

Wiedział, że w końcu będzie musiał w taki czy inny sposób wspomnieć, że są w separacji. Wyobrażał sobie reakcję Joego. Już niemalże widział przykrość i rozczarowanie malujące się w jego oczach.

– Jej ulubione były bajgle z cynamonem i rodzynekami, prawda?

– Zgadza się.

Joe potrząsnął głową i wyszedł zza lady.

– Proszę ją ode mnie pozdrowić – powiedział, stawiając talerz przed Paulem, obok kubka z kawą. Wytarłszy dłonie w fartuch, wyjął z kieszeni portfel. Obejrzał się jeszcze w stronę drzwi, po czym usiadł przy stoliku, naprzeciwko swojego gościa.

– Coś panu pokażę. – Położył na blacie wyciągniętą z portfela fotografię. Była na niej pięcioletnia dziewczynka, miała czarne włosy i szeroki uśmiech.

– Wie pan, kto to?

– Twoja wnuczka?

– Tak. Lindsay. Nie byłoby jej na świecie, gdyby nie pańska żona.

– No tak. – Paul wziął zdjęcie w palce, żeby się lepiej przyjrzeć. – Zapomniałem.

– Niezły zbieg okoliczności, co? Siedzieliście dokładnie przy tym samym stoliku, pan i doktor Simon. Nagle zadzwonił jej pager. Często się to zdarzało, prawda? Częściej niż rzadziej. A ona zrywa się i leci. Zawsze tak było, nie myślała o tym, czy dostała już swojego bajgla, czy nie. A my zostajemy

i mówimy sobie: „Szkoda, że ona zawsze musi tak pędzić do pracy”. Pamięta pan?

Paul skinął głową.

– I co się okazuje? Że wezwano ją właśnie do naszej małej Lindsay.

Paul pamiętał dobrze tamten poranek, a także przedpołudnie następnego dnia, kiedy w jadłodajni zjawiała się cała rodzina Joego, aby poznać Olivię, a bajgle były na koszt firmy. Czuł się wtedy dumny, że jest jej mężem.

– Przytopiła się w wannie – powiedział Joe, a w oczach błysnęły mu łzy. – Dziewczyna z karetki powiedziała, że leżała praktycznie bez życia, dopóki nie zjawiała się pańska żona. – Stuknął palcem w fotografię. – Proszę to oddać doktor Simon. Proszę jej pokazać, jak świetnie się wtedy spisała.

Paul przełknął ślinę.

– W porządku. – Wyciągnął własny portfel i schował do niego zdjęcie. – Dzięki, Joe. Będzie jej bardzo miło.

Nagle w jadłodajni zaroilo się od klientów. Joe wrócił za ladę. Paul zawinął swojego bajgla w serwetkę. Miał ściśnięte gardło. Nie mógł przełknąć ani kęsa. Skinął Joemu na pożegnanie i wyszedł. Upalne powietrze uderzyło go w twarz niczym wilgotna, wyparzona we wrzątku szmata. Przebiegł przez ulicę i wrócił do parku Rock Creek. Wiedział dokładnie, gdzie chce dokończyć śniadanie – na bujnej, zielonej trawie pod ulubionym starym dębem Olivii.

Rozdział dwudziesty ósmy

– Jak poszła amniopunkcja? – zapytał Alec.

Olivia wyciągnęła się na boku, przyciskając słuchawkę do ucha. Podciągnęła koszulę nocną na wysokość bioder, kładąc dłoń na plasterku opatrunkowym bielejącym poniżej pępka.

– W porządku – odparła. Cieszyła się, że słyszy jego głos, że może porozmawiać z kimś, kto wie o dziecku. Od dawna, od dnia, kiedy Paul ją zostawił, nie czuła się aż tak samotna. Płakała przez całą długą drogę samochodem do Chesapeake, płakała też, wracając do domu, a do łóżka położyła się już o wpół do dziesiątej, jak gdyby mogła tym sprawić, by Alec zadzwonił wcześniej.

– Dzisiaj to nie było nic trudnego – powiedziała. – Najgorsze jest czekanie.

– Myślałem dzisiaj o tym, że pojechałaś tam całkiem sama. Powiniennem zaproponować ci, że wybiorę się z tobą, ale kiedy przyszło mi to do głowy, było już za późno.

Olivia uśmiechnęła się. To było urocze. Alec zatroszczył się o nią. A teraz w jego głosie słychać było senność. I ciepło. Podobne uczucia budził w niej trójkąt księżycowego blasku, który powoli przesuwiał się po pościeli, po jej udach i spoczywającej na brzuchu dłoni. Do pokoju Aleca najprawdopodobniej także zaglądał księżyc. Może odbijał się w jego oczach. Wyobraziła sobie blask srebrzystego światła przenikający przez lekko kręcone włoski na jego klatce piersiowej. Na plaży przecież nie gapiała się na niego, właściwie nie zwracała uwagi, jak wygląda jego ciało, a tymczasem teraz okazało się, że doskonale je pamięta.

– Olivio?

– Tak?

– Jesteś bardzo milcząca. Na pewno nic się nie stało?

Uniosła dłoń leżącą na brzuchu i patrzyła, jak brylanciki na obrączce nasiąkają światłem księżyca.

- Po prostu moje łóżko jest dzisiaj jakoś wyjątkowo puste.
- Aha – mruknął Alec. – Masz jakiś zamiar na Paula? Może powinnaś do niego zadzwonić.
- Prawdę mówiąc, znacznie łatwiej ostatnio rozmawia mi się z tobą niż z nim.
- Ale ja niewiele mogę poradzić w temacie pustego łóżka.
Olivia wzdrygnęła się i obróciła z powrotem na plecy.
- Dokąd zmierza ta rozmowa? – zapytała.
- Mamy zmienić temat?
- Przyznam się, że ostatnio bardzo często o tym myślę. Zaczęło się chyba wtedy, gdy usłyszałam od ciebie, że Paul nazwał rozstanie ze mną błędem. Zaczęłam o nim myśleć – wiesz, o tym, żeby z nim być – a on wtedy wyjechał do Waszyngtonu.
- Może po powrocie...
- Może. Alec...? Jak ty... – Trudno jej było znaleźć właściwe słowa. – Jak sobie radzisz z celibatem?
- To dość osobiste pytanie, doktor Simon – zaśmiał się.
- Przepraszam.
- Matka Natura ma swoje sposoby – westchnął Alec. – Śmierć towarzysza życia blokuje libido, przynajmniej na jakiś czas, a w każdym razie zakładam, że to nie jest nieodwracalne. – Zachichotał. – Tak naprawdę jestem pewien, że nie jest. Ale w separacji to chyba tak nie działa, co?
- Nie.
- Dalej chodzisz na masaże?
- To nie to samo – odparła niechętnie.
Alec przez chwilę się nie odzywał.
- A gdybyś tam do niego pojechała i zjawiła się w jego hotelu?
- To by było upokarzające.
- Jestem pewien, że jemu wciąż na tobie zależy.
- Niemalże bez udziału świadomości, Olivia przykryła dłonią łono, ciepły trójkąt miękkich włosów. Rozsunęła lekko nogi. Mogę to zrobić, pomyślała. Słuchać głosu Aleca i...
- Boże. – Poderwała się i usiadła, szarpnęła koszulę i naciągnęła ją na kolana.
- Co się stało?
- Rozmowa o tym absolutnie mi nie pomaga, Alec. – Ustawiła poduszkę

pionowo na wezgiłowiu i oparła się o nią plecami, po czym sięgnęła po niebieską teczkę leżącą na stoliku. Rozłożyła ją sobie na kolanach. – Odpytasz mnie z wiedzy o latarni?

* * *

Następnego dnia, późnym południem, do jej gabinetu zajrzał Mike Shelley.

– Masz chwilę?

Olivia zamknęła kartę pacjenta, którą uzupełniała. Mike usiadł naprzeciwko niej. Wyglądał na zmęczonego, ale się uśmiechał. Wyprostował się i odchylił na oparcie krzesła.

– We wrześnie odchodzę z pracy.

– No nie... – jęknęła, autentycznie przygnębiona. Mike był spokojny i skuteczny, a placówka pod jego kierownictwem tak właśnie funkcjonowała; Olivia nauczyła się na tym polegać.

– Niestety, tak. Moi rodzice, którzy mieszkają na Florydzie, w tym roku podupadli na zdrowiu. Chcę być bliżej nich i mam szansę, bo dostałem stamtąd propozycję pracy. – Zawiesił głos. – Tak więc, ma się rozumieć – podjął po chwili – zwalnia się moje stanowisko. Jesteś brana pod uwagę, razem z Jonathanem i dwoma kandydatami z zewnątrz.

Nagle Olivia poczuła, jak budzi się w niej ambicja, którą starała się trzymać na wodzy, odkąd zaczęła pracować w tej małej i spokojnej, wręcz sennej placówce.

– To dla mnie zaszczyt. – Uśmiechnęła się.

– Między nami mówiąc, gdyby to ode mnie zależało, wybrałbym ciebie. Jonathan zna się na medycynie, ale ty masz znacznie bogatsze doświadczenie i do każdego przypadku podchodzisz z chłodną głową. A to w tej pracy jest kluczowe. Ale nie chcę ci robić wielkich nadziei. Mimo wszystko jesteś tutaj najmłodsza stażem. – Wstał i westchnął. – Jonathanowi bardzo na tym zależy – powiedział. Olivii wydawało się, że w jego głosie zabrzmiało ostrzeżenie. – Dopóki sprawa się nie rozstrzygnie, może być trudno z nim wytrzymać.

– Czyli nic nowego – uśmiechnęła się Olivia.

Kiedy za Mikiem zamknęły się drzwi, natychmiast sięgnęła po słuchawkę i wystukała numer Paula, ale włączyła się automatyczna sekretarka. Wyleciało jej z głowy, że Paul pojechał do Waszyngtonu. Wysłuchiwała jego głosu

z nagrania, wyobrażając sobie, jak dźwięk niesie się po pokojach w jego małym domku, jak odbija się echem od kolorowych witraży wykonanych rękami Annie O'Neill.

Zamiast zostawić mu wiadomość, zadzwoniła do Aleca. I ucieszyła się, kiedy zaproponował jej kolację, aby uczcić dobrą nowinę.

– Chociaż tak naprawdę to nie ma jeszcze czego świętować – zauważyła. Mike upominał ją, żeby nie robiła sobie nadziei, a ona proszę, już widziała się na jego miejscu.

– Oczywiście, że jest. – Głos Aleca był wyjątkowo radosny. – Nawet nie wiesz, jak bardzo jest co świętować.

– Jak to?

– Powiem ci, kiedy się zobaczymy.

Przyjechał po nią do pracy po skończonym dyżurze i zabrał do małej knajpki, o której istnieniu nawet nie wiedziała. Budynek stał wciśnięty pomiędzy kilkuhektarowy plac, na którym rozłożyło się wesołe miasteczko, a kemping dla przyczep mieszkalnych. Wnętrze jednak okazało się przytulne, pogrążone w miłym półmroku. Na stołach przykrytych fioletoworóżowymi obrusami stały zapalone świece, a gdy Olivia usiadła przy stole, kelner ułożył jej na kolanach serwetkę. To miejsce miało niewątpliwie romantyczny klimat.

Wybrali potrawy. Alec, ewidentnie mając na względzie odmienny stan Olivii, podziękował za wino. Odczekawszy, aż kelner odejdzie, posłała mu pytające spojrzenie.

– Słucham – zagadnęła. – Co świętujemy?

Alec też rozłożył sobie serwetkę na kolanach.

– Poszedłem dzisiaj do pracy – oznajmił, uśmiechnięty od ucha do ucha.

– Och, naprawdę? I jak?

– Świetnie, dopóki nie zaczęli przywozić zwierząt.

Uśmiechnęła się ze współczuciem, ale po chwili zorientowała się, że żartował.

– W zasadzie bezboleśnie – podjął Alec. – Dziękuję, że mnie namówiłaś. Na razie mam pracować trzy dni w tygodniu.

– I widzę, że chyba pasuje ci taki układ – stwierdziła Olivia. Odkąd usiedli przy stoliku, z jego ust nie schodził uśmiech; prawie już zapomniała o cieniu człowieka, którego poznała w pracowni Toma Nestora.

Poszli do baru sałatkowego, napełnili talerze.

– Wczoraj przed amniopunkcją miałaś pewnie USG, co? – zapytał Alec,

kiedy wracali do stolika.

– Tak.

– I co, nie będzie bliźniaków?

Usiedli.

– Płód jest jeden, niewiarygodnie małeńki – odparła Olivia. – Płci nieokreślonej.

– Jak to było: mieć brata bliźniaka? – Alec rozkroił pomidora winogronowego na równe połówki. – Pewnie łączyła was silna więź.

– W dzieciństwie owszem, ale raczej nie w sposób, jaki pewnie sobie wyobrazasz. – Napiła się wody, odstawiła szklankę. – Urodziłam się pierwsza, ale moja matka nie robiła żadnych badań prenatalnych i położna nie była przygotowana na przyjęcie bliźniąt. Clint był przyduszony pępowiną przez dłuższy czas, zanim się zorientowała, że jest drugie dziecko. Doszło do uszkodzenia mózgu.

– O nie.

– Skończyło się łagodnym upośledzeniem umysłowym, ale do tego doszedł cały wachlarz problemów zdrowotnych. – Przed oczami stanął jej brat w dzieciństwie. Skórę miał tak białą i przejrzystą, że na jego skroniach wyraźnie rysowała się siateczka żył. – Zawsze był za mały jak na swój wiek, a na dodatek cierpiał na astmę. Słabowity dzieciak. Musiałam się nim opiekować.

Kiedy w środku nocy Clint dostawał ataków astmy, siedziała przy nim. Biła dzieci, które się z niego śmiały. Odrabiała za niego lekcje, aż wreszcie jedna nauczycielka powiedziała jej: „Nie dasz rady uchronić Clinta przed każdym złem. Musisz zatroszczyć się o siebie, Livvie”. Olivia ostatecznie tak właśnie zrobiła. Wyprowadziła się z domu i odcięła od Clinta raz na zawsze. W pierwszych latach małżeństwa Paul namawiał ją, żeby odnowiła kontakt z bratem, ale nawet jego wsparcie nie pomogło jej przemóc się i zadzwonić albo napisać list, zrobić cokolwiek, aby Clint z powrotem zagościł w jej życiu.

– Dlaczego umarł? – zapytał Alec.

– Z powodu niewydolności oddechowej, a oprócz tego miał problem z wątrobą. Mama umarła kilka lat po moim odejściu. Clint został w Pine Barrens z naszym starszym bratem Averym.

Avery był dla Clinta idolem, lecz w rzeczywistości stanowił niebezpieczny wzór do naśladowania.

Kelner przyniósł zamówienie i postawił przed nimi talerze. Olivia przełknęła kęs delikatnego, idealnie przyrządzonego łososa.

– Czy to doświadczenia z bratem sprawiły, że postanowiłaś zostać lekarzem?
– pytał dalej Alec.

Potrząsnęła głową.

– W college’u nie miałam nawet przedmiotów związanych z medycyną. Uczyłam się w Penn State, a moja współlokatorka była lekarką. I siostrą... –

Urwała w pół zdania, nie wiedząc, ile powinna wyjawić. – To trochę zagmatwane – podjęła. – Kiedy wyprowadziłam się z domu, przygarnęła mnie moja nauczycielka z liceum, a na studiach mieszkałam z jej siostrą.

Włożyła do ust kawałek łososa i żuła go powoli. Gdy przełknęła, zaczęła mówić dalej.

– Zawsze byłam bardzo podatna na wpływ otaczających mnie kobiet. Moja matka nie sprawdziła się jako wzór do naśladowania, więc dorastając, czułam się niezbyt pewna siebie jako kobieta. W dzieciństwie największy wpływ wywarli na mnie bracia. Zanim skończyłam dwanaście lat, mogłam spuścić manto praktycznie każdemu dzieciakowi na podwórku. – Uśmiechnęła się. –

Ale potem byłam już nastolatką i dotarło do mnie, że dziewczyna nie powinna się tak zachowywać, więc szukałam wzorców kobiecości gdzie indziej, właśnie u mojej nauczycielki. Można powiedzieć, że ją... naśladowałam i tak mi już zostało, bo później, kiedy mieszkałam z jej siostrą, ona z kolei stała się dla mnie wzorem. I stąd się wzięło zainteresowanie medycyną.

– W takim razie dobrze, że nie była śmieciarzem.

Olivia parsknęła śmiechem.

Przez kilka minut jedli w nieskrępowanym milczeniu, a potem Alec opowiedział jej o swoich dzieciach. Olivia przypomniała sobie Lacey, dziewczynę o zadziornym wyglądzie, którą przed kilkoma dniami spotkała w poczekalni na pogotowiu. Z tego, co teraz usłyszała, wynikało, że Alec ma z nią pełne ręce roboty.

– A dziadkowie? – zapytała niespodziewanie, bo akurat zastanawiała się, czy ktoś z rodziny mu w jakikolwiek sposób pomaga. – Czy twoi rodzice jeszcze żyją?

– Nie. Oboje umarli już dawno, przed narodzinami dzieci.

– A rodzice Annie?

Alec mruknął coś niechętnie.

– Nigdy ich nie poznali – wyznał z goryczą.

– To chyba nie najlepszy temat do rozmowy – stwierdziła Olivia.

Alec odłożył widelec.

– Rodzice Annie zaplanowali jej całe życie. Musiała zaliczać po kolei punkty z ich listy: prywatne szkoły, bal debutantek... Wybrali jej męża i żaden inny kandydat nie wchodził dla nich w grę. Kiedy wyszła za mnie, odcięli się od córki całkowicie, nie tylko finansowo, ale też emocjonalnie. – Wziął widelec z powrotem do ręki, a jego dłoń zawisała nad talerzem. – Próbowałem się z nimi skontaktować. Dzwoniłem kilka razy, ale nie raczyli nawet podejść do telefonu. Pisałem do nich z pracy, żeby Annie nie wiedziała – nie doczekałem się odpowiedzi. W końcu wymyśliłem inny plan. – Alec uśmiechnął się do swoich wspomnień. – Wydawał się niezawodny.

– Co wymyśliłeś?

Pochylił się nad stolikiem.

– To było mniej więcej pięć lat temu. Annie zamknęła się w sobie. To się jej zdarzało od czasu do czasu i zawsze uważałem, że ma związek z jej rodzicami. Pojechałem więc do Bostonu i, zaopatrzoney w fotografie z nią i dziećmi, umówiłem się na wizytę u jej ojca – był kardiologiem.

– Na wizytę u lekarza?

Alec parsknął śmiechem.

– Sprytnie, co? Żebyś mogła zobaczyć jego przychodnię... Odpicowana jak nie wiem co. Wszędzie mnóstwo podrabianych kiczowatych antyków. Niedobrze się robiło. Pielęgniarka zaprowadziła mnie do jednego z kilku pokoiów do badań i zapytała, co mnie sprowadza. Powiedziałem, że bóle w klatce piersiowej, a ona poprosiła, bym zdjął koszulę do badania EKG. Tego nie miałem w planach. Niedobrze by było, gdybym na pierwszym spotkaniu z teściem zaprezentował się półnagi.

Olivia uśmiechnęła się, bo pamiętała dokładnie, jak Alec wygląda bez koszuli.

– Badanie, ma się rozumieć, pokazało, że wszystko jest w normie. Pielęgniarka wyszła i po chwili zjawił się doktor Chase we własnej osobie. Zapytał, co mi dolega, a ja odpowiedziałem: „Nie jestem chory. Jestem pańskim zięciem”.

– I co on na to?

– Twarz mu zsiniała i w dosadnych słowach kazał mi się wynosić. Sam wyszedł, trzaskając mi drzwiami przed nosem. Ja też nie zostałem tam dłużej, ale przed wyjściem dałem jeszcze pielęgniarce kopertę ze zdjęciami

i poprosiłem, żeby mu ją przekazała.

– No i co? Odezwał się potem do ciebie?

Alec dziobał widelcem porcję mięsa z kraba na swoim talerzu.

– Dowiedzieliśmy się, że zmarł na zawał. Dawna znajoma napisała do Annie miesiąc po jego śmierci. Wyliczyłem, że zmarł dzień po moich odwiedzinach.

Olivia wyprostowała się na krześle.

– Aha – mruknęła.

– Nie muszę chyba tłumaczyć, że nigdy nie powiedziałem Annie o mojej podróży do Bostonu. Była załamana, że dowiedziała się tak późno i nie mogła pojechać na pogrzeb. Boże... – Alec potrząsnął głową. – Za to kiedy ona zginęła, jej matka miała czelność pojawić się na pogrzebie. Nie odezwałem się do niej ani słowem, chociaż chętnie bym jej wygarnął. Pieprzona świnia. – Poderwał głowę, spojrzał na Olivię. – Przepraszam.

Parsknęła śmiechem, a on się rozchmurzył.

– No proszę, my znów o Annie. Porozmawiajmy o tobie, tak jak wcześniej. Jesteś gotowa na debiut w roli ekspertki od latarni w Kiss River?

– Chyba tak.

– Przyjadę po ciebie o dziesiątej.

Kelner zabrał ich talerze. Zamówili jeszcze kawę. Olivia patrzyła, uśmiechając się do siebie, jak Alec wrzuca do filizanki dwie kostki cukru.

– Alec? – zagadnęła.

– Hm?

– Jesteś dzisiaj jakiś inny.

– Tak? To dobrze czy źle?

– Cudownie – przyznała. – Wyglądasz na zadowolonego z życia. Nawet kiedy opowiadasz o bolesnych sprawach, na przykład o rodzicach Annie, mam wrażenie, że ten smutek jakoś został za tobą.

Przytaknął.

– Rzeczywiście, czuję się lepiej. Każdy dzień przynosi małą poprawę. – W jego bladych oczach migotał płomień świecy. – Jest w tym też twoja zasługa, i to niemała. Mogłem ci się wygadać, wypłakać na twoim ramieniu... No, jeśli nie na ramieniu, to przynajmniej w twojej kuchni. A zwieńczeniem tego procesu było to, że dzisiaj poszedłem do pracy. Dziękuję ci.

Tym razem, kiedy ich kolana zetknęły się pod stołem, już się nie cofnęła.

* * *

Na zewnątrz było głośno, powietrze przecinały okrzyki i dźwięki melodii z wesołego miasteczka tuż obok. Kolorowe światła na karuzelach i innych atrakcjach rozjaśniały całe niebo. Kiedy szli przez parking do stojącego trochę dalej forda bronco, Alec delikatnie położył dłoń na plecach Olivii, a ona poczuła dotyk każdego palca z osobna.

W pewnym momencie drogę przecięła im trójka nastolatków, którzy najprawdopodobniej postanowili pójść do wesołego miasteczka na skrót, przez parking. Kiedy byli już o krok przed nimi, Olivia rozpoznała Lacey i dwójkę jej znajomych, których widziała na pogotowiu.

– Tata? – Lacey stanęła jak wryta.

Olivia poczuła, że Alec zeszywniał i szybko opuścił rękę.

– Cześć, Lace – powiedział. – Hej, Jessica.

Chłopaka, który maszerował pomiędzy jego córką a jej przyjaciółką, zmierzył ciężkim wzrokiem, a tymczasem Lacey wpatrywała się w Olivię z przerażeniem.

Ciszę przerwała Olivia.

– Fajna fryzura, Lacey – pochwaliła. – Zupełnie inaczej niż wtedy, w grudniu. – I spojrzała dziewczynie prosto w oczy, by dać jej do zrozumienia, że ani słowem nie wspomniała Alecowi o spotkaniu na pogotowiu.

– Lacey, to pani Olivia Simon. – Alec odstąpił od lekarki. – Pamiętasz ją?

Lacey skinęła głową, ale on tego chyba nie zauważył.

– Jestem ojcem Lacey. – Podał rękę chłopakowi.

– Bobby – przedstawił się tamten, z poważną miną ściskając mu dłoń.

– Dokąd lećcie? – zapytał Alec.

– Do wesołego miasteczka, tato – rzuciła Lacey przez ramię, mijając go szybko. Jessica i Bobby pospiesznie ruszyli za nią.

– Dobrej zabawy! – zawołał za nimi, po czym obejrzał się na Olivię i ruszyli dalej do samochodu, ale już w pewnej odległości od siebie. Był to może metr, ale im się wydawało, że kilometr albo więcej.

Wsiedli. Alec włączył silnik i odchylił się, aby wycofać auto na ulicę. W jaskrawych, migoczących światłach wesołego miasteczka jego zaciśnięte na kierownicy dłonie pobłyskiwały czystą bielą wystających kłykci. Skręcił w stronę Kill Devil Hills. Chciałby się mnie już pozbyć, pomyślała Olivia.

Szkoda, że musi mnie odwieźć do pracy, zanim będzie mógł wrócić do domu.

Jechali w milczeniu. Cztery przecznice dalej Olivia wreszcie nie wytrzymała.

– Ogólnie wolałbyś, żeby Lacey nie widziała cię z kobietami, czy też może tylko z tą jedną, która nie umiała uratować życia jej matce?

Alec rzucił jej spojrzenie z ukosa, po czym znów skupił się na drodze.

– Przepraszam cię – westchnął. – Dzieci jeszcze nigdy nie widziały mnie z inną kobietą. Po prostu dziwnie się poczułem. Nie chcę, żeby Lacey coś sobie wyobraziła. Dla niej chyba byłoby to jednoznaczne ze zdradą Annie.

– Przyjaźnimy się, Alec. Nie wolno ci mieć przyjaciół?

– Ten chłopak wyglądał na znacznie starszego od niej – rzucił, jakby jej nie usłyszał.

Olivia zacisnęła palce na swojej obrączce.

– Może trzeba ją bardziej zdyscyplinować?

Alec potrząsnął głową.

– Nie, Annie nigdy nie ograniczała jej swobody.

Olivia zastanowiła się długą chwilę.

– Annie już nie ma – powiedziała cicho, starannie dobierając słowa. – A kiedy żyła, nigdy nie musieliście sobie radzić z czymś takim. Nie wiesz, co by zrobiła w podobnej sytuacji.

Alec zjechał na parking przed budynkiem pogotowia.

– Wkrótce będziesz miała własne dziecko – odparł. – I wychowasz je sobie, jak ci serce podyktuje. Lacey przez tyle lat nie dawała nam powodu do zmartwienia, więc nie będę teraz nic zmieniał. – Wyłączył silnik i obszedł samochód, żeby otworzyć jej drzwi. Wsiadła, oczy miała pełne łez. Spojrzała na niego.

– Rozumiem, że głupio się czujesz, że Lacey widziała nas razem – powiedziała. – Ale proszę, nie wyzywaj się na mnie.

Pochylił głowę, przygnębiony.

– Przepraszam – prawie szepnął, a ona pomyślała: To dobrze, że na tym jasno oświetlonym parkingu nie możemy się dotknąć. Wsiadła do swojego samochodu i odjechała, obserwując go w lusterku. Stał w kręgu białego światła i odprowadzał ją wzrokiem.

* * *

W domu czekały na nią cztery wiadomości na automatycznej sekretarce. Wszystkie zostawiła ta sama osoba – rozemocjonowana młoda dziennikarka z „Beach Gazette”. Z każdym nagraniem ton jej głosu robił się coraz bardziej nagły, a ostatnie brzmiało niemalże jak groźba.

– Pani doktor, muszę z panią koniecznie porozmawiać, koniecznie, i to jeszcze dzisiaj, wieczorem. Chodzi o Annie O’Neill – wyjawiała wreszcie, z czym dzwoni.

Olivia zjeżyła się i wcisnęła klawisz „usuń”. Jakaż znowu pilna sprawa mogła dotyczyć zmarłej kobiety, o której ona tego wieczoru nie miała najmniejszej ochoty rozmawiać? Wiadomo, jacy są dziennikarze. Tamta nie odpuści, dopóki się do niej nie dodzwoni.

Wzięła w palce kabel od telefonu, znalazła gniazdko i wyciągnęła wtyczkę. Poszła do kuchni, zdjęła słuchawkę z wiszącego na ścianie aparatu i położyła ją na szafce. Wyłączyła też telefon w sypialni, świadoma, że w ten sposób przekreśla wszelkie szanse na wieczorną rozmowę z Alekiem. Pomyślała, że to dobrze. Może dzisiaj wcale nie zadzwoni – a jeśli tak, to lepiej, by o tym nie wiedziała.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

– To ta lekarka, która zabiła mamę – powiedziała Lacey, zalewając mlekiem porcję preparowanego ryżu.

Alec posłał córce spojrzenie spod zmarszczonych brwi.

– Nie. – Powoli i wyraźnie akcentował słowa. – To ta lekarka, która próbowała uratować jej życie.

Lacey zmierzyła go wzrokiem.

– Mama miała jedną plamkę krwi na koszuli. Nic więcej. A jak tamta z nią skończyła, proszę, nagle wykrwawiła się na śmierć.

Usta jej drżały, Alec patrzył, jak usiłuje nad tym zapanować. Spuściła głowę, mieszając łyżką preparowany ryż w misce pełnej mleka. W jej przedziałku, w gęstwinie czarnych włosów, lśniło cieniutkie rude podszycie.

– Lace – powiedział Alec. – Spójrz na mnie.

Starła się. Uniosła wzrok, a ich spojrzenia spotkały się na jedno mgnienie oka. Potem odwróciła głowę do okna.

– Kochanie. – Położył dłoń na jej nadgarstku. – Nigdy tak naprawdę nie rozmawialiśmy o tym, co zdarzyło się tamtego wieczoru.

Lacey cofnęła rękę.

– Ona nie żyje – ucięła. – To już nieważne.

– A ja uważam inaczej. Miałem mnóstwo wątpliwości, Lacey, i założę się, że ty też. Właśnie w taki sposób poznałem doktor Simon. Spotkałem ją przypadkiem, kilka tygodni temu, w pracowni. Przychodzi do Toma na lekcje witrażu. Poprosiłem, by opowiedziała mi, co się stało z mamą. To była długa rozmowa.

Lacey spojrzała na niego. Oczy miała czerwone.

– A teraz się z nią spotykasz czy co?

– Nie.

– To dlaczego wczoraj widziałam was razem?

– Zaprzyjaźniliśmy się.

– Obejmowałeś ją.

Na to nie znalazł już odpowiedzi. Nawet sobie samemu nie potrafił wytłumaczyć, co właściwie stało się poprzedniego wieczoru.

– Ona ma męża, Lace – odparł. – Obecnie są w separacji, ale prawdopodobnie wrócą do siebie. Jej mąż napisał ten artykuł o mamie w magazynie „Seascape”, pamiętasz?

Lacey zmarszczyła nos.

– Pomylił mój wiek.

– Tak?

– Zapomniałeś? Napisał, że mam dwanaście lat. Dwanaście! – Łypnęła oczami wielkimi jak spodki. – A miałam trzynaście i pół.

Alec uśmiechnął się, widząc to święte oburzenie.

Lacey zanurzyła łyżkę w misce i wyciągnęła ją z powrotem. Potem powtórzyła tę czynność. I jeszcze raz. Jak dotąd ani jedno ziarenko preparowanego ryżu nie trafiło do jej ust.

– Więc o czym rozmawiałeś wczoraj z tą lekarką? – zapytała.

– O latarni. – Alec opadł na oparcie krzesła. – Zgodziła się pomóc mi z wywiadami i wystąpieniami. Ma spore doświadczenie. Nawet dzisiaj jedzie ze mną do Norfolk.

Lacey przewróciła oczami i wstała od stołu, zabierając miskę. Zaniósła ją do zlewu.

– Nie będziesz jadła? – zdziwił się Alec.

– Straciłam apetyt. – Opłukała miskę wodą.

– A kto to jest Bobby? – zapytał.

– Znajomy. – Nie odwracając się do niego, wstawiła miskę do zmywarki.

– Może zaprosz go kiedyś do nas. Chciałbym lepiej go poznać.

Lacey obejrzała się. Wzrok miała ciężki, brwi ściągnięte.

– Tato, weź, zajmij się sobą – rzuciła, wycierając ręce w papierowy ręcznik. I wyszła.

* * *

Alec skręcił na podjazd wiodący do domu Olivii i uśmiechnął się na jej widok. Stała na werandzie w kostiumie o ciepłym morelowym odcieniu, który średnio komponował się z wiejską scenerią jej drewnianego domu, za to na

wywiad w Norfolk był idealny. On włożył garnitur.

Wysiadł z forda i obszedł go, żeby otworzyć jej drzwi. Ulżyło mu, kiedy po tych wszystkich nerwowych słowach, które padły poprzedniego wieczoru, zobaczył na ustach Olivii życzliwy uśmiech.

– Wyglądasz przepięknie – zauważył, siadając z powrotem za kierownicą. – Szczyt elegancji.

– Ty też – odparła. – Pierwszy raz widzę cię pod krawatem. Pasuje ci.

Kiedy jechali długim mostem łączącym ławice ze stałym lądem, odpytał ją jeszcze raz z wiedzy o latarni w Kiss River. Pierwsze słowa na temat poprzedniego wieczoru padły dopiero za granicą stanu, w Wirginii.

– Przepraszam za swoje zachowanie – powiedział Alec. – Jesteś jeszcze na mnie zła?

– Nie. Rozumiem, że poczułeś się niezręcznie.

– Chciałem cię przeprosić już wczoraj. Dzwoniłem, ale nie odbierałaś. – Dzwonił kilka razy, aż wreszcie o jedenastej dał za wygraną.

– Wyłączyłam wszystkie telefony.

Zmarszczył brwi.

– Żebym nie mógł się dodzwonić?

– Nie, Alec. – Uśmiechnęła się. Opalona skóra na grzbiecie nosa zaczynała już schodzić, wyglądała jak młodzianka dziewczyna. – Wydzwaniała do mnie jakaś dziennikarka z „Beach Gazette” i po prostu nie chciało mi się z nią rozmawiać.

– W jakiej sprawie?

Olivia wzruszyła ramionami i odwróciła głowę do okna, za którym ciągnęło się rozległe pole koloru turkusowego. Pośrodku tego pola stała wałcząca się stodoła.

– Nie mam zielonego pojęcia – odparła.

Dojechali do Norfolk kilka minut po dwunastej i zjedli obiad w restauracji niedaleko rozgłośni radiowej, gdzie miał się odbyć wywiad. Olivia zamówiła kanapkę z tuńczykiem, a potem poczęstowała się jeszcze kilka razy kanapką Aleca.

Uśmiechnął się do niej szeroko.

– Jesteś może z tych, którzy zajadają zdenerwowanie?

– Muszę teraz jeść za dwoje, pamiętasz? – przypomniała mu, po czym dodała: – I wcale się nie denerwuję.

Alec odprowadził Olivię do drzwi studia. Miał wyrzuty sumienia, że przed

wywiadem zostawia ją samą na całe czterdzieści pięć minut. Pożegnali się, a on pojechał do biblioteki publicznej na spotkanie z członkami Klubu Przyjaciół Latarni Morskich Stanów Środkowoatlantyckich.

Mówiąc do życzliwie nastawionych słuchaczy – przyszło około trzydziestu pasjonatów – pomyślał sobie, że to jest znacznie łatwiejsze niż wywiad w radiu. Bardziej przychylniej publiczności nie mógłby sobie życzyć, a kiedy skończył, kilku mężczyzn i dwie kobiety hojną ręką wypisało czeki na rzecz fundacji. Potem odpowiedział na kilka pytań i wrócił do swojego forda, gdzie szybko włączył radio, aby wysłuchać ostatnich dziesięciu minut rozmowy z Olivią. Gdy usłyszał, że oboje – ona i prezenter Rob McCain – śmieją się serdecznie, uznał, że wszystko idzie świetnie.

– Ma się rozumieć – mówiła właśnie Olivia – że kaprysy pogody to zaledwie część tego, z czym mamy do czynienia. Wszelkie decyzje podejmowane w sprawie latarni w Kiss River są uwarunkowane lokalną polityką, jak również względami technologicznymi oraz ekonomicznymi.

Alec zatrzymał się na czerwonym świetle i słuchał z uśmiechem, był pod wrażeniem.

– Koncepcja budowy wału nadmorskiego zyskała jednak spore poparcie – zauważył Rob McCain. – Czyżby z powodów politycznych?

– Nie bardziej niż inne zaproponowane rozwiązania – odparła Olivia. – Chęć zachowania latarni jest niezależna od podziałów politycznych, podobnie jak potrzeba finansowania. Wspiera nas młodzież szkolna, babcie, dyrektorzy oraz politycy. Wszyscy, którym leży na sercu uratowanie kawałka naszej historii.

Spodobało mu się, że w odniesieniu do komitetu używa słowa „my”, choć zazwyczaj był nieco zaborczy wobec tego klubu zapaleńców, który przecież sam stworzył. Od dzisiaj Olivia zdecydowanie jest jedną z nas, pomyślał.

* * *

Stała na chodniku przed wejściem do rozgłośni i wypatrywała znajomego forda bronco. Wywiad udał się nadzwyczajnie. Po przyswojeniu materiałów, które przygotował dla niej Alec, poczytała sobie jeszcze trochę i poczuła się pewnie w tym temacie.

Bronco wyjechał z za rogu i zatrzymał się pod studiem. Olivia wsiadła. Alec

powitał ją uśmiechem.

– Załapałem się na sam koniec – powiedział, włączając się do ruchu. – Świetna byłaś.

– Dzięki – odparła. – Podobało mi się.

W aucie panował upał. Olivia chętnie zdjęłaby marynarkę, gdyby nie fakt, że rano musiała spiąć spódnicę agrafką. Była w szoku, bo ledwie zdołała dopiąć agrafkę. Marynarka musiała zostać, bez względu na temperaturę.

– Niestety, klimatyzacja szwankuje – usprawiedliwił się Alec.

Uchyliła okno i obejrzała się na niego.

– A tobie jak poszło?

– W porządku. Słuchacze byli zachwyceni, ale coś mi się zdaje, że to ty powinnaś od tej pory występować z takimi odczytami. – Zerknął na nią. – Wbiłaś mnie w podłogę. Aż nie chce mi się wierzyć, że wyłącznie w pracy jesteś pewna siebie. Posiadasz wrodzoną charyzmę, przynajmniej ja tak uważam.

Olivia uśmiechnęła się.

– Nauczycielka, która mnie przygarnęła, kiedy uciekłam z domu, prowadziła w naszym liceum klub dyskusyjny.

Alec milczał dłuższą chwilę.

– Uciekałaś? – wydusił wreszcie. – Mówiłaś, że się wyprowadziłaś... – Obrzucił ją zdumionym wzrokiem. – Dlaczego? Czemu zdecydowałaś się na ten krok?

Ton jego głosu był bardzo łagodny. Pełen życzliwej ciekawości, bez śladu oskarżenia.

Olivia przygryzła wargę, zastanawiając się, jak odpowiedzieć. Alec spojrzał na nią znowu, wysoko unosząc brwi.

– Nie wiem, jaką wersję mam wybrać: pełną czy skróconą – mruknęła.

– Wolałbym pełną. Jeszcze kawał drogi przed nami.

Odetchnęła głęboko, opierając się o zagłówek.

– No dobrze – zaczęła. – Zostałam zgwałcona i natychmiast, tego samego dnia, wyprowadziłam się z domu – uciekłam. A ponieważ się bałam, już nie wróciłam.

– Ale dlaczego w takim momencie zerwałaś więź z rodziną? – Alec patrzył na drogę, ale brwi wciąż miał zmarszczone.

Milczała długą chwilę, szukając właściwych słów.

– Chcesz mi o tym opowiedzieć? – Zerknął na nią z ukosa.

– Tak.

– Więc spróbuj.

– Ten upał... – jęknęła głosem, który nawet w jej własnych uszach brzmiał dziecinnie.

Alec podkręcił mocniej klimatyzację, a z nawiewu popłynął obiecujący strumień chłodnego, lekkiego powietrza. Przejeżdżali akurat przez Chesapeake, za oknami migały kolejne fast foody, a w pewnym momencie ukazał się budynek szpitala. Olivia brała go pod uwagę po rezygnacji ze stanowiska w Washington General, ale oferta pracy w Outer Banks przyszła pierwsza.

– Dom, w którym się wychowałam, to była prawdziwa nora – zaczęła powoli. – Miał tylko dwa pokoje. Dzieliłam sypialnię z dwoma braćmi. Mama spała, a właściwie wegetowała, na kanapie w salonie. Po śmierci mojego ojca nie wyszła ponownie za mąż. Była... korpulentna i mawiała, że jedyny facet, który mieści się z nią na kanapie, nazywa się Jack Daniels. – Wargi Olivii rozciągnęły się w wymuszonym uśmiechu. Zerknęła na Aleca; obserwował jadące przed nimi samochody, a minę wciąż miał tak samo ponurą.

– Pewnego dnia wróciłam ze szkoły później niż zwykle – ciągnęła. – To było zimą, pamiętam, że szłam po ciemku. W naszym pokoju, razem z moimi braćmi, siedział Nathaniel, syn sąsiadów. W towarzystwie tego wielkoluda zawsze czułam się nieswojo. Miał siedemnaście lat, prawie dwa metry wzrostu, ważył sto dziesięć kilogramów, a jego ulubioną zabawą było strzelanie z wiatrówki do psów i kotów. Tak czy inaczej na mój widok wszyscy trzej nagle umilkli, domyśliłam się, że coś kombinują. Chciałam wyjść, ale Avery stanął w drzwiach, a Nathaniel krążył wokół mnie i mówił, że ślicznie wyglądam, że się... ładnie zaokrągliłam. I kiedy tak mnie mijał raz za razem, zaczął mnie dotykać. Lekko, o tak – musnęła palcami ramię Aleca – ale wszędzie, po całym ciele. To mnie zaskoczyło. Nie wiedziałam, gdzie za chwilę poczuję jego palce. Naprawdę się przestraszyłam. Rzuciłam się na Avery'ego z pięściami, żeby mnie wypuścił. Kiedyś dałabym mu radę, ale wtedy był już znacznie silniejszy, skończył siedemnaście lat, tylko się roześmiał. Któryś z nich coś powiedział, nie pamiętam co, ale zrozumiałam, że jestem częścią jakiejś ich umowy. Nathaniel zrobił coś dla nich albo dał im coś i miał dostać mnie w charakterze zapłaty.

– Jezu... – westchnął Alec.

Klimatyzacja znów zaczęła szwankować. Olivia z trudem łapała powietrze.

Opuściła szybę jeszcze odrobinę, ale rozgrzane powietrze i hałas były nie do zniesienia, więc zamknęła okno z powrotem.

– Nagle, bez uprzedzenia, Avery złapał mnie od tyłu i wykręcił ręce, a Nathaniel rozerwał mi bluzkę. – Przypomniała sobie, jak guziki grzechotały o deski podłogi, a potem toczyły się pod łóżko i komodę. – Szarpałam się jak wściekła, kopałam go, ale on w ogóle tego nie czuł. Podciągnął mi stanik pod szyję.

Znów odwróciła głowę do okna, wspominając tamten palący wstyd. Pamiętała, że dopiero od niedawna zaczęła przebierać się w szafie, żeby bracia nie widzieli.

– Olivio... – Alec potrząsnął głową i zjechał w prawo, na pas do skrzyżowania biegnący pod wysoką wieżą ciśnień, błękitną niczym niebo. – Nie musisz opowiadać dalej. Popełniłem błąd, że o to zapytałem.

– Chciałam, żebyś zapytał – odparła. Pragnęła wyznać mu wszystko, do końca, wyrzucić to z siebie. – Chcę, żebyś zrozumiał.

– W porządku. – Skinął głową.

– Nathaniel macał mnie po piersiach. Robił to brutalnie, wzywałam mamę, ale wiedziałam, że to nic nie da, więc krzyknęłam na Clinta, żeby mi pomógł. A on tylko siedział na łóżku i gapił się w podłogę. Potem pamiętam już tylko, że to ja znalazłam się na podłodze. Avery ściągnął ze mnie bluzkę w taki sposób, że rękawy skrepowały mi ręce i nie mogłam się ruszać. – Zadygotała. – To było straszne: nie mieć władzy w rękach. Do tej pory... nie znoszę czuć się unieruchomiona. Kiedyś Paul przytrzymał mnie za ręce, kiedy się kochaliśmy. Nie chciał mnie spłoszyć ani przestraszyć, ale ja mimo to zaczęłam krzyczeć.

Przypomniała sobie, jak płakał, gdy zrozumiał, że obudził jej najgorszy koszmar.

– Biedny – szepnęła Olivia. – Nie miał pojęcia, co zrobił.

Oparła skroń o nagrzaną szybę i poruszyła nerwowo biodrami, czując, że niedługo będzie musiała pójść do toalety. Ostatnio jej pęcherz był wiecznie pełny.

– No więc – podjęła – Nathaniel podciągnął mi sukienkę i zdjął majtki, a Avery wepchnął mi je do ust, żebym nie mogła krzyczeć. Zaczęłam się dławić. To wszystko było strasznie... upokarzające. Wciąż kopałam Nathaniela z całej siły i w końcu Avery zawołał Clinta, żeby pomógł mnie trzymać. – Opuściła głowę i przyglądała się leżącemu na kolanach dłoniom,

a w jej piersi na nowo odezwał się dawny ból. – Kiedy o tym myślę, to szkoda mi Clinta – przyznała. Do tej pory miała przed oczami zdezorientowaną minę swojego bliźniaka, który nie mógł się zdecydować, komu jest winien lojalność: bratu czy siostrze. Jeszcze rok wcześniej na pewno wybrałby Olivię, ale teraz miał już czternaście lat i akceptacja starszego brata była dla niego wszystkim. – On też płakał, ale mimo to ukląkł na podłozie i chwycił moją nogę. Avery trzymał drugą.

Nathaniel zawisł nad Olivią niczym kolos. Ten obraz zapisał się w jej pamięci w zwolnionym tempie: dłoń wielka jak patelnia sięga do rozporoka, ciągnie za suwak, wślizguje się do środka i wyjmuje ogromnego członka, prostego jak bagnet. Krzyknęła, ale knebel stłumił jej głos.

– Potem poczułam już tylko, jak te jego sto dziesięć kilo wali się na mnie. Nie mógł dostać się do środka.

Uderzał raz po raz, ale obijał się o nią tylko bezskutecznie i aż poczerwieniał z frustracji.

– Powiedział, że to... jakby pieprzyć dziurę w ścianie. Modliłam się, żeby przestał, ale tak się nie stało. Płakałam, krztusiłam się i nie mogłam nic zrobić rękami! – Chwyciła się dłonią za gardło. – Był strasznie ciężki. Miażdżył mnie. Pamiętam, jak Clint rzucił: „Nat, lepiej daj spokój”, ale on go chyba nawet nie usłyszał. I w końcu... – Wzruszyła ramionami. – W końcu poczułam, że moje ciało... pęka. Ból był potworny, a on robił to bardzo długo. Musiałam stracić przytomność, bo potem leżałam już sama na podłozie. Na sukience i na udach miałam plamy krwi. Krew była też na gałce w drzwiach.

Alec zdjął prawą rękę z kierownicy i wsunął palce do stulonej dłoni Olivii. Pogładził kciukiem jej kostki, a ona odwzajemniła się pełnym wdzięczności uściskiem.

– Uciekłam stamtąd do domu mojej nauczycielki Ellen Davison. Uczyła przedmiotów ścisłych. Nie powiedziałam jej, co się stało. Nigdy jej tego nie powiedziałam, ale ona przecież musiała się jakoś domyślić. Zachowywała się tak, jakby na mnie czekała. Miała wolny pokój, a w nim posłane łóżko i wszystko, czego trzeba. Po prostu wprowadziłam się do niej, a ona przeniosła mnie do innej szkoły. Już nigdy nie zobaczyłam nikogo z mojej rodziny.

– Boże, Olivio...

– Martwiłam się, co będzie z Clintem – ciągnęła. – Ale kiedy opuściłam dom, zaczęłam myśleć tylko o sobie. Na pierwszym roku college’u dotarła do

mnie informacja o śmierci mamy. Wiedziałam, że powinnam pojechać i sprawdzić, czy z Clintem wszystko w porządku, ale nie mogłam, po prostu nie mogłam. Bałam się Avery'ego, a poza tym... – Zmarszczyła nos. – Wyrwać się stamtąd kosztowało mnie tyle trudu, ale miałam przecucie, że jeśli tam wrócę, to już zostanę. I będę się bała, tak samo jak kiedyś. Wiem, że to nie ma sensu, ale...

– Jak to możliwe, że po tym, co zrobił Clint, ty wciąż troszczyłaś się o niego? – przerwał jej Alec.

– On właściwie nie przyłożył do tego ręki.

Zapłonął oburzeniem.

– Jak to: nie przyłożył ręki? Trzymał cię, kiedy inny facet cię gwałcił.

– Ale on...

– Powiedziałaś, że był tylko łagodnie upośledzony. Potrafił odróżnić dobro od zła?

– Tak, ale... Paul mówił, że powinnam dać mu szansę, żeby się zrehabilitował, że był wtedy jeszcze dzieckiem i...

– Nie! – Alec mocno ścisnął jej rękę. – To zbyt wiele. Tego się nie da wybaczyć. Nigdy.

Olivia przygryzła wargę.

– Annie nigdy nie odwróciłaby się od własnego brata – powiedziała. – Bez względu na przeszłość.

– Annie miała na sumieniu niejedno głupstwo popełnione w imię miłości bliźniego.

– Clint mnie potrzebował, i to bardzo. Kiedy się już usamodzielniałam i zdobyłam pozycję jako lekarz, naprawdę powinnam się do niego wybrać. Avery z całą pewnością nie umiał się troszczyć o brata. Moja własna matka tego nie potrafiła. Mieszkaliśmy w melinie, Alec. Gdybyś zobaczył ten dom, to chybaby cię zemdliło, a ja go po prostu tam zostawiłam. – Wysunęła palce z jego dłoni i odgarnęła grzywkę z czoła. – Kilka lat temu Ellen napisała mi, że podobno Clint nie żyje. Tak słyszała. Pewnie został alkoholikiem, jak nasza matka. Nikt mu nigdy nie powiedział, że alkohol może go zabić. Gdybym mu pomogła, pewnie jeszcze był żył. – Spojrzała na Aleca. – Opuściłam go.

– Zrobiłaś to, żeby przeżyć. Nie miałaś żadnego wyboru, do cholery.

Olivia zamknęła oczy, usiłując dopuścić do siebie te słowa, uwierzyć w nie. Potem westchnęła.

– Muszę iść do toalety. – Opuściła daszek przeciwsłoneczny, żeby przejrzeć

się w lusterku, i jęknęła na widok swojej twarzy. Nos miała czerwony, a cały tusz spłynął z rzęs na policzki, rysując na nich klinowate, szare trójkąty.

– Zatrzymamy się na najbliższej stacji benzynowej – obiecał Alec.

* * *

Wkrótce stanęli na parkingu małej stacji. W oczekiwaniu na Olivię Alec umył przednią szybę i zdjął marynarkę oraz krawat, a potem usiadł za kierownicą. Faktycznie, klimatyzacja w jego fordzie pozostawiała wiele do życzenia.

Nie mógł wyrzucić z głowy tego obrazu: rodzeni bracia trzymają Olivię za nogi, a siedemnastoletni dryblas ją gwałci. Tyle że on, tam, na tamtej podłodze, widział inną czternastolatkę: swoją córkę. Być może Olivia miała rację, trzeba jej trochę przykrócić cugli. On, jej ojciec, nie miał pojęcia, z kim Lacey się zadaje, z kim spędza wieczory. Dostawała od niego tyle samo wsparcia, co Olivia od swojej matki wegetującej na kanapie.

Olivia wsiadła z powrotem do auta. Zmyła makijaż. Po niedawnej opaleniznie nie było już śladu, jej cera znów przybrała odcień anemicznej bladości, a zielone oczy i smoliste rzęsy ostro kontrastowały z mlecznobiałą skórą. Nie umniejszało to jednak jej urody, raczej wręcz przeciwnie.

– Wszystko w porządku? – zapytał, kiedy zapinała pas bezpieczeństwa.

Skinęła głową. Była spocona, jej grzywka zwisała w mokrych kosmykach.

– Może zdejmiesz marynarkę? – zaproponował.

– Nie mogę. Spódnicę mam spiętą agrafką.

Alec wybuchnął śmiechem. To było przyjemne, przyniosło mu nieoczekiwaną, lecz bardzo pożądaną ulgę, ale Olivia nawet się nie uśmiechnęła.

– Myślisz, że mnie to przeszkadza? – zapytał. – Zdejmij ją. Potwornie tu gorąco.

Przytrzymał skraj marynarki, a Olivia pochyliła się, aby wyciągnąć rękę z rękawów.

– Lepiej? – zapytał. Przytaknęła.

Ruszyli w milczeniu. Dopiero po kilku minutach Alec zorientował się, że Olivia płacze: szlochała bezgłośnie z twarzą odwróconą do okna. Zjechał na pobocze i wyłączył silnik.

– Olivio... – Odpiął jej pas, a potem swój, i przytulił ją mocno. Gdy wczepiła się w niego na jedną chwilę, pod jej cienką białą bluzką poczuł wyraźnie spoconą, wilgotną skórę.

– Przepraszam – wyjąkała, gdy w końcu udało jej się dobyć głos z gardła. Odsunęła się odrobinę, pochylając głowę tak, że prawie musnęła nią jego wargi. Alec zamknął oczy i zanurzył usta w jej włosach, ciepłych i jedwabistych.

– Już tak dawno nikomu o tym nie mówiłam – szepnęła Olivia. – Wyrzuciłam to z pamięci. – Uniosła wzrok. Na jej rzęsach lśniły łzy. – Dziękuję ci za to, co powiedziałeś. Że nie mogłam w żaden sposób pomóc Clintowi. Przez wiele lat myślałam, że muszę znaleźć w sobie siłę, aby jakoś wznieść się ponad to, co mnie spotkało. Zapomnieć o przeszłości i pomóc mu, ale...

– Ale wiedziałaś, że nie dasz rady pomagać jemu i jednocześnie troszczyć się o siebie.

Skinęła głową.

– Boże, ten gwałt to był naprawdę dar od losu. Dzięki temu zdołałam się stamtąd wyrwać.

– Nie – zaprzeczył. – W ten czy inny sposób byś się w końcu wyrwała.

– Nie wiem. – Puściła go i opadła z powrotem na swój fotel. Oczy miała zamknięte. – To była moja furka, ale wiele mnie to wszystko kosztowało. –

Otworzyła oczy i zapatrzyła się w dal. – Bałam się mężczyzn, seks mnie przerażał i czułam się jeszcze bardziej beznadziejna niż wcześniej.

Jej profil, zauważył Alec, rysował się ostro, wyraziście na tle szyby.

– Ale teraz już sobie z tym poradziłaś, prawda? – zapytał.

Przytaknęła.

– Paul wszystko odmienił. Jego anielska cierpliwość.

No tak. Łatwo sobie wyobrazić, że Paul właśnie taki będzie.

Olivia uśmiechnęła się, a wzrok wciąż miała rozmarzony.

– Strasznie się denerwowałam – wyznała. – Wbiłam sobie do głowy, że rany po tym gwałcie nie zabiły się jak należy, że nikomu nie mogę pozwolić, żeby mnie dotykał albo uprawiał ze mną seks. Dlaczego? Bo nie wiedziałam, jak zniesie to moje ciało i jak zareaguję emocjonalnie. Paul był pierwszym człowiekiem, któremu mogłam zaufać, pierwszym, który był w stanie ze mną wytrzymać. Bardzo, bardzo chciałam się z nim kochać, ale i tak dopiero po czterech albo pięciu nocach udało się... dokończyć dzieła. Za każdym razem wchodził trochę dalej i musieliśmy przerwać, bo cała sztywniałam. –

Zarumieniła się, na jej białych policzkach błyskawicznie rozlały się czerwone plamy. Spojrzała na Aleca. – Krępuje cię, że tak o tym mówię?

– Nie – zaprzeczył prawie szeptem, a w każdym razie ciszej, niż zamierzał. – Lubię cię słuchać, a poza tym musisz mi mówić o Paulu, bo czasem, kiedy jesteśmy razem, zapominam o nim kompletnie.

Olivia przez moment patrzyła mu prosto w oczy.

– Pisał dla mnie wiersze. Każdego dnia przychodził z nowym rozdziałem poetyckiej kroniki naszych postępów. Raz było słodko i wzruszająco, innym razem metaforycznie: o łowcy, który podkrada się z oszczepem do swojej zdobyczy. – Parsknęła śmiechem. – W końcu to zrobiliśmy. W wieku dwudziestu siedmiu lat przeżyłam swój pierwszy orgazm, nie mając pojęcia, że to może być aż tak... mocne.

– Doszłaś za pierwszym razem? – Gdy tylko usłyszał, co palnął, zrozumiał, że to gruby nietakt, ale ona chyba nie poczuła się urażona.

– Tak – odpowiedziała. – Dla mnie to nic trudnego. Zawsze dochodzę, nie umiem inaczej.

– Szczęściara. Annie... – Ugryzł się w język, bo dotarło do niego, że nie potrafi mówić o tych sprawach równie otwarcie, jak Olivia. – Annie zawsze miała z tym problem – dokończył. – Po jakimś czasie zrozumiałem, że jej po prostu jest wszystko jedno. Nie przywiązywała wagi do seksu. Dla niej ważne było poczucie bliskości, obecność kogoś, komu na niej zależy. Mówiła, że bliskość jest lekarstwem, które musi brać, żeby poczuć się lepiej, a seks tylko skutkiem ubocznym zażywania tego lekarstwa.

Olivia zmarszczyła brwi.

– Przez tyle lat małżeństwa musiałeś zachowywać powściągliwość seksualną?

– Nie musiałem. Zapominasz, że moja żona była najbardziej szczodłą kobietą na świecie. Nigdy nie brakowało mi seksu. – Nagle poczuł wyrzuty sumienia, że tak otwarcie opowiada o Annie. – No, no... – Uśmiechnął się blado. – Nie do wiary, że tak sobie o tym rozmawiamy.

Olivia odpowiedziała uśmiechem. Przeciągnęła się, prostując rękę, i westchnęła.

– A może byśmy coś zjedli? – zaproponowała. – Padam z głodu i marzę o klimatyzacji.

Podczas kolacji trzymali się bezpiecznych tematów: spraw związanych z latarnią i przyszłymi wywiadami, których oboje mieli udzielić. Gdy ruszyli

w dalszą drogę, Olivia oparła głowę o szybę i zagłówek i zasnęła. Alec obudził ją tuż przed miastem Kitty Hawk, na moście nad cieśniną Currituck. Tak przepiękny zachód słońca żał było przegapić, bo niebo mieniło się niezwykłą, fioletowozłotą barwą. Otworzyli okna, a wewnątrz forda wypełniło się wilgotnym wieczornym powietrzem, przesyconym morskimi zapachami. Olivia odpięła pas i uklękła na fotelu, aby wyrzeć przez tylną szybę. Alec zauważył, że puściło jej oczko na łydce, a bluzka marszczy się nad spiętym agrafką paskiem spódnicy. Poruszony tym widokiem, wyciągnął rękę i lekko przesunął wierzchem dłoni po jej włosach.

Na drugim brzegu cieśniny Olivia usiadła z powrotem na fotelu, a Alec skręcił w Croatan Highway, trasą prowadzącą do jej domu.

– Dasz sobie radę sama dziś wieczorem? – zapytał.

– Tak. – Sięgnęła do torebki po klucze. – Kiedy mnie obudziłeś i poczułam powietrze z Outer Banks, od razu zrobiło mi się lepiej. – Odwróciła się do niego i oparła skroń o zagłówek. – Czuję, że to moje miejsce, chociaż mam tutaj tylko jednego przyjaciela, czyli ciebie.

Alec odpowiedział jej uśmiechem. A potem coś go tknęło i zawrócił na najbliższym skrzyżowaniu.

– Co robisz? – zapytała Olivia.

– Chcę ci coś pokazać. Zasłużyłaś sobie dzisiaj na to.

– Latarnia! – Domyśliła się, gdy zjechali na prawo, w kierunku Kiss River.

Na drodze prowadzącej do latarni było ciemno, a pod drzewami jechało się jak w zielonoszarym tunelu. Alec zatrzymał forda na małym parkingu, otoczonym krzewami woskownicy majaczącymi w mroku. Noc w Kiss River zapadała szybko, a latarnia już świeciła. Gdy wysiedli z samochodu, rozbłysk wydobył spośród cieni szarówki bladą, przejętą twarz Olivii.

– Trochę tu strasznie – powiedziała.

W oknach domu latarnika panowała nieprzenikniona ciemność, a kiedy ruszyli przez pole nadmorskich traw, w zasięgu wzroku nie było żywego ducha. Olivia wyciągnęła szyję i powędrowała wzrokiem do góry, aż na latarnę, gdzie świeciła lampa.

– Sześćdziesiąt cztery metry... Nie myślałam, że aż tyle.

Alec pokazał jej swoje klucze, wyciągając jeden z całego pęku.

– Mam go nielegalnie – wyznał. – Annie dostała go od Mary Poor wiele lat temu. – Otworzył drzwi i zniknął w ciemnym wejściu, szukając po omacku włącznika na ścianie.

– O Boże – westchnęła Olivia, kiedy wewnątrz zalało się światłem i zobaczyła kręcone schody. Przystąpiła próg i spojrzała w górę. – Dwieście siedemdziesiąt stopni.

– Na obcasach nie dojdiesz – zauważył Alec, a kiedy zdjęła szpilki, ruszył w górę. – Masz zawroty głowy? – Jego głos odbił się echem od pochyłych ceglanych ścian, malowanych na biało.

Olivia wspięła się wzrokiem po zalanych upiornym światłem stopniach, zataczających kręgi nad nimi.

– Przekonamy się – odparła.

Na trzecim podejście przystanęli, żeby mogła odetchnąć. W wąskim oknie widać było zarysy domu latarnika.

Im wyżej, tym kręgi schodów były coraz ciaśniejsze. Alec słyszał oddech Olivii i własny, tak samo głośny.

– Już prawie jesteśmy na górze – powiedział.

Gdy dotarli na ostatni wąski podest, otworzył drzwi na galerię i cofnął się o krok, by puścić Olivię przodem.

– Nadzwyczajne... – szepnęła. Powiew ciepłego wiatru musnął ich twarze. Uniosła głowę. – Patrz, jak blisko gwiazd! Och... – Wzdrygnęła się, bo lampa tuż nad ich głowami rozbłysła niespodziewanie. Alec się zaśmiał i, oparłszy łokcie na poręczy balustrady, omiół wzrokiem ocean. Blask księżycy kładł się na wodzie, a fale wyglądały jak migotliwe smugi czystego srebra mknące w stronę brzegu.

– Raz zamknąłem się tutaj z Annie na całą noc – odezwał się Alec. – Zrzuciłem klucz na ziemię.

– Specjalnie?

– Tak. – Nie chciało mu się wierzyć, że był kiedyś tak spontaniczny. – Siedzieliśmy tutaj do samego rana, aż Mary Poor weszła na górę i nas wypuściła.

Uśmiechnął się do wspomnień i nagle poczuł bliskość Annie. Gdyby był teraz sam, pewnie by z nią porozmawiał.

Olivia podeszła do niego i też oparła się o balustradę.

– Dziękuję ci – powiedziała. – Za to, że pozwoliłeś mi tutaj przyjść. Wiem, że to jest wasze miejsce, twoje i Annie.

Alec skinął głową, milcząco przyznając jej rację.

– Proszę bardzo – odparł.

Przez chwilę obserwowali jeszcze światła statków przemykających po

horyzoncie. Potem Alec odetchnął ostatni raz słonym powietrzem.

– Wracamy? – zapytał.

Olivia przytaknęła i wyszła na schody, ale on zatrzymał się, bo coś na ziemi przykuło jego uwagę.

– Chwileczkę – rzucił przez ramię, obszedł galerię i zatrzymał się od strony cieśniny. Zacisnął dłonie na chłodnej żelaznej poręczy, przeczesując wzrokiem ciemność rozlaną pomiędzy domem latarnika a lasem. Kolejny rozbłysk białego światła sięgnął stóp wieży i ukazał sylwetę spychacza, a obok – dwie świeże, głębokie bruzdy wycięte w ziemi.

* * *

Odprowadził Olivię pod same drzwi. Wyciągnął rękę, a ona podeszła i wtuliła się w jego ramiona. Pocałował ją delikatnie w skroń.

– Dziękuję za pomoc – powiedział.

Cofnęła się o krok, a na jej ustach rozkwitł uśmiech.

– To ja dziękuję tobie. Chyba się nie spodziewałeś, że tak się skończy. – Przekręciła klucz w zamku i odwróciła się jeszcze do niego. – Nie musisz dzisiaj do mnie dzwonić, Alec.

– Masz mnie dość na jeden dzień?

– Nie. – Zawahała się przez chwilę. – Po prostu czułam, że się dzisiaj bardzo zbliżyliśmy, i nie wiem, czy to na pewno jest dobre.

Serce zabiło mu mocniej, a potem przyszła myśl o Annie.

„Czy mógłbyś poczekać rok?”

Skinął głową.

– W takim razie pogadamy jutro.

Wrócił do domu, który okazał się całkiem pusty. Odgrzał sobie w mikrofalówce kawałek mrożonej pizzy i usiadł przy stole w kuchni, po czym otworzył poranne wydanie „Beach Gazette”. Natychmiast rzuciło mu się w oczy zdjęcie Annie, na pierwszej stronie, w prawym górnym rogu. Odłożył pizzę i podniósł gazetę ze stołu. Nagłówek krzyczał wielkim, tłustym drukiem: PRACOWNICY POGOTOWIA RATUNKOWEGO Z KILL DEVIL HILLS OSKARŻENI O PRÓBĘ ZATUSZOWANIA FAKTÓW W SPRAWIE ŚMIERCI ANNIE O’NEILL. Alec przeczytał artykuł dwa razy, a jego dłonie powoli zaciskały się w pięści. Potem zerwał się, chwycił klucze od

samochoodu i wypadł z domu.

Rozdział trzydziesty

Olivia z ulgą wyswobodziła się z kostiumu i pończoch. Weszła pod prysznic, a woda spłukała z niej najbardziej dokuczliwe pozostałości długiego dnia. Potem owinęła się szlafrokiem, zaparzyła sobie herbatę i usiadła przy stole w kuchni, gdzie rozłożyła elementy witraża wycięte na ostatnich zajęciach w pracowni. Właśnie owijała wygładzone krawędzie szklanej płytki folią miedzianą, gdy nagle ktoś zastukał do drzwi od ulicy. Uniosła głowę, wystraszona, bo w tym stukaniu brzmiała wielka złość.

Odłożywszy szkło na stół, przeszła do salonu. Było tam całkiem ciemno, tylko z drzwi do kuchni sączyło się przyćmione światło. Zbliżyła się na palcach do okna najbliżej drzwi i wyjrzała na zewnątrz. Na oświetlonej lampą werandzie stał Alec. Miał na sobie białe szorty i granatową koszulkę z krótkim rękawem. Uniósł dłoń zaciśniętą w pięść, by zastukać jeszcze raz.

Olivia zaciągnęła mocniej pasek od szlafroka i otworzyła drzwi.

– To ty? – zdziwiła się.

Alec wszedł do salonu i cisnął na stół poranny numer „Beach Gazette”.

– Widziałaś to? – zapytał. Był zły. Olivia cofnęła się, bo jego oczy lśniły blaskiem, którego nie znała.

Wzięła gazetę ze stołu i obróciła ją do światła padającego z kuchni. Przeczytała nagłówek: PRACOWNICY POGOTOWIA RATUNKOWEGO Z KILL DEVIL HILLS OSKARŻENI O PRÓBĘ ZATUSZOWANIA FAKTÓW W SPRAWIE ŚMIERCI ANNIE O’NEILL.

– Zatuszowania faktów? – Zmarszczyła brwi. – Nie rozumiem, o co chodzi, Alec.

Wyrwał jej gazetę z rąk.

– Okazuje się, że w swojej opowieści o tym, co się działo, kiedy Annie przywieziono na pogotowie, pominęłaś kilka szczegółów. – Jego głos wrzał ledwie powstrzymany gniewem.

Olivia otuliła się szczelniej szlafrokiem. Przypomniały jej się nagrane przez

dziennikarkę wiadomości, które skasowała poprzedniego wieczoru. Niestety, zrozumiała, o co może chodzić. Z całą pewnością nie było żadnej „próby zatuszowania faktów” w kwestii zabiegów, którym poddano Annie O’Neill, ale wszyscy obecni przy zabiegu wiedzieli, że lepiej nie dyskutować o tym na forum publicznym. Niektórzy – w tym kilka osób z personelu pogotowia – uważali, że próba ratowania życia rannej podjęta przez Olivię była nedorzeczna. Lekkomyślna. Alec znał się na medycynie wystarczająco dobrze, aby dojść do podobnego wniosku po zapoznaniu się z odmiennym punktem widzenia.

Patrzył na nią teraz tym samym oskarżycielskim wzrokiem, który znała z jego zdjęcia wiszącego w pracowni. Bardzo jej zależało, aby to zmienić, aby znów się do niej uśmiechnął. Wiedziała, że jeszcze chwila, a straci coś, co stało się dla niej niezwykle cenne. Jego przyjaźń. I jego zaufanie.

– Przeczytać ci? – zapytał Alec i nie czekając na odpowiedź, zaczął: – „Olivia Simon pracuje w pogotowiu ratunkowym w Kill Devil Hills i jest jednym z lekarzy ubiegających się o stanowisko kierownika tej placówki. Jak twierdzi doktor Jonathan Cramer z pogotowia, który także ma szansę objąć tę funkcję, doktor Simon jest zamieszana w próbę zatuszowania faktów dotyczących śmierci jednej z najbardziej znanych i lubianych mieszkanek Outer Banks, Annie Chase O’Neill. »Doktor Simon popełniła poważne błędy w ocenie sytuacji«, powiedział wczoraj doktor Cramer. »Często samowolnie podejmuje decyzje«. Jako konkretny przykład ma służyć przypadek pani O’Neill, która w dniu Bożego Narodzenia ubiegłego roku została postrzelona w schronisku dla kobiet w Manteo, gdzie pracowała charytatywnie. Mówi doktor Cramer: »W takich przypadkach zwykle stabilizuje się ranego i wysyła helikopterem do szpitala Emerson Memorial, który dysponuje sprzętem koniecznym do leczenia poważnych urazów. Tutaj nie jesteśmy w stanie poradzić sobie z czymś takim. Mimo moich nalegań, aby przygotować raną do transportu, doktor Simon postanowiła wykonać zabieg na miejscu. Annie O’Neill nie miała najmniejszych szans”.

– Och, Alec, to jakiś absurd – powiedziała Olivia, ale on nie przerwał, czytał dalej. Powoli stawało się jasne, że ten jeden artykuł może przekreślić jej szansę na stanowisko kierownika pogotowia.

– „»Doktor Simon przez dziesięć lat pracowała w oddziale ratunkowym szpitala Washington General. Jest przyzwyczajona do specjalistycznego sprzętu«, powiedział doktor Cramer. »Nie rozumie ograniczeń tak małej

placówki jak nasza«. Michael Shelley, obecny kierownik samodzielnej jednostki pogotowia w Kill Devil Hills, zaprzeczył, jakoby miało dojść do próby zatuszowania faktów, i powiedział, że cała sprawa została sztucznie rozdmuchana. Nie udało się nawiązać kontaktu z doktor Simon”.

Alec skończył czytać.

– A czemu się nie udało? – zapytał zjadliwym tonem. – Bo, jak wiemy, doktor Simon wyłączyła telefon. – Rzucił gazetę na stolik i zmierzył Olivię ciężkim wzrokiem. – Dlaczego mi nie powiedziałaś, że była różnica zdań w kwestii, co zrobić z Annie? Dlaczego ukryłaś to przede mną?

Olivia opadła bezsilnie na najbliższe krzesło i uniosła głowę, aby spojrzeć na niego. Stał na środku pokoju, w kałuży światła wpadającego przez drzwi do kuchni, jak aktor uchwycony reflektorem punktowym.

– Alec – potrząsnęła głową. – Nikt niczego nie tuszował. Nie powiedziałam ci o tej różnicy zdań, bo dla mnie – dla mnie – nie było innego wyboru. Jonathan Cramer mnie nie lubi i boi się, że to ja zostanę wybrana na kierownika placówki. Chce mi zaszkodzić.

– W tej chwili nic mnie nie obchodzi, co on chce ci zrobić. Pytam o to, co się stało z moją żoną.

– Już ci wszystko wyjaśniłam...

– Przedstawiłaś to tak, jakby to było jedyne wyjście.

– Tak sądziłam.

Alec zrobił kilka kroków w bok, wrócił, stanął z powrotem w świetle.

– To dla mnie zawsze był czysty obłąd, że jeden lekarz, na własną rękę, podjął się operacji na otwartym sercu, niezależnie od tego, czy miał potrzebny sprzęt, czy nie. Starłem się o tym nie myśleć, ale ten artykuł po prostu... –

Potrząsnął głową i odwrócił się, znów spoglądając na Olivię. – Dlaczego nie wysłałaś jej do Emersona?

„Wina za jej śmierć spadnie na ciebie”.

– Uważałam, że nie ma szans przeżyć transportu i...

Alec wyciągnął rękę i wskazał leżącą na stoliku gazetę.

– Tamten facet uznał, że miałyby wtedy większą szansę przeżycia, a pracuje tam dłużej niż ty. Nie przyszło ci do głowy, że może wiedział, co mówi?

– Naprawdę uważałam, że operacja...

– W takich warunkach nie robi się operacji, Olivio. Nie trzeba być stypendystą Rhodesa, żeby to wiedzieć. W takich warunkach się intubuje, podpina parę kroplówek i jak najszybciej wysyła dalej. – Stał nad nią,

a jego uniesiony głos kłuł ją boleśnie w uszy. – Gdybyś wysłała ją do Emersona, może miałyby szansę. Może by przeżyła.

Po policzkach Olivii pocięły łzy. Uniosła oczy na Aleca.

– Jonathan się wystraszył – powiedziała. – Nigdy w życiu nie widział takiej rany i nie miał pojęcia, co robić. Zastanów się, Alec. Proszę, zastanów się. Ona miała serce przebite na wylot. Tam były dwie dziury. O tym Jonathan już nie wspomniał dziennikarzom. Jak chcesz ustabilizować raną z dwoma dziurami w sercu? Nie miałam wyboru, musiałam operować. Ona by umarła w helikopterze. Byłam tego absolutnie pewna. Wykrwawiała się błyskawicznie.

Umilkła. Alec, który wciąż stał nad nią, dyszał ciężko, oczy miał zmrużone i złe, ale słuchał, co mówi Olivia.

– Kiedy powiedziałam, że powinniśmy operować, Jonathan wyszedł z sali zabiegowej. Zostawił mnie samą. Wiedziałam, że decyzja o operacji, zwłaszcza na własną rękę, oznacza ryzyko. Wiedziałam, że z prawnego i medycznego punktu widzenia sprawa jest dyskusyjna, ale pod względem etyki lekarskiej nie miałam wątpliwości. – Otarła mokry policzek wierzchem dłoni. – To byłoby bardzo proste, wysłać ją dalej i pozbyć się odpowiedzialności, ale wtedy ona by umarła. Uważałam, że postępuję słusznie, a gdyby udało się jakoś zamknąć otwór wylotowy z tyłu serca, Annie naprawdę miałyby szansę przeżyć. – Ręce zaczęły jej drżeć, a wspomnienie tamtej chwili rozgrzało jej palce do czerwoności. Znowu spojrzała na Aleca. – To był najtrudniejszy zabieg w moim życiu.

Jego pierś wciąż unosiła się i opadała w szybkim tempie, ale wzrok zaczął łagodnieć. Wyciągnął ręce, położył dłonie na jej ramionach, podniósł ją z krzesła i w milczeniu przygarnął do siebie, wciągając w krąg światła.

– Nawet nie wiesz, jakie to było trudne, Alec – szepnęła, wtulając twarz w jego ramię. – Nie możesz tego wiedzieć.

– Przepraszam cię. – Pocałował ją w czubek głowy. – Naprawdę mi przykro, Olivio. Przeczytałem ten artykuł i po prostu... wpadłem w szal. Myślałem, że mnie oszukałaś. Że zataiłaś coś przede mną. – Westchnął. – Chyba wciąż szukam kogoś, kogo mógłbym winić za jej śmierć.

Olivia odchyliła głowę, spojrzała mu w oczy.

– Alec, proszę cię, porozmawiaj z Mikiem Shelleyem. Zapytaj pielęgniarek, które wtedy miały dyżur. Musisz mi wierzyć, potrzebuję tego.

– Wierzę ci – zapewnił. – Wierzę.

Olivia znów oparła czoło o jego ramię i stali tak przez chwilę, może dłużej. Zamknęła oczy. Stopniowo zaczęło do niej docierać, że jego oddech stał się głębszy i szybszy. Alec odsunął się odrobinę, lekko podłożył jej palce pod brodę, unosząc twarz, a potem musnął ustami jej skroń, oczy, mokre policzki. Odwróciła głowę, tak aby następny pocałunek sięgnął ust.

Po gniewie nie było już ani śladu, a w jego miejsce pojawił się żar. Alec uniósł ręce, rozwiązał pasek jej szlafroka i rozchylił nieco jego poły. Potem cofnął się o pół kroku i przesunął kostkami palców pomiędzy piersiami Olivii.

– Ładne – powiedział, wędrując palcem po złotym łańcuszku, który miała na szyi. Zdjął koszulkę i rozsunął poły jej szlafroka szerzej, aż wreszcie piersi wyrzały spod aksamitnej tkaniny i białe światło padające z kuchni oblało nagą skórę kobiety. Czują, jak głęboko w jej ciele budzi się potężny głód. Alec położył dłonie na jej piersiach, a ona wygięła plecy w łuk, chłonąc delikatny dotyk jego palców.

Zsunął szlafrok z jej ramion i upuścił go na podłogę. Tkanina otoczyła jej stopy niczym miękkie kopiec. Ciało Olivii topiło się, rozpływało. Sięgnęła do jego szortów, z wahaniem naciskając wierzchem dłoni miejsce, gdzie poczuła jednoznaczność twardości.

– Tak... – szepnął jej Alec prosto do ucha, parząc skórę gorącym oddechem.
– Proszę...

Olivia odwróciła dłoń i wtedy jego ciałem wstrząsnął dreszcz. Napał silnie na jej rękę i opuścił dłonie. Lekko rozchyliła uda, czekała na jego dotyk, spragniona do bólu, ale on zatrzymał palce na jej zaokrąglonym brzuchu i w jednej chwili cały zastygł. Zaciśnęła mocniej palce, lecz nic to nie dało, bo już się odsuwał, już łapał ją za ręce i unosił je, przyciskał do swojej piersi. Światło padające z kuchni zamigotało na złotej pleciance jego ślubnej obrączki.

– Co my robimy, Olivio? – Potrząsnął głową. – Ty masz męża, a ja cały czas czuję się tak, jakbym wciąż jeszcze miał żonę. Twój mąż to mój znajomy. Urodzisz jego dziecko.

Pochylił się, muskając włosami jej udo. Podniósł z podłogi szlafrok i zarzucił go jej na ramiona, zaciągnął na piersi, zawiązał pasek. Olivia oblała się rumieńcem wstydu na myśl, że to on się wycofał, nie ona. Ona była zdecydowana, gotowa.

Objęła się ramionami, a Alec spojrzął jej w oczy. Twarz miał poważną i surową, jak tamtego dnia, kiedy się poznali.

– Przez jakiś czas może lepiej się nie spotykajmy – powiedział. – Dzisiaj mieliśmy trochę zbyt dużo wrażeń, tak ogólnie. Myślałem, że po prostu się przyjaźnimy, ale przyjaciele nie robią takich rzeczy jak my przed chwilą i... Jesteś teraz bardzo podatna na zranienie, ja też. Współpracuję z twoim mężem... – Spojrzał na nią z nagłą irytacją. – Powiedz coś, Olivio.

Spuściła głowę, wciąż oplatając się ramionami. „Mój mąż spał z twoją żoną”, cisnęło się jej na usta, ale ugryzła się w język. Chciała, żeby dowiedział się, dlaczego tak trudno było jej wtedy, tamtego wieczoru w pracy. Chciała, aby dzielił z nią ten ból.

– Dobrze. – Uniosła głowę, ale nie mogła spojrzeć mu w oczy, więc pochyliła się, żeby podnieść z podłogi jego koszulkę.

Alec szybko się ubrał.

– Pójdę już – odezwał się. Odprowadziła go do drzwi. Nogi trzęsły się pod nią, a głęboko w piersi czuła ogromną, ziejącą pustkę. W głowie jej szumiało. Mogła to być zapowiedź mdłości.

Alec otworzył drzwi i obejrzał się jeszcze na nią. Światło lampy na werandzie odbiło się w jego bladobłękitnych oczach.

– Może wpadniesz kiedyś na spotkanie komitetu – zaproponował, wyciągnął rękę i musnął palcami jej ramię. – To by mi pomogło, gdybym zobaczył was razem, ciebie z Paulem. Wam też może pomóc. Rozumiesz, taka wspólnota interesów.

– Nie. – Wzdrygnęła się na myśl o spotkaniu we trójkę. – Nie dam rady. – Obejrzała się przez ramię. – Przynieść ci twoją gazetę?

Alec spojrział w kierunku stolika, błędząc wzrokiem po ciemnym salonie. Potrząsnął głową.

– Wyrzuc ją – powiedział, po czym dodał z ledwie widocznym uśmiechem: – Albo wyłóż ją kuwetę dla Sylvie.

* * *

Byłoby lepiej, gdyby próbowała mi się oprzeć, myślał, ale to nie było fair, wymagać tego od niej. Gdybym nie natrafił dłońmi na tę niedużą, twardą krągłość jej brzucha, jakże dobitnie przypominającą o jej mężu, przepadłbym z kretesem. A na najbliższym spotkaniu komitetu nie umiałbym spojrzeć Paulowi w oczy.

Włączył radio w samochodzie i pstrykał przełącznikami, szukając jakiejś piosenki, przy której mógłby sobie podśpiewywać i przeczekać, aż przejaśni mu się w głowie, ale wszędzie była tylko muzyka klasyczna, reklamy i jakieś nieznanne mu kawałki. Po powrocie do domu wszedł pod prysznic i puścił wodę, dodając więcej zimnej, żeby ochłonać. Niestety, zanim skończył się wycierać, rozmyślał już tylko o jednym: o dłoni Olivii, jej palcach gładzących napiętą tkaninę jego szortów. Aby wymazać z pamięci ciała te przeżycia, wyrzucił z głowy te myśli, poszedł do spiżarni i znalazł to, czego potrzebował – butelkę tequili, która została po jakimś przyjęciu, które urządzili latem z Annie; tequila była potrzebna do margarity. Otworzył ją i pociągnął mocno. Jasna cholera, co za trucizna. Wmusił w siebie jeszcze jeden łyk i poszedł do sypialni, żeby zrzucić ubranie i położyć się do łóżka. Butelki nie wypuścił z dłoni, wciąż ścisnął ją w pięści za szyjkę.

Pamiętał tamto przyjęcie. Annie zrobiła fajitas z grillowanym kurczakiem, a on mieszał margarity. Tom Nestor koszmarne się upił; Annie obserwowała go uważnie, aż w końcu poprosiła męża, żeby dawał mu słabsze drinki. Tom należał do tych, którzy po alkoholu stają się zupełnie innymi ludźmi. Robił się płaczliwy, wywnętrzał się z osobistych problemów przed każdym, kto tylko chciał słuchać, a tamtego wieczoru zaczął się żalić na kobietę, z którą się aktualnie spotykał; lamentował, że się z nim pokłóciła, psuł wszystkim zabawę. Annie starała się go uciszyć.

– Język ci się rozwiązał, Tom – ostrzegła go. – Kiedy wytrzeźwiejesz, przekonasz się, że napytałeś sobie biedy.

Ale on nie mógł przestać i biadolił aż do samego rana, bo Annie nie pozwoliła mu wsiąść do samochodu i wrócić do domu. Pościeliła dla niego łóżko w pokoju gościnnym, ale rano znaleźli go skulonego na podłodze w salonie, pod owalnymi witrażowymi okienkami.

Alec leżał nieruchomo, nie odpędzając wspomnień, które pojawiały się i znikwały. Alkohol nie podziałał jednak w żaden sposób na jego wzwód, tylko zamieszał mu w głowie, pozbawił kontroli nad obrazami, które napływały mu przed oczy: zobaczył piersi Olivii, białe i gładkie w świetle wlewającym się przez drzwi, cienką pętlę płynnego złota opadającą pomiędzy nimi i sutki, twarde pod jego palcami niczym bryłki cennego kruszcu. Łyknął jeszcze raz tequili, ze wszystkich sił przywołując z pamięci twarz Annie, poczucie jej obecności, ale nie udało się. Zrezygnowany, wsunął rękę pod kołdrę, wiedząc, że wyobraźnia oszuka zmysł dotyku wizją ciepłego, niosącego pocieszenie

ciała Olivii.

Orgazm był niczym wściekły wybuch. Strugi ciepłych łez polały mu się na skronie.

– Annie – wyszeptał. – Nie chcę już dłużej być sam.

Zapadł w sen, głęboki, niespokojny. Śniła mu się latarnia: dwudziestu robotników wyciągało ją z ziemi i najpierw brało na ramiona, potem ustawiało na torach, a ona chwiała się i skrzypiała. Rozległy się wiwaty zgromadzonych ludzi, a jemu serce omal nie wyskoczyło z piersi. Robotnicy przymocowali do ścian latarni liny na blokach i tak szlachetna biała wieża rozpoczęła swoją powolną wędrówkę w głąb lądu. Alec jako pierwszy usłyszał trzask i dostrzegł zaprawę sypiącą się spomiędzy cegieł. Wymachiwał rękami i krzyczał „Stać!”, ale robotnicy nie usłyszeli, bo zagłuszyły go radosne okrzyki tłumu. Nagle olbrzymie fragmenty muru runęły na ziemię, wirowały w zwolnionym tempie i wbijały się w piach. Alec chciał biec do latarni, ale była tam Annie, która chwyciła go za rękę i choć zagłuszał ją huk walącej się wieży, z ruchu warg odczytał słowa: „Pozwólmy jej odejść”.

– Nie! – krzyknął i usiadł na pościeli. Był zlany potem i ciężko dyszał.

– Tato? – Zza drzwi sypialni dobiegł go głos Lacey. To pewnie on go obudził. Alec przetarł dłońmi twarz, usiłując otrząsnąć się ze snu.

– Tak? – odpowiedział, tak cicho i bezdźwięcznie, że nie wiedział, czy w ogóle słyhać go za drzwiami.

– Mogę wejść? – poprosiła głosem małej dziewczynki. Miał wrażenie, że jeśli teraz otworzy, zobaczy na progu rudowłosą sześć-, siedmiolatkę.

Głowa pękała mu z bólu. W pokoju było ciemno, światło rzucał tylko wyświetlacz elektronicznego budzika. Gdy trafił dłonią na zimną, mokrą plamę na prześcieradle, przez chwilę myślał, że spił się jak bela i zmoczył we śnie, ale zaraz przypomniał sobie. W pokoju śmierdziało tequilą, potem i spermą. Nie może pozwolić, by Lacey tu weszła.

– Tatusiu, muszę z tobą porozmawiać. Proszę cię.

– Chwileczkę, Lace, zaraz wyjdę.

Wstał z łóżka i po omacku zaczął szukać swoich szortów. Kiedy wkładał je na siebie, nagle zakręciło mu się w głowie i chwyciły go mdłości. Zdążył na czas do łazienki, gdzie zwymiotował dwa razy. Usiadł na podłodze i oparł się o cudownie chłodne kafelki na ścianie. Postanowił, że posiedzi tak przez chwilę, tylko kilka minut i poczeka, aż zawroty głowy ustaną.

Po jakimś czasie wstał niepewnie, sprawdzając, czy ma władzę w nogach

i poczucie równowagi. Wszystko w porządku. Umył zęby i znalazł koszulkę. Budzik na nocnym stoliku pokazywał trzecią piętnaście. Trzecia piętnaście? Widocznie odpłynąłem w tej łazience, pomyślał. Otworzył drzwi sypialni i ruszył do pokoju Lacey przez ciemny korytarz. Po drodze zatoczył się, wystraszony, gdy o jego nogi otarł się w przelocie jeden z domowych kotów. Zapukał do drzwi, a nie doczekawszy się odpowiedzi, otworzył i wszedł. W środku paliło się górne światło, ale Lacey leżała w ubraniu na nieposłanym łóżku, cuchnęło od niej piwem, tak mocno, jakby się w nim kąpała. Spała przytulona do swojej porcelanowej lalki.

Alec wyjął z szafy koc i przykrył nim córkę. Następnie usiadł na skraju łóżka i delikatnie potrząsnął ją za ramię.

– Lacey?

Jej powieki ani drgnęły, a oddech wciąż był głęboki, miarowy. Alec zrozumiał, że zawałił sprawę. Chciała z nim porozmawiać. Mówiła, że musi, prawda? I nawet powiedziała do niego „tato”. Ale nie mogła na niego liczyć.

Piła alkohol. To oczywiste. Wiedział, że będzie musiał przeprowadzić z nią poważną rozmowę, ale tak, żeby uniknąć kolejnej kłótni. W sumie ucieszył się, że zasnęła. Miał trochę czasu, żeby przemyśleć, co zrobi. Nie zamierzał rano krzyknąć na córkę, nie chciał dopuszczać gniewu do głosu. Lepiej zrobić to tak jak Annie: przede wszystkim najpierw powie, że ją kocha.

Odgarnął z czoła Lacey kosmyk czarnych jak smoła włosów. Pod spodem płonęła wyraźna linia rudych odrostów. Wstał z ciężkim westchnieniem i wyłączył światło, zostawiając córkę samą, z zimną porcelanową lalką w ramionach.

Rozdział trzydziesty pierwszy

Rano obudził go telefon. Dzwoniła Nola.

– Czytałeś wczorajszy numer „Beach Gazette”, mój drogi? – zapytała.

Alec odwrócił się na bok, by spojrzeć na budzik, i skrzywił się z bólu, bo butelka z tequilą wbiła mu się w zębra. Było już wpół do dziesiątej. W głowie dudniło mu tak, jakby ktoś wiercił tam dziurę wiertarką.

– Czytałem – rzucił do słuchawki.

– Ale się wkurzyłam! Wyobrażam sobie, jak strasznie się poczułeś. Pozwiesz ich do sądu?

Alec przewrócił oczami.

– Rozmawiałem z Olivią Simon – powiedział. – Podjęła tę decyzję, bo uznała, że tak będzie najlepiej. Uważam, że miała rację. A przy okazji, wiesz, kim ona jest?

– Olivia Simon?

– Tak. To żona Paula Macellego.

– Żartujesz? Nie wiedziałam, że on jest żonaty.

Wydawało mu się, że w jej głosie słyszy rozczarowanie. Być może sama miała na niego chrapkę.

– Są w separacji, ale mnie się wydaje, że to chwilowe. – Zamierzał powiedzieć coś więcej i odetchnął głęboko, szykując się na to, co usłyszy w odpowiedzi. – Wczoraj Olivia pojechała ze mną do Norfolk.

Nola milczała tak długo, że już myślał, że się rozłączyła.

– Naprawdę? – zapytała w końcu.

– Mhm. Występowała kiedyś w mediach, więc poprosiłem ją, by udzieliła wywiadu w radiu.

I znów długie milczenie.

– Alec, przecież ja mogłam to zrobić.

Nawet nie pomyślał, żeby ją poprosić. Nie wytrzymałby chyba z nią aż tak długo sam na sam.

- Ale ty w sobotę miałaś dużo pracy.
- Owszem, ale czy Olivia Simon w ogóle coś wie o latarni, czy ją to obchodzi? Poza tym teraz, kiedy się rozniosło, że źle zajęła się Annie... to trochę tak, jakby pójść do łóżka z wrogiem, nie uważasz?
- Nie, Nola – roześmiał się. – To raczej mało trafne porównanie.
- No cóż, mój drogi, w każdym razie sądzę, że to nie przejdzie bez echa. Odebrałam wczoraj mnóstwo telefonów od zbulwersowanych ludzi, którzy nie chcą tej sprawy tak zostawić.
- Alec westchnął.
- Spróbuj jakoś rozładować te emocje, dobrze, Nola? Annie odeszła i już nie wróci.
- W kuchni zastał Claya. Chłopak siedział samotnie przy stole i jadł melona nadziewanego twarogiem. Na ten widok Alec poczuł, jak żołądek podjeżdża mu do gardła. Włożył do tosterka dwie kromki pieczywa i zrobił sobie czarną kawę, a potem usiadł naprzeciwko syna.
- Lacey już wstała? – zapytał.
- Nie – mruknął Clay, spoglądając na niego. – Wyglądasz, jakbyś spał na wysypisku odpadów toksycznych.
- Dzięki. – Alec potarł dłonią podbródek. Nie chciało mu się ogolić i jeszcze się nawet nie wykąpał. Musiał najpierw zobaczyć się z Lacey i pilnował, by nie przegapić stosownej chwili.
- Clay wbił łyżkę w miąższ melona.
- Tato, podjąłem decyzję – oznajmił. – Nie idę w tym roku do college'u.
- Słucham? – Toster szczęknął i wyrzucił przypieczone kromki, lecz Alec nawet się nie obejrzał.
- Zostanę na razie w domu. Dużo uczniów tak robi.
- Masz średnią pięć zero, dostałeś stypendium na Uniwersytecie Duke'a, a wolisz siedzieć w domu i sprzedawać deski surfingowe?
- Clay wbił wzrok w talerz.
- Chyba przydam się tutaj – odparł. – Wydaje mi się, że Lacey mnie potrzebuje.
- Żyjecie jak pies z kotem – zaśmiał się Alec.
- To nie znaczy, że ona mnie nic nie obchodzi. Boję się, że jak wyjadę, to ona zajdzie w ciążę albo zacznie ćpać czy coś.
- Alec wyciągnął rękę ponad stołem i położył dłoń na ramieniu syna.
- Clay, co się dzieje? – zapytał. – Boisz się wyprowadzić z domu?

Chłopak strząsnął jego rękę z ramienia.

– Tak, boję się – przyznał. – Ale nie o siebie.

– Idziesz do college’u – oświadczył ojciec. – Dam sobie radę z czternastolatką.

Clay uniósł wzrok. Zaskoczony Alec dostrzegł łzy w jego oczach. Odkąd jego syn przestał być dzieckiem, tylko raz widział, jak płacze: w dniu śmierci Annie.

– Byłeś najlepszym ojcem na świecie – powiedział Clay. – Ale teraz nie jestem pewien, czy dasz sobie radę z czternastoletnią dziewczyną. I czy w ogóle dasz sobie radę ze sobą. – Pochylił się, opierając łokcie na stole. –

Tato, posłuchaj mnie, dobrze? Byłem wczoraj na imprezie. Przyszło kilku znajomych z innej imprezy. Widzieli tam Lacey. Była nawalona, tato. Do nieprzytomności. Mówili, że najpierw zniknęła gdzieś z jednym chłopakiem, a potem z innym. A wpadli tam tylko na chwilę.

Alec poczuł, jak kawa wypala mu dziurę w żołądku. Wpatrywał się w syna i nie mógł wykrztusić ani słowa.

– Znalazłbym tych chłopaków i dał im wpięrdziel, ale moi kumple ich nie znali.

– Dobra – przerwał mu Alec. – Dziękuję, że mi powiedziałeś. Niech cię już o to głowa nie boli, dobrze? Zajmę się tym. To ja jestem ojcem Lacey, nie ty. –

Sięgnął po tost. Pomyślał o Annie, która nigdy by nie kazała Clayowi iść do szkoły, gdyby tego nie chciał. – W kwestii college’u wybór należy do ciebie – dodał. – Ale nie rezygnuj z nauki ze względu na Lacey.

Po śniadaniu włączył automatyczną sekretarkę, aby odsłuchać wiadomości od znajomych, którzy dzwonili, oburzeni postępowaniem Olivii i decyzjami, które podjęła, kiedy Annie przywieziono na pogotowie, chociaż prawda była taka, że nie mieli o tym najmniejszego pojęcia. Potem, chcąc jakoś wziąć się w garść, wykapał się i ogolił, usiłując przy tym nie myśleć o tym, że Lacey poszła do jakiegoś pokoju w jakimś obcym domu z jakimś chłopakiem, który ją obmacywał. Że dała się wykorzystać jak rzecz.

Obudził ją w południe. Twarz miała bladą, a policzki obrzmiałe. Otworzyła oczy i jęknęła. Alec nie zgasił górnej lampy i nie odsłonił okien, ale nawet tak łagodne światło ją raziło. Podniosła się powoli i oparła o wezgiel. Porcelanowa lalka leżała obok niej, twarzą do dołu.

– W nocy chciałaś ze mną porozmawiać – powiedział Alec, pilnując się, żeby nie nazwać ją Annie.

– Nie pamiętam – mruknęła ponurym tonem, który ostatnio zaczął mu się z nią mocno kojarzyć. Zauważył, że ma na szyi rząd okrągłych, czerwonych plam, malinek. Znikały pod karczkiem koszulki.

– Chyba musimy pogadać – stwierdził.

– Nie teraz. Źle się czuję.

– Masz kaca. O tym też musimy porozmawiać. Jesteś o wiele za młoda, żeby pić alkohol.

Zaklął w myślach, widząc, jak Lacey krzywi się z niechęcią. A przecież miał najpierw powiedzieć, że ją kocha.

– Tylko jedno piwo – bąknęła. Kusiło go, żeby wytknąć jej kłamstwo, ale ugryzł się w język.

Wziął z posłania lalkę i położył ją na kolanach. Malowane brązowe oczy wbijały puste spojrzenie w sufit. Alec oderwał wzrok od zabawki i spojrzał na córkę.

– Tak sobie wczoraj pomyślałem, że już dawno nie mówiłem ci, że cię kocham – powiedział.

Lacey spuściła głowę i zaczęła skubać nitkę wystającą z koca okrywającego jej nogi. Obcięcie włosów okazało się błędem taktycznym – nie mogły zasłonić oczu.

– Kocham cię, Lace. Bardzo. I martwię się o ciebie. Clay mówił, że jego znajomi widzieli cię wczoraj, jak... dwa razy zniknęłaś w jakimś pokoju, z dwoma różnymi chłopakami.

Żachnęła się, a w jej oczach błysnął niepokój, ale mimo wszystko próbowała zbyć to śmiechem.

– Chyba mnie z kimś pomylili.

– Jesteś inteligentną dziewczyną, Lace, ale uważam, że alkohol zaburza ocenę sytuacji i robisz wtedy rzeczy, których na trzeźwo byś nigdy nie zrobiła. A chłopaki chętnie wykorzystują sytuację. Jesteś jeszcze za młoda...

– Ja nic złego nie robię, rozumiesz? A jeśli nawet, co z tego? Mamie jakoś to nie zaszkodziło.

– To prawda, mama zaczęła wcześniej, ale tylko dlatego, że szukała miłości. Wiesz, jacy byli jej rodzice – nigdy nie czuła się kochana. A ty wiesz, że jesteś kochana, prawda, Lace? Nie musisz chodzić z chłopakami do łóżka, żeby cię lubili.

– Nie chodzę.

Alec uniósł głowę, a jego wzrok przyciągnął plakat wiszący tuż nad głową

Lacey. Długowłosego muzyk w skórzanych spodniach z krokiem uszytym w taki sposób, że tworzyła się w tym miejscu miseczka na genitalia, patrzył na niego z uśmiechem pełnym wyższości. Alec oderwał od niego oczy, spojrzał na swoją córkę.

– Powinniśmy chyba porozmawiać o antykoncepcji – powiedział.

Lacey oblała się rumieńcem, jej policzki przybrały kolor malinek na szyi.

– Proszę cię, przestań gadać – warknęła.

– Jeśli trzeba, możesz stosować takie środki. Umówić cię na wizytę u lekarza?

– Nie!

Alec uniósł lalkę, którą trzymał na kolanach, dotknął końcem palca jej drobnych i kruchych białych zębów.

– Raczej nie ma o czym dyskutować – oznajmił. – Skoro masz... kontakty z chłopakami, powinnaś iść do lekarza, niezależnie od tego, czy zamierzasz stosować antykoncepcję, czy nie.

Lacey otworzyła szeroko oczy i patrzyła na niego z niedowierzaniem.

– Mama nigdy w życiu nie kazałaby mi tego zrobić.

Alec poczuł, że jego cierpliwość się kończy.

– Posłuchaj mnie, Lacey. Chcesz się zachowywać jak dorosła kobieta? Musisz przyjąć odpowiedzialność, jaka się z tym wiąże...

– Przestań się mnie czepiać! Mama by tak nie zrobiła. Uwierzyłaby mi we wszystko na słowo. Miałyby do mnie zaufanie.

Rzucił lalkę na posłanie, wstał.

– No cóż, ja jestem twoim ojcem – oznajmił, nie panując już nad gniewem. – Mam już nie ma. Jesteś skazana na mnie, bo jej się zdawało, że jakaś banda cholernych ofiar losu potrzebuje jej bardziej niż my.

Lacey zerwała z siebie koc i wyskoczyła z łóżka, na przeciwną stronę, niż siedział on. Wbiła w ojca wściekły wzrok.

– Czasem myślę, że wolałbyś, aby ten cały Zachary Pointer zastrzelił mnie zamiast niej – wypluła z siebie. – Pewnie leżysz w nocy i pytasz: dlaczego to nie była Lacey? Dlaczego to musiała być Annie?

Alec po prostu osłupiał, zaniemówił. Mógł tylko patrzeć za Lacey, która wybiegła z pokoju. Na korytarzu zadudniły jej szybkie kroki, a chwilę później drzwi do łazienki trzasnęły z taką siłą, że aż zadudniło.

Stał tak jeszcze przez kilka minut, a potem zabrał się do ścielenia jej łóżka. Złożył równo kołdrę razem z kocem, wyciągnął brzegi na wierzch, narzutek

podłożył pod poduszkę, a lalkę oparł o wezglowie. Potem zszedł do gabinetu. Tutaj mógł spędzić resztę dnia, uciec w pracę na rzecz latarni.

Rozdział trzydziesty drugi

Przez dwa kolejne dni Olivia zajmowała się w pracy wyłącznie turystami, bo miejscowi – a w każdym razie ci na tyle przytomni, żeby mogli pozwolić sobie na kaprysy – nie chcieli oddać się w ręce lekarki, która odebrała im Annie O’Neill.

We wtorek, na trzeci dzień po publikacji jadowitych oskarżeń Jonathana Cramera na łamach „Beach Gazette”, Mike Shelley zaprosił ją do siebie. Kiedy weszła do jego gabinetu, rozmawiał właśnie przez telefon. Wskazał jej fotel. Widząc, jak z każdym słowem marszczy czoło coraz bardziej, zrozumiała, że rozmowa nie jest przyjemna.

Przez ostatnie dwa dni czuła się bardzo samotna, chociaż większość koleżanek i kolegów z pogotowia okazywała jej dyskretnie coś w rodzaju współczucia. „Jesteśmy z tobą”, zapewniła ją Kathy Brash, a Lynn Wilkes dodała: „Wiemy, jakie to było trudne”, ale obie mówiły szeptem, jak gdyby bały się otwarcie stanąć po jej stronie. Jonathan też miał wsparcie ludzi, którzy patrzyli Olivii na ręce, czekając tylko, aż popełni kolejny błąd, źle oceni sytuację.

Paul od wyjazdu do Waszyngtonu nie odezwał się do niej. Alec milczał od chwili, gdy trzymał ją w ramionach, nagą i gotową. Wspominała tamtą noc z poczuciem głębokiego wstydu. Nie żartował, gdy mówił, że przez jakiś czas powinni się unikać. Co wieczór leżała w łóżku, czekając z nadzieją na telefon o dziesiątej trzydzieści, aż w końcu morzył ją sen i budziła się rano, tylko po to, aby uświadomić sobie, że jednak nie zadzwonił. Może on też myśli, że to wszystko jej wina.

Mike odłożył słuchawkę i posłał jej zmęczony uśmiech.

– Muszę ci coś pokazać. Przyszło dzisiaj rano. – Wyjął z dużej koperty plik kartek i przesunął w jej stronę. – Petycja. Trzysta osób podpisało się pod żądaniem, abyś złożyła rezygnację. Lub też, jak się domyślam, abym ja zmusił cię do odejścia z pracy.

Olivia spojrzała na pierwszą żółtą, liniowaną kartkę. Na samej górze ktoś napisał na maszynie: „W związku z niewłaściwą opieką, co doprowadziło do śmierci Annie Chase O’Neill, znanej i cenionej członkini lokalnej społeczności, domagamy się natychmiastowej rezygnacji lek. med. Olivii Simon ze stanowiska w placówce pogotowia w Kill Devil Hills”.

Przebiegła wzrokiem nazwiska, najpierw pierwszą stronę, potem drugą i trzecią, szukając podpisu Aleca, ale nie nadążała z czytaniem i lista zaczęła rozmywać się jej przed oczami. Uniosła wzrok na Mike’a.

– Nie zamierzam proponować ci odejścia na własną prośbę, Olivio – powiedział szef. – Ale uznałem, że powinnaś wiedzieć, z czym mamy do czynienia. Przykro mi, że sprawa wymknęła się spod kontroli.

Mike też udzielał komentarzy prasie i chociaż stanowczo zaprzeczył, jakoby doszło do jakiegokolwiek próby zatuszowania faktów, wypowiadał się z rezerwą i starannie ważył słowa. Olivia wiedziała, co się za tym kryje. Kierownik pogotowia to stanowisko medyczne, ale zależne również od układu sił politycznych; Mike nie mógł zrażać do siebie mieszkańców. Zresztą jego słowa i tak przeszły bez echa. Ludzie słyszeli tylko to, co chcieli usłyszeć. Minęło już wiele miesięcy, a oni, jak się okazało, wciąż szukali kozła ofiarnego, którego mogą obarczyć winą za śmierć ich ukochanej świętej Anny.

– Kontaktował się z tobą jej mąż? – zapytała. – Znasz jego zdanie?

– Nie sądzę, by to on wymyślił tę petycję. Mam tylko nadzieję, że nie rozmawia właśnie z jakimś adwokatem.

– Przepraszam cię, Mike.

– Nie przepraszaj. To, co zrobiłaś, z punktu widzenia odpowiedzialności prawnej może i było niemądre, ale wymagało odwagi. Nie wiem, czy ja sam bym się zdobył, żeby w jakikolwiek sposób ratować ją tutaj, na miejscu.

Olivia wstała, a szef odprowadził ją do drzwi.

– Głowa do góry! – Machnęła ręką w stronę leżącej na biurku petycji. – Jakoś wymyślę, co z tym zrobimy. A ty skup się na pracy.

Wieczorem wybrała się do pracowni, aby pokazać Tomowi projekt nowego witraża: kolorowe balony z koszami, lecące nad zieloną łąką. Tym razem poprzeczkę zawiesiła nieco wyżej. W wyobraźni Olivia widziała już ten witraż w oknie dziecięcego pokoju.

Weszła do środka. Tom uniósł głowę znad warsztatu.

– Cześć – przywitała się, wyjmując rolkę papieru milimetrowego z dużej torby na zakupy, którą położyła na wolnym krześle przy stole roboczym. – Jak

się masz?

– Sam nie wiem – odparł zdławionym głosem, a gdy spojrzała na niego, skrzyżował ramiona na piersi.

– Co się stało?

– Długo nad tym myślałem, Olivio – powiedział Tom. – I doszedłem do wniosku, że nie mogę już udzielać ci lekcji.

Otworzyła szeroko oczy i pomyślała: Ciekawe, czy podpisał petycję?

– Dlaczego? Bo Jonathan Cramer mnie oczernia?

– Bo nie wiem, w co wierzyć. Bo myślę, że niepotrzebnie naraziłaś życie drogiej mi osoby. Bliskiej przyjaciółki. – Łzy zakręciły mu się w oczach, balansując na krawędzi jasnych rzęs.

Olivia oparła dłonie na biodrach.

– Zrobiłam dla niej wszystko, co w mojej mocy, Tom. Nie zabiłam jej. Ludzie mnie oskarżają, bo Zachary Pointer zniknął, jest gdzieś daleko i potępianie go nie daje im zbyt wiele satysfakcji. Zrobili ze mnie kozła ofiarnego, ale przysięgam ci, Tom: ratowałam ją, jak tylko mogłam i umiałam.

– Może i tak, Olivio. Nie potrafię tego ocenić. Wiem tylko, że nie jestem w stanie spotykać się tutaj z tobą co tydzień i dawać ci szkło Annie, jej narzędzia i jej...

– W porządku – przerwała mu, sięgając po swoją torbę. – Rozumiem, co chcesz powiedzieć.

– Mogę podać ci nazwiska kilku innych ludzi, którzy uczą witrażu, ale muszę cię ostrzec, że tutejsze środowisko artystów jest dość hermetyczne i wątpię, by ktoś zechciał cię przyjąć.

Olivia schowała swój projekt z powrotem do torby i wyszła z pracowni bez słowa. Nie przytrzymała drzwi, które zamknęły się z trzaskiem; kilka osób stojących na parkingu obejrzało się w jej stronę. Poznali ją? Może już wszyscy wiedzieli, jak wygląda Olivia Simon? Wsiadła do samochodu i na wszelki wypadek poczekała, aż znajdzie się na ulicy. Dopiero wtedy pozwoliła popłynąć łzom.

* * *

Dzień później, tuż przed końcem jej dyżuru na pogotowiu, dostali zgłoszenie o czołowym zderzeniu na szosie głównej. Kierowca jednego samochodu

wyszedł ledwie draśnięty, ale dwudziestoparoletnia kobieta, która prowadziła drugie auto, była już w karetce.

– Potrzebny nam drugi lekarz – powiedziała Olivia do Kathy, przygotowując salę zabiegową.

– Wiem – przyznała Kathy niepewnie. – Ale dzisiaj dyżur ma Jonathan.

– Więc go wezwij – odparła Olivia, pochylając się nad umywalką.

Doktor Cramer zjawił się dokładnie w chwili, kiedy przywieziono poszkodowaną. Wpadł do sali zabiegowej, gdzie natychmiast zaczął wydawać polecenia, jakby już czuł się kierownikiem pogotowia. Ranna była przywiązana pasami do sztywnych noszy i miała założony kołnierz ortopedyczny. Na jej brzuchu ciemniał wyraźny krwiak. Jęczała z bólu, przytomna, chociaż słabo kontaktująca.

– Nie zapięła pasa – wyjaśnił ratownik medyczny. – Miała szczęście, że zatrzymała się na kierownicy, bo inaczej wyleciałaby przez okno.

– Zrób CT kręgosłupa. – Olivia zwróciła się do Kathy. – Morfologię, grupę i krzyżówkę. I przy okazji sprawdź alkohol we krwi. – Wydawało jej się, że poczuła od młodej kobiety alkohol.

Jonathan założył rannej kroplówkę.

– Śmigłowiec już leci? – zapytał Lynn Wilkes, a ona przytaknęła. – No, to stabilizujemy ją i wysyłamy – zarządził, ale posłał jeszcze Olivii kpiące spojrzenie ponad stołem zabiegowym. – Chyba że chcesz się pobawić z panią w lekarza?

Nie zareagowała. Brakowało jej pewności, co należy teraz zrobić z pacjentką. Ciśnienie krwi wynosiło dziewięćdziesiąt pięć na sześćdziesiąt. Była szczupła i wydawało się, że fizycznie jest w dobrej formie. Czy takie ciśnienie było u niej normalne, czy może wskazywało na coś poważnego?

– Tętno sto – zameldowała Kathy, spoglądając na Olivię, która ostrożnie badała palpacyjnie brzuch pacjentki.

– Brzuch twardy deskowaty – powiedziała, przesuwając dłonie na lewą stronę. Kobieta nagle jęknęła i próbowała się odsunąć. Uciekała przed bólem wywołanym naciskiem na krwiak, czy może miała pękniętą śledzionę?

– Nakłujmy brzuch – zaproponowała.

Jonathan skrzywił się z niechęcią.

– Nie mamy czasu. Chyba, że chcesz mieć kolejną pacjentkę na sumieniu.

Olivia nie odezwała się już ani słowem. Wykonywała jego polecenia, pomogła przygotować ranną do transportu, a przyglądając się, jak ratownicy

niosą ją do oczekującego śmigłowca, poczuła nagle, że kręci jej się w głowie. Wróciła do swojego gabinetu, a nogi miała słabe i miękkie jak z gumy. Opadła na fotel za biurkiem i zamknęła oczy. Jestem tchórzem, pomyślała. Dlaczego pozwoliłam Jonathanowi się zastraszyć?

Postawiłaby mu się, lecz w tej chwili była przerażona. Nie bała się Cramera, nie bała się stracić pracy – bała się podejmować decyzje. Gdyby teraz, kiedy tak siedziała rozedrgana za biurkiem i zbierało jej się na mdłości, ktoś ją zapytał, czy jest pewna, że właściwie postąpiła w przypadku Annie O'Neill – nie umiałaby odpowiedzieć.

Wieczorem zadzwoniła do szpitala Emerson Memorial i dowiedziała się, że u młodej kobiety z wypadku faktycznie stwierdzono pękniętą śledzionę. Jonathan miał więc rację – te dodatkowe minuty poświęcone na nakłucie brzucha mogły kosztować ją życie. Olivia rozplakała się, częściowo z ulgi, że pacjentkę udało się uratować, a częściowo z tej przyczyny, że uświadomiła sobie własny błąd i zrozumiała, że nie może być pewna swoich lekarskich decyzji.

Położyła się spać z przytłaczającym poczuciem samotności. O wpół do pierwszej w nocy wzięła telefon i wystukała numer Aleca. Kiedy w słuchawce odezwał się jego zaspany, schrypnięty głos, rozłączyła się bez słowa.

Rozdział trzydziesty trzeci

Sierpień 1991

Paul przeszedł na drugą stronę Connecticut Avenue. W Dystrykcie Kolumbii powietrze było gęste, przesiąknięte wilgocią, oddychało się nim z trudem. Na taką aurę lepsze byłyby skrzela. Przyspieszył kroku na widok wyrastającego z pierzei różowego neonu księgarni Donovan's Books.

Po wejściu do środka zatrzymał się na chwilę zaraz za drzwiami, otarł czoło chusteczką i sycił oczy czarem tego miejsca. To była jego ulubiona księgarnia na świecie. Jego i Olivii też. Stęsknił się już za Waszyngtonem i zaczynał również tęsknić za Olivią.

Minęła dwudziesta pierwsza trzydzieści, a tutaj wciąż panował tłok. Co za radość! Czy w regionie Outer Banks cokolwiek było otwarte o tej porze, oprócz sklepów wędkarskich?

Niespiesznym krokiem spacerował pomiędzy regałami, muskając grzbiety książek opuszkami palców. Kiedyś czytywał tu swoje wiersze na spotkaniach autorskich, i to całkiem regularnie. W niedzielne popołudnia, wtorkowe wieczory. Publiczność zawsze była różnorodna i zawsze tak samo zachwycona. Zawsze po jego stronie.

Na końcu sali znajdowały się schody. Paul wspiął się na galerię, gdzie urządzono kawiarnię, i zamówił przy kasie wodę mineralną oraz sernik. Sprzedający podał mu butelkę i talerzyk z ciastem na tacy. Rozejrzał się po zatłoczonym wnętrzu w poszukiwaniu wolnego stolika. Dwóch mężczyzn zwolniło właśnie miejsce przy balustradzie. Zaprosili Paula, aby je zajął. Usiadł, a rzuciwszy okiem w dół, na książki i ludzi, przypomniał sobie, że on i Olivia zawsze wybierali ten stolik. Pierwsze dwa lata po ślubie mieszkali naprzeciwko, ale nawet po przeprowadzce do Kensington kilka razy w tygodniu spotykali się dokładnie przy tym stoliku. Potrafili przesiedzieć tutaj

kilka godzin, popijając wodę mineralną, zjadając kanapki z awokado i pracując nad tekstem *Katastrofy Eastern Spirit*. Boże, cudownie było pisać z nią tę książkę, pomyślał.

Zjawił się wtedy w szpitalu Washington General, ponieważ zbierał materiały do artykułu o jakimś chorym senatorze. Na miejscu dowiedział się o wykolejonym pociągu, który spadł do Potomacu. Był pierwszym dziennikarzem na oddziale ratunkowym, a panował tam taki chaos, że przez wiele godzin nikt nie zwrócił na niego uwagi, nikt nie zapytał, co robi.

Kiedy po raz pierwszy zobaczył Olivię, stała przy automatycznych drzwiach oddziału ratunkowego i odbierała ranną w katastrofie starszą kobietę, którą wniesiono na noszach. Zebrała swoje długie, brązowe włosy i związała je krzywo, niedbale, gumką, którą miała na nadgarstku. Potem razem z ratownikami medycznymi szybko zabrała poszkodowaną na urazówkę, szła obok noszy, okładała ranę na tułowiu kobiety kawałkiem zakrwawionej gazy i przez cały czas mówiła do niej spokojnym głosem. Tamtego dnia i przez kilka następnych przez oddział ratunkowy przewinęło się wiele lekarzy i pielęgniarek i wszyscy pracowali w pocie czoła, ale Paul nie mógł oderwać wzroku od Olivii. Słyszał, jak informuje rodziny, że ich bliscy będą żyć. Albo że umrą. Widział, jak delikatnym gestem kładzie tym ludziom dłoń na ramieniu, jak obejmuje tych, którzy tego potrzebują. Koszmar trwał kilka dni; pod koniec obwisły kucyk Olivii kleił się już do pleców, a brudna grzywka uciekała z zapoconego czoła. Zielony strój chirurgiczny był poplamiony krwią, a na delikatnej alabastrowej skórze pod oczami pojawiły się sine obwódki. Dla Paula tak właśnie wyglądało czyste piękno.

Wolałby zwrócić na nią uwagę z innego powodu, mianowicie dlatego, że wreszcie był gotów na nowy związek. Wiedział jednak, że jest inaczej: Olivia uwiodła go swoim współczuciem i bezinteresownością, bo przypominała w tym Annie. Takie porównanie było kompletnie bez sensu. Annie, dla której czas nie miał najmniejszego znaczenia, przetoczyłaby się przez szpitalny oddział ratunkowy jak kataklizm. Olivia była opanowana, rzeczowa i skuteczna – to właśnie leżało u podstaw jej zawodowego powodzenia. Dopiero po jakimś czasie Paul dostrzegł, że jest zupełnie niepodobna do Annie, ale wtedy zdążył już się w niej szczerze zakochać.

Bywały takie popołudnia, kiedy siedzieli razem przy tym właśnie stoliku, a Olivia przeglądała książki, które zgarnęła z księgarskich półek po drodze na górę, do kawiarni. Zazwyczaj wybierała przyrodnicze albo medyczne.

Na początku ich związku przeszła taką fazę, że czytała każdą książkę o seksie, jaka tylko wpadła jej w ręce. Przez większą część dotychczasowego życia wypierała każdą myśl i uczucie o podłożu seksualnym, więc gdy wydostała się na swobodę, była wprost niepowstrzymana. Przypominało to uczenie dziecka nowej gry – z początku nie ufała jeszcze swoim umiejętnościom, ale po opanowaniu zasad chciała grać bez przerwy. I szło jej naprawdę świetnie.

Ostatnie kilka lat ich małżeństwa upłynęło pod znakiem innych lektur. Na stoliku przy balustradzie leżały już tylko książki pełne trzeźwo podanych, czasem zachęcających, a czasem zniechęcających informacji na temat bezpłodności.

Paul włożył do ust ostatni kawałek sernika, przytrzymując go przed połknięciem na języku, aż do rozpląnięcia. Przyglądał się przy tym złotej obrączce, którą miał na palcu. Założył ją dopiero dziś rano, po raz pierwszy od wielu miesięcy. Choć upłynęło już sporo czasu, to na jej widok poczuł otuchę. Gdyby on i Olivia mogli stworzyć własną rodzinę, nie oddaliliby się tak od siebie. Kiedy się dowiedział, że jego żona nie może mieć dzieci, poczuł się oszukany. Starał się to ukryć. Przecież to nie była jej wina, zresztą, ona też cierpiała z tego powodu. Paul już prawie pozbierał się po tym ciosie, gdy nagle Olivia otrzymała propozycję pracy w regionie Outer Banks.

Nie mógł w to uwierzyć. Wiedział, że właśnie tam mieszka Annie, wraz z mężem i dwójką dzieci. Jego uczucia w przedziwny sposób oscylowały pomiędzy ekscytacją a przerażeniem. Starał się odwieść Olivię od tego pomysłu, ale ona wróciła z rozmowy o pracę po prostu wniebowzięta i zaczęła mu opowiadać, jaki to wyjątkowy zakątek i jaka spokojna, lecz ambitna funkcja na nią czeka. Przekonywał ją, że to bardzo daleko, że będą musieli zostawić jego rodzinę i wspólnych przyjaciół. Z perspektywy czasu widział wyraźnie, że nie starał się zbytnio, że tak naprawdę perspektywa zbliżenia się do Annie była dla niego potężnym, elektryzującym wstrząsem. Snuł fantazje, wyobrażał sobie, jak spotkają się przypadkiem w sklepie albo na plaży, a jednocześnie oddalał się coraz bardziej od Olivii. Coraz rzadziej się do niej odzywał, a kiedy już coś mówił, to ostrym, nieprzyjemnym tonem. Był na nią zły, bo to przecież ona postawiła go w tej sytuacji.

Po przeprowadzce do Outer Banks wytrzymał cały tydzień, zanim zajrzał do książki telefonicznej, żeby poszukać nazwiska O'Neill. Znalazł dwa adresy Annie: domowy i pracowni. Począł jeszcze trochę, bo dopiero następnego dnia przejechał pod pracownią, a do środka wszedł całe dwa dni później.

Była sama, poprawiała zdjęcie wiszące na ścianie w głębi. Nie przeraziłaby się chyba bardziej, gdyby zobaczyła go z drugą głową na karku.

– Spokojnie. – Szybko uniósł rękę, aby uciszyć ją, zanim cokolwiek powie. – Nie chcę sprawić ci żadnych kłopotów. Też jestem po ślubie. Mam wspaniałą żonę. Jest lekarką, pracuje na pogotowiu w Kill Devil Hills.

Zaczął opowiadać o Olivii, żeby wypełnić czymś ciszę, ale także po to, aby przekonać Annie, że w żaden sposób nie stanowi zagrożenia dla niej i jej rodziny. Słuchała oparta o ścianę, na której wisiały zdjęcia, niemalże wbita w nią plecami. Ramiona obronnym gestem skrzyżowała na piersi, zacisnęła palce na łokciach tak mocno, że z drugiego końca pomieszczenia widział wyraźnie jej zbielełe kłykcie.

Wyglądała nadzwyczajnie. Figurę miała teraz nieco pełniejszą, ale bez nadwagi, po prostu kobiece kształty. Włosy – takie same jak dawniej, chociaż mniej bujne i przetykane siwizną, która lekko rozmywała ich miedzianą barwę. Cera wciąż lśniła świeżością i była tak samo gładka jak wtedy, gdy spotkali się po raz pierwszy.

Wreszcie przerwał, aby złapać oddech.

– Będziesz musiał jej powiedzieć, że nie możecie tutaj zostać – powiedziała. – To się nie uda, Paul. Proszę cię. Ciągłe będziemy na siebie wpadać. Nie da się tego uniknąć.

Te słowa były wodą na młyn dla jego fantazji. Gdyby nie obawiała się pokusy, to mógłby sobie mieszkać gdziekolwiek, jej byłoby wszystko jedno.

– Uwierz mi, że nie chciałem się tutaj sprowadzać – zapewnił. – Starłem się wyperswadować Olivii tę pracę, ale po prostu wbiła to sobie do głowy.

– Czy ona wie o mnie?

Potrząsnął głową.

– Nie wie nawet, że kiedyś spędziłem tutaj wakacje. Raz zacząłem jej o tobie mówić, ale ona nie lubi wracać do przeszłości.

Olivia miała za sobą tak trudne i bolesne przeżycia, że w pierwszym okresie związku z Paulem jej przeszłość pochłaniała niemalże całą ich wspólną energię. Musiał wyleczyć wszystkie rany, które jej zadano, a kiedy już się udało, oznajmiła mu, że zostawia przeszłość za sobą i nie chce do niej wracać. Wiedziała, że Paul miał kiedyś bardzo poważny związek, na długo przed tym, jak się poznali. I to było wszystko, co chciała wiedzieć.

Wszedł dalej i stanął pod ścianą w głębi pracowni, aby obejrzeć witraże, które dosłownie zaparły mu dech w piersiach.

– Annie, to jest wspaniałe. Bardzo się rozwinęłaś.

– Zmieniłam się, Paul – odparła. – Nie jestem już tamtą kobietą, którą znałeś. Proszę, nie łudź się, że możemy jeszcze kiedyś być razem.

– A więc tylko przyjaźń.

– To niemożliwe. – Obniżyła głos; domyślił się, że nie jest sama w pracowni. – Zbyt wiele nas łączyło, żebyśmy mogli się po prostu przyjaźnić. Stał na tyle blisko, że mógł dostrzec drobne zmarszczki w kącikach jej ust i oczu. Chciał zobaczyć, jak się śmieje, usłyszeć jej perlisty chichot odbity w szkle witraży.

– Pracuję w redakcji „Beach Gazette” – powiedział. – Poza tym biorę zlecenia jako wolny strzelec. Chciałbym napisać o tobie artykuł dla magazynu „Seascape”.

– Nie.

– Rozmawiałem już o tym z redaktorem naczelnym. Proszę cię, Annie. To by mi pomogło wyrobić sobie tutaj nazwisko.

Za jego plecami skrzypnęły zawiasy. Annie drgnęła. Odwrócił się; zza drzwi, za którymi najprawdopodobniej znajdowała się ciemnia fotograficzna, wyszedł wysoki mężczyzna z włosami związanymi w kucyk. Annie ruszyła w jego stronę.

– Tom – powiedziała – to jest pan Macelli, dziennikarz. Chce o mnie napisać w magazynie „Seascape”.

– Witam. – Paul podał mu rękę. Skoro Annie tak woli, będzie udawał, że się nie znają.

– Trafiał pan pod właściwy adres – pochwalił Tom. – Ona zna się na wszystkim i angażuje się we wszystko, co się dzieje w okolicy, a jeśli chodzi o talent, to sam pan widzi. – I zaczął mu opowiadać o tym, jak Annie pracuje, a Paul zapisywał różne szczegóły w notesie. Annie usiadła przy stole roboczym, skąd obserwowała ich obu. W jej posmutniałych oczach malowała się rezygnacja.

Potem zaczęły się wywiady. Paul pozwalał jej mówić o rodzinie: o synu i córce, o mężu. Odżyła jego obsesja, na nowo zapuściła w nim korzenie. Wysłał do pracowni fotografa z redakcji „Seascape” i kazał mu zrobić mnóstwo zdjęć, choć do artykułu nie potrzebował aż tyle. Postanowił zatrzymać je dla siebie, aby móc sobie wmawiać, że Annie uśmiecha się do niego, a nie do obiektywu, bo w rzeczywistym świecie rzadko widywał jej uśmiech. Był pewien, że chce do niego wrócić. Nie widział żadnego innego

powodu, by miała obawiać się, że mieszkają tak blisko siebie. Musiała tego pragnąć.

Paul nie miał przyjaciół. Krąg znajomych się powiększał, ale nie było wśród nich nikogo, komu mógłby się zwierzyć, a cały aż kipiał, żeby z kimś porozmawiać. Tylko jedna osoba zgodziła się go wysłuchać: Olivia.

Olivia. Jak ona mogła go tolerować przez te wszystkie tygodnie i miesiące, kiedy świata nie widział poza Annie i mówił tylko o niej?

To była choroba, straszliwa choroba. Dopiero teraz, z perspektywy czasu, zobaczył, jak naprawdę wyglądała jego żalosna obsesja, która odebrała mu sen, szacunek dla samego siebie oraz żonę. Przed kilkoma dniami zadzwonił Gabe Forrester z „Beach Gazette” i powiedział mu o artykule, w którym doktor Jonathan Cramer oskarżył Olivię o fatalną w skutkach decyzję w sprawie ratowania Annie. Paul myślał o tym przez całą noc i uznał, że Cramer nie ma racji. Wystarczyło, że przypomniał sobie katastrofę Eastern Spirit. Olivii powierzyłby własne życie, a także życie każdej bliskiej mu osoby. W całym stanie nie było drugiego lekarza, który mógł dać Annie większą szansę w tak ciężkim stanie. Teraz, z dystansu, Paul widział to wyraźnie i tak samo czuł obecność Olivii tutaj, przy stoliku w księgarnianej kawiarni. Kiedy mieszkali razem w Waszyngtonie, nie brakowało mu niczego. Przy Olivii udało mu się wreszcie zapanować nad sobą i swoimi demonami; był jej wdzięczny, bo to ona uwolniła go od obsesji.

I czym jej odpłacił za wszystkie starania? Cierpieniem, oziębłością, okrucieństwem. A teraz, gdy musiała znosić oszczerstwa miotane przez gazetę, którą on pomagał tworzyć, czuł się tak, jakby znów cierpiała przez niego, chociaż był tak daleko.

Spojrzał na zegarek. Wiedział, że jeśli wyjdzie teraz, zdąży wrócić do hotelu, zanim Olivia się położy. Zapłacił i po chwili był już na ulicy, z powrotem oddychając nagrzanym nocnym powietrzem.

Rozdział trzydziesty czwarty

Telefon zadzwonił pięć minut po wpół do jedenastej. Olivia myła akurat włosy pod prysznicem. Szybko wyszła z kabiny, owinęła się ręcznikiem i pobiegła do sypialni, żeby odebrać, zanim włączy się automatyczna sekretarka.

Gdy w słuchawce usłyszała głos Paula, a nie Aleca, przez sekundę poczuła rozczarowanie.

– Wróciłeś?

– Nie. Jestem jeszcze w Waszyngtonie, w hotelu. Wracam jutro. – Słysząc było, że jest zmęczony. I trochę spięty.

– Jak się czujesz? – zapytała.

Przez chwilę milczał. Potem zaśmiał się cicho, a może tylko odkaszlnął.

– Fizycznie w porządku. Ale emocjonalnie... Zaczęło do mnie docierać, że ostatnio nie byłem przy zdrowych zmysłach.

Olivia poczuła, że po plecach ścieka jej strużka stygnącej piany.

– O czym ty mówisz? – Rozciągając kabel, wyszła z telefonem na korytarz, żeby wyjąć z bieliźniarki ręcznik, który zarzuciła na szyję.

– Rozmawiałem z Gabe'em z „Beach Gazette”. Powiedział mi, jak wsiedli na ciebie za Annie. Bardzo mi przykro, Olivio. Nie sądziłem, że ta gazeta uprawia brukowe dziennikarstwo. Może gdybym był na miejscu, mógłbym coś zrobić, żeby to nie poszło.

Olivia wróciła do sypialni, usiadła na łóżku.

– Ty też mnie podejrzewałeś – przypomniała mu.

– Że miałaś coś wspólnego ze śmiercią Annie? Nie, Liv, za dobrze cię znam, żebym mógł naprawdę tak pomyśleć. Ale rzeczywiście, zastanawiałem się, jakim cudem byłaś w stanie się tego podjąć. Jak mogłaś ratować jej życie, kiedy ja, jak ostatnia świnia, obnosiłem się z tym, co do niej czuję. Ale wiem, że zrobiłaś wszystko, co było w twojej mocy. Przepraszam, że oskarżyłem cię o jakiegokolwiek zaniedbanie.

Olivia ujęła słuchawkę złożonymi dłońmi.

– Dziękuję, że to mówisz. To dla mnie bardzo ważne.

Paul milczał przez chwilę.

– Miałem tutaj trochę czasu na przemyślenia – powiedział wreszcie. – Waszyngton to miasto pełne wspomnień o tobie... o nas razem. Dzisiaj wieczorem byłem w Donovan's Books.

– O. – Przed oczami stanęły jej obrazy, w uszach zabrzmiał gwar, a w nozdrza uderzył aromat parzonej kawy.

– Żałuję, że stamtąd wyjechaliśmy – wyznał. – Dobrze się nam tam układało.

– Ale przecież uzgodniliśmy, że nie chcemy zakładać rodziny w takim miejscu, niezależnie od tego, czy będziemy mieć własne dzieci, czy adoptujemy, czy...

– Wiem, wiem – przerwał jej. Usłyszała westchnięcie. – Zobaczymy się po moim powrocie?

– Oczywiście.

– To znaczy, czy moglibyśmy się umówić, pójść gdzieś razem, poznać się na nowo.

– Chętnie – przytaknęła, tonem równie łagodnym jak jego głos.

– Przyjeżdżam około piątej.

– Pracuję do siódmej. – Skuliła się, czekając na upomnienie, że znów praca jest dla niej ważniejsza od małżeństwa.

– Zatem o siódmej – zgodził się Paul i po chwili wahania dodał: – Liv... Dlaczego nie walczysz z Cramerem? To do ciebie niepodobne, że tak mu się dajesz.

Olivia przesunęła dłonią po narzucie, na której siedziała. Paul miał rację. Zwykle nie uciekała przed wrogiem, ale stawiała mu czoło i pokonywała jak każdą inną przeszkodę, którą życie rzucało jej pod nogi.

– Wszystko, co mogę zrobić – odparła – to wystąpić o powołanie komisji lekarskiej, ale nie wiem, czy w tej chwili wystarczy mi sił, żeby przez to przejść.

– Zrób to, Liv. Masz moje wsparcie. Obiecuję.

Podziękowała mu, niezbyt wylewnie, bo była zaskoczona i nie mogła się przemóc, aby całkowicie zaufać jego serdecznym słowom. Jednakże zanim odłożyła słuchawkę, decyzja zapadła i chociaż było już późno, natychmiast zadzwoniła do Mike'a Shelleya.

Przedstawiła mu swój plan, a szef wysłuchał jej w milczeniu. Domyślała się,

co o tym sędzi. Powołanie komisji lekarskiej miało konsekwencje nie tylko dla niej osobiście, ale też dla całej placówki.

– Wstrzymaj się jeszcze dzień albo dwa, zanim cokolwiek zrobisz – poprosił wreszcie. – Daj mi się chwilę zastanowić.

Po tej rozmowie poczuła się lepiej niż jeszcze pół godziny wcześniej, mniej bezradna. Stała przed dużym lustrem w drzwiach szafy i przejrzała się. Włosy miała białe od piany. Zdjęła z siebie ręcznik, upuściła go na podłogę i odwróciła się bokiem. Brzuch ma już lekko zaokrąglony. Paul się zorientuje, kiedy tylko jej dotknie. Alec natychmiast się od niej odsunął, kiedy dotknął jej brzucha.

Zamiast koszuli nocnej włożyła T-shirt i ostatnie dżinsy, które jeszcze się na niej dopinały, a potem wyszła na zewnątrz i przyniosła ze schowka kilka śrubokrętów oraz klucz francuski z małego zestawu narzędzi, którego Paul nie zabrał po wyprowadzce. Zabrała je do pokoju dziecięcego, wraz z radiem i szklanką napoju imbirowego. Czekala ją długa i przyjemna noc samodzielnego montażu dziecięcego łóżeczka.

* * *

Następnego dnia, gdy wieczorna zmiana zaczynała dyżur, Mike wezwał do siebie Olivię i Jonathana. Cramer usiadł pod oknem. Na twarzy miał kwaśny uśmiezek, który ostatnio demonstrował wszystkim i o każdej porze. Olivia wybrała krzesło stojące najbliżej drzwi.

Szef pochylił się na fotelu i położył dłonie na blacie biurka.

– Jonathanie – zaczął. – Chcę, żebyś wycofał się z tego, co powiedziałeś w prasie na temat tak zwanej próby zatuszowania faktów.

– Z niczego się nie wycofam, bo według mnie taka jest prawda.

Mike potrząsnął głową.

– Olivia zamierza wystąpić o powołanie komisji lekarskiej, a jeśli do tego dojdzie, zeznam, że moim zdaniem prawda wygląda nieco inaczej: otóż w kwestii Annie O’Neill oboje mieliście rację. – Mówił powoli, jakby się obawiał, że Jonathan nie nadąza. – Olivia słusznie podjęła taką, a nie inną decyzję, ponieważ posiada umiejętności i doświadczenie potrzebne do wykonania takiej operacji. Można by ją oskarżyć o błąd w sztuce, gdyby właśnie w ten sposób nie próbowała ratować życia rannej pani O’Neill. I ty

też miałeś rację, Jonathanie. A wiesz dlaczego? – Nie czekał na odpowiedź. – Dlatego, że brakuje ci umiejętności oraz doświadczenia, aby wykonać taki zabieg. Gdybyś się tego podjął, to też byłby błąd w sztuce. Zatem... – Mike opadł na oparcie fotela, nie spuszczając wzroku z Cramera. – To właśnie usłyszą tutejsi mieszkańcy. Tego chcesz?

Jonathan zmrugał oczy. Nad jego górną wargą lśniła kropelka potu.

– Próbujesz przekręcić...

– Niczego nie próbuję przekręcić – warknął Mike, znów pochylając się w przód. Gwałtowność jego reakcji zaskoczyła jednakowo oboje jego podwładnych. – Albo wycofasz swoje oskarżenia, albo Olivia złoży wniosek o powołanie komisji, która oczyści ją z zarzutów. Bo tak się stanie, a ty kiepsko na tym wyjdiesz, prawda?

Olivia poczuła na sobie wzrok Jonathana, jego palące, przeszywające, wściekłe spojrzenie.

– Możesz sobie darować komisję – zwrócił się do niej, wstając. – Składam wymówienie ze skutkiem natychmiastowym. Możesz sobie nakłuwać brzuchy, ile dusza zapragnie. Mam to gdzieś.

Zdjął stetoskop z szyi i teatralnym gestem rzucił go na biurko szefa, po czym jak burza wypadł z gabinetu.

Mike spojrzał na leżący przed nim stetoskop, a Olivia odniosła wrażenie, że powstrzymuje się od śmiechu. Uniósł wzrok i spojrzał jej w oczy.

– Przepraszam, Olivio, że zrobiłem to dopiero teraz. Proszę, wstrzymaj się z wnioskiem o powołanie komisji, dopóki się nie przekonamy, co dalej. –

Skinął głową, wskazując stojący na biurku telefon. – Zadzwońię do „Beach Gazette” i przekażę im nowinę.

Przebrała się w pokoju lekarskim na randkę z Paulem, mimo uszu puszczała plotki na temat rozmowy u szefa, które już zaczęły krążyć wśród personelu. Wybrała na ten wieczór niebieską spódnice maskującą krągły brzusek, a do tego biały sweter z długim rękawem. Gdy wyszła z pokoju lekarskiego, dostrzegła w poczekalni Paula i poczuła niemalże całkiem zapomniany trzepot serca, tęsknotę, pragnienie.

Przyniósł dla niej różę o delikatnych, niebieskich płatkach, włożoną w srebrny wazonik. Rozpoznała tę rzadką odmianę: takie róże rosły przed ich starym domem w Kensington. Na widok pamiątki szczęśliwszych czasów coś chwyciło ją za gardło.

– Zerwana z samego rana – powiedział Paul na parkingu, kiedy szli do jego

samochodu. – Zakradłem się na podwórko jeszcze przed wschodem słońca.

Rozbawiła ją ta nietypowa dla niego przebiegłość.

Paul włączył silnik i wyjechał z parkingu. Gdy ruszyli, odwrócił wzrok na Olivię.

– Dobrze wyglądasz – powiedział.

– Dzięki.

Zauważyła, że założył obrączkę. A więc mówił poważnie, że za nią tęskni, że chce wrócić. Przyjrzała się jego twarzy z profilu. Miał przepięknie wykrojony podbródek z ledwie zarysowanym dołeczkiem i mocny, prosty nos, ale szczerze mówiąc, nie wyglądał korzystnie. Przez kilka ostatnich miesięcy stracił na wadze, i to sporo. Jego cera była ziemista, a policzki zapadnięte, na ten widok serce drgnęło jej współczuciem.

Streściła mu rozmowę z Jonathanem i Mikiem, podziękowała, że ją do tego zmobilizował.

– Sytuacja mnie sparaliżowała – przyznała.

– A co się działo po tym, jak wydrukowali ten artykuł?

Opowiedziała pokrótce o zapalczywych listach do redakcji „Beach Gazette”, które opublikowano w ostatnich dwóch numerach. Czuła się upokorzona ich wzburzonym tonem oraz eskalacją nieprzychylnych nastrojów wobec siebie. Powiedziała Paulowi, że straciła energię do pracy i wiarę we własną ocenę. Była zaskoczona, że rozmawia z nim tak otwarcie. W końcu wspomniała o petycji.

– Myślałam, że twoje nazwisko zobaczę na samym początku – wyznała. –

Doszłam do wniosku, że nie podpisałeś tylko dlatego, że akurat nie było cię na miejscu.

Paul położył dłoń na jej ramieniu.

– Wybacz mi, że dopuściłem do siebie taką myśl i uwierzyłem, że mogłabyś czegoś zaniedbać, bo chodziło o nią. Boli mnie, kiedy widzę, jak szargają twoje dobre imię, Liv. Naprawdę.

Na następnych światłach wyciągnął portfel i wręczył jej zdjęcie wnuczki Joego Gallo. Zrelacjonował rozmowę z właścicielem jadłodajni i wyznał, jaki był z niej dumny, ale ona słuchała tylko jednym uchem.

Myślała bowiem o tym, że będzie musiała opowiedzieć mu o wyjeździe do Norfolk z Alekiem i o radiowym wywiadzie. I tak usłyszy o tym na najbliższym zebraniu komitetu, więc lepiej, żeby dowiedział się od niej. Postanowiła jednak odwlec ten moment, by jak najdłużej zatrzymać to

poczucie bliskości, którego zaznała podczas rozmowy w samochodzie.

Kiedy zajechali na parking pod restauracją, odwróciła się, żeby położyć sweter na tylnym siedzeniu, i zauważyła mały, owalny witraż przyklejony do szyby. Było zbyt ciemno, żeby zobaczyć, co przedstawia, ale Olivia nie miała najmniejszych wątpliwości, że wyszedł spod ręki Annie. Cała nadzieja, którą nosiła w sobie przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny, nagle przygasła w zderzeniu z rzeczywistością.

Zabrała ze sobą niebieską różę, a gdy usiedli przy stoliku, przestawiła wazon z goździkiem, który tam stał, na inny stół, by zrobić dla niej miejsce. Kiedy kelnerka przyniosła napoje, skrzyżowała ręce przed sobą i pochyliwszy się, oparła łokcie o blat.

– W zeszłą sobotę byłam w radiu w Norfolk – wyrzuciła z siebie. – Udzieliłam wywiadu na temat latarni w Kiss River.

– Co? – Paul zrobił wielkie oczy. – Jak to?

– Zadzwoił do mnie Alec O’Neill. Był umówiony w dwóch miejscach jednego dnia, więc zapytał, czy mogłabym mu pomóc, skoro mam doświadczenie w takich sprawach.

– To absurd. Przecież ty nic nie wiesz o tej latarni.

– Teraz już wiem.

Paul zakręcił mieszadełkiem w swojej szklance.

– Pojechaliście tam razem, jednym samochodem?

– Tak.

Odetchnął głęboko, potarł dłonią podbródek.

– Co mu powiedziałaś, Olivio? Chodzi mi o to, czy on wie, dlaczego jesteśmy w separacji?

– Nie powiedziałam mu nic o tobie i Annie.

– Więc o czym rozmawialiście przez... ile tam się jedzie, dwie godziny w jedną stronę?

Olivia przypomniała sobie, jak zwierzyła się Alecowi z bardzo intymnych szczegółów swojego życia osobistego.

– Najpierw omawialiśmy to, co każde z nas miało powiedzieć, a w drodze powrotnej – to, jak nam poszło. Nic więcej.

Paul wyprostował się. Potrząsnął głową.

– Nie potrafię tego zrozumieć. Dlaczego akurat ty? Czy ta latarnia aż tak cię obchodzi, że zgodziłaś się mówić o niej publicznie?

– A ciebie?

Oblał się rumieńcem.

– Latarnie morskie zawsze mnie fascynowały – odparł. – Nie wiedziałaś o tym, bo mieszkaliśmy w Dystrykcie Kolumbii, gdzie jest ich mało i stoją daleko od siebie. – Zgiął mieszadełko w palcach, aż w końcu pękło. – Robi mi się nieswojo, kiedy pomyślę, że rozmawiałaś z O’Neillem. Umówiłaś się już na inne akcje tego typu?

– Nie.

– Więc się nie umawiaj, dobrze?

Olivia założyła ręce na piersi.

– Jeśli będę miała czas i ochotę, Paul, to się umówię. Nie masz prawa mi zabraniać.

Kobieta przy sąsiednim stoliku obejrzała się na nich. Paul zniżył głos.

– Nie mówmy o tym teraz, w porządku? – poprosił. – Chcę, żeby to był miły wieczór. Pogadajmy o Waszyngtonie.

– Proszę bardzo. – Odsunęła się, bo właśnie zjawiała się kelnerka i postawiła przed nią zamówioną sałatkę.

– Było mi tam dobrze. Już od dawna się tak nie czułem. Wróciłem zaledwie kilka godzin temu i już zaczynam się spinać. To miejsce źle na mnie działa. – Wzdrygnął się. – W Outer Banks zbyt wiele przypomina mi o Annie. Tutaj jest tak ciasno, że gdziekolwiek się ruszę, wszystko mi się z nią kojarzy. Nawet zapach powietrza.

– Uwielbiam ten zapach – powiedziała Olivia i od razu wystraszyła się, że sama go kusi. Dla niej ten zapach był wspomnieniem Aleca i tamtego wieczoru, kiedy stali razem na szczycie latarni morskiej w Kiss River, a nad ich głowami zapalało się i gasło światło. Od tej pory kiedy tylko znalazła się pod gołym niebem, piła to powietrze wielkimi, orzeźwiającymi haustami.

Paul wbił wzrok w swój talerz.

– Jeśli postanowimy do siebie wrócić, musimy się stąd wyprowadzić – oznajmił.

Żal ścisnął ją za serce.

– Kocham to miejsce, Paul, chociaż połowa mieszkańców najchętniej by mnie zlinczowała. Mam nadzieję, że emocje opadną. Wydaje mi się, że to idealne miejsce, aby założyć rodzinę.

– Jaką rodzinę? – zapytał gwałtownie, a kobieta przy sąsiednim stoliku nie oparła się pokusie i znów na nich zerknęła. – Masz trzydzieści siedem lat, a operacja zwiększyła twoje szanse zajścia w ciążę do dwudziestu procent.

Trochę za mało.

Olivia pochyliła się nad stolikiem, żeby nikt nie słyszał.

– W odróżnieniu od ciebie nie wykluczam, że mogę zajść w ciążę. Jeśli się nie uda, w grę wchodzi jeszcze adopcja. Rozmawialiśmy już o tym. To nic nowego.

– Sporo się od tamtej pory zmieniło.

Kelnerka przyniosła przystawki. Paul mocno zacisnął zęby, czekając, aż zostawi ich samych. Nie uszło to uwagi Olivii.

– Nie rozumiesz – podjął, kiedy kelnerka odeszła od stolika. – Ja muszę się stąd wyrwać i już. Z tobą czy bez ciebie, ale muszę. Dzisiaj, kiedy tutaj jechałem, czułem się dobrze, myślałem z nadzieją o tym, że nam się uda, i cieszyłem się na spotkanie z tobą, ale zaraz za mostem w Kitty Hawk... jakbym włożył głowę w czarną chmurę. Z każdym przejechanym kilometrem było coraz gorzej, a gdy wreszcie dotarłem do domu i wysiadłem z auta... –

Potrząsnął głową. – Mam wrażenie, że ona wciąż tu jest i ma nade mną jeszcze większą władzę niż za życia.

Olivia poczuła, że kończy jej się cierpliwość.

– Dziwi cię to? – zapytała. – Twój dom jest pełen pamiątek po niej. Może jeśli pozbędziesz się tych wszystkich... relikwii, fizycznych dowodów waszej znajomości, to będziesz mógł o niej zapomnieć.

Posłał jej krótkie, wściekłe spojrzenie, a ona nagle zrozumiała, że nie potrafi po prostu mu wybaczyć i iść dalej. Też nosiła w sobie mnóstwo gniewu.

– Chcę być z tobą. O niczym bardziej nie marzę – powiedziała. – Ale nie zamierzam znów żyć w cieniu Annie.

– Więc musimy stąd wyjechać.

– Nie zostawię miejsca, które pokochałam, dopóki nie udowodnisz mi, że naprawdę się od niej uwolniłeś. Wyrzuć witraże. Zniszcz je.

Paul wzdrygnął się gwałtownie.

– No tak... – Olivia zmięła w dłoni serwetkę, położyła obok swojego talerza. – To jeszcze nie ten moment, prawda?

– Żeby zniszczyć witraże? Nie – przyznał, błędząc dookoła znużonym spojrzeniem. Za szklami okularów lśniły jego zaczerwienione, półprzymknięte oczy. Annie zaczęła jawić się Olivii jako złowrogi sukub, który zjawia się nocą i wysysa z niego życie. Możliwe, że to jednak on cierpi przez nią bardziej, pomyślała.

Po kolacji odwiózł Olivię na parking przed budynkiem pogotowia, gdzie

zostawiła samochód. Była zadowolona, że nie muszą jechać razem do domu, bo czułaby wtedy się zobowiązana, żeby go zaprosić, a przecież w domu stało łóżeczko, które w nocy pieczołowicie składała. W drodze do auta trzymał ją za rękę, a na pożegnanie pocałował lekko w usta, ale odwróciła się szybko i zaczęła otwierać drzwi, aby nie miał okazji jej dotknąć i odkryć jej tajemnicy.

W domu na automatycznej sekretarce czekała na nią wiadomość od Clarka Chapmana, ordynatora szpitala Emerson Memorial. Ze zmarszczonymi brwiami wysłuchiwała kilku słów wypowiedzianych głębokim, dźwięcznym głosem.

– Proszę o telefon, kiedy wróci pani do domu.

Potem usłyszała podyktowany numer oraz informację, że można dzwonić do jedenastej wieczorem. A dochodziła dopiero dziesiąta.

Zaciekawiona, wystukała ciąg cyfr.

– Doktor Simon! – Clark Chapman powitał ją tak entuzjastycznie, jak gdyby znali się od dawna. – Co słychać?

Milczała przez chwilę, zastanawiając się, czy przypadkiem rzeczywiście się gdzieś już nie spotkali i czy mogła o tym zapomnieć.

– Wszystko w porządku, dziękuję – odpowiedziała.

– Pewnie jest pani ciekawa, czemu zadzwoniłem, prawda?

– No cóż, zgadza się.

– Wolałbym, rzecz jasna, porozmawiać z panią osobiście, ale nie chciałem tego odkładać. Śledzę artykuły o pani, pani doktor. I bynajmniej nie z pustej ciekawości: pani pacjentka, czyli Annie O'Neill, trafiłaby do nas na urazówkę, gdyby zdecydowała się pani ją odesłać.

– Owszem.

– I oboje dobrze wiemy, że zmarłaby w drodze do szpitala.

Olivia poczuła, jak zalewa ją fala przemożnej wdzięczności i ulgi, a oczy napełniają się łzami. Ostatnio zbyt łatwo się rozklejam, pomyślała.

– Chyba tylko dwie osoby są o tym przekonane – odparła. – Pan i ja.

– Mam kolegów w szpitalu Washington General – ciągnął Chapman. – Rozmawiałem z nimi. Potwierdzili, że posiada pani zawodowe umiejętności i podejmuje właściwe decyzje. W przypadku pani O'Neill nie poszła pani na łatwiznę, ale wykazała się inicjatywą, odwagą i podjęła spore ryzyko, nie tylko zawodowe, ale również osobiste. – Słychać było, że się uśmiecha. – Zastanawia się pani, do czego zmierzam?

– Tak.

– Chcę zaproponować pani pracę. Może pani zostać współkierowniczką naszego zespołu urazowego. To świetni fachowcy, którzy uważają, że pani czyn zasługuje na miano bohaterstwa.

Idealnie, pomyślała Olivia. To jeden z tych niesamowitych, przeszczęśliwych zbiegów okoliczności, które sprawiają, że nagle wszystko zaczyna się układać. Ona i Paul mogą znów być razem, w nowym miejscu, z daleka od waszyngtońskiego zgiełku, ale też bez wspomnień o Annie, które dręczyły przecież ich oboje. A jednak nie poczuła ani odrobiny entuzjazmu, mimo satysfakcji z faktu, że Clark Chapman przyznał jej słuszność.

– Bardzo mi to pochlebia – powiedziała. – Ale nie wiem, czy w tej chwili jestem gotowa wyprowadzić się z Outer Banks. Nie chcę po prostu uciec od problemów.

To nie była do końca prawda, ale wydawało się, że przyjął jej wyjaśnienie.

– Zaproszenie jest otwarte – odparł Chapman. – Proszę nas odwiedzić. – Podał jej swój numer w pracy, który zapisała w kalendarzu. – To stanowisko będzie utworzone specjalnie dla pani – dodał. – W tej chwili nie istnieje, ale mamy trochę wolnego budżetu dla tego oddziału, więc wystarczy słowo i jest pani zatrudniona.

Odłożyła słuchawkę z dziwną obojętnością. I nieufnością. Nie mogła sobie pozwolić na nadzieję, na nowe marzenie o przyszłości, skoro nie wiedziała, czy jej mąż będzie je podzielał i czy da mu ono satysfakcję. No, ale mimo wszystko, powiedziała sobie, Paul wrócił. Tęsknił za mną. Na pewno się jakoś dogadamy.

Ale gdy już położyła się do łóżka i zamknęła oczy, w głowie miała jeden uporczywy obraz: ten wszystko mówiący szklany owal na szybie jego samochodu.

Rozdział trzydziesty piąty

Tym razem Paul Macelli denerwował się, o ile to możliwe, jeszcze bardziej niż poprzednio. Mary czekała na niego przez wiele tygodni i już myślała, że nie wróci, że pierwsza rozmowa wyczerpała jego odwagę. Nie chciała czekać. Miała już dziewięćdziesiąt lat i ostatnio nic, tylko czekała. Tak jej się przynajmniej wydawało.

Paul poprawił okulary, wyjął z teczki dyktafon i postawił go, jak poprzednio, na szerokiej poręczy fotela na biegunach, w którym zasiadała Mary. Wcisnął klawisz i urządzenie zaczęło nagrywać.

– Chciałbym dzisiaj usłyszeć coś o pani – powiedział. – Nazywano panią „aniołem od światła”, prawda?

– Owszem – przyznała trochę zaskoczona, ale mimo to zadowolona. – Co chce pan wiedzieć?

– Mówiła pani, że poznała swojego męża w Deweytown. Tam się pani wychowała?

– A owszem. Deweytown w porównaniu z Kiss River to była metropolia, powiadam panu. Mój ojciec miał tam mały sklepik spożywczy. Caleb bał się, że nie będę chciała się wyprowadzić, ale ja wtedy byłam babka z ikłą. Wydawało mi się, że mieszkać w Kiss River to dopiero przygoda!

– I co, była?

Mary uśmiechnęła się.

– Czasami tak, a czasami... no cóż, nieważne. Wyobraźnia zawsze mi służyła. Umiąłem znaleźć sobie zajęcie, kiedy za całą rozrywkę musiało mi wystarczyć obserwowanie, jak świeci latarnia.

Zacisnęła usta. Lepiej trzymać język na wodzy, pomyślała, zerkając na Paula, który znów poprawił okulary. Jedna noga podskakiwała mu w miejscu, wprawiając podłogę werandy w irytujące wibracje.

– No dobrze. A skąd wziął się przydomek „anioła od światła”?

– Hm – mruknęła Mary, błędząc wzrokiem po ulicy. – Można chyba

powiedzieć, że umiałam postępować z ludźmi, a w Kiss River dokuczał mi brak towarzystwa, więc kiedy docierała do mnie wieść, że ktoś w wiosce zachorował, przywoziłam jedzenie i troszczyłam się, żeby niczego pacjentowi nie brakowało. Mieliśmy małą łódź i czasami zabierałam chorych na drugi brzeg cieśniny, do Deweytown. Chyba po prostu byłam znana z tego, że pomagam ludziom.

Mary poruszyła się niespokojnie. Nie podobało jej się, że wszyscy widzieli w niej wcielenie dobra. Nikt tak naprawdę jej nie znał.

– Tworzyliśmy z Calebem zgraną drużynę – podjęła, unosząc wzrok na Paula.
– Oboje umieliśmy ciężko pracować i tak samo kochaliśmy tę latarnię. Kiedy widziałam jakiś statek, wychodziłam na galerię i machałam. Z tego też chyba mnie znali. Marynarze pytali jeden drugiego: „Co to za babka na latarni? – A, to przecież Mary Poor, zawsze miła, zawsze uczynna, zawsze chętnie pomoże”. I przepływając tędy, wypatrywali, czy stoję na górze i macham.

Odwróciła głowę w kierunku portu i zacisnęła powieki, aby zamiast łodzi zobaczyć białą wieżę latarni.

– No i umiałam też niezłe gotować. – Uśmiechnęła się, otwierając oczy. – Moje ciasto i pudding z persymoną były znane w okolicy. Pan, zdaje się, miał raz okazję skosztować moich wypieków, jeśli się nie mylę?

– Ee... – Paul upuścił długopis, zgiął się wpół, żeby go podnieść. – Nie przypominam sobie – odparł, prostując się z powrotem.

– Szkoda, że teraz nie mogę upiec takiego ciasta – powiedziała Mary. – Nie pozwalają nam gotować. Ani pić. Ani palić. Przyniósł pan dzisiaj papierosy?

– Przykro mi. Nie palę. – Paul drgnął nerwowo i wyciągnął rękę, podsuwając dyktafon jeszcze bliżej. – Proszę mi opowiedzieć o pracy w służbie ratowniczej.

Mary poczuła, że się czerwieni, i miała nadzieję, że jej rozmówca tego nie zauważył.

– Hm, to chyba będzie kolejna rzecz, która zapewniła mi miano anioła. I tak naprawdę ważniejsza niż tamta. – Usiadła wyprostowana, z piersi wypiętą do przodu. – Widzi pan, ja byłam bardzo silna. Pływałam lepiej od większości mężczyzn. Prawie codziennie kąpałam się w oceanie i pływałam tam i z powrotem, tam i z powrotem. Mięśnie rąk miałam twarde jak cegły, nóg zresztą też. Od wchodzenia po schodach w latarni. – Mary uśmiechnęła się do siebie. – Zawsze marzyłam o pracy w służbie ratowniczej. Zналиśmy wielu ratowników ze stacji brzegowej. Prosiłam, żeby zabrali mnie ze sobą, kiedy

dostawali wezwanie. Ma się rozumieć, tylko się ze mnie śmiali. Ale w tysiąc dziewięćset dwudziestym siódmym wreszcie się doczekałam. Poszliśmy z Calebem na plażę, mniej więcej półtora kilometra od latarni, bo jakiś statek wpadł tam na mieliznę. Kiedy dotarliśmy na miejsce, chłopcy ze stacji ratowniczej podpływali właśnie motorówką, żeby zabrać załogę z pokładu. Był mocny szkwał, w motorówkę uderzyła wielka fala i uszkodziła ją. Na plaży zjawili się tylko kilku ludzi, którzy mieli starą łódź wiosłową przystosowaną do pływania na dużej fali. Szybko do niej wsiedli i już chcieli wypływać, ale ja wtedy dostrzegłam swoją szansę. – Mary uśmiechnęła się do siebie. – Wskoczyłam z nimi do tej łodzi, tak jak stałam, w spódnicy. Było ich za mało do takiej akcji, a poza tym za bardzo ich zaskoczyłam i nie zdążyli mnie przegonić. Mówię panu, te wiosła leżały mi w dłoni jak ulał. Wszystko poszło gładko, bez problemu zabraliśmy chłopaków z motorówki. Przez kilka dni miałam ramiona jak z drewna, ale co tam. Potem, kiedy załoga stacji ratowniczej potrzebowała dodatkowej pary rąk, zawsze prosili mnie o pomoc – nieoficjalnie, ma się rozumieć.

Odchyliła głowę w tył, na oparcie fotela. Zaczynało ją męczyć to gadanie.

– Chce pani skończyć na dzisiaj? – zapytał Paul.

– To jeszcze nie wszystko – odparła.

Została jej jeszcze jedna opowieść – właśnie tak, opowieść, bardziej zmyślona niż prawdziwa. Mary już od tak dawna opisywała tamte wydarzenia w ten sposób, że właściwie zapomniała, jak było w rzeczywistości.

– Otóż, widzi pan, to właśnie przez swoją własną odwagę – czy może brawurę – straciłam męża. W lipcu tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego czwartego roku dostrzegłam z galerii jakiegoś człowieka w wodzie. Nie wyglądało to dobrze, chyba sobie nie radził. Pobiegłam na plażę i wskoczyłam za nim. Kiedy do niego dopłynęłam, był nieprzytomny, ale okazało się, że jest dla mnie za ciężki. Dostałam skurczów i zaczęliśmy tonąć. Caleb nas wypatrzył, wybiegł na brzeg i też wskoczył do wody. Udało mu się nas wydostać, ale wysiłek okazał się śmiertelny. Miał już sześćdziesiąt cztery lata. Serce przestało mu bić i upadł tam, gdzie stał, prosto na piasek.

– Współczuję – powiedział Paul. – To straszne, stracić kogoś w taki sposób.

Mary przez chwilę błędziła wzrokiem w oddali.

– Owszem – przyznała wreszcie. Uniosła ręce i klasnęła nimi o uda. – No dobrze, chyba już dosyć na dziś.

– Oczywiście. – Paul wyłączył dyktafon i wstał. – Jeszcze raz bardzo

dziękuję pani za pomoc.

Mary odprowadzała go wzrokiem, kiedy szedł do swojego samochodu. Męczyło ją to opowiadanie, przypominanie sobie rzeczy, o których wolałaby zapomnieć. A pośród tych szczegółów pamięć podsuwała jej jeszcze coś innego: pewien wieczór sprzed wielu lat, kiedy opowiadała dokładnie to samo, a jej słuchaczką była Annie.

Znały się wtedy dopiero od kilku miesięcy, ale w towarzystwie młodej przyjaciółki czuła się tak swobodnie, jak jeszcze nigdy przy żadnej kobiecie i żadnym mężczyźnie. Do tej pory nie zaznała w życiu luksusu posiadania bliskiej przyjaciółki i pomimo różnicy wieku wiedziała, że może zaufać Annie i otworzyć się przed nią. Mogła powiedzieć jej prawdę.

Był styczeń, na dworze ziąb. W tamtym okresie Annie spędziła z nią wiele takich wieczorów. Alec rozkręcał swoją praktykę weterynaryjną, ale region Outer Banks był tak słabo zaludniony, że najczęściej musiał jeździć na stały łąd do zwierząt hodowlanych. Wieczorami często nie było go w domu, bo pomagał krowom się cielić albo leczył kolkę u koni, a Annie miała przez to zdecydowanie zbyt dużo wolnego czasu.

Tamtego styczniowego wieczoru zabrała ze sobą Claya. Często go przywoziła, a malec dreptał po całym domu, gaworzył niezrozumiale i wpadał na meble i inne sprzęty. W końcu położyła go spać w małej sypialni na piętrze, ułożywszy na skraju posłania poduszki, żeby nie spadł. Śpiewała mu kołysanki swoim łagodnym głębokim głosem, a Mary, siedząca na fotelu przy kominku, słuchała z rozdartym sercem. Oczami wyobraźni widziała, jak tamten pokój na piętrze – pokój, w którym mieszkał Caleb, kiedy był dzieckiem – co kilka minut zalewa się blaskiem. Annie mogła zaciągnąć rolety i zasłony, ale światło i tak wciskało się w szczeliny, a Clay ulegał jego hipnotyzującemu urokowi. Zasypiał szybko, znacznie szybciej niż w domu.

Po jakimś czasie Annie zeszła na dół, gdzie w kominku szalał już ogień, a w kieliszkach mieniła się brandy. Wszystko przygotowała Mary, która po raz pierwszy od dziesięciu lat czuła więź z drugim człowiekiem.

Najczęściej było tak, że przez cały wieczór Annie nie zamykały się usta; Mary uwielbiała jej słuchać, bo cudownie kaleczyła wymowę swoim bostońskim akcentem. Annie z uwielbieniem opowiadała o Alecu, o Clayu, o witrażach. Czasami wspominała o rodzicach, których nie widziała od czasu, gdy poznała Aleca. Podobno nie odpowiadali na telefony od niej, a listy wracały nieotwarte. Kiedyś poleciała z synkiem do Bostonu, bo pomyślała, że

rodzice z całą pewnością nie pogardzą okazją zobaczenia swojego jedyne­go wnuka, tymczasem została odprawiona przez pokojówkę, która zamknęła jej drzwi przed nosem, i powiedziała, że Annie nie jest mile widziana w swoim rodzinnym domu.

Martwiła się o Aleca, że spędza wiele godzin w samochodzie, jeździ w kiepską pogodę i pracuje pod gołym niebem z dużymi zwierzętami. Skórę na dłoniach miał zazwyczaj poobcieraną i popękana­ną, a raz zdarzyło się, że krowa przy porodzie dostała tak ostrych skurczów, że złamała mu rękę. Kilka razy wybrała się razem z nim, ale w końcu Alec powiedział, że ani ona, ani tym bardziej Clay nie powinni się tułać po odludziu, gdzie tylko wiatr szarpie za ubranie i szczy­pie w oczy. Tak więc Annie najczęściej spędzała czas u Mary.

Tamtego styczniowego wieczoru Mary, rozgrzana wysączo­ną brandy, przejęła inicjatywę i to jej cichy głos rozbrzmiewał w salonie domu latarnika. Płomienie na kominku trzaskały i syczały, ocean huczał za ścianą, a Mary nie przerwała ani razu. Nie miała pojęcia, dlaczego akurat tamtego wieczoru tak ją wzięło na zwierzenia i wygadała się przed Annie ze wszystkich swoich tajemnic, o których nikt nigdy nie słyszał; gdyby ją zapytano, umiałaby tylko powiedzieć, że zachęciło ją do tego jej milczenie i przepełniony miłością wzrok.

Opowiedziała Annie dokładnie to samo, co usłyszał od niej Paul Macelli: o tym, jak poprzez dobre uczynki i troskę o innych zyskała przydomek „anioła od światła”.

– Pod tym względem jesteśmy podobne, Annie – podsumowała. – Masz dobre serce. Dla ludzi jesteś gotowa na wszystko i nigdy nie myślisz o sobie. – Łyknęła brandy, czując, że brakuje jej odwagi. – Ale na tym kończą się porównania. Nie mogę się z tobą równać. Ani jako człowiek, ani jako kobieta.

Annie spojrzała na nią. Policzki miała zarumienione od ciepła bijącego z kominka.

– Dlaczego tak mówisz? – zapytała.

Mary wzruszyła ramionami, jak gdyby zwierzenia przychodziły jej z łatwością.

– Nikt nigdy nie widział mojej drugiej twarzy – odparła, spoglądając Annie prosto w oczy. – Otóż mój mąż był najlepszym mężczyzną, jakiego kobieta może sobie wymarzyć. Cierpliwym, dobrym i silnym. Ale dla mnie to zawsze było za mało. Chyba przez to życie na odludziu. Nie wiem. Chciałam... – Zaciśnęła usta, wbijając wzrok w pomarańczowe płomienie na palenisku. –

Chciałam mieć innych mężczyzn – dokończyła.

– Aha – mruknęła Annie. – I co...? Miałaś?

– Tylko w wyobraźni. – Mary zamknęła oczy. – To było najsilniejsze uczucie w moim życiu. Największa tęsknota. Wstydę się o tym mówić.

– Nie musisz się wstydić. Wiele kobiet myśli o...

Mary machnęła tylko ręką, przerywając jej w pół słowa.

– Ale nie tak jak ja. Nie mogłam spać po nocach, bo myślałam o mężczyznach, których znałam, i wyobrażałam sobie, że jestem z tym albo z tamym. A kiedy byłam z Calebem... w łóżku... to też wyobrażenia podsuwała mi kogoś innego w jego miejsce. Czasami aż nie byłam w stanie pracować. Szłam na wieżę, żeby wypolerować soczewkę, a zamiast tego siedziałam na galerii i marzyłam. Machałam do marynarzy przepływających na statkach, a potem wyobrażałam sobie, jak przychodzą nocą na plażę i szukają mnie. Wpadłam kiedyś na taki pomysł, że kupię kawałek czerwonej tkaniny, żeby wywieszać ją na galerii, kiedy Caleb gdzieś pojedzie, a ja będę... wolna. I któregoś razu posunęłam się do tego, że ją kupiłam.

Poczuła, że się rumieni. Alez głupio wyglądam, pomyślała. Stara kobieta, siedemdziesiąt trzy lata, a wygaduje takie głupoty.

– Ale nigdy jej nie wywiesiłaś? – dopytywała Annie.

– Nie.

– To musiało być bolesne – powiedziała. – Tak bardzo czegoś pragnąć, ale myśleć: „Nie, nie wolno mi tego zrobić”.

Mary uśmiechnęła się. Annie rzeczywiście umiała to zrozumieć.

– Właśnie dlatego chciałam pracować w stacji ratowniczej – powiedziała. –

To był prawdziwy powód. Być blisko mężczyzn, czuć, że coś może się wydarzyć. To mnie elektryzowało. Ale za każdym razem, kiedy już, już to coś było blisko, odzywał się głos rozsądku. „Czy mam prawo do takiego rozczarowania”, zadawałam sobie pytanie. „Czy mogę chcieć więcej, niż mam?”.

Mary postukała palcami w szklanę. Miała ochotę na papierosa, ale wiedziała, że Annie martwi się, że jej przyjaciółka pali.

– Czasami udawało mi się przegnać te myśli o innych mężczyznach, ale tak głęboko we mnie wrosły, że czułam się, jakbym odrąbała sobie rękę albo nogę. Nawet w kościele nie mogłam zapanować nad wyobraźnią. Ludzie mówili, że Caleb nie zasługuje na taką wspaniałą żonę. Niektórzy wręcz pytali, co ja w nim widzę, uważali, że jestem nadzwyczajna, a on – prosty

człowiek, choć solidny i rzetelny. – Pokręciła głową. – On był tysiąc razy lepszy ode mnie.

Annie pochyliła się ku niej. Ogień lśnił złotem na puklach jej długich, rudych włosów.

– Jesteś dla siebie zbyt surowa – powiedziała.

Mary pociągnęła duży łyk brandy, gęstej niczym miód. Fala ciepła spłynęła jej do gardła.

– Moje wygłupy zabiły Caleba – oznajmiła, patrząc jej w oczy.

– Jak to?

Mary potrząsnęła głową.

– Miałam sześćdziesiąt trzy lata, a mózdzek ptasi jak u pensjonarki. Nikt nie wie, jak to było naprawdę ze śmiercią Caleba. Umiesz dochować tajemnicy?

Annie przytaknęła bez słowa.

– Był taki jeden rybak, któremu mocno przypadłam do serca, kiedy byłam już po trzydziestce. Przez wiele lat tylko rozmawialiśmy od czasu do czasu, że pewnego dnia można by przejść od słów do czynów. W końcu mnie przekonał. Powiedział, że lata lecą, a ja w duchu przyznałam mu rację. Teraz albo nigdy. Umówiliśmy się na schadzkę pewnego wieczoru, kiedy Caleb miał wyjechać i wrócić następnego dnia. Tyle że Caleb został w domu. Poszłam więc na plażę, aby powiedzieć Chesterowi, że tym razem nic z tego. I chyba mi nie uwierzył. Myślał, że chcę się wykręcić. No i rzucił się do całowania, tam na tej plaży, tak jak staliśmy, a ja mu się wrywałam, bo bałam się, że Caleb może być na wieży. I był. Wszystko widział i zdawało mu się, że Chester mnie napadł. Zbiegł po schodach, wyleciał na plażę i zaczęli się bić. Dwóch siwych dziadów. – Pokręciła głową. – Zaniosło ich aż do wody i okładali się pięściami, mokrzy do kolan. Caleb po prostu był już za stary na takie hece. Chester zresztą też. Dwa głupie staruchy złapały się za łby jak dzikusy. Kiedy Caleb w końcu wyczołgał się na plażę, nie mógł złapać tchu i po prostu padł trupem u moich stóp.

Mary skrzywiła się z bólu, wspominając, jak w pierwszej chwili nie mogła uwierzyć, że Caleb nie żyje, i jak potem sobą gardziła za to, co się stało.

– Kilka tygodni po pogrzebie – podjęła – Chester poprosił mnie o rękę. Taki miał tupet. Nie muszę chyba mówić, że odprawiłam go z kwitkiem. Znalazłam wreszcie lekarstwo na moją chorobę wyobraźnię, ale słono mi przyszło za to zapłacić.

Mary mówiła jeszcze przez jakiś czas, ale wyczuła w Annie jakąś milczącą

zmianę: przyjaciółka wycofała się, stała jakby ostrożniejsza. Szczelniej otuliła się zarzuconym na ramiona szalem i słuchała, zapatrzona w ogień na kominku. W pewnej chwili z sypialni na piętrze dobiegło ciche kwilenie.

– Obudził się – szepnęła Annie.

Mary kiwnęła głową.

– Lepiej jedź już do domu.

Annie wstała, nie przytrzymując szala, który zsunął się i opadł na fotel. Jej ciężkie kroki zadudniły na schodach. Mary przysłuchiwała się, jak uspokaja Claya pieszczotliwym głosem i cichutkim cmokaniem.

Kiedy zeszła na dół, posadziła małego na kolanach Mary.

– Przed wyjściem jeszcze dorzucę ci do ognia – powiedziała, bo zawsze tak robiła. Długo przekładała drewno pogrzebaczem, a Mary patrzyła na płomienie tańczące wokół jej głowy. W końcu Annie wstała i wzięła Claya na ręce. Była zarumieniona, a od jej dłoni i ubrania biło ciepło. Unikała wzroku Mary. Stara kobieta zaczęła żałować, że tak się przed nią otworzyła. To wyznanie mogło zbyt wiele ją kosztować. Mogła stracić tę wyjątkową przyjaźń.

Wstała z fotela i odprowadziła Annie do drzwi. Po wyjściu na werandę Annie odwróciła się do niej, tuląc dziecko do siebie, aby osłonić je przed wiatrem.

– Mary – powiedziała. – To, że miałaś te pragnienia... fantazje... nie znaczy, że jesteś złym człowiekiem.

Mary odetchnęła z ulgą, krótko, bezgłośnie.

– Nie znaczy – zgodziła się.

Annie ruszyła po ciemku do samochodu. Mary patrzyła za nią. W połowie drogi Annie odwróciła się jeszcze raz.

– Mary. Jesteśmy do siebie bardziej podobne, niż myślisz – powiedziała głosem tak cichym, że ledwie przebijał się przez szum morza.

Blask latarni oświetlił ją na jedną krótką chwilę. Mary zobaczyła jej błyszczące policzki i dziecięcą rączkę wyciągniętą w stronę twarzy mamy, a potem świat z powrotem pogrążył się w ciemności.

Rozdział trzydziesty szósty

W czwartek wieczorem po powrocie z pracy Olivia zobaczyła na podjeździe samochód Paula. Ten widok budził w niej niepokojąco mieszane uczucia: radość i gniew. Czy powinna mu pozwolić, żeby tu przyjeżdżał, kiedy mu się podoba? A jeśli zajrzał do pokoju, który niedługo miał się stać pokojem dziecięcym, i zobaczył łóżeczko?

W domu pachniało czosnkiem, oliwą i winem, jak zawsze, kiedy Paul gotował. Gdy weszła do kuchni, uśmiechnął się do niej znad patelni na ogniu, gestykulując trzymanym w dłoni widelcem niczym dyrygent batutą. Miał na sobie swój stary czerwony fartuch kuchenny, przewiązany w pasie.

– Cześć – powiedział. – Pomyślałem, że zrobię ci niespodziankę. Krewetki.

Powiedziała mu kiedyś, dawno temu, że jego krewetki to prawdziwy afrodyzjak.

Olivia położyła torebkę na stole.

– Na przyszłość: mógłbyś mnie uprzedzać, że chcesz przyjechać? – poprosiła. – To chyba nie jest do końca w porządku, żebyś tak tutaj... sobie wchodził.

W oczach Paula pojawiło się zdziwienie: powitały go słowa krytyki, a Olivia wcale nie wyglądała na zachwyconą jego widokiem.

– Wciąż płacę swoją część kredytu – przypomniał.

– Nie chodzi o pieniądze. Odszedłeś ode mnie. Mam prawo do przynajmniej odrobiny prywatności.

Powstrzymała się od spojrzenia na swój brzuch, czy widać coś, co mogłoby ją zdradzić.

Paul odłożył widelec i stanął przed nią.

– Masz rację. Nie pomyślałem o tym. Po prostu chciałem ci zrobić niespodziankę, Liv. Sprawić przyjemność. Chcesz, żebym wyszedł?

Potrząsnęła głową.

– Nie. – Zabrzmiało to opryskliwie, aż się zdziwiła, podobnie zresztą jak on.

– Chcę, żebyś tutaj był – dodała już łagodniej. – Poczekaj, przebiorę się.

Poszła do swojej sypialni i włożyła ostatnie dżinsy, które jeszcze się dopinały, a do tego długi luźny T-shirt. Niedługo będą wreszcie musiała się przełamać i kupić ubrania ciążowe, pomyślała. Wtedy się wyda i wszyscy się dowiedzą. Paul też.

Wróciła do kuchni.

– Pomóc ci? – spytała.

– Już gotowe – odparł. – Tylko siadać. – Zaprosił ją gestem do stołu w kuchni. Nie kupiła jeszcze nowego do jadalni.

Usiadła, a Paul postawił przed nią talerz tłustych, smakowicie pachnących czosnkiem krewetek z dzikim ryżem. Gotowanie miał we krwi, należał do tych ludzi, którzy potrafią wyczarować niezwykle dania, bez zaglądania do książki kucharskiej. Zawsze był większym domatorem niż Olivia. To on miał zostać w domu z dziećmi, a ona miała pracować; taki kiedyś mieli plan.

Gdy zobaczyła, że chce jej nalać wina, zasłoniła dłonią swój kieliszek.

– Nie, dziękuję.

Paul spojrzał na nią, zdziwiony.

– Postanowiłam przez jakiś czas nie pić.

– Dlaczego?

Byłoby łatwiej, gdyby pozwoliła mu nalać sobie wino. Przecież nie musiała go pić.

– Muszę się trochę lepiej prowadzić – wyjaśniła.

Paul usiadł do stołu.

– Miałem nadzieję, że cię dzisiaj upiję i uwiodę.

Poczuła, że się czerwieni, i spuściła wzrok. Paul wyciągnął rękę nad stołem i położył jej dłoń na ramieniu.

– Widzę, że naprawdę jesteś na mnie zła – powiedział.

– Są rzeczy, na które nie mogę po prostu przymknąć oka.

Przytaknął i wyprostował się z powrotem. Wziął butelkę i napełnił swój kieliszek.

– Nie mam do ciebie pretensji – powiedział. – Ale dzisiaj zrobiłem coś, co ci się spodoba.

– Mianowicie?

– Przekazałem dwa witraże Annie w darze dla miejskiej biblioteki.

– Poważnie? – To ją naprawdę zaskoczyło.

Paul wypił łyk wina.

– Nie jestem w stanie zerwać z tym z dnia na dzień, Liv, ale się staram. Oddałem dwa podmorskie pejzaże, które wisiały u mnie w sypialni. I jeszcze mały owalny witraż z samochodu. Bibliotekarka była zachwycona. Te prace są pewnie teraz znacznie więcej warte, bo ona... zmarła już jakiś czas temu. –

Zacisnął na chwilę wargi, jak gdyby przyznanie faktu, że Annie nie żyje, wciąż sprawiało mu ból. – Reszty też się pozbędę, w tym tygodniu albo w przyszłym, kiedy znajdę jakieś miejsce, gdzie warto je przekazać.

– To bardzo dobrze, Paul – powiedziała Olivia, starając się uśmiechnąć. – Niezależnie od tego, czy wrócimy do siebie, czy nie, naprawdę musisz się od niej uwolnić.

Paul zaczerwienił się.

– Co to za gra, Olivio? Chcesz mi pokazać, że jesteś trudna do zdobycia?

– To nie jest żadna gra. – Spojrzała mu prosto w oczy, ciepłe i orzechowe za szklami okularów. – Nie wiem, jak mam cię traktować. Panicznie boję się ci zaufać. Boję się zaangażować, nie mając pewności, czy ty jesteś w stanie odpowiedzieć zaangażowaniem.

– Kiedyś nam się udało – przypomniał. – I teraz też tak będzie, kiedy stąd wyjedziemy.

Olivia przez chwilę jadła w milczeniu. Wreszcie uniosła wzrok.

– Dostałam propozycję pracy – powiedziała. – W szpitalu Emerson Memorial.

Streściła Paulowi rozmowę z Clarkiem Chapmanem, a on cały się rozpromienił, odłożył widelec i znów wyciągnął do niej rękę, tym razem przykrył jej dłoń swoją.

– Przecież to znak! – zawołał. – Dobra wróżba. Wyjedziemy do Norfolk i zaczniemy od nowa. Zadzwoni do niego, Liv. Jeszcze dzisiaj powiedz mu, że się zgadzasz.

Olivia potrząsnęła głową, ale nie zabrała ręki.

– Muszę się zastanowić – odparła. – Nie podejmę pochopnej decyzji.

Po kolacji Paul podał mus truskawkowy i zjedli go w salonie: ona na jednym końcu kanapy, on na drugim. Olivia próbowała wymyślić sposób, żeby go spławić, zanim spróbuje się do niej zbliżyć i jej dotknąć. Tymczasem on nie wyglądał bynajmniej, jakby mu się dokądś spieszyło. W pewnym momencie zdjął buty i wyciągnął nogi na kanapie.

– Przeczytałem wczoraj jeszcze raz *Katastrofę Eastern Spirit* – powiedział.

– Czemu?

– Chciałem poprawić sobie nastrój. Zbliżyć do ciebie. Ta książka przypomniała mi, co czułem, obserwując cię wtedy, w szpitalu, kiedy się w tobie zakochałem. Pamiętasz, jak było cudownie?

Olivia zaśmiała się gorzko.

– O tak, cudownie. Czterdzieści dwie ofiary śmiertelne. Coś wspaniałego.

Momentalnie pocałowała tej zjadliwości. Paul wstał z kanapy; widać było, że jest urażony.

– Zmieniłaś się – zauważył. – Zrobiłaś się... bezduszna.

– Po prostu nie mam odwagi zbliżyć się do ciebie.

– To co ja mam zrobić, Liv?

– Na początek pozbyć się tych witraży, które ci zostały.

– Dobrze. – Skinął głową. – Jutro.

Nagle naszła ją obawa, że nawet jeśli rzeczywiście Paul pozbędzie się wszystkich namacalnych dowodów istnienia Annie O'Neill, to człowieka, który wyłoni się po tej przemianie, ona i tak nie będzie w stanie zaakceptować.

– Kochałeś się z nią – powiedziała cicho. – To boli najbardziej. Czegoś takiego nie da się wyrzucić z pamięci. Już nigdy nie pozbędę się myśli, że to wspomnienie wciąż ci towarzyszy. Jeśli jeszcze kiedyś pójdziemy ze sobą do łóżka, będzie mnie dręczyć obawa, że nas porównujesz. Albo wyobrażasz sobie, że ona to ja.

– O nie... – Paul ze zboląłą miną usiadł na kanapie. Objął ją ramionami. – Kocham cię, Liv. Po prostu na chwilę mi odbiło.

Ujął ją pod brodę i pocałował, a ona nie broniła się, bo chciała poczuć do niego choć odrobinę czułości, ale miała raczej ochotę go ugryźć, tak żeby pociekła krew. Cofnęła niezręcznie głowę i niezgrabnym ruchem skrzyżowała ręce na brzuchu, żeby przypadkiem jej nie dotknął.

Paul odsunął się od niej.

– Domyślałem się, że nie chcesz, abym został dzisiaj na noc?

Pokręciła głową bez słowa.

– Tęsknię za tobą.

Spojrzała na niego.

– Ja też za tobą tęsknię, Paul – przyznała. – Bardzo tęsknię, ale muszę być cię pewna. Zadzwoń, kiedy uwolnisz się od Annie, będziesz na sto procent pewny, że wyrzuciłeś ją sobie z głowy.

Paul włożył buty. Nie wstała z kanapy. Potem pochylił się i położył dłoń na

jej kolanie. Nie powiedział ani słowa i nie spojrzał na nią; wiedziała, że jest bliski płaczu i kiedy wyjdzie na zewnątrz, najprawdopodobniej już nie powstrzyma łez.

Zamknął za sobą drzwi, a ona rozpięła z ulgą dzinsy i odetchnęła głęboko. Oparła dłoń na lekko zaokrąglonym brzuchu i machinalnie odszukała wzrokiem telefon, który do tej pory nie zadzwonił, chociaż było już wpół do jedenastej.

Alec.

Nadszedł czas, aby stawić czoło prawdzie: była w czwartym miesiącu ciąży z mężczyzną, co do którego nie umiała sobie odpowiedzieć na pytanie, czy go jeszcze kocha, czy już nie, zakochała się natomiast we wdowcu, który wciąż jeszcze nie przestał kochać swojej zmarłej żony.

Rozdział trzydziesty siódmy

Dziecko drgnęło.

Olivia leżała w łóżku i nie śmiała się poruszyć. W oknie sypialni wycinek nieba nad cieśniną rozbarwił się pierwszym różowym poblaskiem świtu.

I jeszcze raz. Delikatny trzepot ptasich skrzydełek.

Potem wszystko ucichło. Zamknęła oczy i położyła dłonie płasko na brzuchu. Może to się jej przyśniło? Nie. Było zbyt prawdziwe. Dziecko Paula.

Kiedy z powrotem otworzyła oczy, na niebie lśniło już słońce, a pokój stał skąpany w jasnym, żółtym świetle. Olivia przez moment leżała bez ruchu i usiłowała wyczuć... cokolwiek. Może to jednak naprawdę był sen. A może wyobraźnia.

Miała wolne, więc pół godziny później była jeszcze w szlafroku i w takim właśnie stroju wyszła na werandę po dostarczaną o poranku „Beach Gazette”. Wróciła z nią do kuchni. Ostatnio podczas lektury towarzyszyło jej ciągle napięcie, ale teraz spodziewała się przeczytać jakąś wzmiankę o odejściu Jonathana z pracy w pogotowiu.

I rzeczywiście, na pierwszej stronie znalazła artykuł informujący, że doktor Cramer niespodziewanie złożył rezygnację. Poza tym tekst zawierał tylko streszczenie poprzednich oszczerstw, więc czytelnicy mieli najwidoczniej sami wyciągnąć wnioski na temat tego nagłego odejścia. To za mało, pomyślała zawiedziona Olivia.

Kiedy zjadła już połowę babeczki z borówkami, otworzyła się przed nią strona z listami do redakcji. Postanowiła ich tego dnia nie czytać. Ostatnio zawsze co najmniej kilka musiało zawierać zawziętą krytykę jej decyzji w sprawie Annie O’Neill. Już miała odwrócić stronę, kiedy pod ostatnim z listów zauważyła znajome nazwisko. Alec O’Neill. Otworzyła gazetę z powrotem, wygładziła kartkę dłonią i zaczęła czytać.

Piszę, aby wyrazić swoje zaniepokojenie niedawną falą negatywnych

komentarzy oraz otwartej wrogości skierowanej przeciwko lekarce pogotowia w Kill Devil Hills, która próbowała uratować życie mojej żony, Annie Chase O'Neill. Jako weterynarz mam pełną świadomość ludzkiej omylności, zwłaszcza pod tak wielką presją, jaką stanowi przypadek osoby ciężko rannej. Mimo to jestem przekonany, iż decyzje podjęte przez dr Simon w celu ratowania życia Annie były najlepsze z możliwych. Rozumiem wzburzenie oraz potrzebę szukania winnych, ponieważ sam w ciągu minionych siedmiu miesięcy doświadczyłem podobnych emocji, ale ci, którzy znali szlachetny charakter Annie, wiedzą, że nigdy nie dopuściłaby się ona szkalowania innego człowieka i nie próbowałaby zaszkodzić jego karierze zawodowej. Annie była zapaloną aktywistką i wystarczy prześledzić jej działalność w regionie Outer Banks, od pierwszego publicznego wystąpienia, czyli pomocy na rzecz Mary Poor z latarni w Kiss River, po niedawną walkę o to, żeby dziecko chore na AIDS mogło chodzić do szkoły, by zobaczyć jak na dłoni, że dla niej liczyło się tylko pomaganie innym i temu poświęcała całą swoją energię. Ataki wymierzone w osobę, która zaryzykowała własną reputację, aby ją uratować, nie są dobrym sposobem uczczenia pamięci Annie.

Niedorzecznością jest myśleć, że kobieta z sercem przestrelonym na wylot może przeżyć czterdziestopięciominutowy lot helikopterem do najbliższej placówki dysponującej oddziałem urazowym. Dr Simon, zamiast zrzec się odpowiedzialności i wysłać ranną do szpitala Emerson Memorial, dokąd Annie nie miała żadnej szansy dotrzeć, zrobiła coś, co znacznie przekraczało zakres jej obowiązków, i za wszelką cenę starała się ratować jej życie w takich warunkach, jakimi dysponuje lokalna placówka pogotowia ratunkowego. Powinna od nas usłyszeć słowa uznania, a nie krytyki.

Olivia przeczytała ten list dwa razy, zapominając o jedzeniu. Zadzwoiła do Aleca na numer domowy, ale odłożyła słuchawkę, gdy włączyła się automatyczna sekretarka. Znalazła numer przychodni dla zwierząt, a gdy w słuchawce usłyszała głos recepcjonistki, wpadła w panikę. Nie, nie mogę mu zawracać głowy, pomyślała. Na pewno jest zajęty.

– Martwię się o moją kotkę – powiedziała i uświadomiła sobie, że to sam Alec podsunął jej ten kretyński fortel swoją opowieścią o tym, jak zapisał się na wizytę do teścia. – Czy doktor O'Neill ma dziś wolny termin?

– Co jej dolega?
– Jakaś choroba skóry. – Olivia odszukała wzrokiem Sylvie, która leżała zwinięta w kłębek na rattanowym fotelu, zdrowa i zadowolona. – Już od kilku dni drapie się jak szalona.
– Mogę panią wcisnąć na dzisiaj, około szesnastej trzydzieści. Zapisać panią?
– Tak.
– Poproszę nazwisko.
– Macelli.
Bała się, że nazwisko Olivii Simon może być zbyt dobrze znane tej młodej kobiecie.

* * *

W poczekalni były trzy psy. Olivia poczuła wyrzuty sumienia, że wykorzystuje Sylvie w taki sposób. Kotka trzęsła się na jej rękach, ale gdy znalazły się w małej salce do badań, gdzie miały zaczekać na Aleca, uspokoiła się szybko. To jednak był błąd, pomyślała Olivia. Ona z pewnością nie byłaby zadowolona, gdyby ktoś zawracał jej głowę prywatnymi sprawami w czasie pracy. Wstała i ruszyła do drzwi. Kiedy dotknęła gałki, drugimi drzwiami, znajdującymi się naprzeciwko, wszedł Alec.

– Olivia? – zapytał zdziwiony. Poza zdziwieniem wyglądał doskonale. Nie widzieli się już prawie półtora tygodnia i jego opalenizna, mocno kontrastująca z bielą lekarskiego fartucha, zrobiła na niej spore wrażenie. – Sylvie zachorowała?

– Nie, jest zupełnie zdrowa. – Olivia uśmiechnęła się niemądrze. – Przepraszam cię, Alec. Chciałam podziękować za twój list do „Beach Gazette”, ale nie zastałam cię w domu, a jakoś poczułam, że nie mogę z tym czekać.

Alec uśmiechnął się i wziął od niej Sylvie. Mała kotka wtuliła się w jego pierś, a on podrapał ją po uszach.

– Nie musisz wymyślać takich pretekstów, żeby się ze mną zobaczyć – powiedział.

Poczuła, że się czerwieni. Zachowała się infantylnie.

– Twój list bardzo mi pomógł – przyznała.

- Nie zasłużyłaś sobie na chłostę opinii publicznej.
- Niezależnie od tego, czy coś się po tym zmieni, chciałam, żebyś wiedział, jak bardzo jestem ci wdzięczna, że to napisałeś. Że tak myślisz i czujesz. Nie byłam tego pewna.
- Alec opuścił wzrok. Sylvie, siedząca mu na rękach, zaczęła mruczeć i ugniatać łapkami kieszeń fartucha na jego piersi.
- Przepraszam, że się nie odzywałem – powiedział w końcu, unosząc z powrotem głowę. – W zeszłym tygodniu na pewno potrzebowałaś wsparcia, ale...
- Nie przepraszaj. Nie przyszedłam tutaj, żeby wyciągać od ciebie przeprosiny.
- Po prostu to zaszło trochę za daleko.
- I teraz pewnie straciłam w twoich oczach, bo na to pozwoliłam.
- Oczywiście, że nie. Brakowało ci męża, a ja nie miałem żony i... Martwi cię to?
- Raczej mi wstyd.
- Nie myśl tak, proszę.
- No dobrze, pójdę już. Musisz przyjąć prawdziwych pacjentów. – Wyciągnęła ręce po Sylvie, lecz Alec odwrócił się bokiem, nie dając sobie zabrać kotki.
- Nie tak szybko – powiedział. – Powiedz, co u ciebie.
- Przed oczami przeleciał jej cały szereg wydarzeń z zeszłego tygodnia. Paul wrócił. Pełen skruchy. Ale nie chciała rozmawiać o Paulu.
- Miałam zacząć nowy witraż – bąknęła. – Ale Tom uznał, że nie może mnie dłużej uczyć.
- Jak to? – Alec zrobił wielkie oczy. – Mam nadzieję, że nie przez tę całą awanturę o Annie?
- Olivia skinęła głową. Alec skrzywił usta w gniewnym grymasie.
- To niedorzeczność. Pogadam z nim.
- Nie, proszę cię. To tylko pogorszy sprawę.
- Co w takim razie z twoimi witrażami? Zrezygnujesz z nauki?
- Coś wymyślę.
- Mam w domu dużo starych narzędzi po Annie. Może wpadniesz i zobaczysz, czy coś z tego ci się nie przyda?
- Olivia poczuła, jak zalewa ją olbrzymia ulga, całkiem niewspółmierna do usłyszanej propozycji.
- Mieliście szlifierkę?

Alec skinął głową.

– Przyjedź wieczorem. – Podał jej Sylvie, a wierzch jego dłoni otarł się lekko o jej pierś pod bluzką. – Dzieciaki chyba dziś nie wychodzą. Będziemy mieć przyzwoitki, żebyśmy nie nabroili.

Olivia położyła dłoń na gałce u drzwi, ale nie przekręciła jej, nie otworzyła. Odwróciwszy się, spojrzała Alecowi w oczy.

– Dziś rano poczułam, jak dziecko się poruszyło.

Zmrużył oczy, a twarz miał nieprzeniknioną. Wzruszyła ramionami, zawstydzona.

– Po prostu chciałam o tym komuś powiedzieć – rzuciła, otwierając drzwi.

– Olivio. – Obejrzała się, słysząc jego głos. – Powinnaś powiedzieć o tym Paulowi, nie mnie.

Rozdział trzydziesty ósmy

Z szafy w korytarzu wyjął szlifierkę i przybornik z narzędziami do robienia witraży. Zaniósł cały ten sprzęt do gabinetu. Przedmioty nieużywane od siedmiu miesięcy. Przybornik z miękkiej brązowej skóry był zakurzony, a sam jego widok wystarczył, aby głęboko w piersi Aleca odezwał się nieznośny ból. Wytarł go chusteczką, a potem rozłożył na stole roboczym, przy którym pracowała Annie, ze wszystkich sił starając się znieczulić na zapach, na tę starą, dobrze znaną woń metalu i mydła; tak pachniała ona i jej narzędzia.

Nic nie leżało na swoim miejscu, we właściwej kieszonce. Włożone gdzie popadnie, tak jak je zostawiła. Cążki, noże do szkła, szpulki cynowego drutu i rolki miedzianej folii, nożyczki o trzech ostrzach. Trochę się wstydził pokazywać to wszystko Olivii, odkrywać przed nią bałaganiarską stronę Annie. Oczami duszy zobaczył żonę siedzącą przy tym stole, w gabinecie, co chwilę odgarniającą przeszkadzające w pracy włosy. Zbierała je w dłoń, skręcała i przerzucała przez ramię, nieświadomym ruchem, który Alec zauważył już pierwszego wieczoru, kiedy tylko się poznali. Ucieszył się, że Olivia weźmie te narzędzia. Zrobi z nich dobry użytek. Da im nowe życie.

– Po co wyjąłeś narzędzia mamy?

Odwrócił się. W drzwiach stała Lacey. Włosy odrastały jej w czarno-rude łaty, co wyglądało wręcz komicznie.

– Olivia Simon pożyczycy kilka sztuk – wyjaśnił.

– A nie może wziąć od Toma?

– Tom w tej chwili jej nie uczy, a ponieważ jest już na takim etapie, kiedy potrzebne są własne narzędzia, zaprosiłem ją, żeby obejrzała te po mamie.

– Ona tutaj przyjedzie? – Lacey zrobiła wielkie oczy. – Myślałam, że już z nią nie chodzisz.

– Ja z nią nie chodziłem, Lace. To tylko znajoma. Tłumaczyłem ci.

Może to jednak był błąd, zapraszać Olivie do domu. Wystarczyłoby podrzucić jej narzędzia. Nie, to nie był dobry pomysł; Alec potrząsnął głową,

przypominając sobie, co się działo ostatnim razem w jej salonie. Albo mogli się umówić u niej w pracy.

Odezwał się dzwonek do drzwi. Clay zbiegł z tupotem po schodach, żeby otworzyć. Alec uprzedził go, że wieczorem zajrzy do nich Olivia, i wyjaśnił po co; chłopak odpowiedział całkiem nietypowym dla siebie bezwstydnym uśmiechem. A teraz z salonu dobiegł go głos Olivii i śmiech Claya.

– Muszę się pouczyć – oznajmiła Lacey. Wyszła z gabinetu i skręciła do kuchni zamiast do salonu, żeby nie pokazać się Olivii po drodze na górę.

Zaraz potem w gabinecie pojawili się Olivia i Clay.

– Tato, wychodzę – usłyszał Alec. Podniósł wzrok znad rozłożonego przybornika.

– W porządku – odparł. – Baw się dobrze.

Olivia z uśmiechem odprowadzała wzrokiem chłopca. Miała na sobie dżersejową sukienkę w biało-różowe paski, z obniżonym stanem. W sam raz dla niej, pomyślał Alec. Idealny kamuflaż. Nikt by się nie domyślił, że jest w ciąży.

– To niesamowite, że jesteście z synem podobni jak dwie krople wody – powiedziała Olivia, kładąc torbę na krześle przy stole. – Ooo... – westchnęła z podziwem, gdy zauważyła rozłożone narzędzia.

– Trochę to nieuporządkowane – wyjaśnił. – Annie od razu by wiedziała, czego potrzebujesz, ja się na tym kompletnie nie znam.

– Chyba sobie poradzę. – Olivia uniosła wzrok, aby spojrzeć na niego, i przez otwarte drzwi gabinetu zauważyła owalne witrażowe okienka. – Och, Alec... – Wyszła do salonu i stanęła pod ścianą. Było jeszcze na tyle jasno, żeby podziwiać wzory i kolory w całej ich krasie. – Jakie to piękne – zachwyciła się.

Alec stanął obok.

– Twój mąż też był zafascynowany.

– Tak? – Wskazała owal na samym środku. – A dlaczego tamten zostawiła pusty, z białą szybą?

– Nie był pusty. Zbiłem go dwa tygodnie temu. Rzuciłem w niego szklanką.

Spojrzała na niego.

– Nie wiedziałam, że jesteś agresywny.

– Na ogół nie jestem.

– Chciałeś trafić kogoś konkretnego?

– Chyba Boga. – Roześmiał się. Olivia dotknęła palcami jego ręki, ale ruszył

w stronę kuchni, więc poszła za nim. – Oddałem go Tomowi do naprawy. Napijesz się mrożonej herbaty?

– Chętnie.

Wyjął z lodówki dzbanek z napojem, a z szafki nad zlewem – dwie zielone szklanki.

– I co słyhać u Olivii? – zapytał, nalewając herbatę. – Od wyjazdu do Norfolk w zasadzie nie zamieniliśmy ani słowa.

Wzięła zimną szklankę z jego rąk, oparła się o szafkę.

– Olivia jest aktualnie trochę pogubiona. – Opuściła wzrok. Jej gęste, czarne rzęsy odcinały się mocno na tle bladych policzków. – Sporo się od tamtego czasu wydarzyło, już nawet nie licząc tego, że zdobyłam tytuł najmniej popularnego lekarza w całym regionie Outer Banks.

– Przykro mi. – Alec potrząsnął głową.

– Tymczasem niedawno dostałam propozycję pracy. Zadzwoił do mnie ordynator Emerson Memorial i zaoferował stanowisko w tamtejszym zespole urazowym.

– Naprawdę? – Alec odstawił szklankę na szafkę, tknięty nagłym niepokojem. – Zgodzisz się?

– Nie wiem. Podoba mi się tutaj, a jeśli odzyskam zaufanie pacjentów, poczuje się jeszcze lepiej. Ale to nie wszystko. – Łyknęła herbaty, patrząc na niego ponad krawędzią szklanki. – Paul wrócił z wyjazdu całkowicie odmieniony – wyznała. – Bardzo się teraz stara.

Uśmiech zamarł mu na ustach.

– To świetnie, Olivio. A przeszła mu już ta... jak jej tam?

– Chyba nie do końca, ale widzę, że naprawdę robi postępy. Wyznał mi tylko, że w Outer Banks wszystko mu o niej przypomina i chce, żebyśmy stąd wyjechali.

– Aha. Więc ta praca w Norfolk spadła ci z nieba. – Wziął swoją szklankę i ruszył z powrotem do gabinetu. – Wiedziałem, że to tylko kwestia czasu.

Chciał usłyszeć coś więcej. Chciał się dowiedzieć, czy poszli do łóżka.

– Powiedziałaś mu o dziecku?

– Jeszcze nie.

Weszli do gabinetu, stanęli nad stołem, gdzie leżały rozłożone narzędzia Annie. Ich zapach był teraz dla niego już prawie nie do zniesienia.

– To załatwi sprawę, Olivio – powiedział. – Paul to straszny romantyk. Gdybyś mu powiedziała...

– Na razie jeszcze nie mogę.

– Niedługo sam zauważysz, nie wydaje ci się?

Olivia opuściła głowę i przyglądała się paskom na swojej sukience, luźną fałdą osłaniającą okolice brzucha.

– Aż tak widać? – zapytała.

– Nie widać nic a nic. Ale... zakładam, że... to jest twój mąż i... – Urwał, czując, że się czerwieni. Olivia uśmiechnęła się.

– Na razie nie dopuściłam go do siebie aż tak blisko.

– Aha, rozumiem. – Alec zdjął jej torbę z krzesła i położył na stole. – Siadaj, proszę.

Olivia usiadła i w tym samym momencie zadzwonił telefon na biurku. Alec podniósł słuchawkę. Telefonistka z centrali poinformowała go, że do przychodni przywieziono nagły przypadek: psa z ostem w oku.

Skończył rozmowę i wyjaśnił Olivii sytuację.

– To ty mnie namówiłaś, żebym wrócił do pracy – uśmiechnął się. –

Przejrzyj to sobie bez pośpiechu. – Wskazał rozłożone narzędzia. – Nie mam pojęcia, ile mi to zajmie, więc nie czuj się zobowiązana, że musisz na mnie czekać. Gdybyś czegoś potrzebowała, zawołaj Lacey.

Poszedł na górę, aby powiedzieć córce, że wychodzi. Lacey siedziała na łóżku, obłożona książkami i kartkami. Radio wypluwało z siebie jakąś irytującą muzykę.

– Jadę do przychodni, nagły wypadek – oznajmił. – Olivia przegląda sprzęt po mamie. Wrócę jak najszybciej.

– No nie, tato... – jęknęła dziewczyna. – Skoro wychodzisz, to ją spław.

– Dopiero co przyjechała, Lace. Gdybym miał wrócić naprawdę późno, dam znać.

Wyszedł z pokoju, zanim zdążyła zgłosić więcej zastrzeżeń. Na dole zatrzymał się jeszcze w progu gabinetu, ale Olivia zabrała się już do dzieła: siedziała pochylona w skupieniu nad rozłożonym na kolanach arkuszem papieru milimetrowego. W palcach trzymała nożyczki, których kiedyś używała Annie, i w zamyśleniu przygryzała dolną wargę. Alec postanowił jej nie przeszkadzać i wycofał się cicho.

Wyszedł z domu na wilgotne, słone powietrze. Volvo Olivii spowijały nikłe, skłębione opary, mieniające się różowo w blasku zachodzącego słońca. Alec minął auto, przesuwał dłońią po nagrzanej, gładkiej karoserii, i wyszedł na ulicę, gdzie stał jego ford.

* * *

Do gabinetu weszła Lacey. Olivia uniosła głowę znad przybornika z narzędziami. Uderzyło ją, że dziewczyna wygląda na znacznie starszą niż swoje czternaście lat.

– Hej, Lacey – powiedziała. – Jak się masz?

– W porządku. – Córka Aleca przystawiła do stołu fotel ojca, stojący przy jego biurku. Usiadła, podciągając nogi wysoko pod brodę, a boscie pięty oparła na siedzeniu. Patrząc na jej włosy, trudno było pohamować uśmiech. – Nad czym pani pracuje? – zainteresowała się.

Olivia musiała się zastanowić. Nie mogła się przyznać, że tworzy witraż do pokoju dziecięcego; miałyby powiedzieć Lacey, że jest w ciąży, skoro jej własny mąż nie miał o tym pojęcia?

– Robię ozdobę witrażową do jednego z pokoiów w moim domu – powiedziała.

– A ma pani projekt? Mama zawsze pracowała według projektu.

– Mam. – Olivia podniosła z kolan kartkę papieru milimetrowego i położyła ją na stole, myśląc, że kilka balonów z koszami musi wyglądać banalnie dla dziewczyny, której matka robiła znacznie bardziej skomplikowane witraże, ale Lacey uśmiechnęła się z uznaniem.

– Ładne – pochwaliła i zabrzmiało to szczerze. Przyglądała się, jak Olivia wyjmując z przybornika rolkę folii miedzianej. – Nie powiedziała pani tacie, że byłam na pogotowiu – zagadnęła po chwili.

– Nie powiedziałam.

– Dlaczego?

– Bo na pogotowiu obowiązuje zasada dyskrecji. – Olivia uniosła wzrok. – Jak się czuje twój kolega po tym cracku?

Lacey zmarszczyła nos.

– Wrócił do Richmond. To nie był mój kolega. A tak w ogóle to dupek.

Olivia skinęła głową.

– To było ogromne ryzyko. Mógł umrzeć.

– On miał to gdzieś. Są ludzie tak porąbani, że nic ich nie obchodzi. – Lacey wzięła do ręki szpulkę cynowego drutu i zaczęła się nią bawić. Paznokcie miała obgryzione do krwi, a opuszki zaczerwienione i poobcierane. Za maską

zblazowanej nastolatki kryło się przerażone dziecko.

– Twój tata opowiadał mi, że masz kolekcję starych lalek – przypomniała sobie Olivia.

– Aha. – Lacey nie uniosła głowy. – Dostawałam je od mamy na każde urodziny.

– Mogłabym je zobaczyć?

Dziewczyna wzruszyła ramionami i wstała. Olivia ruszyła za nią na piętro. Po drodze minęły duży pokój, chyba główną sypialnię, w której stało piękne duże łóżko z baldachimem, przykryte narzutą. Kiedy Lacey otworzyła drzwi do swojego pokoju, Olivia nie mogła powstrzymać się od śmiechu, ale był to śmiech pełen zachwytu.

– Och, Lacey, jakie piękne – powiedziała.

Na półce biegnącej dookoła pokoju, wzdłuż trzech z czterech ścian, siedziały wymuskane lalki w bogato marszczonych sukienkach, o kruchym wyglądzie i szeroko otwartych oczach. Pod i nad półką wisiały rockowe plakaty, na których przeżyli się młodzi mężczyźni w skórzanych spodniach i kamizelkach, z gołymi torsami, długimi włosami, kolczykami w uszach i bezczelnymi minami.

Lacey uśmiechnęła się, widząc tę reakcję.

– Czy ten pokój dobrze oddaje twój charakter? – zapytała Olivia.

– Jak to?

– Pół anioł, pół diabeł?

– Diabła to chyba raczej trzy czwarte.

– A czego się uczysz? – Olivia zauważyła podręczniki leżące na łóżku.

Dziewczyna jęknęła.

– Biologii i algebry.

Olivia wzięła książkę do biologii i kartkowała ją, wspominając, jak zafascynował ją jej podręcznik w liceum, który przeczytała od deski do deski już w pierwszym tygodniu nauki.

– Co teraz przerabiacie? – spytała.

– Genetykę. – Lacey sięgnęła po kartkę z zadaniem. – To moja praca domowa. Nie znoszę tego. Mam na podstawie drzewa genealogicznego zrobić jakiś wykres czy coś tam. W ogóle nie rozumiem, o co chodzi.

Olivia przyjrzała się zadaniu, a potem spojrzała na Lacey.

– Pomogę ci – zaproponowała.

Dziewczyna oblała się rumieńcem.

– Nie musi pani.

– Ale chcę. – Zsunęła buty i usiadła na nieposłanym łóżku. – Chodź. – Poklepała dłonią miejsce obok siebie.

Kiedy Lacey usiadła przy niej, Olivia wyjaśniła, co to jest kwadrat Punnetta oraz allele dominujące i recesywne, aż wreszcie dziewczyna zrozumiała, w czym rzecz. Potem porównywały kształt swoich uszu i próbowały zwinąć język w trąbkę, co udało się tylko Olivii. Przerwał im Trójskok, który nagle rozszczękał się na dole.

– Jest tu ktoś? – Dobiegł je z kuchni kobiecy głos.

– To Nola – powiedziała Lacey i zawołała: – Jesteśmy na gorze!

Usłyszały kroki na schodach i chwilę później w drzwiach pokoju stanęła atrakcyjna blondynka w granatowym kostiumie. W dłoniach trzymała ciasto. Olivia przypomniała sobie, jak Alec mówił, że ta kobieta zagięła na niego parol.

– O, przepraszam, Lacey – powiedziała Nola. – Nie wiedziałam, że nie jesteś sama.

Olivia, nie wstając z łóżka, pochyliła się w przód i wyciągnęła rękę.

– Olivia Simon – przedstawiła się.

– Znajoma taty – dodała Lacey.

– Pomagam Lacey w biologii. – Coś jej mówiło, że powinna wyjaśnić tej kobiecie swoją obecność. – Alec pojechał do przychodni, nagły wypadek.

– Aha. – Nola, jakby nie wiedząc, co ma zrobić, przygładziła kosmyk włosów na skroni, tuż nad uchem. – No, w każdym razie przyniosłam dla niego ciasto. Przekażesz mu, Lacey?

– Jasne.

– Zostawię w kuchni. Jego ulubione, z truskawkami i rabarbarem.

Wyszła, a Olivia i Lacey w milczeniu czekały, aż z dołu dobiegnie trzask zamykanych drzwi.

– Mama mojej najlepszej kumpeli – wyjaśniła dziewczyna. – Coś mi się wydaje, że chciałyby być też moją mamą.

– To znaczy... wyjść za twojego ojca?

– Dokładnie.

– A ty tego chcesz?

– Marzę o tym. Podobnie jak o tym, żeby zginąć stratowana przez stado słońi. Olivia parsknęła śmiechem.

Dziewczyna wzięła kartkę z pracą z biologii i ołówkiem narysowała w rogu

kilka małych kółek.

– Tata już chyba nigdy się nie ożeni – mruknęła.

– Nie?

Lacey potrząsnęła głową.

– Za bardzo kochał mamę.

Olivia powiodła wzrokiem po lalkach siedzących rzędem na półce. Wyglądały trochę upiornie, bo każda miała olbrzymie, czujne oczy.

– To dobrze, że masz taką pamiątkę po niej. A którą lubisz najbardziej?

Lacey wstała i przeszła na drugą stronę pokoju, aby zdjąć z półki przepiękną czarnowłosą lalkę z buzią niemowlęcia i w takim właśnie stroju. Usiadłszy z rozmachem na łóżku, położyła ją na kolanach Olivii. W tej chwili usłyszały podjeżdżający pod dom samochód.

– Tata wrócił – powiedziała Lacey, ale została na miejscu, obok Olivii.

– Olivia? – Z pracowni dobiegł głos Aleca.

– Jesteśmy tutaj! – zawołały jednym głosem, a Lacey zachichotała.

Na schodach rozległy się kroki. Alec, gdy stanął w progu, nie mógł ukryć zdziwienia na widok Olivii i Lacey siedzących na jednym łóżku, jakby znały się od urodzenia. Dodatkowo Lacey przyciskała do piersi podręcznik biologii, a Olivia trzymała na kolanach kruczowłosą lalkę.

– Hm... Dobry wieczór. – Uśmiechnął się.

– Jak się miewa ranny pies? – Olivia wstała z posłania.

– Przeżyje. Poza tym to była suka.

– Pani Olivia pomogła mi w lekcjach – poinformowała ojca Lacey.

– A sąsiadka Nola przyniosła ciasto dla ciebie – dodała Olivia. Stojąc boso na środku pokoju córki Aleca, czuła się dobrze, jak mile widziany gość. – Twoje ulubione, z truskawkami i rabarborem.

– Urobiła sobie ręce po same łokcie nad tymi truskawkami dla ciebie, tato – zawtórowała jej Lacey.

– Nie bądź złośliwa – zganił ją, ale uśmiechał się przy tym. – Może ciasta? – Zerknął na Olivię.

– O tak! – zawołała Lacey, zrywając się z łóżka. – Pójdę pokroić.

Alec patrzył za nią, kiedy wybiegła z pokoju i puściła się pędem na dół. Potem obejrzał się na Olivię.

– Zachowuje się jak normalny człowiek – powiedział, muskając palcami jej ramię, a na koniec ściskając lekko dłoń. – Coś ty jej zrobiła?

* * *

Olivia wracała do domu w pogodnym nastroju. Skręcając na podjazd, nuciła sobie pod nosem, a wchodząc na werandę, uśmiechała się od ucha do ucha. I tak o mały włos nie przewróciła się o olbrzymi bukiet w wazonie, stojący pod samymi drzwiami. Od zapachu kwiatów zakreśliło się jej w głowie. Przyklękawszy, podniosła kartkę opartą o wazon.

Szkoda, że Cię nie zastałem i nie mogłem wręczyć Ci ich osobiście.

Kocham Cię, Liv.

Paul

Rozdział trzydziesty dziewiąty

Po raz kolejny spotkanie komitetu odbyło się w domu Aleca. Paul wolałby się spotkać w innym miejscu, ale ostatecznie uznał, że potraktuje to jako sprawdzian: czy w domu Annie potrafi oprzeć się wspomnieniom? Rano pozbył się kolejnych dwóch witraży i został mu już tylko jeden duży w sypialni oraz kilka mniejszych, porozwieszanych w różnych pomieszczeniach. Chyba jeszcze nigdy nie musiał podjąć się tak trudnego zadania, ale wiedział, że to absolutnie konieczne. Że dalej już nie da się tak żyć.

Poprzedniego wieczoru widział Olivię w telewizyjnych wiadomościach. Stała przed kamerą na tle budynku pogotowia, a prowadzący wywiad dziennikarz pytał ją o zmiany, które zaszły w opinii publicznej po rezygnacji Jonathana Cramera i opublikowaniu w „Beach Gazette” listu Aleca O’Neilla.

– Sprawa pani O’Neill powinna uświadomić nam jedno: że koniecznie trzeba podnieść poziom ratownictwa medycznego w regionie Outer Banks – powiedziała. – Nowy kierownik pogotowia w Kill Devil Hills powinien przede wszystkim postawić przed sobą ten właśnie cel.

W lekarskim fartuchu wyglądała bardzo ładnie i seksownie, a jej wypowiedzi były inteligentne i rzucało się w oczy, że rozmowa przebiega dokładnie wedle jej myśli. Paul znalazł w tym wywiadzie inspirację do napisania wiersza o niej – ile to już czasu minęło, kiedy ostatni raz zrobił coś takiego? Po drodze na spotkanie wrzucił utwór do jej skrzynki na listy.

A teraz, w kuchni O’Neilla, przeżywał silne *déjà vu*; nalewał wino do kieliszków, a Alec sypał do koszyków precelki i popcorn. Tylko tym razem Paul starał się nie patrzeć na niebieskiego emaliowanego konia stojącego na półce pod samym jego nosem.

Obejrzał się na Aleca.

– Olivia wspominała, że kilka tygodni temu pojechaliście do Norfolk, aby wystąpić publicznie na rzecz latarni.

– Owszem – przytaknął Alec, wyjmując serwetki z szafki nad zlewem. –

Świetnie jej poszło.

– Dziękuję ci, że napisałeś ten list do redakcji „Gazette” – ciągnął Paul. – To jej naprawdę bardzo pomogło.

– Przynajmniej tyle mogłem zrobić.

Paul przechylił butelkę nad kolejnym kieliszkiem.

– Wiem, że ostatnie miesiące były dla Olivii okropne – przyznał. – Nie dostała ode mnie wsparcia. Mam sporo do nadrobienia.

Alec, który zabrał już serwetki oraz koszyki z przekąskami i szedł do salonu, zatrzymał się i spojrzał na niego, a na jego ustach powoli zakwitł uśmiech.

– Zaopiekuj się nią, dobrze? – powiedział, a potem jego wzrok przyciągnęło coś za plecami Paula, który odwrócił się i w drzwiach prowadzących z kuchni do gabinetu zobaczył młodą dziewczynę. – To moja córka, Lacey – przedstawił Alec. – Lacey, to jest pan Paul Macelli, mąż doktor Simon.

I wyszedł. Paul uśmiechnął się do dziewczyny. Była wysoka i miała jasną cerę, a do tego niebieskie oczy Annie, ale jej włosy były w połowie czarne, a w połowie rude. Przyglądając mu się uważnie, wzięła sobie garść precelków z zostawionej na blacie torebki.

– Więc to pan odjął mi rok życia – powiedziała, opierając się o szafki kuchenne.

– Nie rozumiem. – Odstawił butelkę. Głupio wyglądają te jej włosy, pomyślał.

– W artykule o mojej mamie, który ukazał się w „Seascape”. Napisał pan, że mam dwanaście lat, a miałam już trzynaście. Teraz skończyłam czternaście.

Paul zmarszczył brwi.

– Jestem pewien, że twoja mama powiedziała, że dwanaście.

Dziewczyna włożyła do ust kilka precelków.

– Potem wszyscy się mnie o to czepiali – wymamrotała z pełną buzią. – Dwanaście lat? No, błagam. – Posłała mu pełne dezaprobaty spojrzenie spod zmrużonych powiek i ruszyła w stronę drzwi na tyłach domu. – Tato, wychodzę! – zawołała, mijając wejście do salonu, i zniknęła za progiem.

Paul patrzył w ślad za Lacey. Był gotów przysiąc na cały stos najpiękniejszych witraży Annie, że powiedziała: moja córka ma dwanaście lat.

W trakcie spotkania był podminowany, niespokojny. Alec opowiadał o postępach przygotowań do przestawienia latarni: układano już tory, a wokół roило się od inżynierów i geodetów.

Paul słuchał jednym uchem. „Matka nigdy nie pomyli wieku swojego

dziecka”, myślał. Jego matka umiała na zawołanie wyrecytować daty urodzenia każdego z jej szóstki dzieci. Nie znajdował żadnego powodu, który kazałby Annie skłamać w kwestii wieku Lacey – poza jednym.

Kiedy spotkanie dobiegło końca, podziękował Alecowi i niemalże pobiegł do swojego samochodu. Prowadził jak w transie, a w domu natychmiast rzucił się do pustego pokoju, gdzie schował pudełko z nagranyimi taśmami. Zabrał trzy kasety z magnetofonem do sypialni. Usiadłszy na łóżku, przewijał taśmy po kolei, aż wreszcie znalazł. Odetchnął głęboko, oparł się o ścianę i wcisnął klawisz odtwarzania.

Najpierw dało się słyszeć pobrzękiwanie sztućców przy którymś ze stolików w Sea Tern Inn.

– Opowiedz mi o swoich dzieciach.

– Hm... – Brzmienie głosu Annie wstrząsnęło nim do głębi. Już tak dawno go nie słyszał. Był odrobinę chropowaty i w tym momencie też trochę niepewny. Wydawało mu się, że rozumie, dlaczego tak ostrożnie dobierała słowa. – A co chciałbyś wiedzieć?

– Wszystko – odparł krótko. – Domyślam się, że nie nazwałaś ich Rosa i Guido.

Skrzywił się na wspomnienie gniewnego błysku w jej oczach.

– Obiecałeś, że nie będziesz... – zaczęła.

– Przepraszam – przerwał jej szybko. – No dobrze, więc Clay i...?

– Lacey.

– Lacey. Ile mają lat?

– Clay siedemnaście, a Lacey dwanaście, ale można by pomyśleć, że dwadzieścia.

Paul cofnął taśmę.

– ...dwanaście, ale można by pomyśleć, że dwadzieścia – powtórzyła Annie.

Wyłączył magnetofon i zamknął oczy. Skłamała. Chyba znał powód. Wyobraził sobie dziewczynę w kuchni domu Aleca, dziewczynę o oczach Annie i jej rudych włosach, które z taką siłą wypierały czarne, a kiedy zaczął o tym myśleć, to już nie mógł przestać.

* * *

Dyplom magistra komunikacji społecznej zdobył w wieku dwudziestu

czterech lat. Nagle zobaczył przed sobą przyszłość wykreśloną dokładnie niczym mapa. Na tej mapie była jednak biała plama, którą mogła zapełnić tylko jedna osoba na świecie. Nie widział Annie ponad cztery lata, odkąd zostawiła go na Boston College, aby ruszyć własną drogą. Czuł, że nie zdoła zacząć szukać pracy ani poświęcić się budowaniu swojej przyszłości, jeśli nie podejmie tej jednej, ostatniej próby odzyskania ukochanej.

Późną jesienią sprowadził się do Nag's Head. Wynajął umeblowaną kawalerkę blisko plaży. Zgłosił się na przesłuchania do sztuki *Ostatnia kolonia* o historii regionu Outer Banks, wystawianej co roku latem w Manteo; rolę zdobył bez trudu. Numer domowy Annie i Aleca znalazł w książce telefonicznej, ale zamiast zadzwonić, pojechał do Kitty Hawk, gdzie znalazł ich mały domek nad brzegiem cieśniny. Zjawił się z samego rana i zaparkował przecznicę dalej. Siedział w aucie, popijając kawę i wpatrując się w dom. Około siódmej zobaczył, jak wychodzi stamtąd ciemnowłosa mężczyzna i wsiada do rozklekotanej furgonetki na podjeździe. To musiał być Alec. Paul patrzył za nim z mieszaniną zazdrości i nienawiści. Odczekał kwadrans, aby zyskać pewność, że mąż Annie niczego nie zapomniał i nie zawróci. Potem włączył silnik i podjechał bliżej, przeglądając się po drodze w lusterku. Przez te cztery lata nie zmienił się zbyt wiele. Wciąż nosił takie same okulary z szerokimi oprawkami. Tylko włosy miał trochę krótsze, ale na tym koniec zmian.

Wysiadł z samochodu i szybkim krokiem podszedł do drzwi, aby zapukać, zanim się rozmyśli.

Annie otworzyła i w pierwszej chwili chyba go nie poznała. A potem pisnęła radośnie: „Paul!”, i rzuciła mu się na szyję. Porwał ją w ramiona, śmiejąc się ze szczerą ulgą. Spojrzawszy jej przez ramię, zobaczył dziecienny kojec, a w nim malca obserwującego ich w milczeniu. Nawet z tej odległości od razu zauważył bladobłękitne oczy, które, jak się domyślał, chłopczyk miał po ojcu.

Trzymał Annie w ramionach o ułamek sekundy za długo, bo oswobodziła się z jego objęć, a na jej twarz wypłynął rumieniec.

– Och, Paul. – Zamknęła jego dłoń w swoich. – Strasznie mi przykro, że rozstałam się z tobą w taki sposób. To mnie dręczyło, naprawdę. Tak się cieszę, że mogę teraz powiedzieć ci o tym. – Pociągnęła go dalej, do środka. –

Chodź, wejdz. – Cofnęła się o krok, biorąc się pod boki i mierząc go wzrokiem. – Świetnie wyglądasz, wiesz?

– Ty też. – Wyglądała po prostu cudownie.

– A to jest Clay. – Sięgnęła do kojca i wzięła chłopczyka na rękę.
Paul ujął palcami jego małą dłoń.
– Guido – powiedział cicho. Annie zrobiła speszoną minę, ale po chwili się roześmiała.
– Zapomniałam o tym! Guido i Rosa, tak?
– Tak – odparł z ogromnym smutkiem. – Rozer.
Spojrzała na swojego synka.
– Przywitasz się, skarbie?
Chłopczyk wtulił buzię w kusząco ciepłą szyję mamy.
– Jest śpiący – wyjaśniła Annie, układając go z powrotem w kojcu i okrywając lekkim kocykiem. – Co ty tutaj robisz? – zapytała. – Przyjechałeś na urlop? Z kim? – I nie czekając na odpowiedź, trajkotała: – Chciałabym, żebyś poznał Aleca, o ile to nie będzie dla ciebie za trudne. – Opadła z rozmachem na kanapę. – Och, Paul, jak to możliwe, że mi wybaczyłeś? Okropnie się zachowałam, ale choroba mojego ojca... Wszystko mi się pomieszało.
– Wiem. – Usiadł obok i wziął ją za rękę. – Zostanę tutaj co najmniej przez lato – oznajmił, starając się nie widzieć, że jej uśmiech od razu przygasł.
– Przez całe lato? – powtórzyła.
– Tak. Dostałem rolę w *Ostatniej kolonii*.
– To świetnie. – W jej głosie nie było wielkiego entuzjazmu.
– I wynająłem małe mieszkanie w Nag's Head.
– Sam?
– Tak.
I wtedy do niej dotarło.
– Dlaczego akurat tutaj? Czemu właśnie Outer Banks?
– A jak myślisz?
Annie potrząsnęła głową i cofnęła rękę.
– Paul, ja mam męża.
– Jesteś z nim szczęśliwa?
– Bardzo. Zmieniłam się. Nie jestem już taka... dzika. Mam męża, jestem matką. To duża odpowiedzialność.
– A czy możemy się kiedyś spotkać? Pójść razem na obiad, jak przyjaciele z dawnych lat?
– Jeśli chcesz czegoś więcej, to nie. – Skrzyżowała ramiona na piersi i odsunęła się od niego.

– Przyjmę wszystko, co zechcesz mi dać, Annie. Nawet jeden obiad przez całe lato. Nie poproszę o nic więcej.

Zapisał swój telefon w notesie leżącym na stoliku obok kanapy, uściśnął ją jeszcze raz i wyszedł. Obiecał sobie, że odczeka co najmniej tydzień, zanim znów spróbuje się z nią zobaczyć.

Praca w teatrze okazała się dla niego wybawieniem. Wymagająca rola i koleżeńska atmosfera wśród członków obsady zajmowały mu czas w ciągu dnia, kiedy trwały próby. Niestety, nocami nie mógł się opędzić od myśli o Annie: widział ją w jej małym domku, w małżeńskim łóżku, szczęśliwą w objęciach wysokiego, bladookiego męża.

Premiera *Ostatniej kolonii* odbyła się w wieczór tak parny, że ciężkie, grube kostiumy były prawdziwą udręką dla aktorów, ale publiczność złożona głównie z turystów przyjęła sztukę entuzjastycznie. Na przerwie Paul poszedł za kulisy, a któryś z pomocników inspicjenta przyniósł mu butelkę coli. Nagle w korytarzu prowadzącym do garderoby dostrzegł Annie: stała pod ścianą, nie spuszczać z niego wzroku. Obok przechodził jeden z aktorów, gdy ją mijając, podniósł rękę i dotknął jej włosów. Uśmiechnęła się do niego wielkodusznie, jak gdyby rozumiała, że nie mógł inaczej, nie był w stanie utrzymać rąk przy sobie.

Paul podszedł do niej.

– Miło cię widzieć.

– Pierwszorędnie zagrałeś – pochwaliła. – Te rajtuzy naprawdę czegoś ci dodają. – Przesunęła dłonią po jego biodrze, a on poczuł się tak, jakby poraził go prąd. Spojrzał jej w oczy i zrozumiał, że ona bardzo dokładnie wie, co robi.

– Annie...

– Cicho... – Położyła mu palce na ustach. – Po przedstawieniu – dodała, uśmiechając się. – Zabiorę cię w jedno miejsce. Mieszka tam moja znajoma. Jedź za mną. Mam czerwonego volkswagena z opuszczanym dachem. Zauważysz mnie.

Zauważył ją bez problemu: siedziała po turecku na masce auta stojącego pod latarnią na parkingu. Aktorzy i ekipa poszli świętować premierę, ale Paul zdołał się wykręcić i ruszył w ślad za Annie, wpatrując się jak urzeczony w jej długie, rude włosy unoszone podmuchami wiatru. Za mostem prowadzącym do południowej części Nag's Head skręcili na Croatan Highway i przez kolejne dwadzieścia kilka kilometrów Paul siedział czerwonemu

volkswagenowi na zderzaku. Do diabła, dokąd ona mnie prowadzi?, myślał. Wreszcie Annie zatrzymała się w jakiejś bocznej uliczce i odwróciła do niego.

– Zostaw samochód tutaj i przesiądź się do mnie! – zawołała.

Wykonał polecenie, a ledwo zdążył zamknąć za sobą drzwi, ona zawróciła i już byli z powrotem na głównej szosie.

– Gdzie mieszka twoja znajoma? – spytał, gdy mijali Southern Shores.

– Zobaczysz.

Kolejnych kilka kilometrów jechali wśród pograżonych w mroku wydm. Paul rozglądał się za jakimś światłem na horyzoncie, ale otaczała ich całkowita ciemność, rozpraszana tylko reflektorami samochodu Annie, wycinającymi szeroki jasny pas przed maską.

– Gdzie jest dzisiaj Alec? – zawołał Paul, przekrzykując wiatr.

– Pojechał na stały ląd. Ostatnio ma dużo pracy ze zwierzętami hodowlanymi.

– A twój synek?

– U sąsiadki. – Auto podskoczyło na wyboju, a Paul złapał za uchwyt przy drzwiach.

– Annie, dokąd my, do cholery, jedziemy?

Nie mówiąc ani słowa, wskazała palcem jakieś miejsce zatopione w ciemności. Po chwili Paul zobaczył rozbłysk światła.

– Latarnia morska?

– Tak, w Kiss River. Odwiedzimy latarniczkę.

Umilkł i z rezygnacją pozwolił jej grać rolę przewodnika.

Annie skręciła na drogę gruntową. Samochód kilka minut telepał się w ciemności, aż wreszcie przed maską ukazała się polana. Zatrzymali się na ubitym piasku. Latarnia była już blisko, a jeszcze bliżej stał duży biały dom. Paul wysiadł i zadarł głowę, by przypatrzeć się górującej nad nimi wieży. Rozbłysk jasnego światła zalał mu oczy.

– Niesamowite – szepnął.

– Wiem. Chodź. – Wzięła go za rękę i ruszyli ścieżką prowadzącą do domu. W kilku oknach na parterze paliły się światła.

Annie zapukała energicznie do drzwi i po chwili otworzyła im wysoka, starsza kobieta w długiej ciemnej spódnicy i białej bluzce.

– Wejdz, Annie, proszę – powiedziała.

– Mary, to jest Paul Macelli. Paul, to jest Mary Poor, strażniczka tego niesamowitego miejsca.

Paul uklonił się Mary z uroczystą miną. Nie mógł pojąć, co się, do diabła, dzieje. Mieli przez cały wieczór gadać z jakąś babcią?

Annie pocałowała Mary w policzek.

– Potrzebujesz czegoś, kochana?

– Nie, nie. – Mary machnęła ręką. – Idźcie sobie na górę.

Annie chwyciła Paula za rękę i poprowadziła schodami do małej sypialni, gdzie stało dwuosobowe łóżko przykryte narzutą. Za drzwiami rzuciła mu się na szyję i pocałowała w usta.

– Och, Paul, byłeś taki piękny na scenie. Zapomniałam już o tym.

Zaczęła rozpinąć mu koszulę, ale on złapał ją za rękę.

– Annie, nie rozumiem...

– Nic nie mów. – Zdjęła bluzkę przez głowę, nie tykając nawet guzików, a potem rozpięła stanik. – Przytul mnie – zażądała, a on usłuchał. Zapach jej nasyconych słońcem włosów był boleśnie znajomy, a naga skóra pleców ciepła pod jego dłońmi. Co kilka sekund pokój zalewało białe światło latarni, przeglądając się w splotach jej rudych loków i kremowej bieli jej skóry, ale gdy gasło, pogrążali się w nieprzeniknionych ciemnościach.

– Dotykaj mnie – szepnęła. – Wszędzie.

Paul zsunął z siebie ubranie i ułożył Annie na pościeli, aby wykonać rozkaz. Jej ciało było wrażliwe, bardziej wrażliwe, niż pamiętał; z niechęcią pomyślał, że ten nowy ferwor zawdzięcza jej mężowi. Annie zaplotła nogi dookoła niego.

– Bądź blisko mnie, Paul – poprosiła. – Bądź jak najbliżej.

Wszedł w nią, a gdy łóżko skrzypnęło, pomyślał przez chwilę o starszej pani na dole, uznał jednak, że Mary Poor musi wiedzieć, co się tutaj dzieje. Wyparł hałasy ze świadomości i skupił się na Annie. Wreszcie, po tylu latach, był z nią, był w niej. Kołysali się w jednym rytmie, ale gdy chciał jej dotknąć, potrzęsnęła głową.

– To nieważne – powiedziała.

Była natarczywa. Była nieustępliwa. I wreszcie doszła, a jej gwałtowne skurcze porwały go ze sobą i też rzuciły na sam szczyt.

Po kilku minutach chciał się podnieść i położyć obok, ale chwyciła go mocno i zatrzymała.

– Nie. Zostań blisko.

– Kocham cię, Annie.

– Przytul mnie.

– Przytulam cię. Jestem przy tobie. – Przygarnął ją mocno, specjalnie po to, aby uspokoić wstrząsające nią drżenie. A potem w końcu zsunął się na bok, częściowo, aby widzieć jej twarz, kiedy pokój wypełniał się światłem.

– Nie rozumiem tego układu, Annie. Ta starsza pani...

– Mary. Wie, że muszę się z tobą widywać. Kiedy Alec wyjeżdża do pracy, często u niej bywam. Opowiedziałam jej wszystko o tobie.

– Spotkamy się jeszcze?

– Musimy – odparła z naciskiem. – Ale lepiej byłoby po południu. Dasz radę?

– Oczywiście. Może u mnie?

– Nie. Tutaj. Ktoś może nas razem zobaczyć. Wiele osób mnie kojarzy, Paul. Jestem znana w tej okolicy. Tu nic nam nie grozi.

I tak to trwało. Nie licząc ich wspólnych wakacji w New Hope, to było najszczęśliwsze lato w życiu Paula. Jeśli Annie mogła się z nim spotkać, rano wieszala czerwony szalik w narożniku małego tarasu przed drzwiami swojej pracowni – nie chciała, żeby wchodził, bo potem musiałyby się tłumaczyć przed Tomem Nestorem.

Kilka razy w ciągu tych letnich tygodni widział ją razem z mężem, zawsze z daleka. Kiedyś zauważył ich w sklepie spożywczym, innym razem na plaży, kiedy rzucali sobie frisbee. W towarzystwie Aleca Annie często się śmiała, a dołeczki w jej policzkach się pogłębiały. Paul miał to potem stale przed oczami, dopóki znów nie znalazł się przy niej.

Dni, kiedy szalik wisiał na tarasie, było więcej. Annie i Paul spotykali się u Mary i spędzali popołudnie w sypialni na piętrze. W rozmowach często wracali do przeszłości, ale nigdy nie padło choćby słowo na temat przyszłości. Paul starał się nie wymagać od niej zbyt wiele, jednak mniej więcej w połowie lata zaczął mieć dosyć tego, że ich relacja sprowadza się do potajemnych schadzek. Czuł, że dłużej już tego nie znieśnie, chciał czegoś więcej.

– Chyba już czas, żebyś rozstała się z Alekiem – powiedział któregoś popołudnia, kiedy skończyli się kochać.

Annie poderwała głowę, którą oparła na jego ramieniu. Tych kilka słów wprowadziło ją w osłupienie.

– Ja go nigdy nie zostawię, Paul – oznajmiła. – Nigdy.

– Dlaczego? Ze mną będziesz żyć na lepszym poziomie. I Clay też. Adoptuję go. Mogę...

– Nie mów tak! – Usiadła na posłaniu. – Powiedziałeś, że przyjmiesz wszystko, co zechcę ci dać. A ja nie mam dla ciebie nic więcej.

– Ale ja cię kocham.

– A ja kocham Aleca.

Wtedy po raz pierwszy rozgniewał się na nią. Odepchnął ją i wyskoczył z łóżka, lecz ona szybko złapała go za rękę.

– Przepraszam, przepraszam – powtarzała. – Przepraszam. Nie chciałam, żeby tak to zabrzmiało.

– Prawie go nie widzisz. Ciągłe go nie ma, zostawia cię samą z dzieckiem i...

– Bo martwi się o pieniądze. W tej chwili nie ma dla niego innej pracy. Gdybyśmy przeprowadzili się do miasta, nie musiałby pracować tak ciężko, ale my chcemy mieszkać tutaj. I to jest cena, którą musimy za to zapłacić.

Paul spojrział na nią.

– Wykorzystujesz mnie – zarzucił jej.

– Nie!

– Tak. Zaspokajam twoją potrzebę, kiedy Aleca nie ma pod ręką, prawda? Poczciwy, stary Paul.

– Nie mów tak. – Wyciągnęła do niego ręce z płaczem i opłótła go ramionami w pasie. Dał spokój tej dyskusji.

Wieczorem, kiedy wracali, odprowadziła go do jego samochodu, trzymając za rękę.

– Paul – powiedziała. – Ja nigdy nie zostawię Aleca. Możesz mnie mieć, ale tylko na takich warunkach jak teraz. Jeśli nie chcesz, przestań tutaj przyjeżdżać.

Ma się rozumieć, nie przestał. Przyjeżdżał, cierpliwie znosił obecność Mary Poor, która znacząco kiwała głową, a także zdradziecko skrzypiące łóżko. Nigdy nie stracił nadziei, że Annie jednak zmieni zdanie. Po ostatnim pokazie spektaklu, który odbył się w dniu wrześniowego Święta Pracy, Paul zatrudnił się jako kelner w Manteo. Nie była to praca odpowiadająca jego wykształceniu, ale nie umiał opuścić Outer Banks. Aż wreszcie wszystko się zmieniło, nagle, w jednej chwili.

Przez kilka dni na tarasie nie było czerwonego szalika. Martwił się, że Annie zachorowała albo gniewa się na niego i już zdecydował się, że zadzwoni, kiedy nagle szalik znów się pojawił. Z ulgą pojechał do Kiss River.

– Jest na górze – powiedziała Mary Poor, otworzywszy mu drzwi. Paul nigdy

nie był w stanie spojrzeć tej kobiecie prosto w oczy. Wyczuwał z jej strony niechęć, wiedział, że tylko toleruje jego obecność.

– Nie czuje się dobrze – dodała.

Annie wyglądała okropnie. Włosy miała związane, a oczy podpuchnięte. Na jej twarzy Paul dostrzegł zmarszczki, których wcześniej nigdy nie widział: w kącikach ust i nad brwiami.

– Co się stało? – Dotknął jej czoła, żeby sprawdzić, czy nie ma gorączki, ale było chłodne. – Biedna Annie. Wyglądasz strasznie.

Chciał ją wziąć w ramiona, ale odsunęła się od niego.

– Nie możemy się kochać – powiedziała, siadając na łóżku.

– Oczywiście. Nie teraz, kiedy tak źle się czujesz.

– Nie, nie o to chodzi. – Była poruszona. Rozgorączkowana. – Musimy porozmawiać.

To mogło znaczyć tylko jedno: Alec się dowiedział. A więc nadszedł ten moment. Najbliższych kilka minut miało przynieść rozstrzygnięcie, a Paul miał się dowiedzieć, czy wygrał, czy przegrał.

Annie splotła dłonie na kolanach.

– Już dłużej tak nie mogę – powiedziała.

– Co się stało? Alec wie?

– Nie. Po prostu... Brzydę się sobą.

Po tych słowach wyskoczyła z łóżka i pobiegła do małej łazienki na piętrze. Tam zwymiotowała. Przypomniła sobie, że nie zgodziła się, żeby używał prezerwatyw, bo to odbierze mu przyjemność, ale zapewniła, że nie musi się niczym martwić, bo zamiast wachlarza dziwnych środków antykoncepcyjnych, których próbowała na studiach, używa obecnie krążka macicznego. Paul zaczął się teraz zastanawiać, jaka jest skuteczność tej metody.

Kiedy Annie wróciła do pokoju, jej skóra była szara i lśniąca od potu. Przytulił ją niemalże siłą, a ona przywarła do niego, szlochając rozpaczliwie.

– Jesteś w ciąży. – Szepnął cicho ustami wtulonymi w jej włosy.

– Nie! – Wyrwała mu się i potoczyła dookoła dzikim wzrokiem. – Paul, proszę cię, po prostu wyjedź z Outer Banks i nigdy nie wracaj.

– Nie wyjadę, jeśli mi nie powiesz, co się stało.

– Proszę cię! – rozplakała się głośno, o wiele za głośno. Zaczęła błagać, żeby wyjechał, ale ani na chwilę nie puściła jego ręki. W pewnym momencie Paul usłyszał, że Mary Poor powoli wchodzi na górę. Chwycił ręce Annie, próbując ją uspokoić. I wtedy otworzyły się drzwi.

Mary weszła do pokoju i nagle zaszła w niej jakaś przemiana: nie była już starszą panią, którą widział w niej Paul. Stała prosto i wydawała się bardzo wysoka, a w jej niebieskich oczach płonęło światło.

– Idź stąd i przestań ją denerwować – powiedziała, a sama usiadła na łóżku i objęła Annie, przytulając jej głowę do swojej piersi. Annie uczepliła się jej kurczowo. – Cicho, Annie – wymruczała Mary. – Bo znowu chwycą cię torsje. – Uniosła wzrok na Paula. – Idź – powtórzyła łagodniej, bez nieżyczliwości, a on poczuł, że też jest bliski łez.

– Mam chyba prawo wiedzieć dlaczego?

– Idź stąd. – Usłyszał po raz trzeci.

Annie jeszcze mocniej przyłgnęła do Mary, kuląc się z kolanami pod brodą, jakby chciała zmieścić się cała w bezpiecznych objęciach starej kobiety. Paul musiał wyjść, nie miał wyboru. Wrócił do siebie, spakował swoje rzeczy i wyjechał z Outer Banks, zostawiwszy na drzwiach pracowni Annie przyklepioną taśmą kartkę z filadelfijskim adresem i telefonem swojej rodziny.

* * *

„Dwanaście, ale można pomyśleć, że dwadzieścia”. Oczywiście, że była w ciąży. Nie chciała nic powiedzieć i tak nagle go odprawiła. A gdyby w trakcie wywiadów Paul usłyszał, że Lacey ma trzynaście lat, wszystkiego by się domyślił. Sam by do tego doszedł.

Jezu, westchnął, otwierając szufladę w nocnym stoliku. Wyjął stamtąd plik zdjęć z domu Annie zrobionych przez fotografa z „Beach Gazette”. Na jednym z nich, niewykorzystanym w artykule, byli Clay i Lacey. Paul przyjrzał się uważnie młodej dziewczynie. Była podobna do Annie. Postanowił się z nią zobaczyć i poszukać w jej twarzy cech wspólnych łączących ją z nim i jego siostrami. Musiał mieć pewność, a na całym świecie żyła już tylko jedna osoba, która mogła mu powiedzieć, jak jest naprawdę.

Włożył do odtwarzacza kolejną kasetę i wcisnął klawisz. Zamknął oczy, wyciągnął się na posłaniu i bez reszty zatracił w głosie Annie.

Rozdział czterdziesty

Wiersz Paula wzruszył Olivię. Przypomniawszy jej strofy z *Pojawienia*, które jej poświęcił. Oczywiście wyobraźni widziała, jak czyta go dla niej, tym wyjątkowym tonem zarezerwowanym wyłącznie dla poezji, głosem, przy którym milkły inne w pokoju pełnym ludzi, który sprawiał, że wszystkie oczy kierowały się na niego. Pamiętała dobrze, jaką dumą ją rozpieściła na jego wieczorach autorskich, jaką szaloną, wręcz dotkliwie bolesną miłość czuła do autora tych wyczelowanych strof. Nic dziwnego, że Paul tęsknił za Waszyngtonem. Tam wiele osób poznało się na jego talencie.

Po południu odebrała telefon z przychodni ginekologiczno-położniczej i dowiedziała się, że wyniki amniopunkcji są prawidłowe – i że urodzi chłopczyka. Po tej krótkiej rozmowie zalała ją fala dzikiej ulgi i dopiero wtedy dotarło do niej, jak bardzo się bała. Teraz myślała już tylko o dziecku.

Wiersz przeczytała kilkakrotnie, chociaż już pierwszy raz przekonał ją, że Paul, dawny Paul, ten, za którego wyszła, naprawdę wrócił. I uznała, że czas powiedzieć mu o ciąży. Przyjść go z powrotem, postarać się mu wybaczyć i od nowa budować wspólną przyszłość.

Sięgnęła po telefon i wybrała jego numer, ale włączyła się automatyczna sekretarka. Wtedy przypomniało jej się, że Alec mówił coś o spotkaniu komitetu. Najprawdopodobniej Paul był właśnie tam.

– Ja też cię kocham – powiedziała, gdy w słuchawce zabrzmiał sygnał nagrywania. Potem położyła dłonie na brzuchu. – Zadzwoń do mnie, proszę. Mam ci do powiedzenia coś ważnego.

Usiadła przy stole w kuchni i czekała, aż Paul się odezwie, zabrała się do pracy nad witrażem. Telefon jednak milczał i zadzwonił, dopiero gdy już leżała w łóżku; zanim podniosła słuchawkę, wiedziała, że to Alec.

– Czy Paul był dzisiaj na spotkaniu? – zapytała go po kilku minutach rozmowy o niczym.

– Tak. Ale wyszedł pierwszy. Chyba się dokądś spieszył.

– Napisał o mnie wiersz i zostawił go w skrzynce na listy. Wydaje mi się, że naprawdę dojrzał do tego, by wrócić i zacząć od nowa.

W słuchawce na chwilę zapadła cisza.

– Chyba masz rację. Mówił coś, że zafundował ci piekło i musi to naprawić.

– Tak się wyraził?

– Coś w tym sensie.

Uśmiechnęła się.

– Postanowiłam, że powiem mu o dziecku.

– Najwyższy czas.

– To będzie chłopiec, Alec. Dzisiaj dostałam wyniki amniopunkcji. Wszystko jest w porządku.

– Świetnie. – Zabrzmiało to trochę bezbarwnie.

– Paul zawsze chciał mieć syna. Wychował się w domu pełnym kobiet. – Westchnęła. – Ale mimo wszystko boję się mu powiedzieć. Wtedy już nie będzie odwrotu. Nagrałam mu się na sekretarkę. Oddzwoni, kiedy odsłucha.

– Aha – powiedział. – Więc lepiej się rozłączę.

– Nie. Proszę, zostań. – Przygryzła wargę. Na kilka sekund znów zapadła cisza.

– Rozmawiałem z Tomem – odezwał się wreszcie Alec. – Mam ci przekazać, że przeprasza za swoje zachowanie i chciałby dalej cię uczyć.

– Naprawdę? To świetnie. Dziękuję.

– A co z narzędziami? Niczego ci nie brakuje?

– Może Annie miała lutownicę? Przydałaby mi się.

– Miała kilka.

Olivia zamknęła oczy.

– Boże, Paul będzie wściekły, jak się dowie, że robię witraże.

– Dlaczego?

Zacisnęła kurczowo palce na słuchawce. Palnęła głupi błąd, zapomniała, że Alec nie wie wszystkiego.

– Nie mam wielkiego talentu – wyjaśniła. – Powie, że to strata czasu.

– Coś, co daje ci radość, nie może być stratą czasu.

I znów na chwilę zapadła cisza.

– Jeśli nie umówisz się na jutro z Paulem – odezwał się Alec – to wpadnij i wypróbuj tę lutownicę czy coś tam.

– Dobrze – odparła, chociaż wiedziała, że na pewno spotka się z Paulem. Musiała się z nim zobaczyć. Nagle zaczęła żałować, że nie może się rozdzielić.

– Och, Alec – westchnęła. – Byłeś najlepszym przyjacielem na świecie.
– Mówisz tak, jakbyśmy mieli się już nigdy nie zobaczyć.
– Tego bym nie chciała – zapewniła szybko, ale wiedziała, że będą musieli zakończyć znajomość. To było zbyt niebezpieczne. Mogło dojść do tego, że wolałaby zwierzać się Alecowi niż Paulowi. Albo porównywać ich ze sobą, co niosło ze sobą ryzyko, że zacznie dopatrywać się w Paulu jakichś braków. Rozumiała, że wkrótce trzeba będzie odciąć się od Aleca, ale uznała, że ten czas jeszcze nie nadszedł.
– Alec, leżysz w łóżku? – zapytała.
– Tak.
– A co masz na sobie?
Roześmiał się.
– Lepiej się rozłączę, żeby twój mąż mógł się tobą zająć.
I już go nie było. Olivia jeszcze przez jakiś czas czekała, aż telefon zadzwoni jeszcze raz. Nie doczekała się.

* * *

Następnego dnia Paul wciąż się nie odezwał. Przyszło jej do głowy, że mógł zgubić jej numer do pracy, ale nawet wtedy mógł ją przecież namierzyć bez trudności. Późnym popołudniem uznała, że automatyczna sekretarka niewiadomym sposobem wykasowała wiadomość, więc nagrała się jeszcze raz. A potem zadzwoniła do redakcji.

– Pana Macellego dzisiaj nie ma – poinformowała ją recepcjonistka. – Wziął dzień wolny.

Kiedy o siódmej wieczorem Paul w dalszym ciągu się nie odzywał, Olivia postanowiła odwiedzić Aleca.

– Może musiał wyjechać? – podsunął.

Siedział przy biurku i wybierał slajdy z latarnią na prezentację, którą szykował na przyszły tydzień, a Olivia czytała instrukcję obsługi lutownicy leżącej na stole roboczym.

– Pewnie tak – mruknęła.

– Cześć, Olivia – przywitała się Lacey. Stała w drzwiach. Miała na sobie krótkie dzinsowe szorty i koszulkę bez rękawów, ściśle przylegającą do małych piersi i tak krótką, że odsłaniała brzuch.

– Hej, Lacey. Jak poszło na biologii?
– Dostałam piątkę. To znaczy ty dostałaś.
– Nieprawda – sprzeciwiła się Olivia. – Sama wszystko zrobiłaś. Ja ci tylko wskazałam właściwy kierunek.
– Wychodzę. – Lacey łypnęła w stronę ojca.
Alec uniósł głowę znad slajdów.
– Baw się dobrze – rzucił.
Dziewczyna obróciła się na pięcie i wyszła. Dżinsowa tkanina miękko otulała jej szczupłe, okrągłe pośladki.
– O której ma wrócić do domu? – zapytała Olivia, kiedy dobiegł ją trzask zamykanych drzwi wejściowych.
Alec wzruszył ramionami.
– Kiedy znudzi jej się zabawa.
Obrzuciła go uważnym spojrzeniem.
– Nawet o piątej nad ranem?
Słyszając jej zaczepny ton, odwrócił się na krześle.
– Lacey z reguły nie przesadza.
– Ale skąd będziesz wiedział, że jest bezpieczna? W którym momencie zaczniesz się o nią martwić?
– Już chyba raz o tym rozmawialiśmy – przypomniał jej. – Lacey uczy się samodzielnie podejmować decyzje i brać odpowiedzialność za swoje czyny.
– Kto to wymyślił, ty czy Annie? – Jego zdumiona mina powiedziała jej, że posunęła się o krok za daleko. – Przepraszam cię, Alec – westchnęła. – W sumie to nie moja sprawa.
Alec wstał zza biurka, aby wziąć jakąś książkę z półki obok okna. Siadając z powrotem, delikatnie położył dłoń na ramieniu Olivii.
– Nic się nie stało – powiedział. – Nie rozumiesz tego. Chyba nikt, kto nie znał Annie, nie potrafiłby tego zrozumieć.
Następnego dnia Olivia nie miała wiele pracy na dyżurze i do południa jak szalona wydzwaniała do domu, żeby sprawdzić nagrania na automatycznej sekretarce. Niestety, Paul nadal się nie odzywał. Jeszcze raz spróbowała znaleźć go w redakcji, ale tym razem dowiedziała się, że wziął zwolnienie. W końcu zadzwoniła więc na jego numer domowy, bo zaczynała się już martwić. Nikt nie odebrał, ale dopóki musiała siedzieć w pracy, nic nie mogła poradzić.
Akurat kończyła zszywać łuk brwiowy początkującemu amatorowi

lotniarstwa, kiedy zjrzała do niej Kathy i powiedziała, że przyszła jakaś dziewczyna i pyta o nią. Olivia wyszła do recepcji i zobaczyła w poczekalni Lacey. Stała oparta o ścianę i przeglądała jakiś magazyn.

– Lacey?

Dziewczyna uniosła głowę i wyprężyła się na baczność, rozkładając szeroko ręce.

– Zobacz. – Wyszczrzyła zęby. – Żyję, nic mi nie jest. Tata mówił, że martwiłaś się wczoraj o mnie, kiedy wyszłam, więc pomyślałam, że wpadnę i sama zobaczysz, że jestem cała i zdrowa.

Olivia uśmiechnęła się do niej.

– Jak tutaj dotarłaś?

– Na rowerze.

– To gdzie masz kask?

Lacey przewróciła oczami.

– Boże, ty masz hopla na punkcie bezpieczeństwa. Weź trochę wyluzuj.

Olivia otworzyła drzwi pomiędzy poczekalnią a recepcją.

– Chodź – zaprosiła. – Napijesz się kawy?

– Kawy? – Lacey wyszła za nią na korytarz. – Ja mam czternaście lat. Nie boisz się, że to mi zaszkodzi, przestanę rosnąć albo coś?

Olivia zaprowadziła ją do swojego gabinetu, nalała dwie filiżanki kawy i zamknęła drzwi.

– No, to powiedz – zagadnęła, przyglądając się, jak Lacey wsypuje sobie trzy saszetki cukru. – Dobrze się wczoraj bawiłaś?

Dziewczyna wzruszyła ramionami, wypięła mały łyczek.

– Może być.

– A o której wróciłaś do domu?

– Nie wiem. – Uniosła lewą rękę. – Nie mam zegarka. Mama mówiła, że nie są potrzebne.

– Jak można uważać, że zegarki są niepotrzebne?

– Nie znałaś mojej mamy.

– To w jaki sposób wstajesz na czas do szkoły?

– Po prostu. Mama mówiła, że można wyksztąpić w sobie wewnętrzny zegar, i to jest prawda. Czasami się spóźniam, ale moi nauczyciele nigdy nie zwracali na to uwagi. Znali moją mamę. – Wsypała do kawy jeszcze jedną torebkę cukru i znów podniosła oczy na Olivię. – W piątek tata zawozi Claya na Uniwersytet Duke'a i zostaje w Durham na noc. Zaproponował, żebym

poszła do Noli, ale tak sobie pomyślałam... – Zmarszczyła nos. – Wiem, że to trochę bezczelne z mojej strony, ale czy mogłabym zanocować u ciebie?

Olivia uniosła brwi, kompletnie zbita z pantałyku.

– Przecież ledwo mnie znasz, Lacey.

Dziewczyna zarumieniła się.

– No tak, ale jesteś fajna, a tata chyba nie miałby nic przeciwko temu, bo przecież raczej jasne, że nie pozwolisz mi biegać po mieście do rana, prawda?

– Znów wyszczerzyła zęby, a Olivia odpowiedziała jej uśmiechem. Wprawdzie to pokrzyżuje jej plany związane z Paulem, ale przecież nie mogła odmówić czternastoletniej dziewczynie.

– Będzie mi bardzo miło – powiedziała. – Ale najpierw musimy uzgodnić to z twoim tatą.

– Powiem mu.

– Zapytasz.

Lacey zachichotała.

– I przekazesz, że ja się zgadzam – dodała Olivia.

Zaraz po pracy pojechała do domu Paula. Jego samochód stał na podjeździe, ale kiedy zapukała do drzwi, nie było odzewu. To ją zmartwiło. Obróciła gałkę w drzwiach, a one ustąpiły. Zamknęła je za sobą i weszła do salonu. Otaczała ją cisza.

– Paul?

Żadnej odpowiedzi. Bez witraży w oknach pokój wydawał się większy. Widok pustych, czystych okien i głębokiego granatu oceanu w oddali przyniósł jej ulgę.

Przeszła do kuchni, z każdą chwilą coraz bardziej zaniepokojona. Gdzie on się podział?, myślała, ruszając w kierunku pokoiów na tyłach domu. Nie wiedziała, w którym sypia Paul, i trochę się bała, co tam znajdzie.

Pierwsze drzwi były otwarte, a zaraz za progiem Olivia zanurzyła się w feerii barw. W oknie wciąż jeszcze wisiał witraż przedstawiający dwie jaskrawe tropikalne ryby. Na dużym dwuosobowym łóżku leżały narzuta i pościel, skłębione, zmięte w kulę. Dwie poduszki były oparte o wezgłowie. W pokoju unosił się zapach jedzenia, a właściwie dziwna mieszanina woni różnych potraw. Na nocnym stoliku Olivia dostrzegła do połowy pełny pojemnik z chińskiej restauracji, obok przewrócony kieliszek do wina i pustą butelkę po chardonnay. Na środku pokoju leżało pudełko po pizzy, a na nim brudny talerz oraz widelec oblepiony zaskorupiałymi resztkami.

Serce uderzyło jej szybciej. Coś musiało się stać. Paul był pedantem, a tymczasem nic, oprócz witrażu w oknie, nie wskazywało na ślad jego obecności. Może wynajmował komuś ten pokój?

Potem zauważyła, że łóżko jest zarzucone zdjęciami. Na wszystkich była Annie. Olivia wzięła jedno do ręki i aż się skrzywiła. Miała już serdecznie dość tej twarzy, tych rudych włosów, zawadiacko zadartego nosa i bladej, piegowatej cery. Pomiedzy fotografiami stał magnetofon. W środku była kasetka, a obok leżały dwie następne. Podniosła jedną z nich i przeczytała napis na naklejce: „Wywiad z ACO, cz. 1”. Potrząsnęła głową. Trzy taśmy i dziesiątki zdjęć, żeby napisać zwykły artykuł do magazynu. Nacisnęła klawisz w magnetofonie. W głośniku rozległ się śmiech, potem na kilka sekund zapadła cisza.

– Czy ta latarnia morska pojawia się jako wątek w twoich pracach? – usłyszała głos Paula.

– Latarnia w Kiss River? – zapytała Annie. Jej głos zaskoczył Olivię swoją głębią i chropawym brzmieniem. – Tak, owszem. Dla mnie to miejsce szczególne. Tam poznałam Aleca.

Olivia zwróciła uwagę, że Paul głośno sapnął.

– Nie wiedziałem.

– Tak. Właśnie tam.

I znów długa chwila ciszy.

– Jezu, Annie, jak ty mogłaś...

– Zamknij się, Paul!

Nagle skrzypnęły otwierane drzwi wejściowe. Olivia odwróciła głowę, po czym szybko pochyliła się, aby wyłączyć magnetofon, ale nie wyszła z sypialni; czekała, stojąc obok łóżka. Paul na pewno zauważył jej samochód, więc nie było mowy o zaskoczeniu. Chwilę później stanął w drzwiach sypialni. Nie wyglądał dobrze. Jego zielony T-shirt był wymięty i poplamiony; potargane włosy zwieszały się na czoło. W promieniach słońca sączących się przez witraż jego twarz przybrała chorą, żółtą barwę, aż Olivia zaczęła się zastanawiać, jak sama wygląda w takim świetle. Paul wpatrywał się w nią przez długą chwilę, a potem odwrócił wzrok, omiatając spojrzeniem łóżko.

– Twój samochód stał tutaj, ale kiedy zapukałam do drzwi, w środku było całkiem cicho – wyjaśniła Olivia. – Recepcjonistka w redakcji „Beach Gazette” powiedziała, że jesteś chory, więc kiedy nie otworzyłeś, zaczęłam się martwić.

Paul odchrząknął.

– Byłem na plaży, na spacerze.

Olivia wskazała dłonią posłanie łóżka.

– Widzę, że urządziłeś sobie mały... wieczorek z Annie.

Otworzył usta, ale się nie odezwał.

– Wciąż jeszcze o niej nie zapomniałeś – powiedziała cicho, w swoim głosie słyszała znużenie. – Ty nigdy o niej nie zapomnisz.

– Potrzebuję więcej czasu.

Ominęła go i wyszła energicznym krokiem na korytarz, a potem do salonu. Zatrzymała się dopiero przy drzwiach swojego samochodu. Wbiła kluczyk w stacyjkę i z piskiem opon wyjechała na ulicę. Na autostradzie opamiętała się i zwolniła, zwracając baczniejszą uwagę na gęsty, jak to latem, ruch. Musiała napomnieć się w duchu, że nosi w sobie dziecko, normalnego, zdrowego chłopczyka.

Rozdział czterdziesty pierwszy

Lacey pomogła Olivii pościelić łóżko w pokoju gościnnym. Była w gadatliwym nastroju i chyba trochę się denerwowała. Wydawała się lekko spięta, co nie wiedzieć czemu przypomniało Olivii o radzie starej latarniczki: „Dawaj mu do jedzenia jarmuż z solą morską”.

Poprzedniego wieczoru zadzwonił do niej Alec, by przeprosić za bezceremonialne zachowanie Lacey.

– Na pewno wolałabyś spędzić ten czas z Paulem – zauważył, a Olivia, która właśnie wróciła od swojego męża, opowiedziała mu, co tam zastała, ostatkiem sił powstrzymując się od łez.

– Alec, on się pławi we wspomnieniach o niej. Dookoła poustawiał sobie pojemniki z jedzeniem na wynos, żeby móc gapić się na jej zdjęcia godzinami, nie ruszając się z pokoju...

– Olivio... – przerwał jej Alec.

– Co?

– Pozwól mi z nim porozmawiać.

– Nie!

– Z tego, co mówisz, wynika, że jemu jest potrzebna pomoc.

– Wiem, ale on jej nie przyjmie.

– A gdybym tak zajrzał do niego pod pretekstem obgadania spraw związanych z latarnią?

– Proszę cię, nie rób tego.

Ostatecznie Alec uległ, ale najpierw powiedział, że chciałby, aby ona i Paul doszli do porozumienia.

– Zrób to dla mnie, jeśli dla siebie nie możesz – dodał jeszcze cichym, poważnym tonem i tak skończyła się ta rozmowa.

Lacey założyła koc za materac w nogach łóżka.

– Chciałabym przekłuć sobie nos – oznajmiła, zerkając na Olivię i czekając na jej reakcję. Jej głowa powoli zaczynała przypominać czarno-czerwoną

szachownicę. – Co o tym sądzisz?

– Sądzę, że to obrzydliwe. – Olivia sięgnęła po leżącą na fotelu narzutę. – A ojciec wyrazi zgodę?

– Ojciec pozwoli mi na wszystko. Jeszcze tego nie zauważyłaś?

Łóżko było pościelone. Olivia spojrzała na swojego gościa.

– Chodź, pojedziemy na kolację – zaproponowała. – Możesz wybrać miejsce.

Lacey wybrała rodzinną restaurację Italian Palace. Serwowano tam makarony, które, ku zaskoczeniu Olivii, były całkiem znośne, wręcz niczego sobie.

– To moja ulubiona knajpa – powiedziała dziewczyna, przymykając oczy i udając, że rozpływa się z zachwytu nad smakiem swoich lasagne. Nagle drgnęła i wyprostowała się jak struna. – Tata dał mi kasę, żebym zapłaciła.

– To miło z jego strony, ale nie trzeba.

– Powiedział, że nie mogę pozwolić, żebyś ty zapłaciła.

– W porządku. – Olivia uśmiechnęła się i uniosła szklankę z wodą w geście toastu. – Zdrowie twojego taty.

Lacey odpowiedziała szerokim uśmiechem i stuknęła się z nią swoją szklanką.

– Jutro rano mam lekcję witrażu u Toma – powiedziała Olivia. – Chcesz pojechać ze mną?

– Jasne. Nie widziałam się z Tomem, odkąd ścięłam włosy. Padnie, jak mnie zobaczy.

– Akurat on nie powinien krytykować ludzi za fryzurę, nie uważasz? – zapytała Olivia.

Lacey parsknęła śmiechem.

– Raczej nie. – Wypiła łyk coli. – Spod jakiego jesteś znaku?

– Znaku? – Olivia w pierwszej chwili nie zrozumiała. – Aha! Spod Wodnika.

– O, to super!

– Tak?

– No. Ja jestem spod Raka. Czyli spod skorupiaka. To znak wody, tak samo jak twój. Nieźle pasujesz do mojej rodziny. Mama mówiła, że znaki wody są najlepsze. Tata jest spod Ryb...

Paul też, pomyślała Olivia.

– ...a mama była spod Wodnika, jak ty, tylko że ona była dziwnym Wodnikiem, a ty... no, aż trudno uwierzyć, że jesteście spod tego samego

znaku. Clay, niestety, jest spod Skorpiona. Nie mam pojęcia, jak do tego doszło. W każdym razie, kiedy mama dowiedziała się, że jest w drugiej ciąży, i policzyła, że urodzę się pod znakiem wody, postanowiła to uczcić i poszła popływać w oceanie. Siedziała tam długo mimo lodowatej wody, bo to było pod sam koniec jesieni.

Olivia uśmiechnęła się, a wyraźnie spięta Lacey umilkła, żeby przełknąć kolejny kęs.

– Mama chciała mieć więcej dzieci – podjęła po chwili. – Ale mówiła, że to jest nieekologiczne. Jej zdaniem każda para ludzi powinna zastąpić tylko siebie samą i mieć dwójkę potomstwa, inaczej nie wystarczy żywności i wody dla wszystkich. Zastanawiali się z tatą nad adopcją jakichś niepełnosprawnych dzieci, ale się nie zdecydowali. Baaardzo się cieszę. – Przewróciła oczami. –

Nie byliśmy do siebie podobne. Ja jestem straszną egoistką. Nie chciałam się dzielić rodzicami z innymi dziećmi. Wystarczyło, że był Clay.

– Dogadujecie się z bratem?

– Najczęściej nie zwracam na niego uwagi. W te wakacje zachowuje się jak ostatnia świnia, bo zaczęłam bywać na tych samych imprezach i jemu się nie podoba, że musi znosić młodszą siostrę.

Olivia zmarszczyła brwi.

– Ale to prawda: jesteś jeszcze trochę za młoda, żeby bawić się z uczniami ostatnich klas.

Lacey prychnęła z wyższością.

– Uczniowie ostatnich klas – powtórzyła, małpując jej głos. – Masz czasem odzywki jak jakaś babcia.

– Clay jest właśnie w tym wieku, prawda? Chodzi do ostatniej klasy? A ile trwają te imprezy?

– Jak to?

– Rozumiem, że nie musisz meldować się w domu o ustalonej godzinie, więc o której zazwyczaj wracasz?

– O pierwszej, drugiej.

– Lacey! To jest po prostu skandal. Masz dopiero czternaście lat.

Dziewczyna uśmiechnęła się pobłaźliwie.

– Olivia, teraz są wakacje, a letnie kursy już się skończyły. Nie muszę wstawać rano.

– A czy przed śmiercią mamy też tak późno wracałaś do domu?

Lacey dziabnęła widelcem swoje lasagne.

– No... Nie. – Zacisnęła usta. – Nie było takiej potrzeby, ale nawet gdyby, to mama na pewno nie robiłaby mi scen z tego powodu.

– Jak to: nie było takiej potrzeby?

Lacey uniosła na nią oczy.

– Wtedy wolałam siedzieć w domu, bo było fajnie. Moi rodzice byli super. Moi znajomi przepadali za nimi, do tego stopnia, że prawie u nas mieszkali. –

Znowu zagryzła wargi. – Żałuj, że nie znałaś wtedy taty. To był naprawdę rozrywkowy facet i zawsze miał mnóstwo pomysłów. Raz zabrał nas wszystkich w środku nocy do Jockey's Ridge. Weszliśmy na wydnię – po ciemku! – położyliśmy się na piasku i oglądaliśmy gwiazdy. Z nim cały czas były takie fajne akcje. Jeździł z nami, to znaczy ze mną i moimi znajomymi, do Norfolk na koncerty. Żaden inny ojciec nie chciałby o tym nawet słyszeć. Był świetny. – Wyrzała przez okno. Na parkingu robiło się już ciemno. – Bardzo się zmienił. Między innymi dlatego tak późno wracam do domu. Nie lubię z nim siedzieć, bo przypominam sobie wtedy, że to wszystko jest zdrowo popieprzone. – Zerknęła z ukosa na Olivię. – Przepraszam. Że powiedziałam „popieprzone”.

Olivia wyprostowała się na krześle.

– Chciałabym ci coś dać.

– Co?

– Zegarek.

– Żartujesz. – Lacey uśmiechnęła się niepewnie. – Czemu?

– Bo w twoim wieku powinno się mieć zegarek.

– Moja mama... – Dziewczyna urwała w pół słowa. – A będę mogła sama go sobie wybrać?

– Tak, ale w tej umowie jest jedno zastrzeżenie.

– Co to znaczy: zastrzeżenie?

– To znaczy, że aby dostać zegarek, musisz spełnić jeden warunek.

Lacey zmrużyła oczy, zaintrygowana.

– Jaki?

– Każdego dnia, niezależnie od tego, gdzie akurat będziesz, o północy zadzwonisz do mnie, żebym wiedziała, że wszystko u ciebie w porządku.

– Co takiego? – zaśmiała się dziewczyna.

– Tak brzmi mój warunek. – Olivia miała świadomość, że podkopyje autorytet Aleca, ale może właśnie tego potrzebował jej przyjaciel.

– Obudzę cię – zauważyła Lacey.

– Owszem, ale zasypiając z powrotem, będę spokojna, że nic ci nie jest.

Lacey spojrzała na nią poważnym wzrokiem.

– Dlaczego tak ci na tym zależy? Po co chcesz wiedzieć, że nic mi nie jest?

Olivia opuściła głowę. Jej manicotti leżały na talerzu prawie nietknięte.

W końcu podniosła wzrok na Lacey.

– Może dlatego, że przypominasz mi trochę mnie samą w twoim wieku – odparła.

– No dobrze. – Lacey odłożyła widelec i spojrzała na nią wzrokiem niewiniątka. – Ale ja też mam pewien warunek.

– Mianowicie? – zapytała Olivia z uśmiechem.

– Będę do ciebie dzwonić, jeśli zrezygnujesz z pomagania w schronisku dla kobiet w Manteo.

Ujęła ją szczerą troską, którą słyszeć było w tej prośbie, ale nie mogła się na to zgodzić.

– Lubię tam pracować, Lacey. – Potrząsnęła głową. – I nie musisz się o mnie martwić. Nie jestem taka jak twoja mama. Chyba nigdy nie znalazłabym w sobie odwagi, aby narazić własne życie w czyjejś obronie.

W drodze powrotnej do domu Olivii zajrzały do drogerii, aby poszukać zegarka. Lacey przymierzyła sześć albo siedem, starannie omijając te droższe, i ostatecznie wybrała model z błyszczącą srebrną tarczą i czarnym paskiem w srebrzyste gwiazdki.

Kupiły jeszcze karton lodów, z których po powrocie zrobiły sobie deser typu banana split, dwie olbrzymie porcje. Zjadły w salonie, siedząc po turecku na podłodze, a Sylvie wskoczyła na kolana Lacey i zwinęła się w kłębek, mrużąc z błogością. Dziewczyna co chwilę unosiła lewą rękę, aby obejrzeć swój zegarek.

– Nie mogę uwierzyć, że masz już czternaście lat, a to jest twój pierwszy zegarek w życiu – powiedziała Olivia.

– Mama przewróciłaby się w grobie... gdyby leżała w trumnie.

Olivia odcięła widelcem kawałek banana.

– Została skremowana? – zapytała.

– Tak. Tylko że najpierw, oczywiście, pobrali wszystko, co mogło się komuś przydać. A potem to, co zostało... – Lacey machnęła dłonią w powietrzu. – Clay i tato wsypali jej prochy do morza, w Kiss River.

Olivia wzdrygnęła się, gdy przed oczami stanął jej ten obrazek; trudno było znieść taką myśl.

– Nie byłam na pogrzebie – dodała Lacey.

– Czemu?

– Chciałam ją zapamiętać taką, jaka była za życia. – Dziewczyna zachmurzyła się nagle, spuściła głowę i pogłaskała leżącą na jej kolanach kotkę. – Nie mieści mi się w głowie, że różni źli ludzie mogą żyć po sto lat, a ktoś taki dobry jak moja mama umiera tak młodo. Ona nigdy nie akceptowała... jak się inaczej mówi na krzesło elektryczne?

– Kara główna?

– Właśnie. To było dla niej nie do przyjęcia, ale ja, gdybym miała w ręce nóż i nawinałby mi się ten facet, który ją zabił, tobym go zarżnęła. – Zaciśnęła pięści, a Sylvie otworzyła jedno oko i zerknęła na bezpańską miskę lodów, która stała na podłodze, pod samym jej nosem. – Zrobiłabym to – zapewniła Lacey. – Byłabym w stanie go zabić bez najmniejszych wyrzutów sumienia.

Olivia z powagą skinęła głową.

– Wciąż sobie wyobrażam – dodała Lacey – co ona czuła, kiedy kula trafiła ją prosto w pierś.

– Twój ojciec mówił mi, że to się stało na twoich oczach. Straszne przeżycie.

Dziewczyna wzięła w palce łyżkę, zamieszała w misce z lodami.

– Stałam tuż obok niej. Wydawałam fasolkę szparagową, a ona – sałatkę. Tamten facet wpadł nagle i zaczął wrzeszczeć na jedną kobietę z kolejki. Mama zawsze musiała się wtrącić, nie umiała usiedzieć cicho. Zasłoniła ją i powiedziała: „Bardzo proszę, niech pan schowa broń. Są święta”. A on bam! – strzelił do niej.

Lacey skrzywiła się z bólem, a jej ramionami wstrząsnął dreszcz.

– Do dzisiaj widzę jej twarz – wyznała. – Czasem w nocy, kiedy leżę w łóżku, staje mi to przed oczami i nie chce zniknąć. Otworzyła oczy, bardzo, bardzo szeroko i jęknęła cicho, jakby z zaskoczeniem w głosie, a w miejscu, gdzie trafiła kula, pojawiła się mała plamka krwi. – Uniosła wzrok na Olivię. – Przez długi czas myślałam, że ona umarła przez ciebie, bo byłam absolutnie pewna, że nic się jej nie stało. Nie mieściło mi się w głowie, że ona może umrzeć. Wydawało mi się, że dopiero u ciebie na pogotowiu wszystko trafił szlag. Ale tata wytłumaczył mi, że to nieprawda. Że robiłaś co w twojej mocy, żeby ją uratować.

– Tak było, Lacey.

Dziewczyna przełknęła jeszcze kilka łyżek lodów, a potem uniosła głowę,

spoglądając na Olivię spod gęstej, dwukolorowej grzywki.

– Lubisz mojego tatę? – zapytała.

– Bardzo.

Lacey znów spuściła wzrok.

– Odkąd zaczął się z tobą... przyjaźnić, trochę mu się poprawiło – mruknęła.

– Przedtem błąkał się jak lunatyk, prawie nic nie jadł, nie zwracał uwagi, w co się ubiera, a wszystkie ciuchy zrobiły się na niego za duże. Wyglądał jak strach na wróble i wszędzie nosił te swoje głupie stare zdjęcia latarni, ciągle je oglądał. Nie robił nic innego. A w łóżku miał starą bluzę mamy, jak przytulankę!

Olivii ścisnęło się serce, ale czuła też zakłopotanie, że poznała intymne sekrety Aleca.

Lacey przełknęła ostatni kawałek banana, który pływał już w czekoladowej zupie. Jej krótkie palce z poobgryzаныmi paznokciami obróciły łyżkę tkwiącą w gęstej, słodkiej brei.

– Widziałam niedawno twojego męża na spotkaniu komitetu przyjaciół latarni – powiedziała, spoglądając na Olivię. – Pomyślałam sobie, że wygląda trochę jak taki klasowy kujon. Bez urazy.

Klasowy kujon? No cóż, to w sumie było zrozumiałe, że czterdziestoletni okularnik o urodzie intelektualisty dla czternastoletniej dziewczynki wygląda jak kujon.

– Nie uraziłaś mnie – odparła.

– A mój tata jest przystojny, według ciebie?

Olivia wymijająco wzruszyła ramionami, świadoma, że stąpa po kruchym lodzie.

– Raczej tak.

– Mama mówiła, że jest sexy. Oni się kochali normalnie bez pamięci. – Lacey kilka razy obróciła dłoń, a zegarek na jej nadgarstku zalśnił w blasku lampy stojącej na stole. – Nola marzy o tym, żeby wskoczyć mu do łóżka – dodała, nie odrywając oczu od błyszczącego czasomierza.

– Mało eleganckie wyrażenie, nie sądzisz? Chcesz powiedzieć, że się nim interesuje?

Lacey wyszczerzyła zęby.

– Ty jesteś jakby trochę pruderyjna. No bo skoro uważasz, że mój ojciec jest przystojny, to nie myślisz czasem o tym, jaki jest w łóżku?

Olivia z najwyższym trudem zdołała zapanować nad twarzą i ukryć wrazenie, jakie zrobiły na niej te słowa. Pochyliła się lekko w stronę Lacey.

– To, o czym myślę ja, twój ojciec czy Nola o tych rzeczach, to sprawa ściśle osobista, Lacey – powiedziała, dobitnie akcentując słowa. – A komentarze z twojej strony są nie na miejscu.

Oczy dziewczyny momentalnie zaszczyły łzami.

– Przepraszam – szepnęła, a na szyję i policzki wystąpiły jej szkarłatne plamy. Drżące wargi skrzywiły się żałośnie. Olivia odstawiła miskę z rozpuszczonymi lodami na podłogę, wyciągnęła ręce i mocno przytuliła dziewczynę do siebie. Lacey przywarła do niej i rozplakała się. Jej drobne ramiona dygotały spazmatycznie.

– Już dobrze. – Olivia pocałowała ją w głowę. Przypomniało jej się, jak dawno temu, jeszcze w poprzednim życiu, chowała się w taki sam sposób w objęciach Ellen Davison, która nigdy nie pytała, skąd biorą się jej bóle i krwawienia i która ani razu nie powiedziała jej, że powinna wrócić do rodzinnego domu. Przypomniała sobie też, że szczupłe ręce Ellen kryły w sobie zaskakującą siłę; był to dla niej znak, że wreszcie znalazła dorosłą osobę, której będzie mogła przekazać swój ciężar, która zapewni jej poczucie bezpieczeństwa.

– Tata mnie nienawidzi – zaszlochała Lacey.

– Bzdura, skarbie. Bardzo cię kocha.

– Ona miała tylko małą kropelkę krwi na koszuli, więc powiedziałam mu, że nic jej nie będzie. Był przerażony. Zaskoczyło mnie to, bo jeszcze nigdy nie widziałam, żeby się czegoś bał. Zaczęłam mu powtarzać, że nie musi się martwić. A on mi uwierzył! Uwierzył, że mamie nic się nie stało. I teraz ma do mnie żal, że dałam mu nadzieję.

Olivia poczuła na plecach palce dziewczyny, szarpiące materiał jej bluzki.

– To mogłam być ja – łkała Lacey. – Myślałam dokładnie to samo co mama: że trzeba po prostu stanąć przed tamtą kobietą i zasłonić ją. Może on nie strzeliłby do dziecka i nikomu nic by się nie stało. Tato chyba żałuje, że to nie ja zginęłam. Po śmierci mamy rzadko się do mnie odzywał, starał się na mnie nie patrzeć i wciąż nazywał mnie „Annie”.

Olivia poczuła, jak Lacey nagle sztywnieje.

– Nienawidzę go – syknęła. – Zapomniał o moich urodzinach. Uważa, że Clay jest wspaniały, taki mądry, dostał stypendium na Uniwersytecie Duke’a i tak dalej, a ja, proszę – miałam poprawkę i musiałam się uczyć w wakacje. On by chciał, żebym sobie poszła i nie wróciła. Gdybym przywlokła się z imprezy nad ranem, miałyby to gdzieś. Mogłabym w ogóle się

nie pokazać.

Z oczu Olivii też polały się łzy i utonęły we włosach Lacey. Ona powinna rozmawiać teraz z Alekiem, pomyślała. Od tego ma ojca, żeby powiedzieć mu, czego się boi. To od niego, nie ode mnie, powinna usłyszeć: zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby znów wszystko było dobrze.

Ale jego tutaj nie było. Możliwe, że nie potrafił wysłuchać Lacey, pomóc jej uporać się z obawami, które być może dręczyły także i jego. Z tą myślą Olivia objęła Lacey mocniej, postanawiając, że nie wypuści jej z ramion, dopóki dziewczyna nie poczuje się bezpieczna.

Rozdział czterdziesty drugi

Gdy Alec spoglądał w samochodowe lusterko, za każdym razem rzucały mu się w oczy kurze łapki i bruzdy na czole. Mogło to oznaczać, że ostatnie lata spędził na słońcu. Albo po prostu się starzał.

Kilka godzin wcześniej zostawił Claya na uczelni; nie spodziewał się, że pożegnanie z synem wprawi go w takie przygnębienie. W studenckiej świetlicy było już kilka osób, więc objął go tylko, ale tak naprawdę wolałby mocno przytulić. Clay nie odwzajemnił zresztą ojcowskiego uścisku: Alec widział, jak błyszczą mu oczy, jak nie może się doczekać rozpoczęcia nowego rozdziału w swoim życiu. O tęsknocie mogła być mowa tylko z jednej strony.

Zjechał z autostrady w Manteo. Zaczęło siąpić. Minął dom seniora, pyszniący się z daleka błękitnymi ścianami. To mu przypomniało, że niedługo trzeba będzie zadzwonić do Mary Poor i umówić się na zwiedzanie domu latarnika. Pod wpływem impulsu zawrócił i stanął przed kolorową willą. Mógł to przecież załatwić od razu.

Gdy wysiadał z samochodu, zauważył po drugiej stronie ulicy sklepik ze starociami. Przed witryną stało kilka krzeseł o przedpotopowym wyglądzie, a na nich siedziały leciwe lalki. Siwa kobieta chowała je właśnie do środka, żeby nie zmokły. Olivia miała rację, pomyślał. To na pewno tutaj Annie kupowała lalki dla Lacey.

Przestronna weranda domu opieki była pusta. Alec zadzwonił do drzwi. Otworzyła mu młoda blondynka.

– Chciałbym się zobaczyć z panią Mary Poor – powiedział.
– Proszę wejść. – Cofnęła się, aby go wpuścić. – Znajdzie ją pan w salonie. Jak zwykle siedzi nad krzyżówką.

Zaprowadziła Aleca do dużego pomieszczenia, gdzie kilka starszych pań oglądało telewizję. Mary Poor siedziała na uboczu, w kącie, na fotelu z uszakami, a światło stojącej obok lampy padało na złożoną gazetę, którą trzymała w dłoniach.

– Mary, masz gościa – zwróciła się do niej blondynka.

Staruszka położyła gazetę na kolanach i uniosła wzrok na Aleca. Spojrzenie jej bystrych oczu, niebieskich jak spódnica, którą miała na sobie, zadziwiło go przenikliwością. Zauważył też, że nosi tenisówki.

– Dzień dobry, pani Poor. – Wyciągnął do niej rękę. – Nie wiem, czy mnie pani pamięta. Nazywam się Alec O’Neill. Jestem mężem Annie.

Mary przez chwilę przyglądała mu się spod przymrużonych powiek, a potem uścisnęła jego dłoń.

– Owszem – powiedziała. – Owszem.

Alec usiadł obok w bliźniaczym fotelu. No proszę, pomyślał z podziwem, starsza pani rozwiązuje krzyżówkę wiecznym piórem.

– Byłem w okolicy i postanowiłem do pani zajrzeć, żeby zapytać, czy zechciałaby pani oprowadzić kilku przyjaciół latarni po domu latarnika. Jak pani chyba wiadomo, wydajemy broszurę informacyjną opisującą latarnię w Kiss River. Był u pani Paul Macelli i wszystko zaczyna już nabierać realnych kształtów, ale sądzę, że Paul powinien zobaczyć jeszcze tamten dom na własne oczy. Mógłby wtedy opisać wnętrza, pokoje, a ja przy okazji zrobiłbym trochę zdjęć. – Opuścił wzrok, przyglądając się dłoniom Mary. Przez skórę wyraźnie przebijały sine żyły i drobne kości. – Czy istnieje taka możliwość? Pytam, bo nie wiem, czy jest pani w stanie swobodnie się poruszać.

– Daję radę, daję radę – przytaknęła Mary. – Kiedy?

– Najdalej za kilka tygodni. Tak żebyśmy zdążyli przygotować materiały i wysłać je do drukarni: Paul wszystko opisze, a ja wywołam zdjęcia.

– Proszę więc mnie zawiadomić o terminie. Któraś z tutejszych dziewczyn mnie zawiezie.

– Doskonale. Dziękuję. – Alec obejrzał się na telewizor, a potem jeszcze raz zerknął na Mary. – Jak się pani czuje? Może czegoś pani potrzeba? Wiem, że Annie przywoziła pani różne rzeczy.

Staruszka uśmiechnęła się. Zęby ma piękne; ciekawe, czy własne?, pomyślał Alec.

– To prawda, lubiła dawać – przyznała. – Brakuje mi tej dziewczyny.

I wskazała palcem okno za jego plecami. Alec odwrócił się. W oknie wisiał witraż przedstawiający latarnię w Kiss River: ze szczytu wieży wystrzelał snop światła, przebijając zasłonę skłębionej, granatowej ciemności nocnego nieba. Obraz był olśniewający w swojej prostocie, a Alec w pierwszej chwili

po prostu oniemiał.

– Pierwszy raz widzę ten witraż – odezwał się wreszcie. – Jest piękny.

– Dostałam go od Annie dawno temu i zabrałam ze sobą, kiedy umieścili mnie tutaj.

Alec wstał i podszedł do okna, żeby przyjrzeć się z bliska, zahipnotyzowany oślepiającą bielą szklanych ścian witrażowej wieży. Wydawało mu się dotąd, że widział już wszystkie prace Annie – ta chwila była dla niego jak odkrycie na nowo kobiety, którą jakoby dobrze znał.

Mary również spojrzała w okno.

– A więc zadzwoni pan do mnie? – zapytała.

Z wysiłkiem oderwał wzrok od witraża.

– Tak – odparł, niechętnie zbierając się do wyjścia. – Będziemy w kontakcie.

Po drodze do domu wstąpił do Olivii, żeby zabrać Lacey. Widząc, jak ściskają się na pożegnanie na werandzie – a długo nie wypuszczały się z objęć – poczuł się w dziwny sposób pominięty.

– Dzięki, Olivio. – Lacey zabrała swój worek marynarski i ruszyła w stronę forda bronco.

Alec uśmiechnął się do Olivii.

– Ja też dziękuję – powiedział. – Paul się odzywał?

Potrząsnęła głową.

– Spędziłyśmy z Lacey bardzo miły wieczór.

Alec wsiadł do samochodu i wyjechał na ulicę. Jego córka bębniła w przyciski radia, aż wreszcie znalazła jakąś ogłupiającą kakofonię, która przypadła jej do gustu.

– Fajnie było? – zapytał.

– Aha. – Lacey klasnęła dłońmi o uda w rytmie muzyki. Alec zauważył, że ma na nadgarstku zegarek.

– Co to? – zapytał, dotykając go palcem.

Dziewczyna uniosła rękę i przyjrzała się połyskującej tarczy.

– Dostałam od Olivii – odparła. – Kiedy gdzieś wyjdę, mam do niej dzwonić o północy.

– Po co? – Zmarszczył brwi.

– Żeby wiedziała, że wszystko ze mną w porządku.

– Bez sensu. Obudzisz ją.

– Takie było jej zastrzeżenie. – Oznajmiła Lacey z naciskiem, unosząc lekko

głos. – Powiedziała, że kupi mi zegarek, ale tylko pod takim warunkiem.

– A czemu nagle zachciało ci się mieć zegarek? Do tej pory nigdy nie...

– Ty też nosisz zegarek. Co to za problem?

Alec nie miał ochoty się z nią wyklócać. Wiedział, że za kilka minut dotrą do domu, gdzie nieobecność Claya rzuci im się w oczy. Tylko tę krótką chwilę mieli we dwójkę naprawdę dla siebie.

Skręcił na podjazd, zaparkował. Wyłączył silnik i wziął dłoń Lacey w swoją, aby obejrzeć zegarek.

– Pasuje ci – powiedział.

– Że niby co? – Wykrzywiła się i wyrwała rękę. Sięgnęła na tylne siedzenie po swój worek, a potem wyskoczyła z samochodu i ruszyła do domu, nie czekając na ojca.

– Lace.

Odwróciwszy głowę, wbiła w niego wściekłe spojrzenie.

– To miało znaczyć tylko tyle, że podoba mi się, jak wyglądasz z tym zegarkiem na ręce. – Spojrzał na nią ponad maską forda. – Zostaliśmy teraz tylko we dwójkę, Lacey – dodał. – Nie zaczynajmy od kwasów.

– To ty zaczęłaś. Ja mogłam spokojnie słuchać sobie radia, ale tobie zebrało się na pogaduszki. – Zadarła nos, weszła na werandę i zniknęła za drzwiami.

Alec zadzwonił do Olivii o dziewiątej. Był za bardzo wkurzony, żeby czekać do wpół do jedenastej. Zresztą wolał tym razem stworzyć między nimi trochę dystansu.

– Nie podoba mi się pomysł z zegarkiem – oznajmił.

– On nie był drogi – odparła.

– Nie o pieniądze chodzi. – Zanurzył palce we włosach. – Tak naprawdę nie chodzi nawet o zegarek, tylko o to, żeby dzwoniła do ciebie o północy. Sam potrafię się o nią zatroszczyć.

Olivia nie odpowiedziała od razu.

– Jej potrzebne są jakieś... wytyczne, Alec – wyjaśniła wreszcie. – Pewność, że ci na niej zależy, że interesuje cię, gdzie jest i co robi.

Potrząsnął głową.

– Posłuchaj, wiem, że reguły obowiązujące w tym domu zawsze wydawały ci się dziwne, ale nie zamierzam tego zmieniać. Jeśli teraz zacznę narzucać Lacey nowe zasady, ucieknie i więcej jej nie zobaczę. Ona potrzebuje tego, co dobrze zna – tej samej dyscypliny, która obowiązywała ją za życia Annie.

– Jakiej dyscypliny? Pozwalaliście jej robić, co jej się żywnie podobało. To

jest dziecko, Alec. Dziecko, które potrzebuje rodziców. Przynajmniej jednego.

– Więc postanowiłaś podjąć się tego zadania, tak? Opiekowałaś się nią przez jeden wieczór. To trochę za mało, żebyś mogła uważać się za jej matkę.

Olivia nie odpowiedziała. Zamknął oczy, żałując swoich słów. Zdawał sobie sprawę, że jest o nią trochę zazdrosny; nie spodziewał się, że z taką łatwością nawiąże więź z jego córką.

– Rozłączam się – powiedziała Olivia.

– Zaczekaj, ja...

– Nie mówmy już o tym, dobrze? Do widzenia.

Rozdział czterdziesty trzeci

Lacey dzwoniła do niej o północy przez cztery kolejne dni: dwa razy z domu i dwa razy z innych miejsc. Olivia, obudzona dzwonkiem telefonu, była półprzytomna i miała lekkie mdłości, ale bynajmniej nie zamierzała mówić Lacey, żeby już więcej nie dzwoniła.

– Tata powiedział, że nie muszę do ciebie dzwonić – powiedziała dziewczyna za pierwszym razem. Była u koleżanki, w tle słychać było śmiechy i głośną muzykę.

– No cóż, to prawda – przytaknęła Olivia. – Nie musisz, ale wolałabym, żebyś to robiła. Będę wtedy o ciebie spokojna.

– Dobrze – zgodziła się Lacey. – Zadzwoń.

Po kłótni o zegarek i telefony Alec też dzwonił do Olivii kilka razy. Przepraszył, że się uniósł, a ona pozwoliła sprawie umrzeć śmiercią naturalną, lecz mimo to zajście popsło nieco atmosferę – na tyle, że Olivia przestała czuć, że znów zaczynają się zbliżać do siebie. I uznała, że tak będzie lepiej.

Piątej nocy obudziła się sama, punkt dwunasta i dopiero gdy sięgnęła po telefon, dotarło do niej, że nikt nie dzwoni. Może Lacey została dziś w domu, pomyślała. Pewnie śpi smacznie we własnym łóżku. Olivia leżała, patrząc na wyświetlacz elektronicznego budzika i obserwując, jak zmieniają się lśniąco, jaskrawozielone cyfry. Wreszcie, o wpół do pierwszej, telefon zadzwonił, a w słuchawce zabrzmiał głos Lacey. Dziewczyna była zapłakana i mamrotała coś niezrozumiale. Olivia podniosła się i usiadła na łóżku, słuchając z uwagą.

– Chyba za dużo wypiąś, Lacey.

Nastolatka przez chwilę tylko płakała do słuchawki. W tle nagle wybuchł huragan śmiechu.

– Boję się – jęknęła w końcu.

– Czego?

Lacey musiała poświęcić kolejną chwilę, żeby się opanować.

– Nie dostałam okresu – wyznała.

- Aha. Ile dni się spóźnia?
- Nie wiem. Pogubiłam się.
- Gdzie jesteś, Lacey? Przyjadę po ciebie.

Bez słowa sprzeciwu, chociaż dosyć mętnie, dziewczyna zaczęła tłumaczyć, jak dojechać do jakiegoś domu w pobliżu Kiss River. Miała czekać na zewnątrz.

Olivia na drodze nie spotkała żywej duszy i ucieszyła się, gdy wreszcie ukazało się światło latarni morskiej. Jechała powoli, pamiętając, że w tej okolicy żyją dzikie konie. Znalazłszy skrzyżowanie, o którym mówiła Lacey, skręciła na drogę biegnącą po ubitym piachu. Mogła się tylko modlić, żeby tam nie utknąć. Już się widziała w unieruchomionym samochodzie, po ciemku, w samym środku nocy.

Wskazówki, które dała jej Lacey, nie były najlepsze, ale po przejechaniu kilkuset metrów piaszczystą drogą Olivia usłyszała muzykę. Kierując się w tamtą stronę, dotarła do niewielkiego białego domu i zobaczyła Lacey siedzącą samotnie na betonowym ganku. Gdy samochód wtoczył się na zarośniętą trawą podjazd, uniosła głowę, wstała i podeszła.

Olivia otworzyła jej drzwi. Na pierwszy rzut oka spostrzegła, że dziewczyna jest pijana. Jej ciuchy śmierdziały piwem i papierosami. Do auta zdołała wsiąść dopiero za trzecim podejściem; gdy już była w środku, odchyliła głowę do tyłu i zamknęła oczy.

Olivia sięgnęła po jej pas bezpieczeństwa i zapięła.

– Piłaś tylko piwo, czy może było coś jeszcze? – zapytała.

– Nic.

– Wymiotowałaś?

Lacey przytaknęła, otwierając oczy, ale tylko do połowy.

– Trzy razy – wyszeptała.

– Gdyby znów ci się zachciało, daj znać, żebyśmy zdążyła się zatrzymać.

– Mmm – mruknęła dziewczyna, z powrotem zaciskając powieki. Większą część drogi przespała. Olivia położyła ją w pokoju gościnnym; uznała, że obawy związane ze spóźniającym się okresem mogą poczekać do rana. Potem wróciła do sypialni i zadzwoniła do Aleca.

– Mówi Olivia. Przepraszam, że cię budzę.

– Nie ma sprawy – odparł stłumionym, zaspanym głosem. – Co się stało?

– Lacey jest u mnie.

– Dlaczego?

– Była na imprezie i za dużo wypła. Zadzwoniła do mnie, mocno zaniepokojona, więc pojechałam po nią i przywiozłam do siebie.

W słuchawce zaświszczał jego ciężki oddech. Wyobraziła sobie, jak Alec siada na skraju łóżka, nagi do pasa, jak przeciera twarz, starając się otrząsnąć ze snu.

– Przyjadę i zabiorę ją.

– Nie rób tego. Zasnęła. Rano sama ją odwiozę.

– Nie chcę, żebyś robiła sobie kłopot.

– Żaden kłopot. Mam dzień wolny. Wracaj do łóżka, Alec. Porozmawiamy o tym jeszcze jutro.

Rano Lacey była blada i miała zaczerwienione oczy. Siedziała przy kuchennym stole w śmierzących dzinsach i koszulce, sypiąc do kawy cukier, łyżkę za łyżką. Wytrzeźwiała już i była bardzo cicha. Olivia postawiła przed nią tost na talerzu i usiadła po drugiej stronie stołu.

– Wczoraj powiedziałaś mi przez telefon, że się martwisz, bo spóźnia ci się okres – zaczęła.

Dziewczyna poderwała głowę.

– Powiedziałaś mi o tym?

Olivia przytaknęła w milczeniu.

Lacey jęknęła i opadła z powrotem na krzesło, zjeżdżając w dół na siedzeniu.

– Nie mogę w to uwierzyć.

– Pamiętasz, kiedy miałaś dostać okres?

Lacey zaprzeczyła. Oczy miała zamknięte.

– Czy od czasu ostatniej miesiączki uprawiałaś seks?

Skrzywiła się, a na jej policzki wystąpił rumieniec.

– Nie mogę z tobą gadać o takich rzeczach – oznajmiła.

– Dobrze, w takim razie powiedz mi tylko, czy zachodzi ryzyko, że zaszłaś w ciążę.

Lacey potwierdziła bez słowa.

– Pojedziemy na pogotowie i zrobimy test ciążowy – powiedziała Olivia.

Dziewczyna spojrzała jej nagle prosto w oczy.

– O Boże, a co, jeśli jestem? Będę musiała urodzić. Aborcja nie wchodzi w grę. Mama by mnie chyba zabiła. Dla niej aborcja była najgorszą decyzją. Mówiła, że to morderstwo.

– Ale ty i twoja mama to dwie różne osoby.

Lacey umilkła, zaskoczona tą myślą.

– Tak czy inaczej – podjęła po chwili – nie sądzę, żebym się na to zdecydowała.

– Poczekajmy, aż się okaże, jak wygląda sytuacja, Lacey. Nie martwmy się na zapas.

* * *

Po teście, który zrobiła Kathy Brash, poszły do gabinetu Olivii. Lacey nie była rozmowna. Siedziała na krześle pod oknem i bawiła się linką od żaluzji. Podskoczyła, kiedy zadzwonił telefon.

Olivia odebrała.

– Wynik negatywny – oznajmiła Kathy.

Podziękowała Kathy i odłożyła słuchawkę, po czym spojrzała na Lacey.

– Nie jesteś w ciąży.

Dziewczyna zakryła twarz dłońmi i zaczęła płakać.

– Tak się bałam – zaszlochała. – Myślałam o tym bez przerwy. Kiedy nocowałam u ciebie, już mało brakowało, a wszystko bym ci wyznała. Chciałam to zrobić, ale stchórzyłam, bo myślałam, że uznasz mnie za puszczalską.

Olivia potrząsnęła głową.

– Nic nie straciłaś w moich oczach, Lacey. – Pochyliła się ku niej i oparła łokcie na biurku. – Spójrz na mnie.

Dziewczyna opuściła dłonie i uniosła wzrok.

– Musimy powiedzieć twojemu ojcu – oznajmiła Olivia.

Lacey otworzyła szeroko oczy.

– O czym?!

– O tym, że bałaś się, że jesteś w ciąży.

– Ale nie jestem. Po co go denerwować? Nie ma potrzeby mu o niczym mówić.

– To twój ojciec. Musi wiedzieć, że sprawa jest poważna.

– A jeśli mu nie powiem?

– Wtedy ja to zrobię.

Lacey zerwała się z krzesła.

– Myślałam, że mogę ci ufać!

– Możesz. I nie zawiodę cię: zawsze zrobię to, co moim zdaniem jest dla ciebie najlepsze.

– O Boże, ale z ciebie wredna mała. – Lacey opadła z powrotem na krzesło. – On mnie zabije. On mi... – Potrząsnęła głową, a po policzkach spłynęły jej wielkie łzy.

Olivia wstała.

– Twój ojciec musi o tym wiedzieć, Lacey. – Wyjęła z torebki kluczyki do samochodu. – Chodźmy.

Zrezygnowana Lacey niechętnie ruszyła za nią. W drodze do Southern Shores siedziała odwrócona do okna, od czasu do czasu rzucając Olivii wrogie spojrzenie.

– Przecież nawet nie jestem w ciąży – warknęła raz. – Myślałam, że mogę ci zaufać.

Kiedy dotarły na miejsce, wpadła do domu pierwsza i pobiegła do swojego pokoju, omijając ojca, który wyszedł do drzwi. Alec spojrzał na Olivię wyczekująco.

– Możemy porozmawiać w twoim gabinecie? – zapytała.

Skinął głową. Alec, jak zwykle, zajął miejsce za biurkiem. Olivia usiadła przy stole roboczym.

– Bała się, że jest w ciąży – oznajmiła.

Alec przez jedno mgnienie oka miał zaskoczoną minę. Potem potrząsnął głową.

– O nie...

– Nie jest. Zabrałam ją przed chwilą na pogotowie i zrobiliśmy test. Ona wie, że mówię ci o tym, i nie jest z tego powodu zadowolona, ale uznałam, że musisz wiedzieć.

Alec przytaknął.

– Boże... – Uniósł wzrok do sufitu, a gdy odezwał się ponownie, w jego głosie słychać było gniew: – No dobrze, Annie, co byś z tym zrobiła?

Olivia wstała z krzesła.

– Nie zastanawiaj się, co zrobiłaby Annie, o czym by sobie pomyślała ani jak by się poczuła. Nie przyszło ci nigdy do głowy, że Annie mogła się mylić?

Chwyciła torebkę ze stołu i ruszyła ciężkim krokiem do drzwi. W progu obejrzała się jeszcze na niego.

– Twoja córka niedawno skończyła czternaście lat, do tej pory wychowywała się praktycznie sama, a teraz bała się, że zaszła w ciążę.

Zapomnij o Annie. Lacey cię potrzebuje. Nie jej, tylko ciebie. Aleca, nie Annie.

Wyszła z domu w takim pośpiechu, że po drodze do drzwi potarła Trójskoka, aż się zachwiała. Wsiadła do samochodu i odnalazła wzrokiem okno Lacey, zastanawiając się, czy wydarzenia ostatniej godziny oznaczają dla niej koniec dwóch znajomości: z Alekiem i z jego córką.

* * *

Alec długo siedział sam w gabinecie. W całym domu panowała dojmująca cisza. „Ona się martwi, jak to będzie, kiedy brat wyjedzie i zostanie z panem sama w domu”. Tak powiedziała mu jej wychowawczyni. Z tą myślą wstał z fotela i poszedł na piętro.

Zapukał do drzwi, otworzył. Lacey siedziała po turecku na swoim łóżku, tuląc do piersi ciemnowłosą lalkę z porcelany. Wyglądała okropnie: potargane włosy w dwóch kolorach, twarz zalana łzami. Cuchnęło od niej zwietrzałym piwem.

– Przepraszam, tato – szepnęła, kiedy wszedł.

Alec usiadł na łóżku i wziął ją w ramiona. Po raz pierwszy od dawna, zbyt dawna, nie opierała się i nie wyrywała. Położyła mu głowę na ramieniu i rozplakała się, dygocząc w jego objęciach. Gładził ją po włosach, bojąc się odezwać, bo nie wiedział, czy zdoła wykrztusić choć słowo.

Wreszcie sam się odsunął i sięgnął po chusteczkę z pudełka stojącego na jej biurku. Podsunął ją Lacey pod nos.

– Dmuchnij – poprosił, a ona posłuchała. Potem uniosła na niego błękitne oczy, oczy Annie.

– Na pewno bardzo się bałaś, kiedy podejrzewałaś, że możesz być w ciąży – zaczął Alec.

Lacey skinęła głową i szybko opuściła wzrok. Z jej długich rzęs skapnęły łzy i spadły na wierzch jego dłoni.

– Kto byłby ojcem? Bobby?

– Nie wiem – szepnęła, nie unosząc głowy.

Alec poczuł, że skręca mu się żołądek. Trudno mu było zapanować nad głosem, ale jakoś dał radę.

– Och, Lacey – szepnął, znów przytulając córkę do siebie. Poczekał, aż

przestanie płakać, i dokończył myśl: – Wprowadzimy pewne zmiany.

– Jakie?

– Chcę, żebyś w piątek i sobotę była w domu najpóźniej o północy, a w tygodniu – o dziesiątej.

Lacey oderwała się od niego. Na jej opuchniętej twarzy odmalowało się niedowierzanie.

– Tato. Przecież są wakacje.

– To nie jest żaden powód, żeby wracać do domu później, niż powiedziałem. Poza tym chcę wiedzieć, gdzie będziesz. Chcę mieć telefon, pod którym można cię znaleźć, i chcę poznać ludzi, z którymi się spotykasz.

– Wiedziałam, że tak będzie. Wiedziałam! Myślisz, że jak mnie uwiążesz na łańcuchu, to przestanę uprawiać seks?

– Nie – odparł cicho. – Lecz mimo to wolałbym, żebyś tego nie robiła. Ty jeszcze po prostu nie wiesz... nie potrafisz zrozumieć, co robisz. Seks powinien być czymś wyjątkowym, Lacey. A czym on będzie dla ciebie, kiedy znajdziesz kogoś, kogo naprawdę pokochasz?

– Dla mamy seks zawsze coś znaczył, nawet kiedy była jeszcze bardzo młoda. Powiedziała mi, że przy tobie wreszcie znalazła spełnienie.

Alec westchnął. Miał wrażenie, że Annie i jej bezpośredniość potrafią storpedować każde jego posunięcie dotyczące Lacey.

– No cóż, skoro zamierzasz to kontynuować, musisz zachowywać się odpowiedzialnie. – Wstał, poirytowany. – Ale wiedz, że to nie jest najmądrzejszy pomysł, brać pigułkę w twoim wieku. Poza tym, kobieta stosująca takie środki nie powinna palić i... Lacey, cholera jasna, po co ci to w ogóle? Masz dopiero czternaście lat. Czemu to robisz? Bo Jessica już zaczęła?

– Nie.

– Boisz się, że stracisz powodzenie u chłopaków, jeśli odmówisz?

Lacey opuściła głowę, ścisnęła mocniej swoją lalkę.

– Nie mam zielonego pojęcia, dlaczego to robię – wyznała.

Było w jej głosie coś takiego, że Alec poczuł, jak ogarnia go przytłaczający smutek. Podszedł do córki i pocałował ją w głowę.

– Zamiast robić, powinnaś to przemyśleć, Lace. – Stał w drzwiach pokoju i obejrzał się na nią. – Jeśli zaś chodzi o antykoncepcję, możesz mieć, co tylko będzie trzeba. Ale proszę cię, najpierw się zastanów. Jesteś zbyt wartościową osobą, żeby oddawać się komu popadnie.

Rozdział czterdziesty czwarty

Paul zrozumiał wreszcie, że pozostało mu tylko jedno wyjście – rozmowa z Mary Poor. Zaniedbywał pracę. Sal Bennett, redaktor naczelny „Beach Gazette”, ochrzanił go już dwa razy: za zawalenie terminu z jednym artykułem i za nieścisłości w innym.

– Masz kłopoty osobiste? – zapytał, a do Paula dotarło wtedy, że jego obsesja jest widoczna już gołym okiem. Wciąż rozmyślał o Annie i o dziewczynie, którą zaczynał uważać za swoją córkę.

Próbował dwa razy się jej przyjrzeć. Czaił się w pobliżu domu O’Neillów jak obłąkany gwałciciel i szedł za nią: raz na plażę, a raz do kina, gdzie była z chłopakiem, który na początku filmu próbował włożyć jej rękę pod koszulkę. Widząc to, Paul poczuł, jak zalewa go nieznane dotychczas uczucie ojcowskiej wściekłości.

Spotkanie z Mary Poor odkładał w nieskończoność, bo miał nadzieję dostrzec u Lacey jakąś charakterystyczną manierę w zachowaniu albo usłyszeć znajomą modulację głosu, coś, dzięki czemu odkryje prawdę. Rozmowa z Mary wymagała odwagi, której nie miał, ale teraz, kiedy groziła mu utrata nie tylko pracy, ale i zdrowia psychicznego, zrozumiał, że nie może już dłużej tego odwlekać.

Gdy przyjechał do domu opieki, znalazł ją jak zwykle na werandzie. Na poręczy jej fotela na biegunach leżała złożona gazeta. Kiedy Paul usiadł obok, staruszka uniosła głowę.

– A dyktafon? – zapytała.

– Dzisiaj go nie zabrałem – odparł, postukując palcem w poręcz. – To nie jest wywiad. Muszę wyjaśnić z panią kilka spraw.

Mary wzięła gazetę, położyła ją sobie na kolanach.

– A mianowicie?

– Na przykład, jak dobrze mnie pani pamięta? – Obniżył głos. – Bo domyślałam się, że kojarzy pani, że kiedyś byłem... przyjacielem Annie.

Skinęła głową.

– Czasami umyka mi, co działo się wczoraj, ale to, co było piętnaście lat temu, pamiętam doskonale.

– W takim razie... Pewnie przypomina sobie pani, kiedy po raz ostatni spotkałem się z Annie w pani domu w Kiss River. Wyrzuciła mnie pani wtedy.

– Tak.

Paul usiadł na samym skraju fotela, pochylił się ku niej.

– Muszę wiedzieć... czy ona była w ciąży. Czy dlatego chciała, żebym wyjechał? Jej córka, Lacey, ma czternaście lat. Czy to jest moje dziecko?

– A cóż to za różnica? Jej ojcem jest mąż Annie.

– To jest różnica, olbrzymia różnica. Możliwe, że już nigdy nie będę miał dzieci, a ona powinna wiedzieć, kto jest jej prawdziwym ojcem. – Paul spojrzał prosto w błękitne oczy starej kobiety. – To moja córka, prawda?

Mary przełożyła gazetę na poręcz fotela.

– Skoro pan tak twierdzi – odparła i wróciła do krzyżówki.

Paul patrzył na nią przez chwilę, a potem wstał, ale nie odszedł, więc po jakimś czasie Mary znów uniosła głowę.

– Nie mogę się od niej uwolnić – szepnął. – Annie niszczy moje życie.

Rozdział czterdziesty piąty

Mary patrzyła, jak Paul Macelli wsiada do auta i odjeżdża. Miała pewność, że to nie było ich ostatnie spotkanie. Wiedziała, że ten człowiek nie zazna spokoju, dopóki nie dojdzie prawdy, i być może ona pewnego dnia mu ją wyjawia.

Nie trzeba jej było tłumaczyć, że dla córki rodzic pragnie zrobić wszystko, co w jego mocy. Dla niej kimś takim była Annie. Mary pomagała jej i zachęcała ją do różnych rzeczy, czego zresztą przyszło jej potem żałować. Nieraz słyszała od Annie: „Mary, jesteś moim wybawieniem”, ale tak naprawdę wyrządziła jej więcej szkody, niż przyniosła pożytku.

Doskonale pamiętała, jak wypędziła Paula ze swojego domu, a to, co wydarzyło się kilka dni po jego wyjeździe, wryło się w jej pamięć nawet jeszcze bardziej.

Mówiło się wtedy, że nadciąga sztorm, i to potężny; sporo mieszkańców Outer Banks zabrało swój najcenniejszy dobytek i wyjechało w głąb lądu. Mary często włączała sobie radio, a tam przed południem powiedzieli, że ostrzeżenie zostało odwołane.

– Wygląda na to, że sztorm nas całkiem ominie – oznajmił meteorolog. W jego głosie brzmiała ulga, ale i odrobina rozczarowania.

Mary postawiła czajnik na ogniu i spojrzała na odbiornik z obrzydzeniem, nie mając pojęcia, po co w ogóle tego słucha. Wyszła na tyły domu i uniosła głowę. Niebo nad wydymami było białe, ani śladu mew, pelikanów czy gęsi, które zazwyczaj się tam widywało, a kępy nadmorskich traw prężyły się w gęstym, nieruchomym powietrzu niczym pęki strzał wbitych w ziemię. Fale oceanu puchły złowieszczo, ciemna, prawie czarna woda kłębiła się i wdzierała daleko w głąb plaży. Mary wciągnęła w nozdrza morskie powietrze i potrząsnęła głową. Kretyni, pomyślała, oni wszyscy to banda kretynów. Jutro będą się usprawiedliwiać, tłumaczyć, że sztormy są nieobliczalne, że tego nie dało się przewidzieć.

Wróciła do domu, zaparzyła herbatę i zaczęła przygotowania, bo wiedziała, czego się spodziewać. Caleb pokazał jej, co należy zrobić w takiej sytuacji; on nauczył ją czytać znaki wiatru i oceanu. Mary dołała nafty do lamp i ustawiła je na stole. Wyjęła z szafki trzy dzbany na wodę i zaniósła je na piętro, po czym napełniła i postawiła na komodzie w swojej sypialni. Potem zatkała odpływ w wannie starym gumowym korkiem i odkręciła kran. Cały czas towarzyszyły jej myśli o Annie. Rano, gdy się obudziła i otworzyła okno w sypialni, od razu wiedziała, że sztorm się zbliża, więc zadzwoniła, by ją ostrzec.

– Nie jedź tam dzisiaj, Annie – prosiła. – Dopadnie cię w drodze powrotnej.

– Sztorm ma nas ominąć – odpowiedziała Annie cicho, ale głos miała trochę wystraszony. Trudno było jednak powiedzieć, czy boi się burzy, czy też czegoś zgoła innego. – Muszę pojechać, dopóki starcza mi jeszcze odwagi – dodała.

Mary zaproponowała, że pojedzie razem z nią, ale Annie tylko się zaśmiała.

– Nie bądź niemądra – ucięła. – Dam sobie radę.

Mary rozumiała, że w takim dniu towarzystwo siedemdziesięciosiedmioletniej kobiety byłoby dla niej wyłącznie ciężarem, ale za każdym razem, kiedy myślała o tym, jak Annie będzie się czuła później i w tym stanie wracała sama do domu, żałowała, że się ugięła.

Okolo czwartej po południu zaczęło padać. Mary nie skończyła jeszcze zabijać okien płytami ze sklejki. Od śmierci Caleba przez wiele lat robiła to sama, ale nie miała już tyle siły co kiedyś, a sklejki starczyło jej tylko na okna na parterze, od strony oceanu. Musi wystarczyć, pomyślała, spracowana i wyczerpana. Schowała do środka rośliny wiszące w doniczkach na werandzie, a stare albumy ze zdjęciami zaniósła na piętro. Następnie sprawdziła okna, a kilka z nich uchyliła odrobinę, pamiętając przestrogi Caleba: „Huragan potrafi rozsadzić cały dom”. Usłyszała to od niego w pierwszych miesiącach po ślubie, wraz z szeregiem opowieści o domach, które spotkał taki właśnie los.

Na koniec ponownie obeszła podwórko i sprawdziła, czy wszystkiego dopilnowała, a potem wróciła do domu, zamknęła za sobą drzwi na klucz i usiadła przed kominkiem w fotelu na biegunach. Czekwała.

Włączyła radio i uśmiechnęła się smutno, bo meteorolog przyznał się do błędu i po raz kolejny doradził słuchaczom, żeby opuścili wybrzeże, ale jej uśmiech przygasł, kiedy pomyślała o Annie. Co się z nią dzieje? Może usłyszała nowy komunikat i znalazła nocleg na stałym lądzie? Mary miała taką

nadzieję. Sama jej to doradzała, ale Annie nawet nie chciała o tym słyszeć.

– Chcę jak najszybciej wrócić do Aleca i do Claya – odparła. Mary nie potrafiła zrozumieć, jak Annie stanie twarzą w twarz z mężem i synem. – Dam sobie radę – zapewniła ją przyjaciółka. – Powiem, że rozboleł mnie brzuch, i przez dzień albo dwa nie ruszę się z łóżka. Kobiety tak robią.

Ale Mary dobrze ją znała. I wiedziała, że jeśli utraci ducha walki, to nie z powodu fizycznego bólu.

Nagle wiatr przybrał na sile. Przemknął z wyciem po pokojach na piętrze, a krople deszczu uderzyły o czerniejące w oknach płyty ze sklejki. Światła wewnątrz domu zamigotały. Mary stanęła pod oknem obok kominka i patrzyła, jak w ciągu kilku sekund świat pograżył się w ciemności tak gęstej, że nagłym rozbłyskiem ożyła latarnia, bo czujniki zarejestrowały zmierzch. Widać było, jak spienione grzywy fal podchodzą coraz bliżej, a wygłodniały ocean oblizuje podnóże wydm.

I wtedy Mary dostrzegła światła samochodu na zalanej mrokiem i deszczem drodze. Rozpoznała wóz Annie, dopiero gdy zahamował kilka metrów przed wejściem na werandę. Chwyciwszy z wieszaka sztormiak, zaczęła się mocować z zamkniętymi drzwiami. Wicher szarpnął nimi gwałtownie i puściła gałkę, a wtedy huknęły z mocą o ścianę; zdmuchnąłby ją z werandy, gdyby nie złapała się barierki.

Gdy otworzyła samochód, zobaczyła Annie zalaną łzami. Otuliła ją sztormiakiem i zarzuciła jej kaptur na głowę. Pobiegły do domu. Mary szarpała się z drzwiami, a gdy w końcu zdołała je zamknąć, z wysiłku nie mogła złapać tchu. Odwróciwszy się, zobaczyła, że Annie siedzi na kanapie, zgięta w pół płacze z twarzą ukrytą w dłoniach. Mary zostawiła ją samą i poszła do kuchni, aby nastawić wodę. Wyjęła z szafki dwie szklanki i w tym momencie w całym domu zgasło światło. Zrobiło się tak samo ciemno jak na zewnątrz.

– Mary? – zapytała Annie dziecięcym głosem.

– Zapalę lampy naftowe! – odrzyknęła, szukając po omacku zapalek na stole kuchennym. – Za chwilę do ciebie przyjdę.

Zostawiła w kuchni jedną rozjarzoną lampę, a drugą zaniósła do salonu. Za oknami panowała nieprzenikniona ciemność. Nawet w świetle latarni nie potrafiła określić, jak blisko podeszła już woda i kiedy powinny schronić się na piętrze.

– Nie mogłam wrócić do domu – wyznała, a w płomieniu lampy naftowej jej

twarz była szara. Głośno szczękała zębami, gdy Mary pomagała jej ściągnąć sztormiak. – Nie potrafię teraz spojrzeć w oczy Alecowi.

– Zadzwoń, żeby się o ciebie nie martwił – zaproponowała Mary.

Annie spojrzała na telefon stojący na biurku w kącie pokoju.

– Ja to zrobię – odparła. – Jeśli sama z nim nie porozmawiam, pomyśli, że to dziwne.

Mary przestawiła telefon na kanapę i wystukała za nią numer, bo Annie nie była w stanie zrobić tego sama, tak bardzo trzęsły się jej ręce.

– Alec? – powiedziała Annie do słuchawki. – Wpadłam po drodze do Mary, żeby sprawdzić, czy wszystko u niej w porządku, ale zrobiło się tak paskudnie, że postanowiłam tu przeczekać.

Mary obserwowała jej twarz. Głos nie zdradzał niczego, lecz gdyby Alec mógł zobaczyć jej pełne cierpienia oczy, natychmiast by się domyślił, co zrobiła jego żona. To dobrze, że nie wróciła dziś do domu.

– Mogę porozmawiać z Clayem? – zapytała Annie. – Aha. Jak się obudzi, pewnie będzie już po wszystkim... Tak, u nas wszystko w porządku, siedzimy sobie i pijemy herbatę. – Roześmiała się, ale po policzkach łzy płynęły jej strumieniami. Otarła je wierzchem dłoni, ale to nic nie dało. Mary przestraszyła się, że zaraz sama wybuchnie płaczem, i zaczęła głęboko oddychać, aby się opanować.

– Alec... – Annie nawinęła na palec przewód telefonu. – Bardzo cię kocham.

Potem odłożyła słuchawkę i zwinęła się w kłębek w rogu kanapy, pod ścianą, dygocząc konwulsyjnie. Mary poszła do pokoju na parterze i wyjęła ze skrzyni wełniany koc, który zabrała do salonu, aby okryć Annie. Przyniosła jej herbatę i napoiła ją gorącym naparem, trzymając szklankę we własnych dłoniach. Wreszcie Annie uniosła głowę i spojrzała na nią.

– Mary – jęknęła. – Co ja zrobiłam?

Mary usiadła obok niej.

– Może jest w tym jakaś nauka – powiedziała. – Dla nas obu, dla ciebie i dla mnie. Za moją sprawą to było dla ciebie zbyt łatwe. Pozwoliłam ci zrealizować moje własne marzenia, które nigdy nie miały ujrzeć światła dziennego. Jestem tak samo winna jak ty.

– Cicho, Mary. Nie mów o winie. – Annie potrząsnęła głową, wykręcając sobie palce. Twarz miała bladą jak ściana. – Strasznie bolało – wyznała. – Mówili, że dam radę, ale było koszmarnie. I zasłużyłam sobie na ten ból, od

początku do samego końca.

– Bzdura – zaprzeczyła Mary. – Ty...

Nagle coś uderzyło z hukiem o ścianę domu. Annie aż podskoczyła.

– Nie podoba mi się to – powiedziała, okrywając się szczelniej kocem. Wiatr zaświstał upiornie, obijając się pośród ścian.

– Lepiej chodźmy na górę – powiedziała Mary.

Annie z trudem weszła po schodach, wlokła się noga za nogą; bolało ją chyba znacznie bardziej, niż powinno w takiej sytuacji. Mary położyła ją w małym pokoju, który w myślach nazywała „pokojem Annie”. Patrzyła, jak jej młoda przyjaciółka kładzie się do łóżka, całkowicie ubrana i wciąż jeszcze wstrząsana dreszczami, jak zakrywa dłońmi uszy, żeby nie słyszeć wyjącego na piętrze wiatru. Mamrotała pod nosem bez ładu i składu, cała rozpalona. Mary namoczyła czystą ścierkę w zimnej wodzie i obmyła jej twarz oraz dłonie, postanowiła przy tym, że do kolejnej herbaty doleje likieru Southern Comfort.

– Przestało – oznajmiła nagle Annie, siadając na posłaniu i nadstawiając uszu. Rzeczywiście, deszcz już nie padał, a wiatr znacznie ucichł. Wyjrząwszy przez okno, Mary zobaczyła gwiazdy.

– Tak – potwierdziła i przebiegł ją dreszcz. Niech Annie w to wierzy, jeśli chce, pomyślała, chociaż wiedziała, że spokój jest tylko chwilowy, bo właśnie przesuwają się nad nimi oko cyklonu. Wkrótce wszystko zacznie się od nowa. Do tej pory Annie zdążyła już zasnąć. Mary przez całą noc czuwała przy niej. Słyszała wyraźnie, jak dom drży w posadach.

Rano z twarzy Annie zniknęła chorobliwa bladość, a gorączka wyraźnie spadła. Mary postanowiła nie budzić przyjaciółki i wyszła na zewnątrz sprawdzić, jakie szkody wyrządziła nocna burza. Przed drzwiami i uchylonymi oknami ciemniały kałuże deszczówki, ale nic poza tym. Prądu w dalszym ciągu nie było, wysiadł też telefon. Tuż obok werandy wałała się wgnieciona blaszana pokrywa od śmietnika. Plaża zmieniła kształt w ciągu nocy, nadmorskie trawy rosły teraz bliżej linii wody, a stoki wydmy wyglądały na bardziej strome. Latarnia chyba wyszła z tej przygody bez szwanku, ale o tym można się będzie przekonać dopiero po wejściu na górę i obejrzeniu laterny.

W kuchni zastała Annie z mopem w rękach. Wycierała zalaną podłogę.

– Daj mi to. – Zabrała jej mopa. – Nie powinnaś się forsować.

Annie dowlokła się do stołu i usiadła z trudem, splatając blade dłonie na kolanach.

– Śniło mi się, że to Alec był jego ojcem – szepnęła.

Mary znieruchomiła z mopem w ręku i uniosła na nią wzrok.
– Annie, byłaś pewna, że to Paul – przypomniała.
Kobieta zacisnęła powieki, przytaknęła skinieniem głowy.
– Przyznaję bez bicia, że nie znam się na tym – powiedziała Mary, opierając się na kiju od mopa. – Ale coś mi mówi, że twój krążek, którego używasz, żeby nie mieć dzieci, to po prostu zbyt zawodna metoda dla... – umilkła, szukając właściwych słów – ...dla kogoś takiego jak ty.
Annie puściła jej słowa mimo uszu.
– Postaram się jak najszybciej znowu zajść w ciążę.
Mary spojrzała jej prosto w oczy.
– Tamto dziecko już nie wróci.
– Wiem – odparła Annie cicho. – Ale się postaram. I to dziecko już na sto procent będzie Aleca. – W oczach starej kobiety dostrzegła powątpiewanie, więc dodała: – Przysięgam, Mary. Tym razem będzie jego.

* * *

Gazeta z krzyżówką zsunęła się i spadła na podłogę werandy. Mary nie zadała sobie trudu, żeby ją podnieść. Myślała o Paulu Macellim, który wciąż zmagał się z tym, co zaszło w przeszłości. Myślała o Annie i o sobie. I zrozumiała, że jeśli z tamtych wydarzeń rzeczywiście płynęła jakaś nauka, to oni wszyscy, cała trójka, zapomnieli o niej zdecydowanie zbyt szybko.

Rozdział czterdziesty szósty

Kiedy Olivia w piątek rano pojawiła się w pracy, czekał na nią bukiet dwunastu żółtych róż.

– Od Paula? – zapytała ją Kathy, kiedy otwierała bilecik.

„Ty miałaś rację, a ja nie – Alec”.

Olivia się uśmiechnęła.

– Nie. – Schowała bilecik do kieszeni fartucha. – Nie od Paula.

Minęły dopiero dwadzieścia cztery godziny, odkąd zostawiła Aleca i Lacey samych, aby doszli do porozumienia bez jej pomocy. I bez pomocy Annie. Alec nie zadzwonił wieczorem, więc uznała, że albo coś poszło nie tak, albo obraził się za kazanie, które mu wygłosiła. Ucieszyła się, bo ani jedno, ani drugie nie było prawdą.

Po południu zadzwonił Mike Shelley. Po dyżurze zaprosił ją na obiad.

– To nie jest żadna randka – zapewnił ze śmiechem. – Moja żona stoi obok, gotowa do interwencji. Po prostu chciałbym z tobą omówić pewną sprawę. O siódmej?

– Dobrze – powiedziała, nie wiedząc, na co właściwie się zgodziła.

Mike zabrał ją do Kitty Hawk, do małej knajpki, gdzie serwowano owoce morza, a jej ciekawość zaspokoił, dopiero gdy na stole pojawiły się przystawki.

– Komisja do spraw kadrowych podjęła decyzję – oznajmił.

– Tak? – Z tonu jego głosu nie potrafiła wywnioskować, czy ma się cieszyć, czy martwić.

– Spieraliśmy się trochę, ale chyba podskórnie każde z nas było pewne, kogo chce widzieć na tym stanowisku. Ostateczną decyzję odkładaliśmy do czasu, aż sprawa Annie O’Neill przycichnie. Zaimponowała nam twoja postawa, Olivio. Pat Robbins z komisji powiedziała tak: „Olivia Simon nie traci głowy ani w pracy, ani poza pracą”.

Podziękowała mu uśmiechem.

– Mam rozumieć, że jeśli wyrażę zgodę, dostanę ten awans?

– Tak – potwierdził Mike, przyglądając się jej z lekkim zdziwieniem. – A masz wątpliwości, czy przyjąć tę propozycję?

Olivia spuściła głowę.

– Jestem ci bardzo wdzięczna, że przez cały czas trzymałeś moją stronę, Mike. Pragnę się z tego cieszyć i oczywiście się cieszę, ale jednocześnie...

– Co?

– Chodzi o mojego męża. On chce stąd wyjechać.

– Myślałem... że jesteście w separacji?

– Tak, ale wciąż mam nadzieję... – Wzruszyła ramionami. – To chyba będzie nasz wielki sprawdzian. Powiem mu o tej propozycji i zobaczymy. Może potrzebny nam jakiś kryzys, bo na razie brniemy dalej, nie do końca razem i nie do końca też osobno. To w końcu przeważy szalę, w jedną albo w drugą stronę. Dasz mi kilka dni na podjęcie decyzji?

– Oczywiście. – Mike usiadł swobodniej na krześle. – Nie należę do ludzi, którzy uważają, że kariera jest ważniejsza od rodziny. Cokolwiek wybierzesz, zrozumieć.

– Dziękuję.

– Jednocześnie muszę ci powiedzieć, że jesteś potrzebna. Placówka powinna się rozwijać – nie ma innego wyjścia – i potrzebujemy kogoś, kto dotrzyma kroku tym zmianom.

Olivia poczuła, jak budzi się w niej głód, którego już od dawna brakowało jej w życiu: oto wreszcie pojawiło się przed nią wyzwanie. Kusiło ją, czekało, aż wyciągnie rękę. Żałowała, że nie może po prostu się zgodzić i już.

– Mike, jest jeszcze coś.

– Tak?

– Jestem w ciąży. W styczniu mam termin.

– Ho, ho... – Szef otworzył szeroko oczy.

– Jeśli wszystko pójdzie dobrze, szybko wrócę. Powinam wcześniej ci o tym powiedzieć, ale...

– Nie. – Potrząsnął głową. – To niczego nie zmienia w sprawie propozycji, którą ci złożyłem.

– Cieszę się. – Uśmiechnęła się z ulgą.

– No dobrze. – Mike wyprostował się na krześle. – Na polecenie kierowniczkę mojego gospodarstwa domowego mam po kolacji przywieźć cię na deser. Pasuje?

– Oczywiście – odparła.

* * *

Po raz pierwszy Paul cieszył się, że spotkanie komitetu odbywa się u Aleca. Miał nadzieję, że zyska okazję, by lepiej przyjrzeć się Lacey, i owszem, zobaczył ją w kuchni, gdzie rozmawiała ze swoim ojcem i z Nolą, popijając colę z puszki. Kiedy stanął w drzwiach, zatrzymała na nim wzrok. A może ona wie?, pomyślał. Czyżby Annie coś jej powiedziała?

Przywitał się z całą trójką i nie mógł oderwać oczu od twarzy Lacey. Próbował wyobrazić ją sobie bez tych śmiesznych włosów, które przypominały perukę na Halloween. Wyglądała jak Annie, nikt inny, z całą pewnością nie odnalazł najmniejszego podobieństwa do Aleca.

– Zanieśliśmy wino do salonu, Paul. – Alec minął go w drzwiach, a za nim, depcząc mu niemal po piętach, wyszła Nola.

– Zaraz przyjdę – odparł. – Tylko naleję sobie wody. – Sięgnął do szafki nad zlewem, ale zatrzymał się i obejrzał na Lacey, która usiadła na stole. Była boso i miała kusą koszulkę w zmysłowo różowym kolorze, a do tego białe szorty. – Tutaj są szklanki? – zapytał.

– Nie, obok. – Skinęła głową. – Po prawej.

Paul wyjął jedną, nalał do niej wody i pociągnął długi łyk. Potem oparł się o szafkę, aby przyjrzeć się dziewczynie.

– Sprawdziłem notatki z wywiadów z twoją mamą, Lacey. Nie wiem czemu, ale naprawdę powiedziała, że masz dwanaście lat.

– No, to już totalnie dziwne – mruknęła, marszcząc nos.

– Może denerwowała się tym wywiadem – podsunął.

Dziewczyna pokręciła głową.

– Ona się niczym nie denerwowała. – Wyciągnęła bose stopy przed siebie, przyglądając się pomalowanym na różowo paznokciom. – Pana żona jest bardzo miła – oznajmiła znienacka.

Paul uniósł brwi.

– Skąd znasz moją... Aha. Była na pogotowiu, kiedy umarła twoja mama.

– Też, ale nie tylko. – Lacey przechyliła swoją puszkę do ust. Piła irytująco długo, a gdy ją wreszcie odstawiła na szafkę, uśmiechnęła się do Paula z jakąś chytrą w oczach. – Bo tak naprawdę – dodała – rozmawiam z nią

codziennie wieczorem.

– Z moją żoną? Z Olivią?

– Aha. Sama chciała. Bo widzi pan, raz u niej nocowałam i...

– Nocowałaś u niej w domu?

– No tak, a potem ona kazała mi dzwonić do siebie co wieczór i przekonała mojego tatę, żeby stworzył dla mnie różne zasady. – Lacey uśmiechnęła się szeroko i widać było, że jest zadowolona. – Namieszała mi w życiu, ale na nią nie sposób długo się gniewać. – Uniosła rękę, by pokazać mu czarno-srebrny zegarek na nadgarstku. – I kupiła mi to.

– Paul! – zawołał Alec z salonu. – Zaczynamy!

– Już idę! – odkrzyknął, ale nie ruszył się z miejsca. – Dlaczego u niej nocowałaś?

– Bo tata musiał zawieźć mojego brata na uczelnię i wrócił dopiero rano, a Olivia się z nim przyjaźni, więc zgodziła się, żebym spała u niej.

Paul wbił wzrok w niebieskiego emaliowanego konika stojącego na półce po drugiej stronie kuchni.

– Nie wiedziałem, że Olivia przyjaźni się z twoim... Podobno pomagała mu przy pracy na rzecz latarni, udzielała za niego wywiadów?

– Tylko raz. – Lacey znów wzięła puszkę do ręki i wysączyła z niej ostatni łyk, odchylając głowę w tył. – Czasami razem wychodzą – podjęła. – Wie pan, na kolację czy coś tam. A czasem ona przyjeżdża wieczorem do nas i korzysta z narzędzi mamy. Tych do robienia witraży.

– Z narzędzi twojej mamy...?

Lacey westchnęła ze zniecierpliwieniem. Zrobiłem z siebie idiota, pomyślał Paul. Czuł się jak idiota.

– Do robienia witraży – powtórzyła dziewczyna. – Narzędzia, rozumie pan.

Z salonu dobiegł wybuch śmiechu. Paul odstawił pustą szklankę do zlewu. Ręce mu się trzęsły. Odwrócił się do Lacey, usiłując nadać twarzy nieprzenikniony wyraz.

– Przecież Olivia nie umie robić witraży – rzucił.

– Rany, pan rzeczywiście dawno jej nie widział. W każdą sobotę przyjeżdża na lekcje do Toma Nestora, do pracowni mojej mamy. Tom Nestor to ten facet, co...

– Wiem – uciął, próbując wyobrazić sobie Olivie w pracowni Annie, przy jej warsztacie. Albo na kolacji z Alekiem: śmieją się razem i opowiadają sobie... o czym? Olivia była tutaj, w domu Aleca. W domu Annie. Udawała

matkę jej córki.

– Paul?! – Tym razem zawołała Nola, a w jej głosie pobrzmiwała już irytacja.

– Muszę iść – powiedział.

– Słusznie. – Lacey uśmiechnęła się szeroko. – Noli Dillard lepiej nie drażnić.

Kiedy tylko usiadł na kanapie w salonie, zrozumiał, że nie wytrzyma tutaj dłużej. Zaskoczenie szybko przerodziło się w gniew. Co ta Olivia wyprawia, do jasnej cholery?!, myślał ze złością.

Alec opowiadał o wycieczce do domu latarnika, zaplanowanej na najbliższy wtorek.

– Alec – przerwał mu Paul, nagle wstając z miejsca. Wszystkie oczy zwróciły się na niego. – Muszę wyjść. Przepraszam. Źle się czuję. Miałem nadzieję, że wytrzymam, ale... – Wzruszył ramionami.

– Chcesz się położyć na chwilę? – zaproponował Alec.

– Weź aspirynę – dodała Sondra Carter.

– Może czymś się zatrujesz? – podsunęła Nola.

– Nie. – Paul wycofywał się w kierunku drzwi, a na jego twarzy pojawił się rumieniec. – Świeże powietrze dobrze mi robi.

Wyszedł z domu, odprowadzany ich zdziwionym wzrokiem. Kiedy był już na zewnątrz, zaczął się zastanawiać, co teraz o nim mówią. Pewnie nic albo prawie nic; zebranie toczy się dalej, a później Alec zadzwoni do niego, żeby zapytać, czy wszystko w porządku. To w jego stylu. Ciekawe, myślał Paul, ile współczucia i zrozumienia dostała od niego Olivia przez tych kilka ostatnich miesięcy.

Wsiadł do auta i ruszył na południe, w kierunku Kitty Hawk. Przekroczył dozwoloną prędkość o prawie dwadzieścia pięć kilometrów, bo myślał o tym, co powie Olivii, gdy stanie z nią twarzą w twarz. Był jednak pewny, że cokolwiek to będzie, zostanie powiedziane ostrym, pełnym emocji tonem. Nie był w stanie się opanować.

Na miejscu zastał ciemne okna i pusty podjazd. Cholera!, zaklął w myślach. Był gotowy. Palił się, żeby jej wygarnąć.

Usiadł na werandzie. Gdzie ona się podziała? Z kim się dzisiaj umówiła? Może jest w schronisku dla kobiet w Manteo? Mógłbym tam wparować, pomyślał, zamykając oczy. Uśmiechnął się z żalem i wyobraził sobie, jak kolejny oszalały z wściekłości mąż robi scenę w tamtym miejscu.

Po godzinie wreszcie zrezygnował i pojechał do swojego małego domu w South Nags Head. Postanowił odszukać Olivię rano. Następnego dnia była sobota. Wiedział od Lacey, gdzie ją znajdzie.

* * *

Olivia wróciła do domu około dziesiątej wieczorem. Chciała zadzwonić do Paula i podzielić się z nim nowiną, ale potrzebowała czasu, żeby przemyśleć propozycję Mike'a, a poza tym wcale nie paliła się do rozmowy z Pauliem.

Położyła się do łóżka, kiedy zadzwonił Alec.

– Piękne róże – powiedziała. – Dziękuję.
– Mam u ciebie dług wdzięczności za pomoc przy Lacey, naprawdę – odparł.
– Z dnia na dzień wszystko się zmieniło. Zaczęła ze mną rozmawiać i nagle jakbym odzyskał trochę władzy w domu.

– To w gruncie rzeczy jest dobry dzieciak.

– Wiem. – Alec westchnął. – Dzisiaj rano powiedziała mi, że nie chce żadnej antykoncepcji i że na jakiś czas da sobie spokój z seksem. Nie wiem tylko, czy mogę polegać na jej słowie. Kiedy dziewczyna raz zacznie, to jak ma potem przestać?

– Dostaje więcej od ciebie, więc może nie będzie tak bardzo potrzebowała zwracać na siebie uwagi chłopaków na imprezach.

– Obyś miała rację.

Przez chwilę Alec milczał. Sądząc po odgłosach, jakby się przeciągał i obracał, Olivia domyśliła się, że leży w łóżku.

– A co tam u ciebie? – odezwał się wreszcie.

– Zaproponowano mi dziś posadę kierownika pogotowia.

– Żartujesz! Dlaczego od razu do mnie nie zadzwoniłaś? Fantastyczna wiadomość!

Olivia wyrzała przez okno. Do pokoju zaglądał księżyc, prawie idealnie okrągły i otoczony rojem gwiazd.

– Boję się powiedzieć Paulowi – wyznała. – Teraz wszystko się rozstrzygnie.

– Paul wyszedł dzisiaj ze spotkania.

– Jak to?

– Po kilku minutach zebrał się i wyszedł. Mówił, że źle się czuje.

– Wyjaśnił, o co konkretnie chodzi?

– Nie, żadnych szczegółów. Kiedy chciałaś podzielić się z nim nowiną o awansie?

– Jutro. Przed rozmową muszę się zastanowić, czego tak naprawdę chcę. Alec znów umilkł na chwilę.

– Chciałbym, żebyś się zgodziła. – W słuchawce zaszumiał jego głęboki wdech, a potem wydech. – Olivio – zapytał – leżysz w łóżku?

– Tak.

– Wiesz... Czasem chciałbym ci powiedzieć różne rzeczy, choć raczej nie powinienem.

– Na przykład?

– Na przykład, że cię bardzo cenię i podziwiam. Że brakuje mi ciebie, kiedy się nie widzimy przez...

Nagle zapiszczał pager Olivii. Alec urwał w pół słowa.

– Słyszałem – powiedział po chwili. – Lepiej już skończę.

– Przepraszam. – Zacisnęła powieki.

– Jutro muszę zajrzeć do pracowni, żeby odebrać ten owalny witraż z okna i powiększyć jedną odbitkę. Pójdziemy na obiad, kiedy skończysz lekcję?

– Dobrze – zgodziła się. – Do zobaczenia.

Odłożyła słuchawkę i zadzwoniła do pogotowia. W Kitty Hawk, w jednym z domów nad brzegiem cieśniny, wybuchł pożar. Karetka wiozła trzy poparzone osoby. Przewidywany czas przybycia: dziesięć minut.

Szybko wstała z łóżka i narzuciła na siebie dżersejową sukienkę w biało-różowe paski. Wyszorowała zęby, przeczesała włosy. I dopiero w samochodzie, w drodze do pracy, pozwoliła sobie na myśli o Alecu.

Żałowała, że nie dokończył.

Jutro, pomyślała. Jutro, na obiedzie.

Rozdział czterdziesty siódmy

Przez szybę w drzwiach Olivia zobaczyła Toma i Aleca. Stali przy stole roboczym. Tom owijał taśmą owalny witraż obłożony dwoma kawałkami kartonu, a Alec się śmiał. Kiedy otworzyła drzwi, obaj odwrócili głowy.

– Witaj, Olivio. – Tom odłożył zapakowany witraż na stół. – Pomogę Alecowi w ciemni. A ty przygotuj sobie tutaj, co trzeba. Zaraz wrócę.

Alec nie odezwał się do niej, ale w zasadzie nie musiał. Jego ciepły uśmiech wystarczył za wszystkie słowa.

Usiadła przy stole i wyjęła z torby element witraża, nad którym pracowała. Potrzebowała pomocy Toma. Zniszczyła już dwa kawałki szkła, gdy próbowała uzyskać ten konkretny kształt.

Zdążyła wyciąć szablon nożyczkami o trzech ostrzach i przykleić go do szkła, kiedy z ciemni wynurzył się Tom. Usiadł obok niej i roześmiał się, gdy usłyszał, z czym ma problem.

– Do tego trzeba podejść trochę inaczej – wyjaśnił i wyciągnął ze stosu na biurku szklany ścinek. Pokazał jej, jak naciąć, i Olivia zabrała się do pracy zgodnie z jego wskazówkami.

Nagle drzwi do pracowni otworzyły się z hukiem. Uniosła głowę i zobaczyła Paula. Sadził wielkimi krokami w jej kierunku. Twarz miał czerwoną, a w jego oczach płonęła złość. Wypuściła z rąk szkło, położyła dłonie na kolanach.

– Nie wierzę – warknął Paul, głośno, o wiele za głośno. – Słyszałem, że to robisz, ale pomyślałem sobie: nie, to nie może być prawda.

Olivia obejrzała się w kierunku ciemni. Alec musiał usłyszeć głos Paula, bo uchylił drzwi. W szczelinie widziała jego zmarszczone czoło.

– Witraże? – Paul zaparł się rękami o stół roboczy i pochylił ku niej, nisko, tak że dzieliły ich tylko centymetry. – Robisz witraże, Olivio? Pracujesz w schronisku dla kobiet? Opiekujesz się córką Annie? Jaki masz w tym cel? Chcesz się w nią zmienić?

– Paul... – Wstała z krzesła, usilnie szukając słów, które ugaszą ten wybuch, zagłuszą słowa, które już padły z jego ust. Nie mogła jednak dobrać głosu. Cała pracownia jakby zamarła w bezruchu. Tom, który siedział tuż obok niej, wstrzymał oddech, Alec stał jak słup soli w drzwiach do ciemni, z dłonią przyklejoną do gałki. Tylko Paul się poruszał: wymachiwał rękami w powietrzu, a jego twarz co chwilę zmieniała kolor: to była sina, to znów żółta.

– Podobno zaprzyjaźniłaś się z jej mężem – syczał. – Sypiacie może też ze sobą? Może robicie to w łóżku Annie?

– Przestań, Paul. – Jej głos przy jego krzykach brzmiał jak szept. – Nie masz prawa...

Paul ruszył ciężkim krokiem do drzwi, ale obejrzał się jeszcze raz na nią.

– Myślisz, że mi odbiło – warknął. – Ale to, co ty robisz, jest chore. Chore, Olivio. Czysty obłąd.

Odwrócił się na pięcie i wypadł z pracowni jak oparzony, trzaskając drzwiami. Witraz zakołysał się mocno i uderzył o gałkę. Olivia wzdrygnęła się, gdy szklane elementy pękły z trzaskiem.

Usiadła za stołem, a w pracowni zapadła cisza tak głęboka, że kiedy obróciła obrączkę na palcu, słysząc było, jak metal ociera o skórę.

Alec otworzył drzwi i wyszedł z ciemni.

– To była Annie – powiedział. – Ta druga kobieta to była ona, prawda? Obsesja Paula?

Spojrzała na niego. Nie uśmiechał się już. W jego bladobłękitnych oczach czaił się lodowaty chłód.

– Tak – potwierdziła.

– Mówiłaś, że chcesz być podobna do tamtej kobiety. Wykorzystałaś mnie, Olivio.

Potrząsnęła głową.

– Paul także, prawda? Obejrzał sobie dom Annie... i te małe owalne okienka, i zdjęcia w gabinecie. Jezu! – Alec walnął pięścią w stół. – Ciągłe o nią wypytywał. Ty tak samo. „Jaka ona była naprawdę, Alec?” – zapytał cieniem głosem, przedrzeźniając Olivię. – A ja wyśpiewałem ci wszystko jak na spowiedzi.

– Alec, rozumiem, że tak to może wyglądać, ale...

– Posłuchaj, Olivio. – Stał naprzeciwko niej, a ona z wysiłkiem uniosła głowę, aby spojrzeć mu w oczy. – Jeśli chciałaś być podobna do Annie,

poległaś na całej linii. Nigdy nie będziesz taka jak ona i nie mówię już nawet o tym, że brak ci talentu. – Podniósł ze stołu kartkę papieru milimetrowego ze szkicem kolorowych balonów i zgniótł ją w dłoniach, a potem cisnął na podłogę. – Chodzi o to, że jesteś zakłamaną, fałszywą manipulatorką. Annie zawsze była szczerą, zawsze uczciwą. Nie skalałaby się kłamstwem, choćby miała umrzeć.

Olivia widziała już tylko gniew płonący w oczach Aleca. Wszystko inne rozmazało się, utonęło w mroku.

Alec zabrał paczkę z witrażem ze stołu i spojrzał na Toma.

– Jutro przyjadę po odbitkę – powiedział. – Teraz muszę stąd wyjść.

Olivia patrzyła za nim, a gdy zostali we dwoje, nie wiedziała, co ma zrobić, w jaki sposób przerwać milczenie.

– Wiesz co? – odezwał się Tom, a po wściekłym wybuchu Aleca jego głos brzmiał bardzo cicho. – Wiedziałem, że Paul czuł do Annie coś więcej niż zwykłą, chwilową fascynację. Obserwowałem go, kiedy przychodził z nią pogadać, i to było dla mnie oczywiste. Annie mówiła, że mi się wydaje, że to tylko wytwór mojej wyobraźni, ale ja... – Przetarł twarz swoją szeroką dłonią, jak gdyby nagle poczuł wielkie znużenie. – Powiedzmy, że rozumiałem, jak czuł się Paul.

Wyciągnął z kieszeni koszuli paczkę papierosów i zapalił jednego.

– Po śmierci Annie Paul obsesyjnie kupował jej prace – ciągnął. – Nie mógł przestać. Wydał małą fortunę. Próbowiałem go powstrzymać, ale on myślał tylko o niej. Nikomu nie powiedziałem, bo miałem wrażenie, że nic o tym nie wiesz.

Odwrócił głowę w stronę drzwi, zaciągając się dymem z papierosa.

– Znam Aleca od dawna, ale jeszcze nigdy nie widziałem, żeby tak się wściekł. Powinienem mu chyba przypomnieć, że to on pierwszy zaprosił cię na obiad. Byłem przy tym, pamiętasz? Wcale nie próbowałaś go podrywać.

Dźwięk jego głosu przynosił uspokojenie, a woń tytoniowego dymu bijąca z jego włosów i ubrania w dziwny sposób podnosiła na duchu. Olivia miała ochotę oprzeć głowę na jego ramieniu i zamknąć oczy.

Tom wstał z krzesła i podniósł jej pognieciony szkic, który Alec rzucił na podłogę. Usiadł i rozprasował kartkę na blacie stołu.

– Powiedz mi – zagadnął – wciąż interesują cię witraże, czy chodziło tylko o to, żeby upodobnić się do Annie?

Olivia nie mogła patrzeć na swój prymitywny wzorek, który nagle zaczął jej

się kojarzyć z rysunkiem w książeczce do kolorowania. Wstała i zaczęła pakować swoje rzeczy do torby.

– Witraże naprawdę mnie interesują – odparła. – Ale chyba nie mam uzdolnień w tym kierunku.

– On powiedział to w złości. – Tom także wstał. Wziął torbę ze stołu i założył Olivii na ramię, a na koniec ścisnął jej dłoń. – Nawet Annie musiała od czegoś zacząć.

Po wyjściu z pracowni pojechała prosto do domu Aleca. Nie umiała tylko powiedzieć, czy na widok jego forda bronco na podjeździe poczuła ulgę, czy może raczej rozgoryczenie.

Drzwi otworzyła Lacey.

– Olivia! – powitała ją z szerokim uśmiechem.

– Cześć, Lacey. Muszę się zobaczyć z twoim tatą.

– To chyba kiepski pomysł – odparła dziewczyna. – Wrócił przed chwilą w takim humorze, że bez kija nie podchodź.

– Trudno, zaryzykuję.

– Jest za rogiem. – Lacey skinęła ręką. – Wstawia okienko.

Olivia podziękowała jej i obeszła narożnik domu. Alec mocował owalny witraż w otworze znajdującym się mniej więcej na wysokości jego piersi. Kiedy podeszła, zerknął w jej stronę, ale tylko przelotnie, i przez następnych kilka minut się nie odzywał, nie pomógł jej ani jednym słowem. W nocy wyznał, że mu jej brakuje, że ją podziwia, i miał znacznie więcej do powiedzenia. Teraz musiał się czuć bardzo głupio.

Olivia podeszła do niego, stanęła na piasku.

– Porozmawiaj ze mną, proszę.

Nie odpowiedział. Zajęty uszczelnianiem małego, kruchego okna, nie odrywał oczu od pracy.

– Och, Alec, proszę cię, nie gniewaj się na mnie.

Spojrzał jej w oczy.

– Dziwi cię, że się gniewam?

Potrząsnęła głową.

– Chciałabym ci wszystko wyjaśnić, ale to jest... strasznie skomplikowane.

– Daruj sobie. I tak nie uwierzę w ani jedno twoje słowo. – Alec przesunął palcem po warstwie szczeliwa.

– Nie mogłam ci o tym powiedzieć – zaczęła. – Na początku myślałam, że to cię tylko... przygnębi. A potem zaczęłaś współpracować z Paulem, więc tym

bardziej nie mogłam.

Nie doczekała się odpowiedzi.

– Tak, przyznaję, chciałam dowiedzieć się czegoś o Annie, zrozumieć ją. Dla Paula była bóstwem, ty ją kochałeś, Tom Nestor widział w niej pępek świata, ludzie ze schroniska, i w ogóle wszyscy dookoła, ją uwielbiali. Zastanawiałam się, co miała w sobie takiego, czego mnie brakuje. Z jakiego powodu w oczach Paula była aż tak wyjątkowa, że po dziesięciu latach małżeństwa nagle zapomniał o moim istnieniu.

Alec omiół wzrokiem cieśninę. Niedaleko mknęła motorówka, ciągnąca mężczyznę na nartach wodnych. Potem odwrócił się z powrotem do okna i wyciągnął z kieszeni dzinsów szmatkę, aby wytrzeć plamę szczeliwa z żółtej sukienki damy z witraża.

– Annie wydawała się taką cudowną osobą. – Olivia nie dawała za wygraną, bardzo jej zależało, aby zaczął słuchać. – Owszem, chciałam być do niej podobna. Chciałam być utalentowaną altruistką. Dlatego zaczęłam pomagać w schronisku, ale z czasem autentycznie mi się to spodobało, bez względu na Annie. I dlatego też zaczęłam robić witraże, ale potem to także zaczęło mi sprawiać autentyczną radość, choć nie tworzę arcydzieł. – Wskazała dłonią owalne okienka. – Nigdy w życiu nie miałam żadnego... hobby. Nigdy nie poświęciłam czasu...

Opuściła rękę, ogarnięta nagłą frustracją, kiedy Alec przykucnął, aby oczyścić w piasku końcówkę pistoletu do uszczelniania. Czy on jej w ogóle słuchał?

– Nigdy cię nie wykorzystałam, Alec. A przynajmniej nie celowo. To ty pierwszy mnie zagadnąłeś, pamiętasz? I wiem, że Paul też tego nie robił. Zawsze fascynowała go latarnia w Kiss River. Nie miał pojęcia, że działasz w tym Komitecie, a kiedy się dowiedział, mało brakowało, by zrezygnował.

Alec nagle się podniósł, wyprostował i spojrzał jej prosto w oczy.

– Oszukałaś mnie, Olivio. Kłamałaś w żywe oczy. Mówiłaś, że tamta kobieta, obsesja Paula, wyjechała do Kalifornii.

– A co miałam powiedzieć?

– Prawdę? Czy może to nie wchodziło w rachubę? – Wytarł dłonie w szmatkę. – Kiedy Annie trafiła na pogotowie... – Zacisnął powieki, a pomiędzy jego brwiami pojawiły się głębokie bruzdy, jakby zmagął się z wielkim bólem. Olivia dotknęła jego ramienia, ale odtrącił jej rękę i otworzył oczy. – Wiedziałaś, kto to jest, prawda? – zapytał. – Wiedziałaś, że

zajmujesz się kobietą, przez którą Paul cię zostawił.

– Tak – przyznała. – Wiedziałam, ale Paul zostawił mnie dopiero tamtego wieczoru, po śmierci Annie. Wróciłam do domu i powiedziałam mu o tym, a on wpadł w szal.

– I mam uwierzyć, że nie ucieszyłaś się ani trochę, że ona nie żyje?

Olivia gwałtownie nabrała powietrza, a po jej policzkach popłynęły łzy, z którymi walczyła przez ostatnią godzinę.

– Myślisz, że taka właśnie jestem? – Chciała odejść, ale on złapał ją za rękę i mocno zacisnął palce na jej nadgarstku.

– Nie wiem, co o tobie myśleć – odparł. – W ogóle cię nie znam.

– Nieprawda. Wiesz o mnie rzeczy, których nie umiałam powiedzieć nikomu oprócz Paula. Czułam, że jesteśmy sobie bliscy. I nawet... pociągałeś mnie. –

Otarła policzek wierzchem dłoni. – Paul wyznał mi kiedyś, że Annie za bardzo cię kocha i dlatego on nie ma u niej szans. Nie wiem, czy jestem już w stanie zrozumieć, czemu się w niej zakochał, ale przynajmniej wiem, dlaczego ona kochała ciebie, Alec. To akurat rozumiem doskonale.

Odwróciła się. Tym razem jej nie zatrzymał.

* * *

O dziesiątej była już w łóżku, ale nie mogła zasnąć. Synkowi chyba udzielił się jej niepokój, bo w jego delikatnych, lecz upartych ruchach czuła desperację, a gdy tylko zmieniała pozycję, natychmiast okazywał jej swoje niezadowolenie.

Paul nie odzywał się, a ona nie była gotowa, żeby nawiązać z nim kontakt. A Alec...? Co jeszcze mogła zrobić, żeby zrozumiał – oprócz wyjawienia mu bolesnej prawdy o krótkim romansie Paula i Annie? Minęła dziesiąta trzydzieści; Olivia podniosła słuchawkę, by sprawdzić, czy telefon działa.

Za piętnaście jedenasta ktoś zapukał do drzwi. Zrzuciła szlafrok na bawełnianą koszulę nocną i zeszła po schodach do ciemnego, cichego salonu, włączyła światło na werandzie i wyjrzała przez okno. Stał tam Alec, trzymając ręce w kieszeniach spodni.

Otworzyła drzwi, a on przywitał ją niepewnym uśmiechem.

– Chciałem zadzwonić – odezwał się. – Ale doszedłem do wniosku, że lepiej będzie, jeśli wpadnę.

Olivia cofnęła się o krok. Gdy Alec wszedł do salonu, zamknęła za nim drzwi i oparła się plecami o framugę, zaciągając mocniej pasek od szlafroka.

– Kompletnie mnie to wszystko przytłoczyło, Olivio – powiedział. – Przepraszam.

W pokoju było tak ciemno, że widziała tylko białka jego oczu i białe paski na jego koszulce do rugby. Nie chciała jednak włączać światła, bo wtedy zbyt łatwo mógłby czytać emocje z jej twarzy.

– Źle zrobiłam, że zataiłam przed tobą prawdę – przyznała. – Lawirowałam pomiędzy tobą a Paulem: przed każdym z was zataiłam jeden czy dwa fakty. A potem nagle wszystko się na mnie zważyło. Nie jestem fałszywa, Alec. I na ogół nie kłamię.

Milczał przez chwilę.

– Nie jesteś fałszywa – powiedział wreszcie. – Nie uważam tak.

Jej wzrok przyzwyczajając się już do ciemności; zobaczyła, że Alec uśmiecha się ze smutkiem.

– W jaki sposób Paul się dowiedział? – zapytała.

– Chyba od Lacey. Rozmawiał z nią wczoraj wieczorem, przed zebraniem komitetu. To pewnie dlatego uciekł. – Alec potarł dłonią podbródek. – Biedna Annie – westchnął. – Ostatnie miesiące przed śmiercią była bardzo przygnębiona. Teraz zaczynam podejrzewać, że Paul się do tego przyczynił. Może się jej narzucał?

Olivia przygryzła wargę.

– Mogło tak być, Alec – odparła, a on zmarszczył brwi.

– Próbował ją uwieść?

Wzruszyła ramionami, odwracając wzrok, jak gdyby się nad tym zastanawiała.

– Chyba tylko Paul może ci odpowiedzieć na to pytanie.

Alec podszedł do drzwi i wyjrzał przez okno na ulicę.

– Dlaczego ukrywała, że ma z nim kłopoty? – zapytał podniesionym głosem. – Pytałem ją raz po raz, co się dzieje. Nie znosiłem tych jej nastrojów. Bałem się ich, bo była wtedy taka... zagubiona.

Sam wyglądał na pogubionego. Myślni błędził zupełnie gdzieś indziej.

– Prosiłem, błagałem, żeby dała sobie pomoc, ale ona... – Potrząsnął głową. – Ech, do diabła – mruknął ze znużeniem. – Jakie to teraz ma znaczenie?

Olivia położyła dłoń na oparciu rattanowego fotela.

– Może usiądziesz? – zaproponowała, ale on tylko potrząsnął głową.

– Nie chcę.

Dopadł do niej, wziął w ramiona i przytulił jej głowę do swojego ramienia. Czując znajomy zapach jego wody po goleniu, Olivia zamknęła oczy. Stali tak przez długi czas. Mijały minuty. Z zamkniętymi oczami trochę kręciło jej się w głowie. Uczucie było odurzające, pozwoliła mu narastać, dała sobą zawładnąć, aż wreszcie musiała przytrzymać się jego ramion, żeby nie upaść.

Alec opuścił dłonie na biodra Olivii i delikatnie przyciągnął ją do siebie. Poczwała jego erekcję, twardą niczym skała. Zapragnęła ją uwolnić, wziąć do rąk, do ust. Splotła palce za jego plecami, żeby nie zacząć rozpinąć mu paska od spodni.

– Co jest z tym pokojem? – szepnął Alec do jej ucha. – Zawsze tak na mnie działa.

Olivia rozsupłała swój pasek i rozchyliła poły szlafroka, aby ich ciała dzieliło mniej warstw materiału, i szybko przyłgnęła do niego, czując nisko, w samym podbrzuszu, powolne pulsowanie krwi. Zaczęła się zastanawiać, czy powinna mu powiedzieć, że tego chce, że go pragnie. Annie z całą pewnością była elokwentną kochanką.

– Olivio, gdzie jest twoja sypialnia? – zapytał Alec.

Wzięła go za rękę i zaprowadziła po schodach na górę, potem dalej, w głąb korytarza, a zanim schronili się w mroku jej pokoju, straciła nad sobą kontrolę. Usiadła na skraju łóżka i sięgnęła do suwaka w jego spodniach. Wsunęła dłonie do środka i uniosła twardego członka do ust.

Alec wstrzymał oddech.

– Boże... – jęknął. – Olivio...

Zanurzył palce w jej włosach, przesunął dłonią po jej karku, w dół, a potem w górę. Ona przez cały czas pieściła go w gorączkowym pośpiechu. Nie usłyszała, gdy powiedział „Przestań”. Prośba była cicha, niemalże uprzejma, cofnął się i powtórzył ją jeszcze raz.

Olivia drżała na całym ciele, nie wiedziała, o co chodzi. Czy to, co zrobiła, było w jego oczach całkowicie niestosowne? Czy zaraz znów wyjdzie i zostawi ją samą? Pewnie usłyszę, że oboje jesteśmy w tej chwili zbyt podatni na emocje, pomyślała. Tak mi powie i wyjdzie. Spojrzała na niego.

– Co się stało?

Alec usiadł obok na łóżku i objął ją ramieniem.

– Nic – odparł. – Po prostu mnie zaskoczyłaś. Nie spodziewałem się... a poza tym miałem naprawdę długą przerwę. Gdybyś kontynuowała, w kilka

sekund byłoby po wszystkim, a mnie się nie spieszy. – Otarł palcami jej powieki. – Dlaczego płaczesz?

Uniosła palce do oczu i poczuła wilgoć.

– Nie wiem – szepnęła.

Alec pochylił się i pocałował ją lekko, zbyt lekko. Nie mogła znieść tak powolnego tempa i sięgnęła językiem głęboko do jego ust, odwróciła się przodem, by usiąść mu na kolanie.

Wsunął dłonie pod jej koszulkę nocną, zatrzymał je na udach. Odchylił lekko głowę, spoglądając na nią.

– Zawsze taka jesteś? – zapytał. – Czy po prostu za długo musiałaś pościć?

– Zawsze – odparła krótko, wyciągając mu koszulkę z za paska.

Alec zaśmiał się. Posadził ją z powrotem na łóżku, a sam wstał i zaczął się rozbierać. Patrzyła na niego. Przez zasłony sączył się blask księżyca odbity w wodach cieśniny. Dzięki niemu widać było wyraźnie oddzielone strefy na jego skórze, jasną i ciemną, prywatną i dostępną dla postronnych oczu. Brzuch miał płaski i umięśniony. Chętnie wyobraziła sobie też, że jego sztywny członek wciąż jeszcze lśni po jej pieszczotach.

Uklękła na łóżku i zrzuciła z ramion szlafrok, ale gdy uniosła rąbek koszuli nocnej, Alec złapał ją za rękę.

– Nie zdejmuj – poprosił, obejmując ją ramionami.

Nie chciał oglądać jej ciała. Domyśliła się, co widzi, gdy patrzy na jej zaokrąglony brzuch w blasku księżyca.

Alec pochylił się i sam ujął w palce rąbek jej nocnej koszuli. Niespiesznie zaczął ją unosić, a jego dłonie wędrowały powoli po jej udach i biodrach. Bawełniana tkanina zaczęła miękko o jej sutki, odsłoniła piersi, a koszula zawisała nad jej głową i Olivia stanęła tak jak wiele dni wcześniej, naga i gotowa w jego ramionach. A potem znów ją całował i teraz jego usta były głodne i gorące, takie jak chciała, takie jak jej własne. Jednocześnie jego dłonie błądziły po jej ciele, po ramionach, piersiach, biodrach. Wsunął dłoń pomiędzy jej uda i chociaż zaledwie kilkanaście sekund wcześniej miał w ruchach dziką determinację, teraz jego palce były delikatne: najpierw łagodnie badały, aby po chwili rozpocząć pieszczotę tak subtelną, że Olivia jęknęła ze zniecierpliwieniem i napałała na rękę Aleca, by dostać więcej.

– Usiądź – powiedział, a gdy opadła z powrotem na posłanie, położył ją na kocu i uklękawszy obok łóżka, położył sobie jej uda na ramionach, aby dokończyć ustami to, co rozpoczęły jego palce. Natychmiast zrozumiała, co

miał na myśli, mówiąc, że w kilka sekund byłoby po wszystkim. Już tak dawno nikt nie dotykał jej w ten sposób, nie dzielił się z nią intymnością. Orgazm nastąpił niespodziewanie i był tak intensywny, że wręcz nie do zniesienia, a dodatkowo, nie wiedzieć czemu, wycisnął jej z oczu świeże łzy.

Alec uniósł ją, przesunął trochę dalej i momentalnie poczuła go w sobie: przygwoździł ją do materaca z taką energią, że na jedną krótką chwilę wpadła w irracjonalną panikę i zaczęła się zastanawiać, czy wciąż się na nią gniewa. Ale nie. Jego pchnięcia były ostrożne i wyważone, sprawiały przyjemność. Dzięką przyjemność. To było dla niej coś nowego. Głęboki, silny nacisk zaprowadził ją prostą drogą z powrotem na szczyt, a po jej policzkach znów popłynęły łzy; oplótła go nogami, by prędzej odnalazł własne spełnienie.

Po burzy, jaka przez tych kilka minut szalała w sypialni, zapadła teraz przytłaczająca cisza. Olivia robiła, co mogła, aby nie było słyhać, że płacze. Nie chciała, żeby Alec zauważył. Dotykał jej wszędzie. Odkrył najbardziej intymne miejsca jej ciała, lecz przez cały ten czas starannie omijał okolice brzucha, unikał dowodu istnienia jej męża.

Odwróciła głowę i pocałowała go w policzek. Leżał bez ruchu, w milczeniu.

Podniósł się i wycofał zbyt szybko; chciała zatrzymać go dłużej. Musnął przelotnie wargami jej czoło, wysunął się z niej, obrócił na plecy. Poczuła krople jego nasienia kapiące spomiędzy jej ud na koc, a gdy chłodne powietrze dotknęło wilgotnej skóry, przebiegł ją dreszcz.

– Alec? – zapytała cicho.

Odszukał po omacku jej dłoń i przycisnął sobie do brzucha.

– Nie zostawiłem Lacey żadnej kartki – powiedział. – Chyba muszę już iść.

Jego głos był pozbawiony wyrazu. Olivia zacisnęła powieki.

– Po co to wszystko? – zapytała prawie szeptem, z wysiłkiem dobywając głosu z zaciśniętego gardła. – Przyjechałeś, żeby się zemścić? Sądziłeś, że cię wykorzystałam, więc postanowiłeś odpłacić mi tym samym?

Alec uniósł się na łokciu i spojrzał na nią. Oczy miał pełne blasku księżycy odbitego w wodach cieśniny; wyglądały jak dwie kule z półprzejrystego, niebieskiego szkła.

– Poczułaś się wykorzystana? – zapytał. – Tak to wyglądało z twojej strony?

Potrząsnęła głową.

– Nie, ale teraz mam wrażenie, że się odciąłeś. Wydajesz się... rozczarowany, jakbyś pragnął Annie, a dostał tylko Olivię, która nie może się z nią równać ani pod względem talentu, ani jako kochanka.

– Olivio... – Odgarnął jej z policzka kosmyk włosów, a w jego głosie brzmiała łagodna nagana.

Sięgnęła po rąbek koca i zasłoniła piersi.

– W kwietniu, kiedy Paul kochał się ze mną, usłyszałam, że musiał wyobrazić sobie ją na moim miejscu, bo inaczej... nie czuł niczego. Pomyślałam, że ty również... A potem...

– Och, Olivio. – Przerwał jej, uśmiechając się, i zmienił pozycję, żeby oddać jej więcej koca. Otulił jej ramiona. – Wszystko ci się pomyliło. Mam ci powiedzieć, jak bardzo?

Przytaknęła bez słowa.

Alec ujął jej dłoń i przycisnął ją do ust. Księżyc zamigotał w złotej plecionce na jego serdecznym palcu.

– Od mniej więcej miesiąca – wyznał – kiedy próbuję myśleć o Annie, ty zawsze mi w tym przeszkadzasz. Nie mogę przypomnieć sobie, jak się z nią kochałem, bo za każdym razem pamięć podsuwa mi tamtą krótką chwilę u ciebie, w twoim salonie, w środku nocy.

– Więc czemu nagle tak się wycofałeś? Dlaczego chcesz już iść?

Nie odpowiedział od razu.

– Chodzi o dziecko? – zapytała.

– Częściowo. – Skinął głową i z ciężkim westchnieniem obrócił się na plecy, wbijając wzrok w sufit. – To wszystko jest nie tak, jak powinno być, Olivio. Wszystko. Kochamy się w łóżku twojego męża, który w każdej chwili może się tutaj zjawić. I co ja wtedy? Schowam się w szafie? Wskoczę przez okno?

– Jesteśmy z Paulem w separacji, Alec – przypomniała.

– Przez to czuję się... podle.

Olivia skrzywiła się. Ona bynajmniej nie czuła się podle. Nie miała najmniejszych wyrzutów sumienia.

– Paul wciąż cię kocha – powiedział Alec. – Wiesz o tym, prawda? Dlatego się wściekł, kiedy zobaczył cię w pracowni. Dlatego tak bardzo się przejął. On powinien być z tobą w tym łóżku, nie ja. To po prostu nie w porządku. – Wypuścił jej dłoń. – Jest jeszcze coś.

Wstał i zaczął się ubierać. Olivia usiadła, opierając się o wezglowie. Alec zapiął spodnie i też usiadł. Spojrzał na nią.

– Annie odeszła tak niedawno – zaczął. – Zaledwie osiem miesięcy temu. Po blisko dwudziestu latach wspólnego życia osiem miesięcy to tyle co nic. Wciąż czuję się... jej mężem i mam wrażenie, że w jakiś sposób ją

zdradziłem. – Zaśmiał się, ale czysty błękit jego oczu zasnuła ciemna chmura. – To zabrzmie może trochę... melodramatycznie, ale opowiem ci o czymś. Kilka lat temu Annie miała operację i bała się, że nie przeżyje. Poprosiła, abym jej obiecał, że jeśli umrze, ja przynajmniej przez rok nie zwiążę się z żadną kobietą. Potrzebowała potwierdzenia, że kocham ją tak bardzo, że długo nie będę w stanie spojrzeć na inną. – Uśmiechnął się do wspomnień. – Ma się rozumieć, ani przez chwilę nie brałem wtedy pod uwagę, że ona może umrzeć. Ale nawet gdyby, to byłem pewien, że miną całe lata, zanim znajdę kobietę, na której będzie mi tak zależało, żebym znów chciał się związać. Kiedy dzisiaj do ciebie przyjechałem, wyrzuciłem Annie z pamięci, ale gdy skończyliśmy się kochać, to nagle do mnie dotarło. – Wyjrzał przez okno, za którym lśniły wody cieśniny. – Mam przed oczami jej twarz. Słyszę, jak prosi... – Potrząsnął głową, uniósł wzrok na Olivię. – Rozumiesz? – Uśmiechnął się. – Dla mnie to po prostu za wcześnie.

Wstał z łóżka i zabrał swoją koszulkę, rzuconą na komodę. Olivia skorzystała z tego, że się odwrócił, by otrzeć mokre policzki.

– Przepraszam cię – powiedział, wygładzając kołnierzyk. – Nie chciałem cię wykorzystać, tak samo jak ty mnie. – Jeszcze raz usiadł na łóżku, tym razem, żeby zawiązać tenisówki. – Jutro zadzwonię do Paula, spróbuję oczyścić atmosferę. Obaj za mocno zaangażowaliśmy się w działalność na rzecz latarni, żeby teraz po prostu się wycofać. I chciałbym też, żebyś powiedziała mi o dziecku. Proszę cię, Olivio. Zrób to dla mnie, dobrze? – Skończył wiązać buty i spojrzał na nią. – Bo kiedy się dowie, wszystko stanie się dla niego proste. Będzie chciał cię odzyskać. Wiesz o tym równie dobrze, jak ja. Wtedy do niego wrócisz, a ja będę mógł zająć się własnym życiem i nie myśleć o tobie od rana do nocy. Powiesz mu?

– Kiedy uspokoi się na tyle, by mógł mnie wysłuchać – przytaknęła zdławionym głosem, chociaż wiedziała, że nie ma ochoty mu o tym mówić. Dlaczego? Bo Alec miał rację. Kiedy Paul dowie się o dziecku, będzie chciał do niej wrócić, a ona bynajmniej nie była pewna, czy tego chce.

– Postaraj się jak najszybciej, dobrze? – Alec wstał i ruszył do wyjścia, ale w drzwiach obejrzał się jeszcze. Blask księżyca nie padał już na niego; jego sylwetka nie była teraz niczym więcej jak cieniem w prostokątnym obrysie framugi.

– Ostatnio zacząłem myśleć, że być może Annie nie we wszystkim miała rację – powiedział łagodnie. – Była tak silną i charyzmatyczną osobowością,

że mogłem się z nią nie zgadzać, a i tak robiłem to, co chciała. Tak po prostu było... łatwiej. Wszystkim mnie ujmowała: tym, że była postrzelona, niezorganizowana, że nie umiała nigdzie zdążyć na czas. Ty, Olivio, jesteś jej przeciwieństwem. Nigdy nie będziesz do niej podobna, nie widzisz tego? Mnie przekonało do ciebie właśnie to, co cię od niej różni. Seks z tobą był inny. Wiedziałem, że tak będzie. Ty naprawdę to lubisz. – W ciemnościach nie mogła tego zobaczyć, ale niemalże słyszała, jak się uśmiecha. – Mam wyrzuty sumienia, że podoba mi się to u ciebie, bo to może oznaczać, że Annie wcale nie odpowiadała mi aż tak bardzo, jak sądziłem.

Umilkł. Olivia usłyszała szum włączającej się klimatyzacji, poczuła na szyi powiew zimnego powietrza.

– Rozgadałem się – podjął Alec. – A chciałem tylko powiedzieć, że chyba jestem jej winien ten obiecany rok. Tak sądzę. A ty jesteś winna Paulowi informację, że zostanie ojcem.

Znowu przerwał. Olivia podciągnęła kolana pod brodę.

– Nic nie mówisz – zauważył.

– Kocham cię, Alec.

Utkwiła wzrok w ciemnym zarysie jego sylwetki, kiedy wszedł z powrotem do pokoju i stanął w blasku księżyca, ponownie stając się prawdziwym, rzeczywistym człowiekiem. Nachylił się i pocałował ją, poczuła ciepłe muśnięcie. Później odwrócił się i wyszedł.

Rozdział czterdziesty ósmy

Kiedy Alec wrócił do domu, Lacey już spała. Odkąd wyznaczył jej godziny powrotu do domu, ani razu się nie spóźniła, a w piątek nawet nigdzie nie wyszła. Olivia miała rację. Wszystko wskazywało na to, że jego córce, pomimo głośnych sprzeciwów, odpowiadały ograniczenia swobody. Sam słyszał, jak z przewrotną dumą mówi przez telefon znajomym: „Ojciec nie pozwala mi wracać tak późno”.

Dochodziła pierwsza. Było już stanowczo za późno na rozmowę z Paulem, lecz Alec był pewien, że nie zaśnie, dopóki do niego nie zadzwoni. Musiał mieć to już za sobą. Poszedł do gabinetu, wyjął notes z adresami, usiadł za biurkiem i wystukał na telefonie numer.

– Halo? – Głos w słuchawce był całkowicie przytomny. W tle pobrzmiwała muzyka. Instrumentalna. Coś klasycznego.

– Paul, mówi Alec. Jest pierwsza w nocy, więc na początek przepraszam, że cię obudziłem.

– Nie śpię. Coś się stało?

– To chyba za dużo powiedziane – roześmiał się Alec, machinalnie kartkując notatnik. – Posłuchaj, musisz wiedzieć, że byłem dzisiaj w pracowni i słyszałem wszystko, co mówiłaś. – Nie doczekał się odpowiedzi, więc mówił dalej: – Szkoda, że nie byłeś ze mną szczerzy. Podobała ci się Annie. Zrozumiałbym. Ona mogła się podobać.

– Czy to... Olivia ci o tym powiedziała? Już wcześniej?

– Nie. Powiedziała mi, że odszedłeś, bo zakochałeś się w kobiecie, z którą nie mogłeś być. Nie miałem pojęcia, o kogo chodziło.

– A czy ona... Co od niej usłyszałeś? To znaczy, czy wyjaśniła ci, że to wszystko było tylko...

– Spokojnie. – Alecowi zrobiło się żal Paula. – Wiem, że to było platoniczne uczucie.

Paul milczał przez chwilę.

– Miałeś szczęście, że ożeniłeś się z taką kobietą – odparł wreszcie. – Zazdroszczę ci.

– Nie masz czego. Olivia to wspaniała osoba. Dzięki niej moja rodzina znów jest razem.

Nagle Alec przypomniał sobie, jak Paul w złości zapytał żonę, czy z nim spała. Mógł mieć tylko nadzieję, że w tej rozmowie nie padnie to samo pytanie.

– Nie rozumiem, co w nią wstąpiło, te witraże i tak dalej... – powiedział Paul. – To do niej niepodobne. Naprawdę jej odbiło.

– Jeśli nazywasz jej zachowanie nieracjonalnym, może zastanów się, co sam robisz. Zostawiłeś ją, bo byłeś zakochany w nieżyjącej kobiecie, na miłość boską. – Uniósł wzrok, spoglądając na zdjęcie Annie wiszące nad biurkiem. Szeroko uśmiechnięta, siedziała na parkanie z desek i puszczała oko do obiektywu. – Okaż Olivii trochę współczucia, dobrze? Kiedy się wyprowadziłeś, była tak nieszczęśliwa, że zrobiłaby wszystko, żebyś wrócił.

Paul westchnął.

– Nie mogłem przestać myśleć o Annie.

– Annie umarła, Paul. To ja jestem wdowcem. Twoja żona żyje, jest piękna i wciąż jej na tobie zależy. Odwracasz się od prawdziwego uczucia, żeby myśleć o czymś, czego nie ma.

– Wiem – przyznał cicho.

Alec dotarł do litery S w notesie z adresami. Przesunął palcem po literach składających się w nazwisko „Olivia Simon”.

– Olivia ma ci coś do powiedzenia – dodał.

– Co?

– Porozmawiaj z nią. Jutro. – Alec ziewnął. Nagle dopadło go zmęczenie. – A przy okazji, nie zapomnij, że we wtorek rano jedziemy z Nolą obejrzeć dom latarnika. Mary Poor nas oprowadzi.

– Chcesz, żebym został w komitecie?

– Oczywiście.

Paul zawahał się.

– Może niech ktoś inny napisze o domu latarnika.

– Nikt z nas nie umie tak pisać. Widzimy się około dziewiątej, dobrze?

– Dobrze.

Alec odłożył słuchawkę. Wyczerpany padł na łóżko, ale nie mógł zasnąć. Wciąż czuł na sobie zapach Olivii i nie wiedzieć czemu, kiedy tylko zamknął

oczy, widział tę scenę z pogotowia, gdy powiedziała facetowi ze skaleczoną ręką, że tu nie McDonald. To wspomnienie tak go rozbawiło, że roześmiał się na głos.

Zdawał sobie sprawę, że źle postąpił, jadąc do niej. Wiedział, czym to się skończy – tego zresztą właśnie chciał. Miał tylko nadzieję, że kiedy Olivia zasiądzie z Paulem do szczerzej rozmowy, nie poczuje się w obowiązku podzielić z nim tym drobnym szczegółem. Co innego pożądać żony znajomego swego, a co innego pójść z nią do łóżka.

Rano obudził się zmęczony; nie dały mu spać koszmary z latarnią w roli głównej i fantazje na temat Olivii. Wstał i poszedł do łazienki, aby przejrzeć się w lustrze. Zmarszczył z niezadowoleniem brwi. Takich podkrążonych oczu nie widział u siebie już dawno. Wyglądał jak postać z horroru, nieszczęśnik nękaną przez demony.

Zszedł do pracowni, wyjął z szafy przybornik z narzędziami swojej żony, zaniósł go do kuchni i położył przy tylnym wyjściu. Potem wsypał płatki do miski, zalał mlekiem i zaparzył kawę.

Czuł, że musi jechać do latarni. Postanowił zrobić więcej zdjęć, bo wiedział, że kiedy ją przestawią, to już nie będzie to samo. Zmieni się widok. Powietrze wysoko, na galerii, będzie pachniało inaczej. I emocje też będą inne.

Otworzył szufladę w szafce obok lodówki i wyjął plik odbitek. Na wszystkich zdjęciach była latarnia. Już dawno ich nie przeglądał, wiele tygodni. Oparł je o szklankę z sokiem i usiadł do stołu.

– Tato?

Uniósł głowę. W drzwiach kuchni stała Lacey.

– Cześć, Lace.

– Dobrze się czujesz?

– Jasne. A co?

– Bo wyglądasz... Sama nie wiem. – Lacey usiadła naprzeciwko niego i objęła się ramionami. – Po co to wyjąłeś? – Zauważyła zdjęcia latarni oparte o szklankę.

– A, sam nie wiem. – Wziął do ręki pierwszą fotografię, zrobioną wewnątrz osłony pryzmatycznej; w wypukłej soczewce Fresnela widok był odwrócony do góry nogami. – Chciałem je przejrzeć, żeby sprawdzić, czy niczego nie przeoczyłem. Zyskać widok z różnych perspektyw, zanim ją przestawią.

Wykrzywiła usta.

- Tato, przecież obfotografowałeś tę latarnię ze wszystkich stron.
- Możliwe – przytaknął z uśmiechem.
- Lacey wzięła sobie pomarańczę z miski z owocami stojącej na środku stołu i zaczęła obracać ją w dłoniach.
- Zrobimy coś dzisiaj? – zapytała.
- Spojrzał na nią, zaskoczony.
- Na przykład?
- Nie wiem. Cokolwiek. Ty wybierz.
- Pojedziemy do latarni?
- Tato... – Zrobiła płaczliwą minę, jakby poczuła się autentycznie dotknięta.
- Proszę cię, tylko nie zacznij znowu tam jeździć bez przerwy. Proszę.
- Już dawno tam nie byłem, Lacey.
- Czemu akurat dzisiaj? – I rzeczywiście się rozplakała. Podciągnęła nogi wysoko pod brodę i oparła pięty na siedzeniu krzesła. Nawet nie zauważyła, że pomarańcza spadła ze stołu. – Nie rozumiem tego. Wstaję rano i nagle wszystko jest po staremu.
- Co to znaczy: po staremu?
- Lacey dostrzegła przyborek z narzędziami położony przy drzwiach.
- Dlaczego to tutaj leży? – Pokazała go palcem.
- Podrzucę Olivii do pracy.
- Niech sama go weźmie, skoro chce z tego korzystać.
- Alec potrząsnął głową.
- Ona nie może już tutaj przyjeżdżać, Lace. Ma własną rodzinę i to z nią musi spędzać czas, a nie z nami.
- Ona nie ma żadnej rodziny.
- A Paul?
- Prychnęła pogardliwie.
- Paul to dupek.
- Alec wzruszył ramionami.
- Niezależnie od twojej opinii wciąż jest jej mężem.
- Myślałam, że ją lubisz.
- Lubię, Lacey, ale ona ma męża. Poza tym mama tak niedawno...
- Mama nie żyje. – Przerwała mu gniewnie. – Spaliła się na popiół, a ten popiół zaraz po pogrzebie połknęły na kolację rekiny. I wysrały. Tyle z niej teraz zostało, tato.
- Gdyby siedziała bliżej, chyba ją uderzył. Dobrze się stało, że dzielił ich

stół. Lacey oblała się rumieńcem. Przeraziła się własnych słów.

– Przepraszam – szepnęła, wbijając wzrok w blat. – Naprawdę przepraszam, nie chciałam, tatusiu.

– Mama była wyjątkową osobą, Lace – powiedział Alec łagodnie. – Nikt jej nie zastąpi.

Dziewczyna przez chwilę milczała, rysując palcami niewidzialne wzory na blacie.

– Mogę dalej dzwonić do Olivii?

– Kochanie. – Odłożył zdjęcie. – Wracasz teraz do domu o rozsądnej godzinie, więc nie widzę potrzeby, żebyś co noc zawracała jej głowę. Jak uważasz?

– Ale... To kiedy będę mogła z nią rozmawiać?

Śmieszne włosy, czerwony nos i wielkie smutne oczy sprawiły, że wyglądała jak smutne, nieszczęśliwe dziecko.

– Przykro mi, Lace – odparł. – To moja wina, że wszystko wymknęło się spod kontroli. Może zadzwoni do niej... nie dzisiaj, dziś ona ma parę spraw do załatwienia... Za kilka dni. Umówcie się, kiedy i jak będziecie do siebie dzwonić. Jeśli będzie chciała, możecie się kontaktować, ale ja nie zamierzam już się z nią widywać.

* * *

Olivia miała przerwę w pracy i jadła właśnie szybki obiad w swoim gabinecie, kiedy weszła Kathy i położyła na jej biurku przybornik z narzędziami.

– Był tutaj Alec O’Neill – powiedziała. – Zostawił to dla ciebie.

– Dzięki, Kathy. – Skinęła głową.

– I wiozą do nas złamanie wieloodłamowe.

– Zaraz przyjdę.

Gdy Kathy wyszła, odłożyła brzoskwinię i rozłożyła przybornik. Narzędzia były starannie poukładane, tak jak je zostawiła po ostatniej wizycie u Aleca. W jednej z kieszonek tkwiła biała koperta z jej imieniem. W środku znalazła kartkę zapisaną jego ręką.

Możesz korzystać z tych narzędzi, dopóki zechcesz. Zrób z nich dobry

użytek. W nocy dzwoniłem do Paula – wie, że chcesz z nim porozmawiać. Lacey zmartwiła się, że przestaniesz nas odwiedzać. Powiedziałem jej, że za kilka dni może do ciebie zadzwonić. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu. Olivio, życzę ci wszystkiego dobrego.

Całuję, Alec

Nie będę znowu płakać, obiecała sobie. Wykluczone. Czowała jednak, że potrzebuje chwili, żeby się pozbierać. Zamknęła się w gabinecie i oparła plecami o drzwi. Zaciśnęła powieki i skrzyżowała ramiona na piersi. Ocknęła się dopiero, słysząc zbliżający się sygnał karetki.

Rozdział czterdziesty dziewiąty

Na chodniku przed domem opieki stała jakaś dziewczyna. Mary właśnie skończyła krzyżówkę, uniosła głowę i wtedy ją zobaczyła. Wydawało jej się, że dziewczyna patrzy prosto na nią, osłaniając oczy dłonią. Kiedy ruszyła ścieżką w stronę schodków, Mary upuściła złożoną gazetę na podłogę.

– Pani Poor? – zapytała nieznajoma po wejściu na werandę. Jej włosy miały osobliwy kolor. Dziwaczny. Przy skórze rude, a na końcówkach czarne. Mary wiedziała, kto przed nią stoi. Poznała tę intensywną rudą barwę, którą dziewczyna próbowała ukryć. Wpadła jej też w oko gładka, piegowata cera, wielkie ciemnoniebieskie oczy i głębokie dołeczki w policzkach.

– Owszem, młoda damo – odparła. – Czym mogę ci służyć?

Dziewczyna wskazała dłonią sąsiedni fotel na biegunach.

– Mogę usiąść?

– Serdecznie zapraszam.

– Mam na imię Lacey – przedstawiła się, zajmując miejsce. – Jestem córką Annie O’Neill. Pamięta ją pani?

Mary zachichotała pod nosem.

– Prędzej zapomniałabym, jak się nazywam – mruknęła. – Podobna jesteś do mamy, wiesz?

Lacey skinęła głową, a potem dotknęła palcami włosów.

– Z tym jednym wyjątkiem – powiedziała, odwracając na chwilę wzrok w stronę nadbrzeża. Potem znów spojrzała na Mary i oparła łokcie o poręczę fotela. – To zabrzmiało trochę dziwnie, ale wiem, że mama rozmawiała z panią, kiedy miała jakiś problem, więc pomyślałam sobie... Że może ja bym też mogła... spróbować.

– A cóż to za problem może mieć młoda panna?

– Sprawa jest naprawdę skomplikowana. – Lacey zerknęła na nią z wahaniem. Na pewno nie spodziewała się, że z pani Poor taka staruszka, i myślała, że kobieta w tym wieku nie jest w stanie pomóc dziewczynie

w kłopotach.

– Masz może papierosa, hm? – zagadnęła niespodziewanie Mary.

– Co? – Lacey zrobiła wielkie oczy. A potem wstała z fotela i wyjęła z kieszeni szortów pomiętą paczkę marlboro. – Chyba raczej nie powinnam pani częstować – powiedziała, trzymając ją przy sobie. – Czy pani nie jest... To znaczy... Czy to pani nie zaszkodzi?

– Nie bardziej niż tobie. – Mary wyciągnęła rękę, a Lacey położyła jej na dłoni cudowny biały rulonik wypełniony tytoniem. Staruszka uniosła go do ust, a gdy dziewczyna podała jej ogień, głęboko się zaciągnęła. I natychmiast chwycił ją suchy kaszel, aż łzy pociekły jej po policzkach. Zaniepokojona Lacey poklepała ją po plecach.

– Nic mi nie jest, dziecko – zdołała wreszcie wykrztusić Mary. – Och, jakie to dobre, dziękuję ci. – Machnęła dłonią, wskazując fotel obok. – A teraz siadaj i mów, w czym problem.

Lacey schowała papierosy do kieszeni i usiadła.

– To jest tak – zaczęła, wędrując wzrokiem po poręczy fotela, jak gdyby tam było zapisane to, co chciała powiedzieć. – Po śmierci mamy mój ojciec miał poważny kryzys. Całymi dniami siedział w domu i gapił się na zdjęcia latarni w Kiss River, bo przypominała mu mamę. Przestał chodzić do pracy i w ogóle nie dbał o siebie, wyglądał okropnie.

W pamięci Mary nagle odżył pierwszy rok po śmierci Caleba. Jej zachowanie z tamtego okresu idealnie pasowało do tego opisu.

– Potem zaczął się przyjaźnić z Olivią, lekarką, która próbowała uratować mamę, kiedy przywieźli ją na pogotowie...

– Naprawdę? – Mary przypomniała sobie młodą kobietę, która też miała na imię Olivia i przywiozła czasopisma do domu opieki. Nie miała pojęcia, że jest lekarką, a tym bardziej, że to ona ratowała życie Annie. I do tego jeszcze Paul Macelli był jej mężem? Dobry Boże, niezły pasztet. Zaciągnęła się jeszcze raz papierosem, ale już ostrożniej.

– Tak. – Lacey zrzuciła sandały, podciągnęła kolana pod brodę, po czym oparła pięty na siedzeniu fotela i oplotła nogi ramionami. Annie też mogłaby tak usiąść, chociaż musiałyby się niezłe nagimnastykować. – W każdym razie – mówiła dalej – ona jest żoną Paula Macellego, tego faceta, który przyjeżdżał rozmawiać z panią o latarni. Tylko że Olivia kocha się w moim tacie.

Mary zmrużyła oczy.

– Co ty nie powiesz?

– Na pewno. Słyszę, jak o nim mówi i w ogóle. No i chodzi o to, że on też ją polubił, ale powiedział mi ostatnio, że nie będzie się z nią więcej widywał, bo ona ma męża, chociaż jest z nim w separacji, a przede wszystkim dlatego, że dla niego to za wcześnie po śmierci mamy, żeby myśleć o takich rzeczach. – Lacey przerwała, żeby zaczerpnąć oddechu. – Ona w niczym nie jest podobna do mamy – dodała. – I to go chyba martwi. Ja naprawdę ją kochałam, ale wszyscy mówią o niej, jakby była jakąś... boginią albo coś w tym stylu.

Na werandzie zjawiły się Trudy i Jane. Kiedy zobaczyły w palcach Mary papierosa, oczy niemalże wyszły im z orbit. Lacey obejrzała się w ich stronę, a Mary skinęła głową opiekunkom na znak, że chce pobyc z młodym gościem sam na sam. Chyba zrozumiały, bo usiadły sobie na drugim końcu werandy, gdzie też stały fotele.

– No i teraz – podjęła Lacey – tata zamknął się z powrotem w swojej skorupie i znowu wygląda i cały czas rozmyśla o latarni, nie mogę już z nim wytrzymać. Robi się nie do zniesienia. A ten Paul! Nie rozumiem, co Olivia w nim widzi. To straszny leszcz.

Mary uśmiechnęła się. Nie była pewna, czy rozumiała słowo „leszcz”, ale zgodziłaby się w ciemno, że to określenie do niego pasuje.

– Przepraszam, że tak mówię. Pani go zna, bo rozmawialiście o latarni i w ogóle.

– Mów, co myślisz, dziecko.

Lacey opuściła stopy na podłogę i opadła na oparcie fotela, odwracając głowę do Mary.

– Dobrze wszystko wyjaśniłam? – zapytała. – Rozumie pani, w czym problem?

Mary przytaknęła z namysłem.

– Rozumiem. I to znacznie lepiej od ciebie.

Dziewczyna posłała jej zdziwione spojrzenie.

– No tak – mruknęła. – Mama mówiła, że jest pani bardzo mądra. A jej co by pani poradziła?

Mary odetchnęła głęboko czystym, świeżym powietrzem.

– Gdybym naprawdę była mądra, nie dawałabym jej żadnych rad – odparła, ale później pochyliła się i wzięła dziewczynę za rękę. – Wracaj do domu, dziecko, i już o nic się nie martw. To sprawa dorosłych i obiecuję ci, że się tym zajmę.

Rozdział pięćdziesiąty

Mary miała plan. Ktoś mógłby powiedzieć, że okrutny, ale nie umiała wymyślić nic lepszego, by przeciwstawić się siłom zniszczenia, które wciąż szalały po śmierci Annie. Troje ludzi znalazło się w trudnym położeniu. A właściwie czworo, jeśli liczyć córkę Annie. Plan wymagał odegrania roli ekscentrycznej, głupiej staruszki – nie przepadała za nią, ale w razie potrzeby umiała to zrobić. Aktorskie umiejętności wykorzysta następnego dnia w domu latarnika, gdzie była umówiona z ludźmi z komitetu przyjaciół latarni. Przedtem natomiast musiała znowu wejść w rolę i zadzwonić do Aleca O’Neilla, by postawić mu pewien warunek.

Zmobilizowała się i podniosła słuchawkę. Dzwoniła z prywatnego telefonu w pokoju Jane, żeby nikt jej nie usłyszał i nie zaczął się zastanawiać, co też strzeliło do głowy starej Mary. Alec odebrał po trzecim sygnale.

– Dzień dobry pani – powiedział. – Jutro o dziewiątej rano możemy być na miejscu. Odpowiada pani taka pora?

– Jak najbardziej – odparła. – Idealnie. Przypomnij mi, kto będzie?

– Paul Macelli i Nola Dillard, która też działa w komitecie.

– Aha. W takim razie nic z tego.

– Słucham...? Jak to?

– Pokażę dom panu Macellemu i jego żonie. Tej lekarce.

– Olivii?

– Tak. Olivii. Kilka tygodni temu przywiozła nam czasopisma. Zgadzą się na waszą trójkę.

– Pani Poor, nie rozumiem. Olivia nie ma tam czego szukać, a poza tym jutro chyba pracuje. Natomiast Nola aktywnie udziela się w naszym komitecie od...

– Nie – przerwała mu Mary. – Nie zapraszam żadnej Noli. Pokażę dom tobie, panu Macellemu, jego żonie i koniec. Inaczej nikt niczego nie zobaczy.

– Ale jeśli Olivia pracuje...

– To wybierzemy inny dzień, kiedy będzie miała wolne.

Alec milczał przez chwilę.

– No cóż – westchnął wreszcie. – Zobaczę, co da się zrobić.

– Dobrze. A więc do zobaczenia rano.

* * *

Alec odłożył słuchawkę i zmarszczył brwi. Dziwne, pomyślał. Chyba jednak Mary Poor traci rozum. Przez kilka minut siedział za biurkiem w swoim gabinecie w przychodni weterynaryjnej i zastanawiał się nad kolejnym ruchem. Potem podniósł słuchawkę i zadzwonił do Olivii. Pokrótkę streścił jej sytuację.

– Wiem, że to stawia cię w niezręcznej sytuacji, ale chciałbym cię prosić o przysługę.

– Paul też ma tam być?

– On akurat musi. Natomiast ty... Chyba po prostu zrobiłaś wrażenie na starszej pani.

– Cóż – powiedziała Olivia. – W sumie dobrze się składa. Mam przecież spotkać się z Paulem i w końcu powiedzieć mu o dziecku.

– To on jeszcze nie wie?

– W ogóle z nim jeszcze nie rozmawiałam. Nagrywał mi wiadomości, ale unikałam go.

– Olivio... – Alec bardzo chciał, żeby miała to już za sobą. – Na co ty czekasz?

Nie odpowiedziała.

– Ale w końcu to nie moja sprawa, prawda? – zauważył. – No dobrze, czy mogłabyś poinformować Paula o zmianie planów? Ja muszę zadzwonić do Noli i wytłumaczyć jej, że nie jest zaproszona.

Rozdział pięćdziesiąty pierwszy

- Nie ma absolutnie żadnego powodu, żebyś tam pojechała – oznajmił Paul. Olivia przycisnęła słuchawkę ramieniem do ucha, bo akurat otwierała puszkę karmy dla Sylvie.
- Wiem o tym – odparła. – Ale, jak rozumiem, pani Poor postawiła taki warunek, bo inaczej się wycofa.
- Boże – jęknął Paul. – Ależ ona lubi... się rządzić. A skąd w ogóle cię zna? Olivia zamarła.
- Poznałyśmy się, kiedy zawiozłam do domu opieki stare czasopisma z pracowni Toma.
- Paul przez chwilę milczał.
- Znowu zrobiłaś coś, co kiedyś robiła Annie?
- Tak – odparła krótko, postanawiając, że nie powie mu już nic więcej. Nie pałała do niego w tej chwili zbyt dużą sympatią.
- Dlaczego do mnie nie oddzwoniłaś? – zapytał.
- Nie chciałam z tobą rozmawiać.
- Twój przyjaciel Alec przekazał mi co innego. Podobno masz mi coś ważnego do powiedzenia.
- Olivia postawiła miskę na podłodze.
- Szczerze mówiąc, to tak. Sporo musimy sobie wyjaśnić. Może jutro, po zwiedzaniu, pójdziemy na wczesny obiad?
- W porządku – zgodził się. – A nie przyjedziesz przefarbowana na rudo, nic w tym stylu?
- Zacisnęła zęby.
- Potrafisz być bardzo okrutny.
- Paul znów milczał przez chwilę.
- Przepraszam – westchnął. – Po prostu odnoszę wrażenie, że nagle stałaś się zupełnie inną, obcą mi osobą. Prowadzisz własne życie, o którym nie mam pojęcia.

- Sam tego chciałeś.
- Wiem. – Westchnął ze znużeniem. – Do zobaczenia rano.

* * *

Następnego dnia o dziewiątej rano Olivia zajęła na nieduży parking przy domu latarnika. Panowie już czekali oparci o forda Aleca. Zaparkowała obok samochodu Paula, czując na sobie ich wzrok. Odetchnęła, by się uspokoić. Gorzej dobranej grupy niż ich trójka chyba nie można było sobie wyobrazić. Wygładziła niebieską koszulkę, poprawiła nogawkę nowych białych spodni ściąganych w pasie tasiemką i wysiadła z auta.

Widok Paula i Aleca stojących razem, obok siebie, wytrącił ją z równowagi. Dwóch bardzo atrakcyjnych mężczyzn. Zbliżając się do nich, zaczęła rozumieć, dlaczego Alec wyznał tamtej nocy, że czuje się podle. Przecież spała z nimi oboma.

Alec wyglądał na lekko zmęczonego. Uśmiechnął się do niej na powitanie i nieco zbyt długo patrzył jej przy tym w oczy. Na szyi miał aparat fotograficzny, a z ramienia zwieszał mu się futerał. Ubrany był w dzinsy i niebieską koszulkę z krótkim rękawem; rozpięty kołnierzyk ukazywał ciemne włosy na piersi. Olivia szybko przeczuciła wzrok na męża, uciekając się do względnie bezpiecznej opcji.

- Dzień dobry, Paul – przywitała się.

Sztywno skinął głową. Pomyślała sobie, że chyba jeszcze nigdy nie widziała go tak speszzonego.

Z ulgą powitała przyjazd samochodu z domu opieki. Alec pomógł Mary wysiąść, podtrzymując ją pod ramię. Starsza pani miała na sobie sukienkę w biało-niebieskie paski, a na nogach białe tenisówki.

Za kierownicy wyskoczyła młoda blondynka. W dłoni trzymała książkę w miękkiej oprawie.

- Zapytałam Mary, czy mogę pójść z wami, ale usłyszałam, że nie ma mowy.
- Uśmiechnęła się szeroko. – A kiedy Mary tak mówi, nie ma dyskusji, więc posiedzę sobie na plaży.

I ruszyła w kierunku morza. Mary przez chwilę patrzyła za nią, a potem odwróciła się do swoich ewidentnie skrepowanych gości.

- Pan Macelli, pani Macelli – przywitała się. – Dzień dobry.

– Dzień dobry, pani Poor – odpowiedziała Olivia, a Paul wymamrotał pod nosem ledwo słyszalne powitanie.

Mary stanęła przed domem i uniosła głowę.

– Wiele czasu minęło, odkąd widziałam go po raz ostatni. Byłam pewna, że już nigdy tu nie wrócę. – Zerknęła na jeden ze spychaczy stojących na skraju wydmy i potrząsnęła głową. – No dobrze, zajrzyjmy do środka.

Powoli ruszyli za nią do drzwi wejściowych. Mary musiała podcierać się laską. Olivia była zaskoczona jej wzrostem, ale zauważyła też, że Mary wygląda bardzo staro, znacznie starzej niż tamtym razem, kiedy widziały się w domu opieki.

Obok szedł Alec, kilka kroków za nimi Olivia, a Paul trzymał się na końcu. Olivia jeden raz obejrzała się na męża, pokazując mu wzrokiem miejsce obok siebie, ale on jakby jej w ogóle nie widział. Wyglądał na załamanego przymusową wizytą tutaj; uznała, że to ona jest powodem jego zmartwienia.

Weszli do przestronnego, widnego salonu. Znajdował się tam potężny ceglany kominek, a przed nim stały dwa wiklinowe fotele na biegunach i jeden zwykły z wysokim oparciem. Paul włączył dyktafon. Mary zatoczyła małe kółko na środku pokoju.

– Aż się prosi o malowanie. – Wskazała laską jedną z poszarzałych ścian. – Ja bym nigdy tego tak nie zapuściła.

Alec zrobił kilka zdjęć, a Paul dalej stał sztywno na środku salonu z dyktafonem w wyciągniętej ręce.

– No dobrze, zobaczmy. Co mogę opowiedzieć o tym pokoju? – zagadnęła Mary takim tonem, jakby mówiła do siebie. – Był to, rzecz jasna, centralny punkt całego gospodarstwa. Kiedy Elizabeth była jeszcze mała, wieczorami grywaliśmy tutaj we trójkę w różne gry. Pamiętam też kilka takich wieczorów, kiedy mieliśmy salon pełen rozbitków z tej czy innej katastrofy. Spędzali pod naszym dachem kilka nocy, dopóki nie udało się ich wysłać na stały ląd. –

Rzuciła okiem na wiklinowy fotel na biegunach. – Na tym fotelu rozwiązywałam krzyżówki. A dużo ich było, słowo daję...

W salonie panował chłód, lecz mimo to Olivia zauważyła, że Paul jest spocony. Wyciągnął z kieszeni chusteczkę i otarł sobie czoło. Zastanawiała się, czy to tylko z jej powodu jest blady jak płótno. Chciała zapytać, jak się czuje, ale było zbyt cicho, żeby zrobić to dyskretnie, a wiedziała, że Paul wolałby nie zwracać na siebie uwagi.

Weszli do kuchni.

– Na tej cholernej podłodze upadłam i złamałam sobie staw biodrowy. – Mary dotknęła ramienia Aleca. – Gdyby nie twoja żona, leżałabym tu do dziś. Alec odpowiedział uśmiechem.

Mary opowiedziała gościom, że kiedyś w rogu kuchni znajdowała się ręczna pompa, a oprócz tego w domu używało się wody deszczowej łapaną do dużych zbiorników. Pokazała im spiżarnię i dużą sypialnię na parterze, a obok niej – maleńką łazienkę, którą dodano w latach sześćdziesiątych.

– A teraz na górę – zakomenderowała, machając laską w stronę wąskich schodów.

Alec i Paul praktycznie wnieśli ją na piętro, trzymając pod łokcie. Cała grupka stanęła w drzwiach pierwszego pokoju po prawej. Był obszerny, umeblowany w stylu rustykalnym, z łóżkiem przykrytym ręcznie szytą kapą.

– Robota matki Caleba – powiedziała Mary, wskazując narzutę końcem laski. I zaczęła opowiadać o pokoju. Należał kiedyś do jej córki Elizabeth; pewnej nocy jej facet przystawił drabinę do okna wychodzącego na południe, a ona wyszła i uciekła z nim, bo pragnęła za wszelką cenę wyrwać się z odludnego Kiss River.

Paulowi ewidentnie coś dolegało. Kiedy Mary mówiła, oczy miał zamknięte, a oddech przyspieszony i płytki. Pochyliła się ku niemu.

– Jesteś chory? – zapytała.

Potrząsnął głową, ale nawet na nią nie spojrzął, więc się wycofała. Mary jeszcze kilka minut opowiadała o pokoju Elizabeth, a Alec zrobił kilka zdjęć. Potem wszyscy przeszli do następnego pomieszczenia, znowu sypialni, tylko znacznie mniejszej. Olivia dostrzegła za oknem białą ścianę latarni.

– A to był pokój Annie – oznajmiła Mary, gdy stanęli w progu, zaglądając do środka.

– Annie? – powtórzył Alec. – To znaczy... mojej Annie?

– Tak, twojej – odparła Mary. – Tutaj Annie przywoziła swoich mężczyzn. Młodych mężczyzn.

– Przywoziła... – Alec urwał w pół słowa, marszcząc brwi. – O czym pani mówi?

Mary odwróciła się do Paula, patrząc mu prosto w oczy.

– Pan wie, o czym mówię, prawda, panie Macelli?

Grdyka Paula podskoczyła nerwowo. Drżącymi palcami wyłączył dyktafon i zawiesił go na pasku od spodni. Twarz mu poszarzała.

– Nie mam pojęcia – wykrztusił.

– Doprawdy? – zadrwiła staruszka. – Wie pan doskonale. Bardzo się pan jej podobał w tamtym kostiumie ze sztuki *Ostatnia kolonia*.

Alec odwrócił się do Paula.

– O co tutaj chodzi?

– Bóg raczy wiedzieć. – Paul pokręcił głową i spojrzał na Mary, po czym głośno oświadczył: – Z kimś mnie pani pomyliła.

Olivia ledwie mogła złapać oddech. Żałowała, że nie potrafi w żaden sposób rozładować atmosfery, tak napiętej, że aż trzaskało powietrze. Nie była też w stanie, chociaż chciała, powstrzymać Mary Poor, która już otwierała usta, już unosiła laskę, wskazując nią duże, dwuosobowe łóżko.

– Ile popołudni tam spędziliście? – zapytała Paula.

– Dość tego – uciął i ruszył w stronę schodów, lecz Alec złapał go za ramię.

– Co tu się dzieje, Paul? Lepiej mi powiedz.

Paul odwrócił się z powrotem, ale powieki miał mocno zaciśnięte. Zdjął okulary, masując palcami czerwonawe wgłębienia na grzbiecie nosa. Kiedy otworzył oczy, patrzył z bólem na Mary.

– Dlaczego pani to robi? – spytał bardzo cicho. – Co dobrego to może przynieść?

Staruszka wzruszyła ramionami.

– To już chyba zależy od pana.

Paul wahał się przez chwilę, a potem założył okulary i przeniósł wzrok na Aleca.

– Tak, znałem Annie na studiach w Boston College.

– Paul... – szepnęła Olivia, oszołomiona.

– Prawda jest taka – ciągnął, nie odrywając oczu od O’Neilla – że znałem ją na długo przed tobą. Byliśmy razem i to był bardzo poważny związek. Zanim ty ją poznałeś, zanim w ogóle dowiedziałeś się o jej istnieniu, spędziliśmy ze sobą dwa lata. – W jego głosie brzmiała dziwaczna duma. – Była moja na długo przed tym, jak została twoja. Kojarzysz niebieskiego emaliowanego konia, który stoi w waszej kuchni? Dostała go ode mnie. Uwielbiała go. To był jej skarb.

Paul opuścił wzrok na chwilę, jakby zastanawiał się, czy mówić dalej. Olivia nie miała odwagi spojrzeć na Aleca, słyszała tylko jego ciężki, świszczący oddech.

– Chcieliśmy się pobrać – dodał Paul. – Założyć rodzinę. – W kącikach jego ust zajaśniał lekki uśmiech. – Wymyśliliśmy już nawet imiona dla naszych

dzieci, ale na wakacjach po drugim roku studiów Annie poznała ciebie i zerwała ze mną. Cały kłopot w tym, że nie mogłem przestać o niej myśleć. –

Spojrzał na Aleca błagalnym wzrokiem, jakby był pewien, że zostanie zrozumiany. – Czy ktoś, kto raz ją poznał, jest w stanie tak po prostu o niej zapomnieć?

Alec niemalże niedostrzegalnie potrząsnął głową.

– Nie – powiedział. – Proszę, nie mów, że wy... – Urwał, a Olivia położyła mu dłoń na plecach. Najchętniej by go objęła i zasłoniła mu uszy, żeby nie mógł usłyszeć tego, co Paul trzymał w zanadrzu.

– Paul – odezwała się. – Chyba już wystarczy.

Ale on jej nie słuchał.

– Przyjechałem tu wiele lat temu, w czasie wakacji. – Skrzyżował ręce na piersi, potem je opuścił, wsunął dłonie do kieszeni spodni, ale wyjął je z powrotem. – Wynająłem mieszkanie i dostałem rolę w przedstawieniu *Ostatnia kolonia*. – Nie patrzył już na Aleca, lecz błędnym wzrokiem po podłodze niewielkiej sypialni. – Spotkałem się z Annie i okazało się, że moje uczucia nie wygasły... z wzajemnością. Przyjechaliśmy tutaj... kilka razy. – Zerknął na Aleca i wskazał głową pokój za progiem.

– Annie nigdy by... – Alec obejrzał się na Mary. – Czy to prawda?

Staruszka przytaknęła z całą powagą, a do Olivii w tym momencie dotarło, że całe to wyznanie to jej dzieło. Wszystko zaaranżowała.

Alec patrzył na Paula spode łba, a kiedy się odezwał, głos miał cichy jak szept.

– Ty sukinsynu – syknął.

– Wydaje mi się... – Paul gwałtownie zamrugał oczami i z powrotem wbił wzrok w podłogę. – Zawsze nachodziły mnie myśli, że kiedy stąd wyjeżdżałem, Annie była w ciąży. Widziałem, że jest bardzo przygnębiona, a teraz, po tylu latach, kiedy robiłem z nią wywiady do „Seascape”, podała mi nieprawdziwy wiek Lacey. – Uniósł wzrok na Aleca. Jego policzki płonęły szkarłatem. – Nie chcę sprawiać ci przykrości, ale Lacey może być moją córką.

Niespodziewanie dla wszystkich Mary mruknęła z irytacją.

– Jak Lacey jest twoją córką, to ja też – powiedziała. – Annie usunęła twoje dziecko.

Alec otworzył szeroko oczy.

– Usunęła...? – Zaczynał już gotować się ze złości. – To niemożliwe. Annie

za nic w świecie nie poddałaby się aborcji.

Mary uniosła na niego wzrok. Olivia wyraźnie widziała, ile współczucia było w jej oczach. Ile smutku i żalu.

– Zrobiła to – powtórzyła. – I nie była to dla niej łatwa decyzja. Usunęła dziecko Paula, a potem jeszcze jedno.

Alec ruszył nagle w jej stronę.

– Co pani, do diabła...

– Alec. – Olivia chwyciła go pod ramię i przyciągnęła do siebie.

– Lacey to córka tamtego chłopaka, z którym Annie robiła witraże – dodała Mary. – Toma, jak mu tam...

– Co?! – wykrzyknął Paul.

– O Boże, nie. – Alec oparł się ciężko o framugę drzwi, jakby nie mógł utrzymać się na nogach. Zamknął oczy, a gdy je otworzył, wbił wzrok w Mary.

– Skąd pani w ogóle może o tym wiedzieć? Jak to możliwe, że jest pani taka pewna?

– Bo Annie była pewna – odparła. – Niejeden raz widziałam ją w dołku, ale tamten był najgorszy, gdy się

zorientowała, że nosi dziecko Toma. Powiedziała, że druga aborcja nie wchodzi w grę, chociaż później zmieniła zdanie w tym temacie. Ale jeszcze wtedy za mało czasu upłynęło od pierwszego razu. Wciąż miała to wszystko na świeżo w pamięci. Urodziła więc to dziecko. Tomowi nigdy o tym nie powiedziała, a gdy dziewczynka – Lacey – przyszła na świat, zdążyła już chyba autentycznie uwierzyć, że to twoje, Alec.

Mary obejrzała się na Paula, zmrużyła oczy.

– Myślałeś, że byłeś jedyny? – zapytała. – Wydawało ci się, że jesteś taki wyjątkowy, że Annie nie potrafi ci się oprzeć? Pozwól, że rozwieję twoje złudzenia. Annie dzieliła to łóżko z wieloma. Latem miała turystów, jesienią rybaków, wiosną budowlańców. Ojcowie z komitetu rodzicielskiego, pracownicy Czerwonego Krzyża – nie potrafiła się oprzeć żadnemu, który chciał dostać cząstkę jej duszy.

Paul wyglądał tak, jakby zbierało mu się na wymioty. Odwrócił się na pięcie i po chwili na schodach zadudniły jego kroki. Olivia wciąż trzymała Aleca pod rękę, ale on odwrócił głowę w drugą stronę i zasłonił sobie oczy, wparty ramieniem we framugę.

Spojrzała na Mary. Na twarzy starej kobiety nagle odbiły się wszystkie przeżyte lata. Olivia miała wrażenie, że starsza pani za chwilę się przewróci,

tam, na tym korytarzu, że trzyma się na nogach wyłącznie dzięki swojej lasce, cienkiej jak patyczek. Olivia puściła Aleca i przyniosła z sypialni krzesło. Postawiła je za plecami Mary, a staruszka usiadła z ciężkim stęknieniem. Potem zaś wzięła Aleca za rękę. Podniósł na nią zaczerwienione oczy.

– Posłuchaj mnie – powiedziała. – Posłuchaj uważnie, w porządku? Annie miała taką, a nie inną potrzebę, z którą po prostu nie umiała sobie poradzić. Ta potrzeba była zbyt wielka, aby jeden mężczyzna mógł jej sprostać, ale ja wiem, wiem na pewno, że byłeś jedynym, którego Annie naprawdę kochała. Miała do siebie potworne pretensje, że tak postępuje, i mnie też gryzło sumienie, że jej pomagam. W ostatnich latach zaczęła z tym wygrywać, z nikim się nie widywała, nikogo tutaj nie przywoziła. Widziałam, że jej trudno. Postępowała wbrew swojej naturze, ale nie dawała się i była z siebie bardzo dumna, dopóki nie wrócił... tamten. – Mary wskazała ruchem głowy schody, po których zszedł Paul.

Olivia znów położyła dłoń na plecach Aleca, który mierzył staruszkę wzrokiem tak apatycznym, jakby w ogóle nie słyszał, co mówiła. Oczy miał szkliste, a mięśnie barków napięte, stwardniałe.

– O ile mi wiadomo, z Tomem była tylko tamten jeden raz – podjęła Mary po chwili. – Nie spotykali się regularnie. Annie miała potem wyrzuty sumienia. Straszliwe wyrzuty sumienia. I zawsze chciała powiedzieć ci prawdę o Lacey, ale nie potrafiła znaleźć słów. – Oblizwała wargi. – Pamiętasz, jak się zachowywała przed pobraniem szpiku? Tak się wtedy bała, że umrze, a ty się o tym nie dowiesz, że prawie się wygadała. No i w końcu stało się to, czego się bała: umarła, a ty o niczym się nie dowiedziałeś. Nie chciała cię skrzywdzić. Nigdy nie chciała, żebyś cierpiał z powodu jej słabości.

Alec cofnął rękę, którą ścisnęła, odwrócił się i zszedł po schodach. Olivia patrzyła za nim, a Mary opadła na oparcie krzesła z kolejnym głębokim westchnieniem. Można było pomyśleć, że zapada się w siebie; chwilę później siedziała już dobrych kilkanaście centymetrów niżej. Wreszcie uniosła wzrok na Olivię.

– Czy bardzo źle zrobiłam? – zapytała.

Olivia uklękła obok niej i przykryła jej dłoń swoją.

– Uważam, że oddała pani nam wszystkim ogromną przysługę – odparła.

Rozdział pięćdziesiąty drugi

Olivia nie poradziłaby sobie sama ze sprowadzeniem Mary po schodach i usadzeniem jej w samochodzie. Musiała wezwać na pomoc Sandy, pracownicę domu opieki. Kiedy szła na plażę, ani hondy Paula, ani forda Aleca nie było już na parkingu przed domem latarnika, pojawiło się za to kilku robotników, którzy uwijali się przy spychaczu i dookoła latarni.

Zeszły we trójkę po schodach, Mary krzywiła się za każdym razem, gdy poruszała lewą nogą. Po wyjściu z domu wciąż się nie odzywała i dopiero kiedy siedziała już w samochodzie, a Sandy zamknęła drzwi i pomogła jej zapiąć pas, spojrzała na Olivię.

– Pomóż Alecowi uporać się z tym – powiedziała przez otwarte okno.

Olivia skinęła głową. Sama już zdążyła o tym pomyśleć.

Wróciła do domu po jedenastej i pierwsze kroki skierowała do swojego gabinetu, aby zadzwonić do Aleca. Długo czekała, aż odbierze, i zaczęła już układać sobie, co mogłaby powiedzieć, kiedy włączy się automatyczna sekretarka, aż w końcu usłyszała jego głos.

– Alec – zaczęła. – Bardzo ci współczuję.

Gdy odezwał się po długiej chwili, w jego głosie wyraźnie było słychać olbrzymie znużenie.

– Olivio, teraz chyba nie dam rady rozmawiać.

Zamknęła oczy.

– Chcę tylko, abyś wiedział, że myślę o tobie.

Rozłączyła się i poszła do kuchni. Musiała coś zjeść, bo za godzinę zaczynała pracę, co oznaczało, że potem nie będzie już czasu na posiłek aż do późna, ale sama myśl o jedzeniu była wręcz wstrętą. Zaparzyła sobie herbatę. Gdy niosła kubek do salonu, zobaczyła przez okno samochód Paula parkujący przed domem. Odstawiła filiżankę i poszła otworzyć drzwi.

Stał na werandzie blady i zrezygnowany.

– Mogę wejść? – zapytał.

Bez słowa wpuściła go do salonu. Opadł na rattanowy fotel i westchnął ciężko, a Sylvie wskoczyła mu na kolana, głośno mrucząc. Olivia usiadła naprzeciwko niego, na kanapie. Uniosła filiżankę do ust. Ogarnęło ją bardzo wygodne poczucie uspokojenia, podobne do efektu działania leków.

Paul uśmiechnął się słabo.

– Otworzyła mi oczy, co? Za jednym zamachem.

– Nam wszystkim otworzyły się oczy.

– Zebrałem wszystkie jej witraże, jakie jeszcze u mnie zostały, i po drodze tutaj zostawiłem je u Toma Nestora w pracowni, żeby je rozdał. – Potrząsnął głową. – Tom Nestor. Kto by pomyślał. Nigdy by mi to nawet...

– Święta Anna – powiedziała cicho.

Paul tylko jęknął.

– Zniszczyłem kasy z wywiadami, Olivio. Rozwaliłem je młotkiem.

– Ach, cóż za dramatyzm, Paul.

Widziała, że go to zabolalo, ale nie zamierzała przeproszać.

– Spaliłem też jej zdjęcia, chociaż muszę przyznać, że nie przyszło mi to łatwo.

– Wszystkie, co do jednego?

– Wszystkie. Nie zostało mi po niej absolutnie nic.

– To dobrze – podsumowała. – Musisz z nią skończyć, bo inaczej nigdy nie ruszysz z miejsca z własnym życiem.

Paul spojrział na nią.

– Paskudnie się ułożyło. Chodzi mi o to, co zaszło między nami. To znaczy ja zachowałem się paskudnie.

Milczała, bo musiała się zgodzić z tymi słowami.

– Czy chcesz jeszcze mieć ze mną do czynienia? – zapytał. – Czy chcesz, żebyśmy byli razem?

Powoli potrząsnęła głową, jak gdyby na próbę, by sprawdzić, co poczuje, kiedy to zrobi. Paul opuścił oczy, wbił wzrok w podłogę.

– Może czujesz tak ze względu na to, co stało się dziś rano – powiedział.

Olivia odstawiła filiżankę na stolik i wyprostowała się.

– Czuję tak ze względu na to, co się działo przez cały ostatni rok i na to wszystko, co kiedyś zrobiłeś, o czym nie miałam pojęcia. Na to, że nie miałeś poszanowania ani dla własnego małżeństwa, ani dla małżeństwa Annie i Aleca. Nawet gdybym potrafiła ci to wszystko wybaczyć, nigdy ci już nie zaufam. Okłamywałeś mnie, odkąd się pobraliśmy.

– Nieprawda, Liv. Powiedziałem ci o moim poważnym związku, w którym byłem przed laty, a ty wtedy skwitowałaś: „Co było, to było”. Pamiętasz? Gdybyś chciała, wyznałbym ci wszystko o Annie.

– Nawet nie wspomniałeś, że spędziłeś tutaj całe wakacje.

– Bo próbowałem tamten czas wymazać z pamięci.

– Powinieneś mi powiedzieć, że Annie tutaj mieszka, zanim przyjechałam tę pracę.

– Staralem się odwieść cię od tego.

– Gdybyś naprawdę chciał mi to wyperswadować, wystarczyło wspomnieć, że mieszka tutaj twoja kochanka z dawnych lat. Ale ty celowo to przemilczałeś.

– Popełniłem błąd, Liv. Wiele błędów. Przepraszam cię. – Spuścił wzrok, przyglądając się swojej dłoni, obręczce na palcu. – Chcesz jeszcze pójść ze mną na obiad?

Zabrzmiało to tak niedorzecznie, że Olivia parsknęła śmiechem.

– Nie, nie chcę iść z tobą na obiad.

Paul postawił Sylvie na podłodze i wstał z krzesła.

– No cóż. – Rozejrzał się dookoła, jakby nie wiedział, co ma teraz zrobić. – Czy mogę przed wyjściem skorzystać z łazienki?

– Oczywiście.

Wyszedł, a ona dopiero po minucie uświadomiła sobie, że po drodze do łazienki jest pokój dziecienny. Znieruchomiała i nadstawiła uszu, usiłując przypomnieć sobie, czy zostawiła drzwi otwarte czy zamknięte. Podniosła się z kanapy i wyszła na korytarz. Było widać jak na dłoni, że pokój jest otwarty. Zebrała w sobie siły i weszła do środka.

Paul stał nad łóżeczkiem, opierając dłonie na barierce. Kiedy weszła, odwrócił głowę i natychmiast opuścił wzrok na jej brzuch.

– Jesteś...?

– Tak.

– To moje?

– Oczywiście – przytaknęła. – Pamiętasz tamtą noc w kwietniu? Kiedy w mówiłeś sobie, że ja to Annie?

– Boże... – Odwrócił się i ciężko oparł o łóżeczko.

Olivia nie miała ochoty patrzeć, jak pławi się w wyrzutach sumienia. Wyszła na taras za domem i usiadła na jednym z krzeseł. Z kanapy zrezygnowała, bo nie chciała, żeby Paul mógł usiąść obok niej. Obserwowała windsurfera

śmigającego w cieśninie. Miał jasne włosy. Opaloną skórę. Z tej odległości nie dało się określić wieku, ale był dobry. Może nawet tak dobry jak Alec.

Minęło trochę czasu, zanim Paul znalazł ją na tarasie. Przetawiał jedno krzesło tak, że usiadł twarzą do niej. Bardzo blisko.

– To już prawie pięć miesięcy?

– Dwadzieścia jeden tygodni.

– Jak się czujesz? Wszystko w porządku?

– Czuję się dobrze – odparła. – Jestem zdrowa. Zrobiłam amniopunkcję. To chłopiec.

– Chłopiec – powtórzył z uśmiechem. Rozdrażniła ją radość malująca się na jego twarzy.

– Nie powinnaś ukrywać tego przede mną – powiedział z wyrzutem. – To by wiele zmieniło. Pomogło mi się otrząsnąć i wrócić do rzeczywistości.

– Chciałam, żebyś wrócił do mnie – zripostowała. – A nie do matki twojego dziecka.

Paul przytaknął bez słowa i z wahaniem wyciągnął rękę, aby dotknąć jej brzucha. Olivia zacisnęła zęby, uciekając wzrokiem, aby nie oglądać emocji wypisanych na jego twarzy.

– Annie zrobiła ze mnie głupca – powiedział, a ona gwałtownie odepchnęła jego rękę.

– Zrobiłeś to sam, bez jej pomocy – odparła.

– W porządku – zgodził się. – W porządku. – Wyprostował się w krześle. –

Damy radę jakoś się dogadać? Chyba powinniśmy spróbować, choćby dla dobra naszego syna? Przecież oboje wiemy, że nasz związek przez długi czas był naprawdę udany.

Olivia założyła ramiona na piersi.

– Z nami koniec, Paul. Nie chcę cię już. To jest pierwsza, zasadnicza kwestia.

Odwrócił głowę i omiół wzrokiem cieśninę, a gdy odezwał się ponownie, głos miał głuchy, schrypnięty.

– Ale co z dzieckiem? Chcę być obecny w jego życiu.

– No cóż, w tej sprawie powinieneś może poradzić się tego swojego prawnika, on ci powie, jakie masz opcje.

Paul skrzywił się, a oczy za szklami okularów zaczęły mu czerwienieć. Potem wstał, bardzo powoli, jak gdyby ściągany w dół niewidzialną siłą. Zszedł z tarasu i zniknął w głębi domu. Olivia po chwili usłyszała trzask

otwieranych i zamykanych drzwi wejściowych.

Windsurfer ślizgał się z gracją po powierzchni wody. Nie odrywając od niego wzroku, Olivia położyła ręce na kolanach, zsunęła z palca obrączkę i schowała do kieszeni. Wodziła wzrokiem za deską z żaglem, aż przyszedł czas, by wstać i wyjść do pracy.

Rozdział pięćdziesiąty trzeci

Z szafy w pracowni Alec wyciągnął pudełko starych zdjęć i usiadł na kanapie w salonie. Nie oglądał ich od lat, a po śmierci Annie celowo do nich nie wracał. To pudełko było jej pełne aż po brzegi. Na zdjęciach widział teraz dokładnie – w zmarszczkach na jej twarzy, w niepewnym uśmiechu – chwile załamania, kiedy ulegała mrocznej stronie swojej osobowości. Tyle razy nie wiadomo dlaczego zamykała się w sobie i teraz Alec rozumiał już, co za tym stało.

„Umrę i to będzie kara za wszystkie moje złe uczynki”.

Dwie usunięte ciąży. I wizyty u Mary. A on był wdzięczny starszej pani, że dzięki niej jego żona nie była sama, gdy musiał jechać na stały ład za pracę i wracał nocą.

Rybacy. Turyści. Przywoziła ich do tamtego domu i zamykała się z nimi w pokoiku co kilka sekund zalewanym przez światło latarni. To samo światło, które uważał za ich wspólne, jego i Annie.

Nagle z tyłu domu trzasnęły drzwi. Wróciła Lacey. Cholera, zaklął w myślach. Wolałby teraz być sam. Potrzebował tego. Po chwili stanęła w drzwiach salonu.

– Jestem! – oznajmiła z dumą w głosie. – A dopiero piętnaście po siódmej. – Zauważyła pudełko stojące obok niego na kanapie. – Po co wyjąłeś stare zdjęcia?

Alec spojrział na dziewczynę, która nagle przestała być jego córką.

– Miałem ochotę je obejrzeć.

Zmroził go strach, bo Lacey weszła do pokoju i klapnęła na kanapę. Poczuł od niej zapach papierosów. Pachnie jak Tom Nestor, pomyślał.

– O, to jest ładne, naprawdę ładne – powiedziała, sięgając ponad jego kolanami, aby wyjąć z pudełka jedno zdjęcie. Były na nim we dwie, ona i Annie; siedziały razem na plaży. Zrobiono je niedawno, ostatniego lata. – Mama wygląda na bardzo szczęśliwą.

„Przez całe życie nie czułam się tak szczęśliwa, jak w tym ostatnim roku”.

Alec rozplakał się nagle. Odwrócił głowę w drugą stronę, ale tych łez nie dało się ukryć. Tym razem to już było niemożliwe. Nie mógł ich powstrzymać.

– Nie płacz, proszę – powiedziała Lacey, wystraszona. – Nie wytrzymam tego. Błagam cię, tato. – Wstała z kanapy. – Mam schować te zdjęcia? – Schyliła się po pudełko, lecz Alec złapał ją za rękę.

– Nie. Chcę je przejrzeć.

Zmarszczyła brwi.

– Po co? Tylko będziesz się martwić.

Z trudem zdobył się na uśmiech.

– Nic mi nie jest, Lacey.

Dziewczyna wbiła dłonie w kieszenie swoich szortów i spojrzała na niego uważnie, nie do końca przekonana.

– Chcesz, to obejrzymy je razem? – zaproponowała.

– Nie. – Potrząsnął głową. – Nie dzisiaj.

Lacey z ociąganiem wyszła z salonu, a on wrócił do zdjęć. Wreszcie znalazł jedno, które zrobił Annie, kiedy była w drugiej ciąży. Przed urodzeniem Lacey bez przerwy wymiotowała, zwracała każdy przełknięty kęs. Przybrała na wadze tak niewiele, że lekarz prowadzący ciążę chciał ją zabrać do szpitala. Miała dziwne bóle, których źródła kolejni specjaliści nie byli w stanie rozpoznać, i większość tych dziewięciu miesięcy spędziła w łóżku. Nola pomagała Alecowi w opiece nad Clayem.

Poród był koszmary. Ciągnął się bez końca. Alec był przy Annie, trzymał ją za rękę, pomagał oddychać, lecz trwało to tak długo, że sam już padał ze zmęczenia. Nie mieściło mu się w głowie, że jedna kobieta – jeden człowiek – może znieść tyle bólu.

Na chwilę przed tym, jak Lacey przyszła na świat, kiedy z pewnością widać już było główkę, Annie z krzykiem kazała Alecowi wyjść z sali porodowej. W pierwszej chwili myślał, że się przesłyszał. Była rozhisteryzowana, więc udawał, że powiedziała coś innego. Niestety, lekarz odbierający poród zrozumiał ją dobrze, a położne spojrzały po sobie, skonsternowane.

– Może lepiej niech pan wyjdzie, doktorze O’Neill – zasugerowała jedna. – Żona jest rozgorączkowana. Przy panu nie będzie mogła się skoncentrować na swoim zadaniu.

Wyszedł, dotknięty do żywego. Zamiast wrócić do poczekalni, stał na korytarzu porodówki. W poczekalni była Nola, Tom i jeszcze kilkoro

znajomych. Nie miał pojęcia, jak im wyjaśnić, dlaczego tam przyszedł.

Zapytał potem Annie, dlaczego kazała mu wyjść, a ona zalała się łzami i wyjąkała, że miała mętlik w głowie i nie wiedziała, co mówi.

Tylko skrajne przerażenie mogło ją popchnąć do tego, że odtrąciła go w chwili, kiedy był jej najbardziej potrzebny. Tak bardzo musiała się bać, że Alec tylko spojrzy na dziecko, które urodziła, i wszystkiego się domyśli. Czy później go obserwowała, mierzyła badawczym spojrzeniem za każdym razem, kiedy patrzył na swoją córkę? Czy szukała u niego śladów podejrzliwości? Ile razy próbowała powiedzieć mu prawdę: jeden, dwa, kilka? A może była pewna, że on i tak nigdy by nie uwierzył, że jego Annie jest w stanie chociażby pomyśleć o zdradzie?

Siedział nad zdjęciami prawie do północy, katował się nimi, każdym z osobna, aż wreszcie wykończyły go tak, że ledwie dał radę dowlec się po schodach do swojego pokoju. Mimo znużenia nie mógł zasnąć. Opadły go wspomnienia, znaki, które przeoczył. Było ich wiele, zbyt wiele. Przypomniał sobie kłótnię o sterylizację. Annie nie chciała się zgodzić, żeby Alec miał wazektomię, upierała się, że to ona da sobie podwiązać jajowody. Dlaczego? Bo nie mogła znieść myśli, że miałyby cierpieć i odczuwać dyskomfort. W jej ustach takie wyjaśnienie brzmiało rozsądnie. Co jeszcze? Tyle razy widział, jak pilnuje Toma Nestora, żeby się nie upił przy jej mężu, żeby trzymał język za zębami. Tyle razy płakała bez powodu. Och, Annie, pomyślał.

Myśli kłębiły mu się w głowie. Mięśnie miał napięte jak postronki; już od wielu miesięcy tak się nie czuł. Nagle zrozumiał, że musi coś zrobić. Dokądś pójść. Zobaczyć latarnię.

Wstał przed świtem i w kuchni zostawił na stole kartkę dla Lacey. Potem pojechał do Kiss River. Poranek ukrył się w gęstej mgle.

W pobliżu latarni dostrzegł konie na skraju drogi i zjechał na pobocze, by się im przyjrzeć. Mgła nadawała zwierzętom niematerialny, eteryczny wygląd – w jednej chwili ukazywały się wyraźnie, a w następnej zamieniały w cienie. Rozpoznał rannego żrebaka. Wypadek chyba niczego go nie nauczył, bo pasł się tuż przy samej drodze. Na jego zadzie widniała niewyraźna blizna po ranie, którą zaszył Alec. Z pomocą Paula.

„Kojarzysz niebieskiego emaliowanego konia? To był jej skarb”. Czyżby?

Alec jęknął, strofując się w duchu. Najchętniej odciąłby te myśli. Wyłączył je.

Ruszył dalej, do latarni. Ledwie było ją widać z parkingu, bo białe cegły

rozplýwały się we mgle. Otworzył drzwi swoim kluczem i zaczął się wspinać po żelaznych schodach, w upiornym, pełnym ech półmroku. Nie zatrzymując się ani razu, dotarł na szczyt. Wyszedł na galerię. Tutaj mgła już nie sięgała, a lampa musiała się przed chwilą wyłączyć w oczekiwaniu na budzący się dzień. Słońce dzwignęło się zza horyzontu, obsypując niebo i zalewając ocean blaskiem o olśniewającej, różowozłotej barwie.

Alec przeszedł na drugą stronę i spojrzał w kierunku domu latarnika. We mgle widział zarysy maszyn stojących za pobliskimi krzakami: spychacza oraz koparki.

Usiadł na chłodnej, żelaznej podłodze, twarzą do oceanu i wschodzącego słońca. Zamknąwszy oczy, oparł się o ścianę, czekając, aż czar latarni zacznie działać i jak zwykle ukoji jego skołatane nerwy.

Czy Annie przywiozła tutaj któregoś z nich? Czy kochała się z którymś tutaj, na górze? Albo na plaży?

Dosyć!

Otworzył oczy, bębniąc palcami po podłodze galerii. Zgarbił się, aby spojrzeć w dół. Ocean podkradał się coraz bliżej do podstawy latarni. Przebijając wzrokiem rzędnącą mgłę, Alec widział białe grzywy fal wgrzających się w ostatnie metry piasku pomiędzy wodą a ceglana ścianą. Cholera, blisko.

„Pozwólmy jej odejść”.

Oparł się o ścianę. Na jego ustach błędził lekki uśmiech. Po raz pierwszy te słowa Annie nie wzbudziły w nim strachu. Najmniejszego strachu.

Pojechał na południe wyspy, zostawiwszy Kiss River za sobą. Nikt by się nie domyślił, że godzinę wcześniej zalegała tu mgła. Na Ławicach prażyło już słońce, a z mostu w Manteo dostrzegł łodzie w cieśninie, skąpane w jasnym świetle.

Zaparkował samochód przed domem opieki, ale nie to miejsce było jego celem. Przeszedł na drugą stronę ulicy i stanął przed staroświeckim sklepem ze starociami. Na drzwiach dostrzegł tabliczkę z napisem ZAMKNIĘTE. Zmarszczył brwi. Nie przyszło mu do głowy, że jest za wcześnie na zakupy.

Na podjeździe stał jednak jakiś samochód. Alec zajrzał przez szybę w drzwiach wejściowych – na zapleczu paliło się światło. Zapukał i po chwili wyszła stamtąd kobieta.

– W czym mogę pomóc? – zapytała, uchylając odrobinę drzwi. Miała na oko mniej więcej sześćdziesiąt lat, siwe włosy i ogólnie wyglądała jak babcia.

– Wiem, że jeszcze pani nie otworzyła, ale przyjechałem w ważnej sprawie – powiedział Alec. – Szukam lalki na prezent dla mojej córki. Wszystko wskazuje na to, że moja żona kupowała takie lalki u pani.

– Annie O’Neill?

– Zgadza się.

Sprzedawczyni otworzyła drzwi na całą szerokość.

– Pan zapewne jest Alec – uśmiechnęła się. – Proszę, proszę, mój drogi. Nazywam się Helen.

Alec uściśnął wyciągniętą dłoń.

– Bardzo się cieszę, że mogę pana poznać – dodała. – Te lalki to były prezenty urodzinowe, prawda?

– Tak. W tym roku mam lekkie opóźnienie.

– Lepiej późno niż wcale. – Helen oparła się o kontuar, gdzie pod szklanym blatem leżała stara biżuteria. – Annie była świetną klientką. I cudowną osobą. Proszę spojrzeć, co od niej dostałam. – Skinęła dłonią, wskazując witraż zawieszony w witrynie. Był na nim maleńki szary sklepik ze starociami, a dookoła – trawa i drzewa. Kolejne dzieło Annie, którego Alec nigdy nie widział na oczy.

– Ładne – powiedział.

– Było mi bardzo przykro, kiedy się dowiedziałam... o tym wszystkim. – Sprzedawczyni, zaprowadziła go na zaplecze, do małego pokoiku, gdzie stały stare meble, a na nich siedziały lalki. Jedna z nich natychmiast wpadła mu w oko: rude włosy, buzia małego urwisa.

– Ta. – Wyciągnął rękę. – I żadna inna.

– Coś mi mówiło, że pan ją wybierze. Jeszcze nigdy nie widziałam rudowłosej lalki. Kupiłam ją miesiąc temu i od razu sobie pomyślałam, że spodobałaby się naszej świętej Annie. Buzia z wysokiej jakości perłowego biskwitu i prawdziwe ludzkie włosy. To wszystko jednak sprawia, że cena jest dość wysoka.

Do rączki lalki był przymocowany nieduży biały kartonik. Helen wzięła go w palce i obróciła, żeby Alec mógł zobaczyć wypisaną na nim cenę.

– Ho, ho... – Uśmiechnął się. – No nic, wezmę ją.

Sprzedawczyni zaniósła lalkę do sklepu, gdzie wzięła duże pudełko i wyłożyła je bibułką.

– Annie lubiła sama pakować – powiedziała, wkładając lalkę do środka. – Papier chyba też robiła sama. Ale pan chyba... Mam zapakować?

– Poproszę.

Helen odcięła z rolki kawałek papieru prezentowego w białe i niebieskie pasy. Obłożyła nim pudełko, zakleiła taśmą.

– Annie często tutaj zaglądała. – Odcięła nowy kawałek taśmy. – Cały sklep ożywał, kiedy przychodziła. Do tej pory ją wspominamy. – Przykleiła na wierzchu gotową kokardkę i podsunęła pudełko do rąk Aleca. – Wszystkim bardzo jej brakuje.

– Ucieszyłaby się, gdyby mogła to usłyszeć – odparł, wręczając sprzedawczyni czek. – Tego chyba najbardziej się bała: że nikt nie będzie jej pamiętać.

Po powrocie do domu już w drzwiach usłyszał dudniącą muzykę dobiegającą z pokoju Lacey, ale najpierw poszedł do gabinetu, żeby zadzwonić do Noli.

– Mam pewną wiadomość – oznajmił – która ci się raczej nie spodoba. Przyjmij ją dzielnie, dobrze?

– Co się stało, mój drogi?

– Odchodzę z komitetu przyjaciół latarni.

Cisza w słuchawce trwała dwa uderzenia serca.

– Żartujesz – wyjąkała Nola.

– Nie.

– Alec, dlaczego, na miłość boską, chcesz...?

– Nie wiem, jak mógłbym ci to wytłumaczyć. Ciebie wyznaczam na nowego przewodniczącego i życzę wam wszystkim mnóstwo szczęścia na każdym kroku.

– Czekaj! Nie waż mi się rozłączać. Jesteś nam winien wyjaśnienie, Alec, nie uważasz? Co ja mam powiedzieć innym?

Alec musnął palcami błękitne, jedwabiście połyskliwe opakowanie prezentu dla Lacey.

– Powiedz im, że mnie olśniło. Że odzyskałem wolność.

Zabrał pudełko, poszedł na górę i zapukał do pokoju Lacey. Przez drzwi dobiegł go cichy pisk.

– Tato, nie wchodź jeszcze! – zawołała.

– Co się stało?

– Nic. Nie jestem ubrana. Chwileczkę!

Słyszał, jak miota się po pokoju, przerzucając różne rzeczy, i zastanawiał się tylko, co zobaczy, kiedy w końcu będzie mógł wejść.

Po minucie albo dwóch Lacey otworzyła drzwi. Była ubrana jak zwykle,

w T-shirt i szorty, a włosy miała schowane pod słomkowym kapeluszem z szerokim rondem.

– Po co ci ten kapelusz?

– Po nic. – Była lekko niespokojna. – Co to? – zapytała, spoglądając na pudełko w dłoniach ojca.

– Bardzo spóźniony prezent urodzinowy.

Wzięła pudełko i usiadła na łóżku, a Alec oparł się o framugę drzwi i patrzył. Lacey, przygryzając wargę, uniosła kartonowe wieczko.

– Och... – wykrztusiła. – Tato, jaka cudowna. – Wyjęła lalkę z bibułki, dotknęła palcami jej włosów. – Ruda... – Uniosła oczy na niego. – Gdzie znalazłeś taką rudą?

Wzruszył tylko ramionami z tajemniczą miną.

Lacey wstała i posadziła lalkę na samym środku półki biegnącej ponad komodą, tuż pod plakatem, z którego spoglądał długowłosy chuligan w skórzanej kamizelce.

– W sumie – powiedziała, robiąc się nagle dziwnie nieśmiała – to ja też chciałam ci coś pokazać, tato, ale będziesz się gniewał.

Alec uśmiechnął się i założył ręce na piersi.

– Wiesz co, Lacey? W tej chwili chyba nic nie jest w stanie wyprowadzić mnie z równowagi. O co chodzi?

Powoli, patrząc mu prosto w oczy, Lacey zdjęła kapelusz, odsłaniając głowę pełną króciutkich miedzianych pukli. Obcięła czarne końcówki do ostatniego włoska, a wszystko, co zostało, było jednolicie rude.

– Och, Lace – westchnął Alec. – Jak pięknie.

Przygarnął ją do siebie, a dziewczyna wtuliła się w jego ramiona i tam już została. Objął ją mocno, przycisnął policzek do jej wilgotnych loczków i wdychał głęboko ich przyjemny, świeży zapach.

Wiedział, że kiedyś będzie musiała poznać prawdę o swoich rodzicach i że to on jej to powie. Podobnie jak kiedyś będzie musiał powiedzieć prawdę Tomowi. Ale jeszcze nie teraz. Teraz Lacey była jego i tylko jego.

Rozdział pięćdziesiąty czwarty

Czyżby koniec małżeństwa naprawdę miał być taki bezbolesny?

Olivia wstała z łóżka i nagle uświadomiła sobie, że odkąd Paul wyszedł od niej po południu, ani razu o nim nie pomyślała. Ma się rozumieć, pracowała do późna, chociaż wcale nie musiała; pacjenci zapełniali jej czas i odwracali uwagę. Pracowała, dopóki nie poczuła się wyczerpana, bo wiedziała, że wtedy zaśnie natychmiast, kiedy tylko przyłoży głowę do poduszki – i że nic jej się nie przyśni.

Rano wzięła prysznic, a następnie wysuszyła włosy. Przez cały czas miała poczucie, że starannie unika myśli o Paulu, jak gdyby się obawiała, że jeśli je do siebie dopuści, opadną ją i już sobie z tym nie poradzi.

Myślała za to o Alecu. Miała wolne, więc zajęła się różnymi pracami domowymi, ale wciąż nasłuchiwała, czy telefon dzwoni, i w duchu ponaglała Aleca, żeby wreszcie się odezwał. Ze swojej strony nie zamierzała jednak nic robić w tym kierunku; sam musiał do tego dojrzeć.

Około południa pojechała, bez wielkiej ochoty, do sklepu. Wróciła godzinę później z dwiema torbami zakupów, a gdy skręciła w swoją ulicę, zobaczyła Aleca. Stał na pomoście za jej domem. Dzieliły ich jeszcze trzy albo cztery posesje, lecz mimo to widać go było niemalże jak na dłoni. Olivia zatrzymała samochód, żeby mu się przyjrzeć. Opierał się ramieniem o jeden z wysokich pali i osłaniając dłonią oczy, patrzył na cieśninę. Jej serce wypełniło się czułością. Pomyślała o tym, jak straszny musiał być dla niego wczorajszy dzień. Ona też dowiedziała się o Paulu szokujących rzeczy, ale trudno je było porównać z tym, co Alec usłyszał na temat swojej żony.

Ruszyła dalej, a on chyba usłyszał jej auto podjeżdżające pod dom, bo gdy zabrała się do wypakowywania zakupów, był już przy niej i pomagał.

– Dobrze cię widzieć – powiedziała Olivia, spoglądając na niego ponad dachem samochodu. – Nie wiedziałam, czy zadzwonisz, a nie chciałam zawracać ci głowy.

– Miałem wrażenie, że przyjeżdżając tutaj, trochę ryzykuję. – Alec wyjął z auta torbę z zakupami. – Myślałem, że może być u ciebie Paul, a na razie wolałbym się z nim nie widzieć. – Nagle zatrzymał się w pół drogi do drzwi. – Nie ma go, prawda?

– Nie ma. – Obróciła klucz w zamku. – Proszę.

Weszli razem do kuchni i postawili obie torby obok siebie na stole.

– No to powiedz... – zagadnął Alec, kiedy zaczęli wyjmować zakupy. – Rozmawiałaś z nim?

Olivia schowała karton mleka do lodówki, oparła się o szafkę kuchenną.

– Zajrzał do mnie wczoraj po południu – przyznała. – Był bardzo skruszony i załamany. Wyrzuty sumienia wręcz wylewały się z niego. – Zabrzmiało to jak czysta kpina; Olivia czuła się całkowicie bezwzględna i zaczęła się zastanawiać, czy Alec też tak o niej myśli. – Przyznał, że był głupi. Podobno zniszczył nagrania swoich rozmów z Annie i spalił wszystkie jej zdjęcia. –

Potrząsnęła głową. – Zawsze miał skłonność do dramatycznych gestów. Powiedziałam mu o dziecku. Gdyby sumienie mogło zabić, to miałabym teraz w domu nieboszczyka. – Uśmiechnęła się z żalem. – zaproponował, żebyśmy wrócili do siebie i dla dobra dziecka spróbowali się dogadać, ale ja po prostu...

Niespodziewanie głos zamarł jej w gardle. Odwróciła się od Aleca.

– Wszystko w porządku, Olivio – szepnął. – Wyrzuć to z siebie.

Pokręciła głową.

– Nie jest mi przykro. – Otarła palcami łzy napływające jej do oczu. – Naprawdę nie jest.

Alec wyciągnął do niej rękę. Poczuła, jak końce jego palców ocierają się o jej kark, i nie opierała się, gdy przygarnął ją do siebie; zamknęła oczy i wtuliła się w jego ramiona.

Stali tak objęci przez długi czas. Alec obejmował ją tylko i pozwalał się wypłakać, nie mówił żadnych banałów, nie pocieszał na siłę, jakby wiedział, że tylko te łzy mogą ją uleczyć.

– Skończyłam z nim. – Olivia oparła czoło o jego ramię. – To koniec. Już go nie kocham. Zresztą chyba już od dawna go nie kochałam.

Umilkła na chwilę, rozkoszując się bliskością Aleca i świadomością, że w jego ramionach czuje się na właściwym miejscu. Objęła go w pasie, kładąc dłoń płasko w dole pleców.

– Wczoraj musiało ci być strasznie ciężko – zagadnęła z innej beczki.

– Było.
– Chcesz o tym porozmawiać?
– Kiedyś tak – odparł. – Ale jeszcze nie teraz.
– Mary Poor wiedziała, co robi, prawda?
– Prawda. – Powoli, łagodnym ruchem odsunął się od niej. Wziął ze stołu jogurt i twarożek, zaniósł je do lodówki. Kiedy schylał się, żeby położyć opakowania na dolnej półce, zauważyła, że zdjął obrączkę. Na opalonym palcu widniał pasek jasnej skóry.

Alec wyprostował się, a jego oczy powędrowały w stronę okna nad zlewem.

– Gdzie jest witraż Annie? Jej pawie pióro? – zapytał.

– A, tak. – Olivia obejrzała się przez ramię. – Rozbiłam je, gdy Paul przyznał mi się, że on i Annie... – Ugryzła się w język i wyrzała przez okno, starając się wymyślić, jak dokończyć to zdanie i nie powiedzieć za dużo.

Alec ją wyręczył.

– Kiedy powiedział ci, że przespał się z Annie.

Spojrzała na niego osłupiałym wzrokiem.

– Skąd wiesz?

– Czy odkąd tutaj zamieszkaliście, to był tylko ten jeden raz?

– O ile mi wiadomo, to tak.

– Tuż przed świętami, prawda?

– Tak, ale skąd...

– Domyśliłem się. Wczoraj. Pół nocy przypominałem sobie różne znaki, które dawała mi Annie. Było ich mnóstwo, ale wszystkie przeoczyłem, bo nigdy nie przyszło mi do głowy, by coś podejrzewać. – Oparł się plecami o lodówkę. – Pewnego wieczoru, tuż przed świętami, wróciła z pracowni późno i w fatalnym nastroju. Miała kawałek szkła wbity w rękę i nie mogła go sama usunąć. Ja go wyciągnąłem, a ona przez cały czas płakała. Potem powiedziała, że chce się wykapać przed snem i trochę rozluźnić, ale wydaje mi się, że chodziło raczej o to, żeby zmyć z siebie ślady, które zostawił Paul, zanim znajdzie się w jednym łóżku ze mną.

Wbił wzrok w podłogę. Olivia przygryzła wargę.

– Dziś w nocy, kiedy myślałem o tym i układałem sobie wszystko w całość, dotarło do mnie, że tamtego wieczoru coś musiało zajść pomiędzy Annie i Paulem. Miałem nadzieję, że może jednak tego nie zrobili... – Uniósł oczy, spojrzał na Olivię. – Ale zrobili, prawda? Chcę powiedzieć... – uśmiechnął się smutno – ...że to nie było tak, że on ją namawiał, wręcz przymuszał, a ona

była niewzruszona?

Olivia odpowiedziała uśmiechem.

– Paul powiedział, że to było... z wzajemnością.

Alec potrząsnął głową.

– Myślałem, że o niczym nie wiesz, Olivio. Uznałem, że gdybyś wiedziała, rzuciłabyś mi to prosto w oczy, kiedy oskarżyłem cię, że jesteś mniej uczciwa niż Annie.

– Byłam blisko – przyznała. – Ale nie chciałam cię zranić.

Alec zbliżył się, ujął jej twarz w dłonie i pocałował ją lekko w czoło.

– Dziękuję – powiedział. – Gdybym usłyszał to od ciebie w tamtym momencie, chyba bym nie wytrzymał. – Opuścił ręce, opierając je na jej biodrach, westchnął. – A teraz muszę wymyślić, jak mam powiedzieć mojej małej Lacey, że jej ojcem jest Tom.

– Och – westchnęła Olivia. – Nie pomyślałam o tym. Rzeczywiście, ona musi wiedzieć. Względy zdrowotne, historie chorób i tak dalej.

Alec przytaknął.

– Ale najpierw sam muszę się z tym pogodzić, inaczej ona nie da sobie rady. Chcę jej to powiedzieć tak, żeby nie zaczęła myśleć źle o Annie – żeby umiała znaleźć dla niej współczucie. A w tej chwili jeszcze nie potrafię.

– Jesteś dobrym ojcem, Alec.

– Wydawało mi się, że masz co do tego wątpliwości.

Olivia potrząsnęła głową.

– Niektóre z twoich metod być może nie do końca mnie przekonują, ale nigdy nie wątpiłam, że chcesz dobrze i że kochasz Lacey. – Pogładziła go po policzku. – Cieszysz się, że poznałeś prawdę?

– Tak – przyznał i powoli przesunął dłonie w górę, wzdłuż jej boków, aż kciuki otarły się o piersi. – Dzięki temu mam mniejsze wyrzuty sumienia, że cię kocham.

– Zdjąłeś obrączkę – zauważyła.

– Ty też.

Olivia uśmiechnęła się, lekko opierając czoło o jego podbródek.

– Alec...?

– Hm?

– Możemy iść do łóżka?

Roześmiał się, a ona poczuła na policzku jego ciepły oddech.

– Możemy.

Tym razem kochali się bez pośpiechu. Przez okno sypialni wlewało się ciepłe powietrze, pełne słonecznego blasku, gęste jak miód. Zanurzeni w nim, poruszali się wolniej, sycili każdą chwilą. Kiedy Alec doszedł, Olivia była na górze, widziała, jak pręży się i wygina w złocistych promieniach słońca, tak samo jak ona zaledwie kilka sekund wcześniej.

Kiedy jego oddech uspokoił się wreszcie, Alec otworzył oczy i spojrzał na nią.

– Pięknie wyglądasz tam na górze – powiedział, muskając palcami złoty łańcuszek leżący na jej piersiach. – Kocham cię, Olivio.

Nagle przypomniała sobie, że jest naga. Jeszcze przed chwilą nie przeszkadzało jej to w najmniejszym stopniu, a teraz miała wrażenie, że składa się wyłącznie z brzucha, że cała reszta jest mała i nieistotna.

– Boję się miłości do ciebie – wyznała.

– Dlaczego?

– Jeszcze niedawno kochałam mężczyznę, który na moim miejscu chciał widzieć Annie. Boję się, że z tobą może być tak samo.

Alec pokręcił głową.

– Olivio, ja chcę ciebie – powiedział, zaciskając palce na jej udach. – Chcę ciebie taką, jaka jesteś: poukładany umysł, dążenie do porządku, ambicja, która daje ci napęd, i umiejętność postawienia siebie na pierwszym miejscu. –

Delikatnie dotknął jej w miejscu, gdzie stykały się ich ciała. Przebiegł ją dreszcz. – A do tego całkowicie autentyczne i nie nazbyt wyrefinowane potrzeby cielesne.

– A w kwestii mojej ciąży?

Dłonie Aleca powędrowały wyżej, spoczywając na jej twardym brzuchu, wypukłym jak złocista kula.

– Wychowałam już i pokochałam dziecko innego mężczyzny. Mogę to powtórzyć.

Rozdział pięćdziesiąty piąty

Wrzesień 1991

Około godziny dwudziestej trzydzieści w domu opieki w Manteo wysiadł prąd. Radio na baterie trzeszczało i nic nie dało się zrozumieć. Pensjonariusze i kilka osób z personelu siedzieli w pokoju dziennym, oświetlonym świecami. Każdy po kolei kręcił gałkami odbiornika, tocząc nierówną walkę z coraz słabszymi bateriami.

Mary zaszyła się na fotelu w kącie. Na jej kolanach leżała złożona gazeta z ukończoną krzyżówką. Niepotrzebne jej było radio, żeby wiedzieć, co się dzieje na zewnątrz. Czuła w kościach, jaka zawierucha tam szaleje.

Kilka godzin wcześniej otworzyła okno w swoim pokoju i stanęła w strumieniu powietrza. Jego zapach i smak powiedziały jej, że sztorm jest blisko. Już czas, pomyślała. Od wielu dni dręczyło ją przeczucie, że nadchodzi wielka burza. Na długo zanim mieszkańcom Outer Banks zalecono ewakuację, Mary wiedziała, że to będzie nawałnica, jakiej jeszcze nie było: uderzy nagle, prosto w bezbronne wybrzeże, a po pierwszym ciosie następne będą spadać całymi godzinami.

Przyszła Trudy, aby namówić ją na partyjkę kanasty.

– Z nas wszystkich ty jesteś najbardziej przyzwyczajona do burz – zauważyła, gdy Mary odmówiła. – A spójrz tylko na siebie: siedzisz w kącie jak mała, wystraszona dziewczynka.

Mary nie czuła strachu, ale nie miała ochoty tłumaczyć się przed Trudy. Nie bała się wcale.

Spać poszła później niż zwykle, ale i tak nie mogła zasnąć. Wiatr bił w okna z wściekłą siłą i wył jak potępieniec po całym wielkim domu, a co jakiś czas rozlegał się ostry trzask łamanego drzewa. W środku nocy jedno z okien w pokoju Jane nie wytrzymało i pękło. Słyszając jej krzyki, wszyscy wybiegli na

korytarz, a Jane spędziła resztę nocy na rozkładanym tapczanie w pokoju dziennym.

Nad ranem Mary wreszcie zapadła w sen. Gdy się obudziła, było pochmurno i mgliście, a mały okrągły witraż wiszący w oknie rzucał na ścianę plamki rozmytych, przygaszonych barw.

Zeszła na dół, do jadalni i usiadła przy stole, ale nie mogła przełknąć ani kęsa. Po śniadaniu, kiedy wszyscy wyszli na werandę, żeby popatrzeć na powalone drzewa i wybite szyby w oknach najbliższych sąsiadów, Mary zajrzała do kuchni. Gale i Sandy, jedyne opiekunki, które dotarły rano do pracy, ładowały właśnie naczynia do zmywarki. Kiedy weszła, uniosły głowy.

– Co się stało, Mary? – zapytała Gale.

– Muszę jechać do Kiss River. Która z was mnie podrzuci?

Sandy parsknęła śmiechem.

– Odbiło ci, Mary. Na Ławicach Zewnętrznych w nocy była powódź, w radiu mówili, że wiele dróg wciąż jest jeszcze pod wodą. Nie dałybyśmy rady dojechać do Kiss River.

– Proszę – powiedziała Mary. Nie znosiła takich sytuacji, kiedy musiała o coś błagać, nigdy jej nie odpowiadało, że we wszystkim jest zależna od tych dziewczyn. – Zapłacę wam.

Tym razem to Gale się roześmiała.

– Jak chcesz to zrobić, kochana? Masz jakieś zaskórniaki, o których nie wiemy?

Mary ciężko oparła się na lasce. Tego poranka jej biodro pulsowało bólem.

– I tak się tam dostanę, czy mnie zawieziecie, czy nie – oznajmiła.

Sandy i Gale spojrzały po sobie i w końcu dotarło do nich, że Mary mówi serio. Przypomniało im się, jak kilka tygodni wcześniej ktoś rozwiązał jej krzyżówkę, a kiedy nie chciały jej zawieźć do sklepu po drugą gazetę, poszła po nią sama – półtora kilometra tam i z powrotem.

Sandy włożyła talerz do zmywarki i wytarła dłonie papierowym ręcznikiem.

– W porządku, Mary – westchnęła. – Zawiozę cię. Uprzedzam tylko, że daleko nie zajedziemy.

W drodze Mary siedziała z przodu, obok Sandy, która z początku starała się wciągnąć ją do rozmowy, ale w końcu dała za wygraną. Starsza pani nie miała tego dnia wiele do powiedzenia. Bębniła palcami w rączkę swojej laski i wyteżała wzrok, starając się przebić spojrzeniem mleczne opary mgły i zorientować, jak daleko już zajechały.

Główna szosa biegnąca przez całą wyspę była sucha, ale sztorm zostawił ślady na zabudowaniach. Kiedy mgła rzedła na chwilę, Mary widziała powybijane okna albo plaże zasypane połamanymi deskami i powyrywanych krzewami. Na jezdni zalegały gonty zdmuchnięte z dachów przez wichurę.

Kiedy skręciły w stronę Southern Shores, zaczęła rozmyślać o tym, co się dzieje z rodziną Annie. Czy posłuchali zalecenia ewakuacji? A Olivia – wyjechała z nimi czy została, żeby ofiarom sztormu nie zabrakło opieki lekarskiej? Kierowała teraz całym pogotowiem, więc najprawdopodobniej musiała zostać.

Tydzień wcześniej Alec zaprosił Mary do siebie na obiad. Zaskoczyło ją to, ponieważ spodziewała się raczej, że ma do niej pretensję o pomaganie jego niewiernej żonie. Olivia też tam była. Nie dało się już ukryć, że jest w ciąży; Mary nigdy by się nie domyśliła, że istnieje jeszcze i taka dodatkowa komplikacja. Gotowali we trójkę: ona, on i Lacey, a staruszka siedziała przy stole i podziwiała skutki swojego nieoczekiwanego wyznania w domu latarnika. Widziała jak na dłoni, że ma przed sobą trójkę szczęśliwych ludzi. Jej akcja ratownicza – wszystko wskazywało na to, że ostatnia – zakończyła się powodzeniem.

Powiedzieli jej, że Paul Macelli wrócił do Waszyngtonu i znów pracuje w redakcji „Washington Post”. Podobno z powrotem zaczął też pisać wiersze i ma wierną publiczność, której czyta je co weekend.

– Zaczyna się! – zawołała nagle Sandy, dostrzegając przed maską długi odcinek zalanej jezdni. Włączyła napęd na cztery koła i śmiało wjechała w wodę. Po kilku minutach samochód znalazł się z powrotem na suchym terenie.

– Grzeczna maszyna. – Sandy poklepała dłonią kierownicę.

Mary spojrzała tam, gdzie rozciągał się ocean, ale wzdłuż plaży zalegała mgła. Zanim dotarły do Kiss River, musiały pokonać jeszcze kilka odcinków zalanej jezdni.

Wreszcie Sandy skręciła w wąską drogę prowadzącą do latarni.

– No, no... – westchnęła. – Ile połamanych drzew...

Mary nie zwracała uwagi na drzewa. Nie obchodziły jej teraz. Gdy wóz zatrzymał się na obrzeżach parkingu, otworzyła drzwi, jeszcze zanim Sandy zdążyła wysiąść.

– Zostań tutaj – poleciła swojej młodej opiekunce.

– Nie ma mowy. Idę z tobą.

– Nie chcę cię tam. – Staruszka wysiadła i zatrzasnęła drzwi, zdumiona własną siłą. Coś w jej głosie musiało przekonać Sandy.

– Jeśli nie wrócisz za piętnaście minut, idę cię szukać! – zawołała przez otwarte okno, gdy Mary zaczęła się oddalać.

Aby sprawdzić, czy ma siłę w nogach, zeszła z wyłożonego kostką parkingu na mokry piasek, a potem ruszyła w kierunku latarni. Z każdym krokiem czuła w biodrze ostre ukłucie, a laska grzęzła w piasku, ale po minucie albo dwóch ból zelżał i zapomniała o nim.

Omali nie weszła w gęste krzewy woskownicy, zobaczyła je dopiero w ostatniej chwili. Mgła, jak tyle razy w przeszłości, trzymała się ziemi, oblepiała całe Kiss River, więc Mary musiała zdać się na jakiś wewnętrzny kompas, by trafić do celu. Znalazła ścieżkę biegnącą przez zarośla, a gdy zostawiła je za sobą, dostrzegła sylwety dwóch spychaczy i ciężarówki załadowanej długimi stalowymi sztabami. Maszyny stały bezczynnie pod domem latarnika. Podeszła bliżej, wypatrując uszkodzeń po sztormie. Na dachu brakowało kilku zerwanych gontów, ale raczej był nienaruszony, choć kilka okien straciło szyby. No i koparka obok zbiornika na deszczówkę przechyliła się niebezpiecznie na bok.

Woda dotarła aż tutaj, pomyślała. A skoro tak, z pewnością sięgnęła też...

Odwróciła się i zmrużyła oczy, wypatrując na niebie zarysu białej wieży, konturów czarnej żelaznej galerii. Może tylko zniknęły w tej gęstej mgle. Ruszyła w kierunku latarni, już prawie wcale nie korzystając z laski. Wzrokiem cały czas badała niebo. Może coś jej się pomyliło? Może poszła w złą stronę? W głębi serca jednak знаła odpowiedź. Zrozumiała to już w nocy, gdy nasłuchiwała, jak deszcz grzechocze o dach domu opieki, a wiatr łamie drzewa niby suche patyki na podpałkę. Już wtedy wiedziała, co dziś tutaj znajdzie.

Przeszła jeszcze kilka kroków. Niespodziewanie podmuch wiatru zmiótł mgłę w stronę oceanu i scena ukazała jej się w całej okazałości, jak obraz w muzeum. Wśród syczących, skłębionych fal leżały ruiny latarni morskiej z Kiss River. Wieża, skrócona do jednej trzeciej, wyglądała jak olbrzymia studnia, tyle że ścięta na skos. Zza wyszczerbionego pierścienia białych cegieł sterczało kilkanaście metrów spiralnych schodów oblepionych rzednącą mgłą. Dookoła zalegały olbrzymie fragmenty muru. Widok aż bił po oczach i trudno było uwierzyć, że jeszcze kilka minut wcześniej niczego nie dostrzegła. Soczewka Fresnela zniknęła; Mary wyobraziła ją sobie na dnie oceanu, niczym

olbrzymią muszlę obrosniętą połyskliwymi pryzmatami.

Obejrzała się na spychacze, na ciężarówkę, na te czekające w pobliżu maszyny gotowe do budowy torów, które straciły rację bytu. Potrząsnęła głową, przypominając sobie, jak kiedyś siedziała razem z Annie wysoko na galerii.

– Jeśli już czas, aby morze zabrało tę latarnię, to pozwólmy jej odejść – powiedziała jej wtedy.

Uśmiechnęła się na to wspomnienie. Nie potrafiła się oprzeć temu uśmiechowi, chociaż miał w sobie kroplę gorzkości. Powoli ruszyła z powrotem w stronę parkingu. Na mokrym piasku ból w biodrze odezwał się na nowo. Gdy była już prawie na wysokości gęstych krzewów woskownicy, odwróciła się, aby spojrzeć na swoją latarnię ten jeden, ostatni raz.

– Już czas, Annie – powiedziała. – W końcu nadszedł czas.

Podziękowania

Cher Johnson, Mary Kirk, Arlene Lieberman, Suzanne Schmidt, Laura i Pete Schmitz oraz Joann Scanlon – jestem im bardzo zobowiązana za przeczytanie szkiców niniejszej powieści na różnych etapach pracy, za ich entuzjazm i celne uwagi.

Holly Gill, lekarz weterynarii, Martha Gramlich, lekarka z pogotowia ratunkowego, Betsy McCarthy, pielęgniarka z Outer Banks, Chris Haltigan, artysta z tamtych stron, witrażysta Jimmy Powers, miłośnicy latarni morskich David Fischetti, Hugh Morton oraz John Wilson, a także strażnik leśny Warren Wrenn – ci ludzie byli łaskawi podzielić się ze mną swoją wiedzą i cierpliwie odpowiadali na moje niezliczone pytania. Nieocenionym źródłem informacji okazał się także magazyn „The Keeper’s Log” [Dziennik latarnika], wydawany przez The United States Lighthouse Society [Amerykańskie Towarzystwo Przyjaciół Latarni Morskich].

Dziękuję Peterowi Porosky’emu za to, że odmienił mój sposób widzenia, oraz Karen Solem, mojej dawnej redaktorce prowadzącej, za jej wiarę, cierpliwość i mądrość.

Pytania do dyskusji

1. Czy twoim zdaniem metody wychowawcze Aleca i Annie są właściwe? Jaki wpływ na wychowanie dzieci miało dzieciństwo Annie?
2. Strata matki i żony to tragiczny moment dla rodziny. Jak rodzina Annie poradziła sobie z rozpaczą?
3. Jak uzasadnisz obsesję Olivii na punkcie Annie, szczególnie po jej śmierci? Dlaczego według ciebie Olivia podjęła pracę w ośrodku, w którym Annie została postrzelona?
4. Annie to osoba aktywna, twórcza, spełniona żona i matka, szanowana obywatelka. Czy takie osoby zawsze wzbudzają zazdrość?
5. Dlaczego Paul zostawił Olivię? Co twoim zdaniem było głównym powodem rozpadu ich małżeństwa?
6. Czy według ciebie Olivia słusznie postąpiła, spotykając się z Alecem i mówiąc mu, co działo się z jego żoną tuż przed śmiercią? Czy na miejscu Aleca chciałbyś/ałabyś wiedzieć, jak przebiegały ostatnie chwile życia bliskiej ci osoby? Dlaczego?
7. Alec poradził Olivii, by cieszyła się każdą chwilą spędzoną z mężem, jakby miała być ostatnią. Czy twoim zdaniem to ważna i warta zapamiętania rada? Czy jesteś oddany swoim bliskim?
8. Czym według ciebie różni się miłość od obsesji?
9. Lacey ścina i farbuje włosy, żeby jak najmniej przypominać matkę. Czy robi to tylko dlatego, że ojciec nazywa ją Annie, czy według ciebie ma również inne powody?
10. Jak oderwać się do złych doświadczeń i wspomnień? Dlaczego przeszłość tak bardzo wpłynęła na życie Paula, Annie i Olivii?
11. Rodzice Annie żądali do córki bezwzględnego posłuszeństwa, wywierali na nią presję w sprawie studiów i związków z mężczyznami. Czy twoim zdaniem rodzice mają prawo ingerować w życie dorosłych dzieci? Czy jest to dowód ich miłości?

12. Czy można kochać męża, a jednocześnie marzyć o innych mężczyznach?
Jak racjonalnie wytłumaczyć potrzeby Annie?
13. Annie uchodziła za osobę uczciwą i lojalną. A według ciebie była dobra czy zła? Czy można ją usprawiedliwić?
14. Mary wyjawiała wszystkie tajemnice Annie. Twoim zdaniem postąpiła słusznie? Czy warto rozgrzebywać przeszłość? Jak byś postąpił/ła na miejscu Mary?

Spis treści

[Drogi Czytelniku,](#)

[Rozdział pierwszy](#)

[Rozdział drugi](#)

[Rozdział trzeci](#)

[Rozdział czwarty](#)

[Rozdział piąty](#)

[Rozdział szósty](#)

[Rozdział siódmy](#)

[Rozdział ósmy](#)

[Rozdział dziewiąty](#)

[Rozdział dziesiąty](#)

[Rozdział jedenasty](#)

[Rozdział dwunasty](#)

[Rozdział trzynasty](#)

[Rozdział czternasty](#)

[Rozdział piętnasty](#)

[Rozdział szesnasty](#)

[Rozdział siedemnasty](#)

[Rozdział osiemnasty](#)

[Rozdział dziewiętnasty](#)

[Rozdział dwudziesty](#)

[Rozdział dwudziesty pierwszy](#)

[Rozdział dwudziesty drugi](#)

[Rozdział dwudziesty trzeci](#)

[Rozdział dwudziesty czwarty](#)

[Rozdział dwudziesty piąty](#)

[Rozdział dwudziesty szósty](#)

[Rozdział dwudziesty siódmy](#)

[Rozdział dwudziesty ósmy](#)
[Rozdział dwudziesty dziewiąty](#)
[Rozdział trzydziesty](#)
[Rozdział trzydziesty pierwszy](#)
[Rozdział trzydziesty drugi](#)
[Rozdział trzydziesty trzeci](#)
[Rozdział trzydziesty czwarty](#)
[Rozdział trzydziesty piąty](#)
[Rozdział trzydziesty szósty](#)
[Rozdział trzydziesty siódmy](#)
[Rozdział trzydziesty ósmy](#)
[Rozdział trzydziesty dziewiąty](#)
[Rozdział czterdziesty](#)
[Rozdział czterdziesty pierwszy](#)
[Rozdział czterdziesty drugi](#)
[Rozdział czterdziesty trzeci](#)
[Rozdział czterdziesty czwarty](#)
[Rozdział czterdziesty piąty](#)
[Rozdział czterdziesty szósty](#)
[Rozdział czterdziesty siódmy](#)
[Rozdział czterdziesty ósmy](#)
[Rozdział czterdziesty dziewiąty](#)
[Rozdział pięćdziesiąty](#)
[Rozdział pięćdziesiąty pierwszy](#)
[Rozdział pięćdziesiąty drugi](#)
[Rozdział pięćdziesiąty trzeci](#)
[Rozdział pięćdziesiąty czwarty](#)
[Rozdział pięćdziesiąty piąty](#)
[Podziękowania](#)
[Pytania do dyskusji](#)